

# *Crosland Susan*

## *Magnaci*



*Dwóch magnatów prasowych spotyka się po raz pierwszy na obiedzie wydanym przez brytyjskiego ambasadora w Waszyngtonie. Niewiele trzeba, by serdecznie się znienawidzili. Oboje pochodzą z różnych środowisk, przeszłość ich kryje mroczne tajemnice, które próbuje rozwikłać Zoe Hare - ambitna, przebojowa dziennikarka zafascynowana ich żądzą władzy, obsesjami i machinacjami. Ta znakomita powieść obyczajowa ukazuje świat wielkiego biznesu, jego blaski i ciemne tajemnice.*

Czesc I

## *Dla Sophii i Sashy*

### **PROLOG**

Spieczona ziemia wznosiła się stromo po jednej stronie wijącej się poprzez pasmo górskie drogi. Za jej zewnętrzną krawędzią zbocze opadało aż do znajdującego się poniżej wąwozu, cieszącego oko mozaiką kolorów. Przeplatała się w nim szmaragdowa zieleń trzciny cukrowej z cytrynowo-zieloną kukurydzą i rdzawą czerwienią ziemi czekającej na deszcz. Czasami na skraju drogi pojawiały się meksykańskie dzieci, pozornie znikąd. Stojąc samotnie lub w kilkoro, śledziły ciemnymi oczyma samochody osobowe i ciężarówki od czasu do czasu przejeżdżające ich drogą. Nawet w to późne popołudnie słońce grzało tak mocno, że na asfalcie tworzyły się bąble.

Samochód, który z wielką szybkością wyjechał zza zakrętu, przechylił się niebezpiecznie na zewnętrznym poboczu, gdy droga, zamiast się wyprostować, w dalszym ciągu zakrecała. Kobięcy głos krzyknął: „Uważaj!” Gwałtowne wduszenie hamulca, zgrzyt przekładni, pisk opon. Samochód obrócił się wokół swej osi, zadygotał i ponownie się obrócił, zanim wystrzelił ponad krawędzią drogi i runął w dół zbocza. Siła uderzenia w zarośla otworzyła drzwi. Potem obrócił się na bok i zastygł. Na drodze powyżej leżało nieruchome ciało małej dziewczynki.

## ROZDZIAŁ 1

Zoe ustawiła dwa lustra pod takim kątem, by widzieć tył głowy podczas splatania francuskiego warkocza. Przygryzła w napięciu dolną wargę, przekładając pasma włosów i wplatając w nie szeroką, złotą wstążkę. Nagły dźwięk telefonu przerwał jej skupienie. Cholera. Teraz będzie musiała zaczynać wszystko od początku.

- Czyżbym trafił w złym momencie?

- Owszem. Właśnie usiłuję nadać sobie wygląd zarówno urzekający, jak i inteligentny.

- To nie powinno być trudne. Dokąd się wybierasz?

- Do ambasady brytyjskiej. Obiad dla wielkich szych, w tym mojego szefa, jeśli łaska. A teraz przez ciebie się spóźnię, bo będę musiała od początku męczyć się z tymi głupimi włosami.

- Czemu mi nie powiedziałaś, że tam będziesz? Ja też idę. To na razie.

Nigdy dotąd nie zdarzyło im się znaleźć na tym samym przyjęciu. Naturalnie jego żona przyjdzie wraz z nim. Ta myśl sprawiła, że stała się jeszcze bardziej nerwowa, kiedy ponownie zabrała się do splatania warkocza. Zerknęła na zegar stojący na toalecie. O Boże!

Nie była bynajmniej osobą chadzającą pięć razy w tygodniu na obiady wydawane dla ważnych osobistości w stolicy. W wieku dwudziestu ośmiu lat wyrobiła sobie nazwisko jako publicystka „Washington Express” i mogła się spodziewać zaproszenia na, powiedzmy, przyjęcie ogro-

dowe w ambasadzie brytyjskiej. Włączenie jej na listę gości na taką fetę było raczej niezwykle. Zdawała sobie sprawę, iż zaproszono ją tylko dlatego, że przyjaźniła się z amerykańską żoną brytyjskiego ambasadora.

Więc oto ona - Zoe Hare, niemal gotowa do wyruszenia, jeśli tylko uda jej się kiedykolwiek skończyć ten idiotyczny warkocz.

Miles Brewster uniósł podbródek, by poprawić czarną muszkę. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o szerokich ramionach, przystojnym w sposób charakterystyczny dla Amerykanów o brytyjskim rodowodzie - piaskowe włosy, piegowata skóra, brązowe oczy. Opuszczając rogi kołnierzyka, nie widział jednak swego odbicia w lustrze. Jego uwagę całkowicie pochłaniało zagadnienie, czy składać ofertę kupna jednej z dwóch najsłynniejszych gazet angielskich, czy nie.

Miał czterdzieści dwa lata. Minionych dwadzieścia lat spędził na rozwijaniu swego imperium prasowego. Ostatni nabytek - „Washington Express” - był klejnotem wśród jego zdobyczy. Teraz zapragnął perły po drugiej stronie Atlantyku.

Podczas spotkań towarzyskich starał się na ogół unikać rozmów telefonicznych dotyczących interesów. Tym razem jednak kazał sekretarce zadzwonić do ambasady brytyjskiej, jeśli nadejdą informacje potrzebne do podjęcia dalszych decyzji.

Marigold Brewster poświęcała znacznie więcej czasu niż mąż na przygotowanie się do tego przyjęcia. Zachwycająco piękna i zajmująca córka prawnika z Surrey miała trzydzieści siedem lat, rudozłote włosy, zielone oczy i bujne piersi, które chętnie odsłaniała na tyle, na ile pozwalała przyzwoitość. Kiedy po raz pierwszy spotkała Milesa na przyjęciu w czyimś domu na Long Island, była utytułowaną wdową (książę miał siedemdziesiątkę, kiedy się pobierali).

Miles nie był łatwym gościem. Jeśli rozmowa dotyczyła czegoś, co go interesowało, to świetnie, lecz plotki go nudziły i zamykał się wtedy w sobie. Marigold od początku wyczuła, jak pobudzić jego zainteresowanie i wyciągnąć go ze skorupy.

Pięć lat temu, nim lato dobiegło końca, nie była już księżną. Miała za to coś znacznie bardziej wartościowego - paszport do każdego zakątka świata, jako żona magnata amerykańskich środków przekazu.

Senator Peter Stainsley i jego żona spojrzeli na siebie czule w wysokim lustrze górującym nad jej toaletką. Żona senatora przypięła sobie właśnie do wieczorowej sukni broszę z szafirami i kamieniem księżycowym, którą mąż podarował jej pół roku temu. Zawsze wiedziała, kiedy Peter wdał się w jakiś romansik, gdyż wtedy, ni stąd, ni zowąd, przynosił jej w podarunku starannie wybrany klejnot.

Pobrali się bardzo młodo, a niewiele po trzydziestce Peter zdobył swój mandat do senatu. Obecnie, w wieku lat trzydziestu ośmiu, był niezwykle kompetentnym i wysoce poważanym członkiem senackiej Komisji do Spraw Sił Zbrojnych.

Obydwoje przyjmowali za pewnik, że dzisiejszy wieczór nie będzie okazją czysto towarzyską.

Większość waszyngtońskich obiadów, w których uczestniczyli, była po prostu giełdą, na której handlowano władzą.

Lord Scrope, zaczesując do tyłu proste, kasztanowe włosy, był w pełni zadowolony z tego, co widzi w lustrze. W wieku czterdziestu sześciu lat jego ciało nieco przybrało na wadze, lecz mięśnie wcale nie zwiotczały. Nadal niewielu byłoby w stanie go przewyższyć, czy to pod względem siły fizycznej, czy też siły woli.

Wrócił do swego apartamentu w Hotelu Willarda, mając zaledwie dwadzieścia minut, zanim wyruszy do ambasady. Podczas całej swej wędrówki w górę, od właści-

ciela sieci warsztatów samochodowych do magnata prasowego, Gerald Scrope nigdy nie znośił przebywać zbyt długo w jednym miejscu. Wczoraj przyleciał z Londynu do Nowego Jorku, żeby skontrolować kilka odległych filii Scrope Opportunities Ltd. Lubił spadać na swych pracowników bez najmniejszego ostrzeżenia.

Nawet ambasador brytyjski dopiero tego ranka dowiedział się, że lord Scrope zamierza przenocować w Waszyngtonie. Oczywiście, lord Scrope został dołączony do listy gości. Wiedział, rzecz jasna, że jego największy rywal też tam będzie.

Kiedy odwracał się od lustra, na jego ustach pojawił się półuśmiech. Chciał zobaczyć minę Milesa Brewstera, kiedy ten odkryje, jaką niespodziankę trzyma dla niego w zanadrzu Gerald Scrope. Dokładnie o godzinie 7.25 brytyjski ambasador, James Wharton, wyprostował czarną muszkę, poprawił nakrochmalony kołnierzyk pod rumianą, chłopięcą twarzą i wśliznął się w smoking skrojony przez jego londyńskiego krawca z Savile Row. Czuł się jak ogłuszony, próbując oderwać myśli od listu, który otrzymał dziś rano z nocną pocztą z Londynu; listu ozdobionego w rogu koperty prostym nadrukiem: Premier.

Zerkając automatycznie na zegarek - 7.27 - zapukał do łazienki żony. Cisza. Otworzył drzwi i zobaczył, że zażywa jeszcze kąpieli, trzymając stopy na krawędzi wanny. Oleiste bąbelki unosiły się na powierzchni wody, a z piany wyłaniały się jej śliczne, obfite piersi.

Marzyła o swoim kochanku.

Orzechowe loczki przytrzymała na czubku głowy klamra w kształcie motyla. Włosy kręciły się jej z natury i opadłyby sprężynującymi skrętami do ramion, gdyby odpięła tę klamrę.

- Będziesz gotowa na czas, Jancie, prawda? Wiesz, że to ma znaczenie dla naszych gości - odezwał się ambasador.

- Pieprzyć gości - odparła spokojnie Jancie Wharton i opuściła stopy do wody, tworząc na jej powierzchni błyszczące zawirowania.  
W tym samym czasie Zoe biegiem pokonywała cztery kondygnacje schodów prowadzących z jej mieszkania, żeby tylko się nie spóźnić.



## ROZDZIAŁ 2

Ambasada brytyjska w Waszyngtonie to najbardziej majestatyczna z narodowych gablot wystawowych na luku Massachusetts Avenue znanym jako Embassy Row. Jest ona dziełem ostatniego z wielkich projektantów angielskich wiejskich dworców, sir Edwina Lutyensa. Ceglane ściany z białymi kolumnami wznoszą się z pełną godności symetrią ku frontonowi.

James Wharton zerknął na zegarek. Nikomu nie wspomniał o liście od premiera, ale przyciągał go on jak magnes. Zamknął za sobą drzwi biblioteki i otworzył kluczem szufladę biurka. Po kilku minutach ponownie złożył list i schował go do czegoś, co obecnie wydawało mu się raczej tajną skrytką niż jego ambadorskim biurkiem. Rozprostował ramiona. Miał niezłomny zamiar nie dać nikomu poznać dzisiejszego wieczora, że cierpi z powodu najboleśniejszego ciosu w całym swoim życiu. Dokładnie o godzinie 7.45 przeszedł do salonu, by oczekiwać gości.

Trzy minuty później zaanonsowano przybycie Milesa i Marigold Brewsterów. Miles od razu spostrzegł, że coś jest nie w porządku. Zdążył już nieźle poznać Jamesa przez cały ten czas, gdy widywali się w Waszyngtonie. James chlubił się swą utrzymywaną mimo czterdziestki sprawnością fizyczną - pracowicie trenował na kortach do squasha, a w weekendy sprawdzał się za sterem swego czterdziestostopowego jachtu. Dziś robił wrażenie,

jakby się skurczył. Jakkolwiek bardzo starał się to ukryć, jego uczciwa twarz zdradzała niepewność. Mimo wszystko Miles nie zapytał, czy coś się stało. On sam nie chciałby, żeby w podobnej sytuacji ktoś zadał mu takie pytanie.

- Gdzie jest Jancie? - spytała Marigold, dotykając na powitanie policzkiem policzka Jamesa. - Mam szczerą nadzieję, że nie cierpi na kolejną migrenę.

- To tylko brak poczucia czasu - odparł chłodno. Poczł się trochę nieswojo, kiedy chmura jej włosów dotknęła jego twarzy. Marigold miała tę typowo angielską, pozornie pozbawioną porów skórę, która wyglądała jak porcelana. Zdobiące ją szmaragdy pasowały do jej oczu i stanowiły doskonałą oprawę dla włosów. Okazałe kamienie w naszyjniku - w tym samym odcieniu zieleni, co jedwab wydekoltowanej sukni - podkreślały mleczną biel skóry. Jej piękność większość ludzi zbijała z nóg, jednak James dostrzegał nutę zbytniego wyrachowania w perfekcji, z jaką się niezmiennie prezentowała. Zwrócił się do Milesa:

- Nie jestem pewien, jakie będzie twoje zdanie o jednym z zaproszonych dziś gości - powiedział, podczas gdy lokaj podszedł do nich z tacą, a Marigold wzięła kieliszek szampana.

- W takim razie wezmę lepiej nie rozcieńczoną whisky - stwierdził z humorem Miles i wziął szklaneczkę z rżniętego szkła w trzech czwartych wypełnioną szkocką i niewielką ilością wody. Miał bardzo charakterystyczny, ochrypły, miejscami załamujący się głos. Każdy, kto choć raz go słyszał, rozpoznawał jego głos przez telefon, zanim jeszcze zdążył się przedstawić. - Kobieta czy mężczyzna?

- Nie tyle mężczyzna, co wręcz *macho* - odparł James. - To Gerald Scrope, lepiej obecnie znany jako lord Scrope. Przyleciał wczoraj z Londynu. Chce rzucić okiem na amerykańskie wydawnictwa, bo może coś go zainteresuje. Zdawało mi się, że się już znacie.

- Tylko ze słyszenia. - Miles uśmiechnął się zimno. - Lord Scrope może się przyglądać moim tytułom, ile mu się podoba, to wolny kraj. Ale i tak żadnego nie złowi.

- Senator Peter Stainsley i pani Stainsley - zaanonsował kamerdyner.

Mężczyzna i kobieta wchodzący właśnie do salonu robili wrażenie bardzo zżytej pary. Miles ucieszył się z ich obecności. Lubił ich oboje - zarówno za wnoszoną przez nich atmosferę pewności siebie, jak i za to, że żadne nie odczuwało potrzeby zwracania się głośno do drugiego „kochanie” w co trzecim zdaniu.

Nim wybiła ósma, wprowadzono szesnastu gości, a ambasador przesuwał się od grupki do grupki, starając się

0 miły nastrój. Rozmawiał właśnie z senatorem Stains-leyem, kiedy ten zaczerwienił się nagle, spojrzawszy w stronę drzwi. W tej samej chwili lokaj zaanonsował:

- Panna Zoe Hare.

Rzuciła się w oczy, stojąc samotnie w pokoju, gdzie większość gości знаła się nawzajem i przybyła w czyimś towarzystwie. Ciemne włosy ściągnięte do tyłu z czoła

1 skroni, podkreślały owal twarzy. Suknia z kremowego jedwabiu przewiązana w pasie złotą siateczką uderzała elegancką prostotą. Z pewnością wyglądała dramatycznie. I robiła, co mogła, żeby wyglądać niezależnie i swobodnie, gdy obiegała wzrokiem pokój w poszukiwaniu Jancie.

James pospieszył do niej z gorącym powitaniem.

- Znasz sekretarza stanu? A Marigold Brewster? - spytał. - Pozwól, że cię przedstawię. - Objął ją opiekuńczo ramieniem i poprowadził przez pokój. Kiedy Miles oderwał się od grupki, z którą stał, by przywitać się ze swoją pracownicą, James upomniał go ze śmiechem: - Musisz poczekać do obiadu.

Posadziłem was obok siebie.

Kiedy mijali grupkę Petera Stainsleya, senator i Zoe wymienili miłe, oficjalne uśmiechy.

Pod portretem lady Anstruther, pędzla Reynoldsa, sekretarz stanu ciągnął swój monolog ze szklaneczką

burbona w rece, podczas gdy stojąca obok Mangold sączyła szampana, wyglądając bardziej władczonie niż pokryta' werniksem lady Anstruther. Kiedy James dokonał prezentacji, Marigold uśmiechnęła się serdecznie i odezwała pięknym, niskim głosem:

- Nieczęsto mam przyjemność poznać którąś z dziewcząt pracujących dla Milesa.

Zoe poczuła jak krew nabiega jej do twarzy. James uniósł brwi.

- Panie sekretarzu, to jest Zoe Hare, wybitna publicystka z Ekspresu.

- Dobry wieczór - powiedziała Zoe. - Proszę o wybaczenie, ale właśnie weszła jedna z najbardziej fascynujących kobiet w Waszyngtonie - dodała, po czym szybko zaczęła się przedzierać do miejsca, gdzie ukazała się żona ambasadora.

W tej chwili poczuła, że z tyłu pękła jej pończocha. Zaklęła po cichu, pewna, że nieskazitelna pani Brewster dostrzeże powiększające się z każdą sekundą oczko na lewej łydce jednej z „dziewcząt pracujących dla Milesa”.

James spojrział na zegarek.

Zoe i Jancie dotknęły się policzkami, co w ich przypadku było nie tylko towarzyskim rytuałem, lecz wyrażało rzeczywiste; uczucie. Polubiły się nawzajem od momentu pierwszego spotkania, wkrótce po nominacji Whartonów na placówkę w Waszyngtonie. Kiedy Zoe przybyła do ambasady, by przeprowadzić wywiad z amerykańską żoną ambasadora, odkryła, że Jancie jest bystrą, naturalnie zachowującą się kobietą, rozumiejącą słabe i silne strony zarówno polityków, jak i mediów.

Jednocześnie fakt, "że zasiada obecnie w loży tego cyrku nie robił na niej przesadnego wrażenia.

Każdej z nich spodobała się bezpośredniość drugiej. Niedługo potem Zoe zadzwoniła do Jancie, proponując wspólny lunch, tym razem całkowicie prywatny, wyłącznie dla przyjemności. Wkrótce stały się bliskimi przyjaciółkami.

- Właśnie zostałam ustawiona we właściwym miej-

scu przez żonę szefa - powiedziała sucho Zoe. - Jeśli się zdecydujesz mieć dziś wieczorem migrenę, to mogę się do ciebie przyłączyć na górze. - Przyjrzała się dokładnie Jancie. - Co się stało?

Dla pozostałych gości spóźniona ambasadorowa wyglądała czarująco. Tylko Zoe - i James - dostrzegli rozdrażnienie w kąciku ust Jancie, kiedy się uśmiechała.

- Jest coraz gorzej - mruknęła Jancie, po czym wybuchnęła potokiem słów. - Wiem, że to zabrzmiało jak kapryszenie cholernego, rozpuszczonego bachora, którym notabene nie jestem, ale nie mogę już tego znieść, kiedy James mówi do mnie - zaczęła parodiować jego pedantyczny ton - „Będziesz gotowa na czas, Jancie, prawda? Wiesz, że to ma znaczenie dla naszych gości”. Rzecz nie w tym, żebym miała coś przeciw jego cholernym gościom. Dziś wieczorem uważam ich zresztą również za swoich gości. Niektórzy są nawet moimi przyjaciółmi. Chodzi tylko o to, że uważa się to za mój obowiązek, by być zainteresowaną, czarującą, doskonałą gospodynią. Gdyby kiedykolwiek powiedział: „Wiem, że większość z tego jest jak kolec w tyłku, lecz czy zrobisz to z miłości do mnie?”, wtedy z przyjemnością bym to zrobiła. Wiesz, że bardzo go kocham. Tylko to pojęcie obowiązku tak cholernie mnie wkurza.

Cała ta przemowa wygłaszana była po cichu i z ogromną szybkością. Teraz, kiedy już dała upust nagromadzonym urazom i znalazła zrozumienie, Jancie spokojniej rozejrzała się po pokoju, a rozdrażnienie zniknęło z jej twarzy.

- Okay, no to do dzieła. - I z tymi słowami z wdziękiem rozpoczęła swój opóźniony obchód zgromadzonych gości.

W chwilę później lokaj wyrecytował:

- Lord Scrope.

Każdy amerykański dziennikarz słyszał o wspinaczce Geralda Scrope'a do władzy. Zoe obserwowała -Jamesa spieszącego przez pokój, by powitać swego ostatniego gościa oraz ambasadorową, która znacznie spokojniej-

szym krokiem zmierzała w kierunku stojącego nieruchomo mężczyzny, badawczo przyglądającego się zebranym. Takim samym wzrokiem mógłby mierzyć bankowców w sali konferencyjnej albo było na targu. Jego niebieskie oczy miały tak głęboki odcień, że wydawały się niemal granatowe, i choć ich wyraz był bardzo intensywny, to nie można było odczytać, co się w nich kryje.

Zoe, która przyglądała się, jak ściskają sobie ręce, uderzyło to, że lord Scrope wydawał się górować fizycznie nad Jamesem, chociaż ten ostatni był wyższy. Kanciasta głowa Scrope'a oraz jego poza były dziwnie agresywne. Emanująca z niego brutalna witalność kojarzyła się z bokserem wagi średniej. Stojąc z lekko rozstawionymi nogami, wspierając ciężar ciała na palcach, rwał się do walki. Zoe miała ochotę bliżej go poznać.

Nie ona jedna. Marigold Brewster była w grupie osób, którym ambasador na końcu przedstawił swego ostatniego gościa. Przez krótką chwilę lord Scrope wpatrywał się śmiało w tycjanowskie włosy, szmaragdowy naszyjnik półodkryte piersi, zanim przeniósł wzrok na twarz Marigold. Szybkie skiniecie głową mogło być zarówno towarzyskim powitaniem, jak i ofertą na aukcji. Podniecona i niespokojna rozpoznała drżenie, które przez nią przebiegło. Tymczasem on gwałtownie się odwrócił. Goście zaczęli przesuwać się w kierunku tarasu na obiad.

### ROZDZIAŁ 3

Taras wychodził na różany ogród. Na dwóch stołach -każdy na dziesięć osób - nakrytych błyszczącymi obrusami z białego adamaszku, skrzyły się puchary Stourbridge a i srebra z epoki króla Jerzego. Kiedy goście szukali swoich miejsc, Zoe stwierdziła, że Peter Stainslev znajduje się tuż przy jej boku.

- Miło znów cię zobaczyć, Zoe - powiedział uprzejmie.

- Dla mnie to zawsze przyjemność spotkać pana senatorze - odparła z iskierką w oku.

- Poznałaś już moją żonę? - spytał. - Siedzicie przy tym samym stole.

Kobieta, która właśnie zajmowała swoje miejsce podniosła wzrok i obdarzyła Zoe przyjacielskim uśmiechem kiedy Peter je sobie przedstawiał. Zoe natychmiast zapalała do niej sympatią.

- Bardzo mi się podobało to, co napisałaś o Peterze -powiedziała do Zoe. - Jesteś pierwszym dziennikarzem któremu udało się trafnie oddać jego osobowość

Zazwyczaj wczesny czerwiec nie sprzyjał, by jeść na dworze, lecz w tym roku długie, gorące lato nie spieszyło się, by sparaliżować miasto. Jamesowi Whartonowi bardzo podobał się ten pomysł - zgromadzenie publicznych postaci w tym na wskroś angielskim, romantycznym otoczeniu, przy tym wszystko drobiazgowo zaplanowane lecz stwarzające wrażenie swobody.

Nie był z zawodu dyplomata, był wybitnym dziennikarzem angielskim, specjalistą od spraw obronności. Mianowanie go na to lukratywne stanowisko w Waszyngtonie - z wyboru samego premiera - stanowiło spore zaskoczenie dla wielu osób. Tymczasem okazał się doskonałym ambasadorem. On sam uważał się za nowoczesnego „człowieka renesansu”, człowieka wszechstronnego, który nie lubi zbyt wielu ceremonii. Postanowił, że dzisiejszego wieczoru nienagannie odegra swoją rolę. Ilekroć jednak jego spychana w zakamarki pamięci tajemnica wydostawała się na skraj świadomości, tylekroć czuł, jak żołądek zaciska mu się w ciasny supeł.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś rozstania z dziennikarstwem? - zagadnęła go Marigold.

Trafiła prosto w ranę. James niemal widział czarne litery odcisnięte na tej kopercie.

- Od kiedy mam tę pracę, ani przez chwilę - odparł ostrożnie. - Kiedy jednak moja służba tu dobiegnie końca, z przyjemnością zajmę się czymś nowym, przeskoczę z jednego toru na inny. - W tej chwili jego twarz nie wyrażała najmniejszego niepokoju. W końcu nie na darmo skończył Eton.

- Miles uwielbia to robić, to znaczy przeskakiwać od gazety do stacji telewizyjnej, czy jeszcze czegoś innego - stwierdziła Marigold. - Wiesz, bawi go zarządzanie telewizyjną obsługą informacji, ale tak naprawdę jego serce należy do świata prasy. Tam właśnie można wpływać na ludzi. Zresztą, nikt nie wie tego lepiej od ciebie, Jamesie - dodała.

Miała rację. Nie odezwał się jednak ani słowem.

- Założę się, że poza przyjęciami spędziłeś niewiele czasu z prezenterami wiadomości telewizyjnych - ciągnęła - natomiast wiele godzin informowałeś i instruowałeś dziennikarzy prasowych, prawda?

James nadal zachowywał nienaturalne dla niego milczenie.

- Mam nadzieję, że Miles jako następną kupi londyń-



ską gazetę - mówiła niezrażona. - Chętnie spędzałabym więcej czasu w Londynie, a ty nie? W tej chwili nienawidził jej. Aczkolwiek nie było to zamierzone, wszystko, co mówiła, było posypywaniem solą jego rany. Kiedy grzechot porcelany zasygnalizował, że lokaj zaczął zbierać talerze po zupie - James uwielbiał królewski monogram wymalowany na każdym talerzu z Minton - z ulgą obrócił się do żony sekretarza stanu siedzącej po jego drugiej stronie, mimo że była powszechnie znana ze swej głupoty.

Miles słusznie liczył na to, że James posadzi go między dwoma kobietami, z którymi będzie mógł znaleźć wspólny język. Jancie znalazła się z jednej jego strony, Zoe z drugiej.

Podczas spożywania zupy rozmawiał z Jancie. Zawsze na niego działała niezwykła ciętość jej uwag. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że trudno ją nazwać idealną żoną brytyjskiego ambasadora, szczególnie od czasu, gdy opanowała ją obsesja na punkcie Simona Fleeta.

Kiedy Miles przejął „Washington Express”, Brytyjczyk Fleet - uzdolniony tropiciel wiadomości, z doskonałym nosem do wynajdywania różnych historyjek - był już kierownikiem działu zagranicznego. Miles miał pełne uznanie dla jego pracy, lecz nie dla jego charakteru.

Nad kremem z krabów Jancie udało się trzykrotnie wtrącić nazwisko Simona Fleeta do rozmowy.

Miles dostrzegł, że dosłownie się nim delectowała i wewnątrz aż go skreśliło z żalu nad obojgiem Whartonów. Nie miał powodu, by nie wierzyć w powszechne mniemanie, że Fleet jest łajdakiem w stosunkach z kobietami.

Przyniesiono drugie danie i Miles obrócił się do Zoe, która postanowiła ukryć, jak bardzo ją intrygował. W redakcji rzadko miała okazję choćby rzucić na niego okiem, gdyż większość czasu spędzał w swoim gabinecie na górze, gdzie mieścił się zarząd spółki. Pokój redakcyjny znajdował się dwa piętra niżej. Codziennymi sprawami dotyczącymi zarządzania gazetą zajmował się redaktor

naczelnny, lecz zawsze udawał się on na górę do Milesa, by przedyskutować zawartość wydania na następny dzień. Podczas tych rzadkich okazji, gdy Miles schodził do pokoju redakcyjnego, wśród dziennikarzy przebiegał dreszczyk emocji. Jednakże ich faktyczna znajomość z nim była bardzo powierzchowna.

Teraz, przyjrząwszy mu się bliżej, Zoe stwierdziła, że jest on zasadniczo cały jednego koloru - włosy, piegi, oczy.

Wiedziała, podobnie jak wszyscy, że ma on powyżej uszu plotek, więc rozpoczęła rozmowę na tematy zawodowe, o tym, jak różne czasopisma ustosunkowują się do kryzysu w Białym Domu.

- Powiedz mi - przerwał jej nagle po kilku minutach wywodu - jako że żyjemy w epoce seksualnej schizofrenii, czy z twoich doświadczeń wynika, iż płęć jest ci pomocą czy przeszkodą podczas wywiadów z politykami mężczyznanami?

Do tego stopnia nie spodziewała się po nim tak osobistego pytania, że musiała na chwilę umilknąć i zastanowić się.

Miles tymczasem powiedział sobie w duchu, że to chyba ona okaże się tak niekomunikatywna, jak to przypisywano jemu.

W końcu spojrzała na niego i obdarzyła go szerokim uśmiechem. Zwrócił uwagę na szare oczy z czarnymi jak smoła rzęsami i wygięcie jej pełnych ust.

- Cóż, z pewnością nie jest nieszczęściem - odparła. Poczekał na dalszy ciąg.

- Mogę zadawać im bardzo osobiste pytania. Gdyby wyszły one od mężczyzny byliby skrepowani, urażeni -ciągnęła. - To inny typ oddziaływania. Wzajemne oddziaływanie odgrywa piekielnie ważną rolę w wywiadach.

Kiedy zabrała się ponownie do swojej wołowiny Wellington, zerknął na jej profil. Podobał mu się wyraźny garbik na jej nosie. Zastanawiał się, czy go kiedyś zła-

mała, może w dzieciństwie. Siedział przez chwile w milczeniu, wpatrując się w przestrzeń, gdyż nie chciał zbyt wyraźnie gapić się na nią. Potem spytał:

- Czy zdarza się, że politycy, z którymi przeprowadzasz wywiad, usiłują cię uwieść?

Zoe wybuchnęła śmiechem. Ten facet miał być taki powściągliwy.

- Raczej nie. Zazwyczaj są zbyt zajęci tworzeniem swojego wizerunku nadającego się do rozpowszechniania. No i rzecz jasna w panującej obecnie atmosferze byioby to narażaniem się na realne ryzyko. Gdybym wspomniała, że kongresmen Taki-i-Taki poklepał mnie po kolanie, jego kariera byłaby poważnie zagrożona -Umilkła na chwilę, zanim dodała. - Jednak kiedy wywiad jest ukończony i opublikowany, czasem któryś zadzwoni z prośbą o randkę. Chociaż muszę ci powiedzieć że nie zdarza się to, jeśli komuś dałam naprawdę popalić'

Miles uśmiechnął się.

- Z pewnością. Tak jak w przypadku senatora z Ohio który uważa się za rzecznika samego Boga. Czy wiesz' ze zadzwonił do mnie, gdy pierwsze wydanie pojawiło się na ulicach? Twierdził, że artykuł musi być wycofany „natychmiast”, zanim ukaże się drugie wydanie ponieważ zniekształciłaś to, co on powiedział.

Słuchając, pomyślała, że załamywanie się jego głosu przypomina dźwięk towarzyszący rozłupywaniu orzecha włoskiego.

- Naczelnny mówił mi o drobnych kłopotach z tym kawałkiem, lecz me wspomniał, że ciebie też w to wciągnęli

Można się było zresztą spodziewać, że - jak każdy redaktor - wolał ukryć fakt, iż senator za jego plecami udał się z pretensjami prosto do właściciela gazety.

- Powiedziałem senatorowi, że będzie musiał to przełknąć - stwierdził Miles. - Dokładniej rzecz biorąc powiedziałem, że jest mi przykro, iż w jego odczuciu artykuł jest krzywdzący, lecz twoja reputacja dziennikarki

bezstronnej nie pozwala mi prosić redaktora o jego wycofanie.

Zoe uśmiechnęła się w duchu z tego doboru słów. Wszyscy w redakcji doskonale zdawali sobie sprawę, że „prośba” Milesa Brewstera jest równoznaczna z rozkazem.

Przy stoliku Jamesa Marigold spokojnie przygotowywała się do rozmowy z drugim sąsiadem.

Spuściwszy wzrok na naszyjnik, stwierdziła, że wisior nieco się przekrzywił. Spiczastym paznokciem trącała go, dopóki nie spoczął w miejscu, gdzie rozpoczynały się bliźniacze krzywizny jej piersi.

Dopiero wtedy obróciła się na krześle.

Oczy lorda Scrope'a utkwione były w wisiorze, a jedną stronę ust wykrzywił mu sardoniczny uśmiech. Domyśliła się, że obserwował, jak się dla niego przygotowuje. Poczowała, że twarz pali ją z zażenowania. Jego spojrzenie powędrowało jeszcze niżej. Marigold miała okazję przyjrzeć się jego zaczesanym do tyłu, kasztanowym włosom wyrastającym z czoła przeciętego dwoma głębokimi, poziomymi bruzdami oraz rudawym brwiom nad krótkim, prostym nosem. Lord Scrope bez pośpiechu przeniósł swe spojrzenie z powrotem na szmaragdy i wreszcie te niemal przesłonięte powiekami oczy spojrzały bezpośrednio w jej twarz.

- Powinniśmy się bliżej poznać, pani Brewster - odezwał się.

Wypowiedział te słowa w pompatyczny, formalny sposób, a w płasko wypowiedzianych samogłoskach pobrzmiwał akcent mechanika samochodowego z południowego Londynu.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, nie odpowiadając. Stwierdziła, że rysy jego twarzy cechuje pewna obrzmiałość charakterystyczna dla ludzi, którzy lubią sobie dogadzać, lecz szerokie usta, których kontur wyglądał jak narysowany zaostrzonym ołówkiem, przywiodły jej na myśl wilka. Był wprawdzie gładko wygolony, ale

masywne szczęki miały ciemny odcień. W Marigold zawsze tliło się upodobanie do męskiej brutalności.

- To zdumiewające, że dotąd nie mieliśmy okazji się spotkać - rzekła figlarnie. - Pan i Miles macie przecież wspólne interesy.

- Wspólne interesy nie wystarczą, by stać się przyjaciółmi. Pani mąż i ja dotarliśmy różnymi drogami na pozycje, które teraz zajmujemy. Wydaje mi się, że on uważa się za kogoś lepszego ode mnie. Wypowiedział te słowa bez najmniejszych oznak rozgoryczenia. Brzmiało to tak, jakby mówił o dwóch ludziach zupełnie obcych dla niego i Marigold.

Marigold zaśmiała się.

- A czy pan uważa się za kogoś lepszego od niego? - spytała.

Gerald nic nie odrzekł. Zajął się głównym daniem. Był smakoszem i przywiązywał dużą wagę do tego, co je. Wołowina Wellington była jego ulubionym daniem, więc kiedy kelner podsunął mu półmisek, jednym szybkim spojrzeniem upewnił się, że reputacja szefa kuchni ambasady brytyjskiej była w pełni zasłużona, po czym wziął podwójną porcję. Jadł przez jakiś czas metodycznie i z wielkim apetytem, zanim obrócił się ponownie do Marigold i odpowiedział na jej pytanie.

- Gdybyśmy spotkali się z pani mężem na neutralnym terenie, za każdym razem złapałbym go za jaja. Nastrój Marigold raptownie się zmienił.

- Niezbyt imponująca przechwałka w sytuacji, kiedy przeciwnik ma uszkodzoną nogę. Chyba że pan o tym nie wiedział - odrzekła zimno.

- Pojmuje to pani w sposób bardzo ograniczony, pani Brewster - odparował Gerald. - Spodziewałem się po pani mniej dosłownej interpretacji moich słów.

Teraz była już wściekła, a kiedy zaczęła szybciej oddychać, on spuścił wzrok na wisiołek poruszający się wraz z unoszeniem i opadaniem jej piersi. Jego bezczelność była nie do zniesienia. Jeśli da się sprowokować, to

jeszcze bardziej podbuduje jego cholerną zarozumiałość -pomyślała i niech szlag trafi te oczy.

Gerald, nie zmieniając kierunku spojrzenia, dodał:

- Mniej konwencjonalna osoba wiedziałaby, że nie mówię o walce fizycznej.

Zerknął ponownie na jej twarz.

- A poza tym, czy pani sądzi, że nie umiem czytać, pani Brewster? - Dziwny uśmiezek wypłynął mu na usta. - W każdej wzmiance biograficznej o Milesie Brew-sterze jest mowa o jego nodze. Niektórzy twierdzą, że stąd właśnie bierze się jego dążenie do władzy. Ja osobiście uważam całą tę psychologiczną gadaninę za stek bzdur. Nie potrzeba żadnych specjalnych powodów, by pragnąć władzy. Po prostu musisz mieć w sobie to dążenie. I trzeba być przygotowanym, by stawiać je zawsze na pierwszym miejscu w życiu. Zawsze.

Teraz Marigold wpatrywała się w niego z uwagą.

- Czuję się lepszy od pani męża, gdyż kiedy dojdzie do walki między nami, a dojdzie z pewnością, to ja będę zwycięzcą. Jestem bystrzejszy od niego.

- Być może będzie pan zmuszony zmienić to przekonanie - odparła ostro Marigold, której początkowe zafascynowanie Geraldem Scrope'em zniknęło bez śladu. Nikt nigdy nie obrażał inteligencji Milesa; nie mówiąc już o tym, by kierował te obelgi do niej.

- Pani przyjmuje wszystko tak bezpośrednio - stwierdził Gerald. - To błąd. Przez to nie widzi pani istoty sprawy. Nie powiedziałem, że coś jest nie tak z ilorazem inteligencji pani męża. Powiedziałem tylko, że ja jestem bystrzejszy. Musiałem taki być. Natomiast jeśli w życiu Milesa Brewstera coś poszło nie tak, miał zawsze koło ratunkowe w postaci swojego papy. - Gerald wymówił słowo „papa”, szorstko parodiując akcent osoby wykształconej. - Być może faktycznie nigdy nie prosił papy o pomoc, wszyscy wiedzą, że Miles Brewster ma jaja. Lecz zawsze miał pewność, że papa czuwa. I na tym właśnie polega ta ogromna różnica. Oznacza to, że można od

czasu do czasu spuścić wzrok z piłki. Jeżeli każdy centymetr drogi musisz pokonywać samodzielnie, to trzeba obserwować piłkę przez dwadzieścia pięć godzin na dobę, nawet podczas snu. Nie rozmawiałbym w tej chwili z panią, pani Brewster, gdybym nie miał w tym jakiegoś celu.

Po tych słowach powrócił do swojej wołowiny. Kiedy ponownie podniósł wzrok, jego oczy zatrzymały się na lokaju, który pojawił się przy sąsiednim stoliku, by powiedzieć coś Milesowi. Ten, wstając, odsunął krzesło i przez moment dało się zauważyć pewną niezdarność, jakby potknięcie, gdy podnosił się na nogi. Gerald stwierdził jednak, obserwując Milesa przemierzającego taras długimi krokami, że jego utykanie jest ledwo zauważalne. Jeszcze przez chwilę widział czarną sylwetkę na tle świateł sali balowej. Nawet kiedy Miles zniknął z pola widzenia, Gerald nie odrywał wzroku od otwartych drzwi.

Pięć minut później Brewster ponownie pojawił się w wejściu. Wracając na swoje miejsce, zerknął na sąsiedni stół i jego oczy napotkały nieodgadniony wzrok Geralda. Jego własne spojrzenie przepełnione było zimną niechęcią.

Kiedy wszyscy powrócili do salonu, coś skłoniło Zoe do spojrzenia w stronę kominka, gdzie stał Gerald z kulistym kieliszkiem koniaku w jednej ręce, a cygarem w drugiej. Śledził on wzrokiem Milesa zbliżającego się do niego niespiesznym krokiem. Nawet z tej odległości Zoe wyczuwała w pozie Geralda trzymaną na wodzy gwałtowność. Natomiast jeśli chodzi o Milesa, to wszelkie pozory swobody zniknęły z jego zachowania, gdy zatrzymał się o metr od tamtego. Stali tak przez chwilę, mierząc się wzajemnie wzrokiem.

- No, no, cóż za dziwny zbieg okoliczności, lordzie Scrope - odezwał się Miles napiętym głosem. - Pan i ja po raz pierwszy w życiu spotykamy się na tym przyjęciu. Obiad jeszcze nie zdążył się skończyć, a już mój naczelny

z „Expressu” dzwoni, że AP pragnie, bym skomentował biuletyn, który właśnie otrzymali. I cóż się okazuje? Pan najwyraźniej twierdzi, iż umie czytać w moich myślach.

Trzymając cygaro między kciukiem a palcem wskazującym, Gerald zaciągnął się nim bez pośpiechu, wypuszczając następnie wąziutką smużkę dymu przez niemal zaciśnięte usta.

- Ogłosił pan - ciągnął Miles - że mam zamiar złożyć ofertę kupna „London Dispatch”. - Jego głos nabrał ostrej nuty i zaczął docierać do innych gości.

Rozmowy w całym pokoju stopniowo zamierały. Siedząca na sofie Marigold przerwała pogawędkę z dyrektorem Galerii Narodowej i obydwójce pochyliłi się do przodu, gotowi do śledzenia tego, co będzie się działo dalej. Natomiast Zoe była zdumiona otwartością, z jaką obaj mężczyźni ujawnili swą wrogość.

- Zgodnie z tym komunikatem, lordzie Scrope, pan stanie do przetargu o „London Dispatch” w celu... jak pan to zgrabnie wyraził? „W celu zagrodzenia drogi czemuś, co byłoby szkodliwym wpływem na Wielką Brytanię”. Mógłby mnie pan oświecić, co pan widzi tak szkodliwego w moim wpływie? Wystudiowana bezczelność, z jaką Gerald wypuścił kolejną strużkę dymu, sprawiła, że Miles miał ochotę go uderzyć. W końcu Scrope raczył odpowiedzieć.

- Pańskie czasopisma brzdąkają na tę samą, starą nutę, że prawa rynku to nie wszystko, że silny powinien pomagać słabszemu. W dawnych czasach te wszystkie bzdury sir Galahada miały swój urok. Lecz słabi zawsze wiedzieli, że to bzdety. Jedyne, czego słabi kiedykolwiek pragnęli, panie Brewster, to stać się na tyle silnymi, by móc dyrygować innymi. To właśnie o siłę w tym wszystkim chodzi. Jeśli Wielka Brytania ma być silna, to serca i kwiatki nie mogą być uwzględniane w tym interesie. Niepotrzebny nam sir Galahad galopujący dookoła. To jest punkt pierwszy.



- Posłuchajmy teraz punktu drugiego - wtrącił Miles.  
- Punkt drugi. Wy macie ten swój uścisk-dłoni-po-nad-oceanem. Jeśli uda mi się zrealizować mój zamysł, a uda mi się, panie Brewster, Wielka Brytania będzie miała premiera, który powie: do diabła ze wspólną anglo-amerykańską polityką, chyba że akurat będzie to służyło Anglii. Już jutro zniósłbym embargo na sprzedaż broni do Arabii, a jeśli wspaniała Ameryka powie, że to nieładnie, to trudno. Nie interesuje mnie udawane samozadowolenie. Tym, co się liczy, jest handel, a brytyjskie umowy powinny być zawierane w interesie Wielkiej Brytanii, kropka. W ten ton uderzają codziennie moje gazety w Anglii. Jeśli pan przejmie „Dispatch”, zacznie pan głosić swoje moralizatorskie brednie. - Jego usta wykrzywiły się w parodii uśmiechu. - Nie ma w tym nic osobistego. Czułbym to samo w stosunku do każdego, kto chce zwieść nową Brytanię na fałszywą drogę.

Z powrotem włożył cygaro do ust i zaczął je ciągnąć z rozmyślną powolnością.

Peter Stainsley, stojący o kilka metrów od nich, otworzył usta, chcąc spróbować rozładować sytuację, lecz po namyśle zrezygnował z tego zamiaru. W sąsiednim pokoju taca upadła z brzękiem na posadzkę.

Miles uśmiechnął się lekko.

- Jeśli udałoby się panu zdobyć „London Dispatch”, lordzie Scrope - a ma pan kłopoty z Komisją do Spraw Monopoli i Fuzji - domyślam się, iż przerobi go pan na gazetkę ze zdjęciami dla masowego czytelnika, przemycając swe polityczne posłannictwo między cyckami i tyłkami. Nie mam nic przeciw piersiom i pośladkom, lecz nie w sklepach; angielskie regały z prasą i tak są już nimi zalane. A ponadto wiele mam do zarzucenia informacjom, które chce pan między nie wepchnąć.

Gerald kiwał powoli głową, jakby oceniając swego przeciwnika.

- I powiem panu coś jeszcze, lordzie Scrope - ciągnął

Miles. - Kiedy przybyłem tu dziś wieczorem, nie byłem jeszcze zdecydowany, czy składać ofertę na „Dispatch”. Nie jest to najlepszy moment, by inwestować w Wielkiej Brytanii. Lecz wie pan co - zaśmiał się krótko - pobudził pan mój apetyt.

Oczy Marigold jarzyły się zupełnie jak jej wisior, gdy przyglądała się, jak jej mąż i Gerald Scrope rzucają sobie wyzwania. Jancie z kolei starała się wbić sobie w pamięć tę scenę, by móc ją zrelacjonować Simonowi Fleetowi. Twarz Zoe wyrażała zachwyt; uwielbiała przyglądać się, jak dobrze dobrani przeciwnicy skaczą sobie do oczu. Ponadto zainteresował ją kontrast pomiędzy nimi: pewność siebie Milesa wynikająca z jego pochodzenia i dziwnie zniewalający, bandycki urok lorda Scrope'a.

Miles zakończył tę konfrontację równie nagle, jak się ona zaczęła. Odwracając się od Geralda, odezwał się lekkim tonem do ambasadora:

- Jamesie, miałeś mi pokazać stubbsy, z których jesteś taki dumny.

Ambasador w Waszyngtonie był w posiadaniu wybranych dzieł sztuki rządu brytyjskiego. Zaledwie przed tygodniem James powiedział Milesowi, jaką radością i dumą napawa go perspektywa, że konie Stubbsa będą zdobiły jego ściany.

Kiedy weszli do drugiego pokoju, James odezwał się:

- Słuchaj, Milesie. Coś się stało. To sprawa osobista. Czy jutro byłbyś w stanie się ze mną spotkać?

- Najlepiej niech twoja sekretarka zadzwoni do mojej. Ona na pewno coś ustali.

Miles zdążył już stłumić gniew. Zwrócił teraz swą uwagę na obrazy. James udawał zainteresowanie, którego wcale już nie odczuwał.

Kiedy wrócili do bawialni, goście zaczęli się rozchodzić. Miles rozejrzał się dookoła, pragnąc pożegnać się z Zoe, zanim on i Marigold wyjdą. Łatwo ją było wyłuskać z tłumu. Stała tyłem do niego, a przepleciony złotą

wstążką francuski warkocz wyglądał jak maczuga opierająca się o nasadę jej szyi. Zdał sobie sprawę, iż wpatruje się prosto w twarz mężczyzny, z którym rozmawiała. Był to Gerald Scrope. Stali sami, a coś w postawie Zoe sugerowało, że jej zainteresowanie całkowicie skupia się na rozmówcy. Miles poczuł, że twarz pali go od niespodziewanej urazy. Wiedziony jakimś szóstym zmysłem Gerald zerknął ponad ramieniem Zoe i napotkał wzrok Milesa. Przez pełną minutę obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie lodowatym wzrokiem.

## ROZDZIAŁ 4

Czuła, jak jego tętno powoli się uspokaja. Ile kilometrów musiałby przebiec mężczyzna, by zmusić swe serce do takiego samego wysiłku jak podczas jednego aktu miłości? Trzy? Trzydzieści? W każdym razie dużo. Zoe była zadowolona, że nie jest mężczyzną. Zamglonym wzrokiem wpatrywała się w okno tworzące ramę dla jasnego, popołudniowego nieba.

Jej mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze jednego z mniejszych budynków po wirginijskiej stronie Potomacu. Kosztowało ją większość pensji, lecz uwielbiała je. Najbardziej ceniła sobie jego odosobnienie. Podobnie myślał senator Peter Stainsley. Waszyngton pod wieloma względami pozostał małym miasteczkiem - niewiele było tu miejsc publicznych, w których ważny senator nie zostałby przez kogoś rozpoznany.

- Idealna z nas para - stwierdził.

- Niewątpliwie masz na myśli nasze wspólne zainteresowanie polityką - odparła ze śmiechem.

- Co mi przypomina... - Uniósł się na łokciu. - Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zadzwonię gdzieś, Zoe?

- Proszę bardzo.

Przechylił się przez nią, żeby wziąć słuchawkę ze stolika po jej stronie i obydwójce przyglądali się plastikowemu spiralnemu przewodowi spoczywającemu na jej

jeszcze wilgotnych piersiach, gdy on położył się z powrotem i wybierał numer, trzymając telefon nad sobą.

- Spóźnię się na posiedzenie komisji - powiedział do słuchawki. - Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Kiedy skończył, zabrała mu telefon.

- Pozwól - powiedziała oficjalnie, odkładając go, po czym z zadowoleniem obróciła się do niego ponownie, przerzucając rękę przez jego pierś, z przyjemnością czując dotyk jego wilgotnej od potu skóry na swojej.

Odkryła, że leżenie w łóżku po wszystkim i rozmawianie jest jedną z najmiłszych faz kochania się. Peter podzielał jej zdanie. Fakt, że był osobą publiczną, niósł ze sobą nie tylko nieustanny brak czasu, lecz również konieczność ciągłego pilnowania się. Tylko w mieszkaniu Zoe miał uczucie, że może się odprężyć. Każde z nich opowiadało o swoich nadziejach i rozczarowaniach. Czasem analizowali drobiazgowo postępowanie, zachowanie osoby, którą obydwójce znali. Wymieniali zwierzenia na temat minionych związków. Zoe, wspominając jakiś nieistotny flirt lub odrzuconą propozycję, wymieniała nazwisko partnera tylko wtedy, gdy wiedziała, że jest znane Peterowi. Uwielbiał słuchać, jak zachowują się inni politycy, próbując zdobyć kobietę. Natomiast o swych wcześniejszych doświadczeniach łóżkowych mówiła wymijająco.

Jej romans z Peterem zaczął się sześć miesięcy temu. Każdą przygodę miłosną cechuje charakterystyczne tylko dla niej połączenie namiętności i zażyłości, pod warunkiem jednakże, że przeżywa się ją z odpowiednim mężczyzną.

- Czy nigdy w środku nocy nie czujesz się samotna? -zapytał Peter, obracając głowę na poduszce, żeby na nią spojrzeć.

- Nie mów tak - odparła ostro. - Nie znoszę, kiedy ktoś mnie o coś takiego pyta. To sugeruje, że tęsknię za tym, żeby mieć kogokolwiek. Towarzystwo osoby, która

mnie nudzi, to dopiero jest przygnębiające, wtedy naprawdę czuję się samotna.

Obserwowali podobne kłębkom waty chmury, przepływające przez prostokąt błękitu. Gdyby stanęli przy oknie, ujrzeliby w dole Potomac i miasto rozrastające się na drugim brzegu aż po Maryland na horyzoncie. Z lewej strony widać było znajome znaki orientacyjne: błyszczącą kopułę Kapitolu, obelisk Waszyngtona, a nawet Lincoln Memoriał, ulubiony zabytek Zoe.

- W zasadzie - odezwała się nagle - byłoby lepiej, gdybym nie poznała twojej żony.

Znów obrócił się, by na nią spojrzeć.

- Polubiłam ją. Rozmawialiśmy ze sobą tylko przez tę chwilę, kiedy nas sobie przedstawiłeś. Lecz siedziała naprzeciw mnie przy stole i podczas obiadu od czasu do czasu na nią spoglądałam. Ma naprawdę dobrą twarz. Gdyby była wredna albo chociaż nudna, wytłumaczyłabym sobie, że to musi być okropne mieć taką żonę.

Peter nic na to nie odpowiedział.

Zoe nigdy dotąd nie miała romansu z żonatym mężczyzną. Wiedziała, że nie jest jego pierwszą przygodą i zazwyczaj uwalniało ją to od poczucia winy. Obydwoje zadali sobie wiele trudu, by nikt nie odkrył prawdy o ich związku. Zoe miała w „Expressie” znajomą, która zawzięcie starała się, by żona kochanka dowiedziała się o jej istnieniu, lecz Zoe uważała takie postępowanie za okropne i do tego sadystyczne. Traktowała związek z Peterem jako zamknięty okres przejściowy w ich życiu. Jeśli kiedykolwiek, wbrew sobie, przychodziło jej na myśl, aby zostać jego żoną, czym prędzej przepędzała tę wizję - nigdy nie będzie próbowała rozbić jego małżeństwa.

- Oczywiście byłam jej ciekawa. Ilekroć widziałam waszą fotografię, przyglądałam się dokładnie jej twarzy, sposobowi, w jaki się ubiera, jak patrzy na ciebie. Ona była kimś, kto nie miał ze mną nic wspólnego. Skoro zdecydowałeś się być niewierny w stosunku do niej, to

była twoja sprawa, nie moja, przynajmniej tak długo, jak długo nie dowiedziała się o tym. - Jej wzrok śledził dwie małe chmurki, które jak pulchne bliźniaczki pojawiły się z jednej strony ramy i po chwili zniknęły z drugiej. - Teraz, kiedy ją poznałam, stało się to również moją sprawą; może w niezbyt wielkim stopniu, ale zawsze - powiedziała.

- Wcale nie - odparł Peter. - Moje małżeństwo to mój problem. Nie ma to nic wspólnego z tobą. Wina spada całkowicie na mnie, z pewnością nie na ciebie.

Już w początkach swojego małżeństwa Peter przekonał sam siebie, iż niewierność — pod warunkiem że pozostaje tajemnicą - nie tylko nie szkodzi małżeństwu, lecz nawet je ulepsza. *Modus vivendi* ustalił się sam: on nigdy nie wspominał o swej pozamałżeńskiej aktywności, a jego żona nigdy nie pytała. Ten sposób jej odpowiadał. Pod wieloma względami było to dobre małżeństwo i obydwójce starali się dbać o to, by takie pozostało.

On i Zoe byli ze sobą najwyżej raz w tygodniu. Nigdy nie zostawał do późna. Czasami - tak jak dzisiaj - spotykali się w restauracji na lunchu, co było łatwe do wyjaśnienia przed postronnymi osobami, gdyż spotkania z dziennikarzami należały do stałych pozycji w terminarzu polityków. Przy innych okazjach Zoe kupowała coś w drodze do domu i zjadali to potem, popijając butelką wina przy stoliku w pokoju dziennym, spoglądając w dół na Potomac. Czasem Peter przynosił ciasteczka z krabów z pobliskiego sklepu rybnego. Mieszkańcy domu Zoe otwierali sobie główne drzwi za pomocą karty kodowej, a domofon pozwalał wpuszczać gości. Raz Peterowi zdarzyło się jechać w windzie z obcą osobą, wysiadł więc na niższym piętrze i wszedł po schodach. Od tej pory zawsze używał schodów. Jego motto brzmiało: „Kiedy podejmujesz duże ryzyko, redukuje drobin; zagrożenia, które mu towarzyszą”.

- Co naprawdę stało się z nogą Milesa Brewstera? - spytała niespodziewanie Zoe.

- Wiadomo tylko, że był to jakiś wypadek samochodowy w Meksyku. Miał wtedy dwadzieścia parę lat. Jechał po alkoholu. Zginęło dziecko. Meksykańska dziewczyna, która była z Milesem, została sparaliżowana do końca życia. Zły postęp z jego przeszłości.

Milczała, rozmyślając.

- Dla człowieka absolutu jest to trudne do zniesienia - ciągnął Peter.

- Co masz na myśli?

- Człowiek absolutu wyznacza sobie wyższe kryteria wartości niż większość z nas. I stosuje się do nich niezależnie od okoliczności. Jednak kiedy zdarzy mu się zawieść, strasznie to przeżywa. Miles nigdy o tym nie mówi. A lepiej byłoby, gdyby to zrobił. Przez to milczenie ludzie podejrzewają, iż było w tym wszystkim coś jeszcze gorszego niż to, co wyszło na jaw.

Znowu się do niej obrócił i wolną ręką sięgnął po jej dłoń.

Zoe uwolniła rękę i przeturlała się na brzeg łóżka, by spojrzeć na zegarek. Za niecałą godzinę była umówiona na Kapitolu. Odwróciła się z powrotem i dotknęła twarzy Petera. To był gorzki moment ich spotkań; za każdym razem żalowali, że nie mogą poleżeć razem troszkę dłużej.

Peter zebrał swoje rzeczy z miejsca, gdzie je rzucił. Jeśli uda mu się od razu złapać taksówkę, to zdąży jeszcze na posiedzenie komisji dotyczące Arabii i embarga na broń.

Z łazienki dobiegł go głos Zoe:

- Pożegnaj się, zanim wyjdiesz.

Był pewien, że myśli już o czekającym ją wywiadzie.

Mylił się. Rozmyślała o „niedobrym incydencie z przeszłości” Milesa. Myślała również o swych rodzicach. Zginęli w wypadku samochodowym.

Inni wyobrażali sobie, że Zoe musiała czuć się niezwykle samotna jako dziecko, mieszkając jedynie ze swymi



dziadkami na zrujnowanej, odosobnionej farmie nad jeziorem Champlain, w miejscu, gdzie rozszerzało się ono, zakręcając na północ do Montrealu. Dwie mile wody oddzielały kamienne nabrzeże farmy rodziny Hare w Ver-monie od węzła kolejowego u stóp gór Airondack w północnej części stanu Nowy Jork. Z pewnością takie dzieciństwo rozwinęło w niej upodobanie do samotności. Nigdy jednak nie myślała o nim jako o dzieciństwie samotnym. Było to raczej zawieszenie w zaczarowanej krainie.

Sam dom został zbudowany pod koniec dziewiętnastego stulecia i był utrzymywany w dobrym stanie przez większą część następnego, a otaczającą go ziemię uprawiano i pielęgnowano. Jednak kiedy Zoe dorastała, niebieską farbę w odcieniu kaczego jaja pozostawiono samą sobie tak długo, że pojedyncze płyty trzymające się jeszcze drewnianych ścian nadawały im szary kolor, od którego odbijała federalna zieleń łuszczących się okiennic. Być może stosunek dziadka do remontów domu wynikał z tego, co jego żona nazywała „poetycką naturą”. (Pod koniec trzeciego roku swej pracy w „Expressie” Zoe udało się zgromadzić dostateczną ilość pieniędzy, by pomóc w ponownym odmalowaniu domu.) A jednak dom przez cały czas zachowywał spokojną pewność siebie i beztrąsko wznoszącą się nad nim kopułę.

Za czasów dzieciństwa Zoe z kwitnącego niegdyś stada pozostały dwa tłuste, brązowe konie i krowa rasy jersey o imieniu Paprotka. Była ona tak pełna wdzięku ze swą orzechową sierścią, czarnym, aksamitnym pyskiem i długimi rzęsami, że dla Zoe inne krowy po prostu nie istniały. Pewnego razu kuzyn, który przebywał u nich z wizytą, posłużył się czarnym prętem ogona Paprotki, żeby wskoczyć na jej kościsty grzbiet. Ta ruszyła, przechylając się niezdarnie i usiłując zrzucić jeźdźca, a Zoe popędziła za nimi i ściągnęła młodzieńca na ziemię, wściekła z powodu afrontu, który spotkał jej ulubienicę.

Wkrótce po swych dwunastych urodzinach zaczęła wypływać samotnie coraz dalej i dalej na jezioro, w miejsce, gdzie rozszerzało się ono do dwóch mil. Początkowo jej cel stanowiła błyszcząca, czerwona boja podskakująca na wodzie tam, gdzie zaczynało się robić głębiej. Potem wypuszczała się dalej, chwilami leżąc na plecach dla odpoczynku, od czasu do czasu zsuwając ramiączka kostiumu, by słońce ogrzewało jej piersi, ciągle jeszcze niewielkie i spiczaste, podczas gdy włosy układały się na kształt wachlarza wokół głowy. Później znów przewracała się na brzuch i płynęła w bezmiar jeziora. W długie, letnie wieczory babcia pakowała kolację do koszyka i całą trójką podążali w dół wyboistą ścieżką nieodmiennie przegrywającą swą wieczną wojnę z pokrzywami, aż do ogromnych, wygładzonych głazów, których krawędzie sięgały do samej wody. Czekala tam na nich „Emmy” z cumą dziobową obwiązaną wokół srebrnej brzozy skarłowaciałej pod uderzeniami wichru. Czasami pozwalano Zoe wiosłować po błyszczącym jeziorze. Umiała zanurzać wiosła bez plusku tak, że jedynym słyszalnym dźwiękiem był odległy turkot pociągu przejeżdżającego wzdłuż przeciwnego krańca jeziora. Czula wtedy głęboko w swym ciele dreszcz, którego nie potrafiła zrozumieć. Gotowali posiłek na kamiennym piecu, budowanym przez nią i dziadka na nowo każdej wiosny. Przeważnie zjadali kolację w niemal całkowitym milczeniu, siedząc na pradawnych skałach, z jeziorem pluskającym u ich stóp, każde zatopione w swoich marzeniach i obserwowali napęczniałe słońce zmieniające barwę od złota do szkarłatu, zabarwiające na karminowo przestrzenie nieba ponad jego odbiciem.

Czasem myślała sobie, że najlepsze ze wszystkiego były godziny spędzone w wysokim pokoju muzycznym, gdzie dziadek przechowywał kolekcję wyrobów indiańskich. Jedynym dowodem dawnego przeznaczenia tego pokoju był fonograf - nazywany Victrolą - z głośnikiem

w kształcie tuby i korbą. Tutaj mogła w pełni puścić wodze wyobraźni. Zanim weszła w okres dojrzewania, jej ulubionymi płytami wśród porysowanych, zabytkowych, dwunastocalowych krążków były: *Pieśń wołańskiego rybaka*, marsze wojskowe Sous/ego, marsz triumfalny z *Aidy*. Snucie fantazji przerywały jej na krótko chwile, kiedy musiała na nowo nakręcić Victrolę. Zanim skończyła dwanaście lat, jej gust się nieco zmienił i teraz był to duet miłosny z *Tristana i Izoldy* wywołujący to dziwne uczucie w jej wnętrzu oraz zdarte płyty z raniącymi serce zawodzeniami Elli Fitzgerald i wczesnymi piosenkami miłosnymi Beatlesów.

Często spoglądała na oprawione w ramki rodzinne fotografie stojące na stoliku pokrytym z wierzchu zniszczoną już skórą. Całymi latami studiowała pilnie zdjęcie małej dziewczynki idącej za rękę z roześmianą, młodą kobietą z jednej strony i zawadiackim, młodym mężczyzną w pasiastej koszuli bez marynarki i w płóciennych spodniach z drugiej. Babcia powiedziała jej, że zdjęcie to zostało zrobione w nowojorskim Central Park, zaledwie na kilka dni przed śmiercią obojga w wypadku samochodowym. On został właśnie mianowany szefem londyńskiego biura „New York Timesa”. Wracali samochodem z pożegnalnego obiadu wydanego na ich cześć przed odlotem wraz z Zoe do Anglii. Jego rodzice zabrali dwuletnie dziecko z powrotem na farmę w Vermoncie. Jak daleko mogła sięgnąć pamięcią, Zoe знаła zarówno fotografię, jak i jej historię. Czasami miała wrażenie, że pamięta nawet ten spacer w parku, za rękę z matką i ojcem.

## ROZDZIAŁ 5

Ze wszystkich pokoi, które tak mu się podobały w budynku ambasady, ten lubił najbardziej. James zamknął za sobą drzwi na klucz. Usiadł przy niemal pustym biurku, na którym leżał tylko świeży bibularz w oprawie z wytłaczanej skóry, a w osiemnastowiecznym dzbanie z Staffordshire jaśniały narcyzy. Przez okna za jego plecami przesączało się złote światło poranka.

James był atrakcyjnym, uczciwym, niezwykle inteligentnym czterdziestoletnim mężczyzną. Był średniego wzrostu, muskularny, o miłych rysach twarzy, a kiedy z dezaprobatą zaciskał usta, jego żonie przychodził na myśl uczeń oburzony przewrotnością otaczającego go świata. W swojej szkole był starostą i nadal zachował to poczucie odpowiedzialności i honoru oraz pewną zarozumiałość.

Idealnie spędzony weekend oznaczał dla niego żeglugę za kołem sterowym wyścigowego jachtu w silnych porywach wiatru znad Zatoki Chesapeake, z jednym członkiem załogi, kiedy każdy z nich był świadomy faktu, iż jego życie zależy od drugiego. Rzucali wyzwanie wichrom i morzu, triumfując z powodu pełnej kontroli nad jachtem. Nawet ta sprawność fizyczna Jamesa drażniła nerwy Jancie.

Otworzywszy zamkniętą na klucz szufladę, wyjął ko pertę i wpatrzył się jak zahipnotyzowany w litery w na rożniku: Premier. Po dłuższej chwili wyciągnął list i rozprostował go. Opierając podbródek na dłoniach przeczy-

tal go po raz ósmy od chwili, gdy otrzymał go poprzedniego dnia. Był on odręcznie napisany przez premiera.

***Drogi Jamesie!***

***Piszę ten list z ciężkim sercem. Usłyszysz o tym jutro od ministra spraw zagranicznych. Przez minione dwa lata byłeś najwspanialszym z ambasadorów - tak jak się zresztą spodziewałem, oferując ci to stanowisko. Rozumiesz jednak, że niechęć Jancie do spełniania obowiązków, które wiążą się z tą pracą, stała się zbyt kłopotliwa, by mogło to dalej trwać. Zdecydowałem się mianować na twoje miejsce zawodowego dyplomaty. Zastępca stałego sekretarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zgodził się objąć stanowisko w Waszyngtonie za sześć tygod- \* ni, licząc od dnia dzisiejszego.***

***Nie ukaze się żaden oficjalny komunikat, dopóki wspólnie nie uzgodnimy jego treści. Pragnąłbym, żebyś sam go wstępnie sformułował, gdyż jestem dumny z twoich osiągnięć w Waszyngtonie i pragnę, by twoje odejście było godne.***

***Twój Martin***

Łzy spłynęły mu po twarzy na dłonie nadal splecione pod podbródkiem. James wyprostował się i wyjął z kieszonki na piersi starannie złożoną chusteczkę. Nic mu to nie pomoże, jeśli pomoczy mankiety koszuli, a za pół godziny miał się pojawić Miles Brewster. Rozłożył chusteczkę i przycisnął ją do twarzy. Zatrząsł się na całym ciele i z jego ust wyrwał się pojedynczy szloch, lecz poza tym siedział w milczeniu, wycierając kwadratem płótna płynące łzy.

Kiedy odsunął mokrą chusteczkę od twarzy, by spojrzeć na zegarek, była godzina 11.20. Włożywszy list z powrotem do szuflady, przekreślił klucz. Opłukał twarz w małym pokoju za kasetonowymi drzwiami, uważając, by nie pomoczy mankietów. Szybko osuszył skórę rącz-

nikiem, a kiedy spojrzał w lustro, jedynie jego usta zdradzały ból. Uniósł brodę do góry. Potem wyjął czystą chusteczkę z małej komódki z czasów królowej Anny, zawinął rogi, włożył ją do kieszonki na piersi i ponownie rzucił spojrzenie do lustra. Ujrzał w nim inteligentnego mężczyznę o chłopięcym wyglądzie, prezentującego się nieskazitelnie - idealnego ambasadora Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie.

Jancie Wharton - urodzona i wychowana w Kolorado - w chwili, gdy poznała Jamesa była - zaczynając właśnie piąć się w górę - prezenterką telewizyjnych wiadomości. James przez jeden semestr prowadził wykłady w Princeton na temat obronności.

Kiedy się pobrali, przeniosła się do Londynu, gdzie jako jedynej Amerykance udało jej się zdobyć pracę prezenterki w głównym studiu BBC. Ich kariery zawodowe dobrze do siebie pasowały. Choć zdawała sobie sprawę, że jej miłości do Jamesa brakuje żaru, o którym czytała w książkach, to jednak byli dobrymi partnerami. Potem zaszła w ciążę i porzuciła pracę zawodową, żeby sama wychowywać bliźniaki przez pierwszych pięć lat ich życia. Właśnie kiedy miała wrócić do BBC, Jamesowi zaproponowano stanowisko ambasadora.

Z początku Jancie pełniła rolę żony ambasadora z entuzjazmem, wdziękiem i poświęceniem. Nie miała jednak wcześniej pojęcia o ograniczeniach dyplomatycznego życia. Po pierwszych trzystu sześćdziesięciu pięciu dniach ścisłego trzymania się przewidzianego dla niej harmonogramu obudziła się pewnego ranka z myślą, że niezależnie od tego, jak wspaniałe może się wydawać jej życie osobom postronnym, to bycie ambasadorową brytyjską oznacza jedynie bycie dodatkiem do Jamesa.

Początkowo jej bunt nie wykraczał poza granice odpowiedzialności: po prostu dostawała „migreny” (na którą nigdy przedtem nie cierpiała) i prosiła żonę numeru dwa w ambasadzie, by zastąpiła ją w roli przewodniczki ko-

lejnej grupy Brytyjczyków spodziewających się wycieczki po Waszyngtonie w czasie, gdy ich małżonkowie po słowie zajmują się ważnymi sprawami.

Dopiero miłość do Simona Fleeta przeobraziła jej skromny bunt w rebelię na dużą skalę. Po raz pierwszy Jancie jakby pędziła na górskiej kolejce namiętnej miłości. Simon był spontaniczny, niegodziwy, nie przejmował się obowiązkiem dla samego obowiązku, a więc cechowało go to wszystko, czego przeciwieństwem był James. No i Simon nauczył ją takiego seksu, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Jej namiętność przerodziła się w uwielbienie.

Podczas balów dobroczynnych parkiet należał do niej i Simona, przy czym nie zwracała najmniejszej uwagi na błyski fleszy, w ślad za którymi szły fotografie w brukowych gazetach. Jeśli zadzwonił w południe, by poprosić ją o spotkanie za pół godziny, kazała swojej sekretarce dzwonić do osoby, z którą była umówiona, i tłumaczyć, że niestety migrena pani ambasadorowej nie pozwala jej wziąć udziału w dzisiejszym lunchu. Jeśli pojawiał się na oficjalnym powitaniu gości ze sfer rządowych, natychmiast zapominała o swym obowiązku opieki nad żoną przybyłego dygnitarza, wisząc zamiast tego u ramienia Simona. Ten jawny romans nie tylko ranił serce jej męża i uraził jego dumę - James po prostu nie potrafił tego zrozumieć.

Lincoln Milesa ponownie skręcał w półkolisty, frontowy podjazd w ciągu niespełna dwunastu godzin od chwili, gdy wraz z Marigold go opuścili. Konieczność wprowadzenia takiego zakłócenia w ustalony harmonogram poranka była mu bardzo nie na rękę. W środku ogromnego holu czekał na niego prywatny sekretarz ambasadora, który miał go zaprowadzić na górę jednym z bliźniaczych ciągów schodów. Wchodząc do biblioteki, ujrzeli ambasadora stojącego tyłem do nich i wyglądającego przez okno na drzewa, których zieleń zaczynała już

wysychać. Kiedy się obrócił, Miles poczuł się niezmiernie zmieszany smutkiem wyrytym na jego twarzy.

- Proszę, żeby mi nie przeszkadzano, dopóki pan Browster jest tutaj - odezwał się Wharton do sekretarza.

Usiedli na stojących naprzeciw siebie sofach i James przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w przestrzeń. Kiedy jego oczy napotkały w końcu wzrok Milesa, obdarzył go przerażająco wymuszonym uśmiechem. Natychmiast uciekł od niego spojrzeniem i skierował je tym razem na ciemne drewno boazerii pokryte płaskorzeźbami symbolizującymi władzę, wiedzę i bogactwo. Podobnie jak to wielokrotnie robił w ciągu minionych dwóch lat, powędrował wzrokiem ku półkolistym nisząm, w których nie stało nic. Architekt tego wnętrza najwyraźniej lubił pustkę, lecz w Jamesie te puste nisze wywoływały zawsze uczucie niepokoju, rodzaj niedobrego przeczucia, co uświadomił sobie teraz, patrząc wstecz.

Wreszcie zaczął mówić, odzywając się urywanym, monotonnym głosem, tak odmiennym od jego normalnej łatwości wysławiania.

- Zostałem odwołany. Wczoraj rano dostałem list od premiera. W nocnej poczcie - dodał, jakby każdy szczegół się liczył. Wręczył list Milesowi.

Ten po przeczytaniu odłożył go na stojący między nimi stolik.

- Nie mogę w nieskończoność siedzieć na tym jak kwoka na jajach - ciągnął zrozpaczony James. - To w końcu przecieknie. Nie potrafię znaleźć odpowiednich słów oświadczenia. Rzecz jasna, będzie to postrzegane jako wielkie poniżenie. - Znowu przerwał, a jego wzrok powrócił do pustej niszy. - Jeśli masz jakiś pomysł, jak dobrać słowa, żeby zmniejszyć to upokorzenie, to chętnie posłucham.

Wyglądał na wymiętego, chociaż włosy miał starannie uczesane, a garnitur leżał na nim nieskazitelnie. Czy Jancie wie? - spytał Miles. Powiedziałem jej wczoraj wieczorem, jak tylko wszy-



scy wyszli. Zaczęła płakać - ciągnął w ten sam, monotony sposób. - Nie mogła wykrztusić słowa. Szlochała, jakby pękało jej serce. Czy z powodu ceny, którą musiałem zapłacić? Może. Lecz przypuszczam, że głównie dlatego, iż moje odwołanie do Londynu pociągnie za sobą jej rozstanie z ukochanym.

Urwany, niski chichot, który z siebie wydał, zabrzmiał raczej jak suchy szloch.

- Posłuchaj, Jamesie - odezwał się Miles - daj mi trochę czasu, żebym mógł to przemyśleć. Wracając do redakcji, spróbuję coś napisać w samochodzie. Zadzwoń do ciebie i razem to wygładzimy. Jak tylko ty i premier uzgodnicie ostateczną formę oświadczenia, „Express” zajmie się całą tą sprawą. Przedstawi to tak, że kiedy odejdziecie, dla wszystkich będzie jasne, iż Waszyngton i Anglia dużo na tym tracą. - Podniósł się, żeby wyjść. Kiedy podeszli do drzwi biblioteki, Miles zagadnął: - Wiem, że człowiek właśnie przed chwilą zaatakowany nie bardzo ma chęć wybiegać myślą naprzód. Jednak mimo wszystko, czy zastanawiałeś się nad tym, co będziesz robił dalej?

- Oczywiście drogą jest powrót do dziennikarstwa, lecz po tej pracy wydaje się raczej prozaiczny. I w tym problem.

- Cóż, pomyśl o kilku możliwościach. Dopilnuję, żeby zostały wplecione w ten kawałek, który „Express” napisze po uzgodnieniu oficjalnego komunikatu.

Miles nie musiał dodawać, że każde słowo tego szczególnego tekstu zostanie szczegółowo przeanalizowane przed posłaniem go do druku.

Jaguar używany przez żonę brytyjskiego ambasadora wjechał na krawężnik Pennsylvania Avenue i zatrzymał na wysokości szklanego baldachimu Hotelu Willarda. Portier dziarsko przyskoczył, by otworzyć drzwi samochodu, a Jancie pospieszyła do imponującego westybulu. Jej loki podskakiwały na ramionach różowego, lnianego

zakietu, ściśniętego w pasie, by podkreślić figurę w kształcie klepsydry.

Wyraz jej twarzy zdradzał niepokój, kiedy rozglądała się po holu z marmurowymi kolumnami i czerwonymi dywanami rozciągniętymi na mozaikowej posadzce. Ki4-ka dębowych angielskich krzeseł oraz czerwonych, skórzanych sof było zajętych, lecz nie dostrzegła na nich osoby, której szukała. Podeszła więc do recepcjonisty stojącego za marmurowym blatem tak długim, że nasunął Jancie myśl o oceanicznym liniowcu.

- Czy ktoś pytał o panią Wharton? Miałam się tu spotkać o trzeciej z panem Simonem Fleetem. Troszkę się spóźniłam.

- Nic, proszę pani. Pana Fleeta nie było tu dzisiejszego popołudnia. Może pani łaskawie spocznie i zaczeka?

- Zajrzę jeszcze do baru - odparła.

Rzuciwszy szybkie spojrzenie w wieczny półmrok baru „Round Robin”, przekonała się, iż ulubione miejsce spotkań polityków jest puste, jeśli nie brać pod uwagę barmana pracowicie polerującego szklanki. O tej porze dziennikarze i lobbyści pragnący spotkać polityków musieli szukać ich na Kapitolu.

Jancie wróciła do westybulu i usadowiła się na kolistej, obitej aksamitem kanapie otaczającej olbrzymią kompozycję kwiatową na środku pomieszczenia. Siedząc przodem do wejścia, w miejscu, gdzie Simon nie mógł jej przeoczyć, skrzyżowała wdzięcznie nogi i narzuciła twarzy spokojny wyraz. Bóg wie, że ma sporo do przemyślenia. Nigdy nie wybaczy sobie tego, co zrobiła Jamesowi. Jak mogłaby to naprawić? Przed upływem sześciu tygodni będzie musiała pożegnać się z Simonem. Na zawsze? Nie, i jeszcze raz nie! Może uda jej się zostać w Waszyngtonie trochę dłużej po wyjeździe Jamesa. W końcu może James będzie wolał w samotności ustalać swoją przyszłość. Lecz gdzie mogłaby się zatrzymać? U Simona? Serce jej podskoczyło - już tu był.

Mężczyzna, który wszedł właśnie przez główne wej-

ście Hotelu Willarda był średniego wzrostu, miał lekką nadwagę i wyglądał młodziej niż na swoje trzydzieści pięć lat, dzięki masie krótko obciętych loczków koloru masła. Twarz miał okrągłą, a pełne usta nadawały mu psotny wygląd, który zainteresował niejedną kobietę.

- Przepraszam za spóźnienie, kochanie - powitał ją. Sześć lat dziennikarskiej pracy w Waszyngtonie zmieniło lekko jego brytyjski akcent. - Lunch z tym cholernym ministrem energetyki trwał dłużej, niż się spodziewałem. Dokąd pójdziemy? Niestety, muszę zaraz wracać do gazety, ale mówiłaś, że to coś pilnego.

- Muszę porozmawiać z tobą gdzieś, gdzie nikt nas nie podsłucha - odparła Jancie. Podniosła się już i stała

tak blisko niego, że niemal go dotykała.

- Zajrzyjmy w takim razie do Gniazdka - zaproponował, biorąc ją władczo pod ramię. - Jeśli nikt tam nie siedzi, będziemy mogli je traktować jako nasze własne gniazdko dla dwojga.

W uroczym pokoju nie było nikogo, więc zajęli miejsca przy stoliku stojącym w rogu, tuż przy rzeźbionym wiktoriańskim kominku. Dzięki lustrom pokrywającym ściany łatwo było obserwować, czy ktoś nie nadchodzi. Na szczęście pojawił się tylko kelner, by przyjąć zamówienie. Simon wziął brandy, a Jancie nie chciała niczego.

- Stało się coś strasznego. James dostał wczoraj list od premiera. Musimy wracać.

- Na jak długo? - spytał Simon.

- Na zawsze - odparła drżącymi wargami.

- Co się stało, moja piękna? - spytał, wkładając rękę pod stół, by poklepać ją po udzie.

Mówiła, zacinając się i próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Premier napisał, że nie wypełniałam obowiązków, które są związane z tą pracą. Stwierdził, że stanowię problem.

Łzy zaczęły toczyć się jej po twarzy. Simon sięgnął do kieszeni po chusteczkę, lecz ona prędzej znalazła swoją.

- Moje biedactwo, kochane biedactwo - powiedział nawet szczerze, lecz jednocześnie nie mógł oprzeć się radosnemu podnieceniu, że trafiła mu się taka sensacja. - Głupi premier - dodał, dotykając czule jej uda. - Przypuszczam, że nie zabrałaś listu ze sobą?
- James pokazał mi go i zamknął z powrotem na klucz. Ale pamiętam jego treść. Każde słowo. Jak mogłabym go kiedykolwiek zapomnieć? - Jej wargi znów się zatrzęśły.
- Powiedz mi, co ten kretyn premier napisał. - Simon podniósł rękę i dotknął jej policzka. - Boże, jak ja nie znoszę tych polityków - dodał, co niezupełnie było prawdą. - Czy James jest bardzo zdenerwowany?
- Zdruzgotany. Wczoraj wieczorem wydawaliśmy przyjęcie. Zoe też była. Sytuacja była już dostatecznie napięta przez wrogość, jaką okazywali sobie Miles Brewster i Gerald Scrope. Myślałam, że zaczną się bić. Ja nie wiedziałam jeszcze wtedy o liście, lecz James musiał przetrwać ten wieczór, wiedząc, że został wyrzucony. Powiedział, że był to najgorszy wieczór w całym jego dotychczasowym życiu.
- Kiedy to zostanie ogłoszone?
- Nie wcześniej aż James i premier uzgodnią, co ma być podane do publicznej wiadomości. Zastępca stałego sekretarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych otrzymał już polecenie objęcia tego stanowiska za sześć tygodni. Możesz sobie wyobrazić, jak ważna jest dla Jamesa treść oświadczenia. Biedak.
- Co chciałby w nim zawrzeć?
- Jest tak roztrzęsiony, że nie może jasno myśleć. Poprosił Milesa, żeby spotkał się z nim dzisiaj i coś mu poradził.
- Żeby to szlag trafił!
- Co trafił?
- Muszę wracać do redakcji, Jancie.
- Ale co ja mam teraz zrobić? Czy to znaczy, że muszę cię opuścić na zawsze, ot tak po prostu?

Posłuchaj, kochanie - powiedział Simon, pochylając się nad nią. - Niczego bardziej w tej chwili nie pragnę, niż wziąć cię do łóżka i trzymać w ramionach. Ale muszę wrócić do „Expressu”. Na pewno nie polepszy to sytuacji, jeśli wszyscy zostaniemy zwolnieni.

Jancie dostrzegła jednak w tej ostatniej możliwości promyczek nadziei.

- Gdybyś został zwolniony, mógłbyś również wrócić do Anglii. Każdy wydawca w Londynie dałby nie wiem co, żeby mieć cię w swoim zespole.

- Muszę iść, moja słodka. Zostań tu, dopóki nie poczujesz się lepiej. Zadzwoń do ciebie później.

- Kiedy?

- Jak tylko będę mógł.

Pochylił się i jednym palcem starł kolejną łzę płynącą po jej twarzy. W drzwiach Gniazdka obrócił się i przesłał jej długi pocałunek.

Kiedy przecinał hol, jego rysy stwardniały w wyrazie skupienia. Czy będzie w stanie opisać tę historię tak, by nie została utracona przez szefa? Do tej pory przyjaźń Whartonów z Milesem Brewsterem była dla Simona prawdziwym skarbem, skarbnicą informacji, których Jancie z przyjemnością udzielała kochankowi. Teraz jednak ta przyjaźń mogła kosztować go zablokowanie jego rewelacji. Zresztą, nigdy nie wiadomo. Jak często mawiał, przeważnie by usprawiedliwić jakieś własne zaniedbanie: „Żyjemy wszyscy w niepewnym świecie”.

Kiedy jego taksówka odjeżdżała spod hotelu, zdążył już wyjąć notes, by pospiesznie spisać wszystko, co Jancie powiedziała o wypadnięciu Whartonów z łask. Tu i ówdzie dodawał jakieś własne zdanie.

Nie przyszło mu nawet na myśl, że zdradza swoją kochankę. Postrzegał tę sprawę jedynie w kategoriach wyłączności dziennikarskiej, zarówno w Waszyngtonie, jak i w Londynie. Co prawda, kiedy taksówka skręcała w M Street i podjeżdżała pod frontowe wejście dziesięciopiętrowego budynku, w którym mieścił się „Ex-

press", pewna poetyczna myśl wywołała uśmiech na jego wargach. Mianowicie, było w tym coś romantycznego, niemal palec przeznaczenia, że to właśnie on miał ujawnić wiadomość, iż brytyjski ambasador został wylany z powodu zaniedbywania obowiązków przez żonę.

## ROZDZIAŁ 6

Simonowi przysługiwało prawo do przeszklonego pokoiku, widocznego z pokoju redakcyjnego, choć od niego oddzielonego. Koordynował on pracę zagranicznych ko- « respondentów gazety oraz pisał własne artykuły. Mijając swą przepracowaną sekretarkę siedzącą przy biurku przed jego drzwiami, posłał jej pocałunek.

- Czy dzwoniли już z Downing Street?

- Jeszcze nie - odparła, niepewna, czy Simon żartuje, czy też rzeczywiście spodziewa się telefonu od brytyjskiego premiera.

- Jeżeli nie będzie to Downing Street, Bagdad lub Quai d'Orsay, proszę, żeby mi nie przeszkadzano, dopóki nie skończę tego kawałka - powiedział i zamknął za sobą drzwi, rzucając marynarkę na kanapę.

Podobnie jak właściciel, jego otoczenie wydawało się bardziej nieuporządkowane, niż było w rzeczywistości. Na kanapie leżały porzucane międzynarodowe wydania europejskiej angielskojęzycznej prasy. Jeśli chodziło o wiadomości z Europy, różnica czasu działała na korzyść dziennikarzy waszyngtońskich. Gorzej było, jeśli na zachodnim wybrzeżu działo się coś ciekawego, właśnie gdy Waszyngton myślał o pójściu spać.

Przebiegając wzrokiem swoje notatki, Simon podkreślał niektóre ustępy czerwonym długopisem. Przez kilka minut siedział oparty na łokciach na biurku, z pulchnym podbródkiem zatopionym w złożonych dłoniach, wlepia-

jąc niewidzące spojrzenie w pusty ekran monitora przed sobą. Dopiero kiedy położył palce na klawiaturze, poczuł przypływ adrenaliny. Ten kawałek pisał się niemal sam.

„Waszyngton będzie wstrząśnięty wiadomością, że ambasador brytyjski, pan James Wharton, otrzymał list od premiera Wielkiej Brytanii, Martina Mathera, odwołujący go nagle z najbardziej prestiżowej placówki w Embassy Row. Jego następcą zostanie obecny zastępca stałego sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pan ambasador jest podobno zdruzgotany.

James Wharton, przez dziesięć lat wybitny korespondent londyńskiego „Timesa”, specjalizujący się w sprawach obronności, został wybrany na stanowisko w Waszyngtonie osobiście przez pana premiera. W ciągu minionych dwóch lat nie tylko cieszył się ogromną popularnością w stolicy, lecz jako ekspert w dziedzinie obronności miał znacznie ściślejsze kontakty z Pentagonem, niż mają zazwyczaj dyplomaci.

Podobno pan premier pisał swój list z ciężkim sercem, gdyż ma on najwyższe uznanie dla pana Whartona. Zdaniem pana Mathera, pani Jancie Wharton zbyt wiele czasu poświęca własnym sprawom, zamiast pełnić funkcję żony brytyjskiego ambasadora w sposób, jakiego wymaga tradycja. Ten wyrok zasmuci wielu pochodzących z Kolorado przyjaciół pani ambasadorowej w stolicy. Przed urodzeniem bliźniąt była ona cieszącą się powodzeniem prezenterką wiadomości, najpierw w Ameryce, a następnie w Anglii. Podobnie jak mąż, jest ona w Waszyngtonie bardzo popularną postacią.

Natomiast w przeciwieństwie do niego cechuje ją niekonwencjonalny styl i poglądy. Właśnie ta niekonwencjonalność stała się przyczyną upokarzającego zakończenia kariery Whartonów w Waszyngtonie. Pani ambasadorowa utrzymuje wyjątkowo bliskie kontakty z czołowymi dziennikarzami stolicy, więc odejście Whartonów będzie



oznaczało podwójną stratę dla niezwykle ważnych relacji między ambasadą brytyjską a waszyngtońską prasą".

Cofnął cały tekst do początku i przeczytał go, uśmiechając się na myśl o tym, jak taktownie wspominał o „własnych sprawach” Jancie i jej „bliskich kontaktach z czołowymi dziennikarzami”. Użycie liczby mnogiej miało zapobiec oskarżeniom pod jego adresem, że przebiegle rozgłasza swoją przygodę z nią. To powinno załatwić sprawę, jeśli chodzi o wielkiego białego szefa na górze. Czekał, aż artykuł się wydrukuje - naczelny lubił przeczytać najpierw kopię na papierze - otworzył dolną szufladę biurka i wyjął teczkę oznaczoną „Amigas”. Simon liznął nieco hiszpańskiego w kontaktach ze stale rosnącą hiszpańską populacją w Waszyngtonie, na którą składali się potomkowie Meksykanów wędrujący na wschód w poszukiwaniu pracy w usługach oraz Portorykańczycy, Kubańczycy i Peruwiańczycy ciągnący na północ. Część z nich była nielegalnymi imigrantami, a ci szczęśliwsi kwalifikowali się do rządowego zatrudnienia. Ze swej teczki „Amigas” wyjął teraz fotografię Jancie.

Ubrana była w bikini i siedziała na siodełku jego motocykla. Simon czasami używał go, by zrobić wrażenie na ludziach zapraszających go na weekendy - pod warunkiem, że mieszkali w obrębie stu kilometrów od stolicy. Dalsze trasy były zbyt męczące, niezależnie od tego, jak Simon uwielbiał efekt, który wywoływało jego zmaterializowanie się przy frontowych drzwiach ich domostw. Na zdjęciu Jancie śmiała się i trzymała wysoko rękę z wyciągniętym w górę kciukiem. Nabazgrał na odwrocie jej imię wraz z przybliżoną datą ich wspólnej wycieczki na tym motocyklu na Wschodnie Wybrzeże. Wsunie je do przegródki na zdjęcia, jak tylko jego kawałek zostanie zatwierdzony przez naczelnego. Tylko ci, którzy znają sprawę, domyślą się, że to motor Simona. Uwielbiał przedstawiać historie na dwóch poziomach jeden dla ogółu odbiorców, a drugi dla polityków, dziennikarzy

i gospodyń przyjęć, a więc ludzi, którzy wiedzieli już, co w trawie piszczy.

- Będę u naczelnego - rzucił sekretarce.

Przez szklaną ścianę redaktorskiego biura dostrzegł, że Bob Short jest sam. Simon wyciągnął w górę rękę z kartką. Short spojrział na niego i gestem dał mu znak, że może wejść.

- Mam dla ciebie wielką sensację z prawem wyłączności - powiedział Simon.

Short odruchowo spojrział na ścienny zegar - 5.15. Mnóstwo czasu do pierwszego wydania. Zaczął czytać kopię, podczas gdy Simon usadowił się na kanapce.

- Święci Pańscy! - wykrzyknął Short po przeczytaniu pierwszego zdania. - Jak, u diabła, udało ci się złapać coś takiego? - spytał z podziwem.

I natychmiast domyślił się, jaka musi być odpowiedź. Wszyscy znający układziki w stolicy wiedzieli o romansie Jancie Wharton z Simonem Fleetem. Czytał dalej z błyszczącymi oczyma. Jednak stopniowo jego brwi ściągały się coraz bardziej, a usta zacisnęły w cienką linię. Skończywszy, odłożył artykuł na biurko i spojrział na Simona.

- Są pewne trudności - odezwał się.

- Co masz na myśli? - naciskał Simon.

- Są pewne trudności - powtórzył Short. - Muszę to przemyśleć. Będiesz w pobliżu?

- Na miłość boską, Bob. Masz na biurku taki materiał, że naczelnicy innych gazet zsikają się z zazdrości.

I ty mi mówisz, że są trudności? Jakie trudności?

Short nie odpowiedział. Obydwaj dobrze wiedzieli, jakie - osobista przyjaźń Milesa Brewstera z Jamesem i Jancie. Wszyscy, którzy się liczą, będą w stanie czytać między wierszami historii Simona. Miles nigdy tego nie zatwierdzi. Jednak który redaktor naczelny przyznałby się, że cenzuruje wiadomości, bo właściciel gazety nie chce, by ukazały się w druku? Short ponownie ściągnął usta. A większość dziennikarzy miała, do cholery, dość

taktu - albo sprytu, jeśli kto woli - by nie wymuszać na swym redaktorze dopuszczenia artykułu, pomyślał posepnie.

Simon miał wprawdzie aż w nadmiarze sprytu, lecz jego umiejętność wywąchiwania świetnych historii gwarantowała mu pracę w każdej gazecie. A nigdy nie wiadomo - może, jeśli będzie naciskał redaktora dostatecznie mocno, Short mógłby - tylko mógłby - nie uzgadniać publikacji tego kawałka z wielkim białym szefem. Albo wielki biały szef może być zaabsorbowany innymi sprawami, albo zostanie uwięziony w windzie i nikt nie będzie miał pojęcia, gdzie jest, dopóki riie ukaże się pierwsze wydanie. Simon pogodziłby się z tym, że jego rewelację wycofano po pierwszym wydaniu, gdyż inne gazety potraktowałyby to jako dalszy ciąg tej historii, a taka reklama na pewno by mu się przysłużyła.

- Posłuchaj, Bob - rzucił lekko. - Wiem, że ty wiesz o mojej, hmm, przyjaźni z Jancie Wharton. Czyja pozwoliłem, by ta przyjaźń zamknęła mi usta? Nie. Dałem ci to, co cenisz: wyłączność. A wyłączność w przypadku tej właśnie historii zdobędzie „Expressowi” kolejne sto tysięcy czytelników. Czemu miałbyś na tym siedzieć?

Ciemny rumieniec rozlał się po twarzy Shorta.

- Już ci powiedziałem. Pomyślę nad tym. Czy mógłbyś na razie odpieprzyć się ode mnie i dać mi napisać ten cholerny wstępniak na temat Arabii i cholernego embarga na dostawy broni?

Kwadrans później Short włożył marynarkę, zwinął artykuł Simona, włożył go do kieszeni, po czym wstąpił do biura swych sekretarek, by powiedzieć, że będzie na górze, w zarządzie.

Po obu stronach M Street biurowce wznosiły się na maksymalną dozwoloną wysokość. Wśród ich szeregów, rzucając spokojne wyzwanie pasji budowniczych, stał dziewiętnastowieczny, drewniany dom pomalowany na niebiesko, z trzema kondygnacjami pod łupkowym da-

chem. Jego ciemnozielone okiennice otwarte były na przebiegający obok pędem świat. Z ogrodów, padoku i sadu otaczających go ponad wiek temu, pozostał wąski pasek trawy i azalii oraz stara magnolia, której woskowate liście ocieniały frontowe schody.

Ze swych okien na ostatnim piętrze Miles często spoglądał na ten spokojny relikwiarz innej epoki. W takim domu jak ten mógł mieszkać któryś z jego przodków. Od czasu do czasu bawił się myślą, by spytać właścicieli, czy nie zechcieliby mu go sprzedać. Po zakończeniu pracy, mógłby wyjść z „Expressu”, przeciąć ulicę i od razu znaleźć się w tym spokojnym drewnianym domku. Co prawda Miles nie zostawiał pracy za sobą wraz z opuszczeniem biura - była to część jego samego, podobnie jak na przykład płuca. Nie sądził też, by Marigold była specjalnie uradowana jego mrzonką o usunięciu się choćby na jeden wieczór ze światła reflektorów w spokój emanujący z dawno minionego świata.

Kiedy przybył Bob Short, słońce, które przedtem schowało się już za wysokimi biurowcami po drugiej stronie ulicy ukazało się ponownie, w miejscu, gdzie drewniany domek przerywał równy szereg betonowych brył. Potok krwawopomarańczowego światła zalał ściany pokoju. Umeblowanie - bielony mahoń i skóra miękka jak gienza - było eleganckie, wygodne i kosztowne. A jednak ogólny efekt był dziwnie spartański. Może dlatego, że pokój był bezosobowy, za wyjątkiem dwóch obrazów na poza tym nagich ścianach: zimowego krajobrazu pędzla Winsłowa Homera oraz zmysłowego autoportretu Fridy Kahlo, bożyszczka kobiet meksykańskich. Zupełnie, jakby Miles zdecydował, że nic poza obrazami nie może ujawniać prawdy o jego wewnętrznej naturze.

Wyszedł teraz zza biurka i usiadł na jednej z kanapek stojących po obu stronach marmurowego stolika do kawy. Bob Short zajął drugą. Przeszedł od razu do rzeczy.

Fleet przyniósł mi pierwszorzędny materiał z prawem wyłączności. Każdy redaktor sprzedałby własną

matkę, żeby to zdobyć. - Zawahał się tylko przez chwilę. - Odwołano ambasadora brytyjskiego. Short miał wrażenie, że iskierka czerwieni błysnęła przez moment w oczach Milesa, lecz zniknęła tak szybko, że położył to na karb zachodzącego słońca.

- Przyniosłeś to ze sobą?

Miles przeczytał całą historię dwukrotnie. Potem oddał kartki Shortowi. Wyraz jego twarzy nie zdradzał kompletnie nic.

- Nie możemy tego wydrukować. - Powiedział „my”, jakby to była wspólna decyzja jego i redaktora. Short nie odezwał się.

- Posłuchaj, obydwaj wiemy, z jakiego źródła Fleet zdobył tę historię - ciągnął Miles. - Nie mam zamiaru wykorzystywać poufnych zwierzeń zakochanej kobiety, żeby ujawniając wiadomość o dymisji ambasadora przed oficjalnym komunikatem, jeszcze bardziej zrujnować jego życie. Wtedy Short zdał sobie sprawę, że jego szef wcześniej wiedział o odwołaniu ambasadora. Nie mógł jednak wiedzieć, iż Miles zdążył już zadzwonić do Jamesa z projektem komunikatu, który miał zminimalizować poniżenie, a poprawić jego perspektywy znalezienia nowej pracy. Miles nie powiedział też swemu redaktorowi - bo nie musiał - że kiedy „Express” zajmie się tą historią, to Miles Brewster, a nie Simon Fleet będzie tym, który zadecyduje o tonie, w jakim ma być podana. Short podniósł kartki z artykułem i włożył z powrotem do kieszeni.

- Fleet nie będzie z tego zbyt zadowolony. Miles podniósł się.

- To już problem Fleeta.

Naczelny nie zdążył jeszcze dotrzeć z powrotem do brzęczącego ożywieniem pokoju redakcyjnego, kiedy niemal przekonał sam siebie, że to jego decyzją było zatrzymanie historii Simona.

Oprócz początkowego przyływu gniewu na wiado-

mość o wykorzystaniu Jancie przez Simona, Milos nie czuł się wcale poruszony faktem, że zablokował artykuł. Nawet gdyby Fleet zdobył te wiadomości mniej podłymi metodami i tak nie opublikowałby tej historii. Ambasador brytyjski został zwolniony z przyczyn osobistych. Nie wchodził tu w grę żaden ważny społecznie temat. Po jakie licha miałyby się narażać na ryzyko i stres związane z posiadaniem tej gazety, jeśli nie mógłby nawet powiedzieć redaktorom, jak mają postąpić w osobistej sprawie?

Zanim Short dotarł do pokoju redakcyjnego, Miles był już zagłębiany w dociekaniach na temat rynku gazet Wielkiej Brytanii. Wśród tytułów jaśniał zaznaczony na czerwono „London Dispatch”.

Zoe wydrukowała swoją historię i wyłączyła komputer. Ci koledzy, których czas naglił, by skończyli już artykuły, nie odrywali wzroku od ekranów swych komputerów. Pozostali czekali, aż zastępcy redaktora powiedzą im, ile linijek trzeba wyciąć lub dodać, żeby kawałek pasował do układu strony. Mogli więc bez przeszkód obserwować Zoe, kiedy szła bez pośpiechu do biura kierownika działu publicystyki, a ciemne włosy ściągnięte w koński ogon podskakiwały w takt jej kroków. Ubrana była w obcisły, czarny kostium; rozpięta, długa marynarka ukazywała białą bluzkę, której surowość zmuszała do zastanawiania się, co się pod nią kryje.

Po drodze natknęła się na Simona stojącego ze wściekłą miną wśród biur, na które spływały taśmy dalekopisów. Gdy go mijała, rzucił do niej:

- Ten facet na górze zapomniał, jak się prowadzi gazetę. Będiesz musiała użyć najsprytniejszych kobiecych sztuczek, jeśli chcesz zobaczyć swój artykuł w jutrzejszej gazecie. - Polityczna poprawność nie była najmocniejszą stroną Simona.

- Pa, pa, Simonie - odparła, nie zatrzymując się. Ogólnie rzecz biorąc, Simon był nieszkodliwy, lecz

złościła ją jego władza nad Jancie. Wszyscy oprócz Jan-cie wiedzieli, że Simon ją tylko wykorzystuje, a nawet i ona musiała czasem dostrzegać jakieś przebłyski prawdy, jak podejrzewała Zoe. Zatrzymała się, by przez chwilę pogawędzić z sekretarką redaktora, po czym weszła do biura. Czekala, aż szef przeczyta artykuł.

- Dobry materiał. Puść go w normalny obieg. Bądź w pobliżu, na wypadek, gdyby prawnicy zaczęli jęczeć.

Wróciwszy do swego biurka, Zoe usiadła przy komputerze i zaczęła wprowadzać swój tekst do sieci, kiedy poczuła za plecami czyjąś obecność. Obróciwszy się, napotkała uśmiech Simona.

- Poczytałem sobie troszkę przez ramię. Ładnie dobierasz słowa, panno Hare. - Wykonał lekki, złośliwy skłon. - Czy może wolisz „pani”? Nie potrafię tego zapamiętać.

Zoe skończyła wklepywanie tekstu i wyłączyła komputer. Zirytowało ją żartobliwe zachowanie Simona.

- Wychodzę na godzinę na drinka i kanapkę - powiedział. - Czy zrobisz mi ten zaszczyt i przyłączysz się?

- Nie mogę, Simonie. Muszę czekać, aż prawnicy sprawdzą mój kawałek.

- Mam ci powiedzieć, ślicznotko, który kawałek ciebie najchętniej bym sprawdził?

Zoe obróciła się z powrotem do swego biurka.

- Posłuchaj, Zoe. Musimy porozmawiać. Wiem coś

o Jancie i Jamesie, o czym powinnaś się dowiedzieć. Znów stanęła z nim twarzą w twarz.

- Nie mam ochoty rozmawiać o -Jancie.

Wyraz jej twarzy, kiedy to mówiła, pozostał całkowicie beznamiętny. Simonowi nasunęło się skojarzenie; z jednym z obrazów Marie Laurencin - starannie nakreślone migdałowe oczy, usta, wijące się kosmyki na skroniach, a reszta owalu twarzy w ogóle nie zarysowana.

- Dobra. Nie mów o niej - odparł. - Możesz nie odezwać się ani słowem. Mówię ci jednak, że twoich przyja-

ciół Whartonów spotkało wielkie nieszczęście. Poczekam, dopóki nie dostaniesz zielonego światła od prawników. Powinniśmy razem wypić drinka. - Odszedł spokojnym krokiem w kierunku swego biura. Tuż po siódmej razem opuścili „Express”. Nawet wywołana przez Simona irytacja nie przeszkodziła jej zachwycać się wczesnym wieczorem w Waszyngtonie, kiedy minęły już godziny szczytu, a chodniki były niemal puste. W drodze do znajdującego się za rogiem baru przy Czternastej Ulicy, spojrzała na drewniany dom i uśmiechnęła się.

Zabrali swoje drinki do boksu. W świetle kinkietu usta Simona były czerwieńsze niż zazwyczaj.

- James Wharton został odwołany do Londynu - powiedział.
- Co?
- Z powodu postępowania Jancie.

Oparła łokcie na stole i w milczeniu wpatrywała się w zawartość swojej szklaneczki. Simon nie mógł oprzeć się uczuciu przyjemności, obserwując, jaki wywołał efekt. Wreszcie Zoe zapytała:

- Jancie ci to powiedziała?
- A któż by inny? A naczelny otrzymał zakaz publikacji tej historii.
- Chcesz powiedzieć, że to napisałeś?
- A za co mi płacą? Żebym zdobył największą sensację roku w Waszyngtonie, po czym owinał ją w koronkową chusteczkę i schował pod poduszkę?
- Czy ona wiedziała, że masz zamiar to opisać?
- Mogła chyba się spodziewać, co dziennikarz zrobi z taką informacją.

Zoe nie odpowiedziała. Dyskusowanie o kwestiach etycznych z Simonem było stratą czasu i energii. Teraz trzeba było się zająć ważniejszymi sprawami.

- Podaję im na tacy materiał z prawem wyłączności, na który rzuciłby się cały Waszyngton - ciągnął Simon - a ten pieprzony redaktor go utracą. - Zaśmiał się chra-



pliwie. - A raczej ten brązowooki sukinsyn, którego nigdy nie byłem w stanie polubić, każe mu go utrać. - Rzucił jej wściekle spojrzenie. - Czy zauważyłaś, Zoe, że kiedy przyjdzie co do czego, prawdziwy amerykański dżentelmen zawsze chroni kolegę dżentelmena, nawet jeśli jest właścicielem „Expressu” i powinien na pierwszym miejscu stawiać swoją niezależność? - Simon był wielkim zwolennikiem przytaczania argumentów etycznych, jeśli leżało to w jego interesie.

- Jak Jancie to znosi? - spytała Zoe.

- Tonie we łzach. Pewnie już wkrótce ci o tym powie. - Zrobił krótką pauzę, po czym zaczął z innej beczki: - A przy okazji, słyszałem, że byłaś wczoraj wieczorem na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej. Jancie wspomniała, że nasz szef niemal ruszył z pięściami na lorda Scrope'a. Co, u diabła, zaszło między nimi?

Zoe opowiedziała mu. Niezależnie od niechęci, jaką żywiła do Simona w związku z jego sposobem traktowania Jancie, jako dziennikarce sprawiło jej dużą przyjemność, że mogła sobie pogawędzić z innym dziennikarzem. Poza tym nie zawadziło ją trochę faktem, że została zaproszona na to przyjęcie. - Rzekomo zaczęło się od tego, iż Miles dowiedział się, że zanim on jeszcze zdążył złożyć ofertę na „London Dispatch”, lord Scrope już postanowił go zablokować, składając własną. Gdyby nawet nie było tego powodu, to na pewno znaleźliby inny, żeby rozpocząć działania wojenne.

- Wzruszyła ramionami. - Spotykasz kogoś i z miejsca go lubisz albo nie lubisz. To kwestia instynktownej reakcji. Potem dorabiasz sobie do tego teorię. Reakcje między tymi dwoma mogłyby wysadzić w powietrze laboratorium. Simon zamówił następną whisky. Zoe; pociągnęła łyk swojej.

- Lord Scrope nie mówił, gdzie się zatrzymał, co? - spytał.

- Nie mnie. - Spojrzała na zegarek. Miała się spotkać 62

na obiedzie z koleżanką w restauracji rybnej na drugim brzegu Potomacu. - Słuchaj, muszę już iść, Simonie. - Ja wracam do redakcji - odparł, wypijając resztę whisky.

Kiedy znaleźli się przed barem, każde ruszyło w swoją stronę. Rozmyślając nad tym, co przytrafiło się Whartonom, Zoe nie poświęciła już ani jednej myśli Simonowi i jego sprawom.

## **ROZDZIAŁ 7**

Lord Scrope siedział zgarbiony przy biurku na ostatnim piętrze budynku mieszczącego jego słynną angielską gazetę „Javelin”. Ogromny pokój utrzymany był w ko- « lorze wina - trzy ściany pokrywała tapeta barwy bur-gundzkiej czerwieni, a czwartą wykonano ze szkła. Siedział w bogato rzeźbionym fotelu z epoki Jakuba I, pochłonięty rozłożonymi przed nim aktami.

Wraz z przejściem „Javelin” przez Geralda Scrope'a bilans sił w brytyjskich mediach przesunął się jeszcze bardziej na prawo. Zawdzięczając wszystko samemu sobie, nigdy nie kwestionował zasady, że w życiu każdy musi radzić sobie sam. Od pierwszego dnia traktował „Javelin” jako prywatny arsenał służący do atakowania wroga, czy to były amerykańskie ograniczenia w imporcie elektroniki, czy opozycyjna partia lewicowa, czy wreszcie jakiś nieszczęsny człowiek, który naraził się na jego gniew. Agresywne wsparcie, jakiego udzielał rządowi konserwatystów, doczekało się nagrody - dożywotniego tytułu para przyznanego przez poprzedniego premiera.

W Ameryce jego okrętem flagowym był „New York Mail”. Kiedy Amerykanie byli już przekonani, że go odpowiednio zaszufładowali - opryszek z lordowskim tytułem forsujący egoistyczne cele - Gerald kupił „The Monocle”, najsłynniejszy kolorowy magazyn literacki w Ameryce, będący jednocześnie jedną z uwielbianych w tym kraju instytucji. Ku powszechnemu zdumieniu

i wielkiej uldze nie próbował nim manipulować. Nigdy nie można być całkowicie pewnym, co lord Scrope uczyni.

Podstawą Scrope Opportunities Ltd było jego imperium elektroniczne. Początek temu konglomeratowi wielomilinowej wartości dały warsztaty samochodowe, a sieć mediów pojawiła się dopiero później. Przez wiele lat zarządzał całym swym królestwem z błyszczącego biurowca - Scrope Tower, na północnym brzegu Tamizy.

Potem zachciało mu się przenieść swą kwaterę główną na południowy brzeg rzeki, do budynku „Javelin”. Urodził się i dorastał na południe od rzeki, w Wandsworth. W Scrope Tower nadal mieściły się niezliczone biura jego imperium, lecz Gerald kierował teraz tym wszystkim ze swego apartamentu na szczycie „Javelin”.

- Pański gość, panie przewodniczący.

Do środka wszedł niedbałym krokiem Amerykanin o szczerzej twarzy. Była to pierwsza wizyta Speersa Jacksona w londyńskim biurze Geralda. Zazwyczaj spotykali się w zakładzie Scrope Southwestern w Teksasie, niedaleko granicy z Meksykiem.

Gerald kiwnął szybko głową na powitanie, po czym podniósł się i wyszedł zza biurka, by uścisnąć mu rękę.

- Wydałem polecenie, by nie łączyć żadnych rozmów - powiedział, po czym zrobił obrót w miejscu i pomaszerował naprzód, nie zadając już sobie więcej trudu, by stworzyć towarzyską atmosferę. Jadalnia była urządzona w tym samym kolorze czerwonego wina. Srebrne trofea błyszcząły na przesadnej wielkości dębowym kredensie. Okres Jakuba I bardzo odpowiadał Geraldowi - meble z epoki gregoriańskiej byłyby zbyt eleganckie i delikatne jak na potoki elektrycznego światła, które zalało pokój, gdy tylko do niego weszli.

Zatrzymał się przy kredensie, wskazując na trofeum w kształcie srebrnego charta.

- To był początek, przed tym wszystkim — gestem posiadacza zatoczył ręką szerokie półkole obejmujące

szereg dowodów uznania otrzymanych od rządu i różnych instytucji w zamian za świadczone usługi. Gdyby pewne inne usługi zostały publicznie uhonorowane wywołałoby to międzynarodowy skandal.

Ponownie obracając się w miejscu, Gerald pomaszerował do stołu tak długiego, że mogło przy nim usiąść czternaście osób. Tylko krzesło u szczytu posiadało poręczę i za nim stał kamerdyner Scrope'a. Gospodarz opadł na nie ciężko, a Jackson zajął miejsce po jego prawej stronie.

Gerald zaczął bez żadnych wstępów:

- Lada moment przyspieszę swoją kampanię na rzecz zastąpienia premiera człowiekiem, który widzi świat takim, jaki on jest, a nie jako iluzję wymuskanego studencika. Chodzi o ministra obrony. Jak tylko pozbedziemy

się z Downing Street tej trzęsącej się galarety i umieścimy Alana Rawlstone'a na jego miejscu, to przekonasz się, że w ciągu miesiąca embargo na dostawy broni do Arabii zostanie zniesione. Czy wiesz, jak wielkie ilości cholernych pieniędzy tracą moje przedsiębiorstwa elektroniczne w Anglii z powodu tego embargo? Speers Jackson zachował milczenie.

- Gdyby na czele tej szopki stał facet z jajami, nie musielibyśmy dłużej wysłuchiwać świętoszkowatych frazesów o tym, jak to - tu Gerald zaczął parodiować ostatnie oświadczenie premiera wygłoszone ze stopni Numeru Dziesiątego przy Downing Street: - „historia ostro nas osądzi, jeśli pozwolimy, by składniki do produkcji broni nuklearnej trafiły w ręce dyktatora Arabii”. Kazanie własne Jaśnie Oświeconego Martina Mathera z Góry Jezusa.

Jackson zareagował uprzejmym śmiechem.

- Rozmawiałem z ludźmi w Waszyngtonie, panie Jackson. Pan również. Czy nie ma pan wrażenia, że prezydent zamierza zniesić embargo dla Arabii, niezależnie od tego, co sobie myśli brytyjski premier?

- Nie.

Gerald zaklął.

- Proszę posłuchać, lordzie Scrope. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że dyktator Arabii jest naszym najlepszym falochronem przed zalewem islamskiego fundamentalizmu, lecz nie możemy wysłać im otwarcie nowoczesnej broni. Kongres nie kupiłby tego, a naród amerykański zawrzałby gniewem. W końcu każdego wieczoru widzą w telewizji arabskich żołnierzy pędzących całe rodziny do otoczonych drutem kolczastym obozów, podczas gdy dyktator ma w nosie, co o tym myśli Wielki Szatan z zachodu. Do diabła, balansujemy na krawędzi wojny z Arabią. Jak prezydent mógłby usprawiedliwić zniesienie embarga?

- Z łatwością. Róbcie to, co robią zaborcy. Francuzi nie bawią się w ten fałszywy sentymentalizm. Wiedzą, że jeśli nie będą handlować ze swymi wrogami, to zrobi to kto inny. Każdy francuski żołnierz zdaje sobie sprawę, że może natknąć się na ogień nieprzyjacielski z broni wyprodukowanej we Francji. Dawniej Brytyjczycy też byli tacy praktyczni. Dopiero ostatnio zapadli na tę moralizatorską obsesję. Musieli zarazić się od Ameryki. Amerykanie zawsze mieli hyzja na punkcie moralności, nawet kiedy wbijali bagnety w wietnamskie zakonnice.

Gwałtownie uniósł rękę i pstryknął palcami. Pojawiło się dwóch kelnerów z półmiskami krojonego w szerokie plastry pieczonego jagnięcia i bukietami świeżych jarzyn. Lokaj podszedł do kredensu, gdzie nalał do kieliszka nieco Bordeaux i podał Geraldowi do spróbowania. Ten niecierpliwym ruchem głowy dał mu znak, że nie dopełni tego rytuału i odezwał się mentorskim tonem:

- Niewiele rzeczy przyjmuję na wiarę, panie Jackson, lecz robię wyjątek, gdy w grę wchodzi Cos d'Estournel rocznik 1961, dar ministra spraw zagranicznych Francji.

Skinął dłonią i lokaj nalał im wina.

- Proszę pić, panie Jackson i delektować się nim do woli. Kiedy minister spraw zagranicznych przysłała wino Geraldowi Scrope'owi, to nigdy mniej niż skrzynkę. -

Urwał na chwilę, by podkreślić swe następne słowa. -Owoce winnicy przypadają tym, którzy wyciągają po nie rękę i łapią.

Jackson zaśmiał się cicho i sięgnął po sos z czerwonych porzeczek.

Gerald jadł bez przerwy, dopóki nie opróżnił talerza, po czym odepchnął go.

- Ma pan ochotę na coś jeszcze? - spytał.

- Nie odmówiłbym filiżanki kawyv odparł Jackson. Wrócili do biura Geralda, gdzie siedząc w fotelach,

pili kawę i omawiali po kolei problemy, na które Jackson natknął się w zakładzie Scrope Southwestern znajdującym się w pobliżu Austin w Teksasie.

Nagle w drzwiach pojawił się zdenerwowany sekretarz osobisty Scrope'a.

- Uznałem, że muszę panu przeszkodzić, panie przewodniczący. Dzwoni redaktor działu zagranicznego „Washington Express”. Mówi, że to bardzo pilne. Prosił, żeby panu powiedzieć, że to dotyczy Milesa Brewstera.

- Porozmawiam z nim. Jak brzmi jego pieprzone nazwisko?

- Simon Fleet.

Na jednym z szeregu telefonów zapaliło się czerwone światełko. Gerald podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Mówi Simon Fleet. Jestem szefem działu zagranicznego „Washington Express”.

- Więc?

Na drugim końcu linii telefonicznej Simon zeszywniał, słysząc tę monosylabę.

- Przykro mi, że nie udało mi się pana poznać, gdy był pan na początku tego tygodnia w Waszyngtonie, lordzie Scrope. Mam panu do zaproponowania pewien układ.

Gerald nie odpowiedział. Zapalał właśnie cygaro.

- Lordzie Scrope? Jest pan tam?

- Mnóstwo ludzi proponuje mi układy, panie Fleet.

Naprawdę niewiele z nich do mnie przemawia. Co pan sprzedaje?

- Czy ta rozmowa jest poufna?

- Dostałem się tu, gdzie jestem, dzięki zachowywaniu w tajemnicy moich rozmów, panie Fleet.

Błękitne oczy Jacksona zmarszczyły się w kącikach.

- Można by powiedzieć, że sprzedaję Milesa Brewstera - oświadczył Simon.

Wydmuchnąwszy powoli dym, Gerald przyglądał się jego smużce, dopóki nie zniknęła.

- Lordzie Scrope? Jest pan tam?

- A gdzie niby miałbym być, na litość boską? Co pan ma na Milesa Brewstera, co mogłoby mnie zainteresować?

- Jestem w posiadaniu historii, która będzie hitem w Waszyngtonie i w Londynie. Miles Brewster zablokował ją, gdyż dotyczy jego przyjaciela.

- A więc o co panu chodzi, panie Fleet?

- Jeśli sprzedam panu tę historię, a niech mi pan wierzy, że będzie pan pragnął ją kupić, wszyscy będą wiedzieli, że to wyszło ode mnie. Po prostu nie mogłoby wyjść od nikogo innego. Będę musiał zabrać swoje rzeczy z biurka w „Expressie” w ciągu godziny. A jestem jednym z ich najwyżej opłacanych dziennikarzy.

Gerald starannie strzepnął popiół do kryształowej misy.

- Lordzie Scrope?

- Tak?

- To, co sprzedaję, składa się z dwóch części: samej historii oraz tego, jak Miles Brewster zabronił jej publikacji.

- Kojarzę, panie Fleet. W zamian chce pan dostać pracę w „Javelin”. Jeśli ta historia dostatecznie mi się spodoba, obie jej części, mogę dać panu pracę, z pensją o dziesięć procent wyższą od tej, którą otrzymuje pan obecnie. Nie musimy w tej chwili zawracać sobie głowy szczegółami. Tylko niech panu nie przyjdzie do głowy podwyższać stawki. Tylko kompletny dupek mógłby pró-

bować mnie naciągnąć, zawyżając wielkość swojej pensji w „Expressie”. Jestem przekonany, że nie jest pan dupkiem, panie Fleet.

- Dwa dni temu był pan na obiedzie w ambasadzie brytyjskiej, lordzie Scrope. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, poza ambasadorem, że został on wylany przez swego przyjaciela premiera. Lada dzień zostanie wydane oświadczenie rządu w tej sprawie, a my musimy zdążyć przed nimi.

- Mam zamiar dopuścić do tej rozmowy mojego osobistego sekretarza, panie Fleet.

Gerald wdusił odpowiedni przycisk, łącząc się ze swoim sekretarzem. Gerald poinformował Simona:

- Mam mojego asystenta na linii i kiedy skończę mówić, podyktuje mu pan historię, którą Miles Brewster utracił. Potem napisze pan drugi artykuł - około trzystu słów - wyjaśniający, dlaczego Brewster jej nie puścił. Potem podyktuje pan sekretarzowi również ten drugi tekst. Następnie pan i ja porozmawiamy raz jeszcze. Przełączam pana teraz do mojego asystenta.

Odłożył słuchawkę.

Przez chwilę siedział oparty wygodnie w fotelu, wpatrując się w smugę dymu unoszącą się z cygara.

Potem znów pochylił się naprzód.

- O czym to mówiliśmy? - zwrócił się do Speersa Jacksona.



## ROZDZIAŁ 8

Pierwszym tematem w porannych wiadomościach było ostrożne oświadczenie prezydenta na temat ostatnich gróźb dyktatora Arabii. Zoe stała schylona, szczotkując przerzucone do przodu włosy przed ściągnięciem ich w koński ogon, kiedy dobiegła ją kolejna informacja:

- Londyński „Javelin” opublikował wiadomość, że brytyjski ambasador w Waszyngtonie, pan James Wharton, został odwołany przez premiera Martina Mathera i powróci do Londynu za sześć tygodni, kiedy to zostanie zastąpiony na swym stanowisku przez zastępcę stałego sekretarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Zoe skamieniała; szczotka zawisła w powietrzu.

- Według dziennika „Javelin”, przyczyną zwolnienia pana Whartona z najbardziej prestiżowego stanowiska dyplomatycznego było niekonwencjonalne postępowanie jego żony, pani Jancie Wharton. Biuro premiera na Downing Street, jak również Ministerstwo Spraw Zagranicznych i ambasada brytyjska w Waszyngtonie odmówiły komentarzy na ten temat. „Javelin” oskarża również pana Milesa Brewstera, prezesa Brewster Media Corporation oraz właściciela „Washington Express” o osobistą interwencję mającą na celu przeszkodzenie w ujawnieniu informacji o dymisji pana Whartona w „Expressie”. Pan Brewster odmówił komentarza na temat oskarżenia.

Kiedy zaczęto omawiać trzeci temat, Zoe wyprostowa-

ła się, odrzucając włosy do tyłu, i przez chwilę widziała w lustrze swą rozgniewaną twarz otoczoną sterczącymi na wszystkie strony włosami, jak u jakiegoś egzotycznego zwierzęcia.

Pół godziny później wkroczyła do pokoju redakcyjnego „Expressu” i skierowała się prosto do biura redaktora działu zagranicznego. Przez szklaną ścianę mogła dojrzeć podeszwy jego butów opartych na blacie biurka i czubek głowy nad gazetą, którą właśnie czytał rozwalony na krześle. Wchodząc do środka, zauważyła „Javelin” na wierzchu sterty europejskich gazet rozrzuconych na kanapie. Złapała go i z furją rozłożyła.

Artykuł i zdjęcia zajmowały połowę strony tytułowej. Jedna z fotografii przedstawiała Whartonów w wieczorowych strojach z prezydentem i Pierwszą Damą. Druga ukazywała Jancie w bikini na motocyklu, a podpis głosił: „Amerykańska żona brytyjskiego ambasadora podczas nieoficjalnego weekendu”.

Simon obserwował Zoe znad gazety, kiedy czytała z zaciętą twarzą.

Zasadniczy rdzeń artykułu był taki sam jak w jego oryginalnym kawałku, poszerzony o anegdoty z pobytu Jamesa w Eton oraz opis wcześniejszej pracy Jancie w charakterze prezenterki wiadomości. W „Javelin” ktoś nadał historii całkiem odmienną wymowę - została ona wykorzystana jako kij na brytyjskiego premiera.

„To impulsywne i całkowicie nieuzasadnione postępowanie pana premiera pogłębi jeszcze niepokój odczuwany już w tej chwili przez osoby z jego najbliższego otoczenia. Jedna z tych osób powiedziała nam: «Odwołanie Whartonów jest kolejnym przykładem rosnącej zmienności nastrojów pana premiera, który stracił już orientację. Im prędzej Martin Mather złoży rezygnację, tym lepiej dla Wielkiej Brytanii»”.

Zoe uśmiechnęła się krzywo. Szanowani dziennikarze często cytowali anonimowych informatorów tak dokładnie, że bardziej wyrobiony czytelnik mógł odgadnąć, kto

to jest. Dziennikarze pozbawieni skrupułów używali „anonimowego źródła”, by wymyślać cytaty, które odpowiadały intencjom naczelnego i właściciela gazety (i zazwyczaj w niedługim czasie otrzymywali wymówienie, gdyż przestawali być użyteczni w sytuacji, gdy nikt już nie chciał im zaufać). Wszyscy wiedzieli, że „Javelin” stosuje obydwie praktyki. Czytała dalej:

„Inne źródło zbliżone do premiera podaje: «Mianowanie Jamesa Whartona na to niezwykle ważne stanowisko w Waszyngtonie zostało powszechnie uznane za przenikliwą i pełną wyobraźni decyzję Martina Mathera. Dzięki swej głębokiej znajomości spraw związanych z obronnością Wharton był właściwą osobą, która znalazła się w Waszyngtonie we właściwym czasie, by dyskutować o sprawach polityki obronnej Wielkiej Brytanii z jedynym światowym supermocarstwem. Obecnie został on nagle odwołany, co uzasadniono naciąganiem i śmiesznym argumentem, że pani Jancie Wharton spędzała zbyt mało czasu na nalewaniu popołudniowej herbatki i podawaniu grzanek małżonkom polityków. Ta kapryśna decyzja pana Mathera może jedynie wzbudzać dalsze wątpliwości co do stanu umysłu pana premiera»”.

Dalej następował atak na Milesa:

„Kolejnym dziwnym elementem w tej sprawie było stanowisko zajęte przez prezesa Brewster Media Corporation, pana Milesa Brewstera, który jest właścicielem

\* «Washington Express». Kiedy redaktor działu zagranicznego «Expressu» zdobył wiadomość o mającej nastąpić w ciągu sześciu tygodni dymisji pana Whartona, napisał o tym artykuł z prawem wyłączności dla swojej gazety. Pan Brewster zabronił publikacji tego artykułu. Odmówił również wyjaśnienia swej decyzji”.

Simon odłożył swoją gazetę i usiadł ze skrzyżowanymi ramionami, wpatrując się rozbawionym wzrokiem w Zoe, na której twarzy pogłębiał się wyraz obrzydzenia.

Tuż za całą historią umieszczono pojedynczy akapit

wydrukowany tłustym drukiem, co było zabiegiem stosowanym czasem przez „Javelin” przy zestawianiu razem komentarza redakcyjnego z rzekomo opartym na faktach artykułem.

„Miles Brewster ma zamiłowanie do otaczania swej przeszłości mgiełką tajemnicy. Tym razem jednak jego próby zatuszowania sprawy wyszły na jaw. Brytyjczycy z pewnością będą chcieli się dowiedzieć, czy ten rażący przykład ingerencji właściciela w wolność prasy będzie działał na niekorzyść pana Brewstera w razie, gdyby próbował wywierać niezdrowy wpływ również na brytyjską prasę. Podobno pragnie on przejąć «London Dispatch»”.

Zoe skrzywiła się, przeczytawszy słowa „niezdrowy wpływ”. Ciekawe, w jakim stopniu Gerald Scrope wpłynął na komentarz dodany do artykułu Simona? I o co chodziło z tą mgiełką tajemnicy i tuszowaniem? Czy była to aluzja do wypadku samochodowego w Meksyku? Oburzył ją ten atak na Milesa.

Kiedy Simon zauważył, że skończyła .czytać, uśmiechnął się i stwierdził:

- Och, wy małej wiary. Nie ma w tej historii nic, co mogłoby zaszkodzić Jancie. Za to jest pean pochwalny na cześć Jamesa. Ciekawe, jak „Javelin” wpadł na tę historię.

- Nie sądziłam, że jesteś obeznany z wiarą, Simonie. A twoje odciski palców widać na całym artykule.

- Zoe, mówiąc to, stała z ręką opartą na biodrze. - Zgadzam się, że Jancie wyszła z tego całkiem nieźle, poza insynuacją pod jej fotografią na motorze. Winnych zrobiono tu

z premiera i Milesa Brewstera. Całkiem nieźle, oczywiście w swoim rodzaju. - Odwracając się już, by odejść, dodała cierpko: - Ciekawe, skąd „Javelin” wziął to milutkie zdjęcie Jancie na twoim motorze?

Masz jakiś pomysł?

Koło południa pokój redakcyjny zaczął się wypełniać. Zoe stała przy długim regale, gdzie poszczególne czaso-

pisma leżały spięte razem. Kiedy je przerzucała, inny dziennikarz, który również tam czegoś szukał, dał jej kukuśnięca w żebro. Podniosła wzrok. Pół sali obserwowało Simona kroczącego nonszalanckim krokiem w kierunku biura naczelnego. Do tej pory większość z nich zdążyła już przeczytać któryś z coraz bardziej sponiewieranych egzemplarzy „Javelin”.

Dziesięć minut później Simon bez pośpiechu wrócił do swego biura i zaczął uprzątać biurko. Od czasu do czasu wychodził, by uciąć sobie pogawędkę z którymś z kolegów, uśmiechając się, jakby go to wcale nie obeszło. Kiedy zatrzymał się przy biurku Zoe, powiedział:

- Nie są w stanie udowodnić, że to moja sprawka. A ja nie mam ochoty wdawać się w te nieskończone prawnicze korowody na temat niesprawiedliwego zwolnienia z pracy. Zgodziliśmy się więc na roczną pensję w zamian za zerwanie mojego kontraktu bez wypowiedzenia. - Nagle przybrał cierpki wyraz twarzy. - Miles Brewster pożałuje, że wykopał najlepszego redaktora działu zagranicznego, jakiego kiedykolwiek miał. Wszyscy wiedzą, że potrafię wykopać spod ziemi to, co ludzie pragną ukryć. Jeśli się uprę, to potrafię rzucić światło na przeszłość Milesa Brewstera, ot tak! - Lekceważąco pstryknął palcami. - Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu. Powinniśmy zjeść razem obiad. ***Hasta mañana, amiga.***

Wróciwszy do biura, dalej wybierał teczki, które chciał ze sobą zabrać.

Tam, gdzie łańcuch stromych górskich szczytów skręca za Saltillo na południe, wychudłe kozy - ***cabrito*** - pasły się na skąpej, twardej trawie porastającej górne części zboczy. Niżej gęstniały zarośla ***mesquite***\*, którym żywiło się bydło, a od szosy ostrym zakretem odchodziła czerwona, zapylona droga, wijąca się przez płaskowyż

\* Krzew z rodziny mimozowatych.

0 stromych ścianach. Ćwierć mili dalej stały przy niej dwa długie budynki z cegły suszonej na słońcu pokryte falistą blachą. Za nimi znajdował się pomalowany na biało dom kryty czerwoną dachówką. Purpurowe pęki *bugenwilli* obramowywały jego wejście, wspinając się aż do okien powyżej. Dom Lopeza zbudowany był w tradycyjny sposób, wokół otwartego dziedzińca, gdzie cień wznoszącej się niedaleko góry chronił przed słońcem. Na ogrodowej huśtawce leżała kobieta w sukience z bielonego lnu, mając za plecami poduszki w kolorze palonej sjeny. Po jednej stronie siedzenia spiętrzonego stos poduszek, tym razem w jasnych kolorach, na których się opierała, czytając. Włosy miała splecione i zwinięte na czubku głowy na kształt korony, a delikatne rysy twarzy kojarzyły się raczej z niewinną dziewczynką z meksykańskiej szkoły klasztornej niż z kobietą dobrze już po trzydziestce. Robiła ona wrażenie osoby żyjącej swym wewnętrznym życiem, być może dzięki temu, że na jej twarzy nie widać było oznak mijającego czasu. Schyliła się teraz ku posadzce z ubitej gliny i odepchnęła od niej, ponownie wprawiając siedzenie w rytmiczny, wahadłowy ruch. Z wnętrza domu wyszła kobieta niosąca drewnianą tacę z gorącym kakao i *bizcochos* z trzciny cukrowej, spiętrzonymi w małe piramidki. Odstawiwszy tacę obok huśtawki, pomogła leżącej kobiecie usiąść wyżej, podpierając ją poduszkami. Podbiegła do nich w podskokach zręczna, brązowa małpka o miodowych oczach i śnieżnym pysku pod zawadiacką osłoną rudych włosów spływających z łuków brwiowych. Zgrabnym skokiem małpka przyłączyła się do kobiety na huśtawce, a ta odłożyła na bok książkę i połamała *bizcocho* na kawałeczki. Małpka brała je delikatnie z talerza, zjadając bez pośpiechu każdy kasek, zanim sięgnęła po następny; kobieta natomiast wróciła do swej książki. Niedługo potem na dziedzińcu pojawił się silnie zbu-

dowany mężczyzna idący kołyszącym się krokiem człowieka, który większość swego życia spędził na koniu. Jego śniadą twarz ściągnął gniewny grymas, podobnie jak każdego dnia od czasu, gdy po raz pierwszy spojrział na swą leżącą bezradnie córkę.

Pedro Lopez nie przyznał nigdy w życiu - a już tym bardziej przed sobą - że gdyby jego córka nie została kaleką, nie mieszkaliby w domu tak korzystnie odbiegającym od tych, w których mieszkał przedtem i do jakich była przyzwyczajona większość pańienek, z którymi jego córka chodziła do szkoły klasztornej. Uważał, że pieniądze wpłacane co miesiąc na jego rachunek w banku w Monterrey należą mu się, a jego nienawiść do gringo, który ich dostarczał, była równie nieprzejednana jak piętnaście lat temu, kiedy spotkali się w szpitalu.

## ROZDZIAŁ 9

Próbowała się do niego dodzwonić co najmniej ze dwadzieścia razy.

- Stale jest włączona ta cholerna automatyczna sekretarka - głos Jancie był napięty, gdyż starała się opanować panikę. Sama nie znosiła ludzi, którzy wpadają w histerię. - Zostawiłam wiadomość, żeby do mnie zadzwonił. I nic. Krążyłam też w pobliżu jego mieszkania. Nie ma go tam.

Popołudniowe słońce wlewające się przez okno obnażało bez litości spustoszenia na jej twarzy - świeża zazwyczaj skóra była upstrzona cętkami od płaczu i napięcia, a oczy zmieniły się w szparki okolone spuchniętymi fałdkami.

- Na pewno jest tym wszystkim strasznie zdenerwowany - ciągnęła Jancie.

Rzuciła szybkie spojrzenie na Zoe, której zmartwiona twarz pozostawała poza tym nieprzenikniona.

- Wiem, wiem. Zawsze byłaś nastawiona sceptycznie do Simona, ze względu na jego stosunek do kobiet. Mówił jednak, że ja jestem inna. Mówił też, że przy mnie on również chce być inny.

Zoe przesunęła dzbanek z kawą w kierunku Jancie, lecz ta zignorowała go.

- Wpatruję się w telefon i próbuję siłą woli zmusić go, aby zadzwonił - powiedziała łamiącym się głosem. - Kiedy w końcu dzwoni, pałam nienawiścią do każdego,



kto się odezwie, za to, że nie jest Simonem. Czy sądzisz, że on nie dzwoni, bo myśli, że jestem na niego wściekła za przekazanie moich zwierzeń „Javelin”?

Zoe nie odpowiedziała. Wpatrywała się ponurym wzrokiem w śliczne perkaliki i obszyte falbankami poduszki leżące w porannym pokoju ambasady. Zawsze je uwielbiała, lecz dziś zdawały się jakby z nich drwić.

- Zresztą, ta historia wcale nie musiała wyjść od niego - ciągnęła Jancie, szarpiąc za jeden ze swych loków. - Może powiedział o tym komuś w zaufaniu, a ta osoba przekazała wszystko „Javelin”.

- Czy w tym dzbanku jest jeszcze kawa? - spytała Zoe.

Jancie przysunęła go bliżej.

- A poza tym, ten artykuł jest bardzo uprzejmy w stosunku do Jamesa i mnie. To premier oberwał od „Javelin” za wylanie Jamesa. Nienawidzę Martina Mathera. Jak mógł go wyrzucić za moje winy?

Uniosła chusteczkę i przetarła twarz. Zoe położyła dłoń na kolanie przyjaciółki. W panującej ciszy słodki, lekko cynamonowy zapach róż stojących w wazonie wydawał się silniejszy.

- Pewnie nie ma tu czegoś takiego jak alkohol? - spytała łagodnie Zoe.

Jancie nieznacznym ruchem głowy wskazała kredens.

- Jak myślisz, czy Anglikom w żałobie nadal podobają się te głupie kwieciste perkale - mamrotała zgryźliwie Zoe, otwierając szafkę i zerkając do środka. - Bourbon czy brandy?

- Brandy.

Zoe nalała sporą porcję do szklaneczki i podała Jancie.

- A ty nie chcesz?

- Pewnie, że chcę - odparła Zoe. - Ale prosto stąd idę przeprowadzić wywiad z żoną naszego drogiego wiceprezydenta i nie mogę zionąć alkoholem, ledwie przekroczyć próg. Co z Jamesem?

- O Boże, Zoe. To wszystko jest straszne. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak okropnie. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że może do tego dojść. Powtarzam bez przerwy Jamesowi, że postępowałabym inaczej, gdybym mogła przewidzieć takie konsekwencje. Ale on nie odpowiada ani słowem. Obejmuję go, a on pozostaje sztywny. Wiesz, jaki jest James. Wołałabym, żeby mnie zwymyślał, obrzucił najgorszymi słowami, znienawidził. Obserwowanie, jak dusi w sobie całe cierpienie, jest nie do zniesienia. - Uśmiechnęła się nikłym, smutnym uśmiechem. - Wiesz, on naprawdę daje się ponieść uczuciom tylko na pełnym morzu za kołem sterowym swojego jachtu. Nazywałam to jego „chłopięcą zabawą”. Bardzo teraz żałuję, że mu tak dokuczałam. Powinnam zrozumieć, że odczuwał satysfakcję. - Wydmuchała nos. Nagle ponownie się rozzłościła. - Boże, jak ja nienawidzę Martina Mathera! - wykrzyknęła. - A poza tym uważam, że sposób, w jaki Miles wylał Simona jest obrzydliwy - dodała gniewnie.

- Właściwie to naczelny przekazał mu informację o zwolnieniu - mruknęła Zoe bez sensu. Powiedziała to tylko po to, by powstrzymać inne słowa cisnące się jej na usta; słowa, które na pewno nie poprawiłyby sytuacji.

- Wszyscy doskonale wiedzą, że naczelny jest marionetką w ręku Milesa - odparowała wściekle Jancie. -Nienawidzę go.

- Kogo?

- Milesa.

Zoe wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Jancie.

Wkrótce potem schodziła schodami, przyglądając się smętnie portretowi młodej królowej Wiktorii. Po wyjściu na zewnątrz spojrzała na zegarek. Dom wiceprezydenta znajdował się niedaleko. Może agenci ochrony uwiną się szybko z kontrolą. Już miała wskoczyć do czekającej taksówki, gdy podjechał jakiś samochód. Wsiadł z niego Miles Brewster.

- Nie możemy stale spotykać się w ten sposób, wpa-

dając na siebie w brytyjskiej ambasadzie - powiedział rozbawiony jej zdumieniem.

- Co tu robisz? - spytała, zła na siebie za rumieniec wypływający jej na twarz.

Spojrzał znacząco na swój zegarek i zmarszczył brwi w udawanym gniewie.

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie, młoda damo - odparł. Była to pierwsza niefrasobliwa chwila podczas tego ponurego poranka.

Zoe uśmiechnęła się szeroko.

- Właściwie, jeśli musisz wiedzieć, jestem w drodze na wywiad z żoną wiceprezydenta. Chciałam tylko najpierw zobaczyć się z Jancie. - Jej twarz zachmurzyła się. - Panuje tu bardzo przygnębiająca atmosfera.

- Cóż za przekłete zamieszanie. Przydałby się ktoś, kto doprowadziłby wszystko do porządku. Za chwilę mam się spotkać z Jamesem.

Stali obydwój na skraju chodnika, wahając się, co dalej.

- Muszę iść - zdecydowała się w końcu Zoe. - Nie mogę dopuścić, aby mój szef pomyślał, iż nie traktuję poważnie swych obowiązków - dodała z uśmiechem.

Wskoczyła do taksówki, a Miles obserwował przez chwilę jak odjeżdża, zanim odwrócił się i skinął głową lokajowi.

Tym razem sekretarz ambasadora okazał cień zniecierpliwienia, kiedy otworzywszy drzwi do biblioteki, zastał Jamesa stojącego tyłem do nich i wyglądającego przez okno na ogród, dokładnie tak samo jak podczas wczorajszej wizyty Milesa. Tym razem to Miles zaproponował spotkanie.

- Posłuchaj, Jamesie - odezwał się, kiedy usiedli – naprawdę już najwyższy czas, żebyś zaczął myśleć, czym chcesz się dalej zająć.

James nie odpowiedział. Twarz, normalnie ogorzała od żeglowania, była obecnie ziemista, usta zaciśnięte -

wyglądał jak chłopak położony przez przeciwnika na łopatkach.

- Mnóstwo osób będzie się o ciebie bić, nie ma obaw -ciągnął Miles. - Twoje doświadczenie w sprawach obronności i fakt, że byłeś ambasadorem w Waszyngtonie, daje ci ogromną przewagę. Sam możesz decydować. Dziennikarstwo. Telewizja. Prezesura w jakiejś poważnej korporacji. Wybieraj. Tylko nie zwlekaj zbyt długo; ludzka pamięć jest krótka.

Nie podnosząc wzroku, James odezwał się bezdźwięcznym głosem:

- Mam czterdzieści lat. Nigdy, przez całe swoje życie nie zostałem znikąd wylany. Aż do tej pory. Miles przez chwilę się nie odzywał. W jego życiu zdarzały się trudne chwile, ale nigdy nie zwolniono go z pracy. Mógł się tylko domyślać, jakie to przygnębiające uczucie.

- Jamesie, wiem, że nie chciałeś, aby ta wiadomość tak szybko się rozeszła, lecz w rzeczywistości ty i Jancie wypadliście bardzo dobrze w artykule „Javelin”. W gruncie rzeczy jego wymowa jest taka, że premier, odwołując cię, zachował się jak psychicznie niezrównoważony maniak i że to on powinien odejść. Pozostałe gazety podchwycą ten wątek. Nie masz się więc co martwić tą zbyt wczesną publikacją. Hej, słuchasz mnie?

- Jancie - James apatycznie wymówił imię swojej żony. - Kiedy jej namiętność do Simona Fleeta stała się dla wszystkich oczywista, sam zadawałem sobie pytanie, czy mniej bym cierpiał, gdyby zachowała dyskrecję. -Okropny, pełen bólu uśmiech wykrzywił mu twarz. -Nie potrafię na nie odpowiedzieć - ciągnął tym samym, monotonnym głosem. - Wiem tylko, że lękam się powrotu do Londynu. Byliśmy tam tak pełni wiary we własne siły, angażując się w to wyzwanie. To było naprawdę partnerstwo, co by ona mówiła o marginesowej roli żony ambasadora. Boję się wrócić tam teraz z podkulonym ogonem, obojętnie jak „Javelin” upiększy! całą historię,

po prostu boję się. Brzmi to wszystko okropnie łzawo, przepraszam.

- Daj spokój, wcale nie brzmi łzawo. Brzmi jak słowa człowieka kopniętego przed chwilą w jaja. Jak tylko złapiesz oddech i pozbierasz się, sam dostrzeżesz możliwości, które tylko czekają, by po nie wyciągnąć rękę. -Miles przerwał. - Sam mam dla ciebie ofertę.

James powoli podniósł wzrok.

- Wiesz, coś dziwnego stało się ze mną na waszym ostatnim przyjęciu - ciągnął Miles, opierając się wygodniej. - Przyglądałem się rynkowi czasopism w Europie, a dokładniej rzecz biorąc w Wielkiej Brytanii, mając na uwadze dwie rzeczy: rynek zbytu i przesłanie. Rynek jest bezosobowy. Przesłanie jest moje własne. - Rozprostował nogi. - Jak dotąd mój prezydent i twój premier umiarkowanie starali się podtrzymywać specjalne stosunki między naszymi krajami. Jednak nikt nie wie tego lepiej od ciebie, że w minionym roku niewiele brakowało, by nasza wspólna polityka zagraniczna na Środkowym Wschodzie rozpadła się. Gazety lorda Scrope'a w obu naszych krajach bez przerwy nawołują do rozvodu; żeby każdy z krajów poszedł taką drogą, jaka leży w jego interesie. Nie da się ukryć faktu, że porusza to czułą strunę u wielu Amerykanów i Brytyjczyków.

Po raz pierwszy na twarzy Jamesa pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Moje amerykańskie gazety trąbią o potrzebie utrzymania tych specjalnych stosunków. Chciałbym szerzyć

to samo przesłanie w Anglii. Z kolei argumenty rynkowe przemawiają przeciwko przejmowaniu w obecnej chwili „London Dispatch”. Miles zaśmiał się.

- Podczas twojego przyjęcia odkryłem, że istnieje jeszcze jeden czynnik, który muszę uwzględnić w tym równaniu. Jego Lordowska Mość. Fakt, że Gerald Scrope próbuje powstrzymać mnie przed wejściem w brytyjskie media sprawił, że naprawdę się zawniłem, by zapewnić

sobie ten tak zwany „niepożądany wpływ”. Dziecinada, wiem. Niemniej jednak w poniedziałek składam ofertę kupna „London Dispatch”. - Uśmiechnął się sam do siebie. - Jeśli wygram, przenoszę swą siedzibę do Londynu. Będę mógł bardziej otwarcie niż tu wtrącać się do wszystkiego.

Na twarzy Jamesa pojawił się złośliwy uśmiezek.

- Podoba mi się to „bardziej otwarcie”. Wszyscy wiedzą, że przez cały dzień trzymasz w „Expressie” rękę na pulsie; dobrym przykładem może być zablokowanie tego kawałka Simona.

Miles wzruszył ramionami.

- Jeśli dostanę „Dispatch” - ciągnął nie zrażony - byłbyś nieoceniony w zarządzie, Jamesie. Gdyby odpowiadał ci ten pomysł, możemy później dopracować szczegóły. Potrzebuję u swego boku kogoś, kto ma doskonale doświadczenie w tym, co dzieje się po obu stronach Atlantyku. I co ty na to? Zazwyczaj doświadczenie Jamesa pomagało mu zachowywać zimną krew w każdej sytuacji, lecz ostatnie dni nadwątlili jego system obronny. Najpierw na twarzy zarysowała się wyraźna ulga. Potem przed oczu Milesa zniknęła załamana postać przyjaciela, a zamiast niej pojawił się znów sprawny, atletyczny James, który z przejęciem pochylił się do przodu.

- Oczywiście, lord Scrope pociągnie za wszystkie możliwe sznurki, żeby mnie zablokować - dodał Miles. - Tak więc, dopóki nie będzie pewności, że zdobyłem „Dispatch”, nie mogę ci złożyć żadnej ostatecznej oferty. Jeśli tymczasem zdecydujesz się na coś innego, będzie to mój pech.

- Czy jest tu moja żona? - spytał James sekretarza. Jancie pisząca list w porannym pokoju zauważyła w nim zmianę natychmiast, gdy tylko wszedł.

- Sprawy zaczęły przybierać lepszy obrót - oznajmił. Jego twarz znów przybrała chłopięcy wyraz. - Miles

złożył mi wstępną propozycję. - Opowiedział jej, na czym ma ona polegać. - Oczywiście może się zdarzyć, że nie wygra tego przetargu na „Dispatch”. Jest jednak przekonany, że będę miał sporo innych ofert do wyboru.

Jancie wstała i położyła mu ręce na ramionach. Jej oczy wypełniły się łzami ulgi. Przyciągnęła głowę męża i przytuliła policzek do jego twarzy.

- Już dobrze, dobrze - jej głos brzmiał jak nucenie matki uspokajającej dziecko.

Po chwili oderwali się od siebie. Rozpoznała wyraz zakłopotania na jego twarzy. Zawsze tak wyglądał, gdy czuł, że pozwolił wziąć górę uczuciom. Obdarzył ją jeszcze krzywym uśmiechem i opuścił pokój.

Wróciwszy do biurka, Jancie podarła list, który przedtem pisała i zaczęła go na nowo.

## ROZDZIAŁ 10

Niezależnie od tego, jak starannie odrobi się przed wywiadem zadanie domowe, człowiek nigdy nie czuje się swobodnie, dopóki nie jest po wszystkim. Wiedząc od Petera, jakie słabe punkty ma zmieniony w polityka generał, Zoe rozpoczęła jednak od pochlebiania mu, przypominając jego osiągnięcia. Odprężył się, przekonany, że wszystko idzie po jego myśli i wtedy spytała, dlaczego nie poczuwa się do odpowiedzialności za to, że wojska amerykańskie zostały wycofane z Arabii, nie straciwszy dyktatora. Stracił panowanie nad sobą i już go miała.

Wracając potem do redakcji, odczuwała ulgę dziennikarza, który wie, że taśma i notes w torbie zawierają wszystko, co potrzebne, by napisać dobry kawałek. Oczywiście już w chwilę później rozzłościła się, zdawszy sobie sprawę, że gdyby bardziej go naciskała i rzuciła parę dalszych pytań, to artykuł byłby jeszcze lepszy.

Podeszła prosto do biurka, by przepisać swoje notatki. Za klawiaturą znalazła zatkniętą wiadomość:

***Zoe. Zadzwoń do ambasadora Whartona. Pilne.***

Złapała za słuchawkę.

- Ona jest z tym głównem. Jego głos brzmiał okropnie.

- Napisała do mnie list. Załatwiła, żeby mi go wręczono po tym, jak wyszła, wczoraj po południu. - Mówił, jakby wstrząsały nim drgawki. - Napisała, że nigdy sobie nie wybaczy krzywdy, jaką mi zrobiła. Będzie się



starala być dla mnie lepszą żoną. Ponieważ jednak w tej chwili moja sytuacja zaczyna się poprawiać, to jest pewna, że dobrze jej zrobi dzień lub dwa z dala od domu, by mogła uporządkować swoje myśli. Zoe przycisnęła słuchawkę do ucha, starając się nadażyć za tym, co mówił.

- List doręczono mi na dwie godziny przed przyjęciem, na którym mieliśmy być gośćmi honorowymi. Przez głowę Zoe przemknęła myśl, że tak samo przejmował się nietaktem towarzyskim jak zniknięciem żony.

- Dodała jeszcze postscriptum, innym piórem. Napisała, że wróci za dwa dni. Zadzwoń do Fleeta, ale miał włączoną automatyczną sekretarkę. Pojechałem nawet do jego cholernego bloku. Posłałem kierowcę, żeby sprawdził, czy pan Simon Fleet jest w domu. Jak bardzo można się poniżyć?

To pytanie nie wymagało odpowiedzi.

- Recepcjonista powiedział, że Fleet opuścił już wcześniej budynek i nikt nie ma pojęcia, kiedy wróci. Bóg wie, dokąd pojechali.

- Dlaczego jesteś taki pewien, że Jancie jest z nim?

- A gdzie miałyby być? A dziś wieczorem wydają obiad na naszą cześć. Ludzie zadają sobie ogromnie dużo trudu, planując takie spotkanie. Jancie nie była zazwyczaj aż tak nieodpowiedzialna. Gdybyś miała od niej jakieś wiadomości, to zadzwoń do mnie, na miłość boską.

- Dobrze, James. Ale wiesz przynajmniej, że nic się jej nie stało.

Wydał dźwięk podobny do warknięcia.

- Jeśli kiedykolwiek znajdę się na stanowisku, gdzie będę miał władzę nad Simonem Fleetem, to będę szczęśliwym człowiekiem.

Mógłbym to robić przez sen, powiedział Simon do siebie. Nie pamiętał już, kiedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że technika zwodzenia stosowana przez niego ma coś wspólnego z umiejętnościami oprawcy. Szcze-

rze był jednak przekonany, że Jancie powinna zostać ukarana za zepsucie mu weekendu. Wprawdzie nie planował niczego specjalnego, ale gdyby miał wybierać, to z pewnością w tym krytycznym momencie swego życia nie zakopałby się; na dwie noce w Crabshell Inn na Wschodnim Wybrzeżu w stanie Maryland. Miało to może urok w początkach ich znajomości, lecz powinna zdawać sobie sprawę, że nie może trwać wiecznie.

Kiedy poprzedniego dnia w jego mieszkaniu odezwał się dzwonek, otworzył drzwi w przekonaniu, że przyszedł dozorca, który miał naprawić zerwany kabel w kuchni. Tymczasem stała za nimi Jancie. Dałem się złapać jak szczur w pułapkę, pomyślał ponuro. W końcu udało jej się trafić do lepszej strony jego natury. Lubił sprawiać przyjemność i zawsze mówił kobietom to, czego w danym momencie oczekiwały: „Kocham cię naprawdę”, „Oczywiście, że jutro zadzwonię”, „Nie odciągną mnie od ciebie nawet końmi”. Zazwyczaj nawet w to wierzył w chwili, kiedy te słowa wypowiadał. Fakt, że później nie okazywały się prawdą, nie był w jego oczach grzechem. Żeby być świnią, trzeba mieć intencję zranienia danej osoby. Simon widział to właśnie w ten sposób.

Tak więc byli w tej chwili w Crabshell Inn, spędzając swój ostatni weekend w tym maleńkim azylu. Jancie powiedziała, że zapamięta go na resztę swego życia. Jemu wydawał się on wiecznością. To prawda, udało mu się zebrać pewne informacje, które mogą okazać się przydatne - na przykład to, że Miles Brewster zaproponował Jamesowi pracę w zarządzie, jeśli jego oferta kupna „London Dispatch” wygra. Kiedy wróci do Waszyngtonu, musi przekazać to lordowi Scrope'owi. Jeśli kiedyś w końcu wróci do Waszyngtonu.

- Te szlochy podczas lunchu - mruknął złośliwie. -Czego dokonałaś, by zasłużyć na nagrodę? Wstał z łóżka.

Stojąc przy oknie wpatrywał się w żaglówki, która właśnie rzuciła cumy i podskakiwała na falach błyszczą-

cych w popołudniowym słońcu. Młoda kobieta rozwiła ją kliwer, podczas gdy druga stawiała grot.

Opalony na brąz młodzieniec stał przy sterze jak jakiś bożek.

- Świetnie je wytresował - mruknął do siebie Simon.

Wiatr wypełnił grot, który załopotał, lśniąc bielą, dopóki młodzieniec nie przesunął rumpla i żagiel nie przeleciał na drugą stronę, szarzejąc w rzucanym przez siebie cieniu. Nad nim krążyły, kwiląc, mewy o białych skrzydłach, a przechylając się, przybierały taki sam ciemnoszary odcień jak żagle poniżej.

W głębi serca jestem poetą, powiedział sobie Simon. Odwrócił się od okna i ponownie spojrzął na pokój. Westchnienie, które z siebie wydał, było mieszaniną

znużenia i przyjemności. Podszedł do łóżka, by powrócić do przerwanych pieszczot z leżącą w nim kobietą.

Ruch na drodze nie osiągnął jeszcze szczytu w to niedzielne popołudnie, gdy rozpoczęli powrotną podróż mostem przez Zatokę Chesapeake, mając przed sobą kilka mil łagodnego podjazdu w górę.

Kiedy samochód dotarł do szczytu i rozpoczął się długi zjazd w kierunku stałego lądu, oczy Jancie napełniły się łzami. Jej łoki potęgowały jeszcze wrażenie, że jest smutnym dzieckiem odwożonym do znieawidzonej szkoły z internatem. Simon puścił jedną ręką kierownicę i poklepał ją po udzie.

- Kiedy się zdecydujesz, co chcesz dalej robić? - spytała po raz szósty.

- Nie ma pośpiechu - odparł lekko. - Twój przyjaciel, pan Brewster, musi wypluć roczną pensję, żeby się mnie pozbyć.

- Tak bym chciała, żebyś przyjechał do Anglii.

Przesunął wyżej rękę na jej udzie. Nie miał najmniejszego zamiaru mówić komukolwiek, że załatwił już sobie następną pracę, dopóki jego czek z odprawą nie znajdzie się w banku i nie zostanie zrealizowany. Jancie i tak szybko się o tym dowie, kiedy przyjedzie do Londynu i otworzy „Javelin”.

Zawsze może powiedzieć, że chciał

jej zrobić niespodziankę... albo że chciał jej dać czas na urządzenie się w Anglii... albo cokolwiek. Życie to zabawna sprawa. Simon zwilżył usta. Jeśli Brewster dostanie „London Dispatch” to korzystnie będzie mieć wielbicielkę w obozie wroga. Trudno zaprzeczyć, że Jancie jest bardzo atrakcyjną kobietą. Kiedy poczuł, że jej ciało reaguje na dotyk, zabrał dłoń i położył z powrotem na kierownicy. Była to po prostu gra: oczywiście dokończy ją, zanim dotrą do Waszyngtonu.

Ulice stolicy były niemal puste. Pojechał do krawężnika w miejscu, gdzie Massachusetts Avenue krzyżuje się z Columbus Circle, a taksówki podjeżdżają do Union Station.

- Tu się pożegnamy, Jancie. W dziesięć minut dojedziesz stąd do ambasady.

- Możesz mnie spokojnie tam podwieźć, to już nie ma żadnego znaczenia - powiedziała. Jej spojrzenie nasunęło mu na myśl o czy zbląkanego psa. Odpiął jej pas i sięgnął na tylne siedzenie po torbę.

- Tak jest bardziej dramatycznie - stwierdził - a chcę, żebyś to zapamiętała jako wspólny dramat naszego życia. Obdarzyłaś mnie największym szczęściem, jakie mnie kiedykolwiek spotkało. Żegnaj, *bellissima*.

Uniósł dłoń, którą przedtem wciskał między jej uda i przyłożył jej wewnątrz do swych ust. Potem wyciągnął ją, jakby w błogosławieństwie, w stronę, gdzie Jancie stała na krawężniku z torbą przy nodze. Przywołała przejeżdżającą taksówkę.

Simon tak pałał chęcią podzielenia się z lordem Scrope'em swoimi wiadomościami, że odjechał, nie czekając nawet, aż wsiądzie do taksówki.

## ROZDZIAŁ 11

Gerald strzepnął popiół z cygara do popielniczki z wytłoczonym godłem Izby Gmin.

- Czy premier odniósł się jakoś do najnowszego ataku „Javelin” na niego? - spytał.

Brytyjski minister obrony, czcigodny Alan Rawlston, zatrząsł się w fotelu, promieniejąc satysfakcją.

- Na dzisiejszym porannym posiedzeniu gabinetu - odparł - premier wygłosił jeden ze swoich krótkich wykładów. „Koledzy przeczytają, że niektórzy z mego najbliższego otoczenia są coraz bardziej zaniepokojeni moją równowagą psychiczną. Byłoby to bardzo przykre, nieprawdaż, gdyby okazało się, że to ktoś ze znajdujących się najbliżej mnie jest odpowiedzialny za ten cytat w Ravelin”. Ha, ha!

- Czy miał na myśli ministra siedzącego najbliżej niego przy stole? - spytał Gerald.

- Znasz premiera. Uwielbia te swoje gierki słowne.

- Mógł mieć na myśli każdego z nas. - Alan Rawlston - ponownie się rozpromienił. - Ucieszy cię wiadomość, że minister spraw zagranicznych tak ostentacyjnie się wściekał na najmniejszą wzmiankę o tym, iż mógłby spiskować przeciw premierowi, że każdemu załęgły się w głowie jakieś podejrzliwe myśli. Jeśli chodzi o mnie, to wyglądałem tak niewinnie jak przysłowiowe jagnię.

Klepnął się po udzie. Siedzieli w skórzanych fotelach koloru butelkowej zie-

leni. Minister wrócił właśnie po głosowaniu o dziesiątej, gdy Gerald wszedł do poczekalni i minął dyżurującego tam detektywa z Wydziału Specjalnego.

Alan Rawlston zawsze przeprowadzał swe najbardziej poufne rozmowy w tym gabinecie, gdyż w przeciwieństwie do Ministerstwa Obrony nie płątali się tu żadni cywilni pracownicy.

Na stoliku do kawy stały dwie whisky z wodą sodową nalane z butelki, która kryła się w dębowym kredensie zaprojektowanym tak, by stopił się z boazeriami Pugina. Wielki architekt pomagał w odbudowie gmachu Izby Gmin po pożarze 1834 roku, a kiedy druga wojna światowa ponownie zniszczyła większą część budynku, bogate rzeźby Pugina zostały pięknie odrestaurowane. Dzisiejszego wieczoru zasłony w gabinecie były rozsunięte, prezentując różowe londyńskie niebo i sylwetki neogotyckich iglic na jego tle. Big Ben wybił ćwiartkę godziny.

Minister obrony wyglądał na wymiętego, ale był to jego normalny wygląd. Był on tęgim, jowialnym mężczyzną o niezgrabnych ruchach, lecz każdy, kto wziął go za dobrotliwego misia, szybko zmieniał zdanie, jeśli ich drogi jakoś się skrzyżowały. Grube, okrągłe szkła powiększały mu oczy, które wprawdzie i tak pozostawały na tyle małe, że trudno było określić ich kolor, lecz błyszczały przebiegłością. Alan Rawlston był groźnym politykiem. Ani jeden dzień nie minął mu bez rozważań, jak mógłby zachwiać pozycją Martina Mathera i zdobyć dla siebie stanowisko premiera.

- Jak widzisz moje szanse na zdobycie „Dispatch”, Alanie? .

Ten westchnął.

- Już w chwili, gdy mi powiedziałeś, że chcesz kupić „Dispatch” ostrzegałem cię, że Urząd Antymonopolowy tego nie przełknie. Oczywiście, oddałbyś mecz walkowerem, gdybyś w tym kraju poprzestał tylko na sieci prowincjonalnych gazet. Dopóki nie pozbedziesz się „Javelin”, a najwyraźniej nie masz zamiaru tego zrobić, to

niemal na pewno nie będziesz mógł mieć jednocześnie „London Dispatch”.

- Kto tak twierdzi?

- Minister przemysłu. Powiedział mi wczoraj. A to on właśnie mianuje członków Komisji do Spraw Monopoli.

- Każ mu się pozbyć tych przeklętych świętoszków, których mianował.

Zaklinowane w fotelu ciało Rawlstona zatrzęsło się z rozbawienia.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - odezwał się zimno Gerald.

Alan zrobił wysiłek, by znów wyglądać poważnie.

- Musisz zdać sobie sprawę, Geraldzie, że nie może on usunąć swoich własnych kandydatów bez poważnego powodu.

- W takim razie dostarcz mu jakiegoś poważnego powodu, żeby zmusił ich do zmiany zdania. Na przykład argumentem może być fakt, że ja jestem Brytyjczykiem, a Miles Brewster pieprzonym Amerykańcem. Co się stało z patriotyzmem w dzisiejszych czasach?

Rawlston zmienił pozycję swego cielska, jakby go nadmiernie krępowało.

- Porozmawiam z nim jeszcze raz. Ale nie jestem optymistą.

Bez żadnego przejścia Gerald zmienił nagle temat.

- A co masz mi do powiedzenia, jeśli chodzi o umowę na Cheetah?

Alan ponownie niespokojnie poruszył się w fotelu.

- Nie mogę jeszcze dać ci odpowiedzi. Jak wiesz, moi doradcy do spraw kontraktów obronnych są przeciwni, żeby Scrope Electronics dostały kontrakt na Cheetah.

- Przysiągłbym, że to ty jesteś ministrem obrony - powiedział spokojnie Gerald. - Skoro minister obrony nie potrafi kierować swoim własnym podwórkiem, to może nie byłby on wcale takim świetnym premierem. Być może powinienem pomyśleć o postawieniu na jakiegoś innego konia.

Na twarz Alana wypłynął rumieniec.

- Mogą ci się nie podobać demokratyczne zasady, Geraldzie, ale tak się składa, że działalność tego państwa opiera się właśnie na nich. Jeśli zacznę naciskać swoich własnych doradców, będę musiał tłumaczyć się z tego przed Izbą Gmin.

- Skąd ci przyszło do głowy, że jestem przeciwny demokratycznym zasadom, Alanie? - spytał Gerald tym samym niedbałym tonem. - Znajdź mi lepszy produkt demokracji niż chłopak znikąd, który z paru marnych warsztatów tworzy imperium i kończy jako par w Izbie Lordów. Zdobądź dla Scrope Electronics kontrakt z Ministerstwem Obrony na Cheetah, a „Javelin” będzie piał hymny pochwalne na cześć demokracji, jakie tylko sobie zażyczysz.

Płasko wymawiane samogłoski działały na nerwy ministra. Łyknął nerwowo swoją whisky.

- Będziesz musiał zachować cierpliwość, Geraldzie.

- Nie znoszę być cierpliwy, Alanie. - Oczy Geralda skojarzyły się ministrowi z zimną głębią podziemnego tunelu. - Może powinienem ci przypomnieć o pewnych rzeczach, które zrobiliśmy razem w całkiem nieodległym czasie.

- Każdy z nas pomógł drugiemu - odparł Alan sztywno.

- Taaa. Cóż, chcę dostać kontrakt Cheetah, i to wkrótce. Możesz być pewny jak cholera, że chłopak, który pojawił się znikąd, nie dostał się tu dzięki pieprzonej cierpliwości i nie mam zamiaru teraz zaczynać się jej uczyć.

Inni dożywotni parowie z Izby Lordów bardzo cierpieli z powodu tego, że tytułów otrzymanych jako osobiste nagrody nie mogą przekazać swoim dzieciom, tak jak przekazywane są dziedziczne tytuły starej szlachty. Geralda Scrope'a kompletnie to nie obchodziło. Zdawał sobie sprawę, że wielu mężczyznom niezmiernie zależa-



ło na posiadaniu dzieci, by przedłużały istnienie ich nazwiska i genów; było to swego rodzaju dążenie do nieśmiertelności. Dla Geralda cała historia kończyła się wraz z jego śmiercią. Żadnych ciągów dalszych.

Gdy miał dwadzieścia cztery lata ożenił się z córką mechanika samochodowego z Wandsworth, który stworzył sieć warsztatów w południowym Londynie. Jakkolwiek w przeważającej części południowego Londynu panowały nędza i brutalność, to wśród chuliganów tej dzielnicy nie dochodziło do tak wielu walk rodzinnych jak na East Endzie. Wandsworth obejmowało też ulice ze schludnymi szeregowcami zamieszkanymi przez urzędników bankowych i nauczycieli oraz bystrych robotników, którzy swe zawody wykorzystali do stworzenia dobrze prosperujących przedsiębiorstw, a których żony oburzały się na prostytutki kręcące się wokół Wandsworth Common. Teściowie Geralda mieszkali w jednym z tych przyjemnych domków.

Gerald zajął się prowadzeniem warsztatów samochodowych, jeszcze zanim się ożenił. Jego teść był szczodrym człowiekiem, który w dodatku uwielbiał swoją córkę, dał więc jej w posagu trzy warsztaty. Gerald przyłączył je do swego pączkującego dopiero interesu. W ciągu pięciu lat stał się posiadaczem największej sieci garaży w południowym Londynie, podczas gdy jego teściowi pozostały tylko trzy.

- Dałeś mi trzy jako wiano, zachowaj więc lepiej te trzy na stare lata - powiedział mu Gerald.

Usłyszał kiedyś w telewizji zdanie, że istoty ludzkie różnią się od innych zwierząt zdolnością do prowadzenia wzajemnej wymiany, ale uważał, że to idiotyczne stwierdzenie. Jego zdaniem ludzkie istoty służyły do tego, by je łupić.

Następnym krokiem było zagarnięcie firmy dostarczającej warsztatom urządzeń elektronicznych.

Właściciel firmy nie chciał jej sprzedać. Pewnej nocy jego awionetka uderzyła w ziemię kilka minut po starcie, zabija-

jąc jego i pilota. („Fatalny wypadek”, skomentował to potem Gerald w rozmowie z Rawlstonem). Śledztwo wykazało, iż z nie wyjaśnionych przyczyn zablokował się ster wysokości. Nie orzeczono, czy śmierć nastąpiła w wyniku wypadku czy przestępstwa. Wkrótce potem Gerald Scrope kupił przedsiębiorstwo od wdowy, płacąc jej poniżej ceny rynkowej.

Nie minęło wiele czasu, gdy pozbył się swojej żony. Otrzymała przy rozwodzie przyzwoitą odprawę oraz comiesięczne alimenty. Gerald nigdy nie starał się dowiedzieć czy to jej, czyjego bezpłodność była przyczyną tego, że nie doczekali się dzieci. Uważał, że jego ptaszek jest po to, by dostarczać mu przyjemności.

Kiedy otrzymał tytuł, nie zapalał bynajmniej chęcią gorliwego naśladowania starej, angielskiej szlachty. Wręcz przeciwnie, chlubił się publicznie tym, że sam do wszystkiego doszedł, afiszując się jako przestępczy baron, którym w istocie był. Szkoła, do której niegdyś chodził, została już dawno zamknięta, a akta byłych uczniów nie istniały, zaprzepaszczone przez niekompetentny zarząd. Kiedy Gerald stał się ogólnie znaną postacią i media próbowały zdobyć jakieś wiadomości na temat jego dzieciństwa i młodości, okazało się, że nie wiadomo, gdzie szukać. Po przejrzeniu rejestrów urodzeń nie znaleziono żadnego Geralda Scrope'a. Na wiadomość, że był kiedyś żonaty, gazety wysłały trzech reporterów, by przeczesali południowy Londyn i ci wreszcie wytropili byłą żonę Geralda.

Stała w otwartych drzwiach, blokując przejście, i z oczami bez wyrazu oświadczyła:

- Nigdy nic nie mówił o żadnej rodzinie.

Nie miała zamiaru ryzykować utraty swych comiesięcznych wypłat przez zbytnią gadatliwość. A poza tym była to prawda - z tego, co ona wiedziała, nie miał rodziny.

Ci dziennikarze, którzy mieli dość odwagi, by naci-

skać samego lorda Scrope'a, nie uzyskali nic. Roześmiał im się w twarz.

- Jestem po prostu chłopak znikąd.

Ktoś inny mógłby snuć długie rozmyślenia, dowiedziawszy się, że prawdopodobnie jego rywal zwycięży w przetargu o „London Dispatch”. Gerald jednak nie zdążył jeszcze dobrze wyjść z gabinetu ministra obrony, gdy zaczął się już zastanawiać, co mógłby przejąć w zamian. Wiedział od Simona o zainteresowaniu Milesa Brewstera Jamesem Whartonem, a to już wystarczyło, by sam chciał go dla siebie.

Przemawiały też za tym konkretne, praktyczne argumenty. Fakt posiadania w zarządzie byłego ambasadora w Waszyngtonie pomógłby Scrope Opportunities Ltd. zyskać powszechne poważanie, którego w wielu oczach nadal mu brakowało. Jeśli wziąć pod uwagę kilka przedsięwzięć Geralda, którymi nie chwalił się publicznie, to pewnego dnia mogła mu się przydać szanowana figura z establishmentu na jego liście płac. A tymczasem znajomości Whartona w Pentagonie pozwolą być może zdobyć zamówienia od armii amerykańskiej.

Było jeszcze coś. Posiadanie na swej łasce tego czcigodnego wychowanka Eton dostarczyłoby mu pewnej rozrywki. Gerald lubił mieć swoje rozrywki.

## ROZDZIAŁ 12

Świetlista woda pędziła na łeb na szyję w korycie z gigantycznych skał. Niektóre były wygładzone, a inne poszarpane, jakby właśnie stoczyły się z góry do wąwozu. Zoe zawsze lubiła ten moment, gdy taksówka skręcała w Rock Creek Park z topolami i sosnami, i ludźmi jadącymi na rowerach ścieżką nad brzegiem z przytroczonymi za siodełkiem biurowymi strojami.

Dotarli do wyjazdu na Georgetown. Dom Leili Sherman, dziewiętnastowieczny dworek, stał nieco cofnięty w ogrodzie zdominowanym przez kasztany jadalne. Zoe widziała przed sobą odjeżdżający samochód i rozpoznała parę wchodzącą właśnie przez furtkę.

Samotne wejście na przyjęcie takie jak to było bardzo stresujące. Płacąc taksówkarzowi, nie spuszczała więc oka z doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa i jego żony, którzy docierali już do szczytu stromych schodów. Jeśli pójdzie długimi krokami - nie chciała sprawiać wrażenia, że za nimi biegnie - może ich dogoni, zanim dojdą do frontowych drzwi. Będzie to zupełnie naturalne, jeśli się przedstawi, gdy się tam spotkają, i wejdzie na salę, znając już kogoś. Niestety, zniknęli wewnątrz, zanim tam dotarła.

Z góry było wiadomo, że to przyjęcie koktajlowe będzie ogromne, inaczej nie dostałaby zaproszenia. Wprawdzie Leila Sherman wyrażała się bardzo pochlebnie o jej pracy, kiedy się poznały, lecz Zoe nie miała złudzeń, że

dzięki temu zostaną przyjaciółkami. Leila, bogata wdowa po wybitnym senatorze z Południa, doprowadziła do tego, że jej dom stał się miejscem, gdzie ludzie obdarzeni władzą lubili się spotykać i być widziani. W czasach, gdy Frank Lambert był jeszcze kandydatem na prezydenta, działała na jego rzecz, finansując kampanię reklamową i organizując w swym okazałym domu imprezy służące zbieraniu funduszy. Nigdy nie było wiadomo, czy prezydent lub Pierwsza Dama nie wpadną na któreś z przyjęć Leili.

Zoe trąciła duży dzwon z brązu.

Uderzył ją spokój panujący w centralnym holu, którego to wrażenia nie mącił nawet dochodzący z niewielkiej odległości gwar. Na mahoniowym stole wyłożonym przez słońce i czas stały dwa secesyjne wazony z bursztynowego szkła zdobionego kremowymi palmami i słoniami. Powyżej na ścianie wisiał jeden z obrazów Moneta przedstawiający bujne lilie wodne w sadzawce. W chwilowym przeblasku szaleństwa Zoe pomyślała, że może uda jej się po prostu przysiąść na krześle w tym promieniującym spokojem holu, zamiast pogrążyć się w tamten rozgardiasz.

- Tędy proszę - odezwał się kamerdyner.

W środku było już z sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt osób, choć zaledwie minęło pół do siódmej - a wszystko to byli politycy i ważne figury z mediów, których twarze widziała codziennie w gazetach. Cóż, ruszam, pomyślała. ( Od jednej z grupek oderwała się pięknie zbudowana kobieta w nieokreślonym wieku i podeszła, by ją powitać.

- Zoe Hare. Jakże się cieszę, że mogłaś przyjść - powiedziała Leila tak, jakby nic nie mogło sprawić jej większej przyjemności. - Czy znasz senatora O'Connella? Nie? To pozwól, że cię przedstawię.

Poszła przodem, torując jej drogę do małej grupki skupionej wokół senatora, członka Komisji do Spraw Sił Zbrojnych.

- Patryku, to jest Zoe Hare z „Washington Express”. Z pewnością miałeś okazję czytać jej artykuły. Przeprowadziła kilka najlepszych wywiadów w Waszyngtonie. -Po tych słowach Leila rozpląnęła się w tłumie.

Senator natychmiast postarał się odseparować od tych, którzy go otaczali.

- Nie masz nic do picia, młoda damo - powiedział uprzejmie, trzymając w jednej ręce dzin z tonikiem, a drugą kiwając na kelnera roznoszącego napoje.

Senator uwielbiał towarzystwo młodych kobiet, a kiedy były tak atrakcyjne jak Zoe, nie zawsze udawało mu się utrzymać ręce przy sobie. Starał się jednak jak mógł, szczególnie kiedy żona była w tym samym pokoju. W zasadzie był miłym, nudnawym mężczyzną i Zoe słuchała go z szacunkiem. W każdym razie odczuwała ulgę, że w ogóle ma z kim rozmawiać. Senator rozpoczął właśnie relację ze swej wizyty w Pokoju Owalnym, gdzie stawiał się, by przedyskutować ostatnie groźby z Arabii.

- A wtedy prezydent spojrzał na mnie tymi uczciwymi oczami - opowiadał, lecz przerwała mu jakaś kobieta, która w tym momencie szybko podeszła i stanęła u jego boku.

Kiedy senator przedstawił ją jako swoją żonę, skinęła niedbale głową w kierunku Zoe i odezwała się do męża:

- Patryku, obiecałam sekretarzowi stanu, że cię znajdę. Chce porozmawiać z tobą o Arabii.

Senator obdarzył Zoe smutnym uśmiechem.

- Było mi bardzo miło panią poznać - powiedział. Żona, nie odezwawszy się do Zoe, gestem właścicielki włożyła mu rękę pod ramię i odciągnęła go dalej.

Zoe sączyła swój drink. Już parę razy zdarzyło jej się; że tak ją potraktowano, lecz musiała przecież z kimś rozmawiać na przyjęciu, na litość boską.

- Zoe! Co u ciebie? - Pewna siebie kobieta podeszła do niej szybkim krokiem.

Była prawnikiem i żoną kongresmana, a Zoe przeprowadzała z nią wywiad parę miesięcy wcześniej. Taki

typ kobiety Zoe podziwiała - miała własne dążenia, a jednocześnie nie przestawała być żoną. Z rozmowy wyrwało je nagle jakieś zamieszanie przy drzwiach i skłoniło do rozejrzenia się wokół siebie. Leila Sherman wprowadzała właśnie Pierwszą Damę.

- Och - odezwała się Zoe. Mimo że Nona Lambert była powszechnie znana z niechęci do zbytnich ceremoniałów, to otaczająca ją aura władzy była przytłaczająca.

Goście stojący w pobliżu instynktownie odstepili krok do tyłu, by zrobić wokół niej miejsce. Potem ci, którzy już ją znali, zaczęli ustawiać się tak, by móc po kolei zamienić z nią parę słów. Leila wślizgnęła się w tłum w celu wyłuskania tych, których chciała przedstawić Pierwszej Damie.

- Czy znasz ją? - spytała Zoe prawniczkę.

- Chodziłyśmy razem do szkoły - brzmiała odpowiedź. - Chcesz ją poznać?

- Bardzo.

Przesunęły się bliżej najważniejszego w tej chwili miejsca na sali, a kiedy nadarzyła się okazja, prawniczka podeszła, ciągnąc Zoe za sobą.

- Nono, wczorajszym przemówieniem niejednemu zabiłaś ćwieka w głowę. To jest Zoe Hare. Z pewnością czytałaś jej wywiady w „Expressie”.

Kiedy ścisnęły sobie dłonie, Pierwsza Dama była jednocześnie przyjacielska i odległa. Ale to właśnie było bardzo powszechne wśród polityków. Trzeba jej przyznać, że kiedy się z tobą witała, jej oczy nie wędrowały już w tym czasie do następnej osoby. W chwilę później pojawiła się Leila, przedstawiając wybitnego profesora zajmującego się badaniami etnicznymi.

Znacznie bardziej pewna siebie niż w chwili przybycia i dodatkowo wzmocniona drugim drinkiem, Zoe spędziła następną godzinę dobrze się bawiąc. Podchodziła do ludzi, z którymi już kiedyś zawarła znajomość, przedstawiała się kilku znanym z gazet twarzom i przez cały czas odkładała do magazynu pamięci zbieraną tu i tam wie-

dzę. Na sali zaczynało się już przersedzać, kiedy zobaczyła Petera.

Stał przy wejściu, przebiegając wzrokiem zebranych, więc zastanowiła się, czy dopiero przyszedł.

Kiedy ich oczy się spotkały, obdarzył ją porozumiewawczym uśmiechem.

Zoe poszukała Leili, żeby się z nią pożegnać, po czym przeszła obok Petera. Rozmawiał właśnie z szefem biura „New York Timesa”.

- Cześć, Zoe.

- Dobry wieczór, senatorze - odparła, pochylając głowę w nieznacznym ukłonie. Bardziej naturalnym tonem odezwała się do szefa biura: - Cześć, Johnny! - i poszła dalej.

- O czym to mówiliśmy? - spytała, kiedy po raz drugi tego wieczoru siadali przy stoliku z widokiem na Potomac. Butelka Sauvignon w wiaderku z lodem była do połowy opróżniona. Obok niej stała drewniana misa z sałatą, nadal nie tkniętą.

Wcześniej zjedli ciasteczka z krabów, które Zoe kupiła w drodze powrotnej z koktajlu. Miała właśnie poczęstować się sałatą, gdy Peter zaproponował krótką przerwę w jej sypialni. Po powrocie do saloniku ciemne włosy Zoe zwisały swobodnie poniżej ramion i ubrana była tylko w jedwabne kimono. Peter ubrał się, lecz koszulę miał odpiętą pod szyją.

- To jedno z moich ulubionych miejsc - powiedziała, przechylając się przez stół, by dotknąć palcem miękkiej skóry, która stanie się niedostępna, gdy Peter zapnie później górny guzik swej koszuli.

- Mówiliśmy o senatorze i pani O'Connell - odpowiedział na jej pytanie.

- A, właśnie. W żonie, która przebiega przez cały pokój, by złapać męża za ramię w tak apodyktyczny sposób, najbardziej denerwuje mnie to, że ona jest przekonana, iż pragnę go zdobyć.



- Nazywa się to „syndrom stadła” - poinformował ją Peter. - Najczęściej występuje u par, które niezbyt się wzajemnie lubią.

Zoe roześmiała się.

- Nie mogłabym znieść tego rodzaju małżeństwa - oświadczyła. - Mój system przegródek jest o wiele lepszy. Wymyśliłam go wkrótce po przybyciu do Waszyngtonu, siedząc na ławce na Lafayette Square. Mam ci powiedzieć, na czym polega?

Przykrył swoją ręką jej dłoń.

- Ponieważ nie było nikogo, wokół kogo skupiałoby się moje życie - zaczęła Zoe - nie mogłam mieć wszystkiego w jednym związku. A większość mężczyzn, których spotkałam w Waszyngtonie, była już żonata, oczywiście spośród tych, którzy w ogóle interesowali się kobietami.

Peter dolał im obojgu wina.

- Tak więc zamiast szukać księcia z bajki i stale przeżywać rozczarowania - ciągnęła Zoe - pomyślałam, że może uda mi się mieć całą skalę uczuć dzięki podzieleniu się na przegródki. Różne rodzaje przyjaźni z różnymi ludźmi.

Znowu na chwilę dotknął jej dłoni.

- Praca zawodowa, weekendy na Wschodnim Wybrzeżu, wszystko to wędrowało do swoich przegródek; dziadkowie i farma mieli swoją specjalną. A pomyśl o rozkoszy nietłumaczenia się przed nikim - powiedziała radośnie. Przez chwilę wyglądała trochę niepewnie, zanim wybuchnęła śmiechem. - Oczywiście poza moim naczelnym.

- A w jakiej ja jestem przegródce? - spytał.

- To trudniej określić - odparła, ponownie wyciągając rękę, by dotknąć tego, co nazywała „czułym punktem”, w miejscu, gdzie rozchylał się kołnierzyk. Po chwili dokończyła: - Obojętnie jak to nazwę, to, że mam tu ciebie, jest nie tylko szczęściem samym w sobie. Jest to

również rodzaj premii, która sprawia, że wszystkie pozostałe przegródki są więcej warte.  
Wkrótce potem Peter poszedł z powrotem do sypialni, by zabrać swój krawat i marynarkę.  
- Twoja zbroja - skomentowała, śmiejąc się. Jednocześnie poczuła tęsknotę. Już jej się to zdarzało, gdy  
szykował się, by wyjść do domu.

## ROZDZIAŁ 13

Gerald Scrope często wykorzystywał swą kadrę kierowniczą do dźwigania bagaży podczas podróży. Tym razem jednak leciał samotnie samolotem Concorde na szybką wizytę w Waszyngtonie. Kiedy kierowca podjechał do krawężnika Pennsylvania Avenue, Gerald spojrzął beznamiętnie przez ulicę na Biały Dom.

- Miło, że pan do nas wrócił, milordzie - powitał go portier stojący pod bogato zdobionym baldachimem przy wejściu do Hotelu Willarda.

Wewnątrz wysokiego westybulu kierownik hotelu odezwał się z namaszczeniem:

- Ma pan ten apartament co zwykle, milordzie. Wielka szkoda, że pański pobyt będzie tak krótki.

- Taaa.

Drzwi windy zdążyły się już niemal zamknąć, gdy Gerald sięgnął ponad ramieniem gońca hotelowego i nacisnął kciukiem „Stop”. Drzwi ponownie się otworzyły, a on wyszedł na zewnątrz.

- Panno Hare! - zawołał.

Dostrzegł ją, gdy przechodziła przez hol.

Była już prawie przy drzwiach frontowych, kiedy go usłyszała i odwróciła się. Zbliżając się do niego, poczuła przypływ ciekawości.

- Co pan tu robi? - spytała.

- Właśnie przyjechałem - odparł. - Jako dżentelme-

nowi - ciągnął z kamienną twarzą - nie wypada mi pytać, co pani tu robi o pół do piątej po południu. Zoe wybuchnęła śmiechem. Nie spodziewała się po onieśmielającym lordzie Scrapie, że będzie z nią niemal flirtował.

- Nic specjalnie grzesznego - odparła. - Przeprowadzałam wywiad przy herbacie. W Gniazdku - dodała. - Cóż może być bardziej konserwatywnego?

- Odlatuję dziś w nocy. Proszę wypić ze mną drinka, zanim wyjadę. Wrócę tu najpóźniej przed siódmą.

- Zgoda.

- Mógłbym zaprosić panią na drinka do swojego pokoju. Cóż może być bardziej konserwatywnego? - Uśmiechnął się. - Ale coś mi szepcze, że może woli pani spotkać się w barze. Zobaczymy się tam o dziewiętnastej piętnaście.

Obrócił się z powrotem do windy.

Apartament znajdował się na rogu Pennsylvania Avenue i Czternastej Ulicy, więc miał z niego doskonały widok na Mail, gdzie spryskiwacze toczyły beznadziejną walkę z palącym słońcem, a u wylotu alei mógł dojrzeć błyszczący Kapitol. Rzuciwszy pobieżne spojrzenie na ciężką kopułę, Gerald opadł na fotel. Jeden ze stojących pod ręką telefonów nie był oznaczony żadnym numerem. Willard potrafił zadowolić klientów, którzy chcieli mieć zagwarantowaną dyskrecję.

Przez następną godzinę Gerald był zatopiony w rozmowach telefonicznych. Kilka razy dzwonił pod ten sam numer w Austin w Teksasie.

Tylko Japończycy wyprzedzali Brytyjczyków w Ameryce, jeśli chodzi o znajdujący się w ich rękach majątek trwały. Sześć zakładów elektronicznych Scrope'a rozrzuconych było po całych Stanach Zjednoczonych. Zakłady Southwestern znajdowały się dwadzieścia mil na południe od Austin, w pobliżu Mendozy - cztery godziny jazdy samochodem lub niewiele ponad godzinę lotu od granicy meksykańskiej. W Austin miało swą siedzibę wiele firm elektronicznych i wszystkim wydawało się niezwykle umieszczenie fabryki tak daleko za miastem, na terenach, gdzie zaczynały się ogromne

rancza. Niektóre z nich były tak rozległe, że właściciele nie mieli nawet pojęcia, kiedy obcy korzystali z ich lądowisk. Na tych anonimowych, wrogich przestrzeniach pod pustym niebem rzadko spotykało się jakieś oznaki ludzkiej obecności.

Większość dwudziestoakrowego terenu Southwestern porastały kolczaste zarośla, krzewy *mesquite* oraz kaktusy kwitnące pięknie na żółto na początku lata, a wszystko otoczone było wysokim płotem pod napięciem. Była to jedyna z fabryk należących do Geralda, która nie afiszowała się z jego nazwiskiem. Nawet kiedy stanęło się blisko tablicy przyklejonej na elektronicznie zamykanej bramie, w oczy rzucał się tylko napis "Southwestern Plant", tak małe były literki, którymi na dole napisano „Scope Opportunities Ltd.”

Cały teren przepołowiony był przez wąski pas startowy. Po jego jednej stronie znajdował się hangar, po drugiej skupisko jednopiętrowych hal przemysłowych. Zamknięte wrota rampy załadowniczej tworzyły na jednej ze ścian ogromny metalowy kwadrat. Wielkie czasy anten satelitarnych wieńczyły każdy płaski dach, a z wnętrza budynków dobiegał drażniący dźwięk przypominający brzęczenie linii wysokiego napięcia.

W Teksasie było nadal wczesne popołudnie, gdy Cessna 337 zaczęła szybko schodzić ku ziemi z bezchmurnego nieba. Niecałe dwie godziny temu opuściła ona niewielkie ranczo w północnym Meksyku i nabrała paliwa w Nuevo Laredo, zanim przekroczyła granicę. Kołując do hangaru, pilot i jego towarzysz poczekali cierpliwie, dopóki nie otworzyły się podnoszone wrota. Samolot zniknął wewnątrz. Metalowe drzwi opadły, zamykając wejście.

Kilka minut później otworzyły się boczne drzwi i ukazał się Speers Jackson wraz ze swym pasażerem. Oby-

dwaj mieli na dzinsach skórzane ochraniacze, a kiedy przechodzili przez rozgrzany jak piec pas startowy w kierunku budynków fabrycznych, Pedro Lopez ściągnął sombrero nisko na czoło i zmarszczył brwi.

Ci dwaj mężczyźni byli przyjaciółmi - na tyle, na ile Amerykanin i Meksykanin mogą się przyjaźnić, robiąc wspólne interesy. Pedro Lopez skupił swą niechęć do gringo na tym jednym, który uczynił z jego córki kalekę, a potem sądził, że posyłanie co miesiąc pieniędzy kupi mu przebaczenie ojca. Kiedy Speers Jackson po raz pierwszy się do niego zwrócił, Meksykanin pomyślał, że może zarobi dość, by kazać bankowi odesłać pieniądze Milesa Brewstera. Często sobie wyobrażał, jak ciska je na posadzkę banku w Monterrey. Ten moment jeszcze nie nastąpił. Pedro Lopez był chciwym człowiekiem.

Grymas na jego twarzy jeszcze się pogłębił, gdy zbliżyli się do pierwszego budynku i hałas przybrał na sile. Zawsze nie znosił szumu. Czuł się wtedy nieswojo. Miał wrażenie, że przyczaił się tam jakiś nieznany bóg.

Kiedy zadzwonił nie oznaczony telefon, Gerald szybko uciał prowadzoną właśnie dyskusję. Pięć minut później zakończył i tę drugą rozmowę - Speers Jackson przekazał mu już wszystkie potrzebne informacje. Od razu przestawił swój umysł na czekające go spotkanie.

James był bardzo ciekaw, jaki powód kryje się za tą wizytą składaną mu w ostatnich tygodniach jego pracy na stanowisku ambasadora.

- Pragnę powiedzieć, lordzie Scrope, że jakkolwiek wolałem, żeby moje zbliżające się odejście z tego stanowiska - James obecnie tak określał swoje zwolnienie - nie zostało ujawnione tak szybko, to moja żona i ja doceniamy ten, jaki przyjął „Javelin”, opisując ten fakt.

- Oboje na to zasłużyliście - odparł Gerald, ruchem dłoni dając znak, że podziękowania są niepotrzebne, tak jakby pomaganie Whartonom w ich kłopotliwej sytuacji

było obowiązkiem „Javelin”, niezależnie od tego, czy jest to zgodne z interesem jego właściciela, czy nie. - Przejdę od razu do celu mojej wizyty, panie ambasadorze. Co zamierza pan robić po powrocie do Londynu?

James wolałby, żeby jego gość mniej bezpośrednio przechodził do tematu, co pozwoliłoby mu nieco wybadać grunt.

- Rozważam kilka opcji - odparł ostrożnie. - Dlaczego pan pyta?

- Pan i ja możemy być sobie nawzajem przydatni. -Gerald pochylił się do przodu. - No dobrze, otrzymał pan atrakcyjne oferty z różnych miejsc. Rozważmy kilka możliwości. Może pan powrócić do swojego zawodu dziennikarza zajmującego się kwestiami obronności.

Oparł się wygodniej i zapalił cygaro.

James czuł się wyjątkowo niepewnie, doznając tak dobrotliwego traktowania ze strony mało znanego sobie człowieka, mającego opinię wyjątkowo twardego rozmówcy. W końcu udzielił jednak szczerzej odpowiedzi.

- Kłopot polega na tym, że już to robiłem. Miałbym wrażenie, że staczam się po stopniach kariery. Gerald wysunął tułów do przodu i utkwiał oczy w Jamesie.

- Mógłby pan zostać prezesem jakiejś instytucji finansowej. Tam potrzebne są takie nazwiska, jak pańskie.

James nie odpowiedział. Zdążył już się przekonać, że czołowe stanowiska dyrektorskie nie poniewierały się bynajmniej dookoła, czekając, aż je ktoś podniesie. Dwie oferty, które otrzymał, nie były zbyt kuszące.

- Powiem panu, dlaczego nie powinien pan decydować się na tę opcję. Dostanie pan wysoką pensję, to prawda... - Scrope od dawna stosował z powodzeniem zasadę: nigdy nie pozwól, by druga strona domyśliła się, że wiesz, iż nie zaproponowano jej spodziewanego uposażenia chyba, że chcesz kogoś obrazić. - ... lecz jednocześnie śmiertelnie to pana znudzi. Ci prezesi i dyrekto-

rzy z City tworzą wokół siebie aurę ludzi światowych: spotkania z mężami stanu, wszystkie te bzdury. Większość z tego to blaga. Pan jest człowiekiem czynu, ambasadorze.

Początkowy niepokój, wzbudzony natarczywością rozmówcy, zaczął ustępować miejsca zadowoleniu człowieka, któremu pochlebiają.

- A gdzie pan znajdzie miejsce, w którym więcej się dzieje niż w najbardziej wpływowej angielskiej gazecie? - ciągnął Gerald. - Nie będzie pan miał wrażeń, że cofa się w karierze, jeśli wróci pan do dziennikarstwa na tak wysokim poziomie. Mówię o samym wierzchołku piramidy, panie ambasadorze. I proszę mi wierzyć, że istnieje wielka różnica między pracą dla jakiejś firmy, a prowadzeniem jej.

Będąc chłopcem, Gerald bardzo lubił wędkowanie. Teraz przypomniał sobie, jak manipulował żyłką, żeby ryba nie zdawała sobie sprawy, iż ma już haczyk w pysku.

- Myślałem o tym - przyznał James. - Właściwie taką ofertę już mi przedstawiono, ale nie chcę się na nic decydować, dopóki nie wrócę do Londynu.

Gerald jeszcze bardziej pochylił się do przodu.

- Oto, co panu proponuję - oświadczył. - Większość personelu Scrope Opportunities pracuje w Scrope Tower, ja natomiast kieruję całym przedsięwzięciem z biurowca „Javelin” na drugim brzegu Tamizy. Odpowiada mi to, że mam ze sobą tylko paru kluczowych członków personelu. Zawsze, kiedy mam ochotę, mogę przejechać przez rzekę i wpaść nieoczekiwanie, by skontrolować pozostałych kierowników - na ustach zadrżał mu cień uśmiechu - albo wezwać ich do siebie, do „Javelin”. —

Przerwał na chwilę, by pozwolić żyłce z haczykiem wniknąć głębiej. - Mam tylko dwie ręce - ciągnął dalej, patrząc na swe szerokie dłonie spoczywające na udach. -A przydałaby mi się trzecia, ambasadorze.

Nawet wtedy to sformułowanie wydało się Jamesowi



dziwne. Ktoś inny powiedziałby raczej, że potrzebuje kogoś u swego boku. W istocie Miles tak właśnie powie-

Gerald mówił dalej:

- Często wyjeżdżam. Potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać, kto potrafi właściwie ocenić, które decyzje może podjąć podczas mojej nieobecności, co może poczekać a co trzeba mi przedstawić natychmiast, gdziekolwiek bym był. - Przerwał. - A to za ledwie początek

James czekał, zaintrygowany.

- Potrzebny mi ktoś z pańskim doświadczeniem do sprawowania w „Javelin” kontroli nad zespołem zajmującym się obronnością. Scrope Electronics wykonuje diabelnie dużo części do skomplikowanego uzbrojenia. Chcę mieć eksperta do spraw obronności posiadającego jednocześnie szerokie kontakty międzynarodowe. Chciałbym żeby został pan moim osobistym doradcą do spraw obronności, panie ambasadorze.

Usiadł prosto.

James odezwał się po dłuższej chwili.

- Żeby to było jasne. Chcę pan, żebym został drugim po panu w pańskiej firmie. Czy oznacza to, że kiedy wciągnę się już do tej pracy, będę numerem drugim jeśli chodzi o podejmowanie decyzji dotyczących wszystkich działów Scrope Opportunities: mediów, elektroniki i tak

- Będzie pan numerem drugim, kropka - odparł Gerald. - Reszta kierownictwa będzie panu podlegać. Poinformujemy media, że zostanie pan moim *chef de cabinet*. - Jego twarz zupełnie nie zdradzała pogardy, jaką odczuwał, dodając ów tytuł na przynętę. Było to coś, co ten cholerny elegancki świat bardzo sobie cenił

- Rozumiem - brzmiała odpowiedź typowa dla angielskiego dżentelmena, który chce wyrazić swe zainteresowanie, nie zobowiązując się jednocześnie. - Czy zdecydowałbym także, co „Javelin” będzie drukował na temat obronności?

- Byłby pan w hierarchii nad kierownikiem tego działu - odparł ostrożnie Gerald.

James, którego ambicja otrzymała niedawno tak potężny cios, teraz, myśląc o randze proponowanego stanowiska, nie zauważył niejasności odpowiedzi na swoje pytanie.

- Pewnie będzie pan też chciał wykorzystać moje znajomości do pozyskiwania kontraktów dla Scrope Electronics.

- Cóż, jest to powiedziane raczej brutalnie, ale tym lepiej. Mimo tak różnego pochodzenia, pan i ja będziemy zapewne w stanie dobrze się porozumieć. - Po raz pierwszy Gerald szeroko się uśmiechnął.

- To, czego pan potrzebuje, panie ambasadorze, to praca, która pozwoli panu zrobić użytek ze swych zdolności i doświadczenia. Oferuję panu wpływy, działanie, prestiż i pieniądze.

Po chwili milczenia James spytał:

- O jakiej kwocie mówimy?

- To najprostsza kwestia - powiedział szczerze Gerald, ponownie się uśmiechając. - Dwukrotne pańskie uposażenie jako ambasadora; pierwszeństwo przy zakupie akcji Scrope Opportunities poniżej wartości nominalnej; normalne dodatki odpowiadające pańskiej randze *chef de cabinet*: samochód z kierowcą i tak dalej.

James poczuł się nieco zawstydzony, odkrywszy, że te „dodatki” tak wiele dla niego znaczą. Kiedy się człowiek do czegoś przyzwyczai, trudno się bez tego obyć.

Było w tym jednak coś jeszcze. Uświadomił sobie, że fascynuje go rola zaufanego zastępcy Geralda Scrope'a - dwa końce skali towarzyskiej: człowiek bez ogłady, który sam doszedł do wszystkiego, i wymuskany dżentelmen. Na swój sposób idealny duet.

- To bardzo atrakcyjna propozycja - odezwał się głośno. - Potrzebuję kilku dni, aby to przemyśleć.

Istnieje pewna trudność. Jak już wspomniałem, otrzymałem ofertę od innej gazety. Dla przyczyn, w które nie chcę teraz

wchodzić, ta oferta nie mogła być jeszcze wiążąca, ale wyraziłem swoje zainteresowanie.

Powieki Geralda opadły tak, że jego ciemnoniebieskie oczy wydawały się teraz czarne.

- To już zależy od pana, ambasadorze. Przyleciałem z Londynu specjalnie, by przedstawić panu tę propozycję. Moja oferta jest wiążąca. Może pan ją przyjąć lub odrzucić. Proszę myśleć nad nią tak długo, jak pan chce, pod warunkiem, że otrzymam pańską odpowiedź, zanim opuszczę to pomieszczenie.

Po chwili James zerwał się na nogi i zaczął spacerować po pokoju.

Zoe przysłała na spotkanie prosto z pracy. Kiedy wyskakiwała z taksówki przed hotelem, minęła już siódma piętnaście. Kilka osób znajdujących się w holu uśmiechnęło się na widok młodej kobiety w surowym kostiumie z trochę nie pasującym do niego końskim ogonem, która - mimo wysokich obcasów - stawiała wielkie kroki, żeby nie musieć biec.

Półmrok panujący w barze Round Robin zawsze zmuszał ją do zatrzymania się na chwilę, zanim wzrok się przyzwyczaił. Wreszcie dostrzegła go na podwyższeniu w rogu. Kiedy podeszła do stolika, Gerald nawet nie udawał, że zamierza podnieść się na nogi.

- Czy zawsze się pani spóźnia, panno Hare? - spytał tylko.

- Odpowiem panu, jak tylko złapię oddech - odparowała. - Nie mogłam się wcześniej wyrwać z pracy.

Przepraszam, że musiał pan czekać.

Kwitując to niedbałym ruchem ręki, zapytał:

- Czego się pani napije?

- Najchętniej szkockiej.

- Duża Famous Grouse dla tej młodej damy - powiedział do kręcącego się w pobliżu kelnera. Ten uznał za stosowne sam spytać, czy Zoe wolałaby może gatunek szkockiej modny obecnie w Stanach.

Spokojnym głosem Gerald stwierdził:

- Akustyka jest tu równie marna jak w więzieniu, chłopie. Powiedziałem, że chcę dużą Famous Grouse dla młodej damy.

Kelner zeszywniał i pospiesznie odszedł.

- Jak długo pracuje pani w „Expressie”, panno Hare?

- Pięć lat. Zaraz po college'u dostałam pracę w „Philadelphia Enquirer”. Potem przeszłam do „Expressu” jako reporterka. Dość szybko zaczęłam pisać artykuły publicystyczne.

Kelner wrócił z jej szkocką. Gerald obserwował, jak pociąga pierwszy łyk.

- Do jakiego college'u pani chodziła?

- Do Vassar.

- Czy pani rodzina jest bogata? Zoe roześmiała się.

- Nie trzeba być bogatym, żeby studiować w Vassar. Zdobyłam stypendium. - Zdecydowała się pociągnąć solidny łyk whisky.

- A gdzie przedtem chodziła pani do szkoły?

- Powinam była przynieść swój życiorys - odparła zakłopotana i poruszona jego sposobem prowadzenia rozmowy. - Chodziłam do szkoły publicznej w stanie Vermont. Publicznej w sensie amerykańskim. Jeśli chce pan wiedzieć, czym do niej dojeżdżałam, to mogę to też zdradzić.

Mieszkałam na farmie, więc zabierał mnie szkolny autobus.

Gerald uśmiechnął się.

- Czy była pani kiedyś zamężna?

Tego już było dla niej za wiele. Wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Nie. Mam panu powiedzieć dlaczego, lordzie Scrope? Ponieważ należę do grupy mniej więcej dziesięciu procent Amerykanów, którzy mieli naprawdę szczęśliwe dzieciństwo. Połowa ludzi, których znam, jest przekonana, że mają zmarnowaną przyszłość z powodu swojego dzieciństwa. - Znowu wypła łyk whisky. - Ich rodzice roze-

szli się - ciągnęła. - Albo nie mogli się z nimi porozumieć, albo w rodzinie zdarzyło się coś strasznego. Tak więc dziecko nie miało swego życiowego wzorca. Toteż -wlewała w siebie whisky szybciej niż zazwyczaj i to na pusty żołądek - ich własne małżeństwa były od początku skazane na przegraną. Moja sytuacja jest dokładnie odwrotna, lordzie Scrope. - Doszła do wniosku, że ciągle używanie nazwiska rozmówcy jest zaraźliwe. - Małżeństwo moich dziadków, oni mnie wychowywali, było wyjątkowe. Jeśli nie będę mogła mieć podobnego, a w Waszyngtonie widziałam doprawdy niewiele przykładów tego, co nazwałabym dobrym małżeństwem, to raczej sama pociągnę ten wózek. Lordzie Scrope - dodała z pewnym opóźnieniem. - Co za długi monolog. - Umilkła.

- To było ciekawe, panno Hare. Nigdy w życiu nie przeczytałem żadnego życiorysu. One nic człowiekowi nie mówią o prawdziwej osobie.

Skinął na kelnera, żeby przyniósł dwa następne drinki.

- Czy to będzie bezczelność, jeśli ja również zadam pytanie?

- To wolny kraj, panno Hare. A przynajmniej tak mówią.

- Co pan robi w Waszyngtonie?

- Interesy. Stale interesy. Wpadnę do paru redaktorów naczelnych, skoro już tu jestem. I mam oczy otwarte na talent, panno Hare.

Nastał moment ciszy. Potem Gerald spytał: - Jak się pracuje dla Milesa Brewstera?

- Jeśli jest się dziennikarzem, to rzadko się go widuje - odparła. - Gdy schodzi do pokoju redakcyjnego, to po to, by spotkać się z naczelnym. Człowiek przez cały czas ma świadomość, że on tam jest na najwyższym piętrze. Nawet jeśli go nie widać, to i tak wszyscy wiedzą, że to on kieruje tym przedstawieniem.

- Jak Bóg - skomentował Gerald.

Coś w jego głosie sprawiło, że Zoe się zawahała. Lepiej

będzie zachować ostrożność, mówiąc Geraldowi cokolwiek o Milesie.

- Co się stało z jego nogą? - spytał.

- Nic nie wiem, poza tym, że był to wypadek samochodowy.

- Czy nie uważa pani tego za niezwykle, panno Hare, że w przypadku człowieka tak znanego jak Miles Bre-wster robi się taką tajemnicę ze sprawy, którą większość ludzi traktowałaby zupełnie zwyczajnie? Poruszyła się niespokojnie na swym krześle.

- Ja również mam w swoim życiu sprawy, o których nie chciałabym publicznie dyskutować. A pan nie?

- Nie rozmawiamy o mnie, panno Hare. - Spojrzał na zegarek i poprosił o rachunek. Podnosząc się, dodał jeszcze: - Musimy się ponownie spotkać, panno Hare.

Chociaż wychodzili z baru razem, czuła, że kontakt między nimi został zerwany. W holu skinął jej głową na pożegnanie, a na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia.

## ROZDZIAŁ 14

Na prywatnym spotkaniu pożegnalnym miało być ich tylko czworo. Rodzina Whartonów miała wrócić do Londynu w przyszłym tygodniu. Marigold spojrzała na zegar stojący na kominku w sypialni. Miles się spóźniał. Wreszcie usłyszała chrzęst ciężkich opon, gdy jego samochód podjeżdżał do wejścia. Kiedy tylko znalazł się w pokoju, powiedział podekscytowany:

- Wyobraź sobie, że dostałem „Dispatch”! Komisja do Spraw Monopoli odrzuciła ofertę tego sukinsyna. Za parę dni ukaże się komunikat.

- Och, Milesie, czy to znaczy, że przeprowadzamy się do Londynu?

- Tak.

Zerwała się ze stołka przy toalecie, przeszła przez pokój i stanęła tuż przy nim, z oczami jaśniejącymi szczęściem. Nie zdążyła jeszcze włożyć sukienki, więc I jego wzrok powędrował ku jej piersiom wznoszącym się ponad koronką stanika.

- Uwielbiam zapach twoich perfum - powiedział. Palcem wskazującym przesunął po krzywiznie jednej piersi, potem drugiej.

Wspięła się na palce, by przyłożyć swój policzek do jego, przechylając głowę tak, żeby nie zburzyć fryzury. Potem odsunęła się i uniosła jego rękę przed sobą, jakby studiując ją, zanim położyła jego palec z powrotem na swej piersi. To, co czuła w zetknięciu z szorstką agre-

sywnością Geralda Scrope'a, zostało wymazane. Nie miało to nic wspólnego z jej miłością do Milesa i dumą z niego.

Miles roześmiał się miękko, słysząc lekki syk, który nieraz wydawała przez zęby jak rozzłoszczony kot.

- Jeśli nie chcesz od początku robić makijażu i układać włosów - powiedział ochryłym głosem - to lepiej włóż szybko tę sukienkę.

Miles był poruszony kontrastem między publicznym wizerunkiem Marigold - pewnej siebie, a nawet wyniosłej, a niepewnością, którą nieraz przed nim prezentowała. Pod płaszczykiem uwodzicielskiego zachowania kryła się potrzeba utrzymania wysokiej pozycji towarzyskiej i pragnienie, żeby wszyscy zauważali tę pozycję -co czasami go drażniło. Jednak, kiedy tylko dostrzegła jego irytację, starała się ją rozproszyć, przywołując cały swój urok jak podniecona dziewczynka, która właśnie otrzymała od dawna wymarzony prezent.

Miles spotkał jej ojca dwa razy w życiu i nie miał ochoty poznawać go lepiej. Odnoszący sukcesy prawnik z Surrey zdawał się rozkoszować poniżaniem własnej żony, chlubiąc się swoimi romansami. Marigold twierdziła, że kochanki traktował równie okrutnie, najpierw im nadskakując, a potem przechwalając się swymi podbojami, gdy tylko spodobała mu się następna.

Od wczesnego dzieciństwa przyswajała sobie te nauki, biorąc z niego przykład - skoro mężczyznom nie można ufać, a kobiety są od nich zależne, to musi udawać, żeby przetrwać. Jednak tej części swojej osobowości nigdy nie ujawniła przed Milesem.

Wykorzystywanie instynktownych umiejętności do osiągania własnych celów stało się tak dalece jej drugą naturą, że nie zawsze potrafiła rozróżnić, które z reakcji są szczerze, a które udawane. Tylko fizyczny pociąg do Milesa nie był udawany. A wdzięczność za poziom życia, jaki jej zapewnił, również była szczerą.



Podczas nielicznych wieczorów, gdy jedli spokojnie w domu, jego obecność nadawała znaczenie godzinom, które były puste, jeśli spędzała je samotnie. Dopiero w towarzystwie jej piękność jaśniała pełnym blaskiem. Podobnie jej inteligencja. Marigold pozostawiona sama sobie, czuła się niespokojna.

Kiedy ich samochód skręcał w Massachusetts Avenue, oczami wyobraźni widziała już Londyn. Jeśli uda się to przeprowadzić, to zamieszkają w tych wielkich apartamentach na St James's Place, w słynnym modernistycznym bloku zaprojektowanym przez Denysa Lasduna wychodzącym na Green Park. Jeśli Miles zdecyduje się zapłacić znacznie powyżej ceny rynkowej, to może uda się kogoś namówić do sprzedaży mieszkania.

Marigold rzadko myślała o zmarłym pierwszym mężu. Wymagało od niej wielkiego wysiłku, żeby w ogóle przywołać jego obraz. Natomiast żywe były w jej pamięci wspomnienia ludzi i miejsc, z którymi ją zapoznał. Jeden z jego przyjaciół, dziedzic książęcego tytułu, mieszkał w bloku Lasduna i ilekroć stary earl z Marigold byli u niego, obiecywała sobie, że pewnego dnia ona również będzie przyjmować gości w takim zapierającym dech mieszkaniu. To prawda, że dom w Georgetown miał wspaniałe pokoje do wydawania przyjęć, a wykończonego piaskowcem domu przy nowojorskiej Upper East Side zazdrościli jej wszyscy, lecz blok Lasduna należał do zupełnie innej kategorii. Z niego goście mogliby z podziwem spoglądać w dół na płatany w Green Park.

Głos Milesa wdarł się w jej sny na jawie.

- Już jesteśmy. Nie mogę się doczekać, kiedy powiem Jamesowi o „Dispatch”.
- Zamierzasz złożyć mu dziś wiążącą ofertę?
- Oczywiście. Powinno to ogromnie poprawić jego stan psychiczny.

James przywitał ich przesadnie serdecznie. Ludzie często tak robią, gdy czują się zakłopotani.

- Marigold, czy pozwolisz, że Miles i ja przyłączymy się do ciebie i Jancie za dziesięć minut? Muszę koniecznie o czymś z nim porozmawiać.

Świetnie, pomyślał Miles, powiem mu teraz.

- Myślę, że moglibyśmy wypić drinka w ogrodzie. W cieniu powinno być dostatecznie chłodno - zaproponował James.

Wilgotny letni upał z zawziętością trzymał Waszyngton w swym uścisku.

- Wy, Anglicy, macie jakąś niesamowitą odporność na upał. Już wcześniej to zauważyłem.

Wyjeżdżacie na wakacje do bram piekła - powiedział Miles, kiedy schodzili po kamiennych stopniach, by zanurzyć się w powietrzu przypominającym turecką łaźnię. - Mam ci coś do zakomunikowania - dodał. - Myślę, że się ucieszysz.

Otoczyły ich krzewy angielskich róż. Na rozciągającym się przed nimi trawniku spał koń z brązu autorstwa Elisabeth Frink.

Kiedy tylko usadowili się w cieniu klonu na ławeczkach z prostymi oparciami, James odezwał się:

- Zanim powiesz mi to, co chciałeś, posłuchaj mnie przez chwilę. Twoja prawdopodobna oferta ciekawej, zajmującej pracy, była jak lina ratunkowa. Nigdy tego nie zapomnę. - Zawahał się. -

Powiedziałeś również, że jeśli do tego czasu znajdę coś innego, to mnie zrozumiesz. -Przez chwilę miał ochotę przerzucić winę na barki Milesa, za to, że zostawił go w sytuacji, w której mógł przyjąć inną ofertę. Byłoby to jednak zbyt niehonorowe. Brnął więc dalej. - Kilka dni temu rzeczywiście otrzymałem inną ofertę. Miała dwie istotne zalety. Pierwsza to większy zakres działalności: będę drugi rangą nie tylko we wpływowej gazecie, lecz również w całym koncernie.

Dziwne światełko mignęło przez moment w oczach Milesa.

- Druga to to... - James starannie rozważał każde słowo, aby pokonać zakłopotanie. Chciał wyjaśnić, że lepiej przyjąć pracę od człowieka obcego, gdyż nikt nie

przypuści, że zaproponował ją z litości. Lecz Miles przerwał mu.

- Przyjąłeś tamtą ofertę?

- Tak.

- W takim razie, kto złożył ci tak niezwykle atrakcyjną propozycję? .

- Lord Scrope - odparł James, mając nadzieję, że jego zażenowanie nie jest wyraźnie widoczne. Jeśli uda mu się ukryć poczucie, że zdradził Milesa, to może przyjmie on to jako decyzję związaną wyłącznie z interesami - tak w istocie było - a niejako swego rodzaju przejście do obozu wroga. - Czy chcesz poznać pozostałe powody, dla których się na to zdecydowałem?

- Nie.

Miles podniósł się.

- W ciągu dwóch dni ukaże się komunikat, że to ja dostałem „Dispatch”. Miałem zamiar złożyć ci dzisiaj wiążącą ofertę współpracy - stwierdził beznamiętnie, zupełnie jakby rozmawiał o pogodzie. - Nigdy nie miałem okazji przyjrzeć się dokładnie koniowi Elisabeth Frink. Przejdę się tam, zanim się wszyscy spotkamy.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Scrope'em kierowała głównie chęć wydarcia mu Jamesa. To było pewne. Tylko skąd, u diabła, ten sukinsyn dowiedział się o zamiarach Milesa? Nagle odpowiedź zjawiała się sama - Jancie powiedziała temu pieprzonemu Fleetowi.

Wyciągnął rękę i dotknął szyi konia z brązu leżącego tak spokojnie na trawie. To śmieszne, żeby odbierać jako osobistą zdradę fakt, iż James przyjął niewątpliwie trudną do odparcia propozycję Scrope'a. Dlaczego, do cholery, nie miałby jej przyjąć? Miles potrząsnął głową na myśl, jak złośliwie ułożyło się wszystko w czasie. Dużym wysiłkiem woli postanowił przejść nad tym do porządku dziennego; dąsanie się było tylko stratą energii. Niemniej jednak cała ta sprawa napełniła go goryczą.

Wewnątrz domu korytarz z marmuru i łupkowych płytek prowadził do pokoi recepcyjnych. Zupełnie, jak-

bym szedł po jakiejś cholernej szachownicy, pomyślał. Zastał wszystkich sączących szampana. Jancie podskoczyła, żeby go przywitać. Jasny uśmiech nie mógł przesłonić opuchniętych od płaczu rysów. Żadne z nich nie było w dobrym humorze.

Kiedy tylko podnieśli się od stołu po obiedzie, Miles powiedział:

- Jutro wszystkich nas czeka ciężki dzień.

- Co tam się działo dziś wieczorem? - spytała Marigold, gdy znaleźli się w samochodzie. - Wszyscy wiemy, że Jancie przeżywa załamanie nerwowe. Ale co zaszło między tobą i Jamesem? Sądziłam, że miałeś zamiar przekazać mu dziś dobre wieści.

Miles wpatrywał się w mijane budynki ambasad, z których każda prezentowała odrębną kulturę.

Kopuły i minarety Centrum Islamu robiły zwodnicze wrażenie zabawek.

- Miles?

Nie odwracając wzroku od szyby, odpowiedział na jej pytanie.

- Byliśmy nieco spięci, gdyż James zdążył już przyjąć ofertę złożoną mu przez lorda Scrope'a.

Światem rządzą domorośli politycy i astrologowie, a teraz jeszcze lord Scrope. James ma zostać drugim po bogu w całym jego królestwie, a przynajmniej tym go skuszono. Będzie też zastępcą wydawcy gazety, która jest głównym rywalem „Dispatch”. Wymyśliłabyś coś lepszego? Wspaniała wiadomość. Po prostu wspaniała. Pieprzyć to.

Jechali jakiś czas w milczeniu, dopóki Marigold nie odezwała się spokojnie:

- Nie sądzę, żeby lord Scrope pozwolił komukolwiek być swoim zastępcą.

- Wiesz co, kochanie, jesteś niezwykle spostrzegawcza.

Położył czule rękę na jej dłoni, przeprasząc w ten sposób za to, że jest tak denerwujący.

- Czy on wiedział, że to ty chciałeś zatrudnić Jamesa? - ciągnęła.
- Możemy tak założyć.
- Czyli to byłaby dostateczna przyczyna, aby „kupić” Jamesa - dokończyła. Oboje rozumieli mentalność rywala.

Kiedy samochód przejeżdżał przez most ponad Rock Creek Park, zauważyła, że niebo jest granatowe i pomyślała o Geraldzie Scropie. Fascynował ją jako przeciwnik.

## ROZDZIAŁ 15

Zoe nigdy przedtem nie była wzywana do biura Milesa. Właśnie kiedy ją wprowadzono, zadzwonił telefon i Miles gestem ręki pokazał jej kanapę. Jednak zamiast usiąść, podeszła do okna i spojrzała w dół.

- Zawsze, kiedy wychodzę stąd i idę M Street, przyglądam się temu niebieskiemu, drewnianemu domkowi - wyjaśniła, gdy skończył rozmowę i stanął obok niej.

- Ja z kolei snułem marzenia o zamieszkaniu w nim. Nagle oboje odsunęli się od okna.

Jej ubiór stanowił żartobliwe naśladownictwo męskiego garnituru w drobne prążki; składał się z wąskiej spódnicy i nie zapiętej marynarki ukazującej biały T-shirt. Tym razem błyszczący warkocz był przepleciony grubym, czarnym sznureczkiem, co, jak się domyślał, stanowiło jego wersję biurową. Usiadła wyprostowana na kanapie, swobodnie zakładając nogę na nogę. Pojął język jej ciała - pewna siebie, czujna, kobieca. Usiadł naprzeciw niej odprężony, wyciągając nogi.

- Poprosiłem, żebyś przyszła, gdyż chcę przedstawić ci pewną propozycję. Jak bardzo jesteś przywiązana do Waszyngtonu?

- Uwielbiam pracę w Waszyngtonie. Stanowi ogromny kontrast w stosunku do miejsca, gdzie dorastałam. Każde z tych miejsc lubię w inny sposób.

- Vermont - powiedział. - Tak, wiem.

Fakt, że wychowywali ją dziadkowie na farmie nad

jeziorem Champlain nie był żadną tajemnicą, niemniej zdumiało ją, że on o tym wie.

- Więcej niżbyś przypuszczała - dodał.

Co ma na myśli? Więcej o Vermoncie, czy więcej o niej? Zauważył, że lekki rumieniec zabarwił jej policzki. Odpowiedziała na jego pierwsze pytanie.

- Nie jestem przywiązana do Waszyngtonu jako takiego. To praca stanowi o jego atrakcyjności.

Żadnego odniesienia do życia osobistego, zauważył.

Oderwała od niego wzrok i spojrzała na wiszący za nim obraz. Było coś wzruszającego, a jednocześnie pełnego seksu w tym, jak przedstawiony został każdy włos z czarnych brwi Fridy Kahlo. Wróciła spojrzeniem t do Milesa - dopełnienia wizerunku meksykańskiej kobiety, który wybrał na swą ścianę. Czy sparaliżowana dziewczyna była podobna do Kahlo? Dziwny mężczyzna.

- Myślałaś kiedykolwiek o pracy po drugiej stronie Atlantyku? - spytał. - W Londynie?

Siedziała cicho, czując ogromne napięcie. Pragnęła, żeby wypowiedział swoją propozycję, zanim ona cokolwiek odpowie.

On natomiast czekał, chcąc sprawdzić, jak sobie poradzi.

- Czy rozmawiamy o londyńskiej filii „Expressu”? - spytała.

- Być może.

Nie próbowała ukryć poruszenia, które odzwierciedliło się na jej twarzy.

- Zawsze pragnęłam pracować w Londynie - powiedziała.

- Świetnie.

Znów czekała. Czy to możliwe, żeby chciał jej zaproponować kierowanie londyńskim biurem „Expressu”? To stanowisko otrzymywali zazwyczaj starsi dziennikarze. Bardziej prawdopodobne, że po prostu powiększa personel.

- Przenoszę swoją kwaterę główną do Londynu.

- Co?

- Kupiłem „London Dispatch”. Wkrótce zostanie to ogłoszone.

Była tak zdumiona, że jej wypracowane opanowanie zniknęło, a twarz była teraz otwarta jak u dziecka.

- Cieszyłem się co prawda, że jestem właścicielem „Expressu” - ciągnął - lecz miałem wrażenie, że siedząc na górze, w zarządzie, uprawiam rodzaj zdalnego sterowania. Marzę o czymś bardziej bezpośrednim.

Uderzyła ją siła wyrazu jego oczu.

- W „London Dispatch” mam zamiar być jednocześnie wydawcą i redaktorem naczelnym, naczelnym widocznym dla wszystkich, siedzącym w biurze obok pokoju redakcyjnego.

- Jak, u licha, będziesz w stanie zarządzać tutejszą korporacją, będąc jednocześnie pełnoetatowym redaktorem? - spytała Zoe. Jej zdumiony ton zdradzał niedwuznacznie, że uważa ten pomysł za niedorzeczny.

Miles zaśmiał się.

- Myślisz, że popadłem w megalomanię. Może i masz rację, ale nie jest to aż tak przesadna liczba obowiązków, jak myślisz. „Dispatch” będzie gazetą walczącą. Zamiast kierować całą kampanią zza kulis, stanę na pierwszej linii. Nie będzie to pierwszy przypadek, kiedy właściciel czasopisma objął równocześnie stanowisko redaktora naczelnego.

Niepewny i zaciekawiony wyraz twarzy Zoe najwyraźniej go bawił.

- Posłuchaj, bardzo dużo myślałem o telewizyjnej części Brewster Media Corporation i przyszłość należy niewątpliwie do telewizji kablowej. Ale jest to głównie rozrywka lub muzyczne kawałki. Mnie natomiast interesuje słowo drukowane. Wpływ, jaki mają gazety. - Widział po jej twarzy, że nadal dręczą ją jakieś wątpliwości. - Nie twierdzę, że będę przesiadywał w pokoju redakcyjnym dniami i nocami - powiedział. Uświadomił sobie jednocześnie, że pragnie ją przekonać, iż jego zamiary



nie są kompletnym szaleństwem. - Mam silny, zgrany zespół, który poprowadzi poszczególne działy gazety. Jedyna istotna zmiana to to, że przestanę być niewidoczny. Stały kontakt z dziennikarzami spowoduje, że będą odpowiedzialni bezpośrednio przede mną.

- Tego właśnie pragniesz? Więcej kontaktów z dziennikarzami? Większość ludzi przebiegłaby z chęcią parę kilometrów, żeby tylko nas uniknąć - odparła Zoe.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- To zależy, jak przypuszczam, od tego, o których dziennikarzach mówimy.

Poczuła, jak gdzieś w środku narasta w niej nowe, zupełnie odmienne napięcie. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

Potem Miles mówił dalej:

- Prawdę mówiąc, to nie chcę z tobą rozmawiać o londyńskiej sekcji „Expressu”. Chcę ci raczej zaproponować przejście do pracy w „London Dispatch”.

Zaśmiała się dziwnym, urwanym śmiechem, który zabrzmiał jak głośniejszy wydech.

- Większość decyzji personalnych będzie musiała poczekać, aż znajdę się na miejscu, w Londynie - wyjaśniał dalej Miles - lecz dział publicystyczny jest tak straszliwie bezwładny, że od razu zdecydowałem się wymienić jego kierownika. Wtedy pomyślałem o tobie. Masz świetne wyczucie, jak trzeba pisać publicystykę, żeby artykuł wciągnął czytelnika.

Nie poruszyła się.

- Po zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że może lepiej wykorzystać twoje talenty do przeprowadzania wywiadów. Lepiej dla „Dispatch” i lepiej dla ciebie. Jeśli wyrobisz sobie nazwisko dobrej publicystki w Londynie, to będziesz miała diabelnie mocną pozycję po obu stronach Atlantyku.

- W jego oczach pojawił się błysk obawy. - I co ty na to?

Bez najmniejszego wahania odparła:

- Bardziej odpowiada mi druga propozycja. Sądzę, że

poradziłabym sobie z administracyjnymi sprawami, które wiążą się z kierowaniem działem. Ale zdecydowanie wolę pisanie.

- Utrzymanie w Londynie jest drogie - oznajmił jej. Koszty przeprowadzki ich domu do Londynu uświadamiano mu codziennie; jego agent zapłacił bajońską sumę, żeby zdobyć mieszkanie, na którym tak zależało Marigold. - Zamierzam zaproponować ci sporą podwyżkę.

Wymienił sumę, której nie mogłaby odrzucić, chyba że inne względy powstrzymałyby ją przed wyjazdem do Londynu. Mogła przecież mieć tu jakieś prywatne życie, z którego nie chciałaby rezygnować.

- To bardzo atrakcyjna propozycja - odezwała się. - Czy mogę się nad tym zastanowić?

Spojrzał na zegarek.

- Właśnie minęło południe. Zaśmiała się.

- Okay. Zawiadomię cię przed końcem dnia.

Kiedy tylko wróciła do swego biurka, natychmiast zadzwoniła do Petera. Nie było go w biurze.

Wzięła więc kanapkę i poszła na Lafayette Square znajdujący się w odległości zaledwie dziesięciominutowego spaceru. Burza, która przeszła nad miastem poprzedniej nocy, oczyściła powietrze i było dostatecznie chłodno, żeby z przyjemnością posiedzieć w najbardziej uczęszczanym parku stolicy.

Tylko kilka ławek było zajętych. Chuda, mała dziewczynka ciągnęła przez słomkę pepsi, podczas gdy siedząca obok niej kobieta, zapewne młodsza, niż się wydawało, szperała zawzięcie w czarnej, plastikowej torbie. Mężczyzna o zmierzwionej brodzie - prawdopodobnie spędził tu noc na ławeczce - w wielkim skupieniu związywał zerwane sznurowadło tenisówek. Dwóch schludnych, młodych mężczyzn w letnich garniturach - może urzędników bankowych - rozmawiało z przejęciem, odwijając

swoje pizze. Lafayette Square, leżący w najbardziej prestiżowej części Waszyngtonu, cieszył się tak baczным zainteresowaniem policji, że nawet najbardziej zuchwali handlarze narkotyków nie skusili się, by tu prowadzić swój proceder. Ławeczka stojąca przodem do Białego Domu była pusta, lecz Zoe wybrała tę naprzeciw domu Decatura.

Będąc dzieckiem, nieskończenie wiele razy błagała dziadka: „Opowiedz mi jeszcze raz o Stephenie Decaturze”.

Za każdym razem to samo, okropne zakończenie.

Decatur, który zmusił do odwrotu śródziemnomorskich korsarzy mających przewagę nad Anglikami podczas wojny w 1812 roku, wydawał się Zoe najbardziej fascynujący ze wszystkich bohaterów:

***Nasza ojczyzna! Oby w stosunkach z innymi nacjami słuszość była zawsze po jej stronie. Lecz jeśli nawet nie będzie, to i tak pozostaje naszą ojczyzną!***

Gdy dziadek dochodził w swej opowieści do jej pokojowej części, kiedy to Decatur osiadł wraz z żoną w domu zaprojektowanym dla niego przez najlepszego architekta w Waszyngtonie, Zoe siedziała w napięciu, czekając na pojedynek, w którym straci on życie.

Teraz podzieliła stronę notatnika na dwie części -jedną dla „Washington Express”, drugą dla „London Dispatch”. To dziadek nauczył ją tej metody, jako najlepszego sposobu na podejmowanie trudnych decyzji. Wzdłuż kolumn wypisuje się różne okoliczności, oceniając ich wagę w skali od jeden do dziesięć. Czasami wpisuje się nawet moralność - „Wielkie słowo na to, co uważasz za słuszne, a co nie”, stwierdził dziadek.

Potem dodaje się punkty w obu kolumnach. Pewnego razu załapała się łzami, gdyż stwierdziła, że ostateczny rezultat jest zupełnie niezgodny z jej pragnieniem. Wtedy jednak dziadek powiedział, że czasem można trochę oszukiwać, gdyż ten system nie został przetestowany na wszelkie okoliczności. Natychmiast obniżyła liczbę pun-

któw w kolumnie dotyczącej aspektów praktycznych i w ten sposób szala przechyliła się na korzyść rozwiązania, które - z czego nie zdawała sobie przedtem sprawy - wolała.

Siedząc teraz na ławeczce, była już bliska napisania na pierwszym miejscu „Peter”, lecz zdecydowała, że lepiej zacznie od swojej kariery zawodowej.

A więc tak. W Waszyngtonie znano już jej nazwisko i o wiele łatwiej mogła uzyskać zgodę ważnych figur na wywiad. Pewność pracy dziennikarskiej gwarantowana (10 punktów dla „Expressu”).

W Wielkiej Brytanii nikt o niej nigdy nie słyszał. Wiąże się z tym zaczynanie wszystkiego od początku. Wiadomo też, że w brytyjskich mediach panuje silne współzawodnictwo, gdyż wszystkie większe gazety wydawane są w jednym mieście i rywalizują ze sobą (dwa punkty w kolumnie „Dispatch”).

Peter. W ciągu sześciu miesięcy zżyli się ze sobą bardziej, niż się spodziewali. Był jej jedynym powiernikiem. Stanowił punkt ogniskowy życia uczuciowego. Oboje wiedzieli, że „to donikąd nie prowadzi”. Do tej pory odpowiadało im to, dodawało smaczku każdemu spotkaniu. Może, gdyby Peter nie był żonaty, pragnęłyby, żeby odgrywał większą rolę w jej życiu. Całkiem możliwe, że już odgrywał większą, niż była skłonna przyznać. To byłoby katastrofalne. Kto wie, czy to nie on był rzeczywistą przyczyną, która powstrzymywała ją przed skokiem do Londynu. W takim razie, może powinna się zdecydować na ten krok (po 7 punktów w obu kolumnach).

Farma dziadka. Będąc w Waszyngtonie mogła łatwo -no, powiedzmy, w miarę łatwo - jeździć nad jezioro Champlain (10 punktów). Londyn jest po drugiej stronie oceanu (1 punkt).

Kolumna „Expressu” wygrywała zdecydowanie.

Potem dopisała wyzwanie. Skoro jej szef był zdania, że może odnieść w Londynie sukces, to dlaczego ma

stchórzyć i nie spróbować? Przecież zaledwie kilka lat temu w Waszyngtonie również nikt o niej nie słyszał. Jeśli będzie podążała w życiu stale tą samą ścieżką, to musi się ona wreszcie skończyć. Jeśli natomiast ma zamiar robić jeszcze coś innego, to trafiała się okazja zakosztowania nowego przedsięwzięcia („Express” 3, „Dispatch” 10).

A co z przygodą? Europę odwiedziła zaledwie kilka razy jako turystka. Teraz miała dwadzieścia osiem lat i była niezależna („Express” 1, „Dispatch” 10).

Nagle nawiedziło ją pewne wspomnienie - stojąca w pokoju muzycznym fotografia dwuletniej dziewczynki idącej za rękę ze swymi rodzicami.

Jakie to dziwne, pomyślała Zoe. Jeśli pojechałabym do Londynu, to wykonałabym krok, który mojemu ojcu uniemożliwiło przeznaczenie. Mam szansę przestąpić ten próg w jego zastępstwie.

Dodała ostatnią okoliczność do swej listy. Przeznaczenie.

Ledwie weszła do jego biura, Miles natychmiast wstał z za biurka i wskazał jej kanapę. Najpierw jednak podeszła do okna i spojrzała w dół. Olśniło ją nagle przeczucie, że ta decyzja zmieni całe jej życie. Pomyślała o krojonym białym chlebie - dobry w smaku, ale cały bochenek można było ścisnąć jak harmonię, aż skurczył się do cała szerokości. Czyżby jej dotychczasowe życie, z podziałem na przegródki, trochę go przypominało? Obróciła się i podeszła do sofy.

- Powiedziałeś mi, jaką oferujesz pensję. Jak wyglądają pozostałe warunki?

Wyjaśnił jej, dodając na koniec, że odnawialny kontrakt będzie obowiązywał przez rok.

- Dobrze - odparła. - Przyjmuję.

Jego twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem nie skrywanej radości. Zoe nigdy dotąd nie widziała go tak rozradowanego, wyglądał jak chłopak, który trafił w automacie główną wygraną. Miles sam się zdumiał ulgą,

jaką odczuł. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że napiął mięśnie żołądka jakby w oczekiwaniu na cios. Rozluźnił je teraz i wyciągnął nogi.

Jego reakcja bardzo pochlebiła Zoe. Roześmiała się miękko. To Miles skłonił ją do wykonania tego skoku.

Jego zachowanie nagle się zmieniło. Rzeczowo nakreślił jej harmonogram, który sobie zaplanował. Kiedy skończył, niemal natychmiast podniosła się z kanapy. Odczuwała przemożną chęć opuszczenia pokoju, skoro szczegóły zostały już ustalone. Spowodowane to było nie tylko zmianą jego zachowania, lecz czymś w rodzaju onieśmienia - choć niezupełnie było to onieśmienie - które niespodziewanie odczuła. Podjęła właśnie decyzję, by wejść na drogę, którą zamierzał podążać jej ojciec.

Miles również wstał i kiedy wyciągnęła oficjalnie rękę, uśmiechnął się raz jeszcze - tym razem nie tak szeroko, gdyż starał się opanować - w równym stopniu do siebie, jak do Zoe.

Zamknąwszy za sobą drzwi, była świadoma obecności mężczyzny stojącego po ich drugiej stronie.

## **CZĘŚĆ II**

## ROZDZIAŁ 16

Kiedy chmury się rozdzieliły, ujrzała w dole jaskrawozieloną ziemię i wyglądające jak zabawki zamek, wieżę, zakończone blankami mury obronne i powiewającą flagę. Zdała sobie sprawę, iż jest to zamek w Windsorze. Przeczytała kiedyś, że flaga zawsze powiewa nad zamkiem czy pałacem, w którym przebywa królowa. Kwadratowa wieża i skrzydło nadal były osmalone od pożaru, lecz reszta wyglądała zbyt doskonale, by mogła być prawdziwa. Przyciskała czoło do szyby, dopóki zamek nie zniknął pod samolotem.

Z otchłani portu lotniczego wynurzyła się prosto w delikatną mżawkę.

- Pada - odezwał się z dużą przesadą bagażowy.

To jeszcze zwiększyło jej przyjemne podniecenie - Anglia była dokładnie taka, jak się spodziewała. Pewna Kalifornijka opowiadała jej, że kiedy pierwszy raz wyszła z lotniska Heathrow na angielskie powietrze, jej skóra westchnęła i zaczęła wchłaniać wilgoć, a tamtego dnia nawet nie padało.

- Być może dlatego Anglicy nie potrzebują normalnej wielkości porów w skórze - stwierdziła Zoe, myśląc o Marigold Brewster.

Bagażowy rzucił jej dziwne spojrzenie - jeszcze jedna stuknięta Amerykanka.

- Jedziemy prostą drogą do pani hotelu - odezwał się



kierowca taksówki. - Długie wakacje? - Dwukrotnie przekładał jej pudła i walizki, żeby wszystko zmieścić.

- Nie. Przyjechałam tu do pracy. Muszę znaleźć sobie apartament.

- Nazywają to tutaj mieszkaniem - powiedział, zerkając na nią w lusterku i przekładając dźwignię biegów. - Będzie się pani podobał ten hotel. Ma klasę.

Był to prezent od Petera, na jej dwie pierwsze noce w Londynie.

- Coś, co pomoże ci o mnie pamiętać - stwierdził, kiedy dowiedział się, że biuro podróży zarezerwowało jej miejsce w Earl's Court. - Tuż za Piccadilly, zaciszny, elegancki. Będiesz czuła, że naprawdę jesteś w Londynie. Do Earl's Court możesz się udać trzeciego dnia. Jedyne warunki to to, że przynajmniej raz każdej nocy w hotelu Dukes pomyślisz o swym samotnym przyjacielu w Waszyngtonie.

Kiedy zostawili za sobą wiadukt Hammersmith, ulica pomknęła pomiędzy wysokimi, dziewiętnastowiecznymi domami. Od czasu do czasu migają jej rosnące przy bocznych uliczkach drzewa, spokojne w padającej mżawce. Jej ożywienie rosło, w miarę jak rozpoznawała miejsca, w których była podczas swej poprzedniej podróży do Anglii. Ruch uliczny był podobny jak w Nowym Jorku, lecz nie panował tu taki zgiełk. Kiedy taksówka wynurzyła się z za piętrowego autobusu, samochody z sąsiedniego pasa zrobiły jej miejsce, zamiast trąbić na nią ze wszystkich stron.

- Po lewej stronie Muzeum Historii Naturalnej - ciągnął kierowca. Była przekonana, że pamięta, jak zimne robiło wrażenie, wyłożone płytami w kolorze błękitu i terakoty. - Teraz będzie Muzeum Wiktorii i Alberta. - A po chwili: - Wie pani, co to za czerwona kopuła tam dalej przed nami? - Wiedziała, lecz wydało jej się okrucieństwem przerywać temu samozwańczemu przewodnikowi. - Harrods! - ogłosił takim tonem, jakby osobiście wyciągnął go z kapelusza.

Wjechali w tunel, a kiedy się wynurzyli, kierowca kontynuował:

- Green Park po prawej. Zimą można dojrzeć po drugiej stronie pałac Buckingham.

Platany znacznie tu przewyższały te na placu Lafayette i nawet w lipcu ich liście zachowały szmaragdową zielen, a trawa wcale nie była wyschnięta.

- Hotel Ritz. Pani hotel jest niemal za nim, ale musimy pojechać dookoła. - Skręcił z Piccadilly w stromą, boczną ulicę, po czym jeszcze kilka razy skręcał. - Pałac Świętego Jakuba. To tutaj księżę Karol zawiesza swój kapelusz, kiedy przebywa w Londynie. Księżna Di bywa czasami w pałacu Kensington.

Mała uliczka, w którą wjechali wyglądała tak skromnie, że zaczęła się zastanawiać, czy taksówkarz nie zablądził. Stojące tu osiemnastowieczne domy zdawały się przygniecione wznoszącym się za nimi budynkiem z betonu i szkła.

- Co to za wielki kloc? - spytała.

- Paskudny, co? Najślawniejszy blok mieszkaniowy na West Endzie. St James's Place numer 26.

Dzieło sir Jakiegoś tam.

Zanim zdążyła coś więcej zobaczyć, skręcił w podwórze tak małe, że musiał cal po calu objechać bentleya, który właśnie próbował wyjechać.

- Jesteśmy.

Hotel Dukes był dokładnie taki, jak Peter mówił. Poczowała się, jakby wchodziła do innego świata, gdzie nikt się nie spieszy: ciemny mahoń, mosiężne poręcze, wahadłowe drzwi. Zerknęła do zacisznego saloniku, potem, już śmieiej, do wspaniałego baru, który przywiódł jej na myśl męski klub. Na górze, w sypialni z perkala-mi i łóżkiem z baldachimem, czekał na nią pod sufitem wentylator z łopatom wykonanymi z drewna. Zakręciła się w kółko z radości, zachwycając się wspaniałym powietrzem tak innym niż w samolocie. Po raz pierwszy

odkąd rozpoczęła tę podróż poprzedniego dnia, była sama.

Nie zważając na skutki różnicy czasów, spędziła całe popołudnie na zwiedzaniu okolicy; wędrowała podekscytowana, gdyż mijane miejsca przywodziły jej na myśl coraz więcej wspomnień. Siedząc na ławeczce w St James's Park obserwowała rozbawiona kołyszący się krok kaczek brnących przez trawiaste zbocze i wpadających z pluskiem do stawu. Dwaj młodzieńcy w prążkowanych garniturach przechodzący obok uśmiechnęli się, kiedy ta ciemnowłosa dziewczyna wybuchnęła nagle śmiechem. Wieczorem, po długim wylegiwaniu się w wannie, wyszła z hotelu, by coś zjeść. Lubiła zaglądać przez okna nie znanych restauracji i odczytywać menu wystawione na zewnątrz w mosiężnej ramce. Dziś miała ochotę tylko na kieliszek wina i jakieś typowo angielskie danie.

Opuściwszy hotelowy dziedziniec, poszła dalej skromną uliczką, aż do miejsca, gdzie wychodziła ona na szerszą przestrzeń, nad którą górował modernistyczny blok mieszkalny określony przez taksówkarza jako wyjątkowe brzydactwo. Cóż, z pewnością był ogromny. Ruszyła w innym kierunku. Dziesięć minut później, w kolejnej ciemnej i wąskiej uliczce - co prawda, parę minut drogi stąd mignęły jej światła Piccadilly - dojrzała na zielonej markizie napis „Green's Restaurant and Oyster Bar”. Zoe uwielbiała ostrygi. Fatalnie, że można je jeść tylko w miesiącach, które posiadają w nazwie literę R. Przeczytała menu -mają jeszcze mnóstwo innych przysmaków. Poza tym spodobała jej się nazwa.

Wewnątrz panowała atmosfera sztywnej elegancji. Przeszła bez pośpiechu obok ciemnych boksów, gdzie ludzie gawędzili ze sobą; niektórzy z nich podnieśli wzrok, chcąc się przekonać, z kim jest umówiona ta pewna siebie dziewczyna o uderzającej urodzie.

- Czy ma pan stół na jedną osobę? - spytała kelnera.

- Stoliki są zarezerwowane, proszę pani. Może pani usiąść przy barze, jeśli to pani odpowiada. Bar odgradzał wygiętą linią jeden z narożników sali jadalnej i Zoe wspięła się radośnie na wysoki stółek. Panowało tu łagodne oświetlenie. Rozmowy dobiegały do niej jako pomruk od strony niewidocznych teraz stolików. W wyłożonej lustrami ścianie za barem, ponad rzędami butelek ujrzała swą roześmianą twarz.

To było zabawne - w takim miejscu jak Waszyngton, gdzie człowiek był znany, czułaby się dziwnie, idąc sama na obiad do eleganckiej restauracji. Pewnie dlatego, że inni, jedzący parami lub grupami, wyobrażaliby sobie, że jest osobą samotną. Zoe nie znosiła, gdy myślano o niej, że jest samotna, szczególnie jeśli nie była. W mieście, gdzie mogła zachować anonimowość, odczuwała to zupełnie inaczej. Miała pewność siebie będącą przywilejem obcych.

Przejrzała ponownie menu i zamówiła kieliszek najtańszego szampana. Podnosząc go do ust, powtórnie spojrzała na swe odbicie, co przywiodło jej na myśl Petera, wypła więc toast na jego cześć.

- Skąd bierzecie te ogromne krewetki? - spytała jednego z mężczyzn za barem. Szczupły i zręczny, ubrany w białą koszulę, muszkę i wąskie spodnie, był miły w pewien ironiczny sposób.

- Z Zatoki Dublińskiej. Złapane dziś rano. Niezupełnie angielskie, lecz prawie. Okręciła się na stołku, żeby zerknąć przez chwilę na stoliki. Wszyscy mężczyźni byli w garniturach, kobiety miały fryzury prosto z salonu fryzjerskiego. Obróciła się z powrotem właśnie w momencie, gdy stawiano przed nią talerz ogromnych krewetek.

- Zabawne, że się tu spotykamy.

Obejrzała się i spojrzała prosto w oczy Milesa. Ten wybuchnął śmiechem na widok wyrazu zdumienia na jej twarzy. Poczowała rumieniec na policzkach.

- Dopiero co przyjechałam - powiedziała. - To zna-

czy do Anglii. - Kompletnie straciła głowę, odkrywając go tuż za swymi plecami. Potem spojrzała ponad jego ramieniem. Rudozłote włosy, gładka skóra, zielone oczy. Boże, była piękna.

- Pamiętasz Zoe Hare - odezwał się Miles do żony. - Ona przyłącza się do naszej szczęśliwej gromadki w „Dispatch”.

- Jak miło cię tu spotkać - powitała ją Marigold.

- Gdzie się zatrzymałaś? - spytał Miles.

- Zaczynam od Dukes - brzmiała odpowiedź Zoe. Marigold uniosła brwi.

- Potem przeprowadzam się do czegoś mniej wspaniałego na czas poszukiwania jakiegoś lokum.

Mieszkania - zażartowała sama z siebie.

- My mieszkamy na razie w pobliżu, bo Marigold demuluje nasze nowe mieszkanie. Patrząc od strony Dukes, możesz zobaczyć je na końcu tej wąskiej uliczki. Większość ludzi uważa ten budynek za ohydny, lecz kiedy znajdziesz się w środku i wyjrzysz przez okno, to wszystko jest w porządku.

- Jest zaprojektowany przez najślynniejszego żyjącego brytyjskiego architekta - dodała Marigold wesoło. - Zatrzymaliśmy się w Ritzu, bo stamtąd wygodnie możemy doglądać remontu. Pójdę już do naszego stolika, Milesie. Miło było cię spotkać - zwróciła się ponownie do Zoe.

Kupa śmiechu, powiedziała sobie w duchu Zoe. Głośno zaś odezwała się do Milesa pogodnym tonem:

- Zjawię się w redakcji w ciągu dwóch tygodni. Miles zawahał się.

- Nie zaczęły cię czasem dręczyć jakieś wątpliwości, co?

- Na temat przejścia do „Dispatch”? O nie. Znowu wahanie.

- Bardzo się cieszę, że się zdecydowałaś.

Kiedy się odwracał, wyraźnie powłóczył nogą, kiedy jednak przechodził przez salę, wydawało się, że po pro-

stu stawia sztywne kroki. Obróciła się z powrotem do swego półmiska z krewetkami, obserwując Milesa w lustrach, dopóki jego odbicie nie zniknęło. Pociągnęła łyk szampana. Nadal czuła, że twarz ją pali. Wypiła następny łyk.

- Czy podać jeszcze szampana? - spytał barman.

- Byłoby miło. - Miło? Mogłabym wypić całą butlę, chłopie.

Kiedy uporała się z krewetkami, zeszła ze stołka i nie rozglądając się, ruszyła ku drzwiom, mając nadzieję, że wygląda na osobę zadowoloną z tego, iż jest tu sama.

Podczas dwóch dni pobytu w Dukess Zoe bardzo się cieszyła, że nie natknęła się nigdzie na Marigold. Mari gold zaś nie miała żadnego powodu, by poświęcać Zoe jakąkolwiek myśl.

Nie tęskniła za domem, tego była pewna. Zresztą jej domem była teraz ta noclegownia w Earl's Court, gdzie zaczyna się zachodni Londyn, domy jednorodzinne ściśnięte są między nie kończącymi się pensjonatami, a deszcz spada jak grad kul z ołowianego nieba. Brytyjskie lato przechodziło chyba swój zły okres.

W rzeczywistości hotel Zoe nie był domem noclegowym, ale tak go nazywała, kiedy była zmęczona do nieprzytomności kolejnym dniem, który upłynął na bezowocnym poszukiwaniu mieszkania - nie „przestronnego mieszkania”, na litość boską, lecz zwykłego mieszka- (nia, którego okna nie będą wychodzić na północ lub na wysoką, ceglana ścianę. Kiedy pokazano jej wreszcie takie, gdzie słońce zaglądało na chwilę, zanim ponownie połknęło je ołowiane niebo, to okazało się, że okna trzęsą się od przejeżdżających w pobliżu ciężarówek. Szerokie, spokojne ulice Waszyngtonu były o całe lata świetlne stąd. Podczas tych poszukiwań koczowała w tym czystym hotelu ze śniadaniem w pobliżu stacji metra przy Earl's Court.

Na początku miała poważny problem ze znalezieniem

łazienki. Wprawdzie wygląd hotelu świadczył, że jest on jeszcze ciągle w trakcie modernizacji, lecz, u licha, gdzieś na trzecim piętrze musiała być łazienka. Przeszukiwała korytarze dopóki nie zauważyła błysku zieleni w odcieniu awokado na końcu przejścia. W tym kraju musi panować moda na łazienki w kolorze awokado, pomyślała - połowa mieszkań, które jej pokazywano, mogła się nimi pochwalić, często z bidetem uzupełniającym cały zestaw. Nie zdążono jeszcze położyć podłogi na odcinku prowadzącym do łazienki. Ponieważ nikomu innemu nie zechce się zapewne balansować na legarach, będzie przynajmniej miała łazienkę dla siebie.

Wciąż nie mogła znaleźć mieszkania. Od kiedy zaczęła poszukiwania, przemierzyła różne przedmieścia tej rozległej metropolii. Przypominały one osobne wioski, niektóre eleganckie, inne mniej, z własnymi sklepami spożywczymi, kioskami, a często i punktem, gdzie można było robić zakłady (wyglądało na to, że wszyscy w Anglii lubią dreszczyk emocji). Kiedy zaczęła pracować w "JJsipatch", nie będzie miała czasu polować na mieszkanie, więc oczami wyobraźni widziała nie kończącą się perspektywę dni, kiedy to z narażeniem życia przechodzi po desce do łazienki w kolorze awokado. Jej pieniądze znikwały w zastraszającym tempie.

Każdego dnia wyruszając na poszukiwania, miała poczucie, że rozpoczyna kolejną przygodę. A jednak to nie tylko jej wyostrzona świadomość nadawała przedmiotom uderzającą klarowność - barwy naprawdę były tu znacznie intensywniejsze niż w Stanach. Być może to zasługa wilgotnego powietrza. Pelargonie w przyokiennych skrzynkach miały znacznie żywszy odcień niż ten sam gatunek w jej kraju. Uświadomiła sobie, że jest coś poruszającego w zamiłowaniu Anglików do skrzynek z kwiatami przy oknach i ich dbałości o nie - żaden przechodzień nie pozwolił sobie uszczknąć ani płatka ze stojącej skrzynki. Hibiskusy również cieszyły oko intensywniejszą barwą niż w Waszyngtonie.

„Nigdy dotąd nie widziałam tak wielu kwiatów i krzewów kwitnących na niebiesko" - pisała do swych dziadków - „i uważam to za dobry omen". Niebieski był jej ulubionym kolorem.

Szczególnie ostro odczuwała pełnię istnienia, wsiadając do metra, które miało ją zawieźć do Opery Królewskiej na *Tristana i Izoldę*, jej ulubioną operę Wagnera. Wracając po przedstawieniu spacerkiem na stację, nuciła cicho tony arii, przerzucające się gwałtownie ze światła w ciemność i z miłości w nienawiść. Zastanawiała się, dlaczego ludzie odczuwają dreszcz wzruszenia w zetknięciu z czymś znajomym odczuwanym w muzyce, a jednocześnie nie odnajdują tego w seksualizmie realnego życia? Dlaczego nie pozostaje ono tak emocjonujące nawet w sytuacji, gdy seks towarzyszy prawdziwej miłości?

Przy wyjściu ze stacji Earl's Court kiosk z gazetami oblepiony był plakatami na temat wzrostu przestępczości - swoją drogą dodaje to otuchy, jak się widzi, ilu ludzi kupuje tu gazety w dzień i w nocy - jednak ona, wędrując samotnie w ciemności, nie odczuwała strachu. W przeciwieństwie do Nowego Jorku, Londyn wydawał jej się bezpieczny. Świadomość bezpieczeństwa zwiększała jeszcze intensywność całkiem nowego uczucia - trudnego do zdefiniowania nawet przez nią samą - uczucia większej pełni.

Wieczorami przeważnie przebywała w hotelowym pokoju, a wtedy jej radość z pobytu w obcym mieście znacznie gasła. W Waszyngtonie wcale nie pragnęła spędzać wszystkich wieczorów z przyjaciółmi. Jednak bez możliwości wyboru, spokojny wieczór nie stanowił już takiej przyjemności. Byłoby zupełnie inaczej, gdyby Peter przyjechał choćby na jedną noc. Potem mogłaby się cieszyć wczesnym chodzeniem do łóżka i czytaniem do późna.

Uświadomiła sobie wyraźnie różnicę między samotnością z wyboru a sytuacją, gdy nikt nie oferuje innych



możliwości. Znow powróciły okresy tego, co nazywała tęsknotą.

Dwukrotnie dzwoniła do dziadków tylko po to, by usłyszeć ich głosy. Nie posiadała się też z radości, ilekroć Peter zadzwonił do niej z biura „po prostu, żeby sprawdzić, czy nie nabrałaś angielskiego akcentu”.

A potem znalazła to miejsce w World's End - dwa słoneczne pokoje, kuchnia i łazienka. Jeśli nawet wanna była nieco podniszczona, to i tak była biała i ogromna; jedna z tych angielskich wanien, przy których amerykańskie wyglądają, jakby służyły do kąpania psów.

Nazwa dodawała jeszcze uroku tej peryferyjnej okolicy Chelsea, gdzie King's Road zakręcała i kilka przecznic dalej przechodziła w Fulham. Za każdym razem, kiedy mijała wiktoriański pub na narożniku i widziała jego ozdobne litery oznajmiające: „The World's End”, usiłowała sobie wyobrazić, jak niegdyś wyznaczał on zachodni kraniec Londynu. Jej mieszkanie znajdowało się o dwie przecznice od pubu, na górnym piętrze dziewiętnastowiecznego szeregowca i nie przejeżdżały koło niego z hukiem żadne ciężarówki. Wynajęła je na rok, potem umowa mogła zostać odnowiona. Przepełniona radością, przeprowadziła się tam na dzień przed rozpoczęciem pracy w „Dispatch”.  
Nostalgia zniknęła.

## ROZDZIAŁ 17

- Na miłość boską, pamiętaj nazywać go przewodniczącym.

- Skąd on mógł wiedzieć, że właśnie wszedłem - zdumiał się Simon.

Był to pierwszy dzień jego pracy na stanowisku kierownika działu zagranicznego „Javelin”. Nie zdążył jeszcze dotrzeć do swego ciasnego biura, gdyż przedstawiał się właśnie redaktorowi naczelnemu, kiedy przyszło wezwanie.

- On jest jak Argus. Gdziekolwiek byś był, jedno z jego oczu cię widzi.

Drzwi windy otworzyły się na najwyższym piętrze. Simon ujrzał czekającą na niego sekretarkę, która miała pokazać mu drogę. Przeszli przez dwa pokoje sekretarek, potem krótkim korytarzem prowadzącym obok dużego pokoju. Simon zerknął do środka przez szklane przepierzenie. Pokój nie nosił żadnych śladów czyjejś obecności. Najwyraźniej nowo umeblowany, a piękne biurko oraz kryta skórą kanapa i fotele wskazywały, że przeznaczony był dla jakiejś wysokiej rangą osoby.

- Czyj to pokój? - spytał.

- Będzie tu pracował *chef de cabinet* - odpowiedziała sekretarka, zanim otworzyła drzwi do gabinetu lorda Scrope'a.

Gerald siedział za ogromnym biurkiem z okresu Jakuba I. Dopiero kiedy zostali sami, podniósł wzrok i wska-

zał nieznacznym ruchem głowy stojący w pobliżu fotel. Jego siedzenie było umieszczone tak nisko, że Simon poczuł się jak poddany patrzący w górę na swego pana. Wszelkie niemądre nadzieje, że Gerald wypowie jakieś słowa powitania przy tym pierwszym spotkaniu, wywietrzały mu już z głowy.

- Proszę mi powiedzieć, co pan wie o wypadku Milesa Brewstera, panie Fleet.

- Zdarzył się w Meksyku i był paskudny. Jakieś piętnaście lat temu. On prowadził.

- Umiem czytać, panie Fleet.

Simon zaczerwienił się. Czyżby każde wezwanie do biura lorda Scrope'a miało oznaczać przyczynek do wrzodów?

- Żaden z dotyczących go artykułów nie podaje bliższych szczegółów. Dlaczego tak się dzieje, panie Fleet?

- Meksyk jest wprawdzie na mapie tuż obok Stanów, ale w rzeczywistości jest bardzo odległy. W czasach, gdy wypadek miał miejsce, Brewster nie był wart zainteresowania mediów. Tak więc prawdopodobnie nic się nie znajdzie w bibliotece wycinków prasowych. Panie przewodniczący - dodał. - Mówi się jednak w Waszyngtonie, że był wtedy pijany.

- Czy on się często upija, panie Fleet?

Simon nie miał pojęcia. Zaśmiał się niepewnie. Twarz Geralda pozostała bez wyrazu.

- Mnie nic o tym nie wiadomo, panie przewodniczący. Ludzie, którzy go znali, zanim się to stało, twierdzą, że bardzo się od tamtej pory zmienił.

- Na przykład?

- Mniej wylewny. Bardziej małomówny.

- Proszę mi powiedzieć, panie Fleet, czy spotkał pan kiedyś małomównego człowieka, który nie miał nic do ukrycia?

Nie wstając z krzesła, Gerald dał mu gestem znak, że audiencja skończona.

Gdy Simon dotarł do drzwi, spłaszczający samogłoski głos dodał:

- Jeszcze jedna sprawa, panie Fleet. Począwszy od przyszłego tygodnia, to piękne biuro za drzwiami będzie zajęte przez mojego *chef de cabinet*. - Ostatnie słowa wypowiedział z taką przesadą, że zabrzmiały dwuznacznie - równie dobrze mógł mówić o hiszpańskim grandzie, jak i o dworskim błaznie. - Zdaje się, że pan i on znacie się całkiem dobrze, panie Fleet. Ale będzie się pan do niego zwracał per „ambasadorze”. Będzie zapewne zdumiony, gdy stwierdzi, że pan dla mnie pracuje.

Simon zakłopotany zamrugął.

- Słyszał pan na pewno o „kreatywnym napięciu”, panie Fleet. Jestem gorącym wyznawcą tej teorii. Niektórzy pracodawcy są zdania, że personel pracuje najlepiej, gdy ma poczucie bezpieczeństwa. Nie zgadzam się z tym. Uważam, że z ludzi najwięcej da się wycisnąć, gdy trzyma się ich na krawędzi. Miłego dnia, panie Fleet.

Nowy właściciel i redaktor naczelny „Dispatch” podzielił długie godziny pracy pomiędzy centralę koncernu na najwyższym piętrze i redakcję poniżej.

Okazały budynek stał na południowym brzegu Tamizy, o pół mili od biurowca „Javelin” w linii prostej, natomiast znacznie dalej szosą, ze względu na zakręty rzeki. Został wzniesiony po potajemnej wyprowadzce Ruperta Murdocha z Fleet Street, kiedy to pozostali magnaci prasowi przekonali się, że tańsze lokum i nowa technologia pozwoliły Murdochowi błyskawicznie zyskać nad nimi przewagę. Kiedy to nastąpiło, pozostawało już tylko kwestią czasu, zanim wszyscy się wynieśli, a Fleet Street opustoszała. Dwadzieścia ogólnokrajowych gazet brytyjskich było teraz rozrzuconych po całym Londynie, lecz nadal używało w stosunku do siebie nazwy „Fleet Street”. Dziennikarze wykazują jednak sporą dozę sentymentalizmu.

Miles w roli redaktora naczelnego był oddzielony od pokoju redakcyjnego tylko szklaną ścianą. W pierwszych tygodniach można było często zauważyć zastępcę siedzącego obok niego.

Zoe zajmowała miejsce wśród innych publicystów w labiryncie pokoju redakcyjnego. Jej biurko i szafka na akta były identyczne jak pozostałych. Wszyscy już słyszeli, że dobrze jej szło w „Washington Express” i że Miles Brewster osobiście zaproponował jej przejście do „Dispatch”.

Zdażyły więc pojawić się normalne w takich okolicznościach podejrzenia i wyrazy oburzenia.

- Pan i Zoe Hare będziecie, rzecz jasna, konsultować to, o czym ona ma pisać - oświadczył Miles szefowi działu. - Zoe będą potrzebne pańskie wskazówki, podczas nabierania doświadczenia tu, w Londynie. Ja zamierzam dość regularnie omawiać z nią jej pracę.

Redaktor w mig pojął rzeczywistą treść tej uwagi - Zoe miała odpowiadać przed nim tylko w sensie formalnym. Spodziewał się, że będzie to odczuwał jak kolec w tyłku, ale musiał przyznać, że nowa redaktorka okazała się bardzo miła. Do tej pory ani razu nie dała mu odczuć, że nie jest jej zwierzchnikiem.

Biurko Zoe, oddzielone wprawdzie dwudziestoma innymi biurkami, znajdowało się akurat na linii wzroku Milesa. Kilkakrotnie odniosła silne wrażenie, że jest obserwowana. Raz spojrzała w górę i napotkała jego wzrok, lecz szybko przeniósł go na leżące przed nim papiery. Na początku drugiego tygodnia pracy poprosiła innego dziennikarza, żeby pomógł jej obrócić biurko. Tego popołudnia, kiedy Miles wrócił z biura zarządu i po zajęciu redaktorskiego krzesła zerknął przez szklane przepierzenie, nie ujrzał owalnej twarzy - jej miejsce zajmował koński ogon. Po opanowaniu chwilowej irytacji, roześmiał się.

Parę minut po opuszczeniu Ritza Marigold skrzyła w St James's Place. Kiedy dotarła do swego celu - nu-

meru 26, spojrzała na Spencer House, osiemnastowieczny pałacyk po przeciwnej stronie ulicy. Wiedziała, że został on wynajęty lordowi Rothschildowi przez rodzinę księżnej Diany w zamian za wycenioną na szesnaście milionów funtów renowację. Brewsterowie byli już tam na niezwykle wystawnym przyjęciu. Jednak jeśli chodzi

o nią i Milesa, wołała dominującą siłą numeru 26. Podobnie jak wiele osób projektujących wnętrze swego domu, myślała przy tym o jednym szczególnym gościu. Po przybyciu do Londynu i przekonaniu się, że najślynniejszy londyński dekorator nadzoruje pracę hydraulików, stolarzy i malarzy, przeszła prosto do głównych pomieszczeń recepcyjnych, o połowę wyższych niż reszta ogromnego mieszkania. Stojąc samotnie przy ścianie składającej się z oprawnych w brąz okien wychodzących na Green Park, wyobrażała sobie, jak pokazuje ten widok lordowi Scrope'owi. Jednocześnie ogarnął ją przepęnlony poczuciem winy niepokój. Zdawała sobie przecież sprawę, że nie do pomyślenia było, żeby kiedykolwiek był on ich gościem. Jak mogła w ogóle pragnąć przyjmować wroga swego męża? A jednak pragnęła.

- Nie myśl, że to tylko kwestia rozsądku, kiedy mówię, że chcę zacząć wszystko od nowa - powiedziała Jancie do Jamesa. - Naprawdę całym sercem pragnę naprawić krzywdę, którą ci wyrządziłam. Czy kiedykolwiek będziesz mógł mi wybaczyć?

Pili we dwójkę drink w jego gabinecie wychodzącym na ogród. James na chwilę zacisnął usta. Potem powiedział:

- Już ci wybaczyłem.

Oczy Jancie napełniły się łzami. James uśmiechnął się swoim charakterystycznym, krzywym uśmiechem

i pociągnął kolejny łyk whisky.

- Nawet kiedy sprawy układały się najgorzej - zawsze starał się unikać bezpośredniego wspomnienia Si-

mona - nigdy nie brałem pod uwagę formalnej separacji, nie mówiąc już o rozwodzie.

Wpatrywała się w jego minę honorowego ucznia.

- Małżeństwo jest umową. Trzeba dotrzymywać umów - dodał.

Jancie przełknęła potężny łyk whisky. (Może gdybyś mogła przyjmować to jako coś poruszającego, nie trafiałby cię szlag, kiedy tak przemawia, radziła jej Zoe.)

Odbudowa ich małżeństwa wymagała od Jancie codziennej determinacji i nieco obłudy. Śliczny domek w Kensington, który tak ją cieszył, zanim wyjechali do Waszyngtonu, wydawał się teraz jakiś niekompletny. Mogła zająć swą uwagę Dannym i Neli, obecnie pierwszoklasistami, kiedy wracali ze szkoły. Jednak przez resztę czasu nawet największe wysiłki nie były w stanie usunąć Simona z jej myśli.

- Kładę się spać, myśląc o nim. Budzę się rano i nadal o nim myślę - opowiadała ponuro Zoe.

Jadły razem lunch w barze w pobliżu redakcji.

- Kiedy tu weszłam, rozglądałam się dookoła, mając nadzieję, że może tu będzie. To jest jak choroba, której nie mogę się pozbyć.

Milczały przez chwilę.

- Mogłabyś wytrząsnąć z rękawa jakiś pomysł, jak przestać być zakochaną? - spytała Jancie.

- Myślałaś o powrocie do pracy w BBC? Wszyscy w Londynie twierdzą, że byłaś wspaniałą prezenterką wiadomości.

- Diabelnie dużo się zmieniło przez ostatnie sześć lat.

- Ty również. Wszystkie te nieszczęścia musiały cię przecież czegoś nauczyć. Obróć to w coś, co może działać na twoją korzyść. I pamiętaj, twoim ogromnym plusem jest doświadczenie i kontakty wiążące się ze stanowiskiem żony ambasadora w Waszyngtonie. Napisz do szefa telewizyjnych wiadomości i umów się na spotkanie w takim tonie, jakbyś wyświadczała mu grzeczność.

Na twarzy Jancie pojawiło się zamyślenie.

- Cóż, z pewnością byłaby to jakaś odmiana - stwierdziła - nawet jeśli przy pensji Jamesa nie potrzebujemy pieniędzy. On zaczyna w „Javelin” w poniedziałek. Naprawdę nie może się doczekać, kiedy znów pograży się w pracy, biedaczek. Wiem, że Miles był niezadowolony, gdy James przyjął ofertę lorda Scrope'a. Ale zawiera ona wszystko, czego trzeba, by James mógł podbudować swoje sponiewierane ego.



## ROZDZIAŁ 18

Lśniący jaguar zatrzymał się przed domem Whartonów. Dwadzieścia minut później James wkroczył do foyer „Javelin” i rozejrzał się po tym pałacu w stylu art deco z satysfakcją człowieka, który niemal poszedł na dno, po czym wynurzył się; znów na szczycie.

- Nazywam się James Wharton - poinformował portiera. - Lord Scrope mnie oczekuje.

Kiedy unosił się w górę w szklanej windzie przeznaczonej tylko dla przewodniczącego i wyższego personelu, przepełniała go radość dziennikarza, który wraca do redakcji po długiej nieobecności.

Spojrzał w dół na atrium jak z *Gwiezdnych wojen*, od którego - jak w plastrze miodu - rozchodziły się korytarze prowadzące do biur kierowników, pokoju redakcyjnego, biblioteki wycinków prasowych, archiwum fotograficznego, księgowości. Będzie zastępcą szefa tego wszystkiego. Zabłysło światelko ostatniego piętra i poczuł przyływ adrenaliny; zbliżał się do ośrodka władzy.

Drzwi otworzyły się. Czekał tam na niego młody mężczyzna, który wydawał się napięty, lecz odezwał się głosem pełnym najwyższego szacunku:

- Witam, panie ambasadorze. Nazywam się Roy Matthews. Będę pańskim osobistym asystentem.

Pozwoli pan, że pokażę panu pańskie biuro.

Kiedy weszli do pierwszego pokoju, wszyscy pracownicy zerwali się na nogi, natomiast w drugim, w którym

pracował Roy Matthews, cały personel został Jamesowi przedstawiony. Przystąpiwszy próg swojego biura, James jednym spojrzeniem ogarnął jego imponujące rozmiary i umeblowanie.

- Zanim się pan tu zdomowi - odezwał się Roy - zaprowadzę pana do przewodniczącego.

Przeszli zaledwie kilka kroków krótkim korytarzem i już asystent otwierał drzwi wyglądające na znacznie cięższe od pozostałych. Przez chwilę James poczuł się zbity z tropu. Położenie jego wspaniałego pokoju mogło sugerować, że jest on poczekalnią przed gabinetem lorda Scrope'a.

- Ambasador Wharton, panie przewodniczący - oznajmił Roy.

Gerald bez pośpiechu podniósł wzrok. Potem wstał z krzesła i obszedł biurko, by wymienić z Jamesem uścisk dłoni.

- Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z pobytu tutaj, panie ambasadorze - powiedział.

Wyrażenie „zadowolony z pobytu” zaskoczyło go jako raczej niezwykle w tej sytuacji. Najbardziej jednak wzburzył go sposób, w jaki Gerald wymówił jego tytuł, nadając mu dwuznaczny nacisk.

- Proszę usiąść na parę minut, panie ambasadorze, zanim podejmie pan swoje obowiązki.

Gerald wskazał mu fotel, zajmując jednocześnie drugi.

Wprawdzie Jamesowi sprawiało początkowo przyjemność, kiedy urzędnicy ambasady używali jego honorowego tytułu, to jednak obecnie cieszył się, że w miejscu tak demokratycznym jak redakcja gazety wszyscy będą wkrótce po imieniu.

- Mam nadzieję, że będzie pan zwracał się do mnie James.

Gerald wpatrywał się w niego przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Lubię utrzymywać dystans między sobą a personelem. Pan będzie robił to samo, panie ambasadorze.

-

Przerwał. - Wszyscy mamy do odegrania swoje role, panie ambasadorze. - Kolejna pauza. - Powiadomiłem personel, że należy się do pana zwracać „panie ambasadorze”. Jeśli chce pan nazywać podległych sobie pracowników po imieniu, to już zależy od pana. Do mnie będzie się pan zwracał „panie przewodniczący”.

Jamesa ogarnął chłodny niepokój.

Gerald niespodziewanie zmienił ton. Zagrożenie zniknęło.

- Żadna inna redakcja nie może poszczycić się byłym ambasadorem brytyjskim w Waszyngtonie na stanowisku *chef de cabinet*. My w „Javelin” odczuwamy dumę, mogąc się zwracać do pana tytułem, który się panu należy; tę samą dumę zauważył pan po drugiej stronie rzeki, w Scrope Tower.

Chwila ciszy.

Potem odezwał się James.

- Sądziłem, że udamy się do Scrope Tower jeszcze dzisiaj, w późniejszych godzinach.

- Przekona się pan jeszcze, że ja znacznie bardziej wolę działanie spontaniczne niż przesadne planowanie, panie ambasadorze - odparł Gerald. - Na pewno pamięta pan to z własnych doświadczeń w Waszyngtonie: dwadzieścia cztery godziny na dobę na całym świecie toczą się wydarzenia będące całkowicie poza naszą kontrolą. Trzy czwarte swego życia spędzam, reagując na te właśnie wydarzenia. Być może później udam się na drugą stronę rzeki i wpadnę do Scrope Tower. A być może nie.

Znowu milczenie.

- Myślę, że nie powinniśmy zbyt długo zwlekać z przedstawieniem mnie członkom kierownictwa firmy, których mam nadzorować - odezwał się James.

- Nadzorować? - powtórzył Gerald z twarzą bez wyrazu. - Ma pan być moją trzecią ręką, lecz „nadzorować” nie jest wyrażeniem, którego bym użył w tym wypadku, panie ambasadorze. Wolę myśleć o panu jako o moim zaufanym doradcy. W odpowiednim czasie przedstawię moją

trzecią rękę zarządowi. Na razie pragnąłbym, żeby skoncentrował się pan na kwestiach obronności i spraw zagranicznych, którymi zajmuje się „Javelin”. Z pewnością będzie pan chciał przypomnieć wszystkim, iż jest pan brytyjskim ekspertem od obronności, zanim zwróci pan swój umysł ku innym sprawom. - Podniósł jeden z ustawionych przed nim telefonów. - Mówi przewodniczący -powiedział, jakby ktokolwiek mógł nie rozpoznać jego głosu. - Jest ze mną ambasador Wharton. Proszę go oprowadzić po redakcji. Później proszę przedstawić mu zaplanowany do jutrzejszego wydania artykuł dotyczący obronności. Proszę stawić się u niego za dziesięć minut. Będzie w biurze *chef de cabinet*. Odłożył słuchawkę.

- Duncan McCavvy jest redaktorem działu obronności. Będzie odpowiedzialny przed panem, ambasadorze. -Pauza. - I przede mną.

- Kto obecnie pisze artykuły na temat obrony i spraw zagranicznych? - spytał James.

- Spodziewam się, że pan będzie je pisał, kiedy pan uzna, iż jest już gotowy, panie ambasadorze.

Szczególnie cenię pańską wiedzę i zrozumienie dla międzynarodowych spraw związanych z obronnością. Kiedy już się pan zaaklimatyzuje jako *chef de cabinet*, przekona się pan, że będę polegał na panu w wielu sprawach.

Gerald podniósł się, poruszając się o wiele zręcznie, niż można by się spodziewać po tak tegim mężczyźnie.

- Nie mogę dłużej pana zatrzymywać, ambasadorze. James również wstał, zażenowany.

- Kto należy do mojego osobistego personelu? - spytał.

- Czy Roy Matthews nie poinformował pana, iż jest pańskim osobistym asystentem? - spytał Gerald. - Muszę mu powiedzieć, żeby poprawił swe pieprzone maniery.

- Nie, nie, powiedział mi to. Pytam, kto będzie stanowił resztę mego personelu?

Gerald uniósł ręce jak biskup.

- Powiedziałem panu, ambasadorze, że jest pan moją trzecią ręką. Każda osoba z pokoju, gdzie siedzi Matthews, jest do pańskiej dyspozycji tak samo jak do mojej.

- Wyjašnjmy to sobie dokładnie - odparował James. -Czy Roy Matthews jest moim osobistym asystentem, czy pańskim?

- Pańskim, ambasadorze, tak jak prywatny sekretarz ministra jest jego asystentem.

Ta analogia była aż nazbyt jasna dla Jamesa. Prywatny sekretarz ministra jest sługą dwóch panów. Jednym z nich jest jego minister, który jest panem przejściowym. Drugim natomiast szef administracji państwowej trafnie nazwany stałym sekretarzem. James był więc szefem przejściowym, a Gerald stałym. Kiedy dotarło do niego pełne znaczenie słów Geralda, ten nacisnął przycisk na biurku. Chwilę później Roy Matthews otworzył drzwi.

- Pokażesz panu ambasadorowi wszystko, co powinien zobaczyć pierwszego dnia pracy w „Javelin” - polecił mu Gerald.

Po przytłaczającym wrażeniu, jakie wywierał gabinet przewodniczącego, jego własny wydał się Jamesowi dziwnie mało znaczący.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię system działania telefonów, panie ambasadorze - odezwał się Roy.

Kilka minut później w pokoju pojawił się Duncan McCaw.

- Miło mi pana poznać, panie ambasadorze. Jeśli pan pozwoli, to zaprowadzę pana na dół i oprowadzę pp wszystkim.

Jadąc windą i ponownie spoglądając na korytarze rozchodzące się wachlarzowato od atrium jak z **Gwiezdnych wojen**, James poczuł, że jego niepokój nieco się uciszył. Mimo wszystko uznał za konieczne pocieszyć się, że nawet **chef de cabinet** musi czuć się nieswojo podczas pierwszego dnia pracy.

- Bardzo się cieszę, że pana poznałem, panie amba-

sadorze - odezwał się redaktor. - Niestety, muszę stawić się na spotkaniu z rzecznikiem prasowym premiera. Później będziemy mieli okazję dłużej porozmawiać. Zapoznam teraz pana z moimi zastępcami - ciągnął, prowadząc go do pierwszego z niewielkich biur rozmieszczonych po jednej stronie pokoju redakcyjnego. - To jest ambasador Wharton, *chef de cabinet* pana przewodniczącego - przedstawił Jamesa redaktorowi wiadomości.

Kiedy przechodzili do następnego biura, James powiedział:

- Wolałbym, żeby przedstawiać mnie jako Jamesa Whartona.

McCawy stał przez chwilę zupełnie nieruchomo. Potem odpowiedział przyjaznym tonem:

- Pan przewodniczący dał mi ściśle instrukcje. Personel ma nazywać pana ambasadorem. - Odwrócił się i wskazał drogę do biura redaktora działu publicystycznego. - To jest ambasador Wharton.

Kiedy zbliżali się do trzeciego biura, McCawy stwierdził:

- Zdaje się, że zna pan już redaktora działu zagranicznego. Pracował w „Washington Express”, kiedy był pan w Waszyngtonie.

Przez szklaną ścianę James ujrzał stopę redaktora opartą na biurku wśród rozrzuconych czasopism.

Nad „Herald Tribune”, którą czytał, widoczne były tylko żółte loczki. W tym momencie James przywołał na pomoc swoje szkolne wychowanie, doświadczenie dyplomatyczne i wrodzoną dumę, by wejść nie zmienionym krokiem do tego pokoju.

- Sądzę, że znasz ambasadora Whartona - odezwał się McCawy.

Simon opuścił gazetę i z uśmiechem skoczył na nogi.

- Słyszałem, że podejmie pan tu pracę, lecz nie sądziłem, że to już dzisiaj - powitał go i wyciągnął rękę.

Wahanie Jamesa trwało zaledwie ułamek sekundy, po czym uściśnął podaną mu dłoń. Robiąc to, musiał całą

siłą woli odpędzać wyobrażenie tych pulchnych palców obmacujących piersi Jancie. Jeśli chodzi o inne części ciała Jancie, które te palce badały, to James nigdy nie dopuścił, by takie myśli zagnieździły mu się w głowie. Chłodnym tonem powiedział:

- Nie zdawałem sobie sprawy, że będę miał tę przyjemność, iż będę pana zwierzchnikiem.

Simon zwilżył wargi koniuszkiem języka. Zerknął na McCavvy'ego, który stał obok z twarzą bez wyrazu. James odwrócił się i opuścił pokój.

Kiedy zakończyli obchód, McCawy stwierdził:

- Zapewne zechce pan trochę czasu spędzić w samotności, żeby sobie to wszystko przetrwać. Po lunchu możemy porozmawiać na temat spraw zaplanowanych na parę najbliższych dni.

Jadąc samotnie windą w górę, James rozglądał się dookoła. Odczuwał w duchu głębokie oburzenie.

Ten donżuan. Czyżby Fleet zażądał tej pracy jako nagrody? Jeśli tak, to jak, u diabła, świadczyło to o lordzie Scrope'?

Znalazłszy się w swoim pokoju, podszedł prosto do okna i spojrzał w dół na Tamizę płynącą wytrwale do morza. Coraz bardziej narastało w nim wrzenie. Musi się uspokoić. Nie wolno mu analizować intencji Geralda Scrope'a. Jeszcze za wcześnie, by mógł się na to porywać. Przewodniczący. Musi pamiętać, żeby nazywać go przewodniczącym.

Całym wysiłkiem woli James przestawił swe myśli na tego słomianowłosego sukinsyna. Musi myśleć konstruktywnie. Gdyby znalazł się przy kole sterowym swej łodzi w czasie sztormu, musiałby zachować spokój i myśleć konstruktywnie. On, James Wharton, jest zastępcą lorda Scrope'a. Simon Fleet jest jego podwładnym. James przypomniał sobie własne słowa wypowiedziane niegdyś do Zoe: „Jeśli kiedyś znajdę się w pozycji dającej mi władzę nad Simonem Fleetem, to będę szczęśliwym człowiekiem”. W ten sposób należało o tym myśleć.

Usiadł przy swym pięknym biurku z dziewczym bi-

bularzem oprawnym w wytłaczaną skórę. Spojrzał na zegarek. Było dopiero południe. Otworzył pierwszą z szuflad po prawej stronie i wziął jeden arkusz ze schludnego stosiku welinowego papieru. Na górze miał on nagłówek „Javelin” wypisany dużymi, czerwonymi literami, a pod spodem biegł napis: „Od ambasadora Jamesa Whartona, *chefde cabinet*, do lorda Scrope'a”.

Wpatrywał się zafascynowany w ten nagłówek. Wyglądał on tak dostojnie. Jednak poza tymi arkuszami w jego biurku nie było ani kawałka innego papieru. Żadnych materiałów do przeczytania i przemyślenia, zanim zrobi na marginesie swoją parafkę. Żadnej listy umówionych spotkań. Nic. Po raz pierwszy od czasu, gdy był małym dzieckiem, nie miał zupełnie nic do roboty.

Sięgnąwszy do kieszonki na piersi, wyjął złożoną chusteczkę i - mimo iż dzień był chłodny - wytarł starannie pot spływający mu po szyi.



## ROZDZIAŁ 19

- Prostuj nogi w kolanach, wchodząc przez drzwi -radziła jej Zoe. - Wywiera to zdumiewający wpływ na psychikę. Sprawia, że czujesz się pewna siebie i tak też wyglądasz.
- Jak mogę prostować nogi w kolanach i jednocześnie iść, na miłość boską?
- Mówisz zupełnie jak Gerald Ford czy raczej Johnson opisujący Forda.
- Aha. „Nie potrafi jednocześnie iść i żuć gumy , chociaż żucie "gumy jest tu eufemizmem na to, co Johnson faktycznie powiedział.
- Czy w tej chwili stoisz? Rozmawiały przez telefon.
- Wyprostuj teraz nogi, tak mocno, jak dasz radę -poinstruowała ją Zoe.
- Urosłam właśnie o cal - Jancie zaśmiała się głośno- Mogę rządzić całym światem.

Godzinę później strażnik w BBC uniósł barierę i Jancie rozpoczęła surrealistyczną wspinaczkę w betonowym sześcianie. Kiedy ostatnim razem samochód pokonywał jego pochylnie, była w piątym miesiącu ciąży.

Westybul gmachu telewizji zachował swoją katedralną powagę. Powiedziano jej, że prawa ręka pierwszego po Bogu chce z nią zamienić słowo przed zasadniczym spotkaniem. Wchodząc do niego, wyprostowała nogi w kolanach.

Wyszedł zza biurka, a niespokojny uśmiech wygładził pomarszczoną twarz.

- Ostatnio widzieliśmy się w ambasadzie, kiedy wydawaliście z Jamesem obiad dla księcia Karola - przypomniał.

Jego zachowanie było niezwykle serdeczne, a jednak, kiedy wyszła od niego, przepełniły ją złe przeczucia. W miejscu takim jak BBC uprzejmość zbyt często oznaczała, że decyzja została już podjęta i nie dadzą ci pracy.

Kobieta zajmująca się sprawami personalnymi od razu przeszła do sedna.

- Sześćioletnia nieobecność to bardzo długi okres w życiu prezenterki - stwierdziła rzeczowo.

Nie poddawaj się, koleżanko, pomyślała Jancie.

- Nie myślałam wyłącznie o pracy prezenterki - powiedziała pogodnie, siedząc wyprostowana. - Są inne sfery, gdzie moje doświadczenie zdobyte w Waszyngtonie, a także związane z nim kontakty, mogą się okazać użyteczne dla BBC. Nie ma znów tak wielu osób, które znają się na pracy w telewizji, a jednocześnie mają powiązania z ludźmi, których BBC potrzebuje po swojej stronie.

Chwila ciszy.

- Czy myślała pani o pracy w public relations?

- Tak - skłamała spokojnie Jancie. - Będę w tym bardzo dobra.

Tydzień później otrzymała list od dyrektora działu reklamy z prośbą, by zadzwoniła do jego biura i umówiła się na rozmowę w sprawie pracy.

Dwa tygodnie po tej rozmowie otrzymała kolejny list. Asystentka w dziale reklamy. Płaca taka a taka. Roczny kontrakt, odnawialny. Praca.

Tego wieczoru James wrócił do domu z poszarzałą twarzą. Jancie natychmiast zbiegła na dół, żeby się z nim przywitać.

- BBC zaproponowało mi pracę. W reklamie. Nic nadzwyczajnego, ale zawsze to pierwszy krok.

Objął ją ramieniem i przyłożył policzek do jej twarzy. Był to jedyny wieczór, kiedy nie miał ochoty opowiedzieć jej, jak mu minął dzień.

Zdarzało się, że James był nagle wzywany, po czym z namaszczeniem wsiadali do rolisa i przejeżdżali przez rzekę do Scrope Tower. Tam Gerald albo prosił go o potwierdzenie niektórych kwestii, albo też oganiał się od niego jak od muchy, gdy James wtrącał się, wyrażając swój pogląd.

Innym razem szedł do gabinetu Geralda w odpowiedzi na wezwanie, by usłyszeć wypowiedziane pompatycznym tonem słowa:

- W całym tym budynku tylko pan i ja, ambasadorze, jesteśmy w stanie pojąć, co się naprawdę dzieje na Środkowym Wschodzie. Proszę napisać mi wstępny artykuł, który będę mógł z dumą przeczytać w jutrzejszym „Javelin”.

Zdarzało się również i tak, że wpadał do pokoju, wrzeszcząc:

- Ty pieprzony idioto. „Javelin” ma dwa i pół miliona czytelników, począwszy od premiera, a skończywszy na taksówkarzu. Ani im się śni biec do cholernego słownika za każdym razem, kiedy pan zechce się pochwalić, że wie, jak pisać dwudziestoliterowe słowa. - Pewnego razu przebiegł nawet przez pokój, otworzył okno i wyrzucił kartki.

Istniała tylko jedna sytuacja, w której zachowanie Geralda w stosunku do niego było możliwe do przewidzenia. Kiedy w jadalni urządzonej w kolorze wina przyjmował ministra albo ważnego przemysłowca lub amerykańskiego kongresmena, niezmiennie okazywał Jamesowi szacunek, zwracając się do niego, by poprowadził rozmowę. Ludzie, w ręku których spoczywała władza, byli pod wrażeniem agresywnej siły i przedsiębiorczości Geralda, ale to Jamesa darzyli zaufaniem. - Dlaczego, pytał siebie niejednokrotnie po takim okrop-

nym dniu, toleruję takie traktowanie? Odpowiedź brzmiała zawsze jednakowo - Gerald Scrope jest geniuszem, który sam do wszystkiego doszedł, i jego brutalność należało traktować jako zaledwie drobną cząstkę podniecającej, złożonej osobowości. Jamesa cechował przewrotny snobizm charakterystyczny dla wielu osób urodzonych w uprzywilejowanej klasie wolnych zawodów w Anglii: ludziom, którzy sami wydzwignęli się z nizin, wybaczal grubiaństwo, nie tolerowane u kogoś swojego pokroju.

Dzisiaj Gerald zadzwonił do niego i rozpoczął rozmowę całkiem uprzejmie, mówiąc:

- O dwunastej trzydzieści jadę do Scrope Tower, ambasadorze.
- Świetnie. Zdam do tej pory skończyć mój wstępniak na temat Arabii. Dołączę do pana dwadzieścia po dwunastej - odparł James.
- Jadę sam, ambasadorze. James opanował się z wysiłkiem.
- Przecież zaledwie godzinę temu uzgodniliśmy, że pojedziemy razem - zdał sobie sprawę, że w jego głosie brzmi napięcie.
- A ja minutę temu zdecydowałem, że pan zostanie tutaj. Czyżby zapomniał pan warunki umowy, ambasadorze? Mówiłem, że potrzebuję kogoś, do kogo mógłbym mieć zaufanie, kto potrafi ocenić sytuację i podjąć decyzje pod moją nieobecność. Czy chce pan powiedzieć, że nie mogę panu zaufać, ambasadorze?
- Na litość boską, panie przewodniczący. Kiedy wstępnie rozmawialiśmy o tej pracy, była mowa o pańskich wyjazdach na drugą stronę Atlantyku, a nie drugą stronę Tamizy.
- Ty pieprzony etoński idioto, może ty marzyłeś, że będę na drugim końcu świata. Ja nie mówiłem, gdzie będę.

Chociaż praca Jancie w public relations bardzo różniła się od jej złotego okresu prezenterki, to jednak doszła do wniosku, że podoba jej się to i że jest w tym dobra.

James był tu nieoceniony ze swymi radami i kontaktami. A sama praca odciągała jej myśli od Simona. Kiedy James po raz pierwszy powiedział jej, że Simon jest kierownikiem działu zagranicznego w „Javelin”, zabrzmiało to, jakby wygłaszał komunikat o pogodzie. Od tej pory ani razu nie wspomniał Fleeta. Pewnego dnia jej tęsknota za Simonem stała się tak dojmująca, że zadzwoniła do niego do redakcji.

Odpowiedź Simona poprzedziła króciutka chwila wahania.

- Telepatia. Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Zbyt długo już się nie kontaktowaliśmy.

Starła się mimo wszystko zachować spokój, choć czuła, jak wypełnia ją uczucie radości. Jego głos brzmiał tak, jakby rzeczywiście się cieszył, że ją słyszy.

- Jestem zavalony pracą - powiedział - ale zadzwonię w przyszłym tygodniu, umówimy się na lunch. Pomyśl, dokąd chciałabyś pójść.

Minęły trzy tygodnie.

Siedząc samotnie w biurze zacisnęła pięści i potrząsnęła nimi nad telefonem.

- Dzwon, przeklęty, i niech to będzie on. - Zadzwonił. Podniosła słuchawkę; nie ten głos. Godzinę później jej siła woli rozpułyła się.

- Przykro mi, jest na spotkaniu. Przekażę, że pani dzwoniła - powiedziała jego sekretarka. Zanim połączenie się przerwało, Jancie zdążyła jeszcze usłyszeć jej chichot.

Ośrodek telewizyjny był odległy zaledwie o dziesięć czy piętnaście minut jazdy od domu w Kensington, więc wracała zazwyczaj przed pół do siódmej. Opiekunka zdążyła już przygotować bliźniakom kolację i Jancie siedziała teraz przy kuchennym stole, popijając kawę, podczas gdy Nell i Danny opowiadali jej, co im się przydarzyło tego dnia. Kiedy wybiegli na dwór, by pobawić się jeszcze przed zmrokiem, poszła na górę i przebrała się w coś bardziej miękkiego, co uwypukliło jej kształty.

Wszystko stawało się łatwiejsze, jeśli wykrywało się te same czynności co zawsze. I nie było to tylko odgrywanie przedstawienia - minione tygodnie, kiedy starała się postępować jak kochająca żona, obudziły w niej na nowo głębokie uczucie do męża.

Wchodząc do domu James usłyszał piskliwe głosiki dobiegające z ogrodu na tyłach domu. Był to jeden z tych wrześnieowych wieczorów, gdy powietrze jest gorące i nieruchome. Podszedł do tylnych drzwi i zobaczył swoje dzieci i dwójkę ich małych sąsiadów trzymających młotki do krykieta jak kije golfowe. Blond główki bliźniaków można było rozróżnić tylko po długości włosów.

- Dobry wieczór - zawołał, na co dzieci spojrzwały na niego i pomachały mu, zanim powróciły do ważniejszych spraw, czyli uderzania piłki.

Poczuł głęboką ulgę, że będą zajęte, dopóki nie pójda do łóżek. Nawet piętnastominutowa rozmowa z nimi -a starał się zawsze znaleźć na nią czas podczas tych rzadkich wieczorów, kiedy wracał zanim znalazły się w łózkach - wymagałaby od niego ogromnego wysiłku po tak okropnym dniu jak ten, który właśnie dobiegał końca.

W swoim gabinecie na górze zastał Jancie stawiającą właśnie lód i szklaneczki obok tacy z alkoholem. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz.

- Kolejny wspaniały dzień z lordem Scrope'em? -stwierdziła pytająco, unosząc twarz, by pocałować męża.

James nalał obojgu whisky.

Odezwał się dopiero, gdy usadowili się w fotelach zwróconych przodem do kominka.

- Nie wiem, czy długo uda mi się tam wytrwać, Jancie. On usilnie stara się mnie zdemoralizować.

- Ale dlaczego mu na tym zależy? - spytała. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie wiem.

Pociągnął spory łyk whisky i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Ilekroć znajdujemy się w towarzystwie kogoś liczącego się w świecie wykraczającym poza imperium Scrope'a - ciągnął - przewodniczący traktuje mnie z najwyższym szacunkiem.

- Nie nazywaj go tak, kiedy jesteś w domu! - odezwała się ostro.

Przesunął ręką po czole.

- Dopiero w murach swojego królestwa Gerald Scrope przeobraża się w kotka igrającego z myszką. W jednej chwili mówi: „Świetnie, świetnie, ambasadorze; tylko najwyższej klasy mózg mógł napisać taki wstępniak na temat Arabii”. W chwilę później jestem „pieprzonym głupkiem” - James zmęczonym głosem parodiował spłaszczanie samogłosek przez Geralda - którego trzeba wyszydzić z powodu „pieprzonego etońskiego wykształcenia”.

- Ale przecież Gerald Scrope zawsze chlubi się tym, jak to sam wywalczył sobie drogę na szczyt.

- Wiem - odparł ze znużeniem.

James pólleżał w fotelu, wpatrując się w zdobiony owalami i strzałkami gzyms na suficie gabinetu. Przez chwilę ujrzał oczami wyobraźni bogato rzeźbione symbole - władzę, bogactwo i wiedzę - umieszczone tuż poniżej gzymsu w bibliotece ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie. Odpędził od siebie wspomnienia.

- Nie wiem, co robić, Jancie.

Nie uskarżał się bynajmniej, kiedy to mówił - było to proste stwierdzenie wypływające z rozpacz.

- Jeślibyś nawet jutro opuścił „Javelin”, damy sobie radę, dopóki nie znajdziesz innej pracy. Z pewnością otrzymasz przyzwoitą ofertę od innej gazety, nawet jeśli nie będzie z nią związany wielki tytuł.

James zacisnął usta. Samo brzmienie tych słów - *chef de cabinet* — przyprawiało go o nudności.

- Wyszłaś za cholernego głupca, Jancie. Wiesz dlaczego tak się spieszyłem z przyjęciem oferty Geralda Scrope'a? Próżność. - Mimo podłego nastroju uśmiech-

nał się. - „Dlaczego, pierdolcu, nie możesz używać słów, które ludzie będą w stanie, cholera, zrozumieć?” - odezwał się głosem Geralda. - Duma. Pieprzona, gówniana duma. - Zaśmiał się sucho. - Pochlebiało mi to, że Gerald Scrope przyleciał do Waszyngtonu, żeby mnie tak gorąco namawiać. Pochlebiał mi też ten cholerny tytuł, który mi zaproponował i związany z nim status. Jednak stanowisko ambasadora było bardziej deprawujące, niż sobie uświadamiałem. Przyzwyczyłem się do tego całego blichtru i nie mogłem pogodzić się z myślą, że nagle wszystko stracę. Wydawało się, że to, co oferuje mi Gerald Scrope, będzie odpowiednim substytutem. Cholerna próżność. Cholerny głupiec. Obserwując go teraz, poczuła się wzruszona powagą w układzie jego ust, która w okresie jej waszyngtońskich wybryków tak ją denerwowała. To ona wpakowała go w to gówno.

- Nigdy nie obwiniałaś mnie o to, że przeze mnie straciłeś pracę, na której tak ci zależało - powiedziała. - Oddałabym wszystko za to, żeby to się nigdy nie stało.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Dziwna sprawa - ciągnęła - że to, co zaszło, bardziej przybliżyło mnie do ciebie. Zupełnie jakbyśmy byli związani w sposób, jakiego przedtem nie udało nam się osiągnąć. Mówisz mi rzeczy, których nigdy przedtem nie mówiłeś.

Wstała z krzesła i podeszła do niego, a stanąwszy za jego plecami, pochyliła się, by przytulić swój policzek do jego. Lubiła dotyk jego skóry, szorstkiej od tylu lat letniego żeglowania.

Kiedy wróciła na swoje krzesło, James odezwał się:

- Być może, gdybym w stosunku do Geralda Scrope'a postępował inaczej, to ta praca mogłaby mi jednak dać jakąś satysfakcję. Mój problem polega także na tym, że nigdy nie miałem do czynienia z kimś jego pokroju. Nie zdaję sobie w pełni sprawy, z jakim zwierzęciem współpracuję.



Zadzwoił telefon.

Obydwoje spojrzeli na niego. Był to jeden z dwóch aparatów - czerwony - stojących na stoliku obok Jamesa. Każdy, kto pracował dla Geralda Scrope'a musiał być uchwytany przez okrągłą dobę.

- Nie odbieraj - poradziła Jancie.

Po dziesiątym sygnale dzwonienie się urwało. Potem zaczęło się od nowa. James spojrzął na Jancie, a ona się uśmiechnęła.

Podniosła się i włączyła automatyczną sekretarkę normalnego telefonu.

- Ten sukinsyn spróbuje teraz tego - powiedziała, sadowiąc się ponownie w fotelu. Po chwili zaczęli chichotać jak dzieci, kiedy drugi telefon faktycznie zadzwonił, a jego sygnał urwał się w połowie, gdyż włączyła się maszyna.

- Lepiej zejść na dół i zrobić szybką kolację - stwierdziła w końcu Jancie. - Czy mam wybrać wino?

- Mam do ciebie pełne zaufanie - odparł James, uśmiechając się.

Nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky i usadowił się wygodniej, po czym puścił kasetę z automatycznej sekretarki.

- Zgodnie z naszym harmonogramem - chrząknął głos dyżurnego - dzisiejszego wieczoru ambasador Wharton jest w domu. Nikt nie odebrał telefonu na specjalnej linii. Pan przewodniczący życzy sobie, żeby ambasador Wharton zadzwonił natychmiast do „Javelin”.

James uśmiechnął się do siebie i w tym momencie normalny telefon zadzwonił ponownie, włączyło się światelko automatycznej sekretarki i usłyszał wypowiedziane najwyraźniej przez zaciśnięte zęby słowa:

- Pan przewodniczący jest w swym biurze w „Javelin”. Ambasador Wharton powinien natychmiast oddzwonić.

Parę minut później nadeszła trzecia wiadomość.

- Jest to bardzo pilny telefon od przewodniczącego. Czy ambasador Wharton mógłby natychmiast zadzwonić do „Javelin”?

James chrząknął. Za trzecim razem rozkaz przeszedł subtelną przemianę, przekształcając się w coś w rodzaju prośby, chociaż nadal brzmiała w niej arogancja. Pociągnął łyk whisky.

Niedługo potem Jancie podeszła do schodów, by zawołać, że kolacja jest gotowa. Rozgrzewała i uszczęśliwiała ją myśl, że zadali swój pierwszy cios, żeby przebić się ku wolności. W tym momencie odezwał się dzwonek u drzwi.

- Szlag by trafił - mruzczała do siebie, podchodząc do stolika w holu, gdzie trzymała portmonetkę z drobnymi, żeby jak najszybciej pozbywać się proszących o wsparcie. Kiedy otworzyła drzwi frontowe, ujrzała stojącego za nimi policjanta.

- Pani Wharton? Przepraszam, że przeszkadzam, ale otrzymaliśmy telefon z biura lorda Scrope'a. Powiedziano nam, że istnieją wszelkie powody, by przypuszczać, że zdarzył się tu jakiś wypadek. Czy pan Wharton jest w domu?

Zaczęła się śmiać jak obłąkana.

- Nie było tu żadnego wypadku - udało jej się w końcu wykrztusić do nic nie rozumiejącego policjanta.

-Jedyną katastrofą jest to, że mój mąż został zatrudniony przez szaleńca.

Kiedy policjant dał się przekonać, że w domu Whartonów nie zaszło nic strasznego, James zadzwonił do dyżurnego i został natychmiast przełączony do Geralda.

- Przykro mi, że muszę przerwać panu miły wieczór w domu, ambasadorze. Pojawiły się jakieś komplikacje w związku z jednym z amerykańskich kontraktów obronnych. W Waszyngtonie jest teraz czwarta po południu. Musimy jak najszybciej porozmawiać z Pentagonem. Potrzebuję pana jako mojej trzeciej ręki.

Dwadzieścia minut później na progu Whartonów pojawił się kierowca Geralda.  
- Pan przewodniczący przysłał mnie, żebym zabrał pana ambasadora, proszę pani.  
Po dziesięciu minutach James siedział w rollsie jadącym z powrotem do redakcji.

## ROZDZIAŁ 20

- Czuję się strasznie niepewnie - wyznała Zoe. Uwielbiała te późne telefony Petera, kiedy leżała już w łóżku i mogła, rozmawiając, wtulić się w poduszki.
- Mimo że parlament jeszcze nie wznowił sesji, wszyscy członkowie rządu wrócili już do Londynu. Mnie tymczasem nie udaje się ustalić nawet wstępnej daty wywiadu z żadnym z ważniejszych ministrów czy inną grubą rybą w Westminsterze. To wszystko, co pisałam o politykach w Waszyngtonie, nie pomogło skruszyć tu lodów.
- To całkiem spory ocean - stwierdził Peter. Okazało się, że stosunkowo łatwo jest umówić się na wywiady z reżyserami filmowymi i aktorami, mniej ważnymi ministrami czy szefami organizacji samorządowych - chociaż paru z nich miało pretensje, gdy Zoe obnażyła ich ułomności. Grube ryby mogły wystąpić w radiu lub telewizji i przemawiać bezpośrednio do publiczności, zachowując w ten sposób pełną kontrolę nad swym przekazem. Natomiast w przekazie drukowanym dziennikarz mógł zwrócić uwagę czytelnika na uniki i wykręty lub dodać komentarz do wypowiedzianych przez nich słów. Gazety brukowe były brutalne. W Anglii wydawano codziennie jedenaście dzienników sprzedawanych w całym kraju i niemal tyle samo wydań niedzielnych, więc wydawcy byli bezlitośni. Czołowi politycy faktycznie mieli powody, by nie składać

swej reputacji w ręce dziennikarzy, których nie zdążyli jeszcze poznać.

- Jem jutro lunch z Milesem Brewsterem - powiedziała. - Nigdy dotąd mnie nie zapraszał i mam niejasne przeczucie, że zamierza mi powiedzieć, iż nie podoba mu się moja praca. Oczywiście w bardzo uprzejmy sposób - dodała ponuro.

- Cóż, wciągnij go w szczerą rozmowę - poradził Peter. - Sama porusz ten problem.

Miles umówił się z nią na spotkanie przed frontowym wejściem do budynku redakcji. Czuła się bardzo spięta, gdy wsiadali razem do samochodu. Niewiele się odzywali. Zoe albo wpatrywała się w swoje okno, albo w przednią szybę. Raz czy drugi poczuła na twarzy jego spojrzenie. Odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że restauracja jest niedaleko.

„Le Mijanou” była popularna wśród polityków i pracowników mediów. Kiedy weszli, kilka osób powitało Milesa od swych stolików, po czym zaczęły się domysły na temat towarzyszącej mu brunetki.

Zoe zaplanowała, że poruszy dręczący ją problem, jak tylko złożą zamówienie. Jednak nim kelner zdążył się dobrze odwrócić, Miles zapytał:

- Czy złamałaś kiedyś nos?

Na jej twarzy odbiło się zaskoczenie.

- Zaprzęta mnie teraz zgoła inny problem - rzuciła w odpowiedzi, śmiejąc się.

Nie skomentował tego, czekając aż odpowie na jego pytanie.

- Złamałam go w szkole - odparła. - Wygrałam z jednym chłopcem w squash, podczas gdy jego koledzy patrzyli. Wiesz, jacy chłopcy są dziecinni - dodała.

Miles uśmiechnął się do siebie.

- Nazwał mnie sierotką Marysią i zapytał, jakie to uczucie być zagrzebaną ze starym przykiem i wiedźmą na farmie, którą już diabli wzięli. Więc dałam mu w zęby.

- Aon?
- Nie spodobało mu się to. Kiedy szamotaliśmy się na boisku, złamałam nos. Obserwowała, jak próbuje wino. Po chwili znów na nią spojrzał.
- Podoba mi się rezultat. - Zmienił nagle temat. - Jak ci się współpracuje z innymi dziennikarzami?
- No cóż, nie ma tu takiej atmosfery koleżeństwa jak w „Washington Express” - odparła Zoe. - Brytyjscy dziennikarze mniej sobie wzajemnie pomagają.
- Zdają sobie sprawę, że pracują w cholernie niepewnym interesie. Czyżby to była aluzja do tego, co miało nastąpić?
- Dopiero gdy zostaną twoimi przyjaciółmi - ciągnęła - jest wspaniale. Wydaje mi się, że Anglicy wcale nie są tacy powściągliwi, kiedy już znajdzie się z nimi wspólny język. Czasami nawet wręcz przeciwnie.
- Masz na myśli, że nie wszyscy są tak wychowani jak James Wharton. Upiła nieco swego wina.
- Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać - zdobyła się na odwagę. - Nie przewidywałam, że tak trudno będzie zdobyć wywiady z szlachą z Westminster. Czuję się, jakbym znowu była w pierwszej klasie.
- Nie zdawałaś sobie sprawy, że tutaj będziesz musiała od nowa wyrabiać sobie pozycję?
- Teoretycznie tak. Ale w praktyce, kiedy przychodzi co do czego, człowiek odbiera to jako wstrząs. - Rękę trzymała mocno zaciśniętą pod stołem, oczekując, kiedy Miles wygłosi swoje ostrzeżenie.
- Czy tęsknisz za ludźmi w Waszyngtonie? — spytał zamiast tego. Zacerwieniła się. Czy spodziewa się, że powie coś o Peterze?
- Podoba mi się sposób, w jaki w Londynie jest wszystko urządzone - odparła. - Rząd, muzea, opera, rzeka. Każda rzecz na swoim miejscu.

- Zgadzasz się z tobą, chociaż nie o to pytałem. Spoglądał na nią ponad krawędzią swego kieliszka.
  - I kolory są tu o wiele jaśniejsze - dodała. - Myślę, że ma to coś wspólnego z wilgotnym powietrzem.
  - Jakie kolory? - zapytał rozbawiony.
  - Wszystkie. Nie zauważyłeś tego? Widziałeś rododendrony na skwerkach? Ich czerwień jest o wiele ostrzejsza niż u nas. Nigdy nie widziałam tak żywego, żółtego pola, które podziwiałam, jadąc w zeszłym tygodniu autobusem do Oxfordu.
- Rzeczywiście miała rację - dostrzegł tę nadzwyczajną klarowność kolorów, nie zastanawiając się nad nią. Przemknęło mu przez głowę pytanie, czy Marigold zauważyła kiedykolwiek, iż kolory w Anglii są żywsze, lecz od razu je stłumił, zawstydzony, że dokonuje porównań.
- Jeśli natomiast chodzi o życie osobiste, można w Londynie robić, co się chce - ciągnęła. Może, jeśli będzie tak paplać, to Miles zapomni jej powiedzieć, żeby lepiej, u diabła, wystrzeżona w najbliższym czasie z jakąś polityczną sensacją. - W Waszyngtonie, mimo że nie zna się wszystkich osobiście, to zawsze wiadomo, kto jest kim. W Londynie jest tyle różnych światów, że człowiek czuje się zupełnie anonimowy.
  - Są ludzie, którzy nie znoszą być anonimowi - zauważył. - Czują się wtedy samotni.
  - Wiem.
  - Naprawdę?
  - Poczucie samotności? - zawahała się. - Chyba też przez jakiś czas się tak czułam, chociaż nie nazywałam tego w ten sposób
  - A jak ty to nazywałaś?
- Uśmiechnęła się do niego, chociaż ze zdumieniem stwierdziła, że chce jej się płakać.
- Myślałam o tym jako o nostalgii. To nie jest złe uczucie. Zresztą, wychodzę nieraz wieczorami z paroma osobami. Znalazłam też kilku przyjaciół w prawdziwym świecie.

Zareagował uśmiechem na ten prztyczek. Świat mediów faktycznie jest nierzeczywisty - najpierw szalone zainteresowanie ostatnią plotką, a potem przechodzi się do następnej historii, nie oglądając się za siebie.

- James i Jancie postarali się o to - dodała. - A jeśli Brytyjczycy raz dojdą do wniosku, że cię lubią, stają się bardzo wspaniałomyślni - ich przyjaciele również cię przejmują, tak to ujmijmy. Obecność Whartonów bardzo mi pomogła.

- Co rozumiesz przez nostalgię? - drażył Miles. Ten facet może nie nadaje się do plotkowania, ale trzeba przyznać, że bardzo bezpośrednio strzela w człowieka osobistymi pytaniami, pomyślała.

- Trudno to opisać - odezwała się głośno. - To rodzaj miękkiego, smutnego uczucia. Czasem przydarza mi się, gdy słucham Wagnera albo wypływam samotnie daleko w morze. Często ogarniało mnie to uczucie, gdy dorastałam w Vermoncie. Uwielbiałam odosobnienie farmy dziadków. A jednak w tym samym czasie przeżywałam to uczucie nostalgii; uczucie, że gdzieś tam dzieje się coś ważnego, a ja chciałam wiedzieć, co to jest, pragnęłam to poczuć.

- Poczucie, to znaczy dotknąć czy poczuć w głębi siebie?

Zoe zaśmiała się nerwowo.

- Sądziłam, że to moim zadaniem jest sondowanie uczuć innych ludzi - stwierdziła.

Ujrzała, jak rumieniec wypływa mu na policzki.

- Jak daleko zaszłaś w urabianiu ministrów? - spytał nagle.

Zoe pluła sobie w brodę, że się tak odezwała. Zraniła jego uczucia. Nie mogła jednak tego powiedzieć, to by jeszcze bardziej pogorszyło sprawę.

- Miałam ustaloną datę z ministrem transportu, lecz spotkanie zostało odwołane - odparła.

- Przed czy po tym, jak ukazał się twój artykuł na



temat prezesa British Airways? Notabene, bardzo mi się on podobał.

- Po - odparła. Wygląda na to, że już mu przeszło, pomyślała.

Miles chrząknął.

- Zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo, kiedy ośmieszysz którąś z wielkich szych. Wszyscy pozostali cieszą się z jego porażki; stara, dobra *Schadenfreude*; ale nie tęsknią za tym, żeby im przytrafiło się to samo. Nie martw się. Kiedy już wyrobisz sobie nazwisko, na pewno zmienią zdanie. Wywiad z Zoe Hare będą traktować jak wyzwanie, któremu muszą sprostać. Nie pozwalaj sobie na niedocenianie ludzkiej próżności.

Jego uwagę przyciągnęła zwałista postać wypełniająca wejście, zarożumiałym wzrokiem przebiegająca po sali.

- Nawet Alan Rawlston, gdyby się do tego naprawdę przyłożył, mógłby cię oczarować tak, że przedstawiłabyś go w sposób, w jaki sam siebie widzi.

- Cześć, Milesie.

Minister obrony spojrział znacząco na Zoe.

- Mam nadzieję, Milesie, że jesteś bardziej uprzejmy dla swoich przyjaciół niż twoja gazeta dla mnie - stwierdził.

Miles uśmiechnął się niechętnie.

- To jest Zoe Hare, jedna z moich najlepszych publicystek. Specjalnie importowana z Ameryki, żeby dostrzec w Anglikach to, co oni sami rzadko widzą.

Alan zarechotał.

- Powinniśmy któregoś dnia zjeść razem lunch - powiedział do Milesa. - Ktokolwiek pisał wstępny artykuł do wczorajszego „Dispatch”, zupełnie opacznie przedstawił moje stanowisko w sprawie embarga na broń dla Arabii.

- Ja go napisałem - odparł lakonicznie Miles. - Przysięgłbym, że trafiłem w samo sedno.

Znowu rehot.

- A co byś powiedział na wywiad z Zoe Hare? - spytał Miles. - Mógłbyś wtedy wyrazić swoje poglądy. Alan ponownie przyjrzał się Zoe, tym razem dokładniej ją oceniając.

- Proszę zadzwonić do mojego biura, panno Hare. - Przyjacielsko skinął Milesowi głową i odszedł do stolika swego gospodarza.

- Mogłabym go pokochać - stwierdziła Zoe.

- Spróbuj mu stanąć na drodze i zobaczymy, czy wtedy będziesz go kochać.

Miles spojrzał na nią ostro i roześmiał się.

- Jeśli Alan Rawlston wykalkulował sobie, że to poprawi jego stosunki z „Dispatch”, to będziesz miała swój wywiad. No i proszę, wepchniesz już stopę w drzwi West-minsteru.

Opuszczając restaurację, czuli się swobodnie w swym towarzystwie. Ledwie jednak wsiedli do samochodu, skrepowanie znów powróciło. Doszła do wniosku, że ma to coś wspólnego z faktem, iż dwoje ludzi jest uwięzionych na tylnym siedzeniu, co stwarza bardziej intymną atmosferę, niżby człowiek oczekiwał po publicznym środku transportu. Znowu prawie się nie odzywali do siebie, a parę razy Zoe poczuła na sobie jego wzrok.

Napięcie zniknęło dopiero, kiedy samochód zatrzymał się przy wejściu do „Dispatch” i ona wróciła do pokoju redakcyjnego, a on do biura redaktora naczelnego.

## ROZDZIAŁ 21

Stała przy przeszklonej ścianie, spoglądając w dół. Liście platanów zmieniały już kolor. Brewsterowie wprowadzili się tu kilka tygodni temu. Po remoncie mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak Marigold sobie wyobrażała: dramatycznie i elegancko, i doskonale się nadawało do przyjmowania gości. A jednak Marigold była niezadowolona.

Nie było to niezadowolenie materialisty, który widząc u sąsiada większe patio, buduje sobie takie samo i nadal ma poczucie niespełnienia i irytacji. Marigold miała niezawodny gust i naprawdę potrafiła się cieszyć wszystkimi pięknymi przedmiotami, które można kupić.

Od czasu kiedy przybyli z Milesem do Anglii, dwukrotnie zdarzyło jej się natknąć na Geralda. Za pierwszym razem było to w jadalni hotelu Ritz. Od orkiestry odłączył się skrzypek, żeby obejść salę i był właśnie w połowie śpiewanej dla niej serenady, kiedy dostrzegła, że twarz Milesa sztywnieje. Skłonił chłodno głowę. Podniosła wzrok i ujrzała Geralda Scrope'a oddającego ukłon i mijającego ich stolik bez zatrzymania się. Był z nim jeszcze jakiś mężczyzna. Z tego, co wiedziała, Gerald miał cały harem kobiet, lecz podejrzewała, że brakowało mu na nie czasu.

Druga okazja zdarzyła się kilka dni temu na oficjalnym bankiecie wydawanym przez królową na cześć prezydenta Lamberta i Pierwszej Damy. Marigold zastana-

wiała się wcześniej, czy Gerald również znajdzie się w pałacu Buckingham. Przystąpiwszy próg sali recepcyjnej ozdobionej wspaniałymi obrazami na pokrytych zielonym jedwabiem ścianach, natychmiast zaczęła rozglądać się za Geraldem. Pod tym przesadnie ozdobnym sufitem musiało stać w tej chwili około pięćdziesięciu osób - mundury obwieszane rzędami orderów, białe krawaty i fraki, sztywne atłasowe suknie i diademy (nikt nie miał piękniejszego niż Marigold - było to trofeum z małżeństwa ze starym earlem). Nigdzie go nie widziała. Może był w innej sali; ktoś z dworu powiedział Milesowi, że są tu dwie setki gości.

Kiedy sączyła szampana, a Miles rozmawiał z amerykańskim sekretarzem stanu, rozejrzała się znowu, lecz na próżno. Wtem szmer przeleciał przez salę - w drzwiach po przeciwnej stronie ukazała się królowa i członkowie królewskiej rodziny wraz z Lambertami.

Parę minut później u boku Marigold wyrósł jakiś dworzanin.

- Pani Brewster, panie Brewster. Poproszono mnie, by przedstawić państwa księciu Walii.

Serce jej podskoczyło. Idąc za wskazującym im drogę dworzaninem, zauważyła pozostałych członków rodziny królewskiej - królową, księcia Filipa, księcia Andrzeja - rozstawionych w odległości kilku metrów jeden od drugiego, tak żeby móc uhonorować indywidualnie jak największą liczbę gości. Nikt nie potrafił lepiej od nich obdarzać pełnią uwagi osoby, z którą właśnie rozmawiali. Z kolei nikt nie był tak szybki jak dworzanie w okazywaniu obrazy, jeśli gość źle zrozumiał przyjazne zachowanie i w odpowiedzi równie nieformalnie potraktował członków królewskiej rodziny. Marigold, rzecz jasna, była świadoma, jak należy się zachować. Jeśli księżę Karol zada jej jakieś pytanie, to ona bynajmniej nie odwzajemni się tym samym.

Kiedy ją przedstawiono, przykucnęła w głębokim dygu, tak doskonale (wykonanym, jakby co tydzień spoty -

kała przyszłego króla. (Wybrała suknie; z szeroko skrojoną spódnicą, tak żeby w pełni zaprezentować swą grację w tym - bądź co bądź niełatwym ceremoniale.)

— Wasza Książęca Wysokość wymamrotała, podnosząc się, a on w odpowiedzi uśmiechnął się mile i to nie tylko ustami, lecz również oczami.

Miles, jako Amerykanin, skłonił tylko lekko głowę, kiedy księżę uściśnął mu rękę. Podczas kiedy gawędzili w trójkę, Miles przyglądał się wąskiej twarzy ze zmarszczkami od śmiechu w kącikach oczu. Zdumiewające, że jeszcze je ma, pomyślał, po tym wszystkim, co zrobiła mu księżna Diana. Rozmowę rozpoczął oczywiście księżę, niespodziewanie melodyjnym głosem. Może tym napiętym, wysokim głosem zarażają się tylko żeńscy członkowie rodziny królewskiej, pomyślał.

— Jak się pani podoba mieszkanie w majstersztyku sir Denysa Lansduna, pani Brewster? — zapytał księżę z iskierką rozbawienia w oczach.

Trzeba im oddać sprawiedliwość, powiedziała do siebie Marigold, że odrobili zadanie domowe.

— Bardziej, jak sądzę, niż podobałoby się panu, księżę - odparła.

Wstręt księcia do nowoczesnej architektury był powszechnie znany.

— Zawsze pragnęłam mieć tam mieszkanie — ciągnęła. — Widok na Green Park jest doprawdy śliczny.

Byłaby usprawiedliwiona, nazywając go wspaniałym, ale biorąc pod uwagę widoki z królewskiego pałacu uznała, że lepiej o własnym mowie z większą skromnością.

— Dopóki pozostaje się wewnątrz arcydzieła sir Denysa i wygląda na zewnątrz, to ośmielę się powiedzieć, że jego projekt odbiera się bardzo dobrze — stwierdził księżę.

Miles zaczął się śmiać.

Księżę, na którego twarzy pojawił się szeroki, szybki uśmiech, obrócił się w jego stronę i spoważniał.

— Wziął pan duży ciężar na swe barki, panie Brew-

ster, decydując się być zarówno właścicielem, jak i redaktorem naczelnym brytyjskiej gazety. Jeśli „Dispatch” popełni omyłkę w sposobie potraktowania jakiejś sprawy, to właściciel nie będzie mógł obwiniać redaktora, a redaktor właściciela.

Ponieważ to Miles był obecnie obiektem uwagi księcia, Marigold mogła dokładniej przyjrzeć się następcy tronu. Drobne zmarszczki przy oczach przemieniły się nagle w bruzdy, gdy wygłaszał swą cierpką uwagę o angielskiej prasie. Ostatnie publikacje nagranych rozmów telefonicznych musiały być dla niego koszmarem.

- Odpowiada mi ta podwójna rola, Sir. Ktoś musi podejmować bezpośrednie decyzje dotyczące tego, czym ma się zajmować gazeta. Wolę, żebym to był ja.

- Tak. - Nastąpiła krótka pauza.

Trudno byłoby Milesowi odezwać się mniej taktownie, pomyślała Marigold. Wszyscy wiedzieli, jak dalece księżę jest zawiedziony faktem, że dobiegł już średniego wieku, a nadal nie zajmuje stanowiska, na którym mógłby podejmować rzeczywiste decyzje.

- Zainteresował mnie pański artykuł wstępny na temat konieczności ponownego scementowania stosunków angielsko-amerykańskich - podjął księżę. - Bardzo trafny w świetle wizyty prezydenta Lamberta.

Odwrócił się.

Tym razem poruszenie w sali było spowodowane podaniem obiadu. Również goście z innych salonów zbierali się w sali jadalnej, gdzie czekał ogromny stół bankietowy. Każde miejsce było odmierzone przez lokaja linijką, żeby mieć pewność, że kiedy inny kamerdyner rozkładający nakrycia dotrze do końca pięćdziesięciometrowego stołu, to będzie miał gdzie położyć dwa ostatnie. Królowa osobiście skontrolowała kilka godzin wcześniej ostateczny efekt - adamaszkowe obrusy, złote talerze, kryształ Stourbridge'a, wszystko błyszczące w miękkim świetle kandelabrow i żyrandoli.

Marigold siedziała między admirałem floty a dyrekto-

rem Tate Gallery. General okazał su; bardzo zajmujący, lecz jego sposób) bycia wymagał ciągłej uwagi. Dopiero przy rybnym daniu, kiedy obróciła się do dyrektora galerii, zauważyła (ieralda siedzącego nieco dalej po drugiej stronie. W świetle świec jego kasztanowe włosy płonęły. Miała ochotę ich dotknąć.

Obrócił się i przez całą minutę patrzyli sobie w oczy. Skinął jej powoli głową i zwrócił się znów do swej partnerki przy stole.

Przez resztę wieczoru, niezależnie od tego, z kim rozmawiała, jej uwaga była podzielona. Zerknęła przez stół na plecy Geralda. Rozglądała się wokół, gdy po obiedzie wszyscy ruszyli ku drzwiom. Na próżno.

Podczas krótkiej jazdy z powrotem do St James's Place powiedziała do Milesa:

- Czy rozmawiałeś z obojgiem Lambertów?
- Parę słów z Frankiem - odparł.
- Spodziewałam się, że któreś z nich chociaż się ze mną przywita - zauważyła Marigold.
- Cóż, było tam całkiem sporo ludzi - brzmiała odpowiedź Milesa.

Wyjrzała przez okno i pomyślała o jednym z nich w szczególności. Tęsknota, która ją ogarnęła, była tak intensywna, że aż ją przeraziła - marzyła tylko o tym, by błędzić rękoma po ciele Geralda.

## ROZDZIAŁ 22

Przygryzając dolną wargę, Zoe wpatrywała się w ekran monitora, na którym widniał jej list do Pierwszej Damy. Lambertowie już tydzień wcześniej wrócili do Waszyngtonu. W liście Zoe przypominała Nonie Lambert, że poznały się na przyjęciu u Leili Sherman w Georgetown. Wymieniła również niektórych z waszyngtońskich VTP-ów, z którymi przeprowadzała wywiady dla „Expressu”. Koniec. Wydrukowała to na najlepszym papierze, jakim dysponował „Dispatch”.

Żadnej odpowiedzi z Białego Domu.

Bombardowała Zachodnie Skrzydło telefonami.

- Skontaktujemy się z panią - odpowiadano jej za każdym razem.

Nic się jednak nie działo.

Wreszcie odebrała tak długo oczekiwany telefon - Pierwsza Dama zgodziła się. Datę ustalono na przyszły miesiąc. Zoe nie mogła się doczekać, kiedy powie o tym Milesowi.

Gdy weszła do jego biura, twarz rozjaśnił mu powitalny uśmiech. Podniecona opowiadała mu o swym osiągnięciu i jednocześnie widziała, jak jego uśmiech znika.

- Gratuluję - powiedział chłodno.

Zoe po raz pierwszy zdarzyło się doświadczyć na sobie lodowatej uprzejmości Milesa.

- Będzie to jedyny wywiad, którego udzieliła brytyjskim gazetom - dodała, ogromnie rozczarowana i nie-



pewna. - Odmawiała udzielenia go komukolwiek podczas pobytu tutaj.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Miles.

Zoe, oszołomiona i z palącymi policzkami, ruszyła do wyjścia. W drzwiach zatrzymała się jeszcze.

Czemu u diabła, śmie traktować ją w taki sposób, skoro załatwiła właśnie coś, za co każdy inny wydawca oddałby duszę?

- Ponieważ znasz ich oboje od bardzo dawna, czytałam, że w college'u byliście bliskimi przyjaciółmi, chciałabym wyciągnąć z ciebie co się da przed tym wywiadem - dodała.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało, tylko wpatrywali się w siebie z zaciętymi twarzami.

Potem Miles odezwał się bezosobowym tonem:

- Przypomnij mi o tym, gdy ten termin się przybliży. Co prawda niewiele będę mógł dodać do tego, co znajdziesz w innych źródłach. Lata już minęły od czasu, gdy częściej się z nimi spotykałem.

- Nie mogę zrozumieć tego faceta - powiedziała do Petera. Jedli właśnie kolację w „Green's Restaurant and Oyster Bar”. Tym razem nie siedziała na barowym stołku -jedli ostrygi Colchester na półówkach muszli.

- Nie jesteś jedyna - odparł. - Dawniej Miles i Lambertowie spędzali zazwyczaj razem wakacje.

Gazety Milesa robiły reklamę Frankowi od początków jego kariery kongresmena. A jednak przez całe lata Miles nigdy nie 9dawał do zrozumienia, że swego czasu dobrze znał Lambertów.

- Z pewnością nie podoba im się to, że jego gazety robią piekło z powodu tak zwanej polityki zagranicznej prezydenta - stwierdziła Zoe.

- No cóż, nikt nie lubi nadmiaru krytycyzmu. Nie znaczy to jednak, że opuszczają przyłbice za każdym razem, gdy się spotkają. Krytyczne podejście Milesa jest podejściem człowieka ufającego prezydentowi, że dyspo-

nuje on potencjałem pozwalającym na dokonanie przemian wewnętrznych, które Miles pragnie ujrzeć w Ameryce. Zawiadom mnie, kiedy rozpracujesz Milesa Brewstera. A tymczasem...

Dłoń Zoe spoczywała na krawędzi stołu, a teraz Peter przykrył ją własną.

Wracali do jego hotelu, trzymając się za ręce. Przy boku Zoe kołysała się niewielka torba z rzeczami niezbędnymi na noc. Mieli półtora dnia, zanim Peter będzie musiał wrócić do Waszyngtonu. .

- Wolność wypływająca z anonimowości - powiedziała, śmiejąc się. Małe było prawdopodobieństwo, by w tych bocznych, ciemnych uliczkach wpadli na kogoś, kto mógłby

rozpoznać Petera, chociaż w hotelu Dukes będą musieli zachować ostrożność. Kiedy skręcili w St James's Place, puściła jego rękę.

- Wiedziałeś, że Brewsterowie mieszkają w tej wielkiej bryle przed nami? - spytała w momencie, gdy skręcili na dziedziniec hotelu.

Miała teraz to samo uczucie, co podczas swego pobytu tutaj przez dwie pierwsze noce w Londynie - że wstępuje do innego świata, gdzie nikt się nie śpieszy. Dzisiejszego wieczoru była jednak podniecona w inny sposób - miał to być ich pierwszy wieczór, zanim Peter wróci po wszystkim do domu. Kiedy zamknął za sobą rżwi sypialni, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Zawsze tak jest w tym dziennikarstwie - mamrotała sama do siebie, zbierając z biurka notatki z jednym okiem utkwionym w zegarze. Wszystko się dzieje w tym samym czasie. No dobra, nie musiała zostawać z Peterem aż do momentu, gdy wyjeżdżał na Heathrow, nie przywiązał jej w końcu do łóżka, ale, na miłość boską, widzieli się po raz pierwszy od miesiący. Popędziła do toalety i rzuciła spojrzenie na włosy. Splątany kłęb naelektryzowanych drutów. O Boże!

Kiedy jej taksówka odjeżdżała spod budynku „Dis-

patch", wyjęła czysty papier z torby i rozdzieliła na kupki, składając każdy arkusz na pół. Po prawej stronie będzie notować streszczenie tego, co Alan Rawlston będzie mówił. Po lewej naszkicuje twarz i język ciała - zdradliwe czynniki, których nie oddaje taśma magnetofonowa. Magnetofon jest przydatny, szczególnie jeśli powstaje później spór o błędne zacytowanie rozmówcy, lecz nagrana rozmowa brzmi dziwnie martwo, kiedy się ją później przesłuchuje. Nie ujawnia napięć. Te trzeba odnotowywać w chwili, kiedy powstają. Chwała niebiosom, że zdążyła wykonać całą pracę przygotowawczą przed przyjazdem Petera. Rozmawiała z kilkunastoma osobami znającymi Alana Rawlstonea. Oczywiście niezastąpiony był tu James, przy założeniu, rzecz jasna, że nie ujawni jego pomocy. Sprawdziła działanie magnetofonu. Bogu dzięki, przygotowała już sobie listę pytań dziś rano w sypialni Petera, przedstawiając ich kolejność tak, żeby zadać te bardziej kłopotliwe w momencie, gdy Rawlston będzie już pewny, że wszystko idzie po jego myśli. Może być i tak, że opuści połowę tych pytań, a skupi się na czymś zupełnie innym, nigdy nie wiadomo, co wyjdzie w trakcie rozmowy. Nie widziała gmachów parlamentu, kiedy jej taksówka przejeżdżała przez Westminster Bridge. Przyznano jej godzinę na wywiad w jego gabinecie w Ministerstwie Obrony. Rawlston zachowywał się w taki sposób, jakby był gotów poświęcić jej nieskończenie wiele czasu, a jednak wyczuwało się w nim aurę ważności, która mówiła, że lepiej szybko zabrać się do pracy. Zoe nie miała wątpliwości, że jego prywatny sekretarz pojawi się ponownie w sekundę po tym, jak upłynie jej czas.

- Czy moglibyśmy usiąść w miejscu, gdzie będę w stanie porozkładać swoje notatki? - spytała. Alan zaśmiał się z sympatią i zaprowadził ją do niezwykle długiego stołu konferencyjnego stojącego wzdłuż jednej ze ścian gabinetu. Kiedy przechodzili obok maho-

niowej biblioteczki, pokazał jej uszkodzenie w miejscu, gdzie kopnął w nią Churchill, wówczas Pierwszy Lord Admiralicji. Sekretarz pojawił się raz jeszcze, by obok jej magnetofonu postawić drugi, należący do Ministerstwa Obrony, po czym powoli zniknął za drzwiami prowadzącymi do swojego królestwa.

Dotarli już do połowy wywiadu i Alan, odprężony, oparł się wygodnie na swym fotelu, kiedy Zoe rzuciła:

- Premier i minister spraw zagranicznych twierdzą niezmiennie, że nie możemy znieść embarga na dostawy broni do Arabii, dopóki trwa tam rzeź.

Oczy Alana za grubymi szklami nabrały wyrazu ostrożności.

- Mówi się - ciągnęła Zoe - że ma pan mieszane uczucia, jeśli chodzi o utrzymywanie przez Wielką Brytanię i Amerykę tego embarga.

James nie sugerował bynajmniej, iż uczucia Alana w tym względzie są mieszane - niewątpliwie minister obrony pragnął zniesienia embarga. Jednak trochę taktu nie zaszkodzi, a może pomóc w uzyskaniu bardziej otwartej odpowiedzi.

- Jaką dałby pan odpowiedź fik argumenty moralne wysuwane na rzecz utrzymania embarga? - spytała.

Alan uśmiechnął się.

- Nawet gdyby nabrała pani angielskiego akcentu, panno Hare, i tak każdy by się domyślił, że jest pani Amerykanką - odparł. - Amerykanie mają idealistyczne wyobrażenie o świecie, w którym dobro i zło są ściśle oddzielone i gdzie każdy problem znajduje rozwiązanie. Każdy minister obrony wart swego stołka wie doskonale, że nie ma czegoś takiego jak proste rozwiązanie, a tym bardziej, gdy w grę wchodzi problem moralny. W najlepszym wypadku można dany problem złagodzić. Historia jest przepełniona okropieństwami popełnianymi przez ludzi działających w imię moralności.

- Ponieważ niewątpliwie jestem Amerykanką - roześmiała się lekko - to chciałabym to wyjaśnić. Czy twier-

dzi pan, że moralność nie ma nic do rzeczy, jeśli chodzi o kwestię zniesienia embarga na broń dla Arabii?

- Nie może pani wierzyć we wszystko, co pani mówią, panno Hare. Nie wyrażam żadnego poglądu, czy to związanego z moralnością, czy też z czym innym, na temat zniesienia embarga na broń dla Arabii. Tego typu decyzje podejmuje Rada Ministrów. Mówię jedynie, że takie decyzje nie są tak czarno-białe jak uczą nas bajki.

Była to zręczna odpowiedź polityka.

W obu magnetofonach paliły się czerwone światełka. Patrzył na nią, jak pośpiesznie notuje i myślał, że nie można liczyć na to, iż te atrakcyjne dziennikarki będą łagodniejsze od mężczyzn.

Kiedy znów podniosła wzrok, spytała:

- Co pan sądzi o skandalu, który miał miejsce kilka lat temu, gdy okazało się, iż członek rządu pomagał brytyjskim producentom obchodzić embargo na dostawy broni?

W odpowiedzi na taką bezczelność Alan rzucił jej oburzone spojrzenie.

- W owym czasie - ciągnęła - był pan jeszcze ministrem handlu, a on był podsekretarzem stanu w pana ministerstwie.

Wszelkie ślady życzliwości zniknęły z jego twarzy.

- Gdyby starannie odrobiła pani swoje zadanie domowe, panno Hare — powiedział pompatycznie - to wiedziałyby pani, że zażądałem jego rezygnacji, jak tylko doszło do mnie, w co jest wmieszany. Z pewnością nigdy nie będzie już pracował w żadnym rządzie, do którego ja należę. Żaden członek tego rządu nie będzie sankcjonował łamania embarga.

Znacząco spojrział na zegarek.

Bez żadnego przejścia Zoe zadała kolejne pytanie.

- „Javelin” od jakiegoś czasu prowadzi spekulacje na temat zastąpienia przez pana Martina Mathera na stanowisku premiera. Co pan o tym sądzi?

Ostrożnie przeszedł przez to pole minowe - musiał

dać jej jakąś odpowiedź, by pokazać, że swobodnie traktuje jej pytanie, a resztę po prostu pominął milczeniem.

- Politycy utrzymujący, że nigdy nie marzyli o tym, by zostać premierem, to po prostu kłamcy, panno Hare. Każdy polityk wart swego stołka - Rawlston najwyraźniej lubił to wyrażenie - będzie pragnął znaleźć się na stanowisku, które pozwala wprowadzić w życie to, co uważa za najlepsze dla swego kraju. Nie ma to jednakże nic wspólnego z chęcią doprowadzenia do upadku przywódcy swej partii. Najważniejsza jest lojalność.

Widząc, że drzwi się otwierają i wchodzi sekretarz, Alan natychmiast zerwał się na nogi.

- Nasza wspólna godzina minęła zbyt szybko - stwierdził, przyglądając się, jak Zoe zbiera swoje przybory, po

czym odprowadził ją do drzwi. - Mam nadzieję, że ma pani wszystko, czego pani pragnęła. Widziałem pani naczelnego nie dalej jak wczoraj wieczorem na obiedzie wydanym przez premiera na cześć prezydenta Lamberta. Do widzenia, panno Hare.

## ROZDZIAŁ 23

„Dispatch” leżał rozłożony na jego biurku. Gerald zakreślił dwa akapity z wywiadu Zoe z Alanem Rawlstonem. Potem sięgnął do kieszeni po nóż, który zawsze tam nosił - nawyk od czasów, gdy miał czternaście lat -i starannie przeciął stronę.

Był to dzień interpelacji poselskich kierowanych do premiera. W odległości dwóch miejsc od Martina Mathe-ra widać było zwalistą postać ministra obrony. Ledwie skończyły się interpelacje i premier wyszedł, Alan udał się do swojego gabinetu w Izbie Gmin.

Chwilę później detektyw z Wydziału Specjalnego witał Geralda Scrope'a.

- Dzień dobry, milordzie.

Zajmując miejsce w fotelu, Gerald sięgnął do kieszeni i po chwili rozłożył kawałek gazety.

- Bardzo mnie zainteresowało to, co powiedziałaś pannie Hare, jak to nigdy nie myślałaś o wysadzeniu premiera z siodła.

Przesunął palcem pod jednym z zakreślonych fragmentów i przeczytał głośno:

- „Najważniejsza jest lojalność”. Podniósł wzrok.

- Łzy cisną mi się do oczu, Alanie. Rawlston wzruszył ramionami.

- Taaak. Ale będzie to mniej zabawne, kiedy przekonasz się, że nie jesteś w stanie go wysadzić. A dopóki

Scrope Electronics nie dostaną kontraktu na Cheetah, to w „Javelin” gównem znajdziesz na temat, jak to czcigodny A. Rawlston byłby o wiele lepszym premierem, niż ten duppek, który obecnie mieszka pod Numerem Dziesiątym.

Zachowanie Alana zupełnie się zmieniło.

- Pracuję nad tym, Geraldzie, przysięgam ci - powiedział poważnie. - Z żalem jednak muszę stwierdzić, że moi doradcy w Ministerstwie Obrony nie chcą zmienić swojej opinii, iż zakłady Scrope'a nie powinny dostać tego kontraktu. Ostatnia umowa z twoją firmą kosztowała nas o wiele więcej, niż zostało uzgodnione.

- -Ja też nie zmienię zdania na temat tego, co powiedziałem przedtem, Alanie. Sądziłem, że ty kierujesz ministerstwem, a nie jakiś pieprzony urzędniczyna.

- Ta akurat opinia została wydana przez jednego z głównych doradców ministerstwa - powiedział Alan zbolalym tonem. - Jeśli wyszłoby na jaw, że zlekceważyłem jego radę, musiałbym wybronić swą decyzję przed Izbą Gmin.

Obrócił głowę, by wskazać przestrzeń swego wyłożonego dębowa boazerią gabinetu, gdzie godło Izby Gmin zdobiło wszystko cokolwiek pokryte było zieloną skórą.

- Wypchaj się ze swoją Izbą Gmin - odparł Gerald. -Nie wmawiaj mi, że nie potrafiłbyś ich przekonać do zaaprobowania kontraktu chociażby z orangutanem, gdybyś się do tego naprawdę przyłożył.

Widziałem cię w czasie akcji w Izbie Gmin, gdy ruszałeś na opozycję jak jakiś pies-zabójca.

Nazywają cię jednym z największych parlamentarzystów. To jest właśnie przyczyna, dla której cię popieram, Alanie. Ale możesz być pewny jak cholera, że chcę czegoś w zamian. Nie jestem Świętym Mikołajem, do diabła.

- Będziesz to miał, Geraldzie, będziesz to miał. Kiedy tylko znajdę się pod Dziesiątką, zobaczysz, jaki ze mnie dobry przyjaciel.

-Jeśli sądzisz, że mam zamiar siedzieć na jajach,



czekając na dzień cudu, bracie, to lepiej wymyśl coś innego. Nigdy się tam nie znajdziesz, jeśli nie zdobędziesz dla mnie tego kontraktu.

Przez potężne ciało Alana przebiegło drżenie. Mimo że Gerald był mu tak potrzebny do realizacji jego ambicji, on, minister obrony, nie miał zamiaru pozwalać, by poniewierał nim jakiś opryszek. Podniósł się na nogi.

- Ta rozmowa prowadzi donikąd, Geraldzie. Zadzwoń do ciebie jutro. Obaj będziemy mieli dość czasu, by ochłonać.

- Gdybym był odrobinę chłodniejszy, już bym nie żył. Lepiej siadaj z powrotem i postaraj się, żeby ta rozmowa szybko do czegoś doprowadziła. Widzisz, Alanie, rozmyślałem o twoich innych uzdolnieniach politycznych. Mówiąc szczerze, jesteś prawdziwym geniuszem, jeśli chodzi o utrzymywanie w tajemnicy prywatnych finansów.

Nadal stojąc, Alan odezwał się sztywno:

- Każdy rozsądny człowiek trzyma w sekrecie swe prywatne finanse.

- Pewnie. W takim razie byłby to cholerny wstyd, gdyby nagle pewne sprawy przestały być tajemnicą, na przykład chesne, które płaciłem za szkołę twoich dzieci, gdy byłeś jeszcze w opozycji, albo te wspaniałe, długie wakacje, którymi rodzina Rawlstonów rozkoszuje się na wyspach Bahama czy na południu Francji. - Gerald uśmiechnął się, co zrobiło bardziej lodowate wrażenie, niż gdyby nie zmienił wyrazu twarzy. - Nie zrozum mnie źle, Alanie. Cieszę się, że mogę ci trochę ułatwić życie; wszyscy wiedzą, że płace naszych parlamentarzystów są śmieszne w porównaniu z kongresmenami amerykańskimi. Nawet uposażenie ministrów nie jest znowu tak duże. I doceniam sposób, w jaki chciałeś mi się odwdziaczyć, gdy znalazłeś się na odpowiednim stanowisku. Nigdy nie zapominam przysług, Alanie. - Przerwał, żeby bez pośpiechu zapalić cygaro. Obserwujący go Alan podążył wzrokiem za jego palcem, którym po chwili przesunął wzdłuż drugiego zakreślonego urywka. - Nie bę-

dzie to wyglądało zbyt dobrze, jeśli pewne rzeczy dojdą do wiadomości publicznej, kolego. - Gerald spojrział na niego niemal z sympatią. - Chyba będziesz musiał wtedy złożyć dymisję, Alanie. To byłoby fatalne. Będzie mi brakowało naszych miłych pogawędek w tym gabinecie. Ale cóż, takie jest życie.

Oczy Alana zwęziły się z gniewu.

- Brzmi to tak, jakbyś mi groził, Geraldzie. Mam nadzieję, że się mylę.

Gerald pociągnął cygaro.

Alan usiadł. On również był już spokojny. Nie na darmo miał opinię polityka, który najlepiej sobie radzi, gdy znajduje się w defensywie. Teraz zmienił taktykę.

- Skoro muszę odrzucić opinię mojego urzędnika w sprawie Cheetah - stwierdził rozluźniony - to niech tak będzie.

Po czym natychmiast skierował rozmowę na mniej kontrowersyjne tematy.

Kiedy jakiś czas później podnosił się, by pożegnać swego gościa, obiecał:

- Skontaktuję się z tobą w ciągu dwóch tygodni, Geraldzie. - Powiedział to tak miłym tonem, jakby mówił o jakimś zobowiązaniu towarzyskim.

Na ustach Geralda pojawił się cień uśmiechu - kontrakt na Cheetah był już jego. Zdusił starannie niedopałek cygara i skierował się do drzwi.

- Pewnie, pewnie - powiedział przyjaźnie. - Zrób to, Alanie.

Marigold uwielbiała zamieszanie wywoływane przez służby specjalne przy wjeździe na Downing Street, jak chociażby przesuwanie specjalnych luster pod podwoziem samochodu. Milesa zawsze rozbrajała dziecinna strona charakteru jego żony.

- Zobacz - wskazała palcem w głąb krótkiej uliczki - minister spraw zagranicznych z żoną właśnie wysiadają z samochodu.

Wiedziała już, że na obiedzie na cześć przewodniczącego Unii Europejskiej będą obecni wszyscy ważniejsi ministrowie.

- Dobry wieczór pani. Dobry wieczór, sir. - Policjant na stopniach Numeru Dziesiątego powitał ich z życzliwością człowieka pewnego własnej ważności.

Po wejściu do środka ujrzeni w narożniku holu jeszcze kilku policjantów z Wydziału Specjalnego, obserwujących beznamytnym wzrokiem, jak przybywają najznakomitsze postaci życia publicznego Londynu. Marigold z Milesem u boku zebrała w dłoń fałdy długiej spódnicy, by z wdziękiem pokonać szerokie schody. Podczas tej wspinaczki towarzyszyła jej zabarwiona dumą świadomość, że mija szereg sztychów przedstawiających kolejnych premierów - około dwudziestu mężczyzn i jedną kobietę, którzy rezydowali tu od czasu, gdy w 1721 roku sir Robert Walpole został pierwszym brytyjskim premierem dzierżącym faktyczną władzę. Miles opowiadał jej, że w czasach szkolnych bardzo intrygowała go postać Walpole'a, absolwenta Eton, wykorzystującego swą odwagę, spryt oraz korupcję, by realna władza przeszła w ręce Izby Gmin i jego własne.

Martin Mather, mając u boku żonę i gościa honorowego, witał pozostałych gości tuż za drzwiami Białego Salonu. Był mniej imponujący, niż Marigold się spodziewała, lecz uświadomiła sobie, że na żywo politycy na ogół okazują się mniejsi, niż wydają się oglądani w telewizji.

Kiedy kamerdyner wyczytał ich nazwiska, podeszła kilka kroków do przodu, by uścisnąć rękę gospodarzowi. Miles niejednokrotnie spotykał się już z premierem, lecz Marigold dopiero teraz miała okazję poznać go osobiście.

Uśmiechnąwszy się do niej, wykorzystał uścisk ręki, by skierować ją od razu ku gościowi honorowemu. Marigold zachnęła się w duchu - premier mógłby okazać jednak jakieś zainteresowanie piękną angielską żoną Milesa Brewstera.

Z Milesem natomiast porozmawiał przez chwilę o spra-

wach zawodowych, dopóki ten z własnej woli nie przesunął się dalej.

Sączyli właśnie szampana w Sali Kolumnowej, rozmawiając z ministrem spraw zagranicznych, gdy Marigold dostrzegła tył głowy i ramiona Geralda. Po drugiej stronie sali, tuż za białymi, jońskimi kolumnami znajdowały się dwa złożone lustra chippendale tworzące rodzaj obramowania dla obrazu Zoffany'ego. W jednym z nich odbijały się kasztanowe włosy i ramiona jakby skrepowane smokiem. Jej ciało natychmiast się napięło.

Przy prywatnej okazji towarzyskiej byłoby to niemożliwe. Magnat prasowy, którego gazeta nieustannie atakuje premiera, nigdy nie zostałby zaproszony na Downing Street. To jednak było oficjalne, a nie prywatne przyjęcie. Właściciele innych, wiodących na rynku czasopism zostali zaproszeni, a pominięcie przy tej okazji lorda Scrope'a spowodowałoby więcej problemów, niż to było warte. „Javelin” roztrąbiłby ten afront na wszystkie strony, przedstawiając go jako dowód na to, że Martin Mather zajmuje się głównie czytaniem gazet i wyszukiwaniem w nich najmniejszej nuty krytycyzmu, a ponadto jest zbyt drażliwy i defensywny, żeby kierować tym krajem. Tak więc premier uścisnął dłoń lorda Scrope'a, starając się zachowywać z chłodną formalnością.

Marigold przesunęła się nieznacznie w bok, starając się dojrzeć Geralda za grupką osób, które ich rozdzielały. Okazało się to niemożliwe. Powróciła więc do pierwotnej pozycji, z której mogła obserwować go w lustrze.

W chwilę później zebrani zaczęli przechodzić w kierunku sali bankietowej, a u boku Marigold pojawił się minister obrony.

- Służę ramieniem - powiedział wylewnie.

Podobnie jak wszyscy obecni na przyjęciu członkowie rządu, przejrzał w drodze na Downing Street trzy otrzymane wcześniej kartki papieru zawierające plan rozmieszczenia gości przy stołach wraz z ich krótkimi życiory-

sami. Nigdzie urzędnicy nie byli tak sprawni w dostarczaniu tych przydatnych szczegółów jak w Anglii.

- Czeka mnie bolesne sprawdzenie mojej znajomości języka niemieckiego przez jednego z sąsiadów przy stole - zwrócił się do Marigold. - Dzięki Bogu, że mam tę przyjemność, iż pani będzie siedziała po drugiej stronie.

Nie spodziewał się wprawdzie, by „Dispatch” miał kiedykolwiek wiwatować na jego cześć, a Miles przy każdym spotkaniu był niezwykle chłodny, jednak nie zaszkodzi przypochlebić się trochę Marigold Brewster. Nie kosztowało go to zbyt wiele - była ona oszałamiającą, bystrą kobietą. Zaprowadził ją do krzesła znajdującego się naprzeciw portretu księcia Wellingtona stojącego dumnie z czerwoną, jedwabną szarfą przepasującą mu pierś.

- Czy wie pani, dlaczego Francuzi są sadzani po przeciwnej stronie stołu? - spytał i od razu sam odpowiedział: - Ponieważ w dwa wieki po bitwie pod Waterloo nadal się wściekają, jeśli ktoś się spodziewa, że będą patrzeć na angielskiego zwycięzcę.

Marigold wybuchnęła śmiechem, choć już kiedyś to słyszała.

- A co robią Francuzi, jeśli któryś z portretów ich bohaterów narodowych jest nie w smak odwiedzającym ich mężom stanu? - spytała.

- Zakrywają go zasłoną. Im się zdaje, że nas jest równie łatwo urazić jak ich. Bardzo dziwni są ci Francuzi.

Marigold mogła ze swego miejsca dostrzec Geralda siedzącego dalej po tej samej stronie stołu obok żony francuskiego ambasadora.

- Na pewno dobrze pan zna lorda Scrope'a - zagadnęła Alana.

- To godny uwagi człowiek - odparł Alan, starannie dobierając słowa, by pochwalić swego protektora.

- Wielka Brytania potrzebuje więcej jemu podobnych. Wytrwałość. Zaangażowanie. A wszystkiemu przyświeca jedna

myśl: Wielka Brytania przede wszystkim. Czy dobrze go pani zna?

- Nie. Siedzieliśmy obok siebie na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej w Waszyngtonie, kiedy James Wharton był jeszcze ambasadorem.

- Przykra sprawa. - Alan potrząsnął współczująco głową. - Z pełnym szcunkiem dla mądrości naszego dzisiejszego gospodarza muszę stwierdzić, że nie była to jego najszcześniejsza decyzja. Wharton był doskonały na swym stanowisku. Szkoda, że takie pochopne działanie pozbawiło nas ambasadora, który miał tak dobre stosunki z Pentagonem. - Ponownie potrząsnął głową. - Jestem zdania, że lord Scrope bardzo dobrze zrobił, zapewniając sobie usługi Jamesa Whartona.

Marigold błyskawicznie doszła do wniosku, iż nie ma sensu napomykać o uczuciach, jakie żywił Miles, gdy James zdecydował się przyjąć ofertę lorda Scrope'a.

- Słyszałam, że James nie jest zbyt zachwycony pracą w „Javelin” - stwierdziła.

Słyszając to, Alan niemal zakrztusił się winem. Kiedy odzyskał oddech, odparł:

- Wyraziła to pani niezwykle delikatnie. Wśród niewątpliwych zalet lorda Scrope'a próżno by szukać wrażliwości w relacjach pracodawca-pracownik, a przynajmniej tak słyszałem. A jego *chef de cabinet* jest niewątpliwie pracownikiem.

Zauważyła, że inni kończą już niemal mus z pstrąga, a tak pragnęła jak najwięcej usłyszeć o Geraldzie.

- Kto należy do osobistych przyjaciół lorda Scrope'a? - spytała.

- Zaliczam siebie w ich szeregi - odparł pompatycznie Alan.

Zanim jednak miała czas dalej dążyć ten temat, rozległo się pobrzękiwanie porcelany i zaczęła krzątanina kelnerów wynoszących talerze i nalewających czerwone wino. Marigold z niechęcią obróciła się do drugiego sąsiada - ambasadora włoskiego.

Dokładnie o dziesiątej premier uniósł się od stołu i otwarto drzwi Sali Kolumnowej. W chwili, kiedy przez nie przechodziła, jak spod ziemi pojawił się u jej boku Gerald.

- Pani Brewster - powitał ją oficjalnie. Zawahała się, niepewna jak się zachować.

- Lordzie Scrope - odparła w końcu i od razu zdała sobie sprawę, że jej formalne odezwanie zabrzmiało nieco kokieteryjnie.

Gerald nieznacznie skinął głową, jak ktoś potwierdzający, że widzi, co mu się pokazuje.

Goście poruszali się w różnych kierunkach, tworząc małe grupki. Gerald zauważył, że zbliża się do nich prezes Bundesbanku, więc odezwał się pospiesznie do \* Marigold:

- Chodźmy usiąść. - I poprowadził ją w kierunku kanapy stojącej w narożniku za jońskimi kolumnami.

Usiadła sztywno wyprostowana. Jego oczy przesunęły się z celową powolnością po całym jej ciele, a kiedy ponownie skierował je na jej twarz, miały twardy i jasny wyraz. Oblała ją nagle taka fala gorąca, że miała wrażenie, iż za chwilę zemdleje.

- Jak udało się pani zdobyć mieszkanie przy St James's Place, nie czekając dwadzieścia lat? - spytał.

- Miles zaproponował właścicielowi cenę znacznie powyżej wartości rynkowej.

- Aha. Czy zauważyła pani kiedykolwiek, pani Brewster, że można kupić wszystko na świecie, jeśli tylko *m* prawidłowo ustali się cenę?

- Być może - odparła. - Ale to samo nie odnosi się do ludzi. Tylko niektórych z nich można kupić.

- To bajka. Każdy nosi na sobie tabliczkę z ceną. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie jej szukać.

Wziął od przechodzącego kelnera kieliszek brandy, ona zdecydowała się na szampana.

- Niektórzy ludzie nie zdają sobie sprawy, że mają przywieszoną metkę z ceną. Nikt nie jest równie zdu-

miony jak oni, kiedy ktoś podniesie kraj ich marynarki albo spódnicy i wyciągnie tę małą karteczkę z wyraźnie wypisaną ceną.

- Mówi pan, jakbyśmy wszyscy byli potencjalnymi prostytutkami - odrzekła zirytowanym tonem Marigold.

- Taaa.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Niektórzy ludzie popełniają błąd, zakładając, że cena musi zawsze oznaczać pieniądze. Gdyby to było wszystko, życie byłoby jak mecz wygrany walkowerem. Każdy może zrobić forsz albo ją poślubić, jeśli mu na tym dostatecznie zależy. Założę się, że nie wyszła pani za męża za starego earla tylko dla jego pieniędzy, chociaż niewątpliwie była to niezła premia. Chciała pani zdobyć całą tę otoczkę związaną z tytułem. Czemu by zresztą nie?

Mówiąc to, pochylił w jej kierunku głowę, lecz tak nieznacznie, że przez chwilę zastanawiała się, czy sobie tego nie wymyśliła.

Wypiła łyk szmpana.

- A Miles Brewster. Poślubiając go, zdobyła pani znacznie więcej niż tytuł i pieniądze. Zyskała pani również władzę, a więc wszystko, czego taka piękna, inteligentna... - przerwał - i seksowna dama mogłaby pragnąć. Niemal wszystko.

Wreszcie się doigrał.

- Czy potrafi pan rozmawiać tylko na tak osobiste tematy, lordzie Scrope? - spytała wyniosłym tonem.

- Opisuję ludzi takimi, jakimi są. Fakty to fakty. Jeśli człowiek uznaje fakty, to nie może wybrać złej drogi.

- Czy zawsze był pan taki pewny siebie?

Po raz pierwszy od początku ich rozmowy uśmiechnął się.

- Zawsze. Pozwoli pani, że coś zaproponuję. Jestem zainteresowany panią, a pani mną. Może oboje możemy się czegoś od siebie nauczyć?



Jej oburzenie ustąpiło miejsca natłokowi wątpliwości. Chciała go ujrzyć ponownie. Miles nigdy nie miał do niej pretensji, gdy umawiała się na lunch w ulubionej restauracji z jednym czy drugim ze swych przyjaciół. Miał do niej zaufanie. Jednak lord Scrope należał do innej kategorii, a to wykluczało publiczne spotkanie się z nim na lunchu we dwójkę.

Z łatwością odczytał jej myśli.

- Uprzejmie zapraszam panią na lunch do swojego mieszkania - powiedział. - Znajduje się ono na szczycie jednego z tych eleganckich budynków po drugiej stronie rzeki, naprzeciw parlamentu.

Piękny widok. Mam też dobrego kucharza.

Kręciła nerwowo rubinem na serdecznym palcu. Gerald ostrożnie starał się zwiększyć swoją przewagę.

- Nie musi pani odpowiadać mi teraz. Ponowię zaproszenie. Proszę tylko o podanie dogodnego terminu i numeru telefonu, pod który mógłbym zadzwonić.

Jak zaczarowana podała ich zastrzeżony numer. Po raz drugi fala gorąca ogarnęła jej ciało.

- Sądzi pani pewnie, że go nie zapamiętam. Myli się pani. Nigdy nie zapominał najmniejszego szczegółu, jeśli ma to związek z czymś, na czym mi zależy.

Kiedy ich samochód wyjeżdżał z Downing Street, Miles zapytał:

- Jak sobie poradziłaś z Alanem Rawlstonem? Poczula kompletną pustkę w głowie, gdyż do tej chwili jej myśli całkowicie skupiały się na Geraldzie. Wreszcie z wysiłkiem przypomniała sobie rozmowę z Rawlstonem.

- Był czarujący, ale wyczuwałam, że jest to sztuczne. Rozmawialiśmy trochę o Whartonach. A Alan Rawlston delikatnie dogryzł premierowi - no, może nie tak całkiem delikatnie - mówiąc o jego „pochopnym działaniu”, jeśli chodzi o wylanie Jamesa. Ciekawa jestem, co myśli

Martin Mather o tych nieustannych spekulacjach, że zostanie zmuszony do ustąpienia.

- Dopóki „Javelin” nie spreparował całej tej nagonki, nie było żadnych spekulacji - odparł sucho Miles. - Takie historie żyją później własnym życiem. Premier wyglądał dziś wieczorem na człowieka naprawdę nieszczęśliwego.

Każde z nich pograżyło się we własnych myślach. Kiedy auto przejeżdżało obok St James's Place, Marigold spojrzała niewidzącym wzrokiem na wieżyczki budynku odcinające się na tle różowego nieba.

- Jak ci się udała pogawędka z lordem Scrope'em? - spytał Miles.

- Całkiem przyjemna. Nie jestem pewna, czy on w ogóle interesuje się kobietami.

Powrócili do własnych myśli.

## ROZDZIAŁ 24

Jamesowi nie było łatwo wrócić do Waszyngtonu w tak krótkim czasie po wygnaniu go z tego raję.

Przypomniał sobie, co powiedziała Jancie tuż przed wyjazdem z Londynu:

- Niezależnie od tego, jak diabelna jest praca dla lorda Scrope'a, jest on jednym z niewielu Brytyjczyków, poza Margaret Thatcher, których nazwisko cokolwiek znaczy dla Amerykanów. Jedziesz do Pentagonu sprzedawać wyroby Scrope'a największym wojskowym szychom, ale masz do nich dostęp jako ty sam, a nie jego pracownik. Ilu jeszcze Brytyjczyków ma znajomości na tak wysokim szczeblu? Powinieneś czuć się dumny, Jamesie.

Rozprostował ramiona.

Nie jechał tam, by wpychać komuś wątpliwej jakości towar. Zakłady Scrope Electronics były znane w świecie z poziomu technicznego swych wyrobów. James miał zaufanie do jakości oferowanego przez siebie towaru.

Odczuł drżenie samolotu, gdy zmniejszono ciąg silników. Poniżej rozciągał się łańcuch gór Blue Ridge w Wirginii, których kolor blakł w oddali. Samolot opadł na lotnisko Dullesa.

Pierwsze z zaplanowanych spotkań miał odbyć z oficerem zaopatrzeniowym sił powietrznych. Potem z generałem zajmującym się artylerią. Obydwaj pozytywnie zareagowali na jego ofertę. Doceniali wiedzę Jamesa

o tym, czego im trzeba. Kiedy wrócił do swego pokoju w Hotelu Willarda, był przekonany o ich dobrych intencjach.

Wieczorem, spotkawszy się w barze Round Robin na drinku z Peterem Stainsleyem, James poprosił go, żeby szepnął w Senackiej Komisji Służb Zbrojnych dobre słowo na temat systemu obronnego, który Pentagon zdecydował się kupić. Dla otrzymania potrzebnych funduszy wymagana była aprobatą senatu.

- Możemy zaproponować coś w zamian - powiedział James rzeczowym tonem. - Lord Scrope utrzymuje bliskie kontakty z brytyjskim ministrem obrony. Przed amerykańskimi producentami silników, takimi jak, powiedzmy, Danvers, mogą stanąć otworem drzwi do poważnego kontraktu z Ministerstwem Obrony, jeśli Komisja do Spraw Sił Zbrojnych spojrzy łaskawym okiem na nowy system radarowy dla NASA produkcji Scrope Electronics.

Danvers to zakłady w stanie, z którego Peter był senatorem. Poważnie odczuły one skutki recesji. Peter błyskawicznie przeliczył w myślach liczbę stanowisk pracy, a co za tym idzie - liczbę głosów, które otrzymałby dzięki kontraktowi z brytyjskim Ministerstwem Obrony.

- Biorąc pod uwagę, że ty osobiście popierasz Scrope'a - odparł - i przy zapewnieniu, że część pracy zostanie wykonana w moim stanie, możesz powiedzieć lordowi Scrope'owi, że chętnie popchnę tę sprawę w komisji.

- W takim razie umowa stoi - stwierdził James, sięgając po swoją szklaneczkę.

- Całe szczęście, że Zoe tu nie ma - zauważył Peter. - Ją nadal szokuje, gdy politycy i członkowie grup nacisku spotykają się, by coś omówić prywatnie. Ciągle jeszcze ma ideały.

James zrobił smutną minę.

- To przeszkadza zarówno w dziennikarstwie, jak i polityce, a jej praca łączy w sobie obie te dziedziny. - Podpisując rachunek, przypomniał sobie o czymś jesz-

cze. - A tak przy okazji, znasz może człowieka o nazwisku Speers Jackson?

- Spotkałem go parę razy - odparł Peter. - Teksas-czyk, nadal tam mieszka. Dość często wpada do Waszyngtonu. Ma domek myśliwski na Wschodnim Wybrzeżu, w Maryland. Prowadzi interesy w różnych dziedzinach. Kiedy lobby broni palnej zdecydowało się pokryć część moich wydatków wyborczych, on podpisał potwierdzenie. Dlaczego pytasz?

- Jutro wybieram się w krótką podróż do Teksasu. Do Austin.

- Scrope ma tam zakład elektroniczny, prawda?

- Tak. A ja mam spotkać się z tym Speersem Jacksonem. Zarządzenie Geralda Scrope'a.

Był już koniec października, a jednak od razu po wyjściu z samolotu odczuwało się, jak suche jest tu powietrze. Dwadzieścia minut po wylądowaniu James zameldował się w recepcji najelegantszego hotelu w Austin. Kiedy odwracał się, by pójść za chłopcem hotelowym, podszedł do niego nieznajomy o miłej twarzy.

- Jestem Speers Jackson, panie ambasadorze. Witam w Teksasie.

Miał silny, stanowczy uścisk dłoni. Jamesowi od początku przypadł do gustu jego niefrasobliwy sposób bycia. Była to ta amerykańska cecha, która szczególnie przemawiała do jego zamkniętej natury.

- Po rozlokowaniu się w pokoju, proszę zejść na dół. Moglibyśmy pojechać do fabryki samochodem, ale myślę,

że znudziłoby pana patrzenie na *mesquite* i kaktusy. Polecimy tam.

Cessna 337 była jednym z kilkunastu niewielkich samolotów stojących na prywatnym lotnisku na obrzeżach Austin, tam, gdzie zaczynały się zakłady elektroniczne, będące podstawą gospodarki miasta. Zanim obaj mężczyźni usadowili się w kokpicie i pozapinali pasy, byli już po imieniu.

Speers leciał nisko, dostarczając przy okazji -Jamesowi wrażeń krajoznawczych. Kiedy Austin zniknęło za ich plecami, wokół jak okiem sięgnąć, rozciągały się wysokie po pas kaktusy i zarośla *mesquite* wielkości gruszy, przecięte tylko prostą jak strzała autostradą i siatką wąskich, pokrytych pyłem dróg prowadzących przez rancza.

- Wszystkie rogi, które dojrzysz w tych krzakach należą albo do dzikich wołów, albo do jelenia amerykańskiego. Jelenie niewiele mają tu spokoju od końca października do grudnia, ale musisz, chłopie, mieć na sobie skórzane legginsy, jeśli nie chcesz, żeby dobrały się do ciebie grzechotniki.

- A jak sobie radzą psy myśliwskie? - spytał James.

- Zakłada się im sznurowane buty dla ochrony przed kolcami kaktusów. Tak się do nich przyzwyczajają, że niektóre psy wcale nie chcą wyjść bez nich w pole.

- Dlaczego zakład Scrope'a jest tak daleko za miastem? - zainteresował się James.

- No cóż, niektórzy odpowiedzą ci, że tu jest czystsze powietrze. Czystość jest niezwykle istotna przy produkcji układów elektronicznych. Odrobina pyłu może je zniszczyć. Ale jeśli się nad tym zastanowić, to można mieć fabrykę w samym środku Austin, a i tak utrzymywać wymaganą czystość powietrza w śnieżnobiałych salach. Myślę, że prawdziwym powodem jest chęć utrudnienia różnym ludziom węszenia wokół zakładu. Tu jest ogromna konkurencja. Scrope Southwestern produkuje różne rzeczy: nową generację mikroprocesorów do komputerów biurowych, układy logiczne do zastosowań multimedialnych, kupę rzeczy. O, właśnie tam, na dwudziestu akrach wewnątrz tego ślicznego, elektrycznego płotu.

Opadli dość szybko na pas startowy oddzielający hangar od budynków fabrycznych zwieńczonych ogromnymi czaszami anten satelitarnych.

- Zbudowanie tego zakładu w tym miejscu kosztowało siedemset milionów dolarów. Płacąc takie pieniądze,

chłopie, musisz wygrać cholernie dużo kontraktów, żeby ci faceci z banku odpieprzyli się od twojego tyłka.

Zatrzymał samolot przed hangarem i obydwaj wyskoczyli z niego, przy czym James cieszył się ze swej sprawności. Jedyne, co sprawiło mu zawód podczas tej podróży do Waszyngtonu było to, że nie starczyło mu czasu, by udać się do Annapolis, gdzie nadal cumował jego jacht. Niewiele było wód, które mogłyby dorównać wschodniemu wybrzeżu Stanów pod względem przyjemności żeglugi i wyzwań stawianych sternikowi.

Czując na skórze dotyk niezwykle suchego powietrza, pomaszerował u boku Speersa w kierunku kompleksu przemysłowego. Zbliżając się do pierwszego budynku, słyszał coraz głośniejszy pomruk, podobny do tego, który wydają przewody wysokiego napięcia. Speers, stanąwszy przy metalowych drzwiach, przyłożył kartę do metalowej płyty na ościeżnicy. Rozległo się kliknięcie i pchnięte przez niego wrota otworzyły się.

- Masz - powiedział do strażnika przy barierce, pokazując dwie przepustki. - Ta jest dla mojego dobrego przyjaciela, ambasadora. Musimy mu pokazać, że wiemy, jak się miło zachować tu, w Teksasie.

Wartownik chrząknął i nacisnął dźwignię. Speers poprowadził dalej. Pomruk przeszedł już teraz niemal w warkot i stal się dziwnie drażniący. Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami, które Jackson otworzył bez pukania.

- Miło stwierdzić, że się nas spodziewałeś - odezwał się wesoło do ubranego w kolor khaki mężczyzny pijącego kawę przy biurku, z rozpiętym kołnierzykiem i starannie podwiniętymi rękawami. Po czym zwrócił się do Jamesa: - Poznaj dyrektora Southwestern, Mickeya Finna.

Speers i Finn pokleпали się wzajemnie po ramionach.

- Naprawdę tak się nazywa, przysięgam. A to jest ambasador Wharton. Wiesz kim on jest. Przebył tę całą drogę z Londynu, żeby dokonać inspekcji Southwestern.

James i Finn uścisnęli sobie dłonie. Inspekcja wyglądała podobnie jak każda inna wycieczka po fabryce.

- Ja już to widziałem - oznajmił Speers, decydując się zostać w biurze dyrektora w towarzystwie ekspresu do kawy.

Finn prowadził Jamesa od jednej bezpyłowej komory - James nie nazwałby ich salami - do drugiej. Ubrani na biało ludzie pracowali w milczeniu; dziwny pomruk był w niektórych miejscach ledwie słyszalny, w innych natomiast stawał się tak dominujący, że James miał ochotę wybiec na zewnątrz i odgrodzić się od niego hermetycznymi drzwiami.

- Witam z powrotem - odezwał się Speers i usunął z zajmowanego przez siebie krzesła za dyrektorskim biurkiem. - Napijcie się kawy. Ja stawiam.

Finn roześmiał się.

Kiedy popijali kawę, Speers spytał Finna:

- Czy masz przygotowane te dokumenty, które pan ambasador ma podpisać?

Finn wyciągnął kilka teczek z górnej szuflady biurka.

- Dziś rano dzwonił z Londynu lord Scrope - wyjaśnił Jackson Jamesowi. - Chciał sprawdzić, czy przygotowałem wszystko do podpisania. Powiedział, że masz jego pełnomocnictwo podczas tej podróży. „Ambasador jest jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać na tyle, by coś za mnie podpisał”, tak powiedział.

- Skąd ten pośpiech, by podpisać te papiery już dzisiaj? - spytał James, kierując to pytanie do Finna. Odpowiedział jednak Jackson.

- Przyszło pilne zamówienie z Meksyku i w tej chwili trzydzieści milionów dolarów w elementach maszyn jest już załadowane na ciężarówkę i czeka na wysyłkę. Wiesz, jacy są celnicy: upierdliwi dla samej upierdliwości. Każą ci czekać, aż ci tyłek zdrętwieje. Jeśli jednak na deklaracji celnej znajdzie się podpis lorda Scrope'a albo tym



razem twój, **to** przestają urządzić **te** gierki i dostajemy zielone światło.

Papiery celne okazały się być niezliczonymi stronami drobnego druku z pojedynczym odstępem.

James usiadł z jednej strony biurka i zaczął je czytać, podpisując każdy przeczytany paragraf.

- Chryste, co za żargon - stwierdził, przedzierając się przez gąszcz słów. - Nigdy w życiu nie słyszałem o większości z tych części maszyn. Każdy, kto chce wyprowadzić w pole chłopców na cle, może ich kompletnie ogłupić tymi cholernymi szczegółami.

- Na razie - pożegnał Speers strażnika przy barierce, kiedy wychodzili.

Powietrze na zewnątrz było jak w rozgrzanym piecu, a słońce wisiało białą kulą na niebie. Po pasie startowym kołował kolejny mały samolot, który po chwili zniknął w hangarze. James zdołał jeszcze dojrzeć ciężarówkę wewnątrz garażu, zanim podnoszone wrota z powrotem opadły.

Speers dochodził akurat z Jamesem do cessny, kiedy otworzyły się boczne drzwi hangaru i ukazał się w nich jakiś Meksykanin w ściągniętym nisko na czoło kapeluszu. Mijając ich, Pedro Lopez spojrzał spod szerokiego ronda i spotkał się wzrokiem ze Speersesem, lecz żaden z nich nie uczynił najmniejszego gestu, który by świadczył o tym, że się znają.

Podczas powrotnego lotu Speers wrócił do swej roli pilota wycieczki. ^

- Widzisz to ranczo poniżej? Siedem tysięcy akrów kaktusów i *mesquite*. Należy do prezesa spółki paliwowej. Członkowie zarządu wynajmują je podczas weekendów na polowania. Łuk i strzały w czasie sezonu na jelenie albo strzelba. Mnie najbardziej odpowiada Wea-therby 0.270. Tylko tam, na wschodzie ludzie używają dubeltówek. Kiedy wybierasz się szukać tych ślicznych przepióreczek, musisz mieć na sobie skórzane legginsy, bo inaczej kaktusy podziurawią cię na śmierć. - Nagle

zachichotał. - Mamy tu wszystko co kłuje, żądli albo kasa.

- A co ma powstrzymywać przemytników kokainy przed zrzucaniem tu swoich paczek, które ktoś inny może zabrać? - spytał James.

- Nic. Siedem tysięcy akrów kaktusów i *mesquite* to zbyt wiele dla właściciela rancza, żeby był w stanie dopilnować całego terenu. - Wskazał palcem teren przed nimi. - Tamto ma osiemnaście tysięcy akrów. Czterdzieści eksploatowanych szybów naftowych. Pewien meksykański treser psów na ptaki mówił mi, że ostatnio wyrąbano im w pasie startowym wielkie dziury, żeby zniechęcić ich do latania nocą. Mówi, że często słyszy małe samoloty przelatujące nisko bez świateł. Niektórzy zarządcy rancz znajdują w skrzynkach na listy koperty wypchane gotówką - tysiące zielonych - wraz z instrukcją, by określonej nocy zostawili główną bramę otwartą, bo inaczej może im się stać „coś złego”. Jeden z moich znajomych ranczerów znalazł swojego wystawowego byka zastrzelonego wraz z pół tuzinem Longhornów, kiedy nie zastosował się do takiej instrukcji.

- Jak samoloty przemytników przemykają się przez system radarów na granicy? - spytał James. Speers roześmiał się.

- USA wydały dwa miliardy dolarów na ten radarowy system antynarkotykowy. Jego rdzeniem są aerostaty - wznoszące się na dużą wysokość balony załadowane skomplikowanym wyposażeniem radarowym. Nawiasem mówiąc, spora jego część jest robiona przez Scrope'a. Ale aerostaty nie mogą latać przy wietrze przekraczającym 24 kilometry na godzinę. Natomiast samoloty mogą. Jeśli celnicy zauważą, że przekraczasz granicę samolotem przy brzydkiej pogodzie, mogą wysłać za tobą w pościg swoje maszyny. Ale muszą złapać cię na ziemi razem z towarem. To są Stany Zjednoczone. My nie zestrzelili wujemy samolotów.

James obrócił się i obserwował dobroduszną twarz

Speersa, podczas gdy ten dzielił się /, nim swoją wiedzą, jednocześnie nie przestając zwracać bacznej uwagi na to, co się dzieje na niebie. Myło już późne popołudnie i wielu członków kadry kierowniczej wracało samolotami do swoich baz. Przed hotelem Jackson powiedział:

- Wpadnę po ciebie o pół do siódmej. Zabiorę cię na najlepszy befsztyk, jaki w życiu jadłeś.

Kiedy rozstawali się później tego wieczora, James rzeczywiście szczerze powiedział na pożegnanie:

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

## ROZDZIAŁ 25

Był to dzień odpowiedzi ministra obrony na interpelacje poselskie. Dokładnie o 2.30 pierwsza w historii kobieta-spiker Izby Gmin zawołała:

- Pan Alan Rawlston. - W tej izbie tylko spiker zwracał się do posłów po nazwisku.

Alan dźwignął się na nogi i niezdarnym krokiem człowieka o otłuszczonych udach skierował się do skrzynki na korespondencję.

Jego oczy za szklami okularów skierowane na ławki naprzeciwko, błyszczały prawdziwą nienawiścią. Ta wojowniczość, która samorzutnie go ogarniała, była właśnie jednym z powodów, dla których był on tak skutecznym parlamentarzystą. Premier, kiedy patrzył na ławki opozycji, widział mężczyzn i kobiety nie różniących się specjalnie charakterem - dobrym czy złym - od tych siedzących za jego plecami. Lecz dla Alana wszyscy oni byli wrogami i nienawidził ich tak, jak nienawidził każdego, kto próbował mu przeszkadzać.

Jeden z potulnych posłów partii rządzącej złożył już przedtem interpelację na temat Cheetah, a teraz przedstawił jeszcze dodatkowe zapytanie, uzgodnione wcześniej z Rawlstonem.

Alan odpowiedział swym donośnym głosem:

- Mój czcigodny kolega z zadowoleniem zapewne usłyszy, że właśnie dziś podpisałem listy zawiadamiające dwie firmy, że ich oferta została przyjęta. Obie firmy są

brytyjskie. Northwest Metals będzie produkować łuski Cheetah, a Scrope Electronics systemy elektroniczne.

Wśród posłów opozycyjnych wybuchła wrzawa zmieszanych krzyków i jęków, potęgowana jeszcze przez szydercze gwizdy. Rozwścieczeni mężczyźni i kobiety zrywali się na nogi, wymachując porządkiem obrad, żeby przyciągnąć uwagę spikera.

- Spokój, spokój! - wrzasnęła pani spiker. Jej młotek opadł ze stukotem. Po chwili wezwała do zabrania głosu posła opozycji.

Ten zapytał zgryźliwie:

— Może czcigodny dżentelmen powie Izbie, czy na jego decyzję, by pięćsetmilionowy kontrakt przyznać firmie Scrope Electronics miały jakiś wpływ wysiłki „Javelin”, okrętu flagowego lorda Scrope'a, zmierzające do uczynienia z czcigodnego dżentelmena kolejnego premiera?

Ironiczne „uuuuu” z ławek opozycji wsparło mówcę. Strona rządowa siedziała cicho.

Alan był już znów na nogach, wpatrując się w oponenta, jakby był robakiem, który właśnie wyslizgnął się ze zgniłego jabłka.

- Pytanie czcigodnego kolegi, pani spiker, mogło być zadane jedynie przez - przerwał - osobę... - sposób, w jaki wymówił to słowo, zachęcał każdego do wstawienia w to miejsce obelgi według własnego wyboru -która sama mierzy interes narodu tym, jaką korzyść może z tego wyciągnąć dla siebie. Popęlnia on błąd typowy dla ludzi żyjących w rynsztoku: wydaje im się, że wszyscy pozostali mają równie niskie horyzonty.

Alan opadł z powrotem na frontową ławkę. Za jego plecami posłowie śmiali się i wołali: „Słuchajcie, słuchajcie”.

Przewodnicząca udzieliła teraz głosu posłance opozycji wymachującej swym porządkiem obrad.

— Czy czcigodny dżentelmen mógłby nam wyjaśnić, na jakiej podstawie przyznał ten kontrakt firmie ele-

elektronicznej, której właścicielem jest jawny poplecznik partii czcigodnego dżentelmena? Alan znowu się podniósł.

- Z przyjemnością wyjaśnię czcigodnej lady przesłanki, jakie mną kierowały. Zakłady Scrope Electronics cieszą się jak najlepszą opinią ze względu na jakość wyrobów, zarówno w tym kraju, jak i w wielu innych. Ponadto są w stanie dotrzymać wymaganych przez nas terminów. Skalkulowane przez nich koszty są na tym samym poziomie co pozostałych angielskich firm. Ich oferta była również konkurencyjna w stosunku do propozycji firm amerykańskich, z jednym wyjątkiem.

W tym miejscu Alan przerwał, jakby zamierzał za chwilę wyznać jakiś wielki grzech. Napięcie wśród posłów wzrosło. Poprawił sobie okulary na nosie.

Jednak to, co po chwili powiedział, odwróciło zupełnie uwagę od innych, konkurencyjnych ofert brytyjskich.

- Jedna z cieszących się szacunkiem firm amerykańskich również była w stanie dostosować się do harmonogramu, a jej koszty były porównywalne z przedstawionymi przez Scrope Electronics. Ponieważ pod tymi względami obie oferty były równie korzystne, postanowiłem wziąć na siebie odpowiedzialność za przyznanie kontraktu firmie brytyjskiej. - Wyginając się w łuk, przebiegł wyzywającym wzrokiem ławki opozycji od jednego końca do drugiego. - Zrobię wszystko, do czego jestem uprawniony, pani spiker, żeby pomóc przemysłowi brytyjskiemu i tworzyć miejsca pracy dla naszych rodaków, w przeciwieństwie do posłów opozycyjnych, którym zależy wyłącznie na zdobywaniu poklasku, niezależnie od tego, na jakie koszty narażałoby to gospodarkę naszego kraju. Z ławek opozycji rozległy się okrzyki gniewu, kiedy siadał ponownie.

Natomiast z rządów za nim dobiegało rozbawione „Słuchajcie, słuchajcie”. Ministrom i szeregowym posłom strony rządowej zawsze podobała się waleczność ministra

obrony, niezależnie od tego, co sądzą o jego prywatnych motywach.

Młotek pani spiker znów opadł z łoskotem.

Krótką relacją na temat kontraktów Ministerstwa Obrony została umieszczona u dołu strony „Javelin”.

Dwie gazety brukowe poświęciły się głównie tropieniu poczyną rodziny królewskiej. Natomiast wszystkie pozostałe zachłystywały się sprawą Cheetah.

Fakt, że Northwest Metals wygrały przetarg na łuski do tych pocisków nie wzbudził najmniejszego zainteresowania. Punktem zapalnym był kontrakt na systemy elektroniczne - manna z nieba dla lorda Scrope'a.

„Dispatch” przypuścił morderczy atak.

Pracowite szperanie doprowadziło w końcu korespondenta zajmującego się obronnością do odkrycia opinii eksperta odradzającej przyjęcie oferty Scrope'a. Milesowi udało się namówić jednego z wysokich urzędników do potwierdzenia tego faktu, pod warunkiem że nie zostanie wspomniane jego nazwisko.

Przez całą szerokość pierwszej strony biegł nagłówek: „Minister zakpił sobie z własnych doradców”. James, przechodząc przez dwa pokoje sekretarek, zwrócił uwagę, że panuje w nich większy niż zazwyczaj niepokój.

- Dzień dobry - powiedział tonem, który niedwuznacznie sugerował, że nie ma w nim nic dobrego. Ledwie zdążył wejść do swojego gabinetu, gdy czerwony telefon na biurku zabrzączał jak wiertło dentystyczne.

- Twój przyjaciel zapłaci mi za to - odezwał się płaski głos na drugim końcu linii.

Otwierając drzwi do gabinetu przewodniczącego, James sprężył się w sobie.

Wokół biurka Geralda leżały porzucane poranne gazety, niektóre pogniecione i podarte, inne odrzucone po pobieżnym spojrzeniu. Na blacie biurka znajdował się

„Dispatch" położony tak, by była dokładnie widoczna pierwsza strona.

- Nie spodziewałbym się po Milesie Brewsterze, że zrobi z tego tak osobistą sprawę - odezwał się James. Musiał mu pan nieźle zależeć za skórę.

Dwie fotografie przecinały sześć kolumn druku. Jedna ukazywała Geralda przy wejściu do Ministerstwa Obrony - „Przyjaciel ministra", głosił podpis. Na drugiej Alan Rawlston kiwał dłonią ze stopni Numeru Dziesiątego - „Wdzięczny minister".

- Nasz amerykański dżentelmenik ostro gra - powiedział Gerald. W jego głosie nie było złości; stwierdzał po prostu fakt. - Byłem dokładnie jeden raz w Ministerstwie Obrony - ciągnął - podczas oficjalnej wizyty amerykańskiego sekretarza obrony. A to zdjęcie Alana na stopniach Numeru Dziesiątego mogło być zrobione podczas każdego spotkania rządu. Ale wygląda, jakby świętował objęcie stanowiska premiera. Diabelnie sprytnie zmontowane.

- Reszta podpisu jasno określa sytuację, w jakich te zdjęcia zostały zrobione - stwierdził James.

- Tak. Pan Miles zawsze dba o to, żeby drobnym drukiem napisać prawdę, bo wtedy nikt nie będzie mógł się przyczepić, że oszukuje. Ale cholernie dobrze zna sztuczkę z drukowaniem na całą szerokość strony tego, co chce przekazać. Komu by się chciało marnować czas i czytać drobny druk. Za to z pewnością nie przegapią specjalnego komentarza redakcji wetkniętego w wystrzałowej ramce w sam środek pierwszej strony i podpisanego przez naszego redaktorka-spryciarza, który jak Bóg przekazuje maluczkim swój werdykt.

Miles po raz pierwszy wykorzystał ten sposób przyciągnięcia czytelników, którzy nie dotrą aż do strony z komentarzem od redakcji. Ujął to krótko:

„Nie tylko żona Cezara musi być poza podejrzeniem.

Pan Rawlston przyznał kontrakt wartości pięciuset milionów funtów firmie, której właścicielem jest magnat



przemysłowy i prasowy, lord Scrope. Nasze społeczeństwo — które będzie za to płaciło - ma pełne prawo zapytać: Czy to zbieg okoliczności, iż „Javelin”, okręt flagowy lorda Scrope'a, prowadzi budzącą niesmak kampanię na rzecz ministra obrony, żeby zastąpił Martina Mathera na stanowisku premiera?

Nieuchronnie musi nasuwać się podejrzenie, że pan Rawlston służył interesom finansowym swego najpotężniejszego protektora".

Fragment ten był otoczony spiralą nabazgranych z wściekłością linii.

A jednak Gerald wydawał się spokojny, kiedy powiedział:

- Nawet najmniej domyślny czytelnik potrafi stwierdzić, w których miejscach prawnicy powstrzymali Brew-ster. Przez to tym bardziej będzie się zastanawiał nad podtekstem. - Zapalił cygaro. - Proszę mi powiedzieć, ambasadorze, pełniąc swoją funkcję w Waszyngtonie na pewno nieraz pan słyszał, jak ludzie rozmawiają o Milesie Brewsterze. Ktoś z nich musi coś wiedzieć o tym drobnym wypadku w Meksyku.

- Nie mogę panu w tym pomóc, panie przewodniczący. Od czasu ostatniej podróży do Waszyngtonu stosunki

Jamesa z Geraldem, jakkolwiek napięte, były stosunkowo poprawne. (Świetnie, świetnie, ambasadorze. Nikt inny nie potrafiłby tak dobrze przedstawić naszej sprawy.) Udzielił teraz odpowiedzi, jaką mogłyby dać Geraldowi setki ludzi w Waszyngtonie.

- Ludzie prowadzili różne spekulacje na ten temat, lecz nikt nawet nie udawał, że wie coś więcej poza tym, iż zdarzyło się to w Meksyku, kiedy był jeszcze młody.

- Taaa. Gdzie najlepiej szukać w Ameryce starych wycinków prasowych?

- W Bibliotece Kongresu. - Każdy Amerykanin mógłby to Geraldowi powiedzieć.

- Niech się pan skontaktuje z trzema reporterami trudniącymi się wyszukiwaniem informacji w moich ame-

rykańskich gazetach, ambasadorze. Niech się pan upewni, że pracują w trzech różnych czasopismach. Proszę im powiedzieć, żeby ruszyli swe tłuste tyłki do Biblioteki Kongresu i siedzieli tam, dopóki nie zgniją im jaja albo nie znajdą tego, co mi potrzeba. Obojętnie, ile cholernego czasu to zabierze, chcę, żeby coś znaleźli, nawet jeśli to nie będzie więcej niż sześć linijek, na temat, jak to nasz młody Miles Brewster miał wypadek samochodowy. -Niespodziewanie uśmiechnął się. - Proszę powiedzieć każdemu z nich, że dwóch innych facetów pracuje nad tym samym, a ten, który coś przyniesie, zaskarbi sobie najszczerze uznanie Geralda Scrope'a.

James nadal stał w tym samym miejscu przed biurkiem, gdzie stanął po wejściu do pokoju. Nieraz Gerald trzymał go tak przez cały czas trwania dziesięciominutowej konfrontacji. W tej chwili dało o sobie znać wyniesione z Eton pojęcie honoru.

- Przykro mi, panie przewodniczący. Stawia mnie pan w pozycji nie do przyjęcia, każąc odgrywać rolę szpiega w stosunku do starego przyjaciela.

James zdawał sobie sprawę, że stoi niezwykle sztywno wyprostowany w oczekiwaniu na lawinę wyzwisk. Miał nawet na nią nadzieję. Do diabła z pieniędzmi i statusem - gdyby, wreszcie wolny, odszedł dziś w nieznane po ogromnym sukcesie, jakim zakończyły się jego pertraktacje na rzecz Scrope'a, ten wiedziałby doskonale, kto tu przegrał.

Gerald tymczasem patrzył na niego niewzruszony.

- Każdy jest pod jakimś względem sentymentalny, ambasadorze. Nie chcę wprawiać pana w zakłopotanie. Proszę powiedzieć kierownikowi działu zagranicznego, żeby natychmiast do mnie przyszedł. Pan Fleet będzie szczęśliwy, mogąc wydać zarządzenia, których oczekuję.

Marigold od jakiegoś czasu odczuwała nieustanny niepokój i kiedy zadzwonił telefon, skwapliwie odezwała się do słuchawki:

- Halo?

Leżąc później bezsenne w nocy, zadawała sobie pytanie, skąd wiedziała, słysząc w słuchawce ciszę, że jest to Gerald. Jednocześnie była pewna, iż on wie, że nie ma przy niej Milesa.

- Pani Brewster - odezwał się w końcu.

- Lordzie Scrope - odparła.

- Powiedziałem pani, że zapamiętam numer. Chciałbym prosić panią, żeby zjadła pani ze mną lunch. U mnie w mieszkaniu. Czy ma pani przy sobie notes z terminami spotkań?

Odtwarzając później w myślach tę rozmowę, uświadomiła sobie, że właśnie to stereotypowe pytanie świadczyło, że się na pewno spotkają. Nie zostawił jej czasu na rozważania. Było to jedyne pytanie, które jej zadał.

Reszta pozostawała w domyśle.

Zoe wróciła do redakcji „Dispatch” tuż po pierwszej. Odbyła właśnie spotkanie z ambasadorem amerykańskim - niezwykle szczerym ambasadorem - co stanowiło część jej przygotowań do zbliżającego się wywiadu z Pierwszą Damą.

Pokój redakcyjny był niemal pusty, większość ludzi jadła lunch. Przygotuję sobie kanapkę przy biurku, pomyślała i jednocześnie przepiszę notatki.

Spojrzała w kierunku biura Milesa. Nikogo tam nie było. Może zobaczy go później. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo jej się podobał artykuł na pierwszej stronie. Zabawne, pomyślała. Czasem potrafi doprowadzić człowieka do szału. A jednak jego reakcje stawały się dla niej coraz ważniejsze. Nie chodziło przy tym o to, by zgadzał się ze wszystkim, co ona napisze, ale żeby robiło to na nim wrażenie.

Na biurku znalazła notatkę: „Zadzwoń do Petera Stainsleya do jego domu w Waszyngtonie. Pilne”.  
Spojrzała na zegarek. W Waszyngtonie właśnie minę-

ła ósma rano. Do domu. Zawsze dzwoniła do jego biura w senacie. Pilne.

Poczuła, jak ściska jej się żołądek.

- Dom senatora i pani Stainsley - odezwał się stonowany głos lokaja.

- Mówi Zoe Hare. Dzwonię z Londynu. Czy senator Stainsley może w tej chwili podejść do telefonu?

Chwilę później odezwał się Peter.

- Zoe. Dziękuję, że oddzwoniłaś. Jego głos brzmiał jakoś dziwnie.

- Czy wszystko w porządku? - spytała niepewnie.

- Nie.

Poczuła, jak sztywnieje jej kark.

- Moja żona jechała wczoraj po południu samochodem z Baltimore. Ciężarówka jadąca w drugą stronę przeleciała przez barierkę. Ona nie żyje.

- O Boże. - Ledwo mogła z siebie wydobyć głos.

- Zginęła na miejscu. Oboje milczeli.

Spróbowała go sobie wyobrazić. Czydeżał, próbując złagodzić ciężar tej okropnej, nieodwracalnej wiadomości? A może siedział na krześle, przesłaniając dłonią oczy?

Porozmawiali jeszcze przez chwilę. Głos mu się rwał. W pewnej chwili zaszlochał, po czym znów się opanował.

- Wiesz, jak głęboko ją kochałem - powiedział.

- Wiem. Zawsze o tym wiedziałam. Po jakimś czasie odezwała się:

- Chyba nie powinnam tu siedzieć beczynn timer. Mogę przylecieć dziś w nocy do Waszyngtonu.

- Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zostaniesz tam, gdzie jesteś - odparł.

Kiedy się rozłączyli, siedziała jakiś czas bez ruchu, z brodą wspartą na złożonych dłoniach.

Nigdy nie myślała o nich inaczej niż o dobrym, zgra-

nym małżeństwie. Będzie kompletnie rozbity przez jej śmierć. Już jest.

Nawet kiedy zdarzy się najstraszliwsza tragedia, zawsze zakradnie się jakaś błaha myśl. Teraz na przykład zastanawiała się, kiedy kamerdyner uzna za stosowne przestać się odzywać: „Dom senatora i pani Stainsley” -po pogrzebie?

Zaraz jednak powróciła myślami do rzeczy mniej błahych.

W jaki sposób dzieci dowiedziały się, że ich matka nie żyje? Czy Peter im powiedział? Czy też dowiedziały się z innego źródła, zanim zdążył to zrobić? Z wiadomości telewizyjnych? Z radia?

Mogły się dowiedzieć, zanim jeszcze wróciły do domu ze szkoły.

Zoe niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w pokój.

**CZĘŚĆ  
III**

## ROZDZIAŁ 26

Przewróciła się na łóżku, przerzucając włosy na drugą stronę w tym niespokojnym śnie, kiedy człowiekowi wydaje się, że nie śpi, bo w umyśle kołaczą mu różne koszmarnie myśli. Musiała jednak spać, gdyż dźwięk budzika ją przebudził. Zasunięte kotary miały martwy wygląd świadczący o tym, że wszystko na zewnątrz jest szare.

Obudziła się, ale nic się nie zmieniło - przez głowę nadal przebiegały jej splątane, niespokojne myśli. Pogrzeby są także dla pogrążonych w smutku. Czy przede wszystkim dla pogrążonych w smutku? Chciała towarzyszyć mu w jego bólu. Może mogłaby tam pojechać i usiąść z tyłu w kościele? To nie byłoby w porządku siedzieć tam na pogrzebie jego żony.

A teraz on już nie miał żony. Kiedy tylko Zoe uświadomiła sobie, co to może dla niej oznaczać, natychmiast ogarnęło ją niespokojne poczucie winy. Jego żona nie żyła, Peter był zdruzgotany, a ona tymczasem zastanawia się, jak to wpłynie na jej przyszłość. Jak dalece człowiek może być odrażający. Odrzuciła pościel i wstała, by odsunąć zasłony. Za oknem posępne niebo spoczywało ciężko na domach po drugiej stronie ulicy. Nawet drzewa wzdłuż chodnika wyglądały jak zrobione z ołowiu. Trzeba się zbierać. Publicyści rzadko muszą przesiadywać w redakcji po nocach, ale za to szef dał jej nie-

dwuznacznie do zrozumienia, że ma się tam zjawiać na czas o poranku. Boże, jak marzyła, żeby nie mieć umówionego na dzisiaj tego głupiego wywiadu z jakimś głupim prawnikiem. Ten, kto wynalazł kawę, powinien dostać nagrodę Nobla, mruzczała do siebie, kierując się do wąskiej kuchenki. Zanim do niej dotarła, przed jej oczyma znów pojawił się obraz rodziny Stainsleyów.

- „O śmierci, gdzież jest twe żądło?” - zacytowała na głos.

Nigdy nie znosiła tego wersu. Jak ktoś może zadawać takie pytanie?

- Szmata czasu cię nie widziałem, *amiga*. Tylko podpis w gazecie.

Och, odczep się.

- Ostatnio trudno otworzyć „Dispatch”, żeby nie ujrzeć Zoe Hare wielkimi literami. Dokąd idziesz? Balansowała na krawężniku ronda przy moście Lambeth, czekając na odpowiedni moment, by przedostać się przez Millbank. Simon w pobliskiej restauracji podejmował lunchem ministra spraw zagranicznych i dojrzał w tylnej sali Zoe z dobrze znanym prawnikiem australijskim. Nie robiła wrażenia osoby w zbyt dobrym nastroju. Kłótnia kochanków? Ale potem dostrzegł, że za talerzem ma notatnik, w którym pospiesznie gryzmoli.

Nie widzieli się od czasu przybycia do Londynu.

- Tu zaraz są ogrody Victoria Tower, więc chcę rzucić okiem na Rodina, zanim wrócę do redakcji - wyjaśniła, cofając się błyskawicznie, gdyż górna część autobusu zakołysała się nad chodnikiem.

- Zbyt ponura rzeźba jak na taki pochmurny dzień - cmoknął Simon. - Wszyscy ci rajcowie miejscy powiązani razem w drodze na przerażającą śmierć. Gdybym był na ich miejscu, zwałbym z Calais i zamieszkał gdzie indziej, a angielski król niechby sobie burzył miasto lub robił co zechce. I tak nigdy nie lubiłem Calais.

Zoe odpowiedziała mu czymś w rodzaju uśmiechu.



- Tak więc mamy do wyboru dwie rzeczy - ciągnął Simon. - Możesz iść i popatrzeć na odlanych z brązu rajców, a ja pójdę z tobą i poratuję cię swoją chusteczką do nosa. Albo możemy się spotkać na drinku w wybranym przez ciebie miejscu na zakończenie dnia naszej znoej pracy. Możemy nawet zjeść razem, jeśli masz czas. Jest sporo spraw do obgadania.

- To są trzy możliwości - stwierdziła Zoe

W zasadzie nie miała ochoty na spotkanie się z nim wieczorem.

- Wybieram drugą możliwość. Co powiesz na pub w połowie drogi między „Dispatch” a „Javelin”?

- Masz cudowne wycucie, co jest właściwe, Zoe To jedna z cech, które w tobie podziwiam.

Ustalili ostatecznie, w którym barze się spotkają i Zoe w końcu przeszła na drugą stronę Millbank.

Pomimo uwag Simona na temat mieszczan z Calais którzy siedemset lat temu poddali się Edwardowi Iii' zeby uratować swoje miasto, uznała pomnik za równie poruszający jak ponury. Obchodziła go powoli W pobliżu stała ławeczka, więc postawiła na niej swą torbę i usiadła, patrząc na postaci z brązu. Pomyślała o swoim dziadku. On by postąpił podobnie jak oni.

Znów podeszła bliżej, tym razem by przyrzeć się dokładniej twarzom, próbując sobie wyobrazić, co czuli idąc ku swemu przeznaczeniu. Potem przespacerowała się jeszcze na brzeg rzeki, gdzie na wilgotnej trawie leżały porozrzucone tu i ówdzie żółte i brunatne liście Rzuciła okiem na Tamizę matową jak stop cyny z ołowiem, zmieniającą kierunek, zanim zaczął się przypływ „Czas jak nieustannie toczący się strumień, unosi wszystkich swoich synów...” Spojrzała na zegarek. Lepiej wróci już do redakcji.

Gdyby była mniej zatopiona we własnych myślach spojrzałaby może na drugą stronę rzeki na błyszczący w.ezowiec, łamiący spokojną linię niskich dachów, z ostatnim piętrem jak pasek szkła.

Tego ranka Marigold obudziła się wcześniej, tuż po szóstej, u boku ciągle jeszcze śpiącego Milesa. Z otwartymi oczami leżała na wznak, pocierając plecami o prześcieradło. Potem zaczęła powoli rozchyłać nogi, aż nagle jedną z nich dotknęła Milesa. Przeszedł ją dreszcz. Złączyła nogi i leżała zupełnie nieruchomo.

Tuż po pierwszej wysiadła z taksówki i weszła do okazałego holu.

- Lord Scrope mnie oczekuje.

Czy to jej władcze maniery, czy też polecenia Geralda sprawiły, że recepcjonista nie zapytał jej o nazwisko. Ledwie odłożył słuchawkę, powiedział:

- Proszę pojechać windą z napisem „Penthouse A”. Kiedy pani wysiądzie, będzie tam na panią ktoś czekał. #

Wjeżdżała sama poruszającą się bezgłośnie, wyłożoną lustrami windą. Czuła każdy najmniejszy włoszek na swych ramionach.

Drzwi windy rozsunęły się i wyszła z niej wprost do przedpokoju. Przed sobą miała łukowato sklepione przejście z lustrami Sheraton po obu stronach. W jednym z nich dojrzała, jak gładki mosiądz drzwi windy zasuwają się za nią, odcinając wyjście.

Niby piękny owad schwytyany przez mięsożerną orchideę poszła więc dalej i znalazła się w ogromnym pokoju, którego przeciwległa ściana wykonana była ze szkła. W fotelu pod tą ścianą Gerald rozmawiał przez telefon.

Nie przerywając rozmowy, obserwował ją, jak dochodzi do środka pokoju i tam się zatrzymuje, po czym stoi przed nim zmieszana. Kiedy odłożył słuchawkę, sięgnął \* do przełącznika.

- Żadnych więcej rozmów telefonicznych w czasie, gdy będziemy cieszyć się lunchem - stwierdził. - Witam, pani Brewster.

Nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby podnieść się z fotela.

Stała ciągle w tym samym miejscu, tak zdenerwowana, że miała ochotę pleść coś bez sensu, a jednocześnie

tak napięta pod jego taksującym spojrzeniem, że nie odezwała się ani słowem. Czowała, jak krew napływa jej na policzki.

W chwili, kiedy napięcie stało się dla niej nie do zniesienia, Gerald zdecydował się podnieść. Obrócił się w kierunku szklanej ściany.

- Proszę podejść i spojrzeć na ten widok.

Dopiero teraz była w stanie dostrzec swoje otoczenie. Jakiś projektant przemienił ten salon w marzenie o jaskini bogatego mężczyzny - ogromne kanapy i fotele pokryte moherem i miękką, czarną skórą, marmurowe stoliki na stalowych nóżkach, gruby dywan, równie zapraszający jak łóżko.

Jak we śnie przeszła przez pokój i stanęła obok niego.

- Nieźle, jak na właściciela warsztatów samochodowych w południowym Londynie - stwierdził, patrząc na zakręt rzeki z budynkami Parlamentu po drugiej stronie, a za nimi St James's Park i pałac Buckingham. Patrząc na Victoria Tower, powiedział zadowolony z siebie: - Gdyby nie wieża Izby Lordów, mogłaby pani stąd zobaczyć nawet swoje mieszkanie.

Facet od garaży, myślała, podekscytowana skojarzeniami, które dla Anglików łączyły się z tą nazwą. Nieokrzesany, zuchwały, chełpliwy - całkowite przeciwieństwo Milesa.

Gwałtownie odwróciła się i przeszła z powrotem na środek pokoju.

Gerald obrócił się, ale został przy oknie.

- Nie tknę pani palcem, pani Brewster. - Przerwał. - Dopóki nie będzie pani pewna, że tego chce. -

Wskazał ręką na sąsiedni pokój. - Powiedziałem gospodyni, że nie chcę, żeby kręciły się tu gromady ludzi - powiedział, prowadząc ją za sobą. - Kucharka postarała się najlepiej, jak umiała. Wszystko stoi na kredensie. Proszę się częstować.

Marigold rozejrzała się po umeblowaniu w stylu chippendale. Wszystko w tym pokoju było ciężkie i preten-

sjonalne, pasujące do sposobu bycia Geralda, włącznie z ogromnym lustrem w rzeźbionej, pozłacanej ramie, wiszącym na ścianie przeciwległej do okien. Kiedyś musiało się znajdować nad kominkiem w osiemnastowiecznym domostwie. W niezbyt wysokich pokojach nowoczesnego domu lustro sięgało niemal podłogi.

Na srebrnym półmisku pysznił się cały łosoś ozdobiony wokół połówkami cytryn wyciętymi w kształt korony. Na drugim leżała pieczona wołowina na zimno, w środku półsurowa, pokrojona w plasterki takiej grubości, by najlepiej uwydatniły jej smak.

- Dokładnie tak jak lubię - skomentował Gerald, napełniając talerz.

Ona dłubała tylko w swoim jedzeniu. Było naprawdę świetnie przyrządzone, ale czuła się zbyt spięta, by przełknąć więcej niż parę kęsów.

Kiedy skończył jeść, spojrzał na nią spokojnie.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani pragnę, pani Brewster.

Marigold przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. Potem bardzo wyraźnie, jak dziewczynka odpowiadająca nauczycielowi, wyrecytowała:

- Jestem piękna. Pociągam mężczyzn. Mam klasę... -przerwała.

- I?

Patrzył na nią tak beznamiętnie, jakby zastanawiał się, jaką ocenę jej postawić.

Poczekala jeszcze jakiś czas, zanim dodała tym samym wyraźnym głosem:

- Jestem żoną Milesa Brewstera. Gerald uśmiechnął się.

Marigold spuściła wzrok. Ręce jej spoczywały na kolanach i nerwowo kręciła obrączką na serdecznym palcu.

- Co pani zazwyczaj robi o tej porze dnia? - spytał. Uświadomiła sobie, że musiała zapomnieć o oddycha-

niu, gdyż dopiero teraz wciągnęła ogromny haust powietrza, odczuwając ulgę, że spytał ją o coś normalnego.

- Przez pierwszy miesiąc po naszym przyjeździe tutaj skupiałam się głównie na urządzaniu mieszkania. Teraz jednak dość często spotykam się z przyjaciółmi na lunchu. W końcu jeszcze przed pięciu laty tu właśnie mieszkałam. Znam więc sporo ludzi w Londynie. - Uśmiechnęła się nagle, rozpromieniona. - Dziś rano dostałam list z biura premiera z informacją, że pojawił się wakat w radzie powierniczej Narodowej Galerii Portretu. Poprosili mnie, żebym objęła to stanowisko.

- O co się pani założy, że liczą na to, iż mając panią w radzie, otrzymają słone dotacje od pani męża?

- To też jest możliwe - odezwała się wyniośle Marigold, dotknięta do żywego - ale tak się składa, że byłabym bardzo kompetentnym powiernikiem. Sztuka jest jedną z tych paru rzeczy, na których znam się naprawdę dobrze.

- Będę o tym pamiętał - brzmiała odpowiedź Geralda.

- To znaczy? Uśmiechnął się.

- Zobaczmy, pani Brewster.

Spojrzał na zegarek. Potem znowu badawczo zmierzył ją wzrokiem.

- Elegancka angielska lady, nieskazitelnie ubrana - stwierdził. - Tworzylibyśmy interesującą parę, pani Brewster.

Obserwował ją, jak zmienia ułożenie nóg.

Potem nagle gwałtownie odepchnął krzesło do tyłu.

- Mój szofer podrzuci mnie do „Javelin”, a potem zawiezie panią, dokąd sobie pani życzy - zaproponował.

- Wezmę taksówkę - odparła zgodnie z jego przewidywaniami.

W windzie żadne z nich się nie odezwało. Gdy przechodzili przez hall, recepcjonista pilnie udawał, że ich nie widzi.

Kiedy kierowca Geralda sprowadzał dla niej taksówkę, ten obiecał:

- Zadzwoń do pani - po czym zaczął wsiadać do rollsa. Nagle cofnął się i wszedł kilka stopni w górę, do miejsca, gdzie ona nadal stała. - Nie jestem cierpliwym człowiekiem, pani Brewster - oświadczył, po czym natychmiast odwrócił się i już na dobre wsiadł do samochodu.

## ROZDZIAŁ 27

Simon wyszedł z redakcji „Javelin” pół godziny przed umówionym spotkaniem z Zoe. W pubie z pewnością będą inni dziennikarze; niektórzy wpadają tam, by wypić parę drinków przed powrotem do domu, inni na jednego szybkiego, zanim znów pójdą do swoich biur. Można by sądzić, że po całym dniu spędzonym w pokoju redakcyjnym wybiorą inne towarzystwo, w którym chcieliby odpocząć. Jednak plotki we własnym gronie były podstawą ich wypoczynku. Chętni się i przechwalali, jeśli danego dnia mieli w gazecie jakąś sensację, ponuro dogryzali sobie, gdy nie działo się nic ciekawego, oraz wymieniali najnowsze anegdoty o naczelnym.

Nigdy nie wiadomo, myślał Simon. Jeśli rzuci podczas rozmowy nazwisko Brewstera, może wypłynie coś ciekawego. Zdażył już zrobić piorunujące wrażenie na trzech dziennikarzach z amerykańskich gazet Scrope'a, kiedy połączywszy się z nimi telefonicznie, kazał im siedzieć w Bibliotece Kongresowej „dopóki nie zgniją wam jaja, jak to delikatnie ujął nasz przewodniczący, albo nie znajdziecie czegoś o wypadku w Meksyku”.

Zoe bardzo lubiła atmosferę panującą o tej porze dnia na południowym brzegu rzeki. Z przyjemnością przyglądała się ludziom spieszącym po pracy do szeregowych, dziewiętnastowiecznych domków, niektórych zamieszkałych przez rodziny zajmujące je od kilku pokoleń. Lubiała widok iglic Hawksmoor kłujących wieczorne nie-

bo i surowych blanków pałacu Lambeth, zapewniającego obecność Boga\*.

Jej plany na wieczór zdążyły już się zmienić od czasu, gdy umawiała się z Simonem na drinka. Jancie zadzwoniła, że James zostanie w pracy do późna. Zoe była bardzo zadowolona, że spotkają się dziś wieczorem. Tak więc z pubu zamiast do domu, uda się do Whartonów.

Simon stał przy barze z dwoma dziennikarzami zajmującymi się sprawami politycznymi i kiedy dojrzał ją w lustrze, powitał donośnym głosem:

- Piękna istoto, wnosisz światło w ciemności. Przez chwilę gawędzili we czwórkę, po czym Zoe i Simon zabrali swoje drinki do stolika.

- Właśnie dowiedziałem się o żonie Petera Stains-leya - powiedział Simon. Uniósł pytająco brwi. - Często widziałem cię z nim w restauracji.

- Co oznacza, że raz widziałeś, jak jadłam z nim lunch - odparła swobodnie Zoe. Nie miała sobie równych w stawianiu zasłony dymnej. Przerzuciła rozmowę na temat pewnych wspólnych przyjaciół z Waszyngtonu.

Simon osuszył swoją szklaneczkę.

- Jesteś gotowa na następną, *amiga?* - spytał grzecznościowo, gdyż Zoe zaledwie umoczyła usta w swojej whisky. Wracając z wypełnioną po brzegi szklanką, upił łyk, zanim usiadł. - Wylanie choćby kropli przynosi pecha - wyjaśnił. - Trzeba mieć przedsiębiorczą naturę i szczęście. Jedno bez drugiego nie jest nic warte. Jak twoje życie miłosne?

- Nic, co by cię ogłuszyło - odparowała. Nastąpiła chwila ciszy. Potem Simon zapytał:

- A co tam u Jancie? Słyszę, że dobrze jej idzie w BBC.

- Jemy dziś razem kolację. U niej wszystko w porządku. Jancie jest wspaniałym przykładem kobiety, której małżeństwo układa się lepiej, kiedy ma też pracę poza

\* Pałac Lambeth jest siedzibą arcybiskupa Canterbury (przyp. tłum.).



domem. Stosunki między nią a Jamesem powróciły na dawny tor.

- Tak myślałem, że uda im się zacząć razem od nowa - stwierdził Simon. - Co było, minęło i zawsze byłem zdania, że im szybciej Jancie zda sobie z tego sprawę, tym lepiej. Jej problem polegał na tym, że nie potrafiła zrozumieć różnicy pomiędzy małżeństwem a przygodą. - Uśmiechnął się. - Nikt nie rozumie tego lepiej od ciebie, prawda, Zoe?

- Całe szczęście, że jestem tak dobrze wychowana. Czasami mam przemożną ochotę walnąć cię w zęby.

- Poddaję się - podniósł ręce - żywię w stosunku do ciebie najwyższy szacunek, *amiga*. Dla Jancie też. To słodka dziewczyna, nie znam miłszej. Zrobiłaby wszystko dla faceta. - Przelotne wspomnienie Jancie na łóżku w Crabshell Inn sprawiło, że musiał zwilżyć sobie usta. - Ty zdaje się uważasz, Zoe, że wykorzystywałem Jancie, ale ten medal ma dwie strony. Każda dziewczyna potrzebuje od czasu do czasu jakiejś ucieczki. Po prostu dla zdrowia. Chciałabyś mieć Jamesa za męża? Pewnie, ma mnóstwo osiągnąć. Ale on jest chodzącą doskonałością... chłopięcy honor i te rzeczy.

Spojrzała na zegarek. Mogła się spodziewać, że drink z Simonem raczej nie będzie niezmaconą przyjemnością.

- Czy ty i James wpadacie na siebie w „Javelin”? - spytała.

- Niezbyt często. Ośmielę się powiedzieć, że nie przeżywa on najlepszego okresu swego życia, pełniąc funkcję *chef de cabinet* - Simon roześmiał się, gdy użył tego tytułu - i siedząc w swoim biurze tuż przed gabinetem przewodniczącego, stale na łasce jego niestałych nastrojów. - Skłonił głowę, przyjmując wyimaginowany aplauz dla swojej gry słów. - Tak wszyscy w firmie muszą nazywać Geralda Scrope'a - ciągnął. - Przewodniczący. Nazywają go przewodniczącym nawet, gdy nie ma go w pobliżu.

- Boisz się go? - spytała Zoe.

- Masz cholerną rację. Boję się.
- Czy Milesa Brewstera też się bałeś, gdy pracowałeś dla niego?

Simon opróżnił szklaneczkę.

- Wracam za sekundę. Masz jeszcze? Kiwnęła głową.

Kiedy wrócił, pociągnął długi łyk, zanim odpowiedział jej na postawione pytanie.

- Gerald Scrope jest nieustannie przerażający, gdyż jest kapryśny, ze sporą domieszką sadyzmu. W jednej chwili jesteś w łaskach, a w następnej już nie i nigdy nie wiesz, na czym stoisz.

Pociągnął następny łyk.

- Z Milesem Brewsterem człowiek zawsze wie, kiedy przekracza linię tego, co on uważa za dopuszczalne, i jeśli to wyjdzie na jaw, cholernie ci się oberwie. W swój superuprzejmy sposób wyda polecenie, które ześle cię na Syberię. - Rzucił jej szybkie spojrzenie. - Czy jadłaś z nim kiedyś lunch?
- spytał.

- Z Milesem? Może raz.

- I o czym mówił?

Zoe roześmiała się i postanowiła mieć się na baczności.

- Nie pamiętam, Simonie; była to rozmowa na tematy zawodowe.
- Kiedy facet ma osobiste tajemnice - stwierdził Simon - to zawsze gada na tematy związane z pracą, szczególnie człowiek absolutu.

Skojarzyła, że tych samych słów użył Peter.

- Nie mogą znieść myśli - ciągnął Simon - że nie sprostali własnym standardom.

Był przyzwyczajony do picia, więc język tylko troszkę mu się plątał.

- Powiedzieć ci coś, Zoe? Mam zamiar tak walnąć tego sukinsyna, żeby poleciał do nieba. On sądzi, że upiekło mu się to, co zrobił w Meksyku piętnaście lat temu, gdy uszkodził sobie nogę. „Skrzywiona noga świad-

czy o skrzywionej duszy". Nie wiedziałaś, że jestem poetą, ślicznotko, prawda? Poetycka sprawiedliwość jest tym, czego szukam. Poszukiwania rozpoczęte. A kiedy się skończą, sekret Milesa Brewstera będzie należał do całego świata.

Popadł już w pijacki nastrój, ale jad w jego słowach był prawdziwy.

- Co to znaczy „poszukiwania rozpoczęte”, Simonie? Pochylił się ku niej, machając jej palcem przed nosem - powoli, złośliwie i znacząco.

- Tajemnica - powiedział z szerokim uśmiechem, -ale już niedługo dowiesz się więcej.

Zoe skończyła swoją whisky.

- Muszę iść, Simonie.

Drzwi otworzyła jej Neli.

- Ja i Danny sprzeczałyśmy się o kolor twoich oczu. Ja mówiłam, że mają ten sam odcień szarości co aksamitna marynarka mamy, a on twierdził, że są bardziej niebieskie. Chce, żebyś przyszła na górę.

Ma wietrzną ospę.

- Och, Neli - powiedziała współczująco Zoe, zdejmując płaszcz - to znaczy, że ty będziesz następna. Zresztą lepiej chyba złapać ją teraz i mieć z głowy. Jak wiesz, na to się choruje tylko raz.

Wkrótce zeszła na dół i obie z Jancie zajęły się butelką Chardonnay.

- Ach, słuchaj - odezwała się Zoe - wpadłam dziś po południu na Simona. Po raz pierwszy od kiedy jestem w Londynie.

Na twarzy Jancie pojawił się wyraz tęsknoty.

- Wieczorem po pracy spotkaliśmy się na drinku. Prawie od razu spytał o ciebie.

- Co powiedział? - Głos Janice był napięty.

- Słyszał, że bardzo dobrze ci idzie w BBC. Powiedziałam mu, że ta praca pozwoliła waszemu małżeństwu powrócić na właściwe tory.

- Czy mówił o kimś jeszcze, to znaczy o innej kobiecie?
- Nie. Rozmawialiśmy głównie o różnicy między pracą dla Geralda Scrope'a a Milesa. Simon chce wygrzebać jakieś brudy na temat Milesa. Jeśli chcesz wiedzieć, rola psa gończego jest teraz dla Simona najważniejsza.

Sączyły wino.

- Próbuje odkryć, co dokładnie zaszło w Meksyku kilkanaście lat temu.
- Masz zamiar powiedzieć Milesowi? - spytała Jancie.
- Nie wiem. Nie chcę, żeby myślał, że wpycham nos w jego sprawy. Z drugiej strony, znamy się na tyle dobrze, że głupio by było nie ostrzec faceta.

Przez dłuższą chwilę rozmawiały o żonie Petera. Jancie słyszała już o jej śmierci, ale nie znała żadnych szczegółów.

Zoe miała zamiar opowiedzieć tylko to, co zaszło na autostradzie Baltimore-Waszyngton. Nigdy nikomu się nie zwierzyła na temat Petera, nawet Jancie.

- Jaki ci się wydawał, kiedy o tym mówił? - zainteresowała się Jancie.
- Zdruzgotany.

Chwila wahania. Potem Jancie odezwała się:

- Raz czy drugi przeszło mi przez myśl, że być może coś się dzieje między tobą a Peterem.

Zoe zaczerwieniła się.

- To i tak do niczego nie prowadziło - stwierdziła, patrząc w dal. - Jego małżeństwo jest dobre. Było -poprawiła się niezręcznie.

Okrągłe, błękitne oczy Jancie obserwowały ją bacznie.

Wyraz twarzy Zoe był mieszaniną poczucia winy, ulgi i czegoś jeszcze, czego jej przyjaciółka nie potrafiła określić.

- Czyjej śmierć zmienia twoją sytuację?
- Może. Na razie nie chcę o tym myśleć - odparła, spojrzawszy jej w oczy.

- Ponieważ teraz może to do czegoś prowadzić? - spytała Jancie cichym głosem.

Zoe uśmiechnęła się smutno.

- Myślałam o tym, kiedy obudziłam się dziś rano - wyznała - i po raz pierwszy, od kiedy znam Petera, wstydziałam się własnych myśli.

- Witamy w klubie - powiedziała Jancie.

Następnego dnia Miles wezwał ją do swego biura. Chciał, żeby napisała coś o ostatniej groźbie prezydenta Lamberta wprowadzenia barier handlowych.

Wchodząc do gabinetu, ujrzała, że jego twarz się rozjaśnia. Wstał, przeciągnął ręką po włosach, po czym wyszedł zza biurka. Usiadłszy w pobliżu niej, wyjaśniał, jakie kwestie go interesują. Czy brytyjscy przedsiębiorcy zdają sobie sprawę, co się stanie, jeśli Ameryka i Anglia, jedyni naturalni sprzymierzeńcy w zachodnim świecie, wzniosą między sobą bariery handlowe?

Kiedy skończył omawiać jej zadanie, oboje się podnieśli.

Zoe jeszcze się ociągała, zakłopotana.

- A tak przy okazji - odezwała się w końcu. — Słyszałam, że Simon Fleet wyrabia nadgodziny, starając się wykryć, co zaszło w Meksyku piętnaście lat temu.

Pod piegami cały kolor odpłynął mu z twarzy. Stał tak nieruchomo, że aż ją to przeraziło.

Po chwili kompletnej ciszy odwróciła się, by odejść.

- Kto ci to mówił? - spytał.

- Simon Fleet. Był pijany. Znowu pełna napięcia cisza.

Wreszcie Miles odezwał się niezwykle uprzejmym tonem:

- Na przyszłość wolałbym, abyś nie zawracała sobie głowy moim prywatnym życiem.

Twarz ją paliła, jakby uderzył ją otwartą dłonią. Wychodząc z biura, z furią trzasnęła drzwiami.

## ROZDZIAŁ 28

Następnego dnia Miles zatrzymał się przy jej biurku.

- Te przekłete jajka, które jadłem wczoraj na śniadanie, musiały być zepsute - oświadczył z krzywym uśmiechem.

Przez chwilę Zoe miała chęć zachować sztywne maniery, lecz ulga, że są znów w dobrych stosunkach, przeważyła, i odwzajemniła uśmiech.

Kilka dni później znów stanął przy biurku. Było to w przeddzień jej wyjazdu do Waszyngtonu.

- Chciałaś porozmawiać ze mną o Nonie Lambert. Może teraz?

Z notatnikiem w ręku poszła do jego biura. Usiedli przy stoliku do kawy.

- Sądzę, że niewiele dodam do tego, co mogą ci przekazać źródła waszyngtońskie - zaczął.

- Wiesz, jaki jest problem z zewnętrznymi źródłami - odparła Zoe. - Ci, którzy są na fali, udają, że mówią szczerze, a tymczasem nie mają zamiaru powiedzieć niczego, co by mogło im zaszkodzić.

Natomiast ci, którzy

już się nie ocierają o władzę, mogą sobie pozwolić na otwartość, ale osobiste urazy wypaczają ich pamięć.

- Osobiste urazy - powtórzył Miles, potrząsając głową. - One właśnie są nieszczęściem całej historii rodzaju ludzkiego. To przekleństwo rzucone na wszystkich bez wyjątku.

Zoe czekała z przechyloną na bok głową, mając nadzieję, że rozwinię swą myśl.

- No dobrze - stwierdził zamiast tego tonem wskazującym, że czas zająć się pracą. - Nona zawsze miała bardzo wysokie mniemanie - i słusznie - o własnej inteligencji. Już w szkole średniej wiedziała dokładnie, dokąd zmierza. Różnica między nią a Frankiem Lambertem polegała na tym, że on był ambitny, a ona pewna. Frank już wtedy miał aspiracje, żeby zostać prezydentem. Zresztą, który amerykański polityk ich nie ma? Nona jednak wiedziała, że dostaną się do Białego Domu. Nie dzięki szczęściu, chociaż ono też było potrzebne, lecz dzięki determinacji, organizacji i myśleniu o tym każdego dnia. - Przyglądał się, jak robi notatki, i wyraz jego twarzy złagodniał. Kiedy powrócił do przerwanej wątku, znów stał się bezosobowy. - Frank poświęcał się całkowicie każdemu kolejnemu etapowi swej drogi życiowej. To nie była gra - on poważnie wykorzystywał wszelkie możliwości stwarzane przez stanowisko senatora, żeby dać ludziom choć promyk nadziei. Szczerze im współczuł. Począł, aż Zoe zdąży zanotować.

Siedzieli zaledwie niecały metr od siebie i czuł jej leciutki zapach, nie był tylko pewien, czy to perfumy. Może to ona tak pachnie. Czy to prawda, że człowieka pociąga charakterystyczny dla jakiejś osoby zapach?

- W przypadku Nony wyglądało to inaczej. Nie chcę powiedzieć, że była wieczną hipokrytką udającą nieustannie emocje, których wcale nie odczuwała. Ona nie reagowała spontanicznie na różne sprawy, ponieważ w jej odczuciu należało je zawsze osądzać pod kątem użyteczności prowadzącej do osiągnięcia celu.

Popatrzył na jej ciemną głowę schyloną nad notatnikiem, na czarne jak smoła rzęsy. Widział, jak w skupieniu zagryza dolną wargę. Podniosła wzrok.

- Czy określiłbyś ją jako zimną, nawet w młodości? - spytała.

- W tym sensie, że wytknięty cel był dla niej wszystkim - tak. Ale nie był to odpychający chłód. Rozgrzewało ją przekonanie, że oni muszą się znaleźć w Białym Domu, że Frank przyniesie więcej pożytku swej ojczyźnie niż którykolwiek z jego rówieśników. Ta pewność dodawała jej ciepła, jakie zawsze niesie ze sobą żarliwość. Człowiek miał ochotę pomagać im w osiągnięciu celu, jeśli, tak jak ja, wyznawał te same wartości i wyobrażał sobie, że będą w stanie je zrealizować, kiedy znajdą się na odpowiednim stanowisku.

- Jak ona przyjmuje twoją krytykę poczynań prezydenta, teraz, kiedy znalazł się na wymarzonej stanowisku?

- No cóż, nikt nie lubi być krytykowany - odrzekł Miles.

Zoe spojrzała na niego, oczy jej błysnęły.

- A więc też to zauważasz. Zrobił ponurą minę.

- Jeśli jednak nie zwracać uwagi na tych paru kowbojów, których zabrał ze sobą do Waszyngtonu jako doradców, to nadal uważam, że Frank jest najlepszym człowiekiem na tym stanowisku. On ma dość ikry, by wypróbować nowe sposoby rozwiązywania starych problemów oraz dość skromności, by stosować wypróbowane mądrości w rozwiązywaniu nowych. - Zaczekał parę sekund, aż to zapisze. - Cholernie dużo najistotniejszych spraw, krajowych i międzynarodowych, byłoby zagrożonych, gdyby to nie on zajmował Ovalny Gabinet. Wcale nie żałuję... - przerwał, a Zoe miała wrażenie, że nie jest pewien, jak wyrazić to, co chce dalej powiedzieć — wsparcia udzielanego mu przez moje gazety.

Była przekonana, że początkowo wcale nie miał zamiaru tego powiedzieć.

Wstał, kiedy spostrzegł, że skończyła pisać.

- Po powrocie daj mi znać, jak ci poszło - powiedział przyjaźnie, ale tak, jak potraktowałby każdego pracow-



nika, który miał właśnie wyruszyć na poważne, zagraniczne spotkanie.

Zoe - kiedy pisała jeszcze dla „Washington Express”, musiała być chyba kilkanaście razy w hotelu Hay-Adams. Ktoś nazwał go „wysepką cywilizacji na morzu władzy”.

Znajdował się w miejscu, gdzie mieszkali dziewiętnastowieczni luminarze, John Hay i Henry Adams, wykuwszy uprzednio drzwi w ścianie dzielącej ich domy. W przeciwieństwie do wielu innych gwiazd polityki pozostali bliskimi przyjaciółmi aż do końca. W 1927 roku ich słynne domy zamieniono na hotel Hay-Adams z wykładanymi marmurem łazienkami, pomieszczeniami dla osobistych służących i wysokim westybuliem mającym stwarzać wrażenie, że gość wchodzi do wielkiego domu w angielskiej posiadłości wiejskiej.

Wcześniej Zoe bywała w Sali Adamsa, by przeprowadzać wywiady z kongresmenami i innymi grubymi rybami. Było to ich ulubione miejsce spożywania śniadań czy lunchów (zawsze wliczanych w koszty reprezentacyjne).

Tym razem zamieszkała w hotelu. Podobnie jak inne gazety, „Dispatch” skąpił na wydatki ponoszone przez personel w miejscu, gdzie znajdowała się siedziba gazety. Jednak przebywając za granicą, dziennikarze musieli mieszkać na odpowiednim poziomie. Kiedy taksówka podjeżdżała pod portyk hotelu, Zoe poczuła szalony przypływ podniecenia. Za ledwie o sto metrów dalej dostrzegła dom Decatura, bohatera swojej młodości.

Natychmiast po rozlokowaniu się w pokoju, zeszła z powrotem na dół. Wyszła z hotelu i przeszła przez ulicę prosto w popołudniową mgłę nad Lafayette Square, widząc w dalekiej perspektywie rozmazaną sylwetkę Białego Domu. Ziemię pod klonami pokrywał czerwony dywan, chociaż sporo liści przebłyskujących przez mgłę nadal trzymało się gałęzi. W Vermont muszą być teraz fantastyczne kolory, pomyślała. Podeszła do ławeczki naprzeciw domu Decatura, tej samej, na której siedziała

wtedy w czerwcu, wypisując kolumny za i przeciw przyjęciu oferty Milesa.

Spotkanie z Peterem napawało ją takim zdenerwowaniem jak nigdy dotąd, wyjąwszy może początki ich znajomości. Czy będzie jakoś inaczej wyglądał w swoim wdowieństwie? Czy będzie inaczej się zachowywał? A ona?

Wróciwszy do pokoju przebierała się, kiedy zadzwonił telefon.

- Zoe, jestem na dole w holu. Mam na ciebie poczekać?

Od razu dostrzegła odwróconą tyłem postać - szerokie ramiona i proste, brązowe włosy. Przyglądał się me-dycejskiemu arrasowi zajmującemu większą część jednej ze ścian. Nie dochodząc do niego, zatrzymała się, gdyż obawiała się, że go przestraszy, dotykając bez ostrzeżenia.

- Cześć, Peter.

Obrócił się. Zauważyła, że jego twarz wygląda młodziej. Przypomniała sobie matkę jednej z przyjaciółek, która zginęła w wypadku kiedy przebywała w Vassar -jej twarz miała oszołomiony, niemal dziecięcy wygląd. Normalne u dorosłych napięcie zastąpiło uczucie tak nieporównywalnie głębsze, że naprężone mięśnie twarzy wygładziły się. Peter wyglądał teraz podobnie.

Jego twarz rozjaśniła się ciepłym uśmiechem. Objęli się mocnym uściskiem jak bliscy przyjaciele albo członkowie rodziny złączeni wspólnym bólem. Chociaż niemożliwe było przecież dzielenie jego uczuć. Nikt nie mógł odczuwać tak samo jak on. Może jedynie dzieci.

- Jesteś pewna, że nie wolałabyś raczej gdzieś wyjść? - spytał. - Wydawało mi się, że najprościej będzie zjeść tutaj.

- Sądzę, że będziemy mieć większe poczucie spokoju, jeśli zostaniemy w jednym miejscu - odparła Zoe, wsuwając mu dłoń pod ramię. - Znajdźmy sobie jakiś spokojny kącik, zanim usiadziemy do obiadu. Oddałabym życie

za drinka - chętnie odgryzłaby sobie język za ten dobór słów.

Kiedy złożyli zamówienie, Peter odezwał się:

- O mnie możemy porozmawiać później. To był koszmar.

Trafne słowo, pomyślała Zoe.

- Zacznijmy od ciebie, jeśli ci to nie przeszkadza. Dotknęła delikatnie jego dłoni.

- Świetnie - odparła, nieświadomie naśladując Milesa. - O mnie. Cóż, oto jestem z powrotem i czuję się bardzo niepewnie, mając w perspektywie wywiad z Noną Lambert.

- Wcale ci się nie dziwię. Ona jest onieśmielającą kobietą. Na pewno od początku do końca zachowa kontrolę nad rozmową. Ile masz czasu?

- Godzinę.

- Cóż, jest to niewątpliwie wyzwanie.

Przyniesiono drinki. Zanim wypła pierwszy łyk, zrobiła lekki gest szklaneczką w jego stronę.

Zrewanżował się tym samym.

- Jak dzieci to znoszą? - spytała. Zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Jeszcze to w pełni do nich nie dotarło. Pograżyli się w milczeniu.

Potem Peter zaczął szybko wyrzucać słowa.

- Cały czas się zastanawiam, co czuła, kiedy ciężarówka skruszyła barierkę. Czy to prawda, że całe życie przelatuje ci przed oczami? Powolna śmierć jest okropna. Ale daje przynajmniej człowiekowi okazję, żeby powiedzieć coś innym, żeby się należycie pożegnać.

Zoe ponownie uderzyło, jak dziecinnie wygląda jego twarz z tym wyrazem zagubienia.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o drugiej stronie mego życia - ciągnął w tym samym tempie. - Kiedy się pobraliśmy i przeżywaliśmy ze sobą wspaniałe chwile w łóżku, ona czasami mówiła: „Nie mogłabym tego znieść, gdybyś chciał kiedyś robić to samo z kimś innym”. Ale

później, kiedy już miałem dyskretne przygody z innymi, o Boże, to brzmi tak, jakbym uważał, że skoro były dyskretne, to się nie liczą, nigdy już tego nie powtórzyła. Tak więc byłem pewien, że się domyślała, ale nie chciała o tym rozmawiać.

Dostrzegła, że ręce drżą mu z napięcia. Odsunął gwałtownie resztę whisky. Skończyła swoją i oboje się podnieśli.

Sala Adamsa wyglądała dokładnie tak samo, jak ją zapamiętała - stara, waszyngtońska mieszanka formalności i swobody. Pokryte złotą tkaniną ściany i złote żyrandole, białe, nakrochmalone obrusy na kwiecistych, sięgających do ziemi spodach, aksamitne zasłony na oknach. Stoliki były ustawione w takiej odległości, by można było spokojnie rozmawiać bez obawy podsłuchania. Wcześniej w ciągu dnia urzędowali tu politycy i lobbyści, załatwiając rozmaite sprawy w drodze do stolików. Teraz ich miejsce zajęły pary, a nawet czteroosobowa rodzina, która nasunęła Zoe myśl o zdruzgotanej rodzinie Petera.

Złożyli zamówienie i Peter znów zaczął mówić, takim samym urywanym głosem.

- Siedemnaście lat spędzonych razem to długi okres. Wspólne doświadczenia i wspomnienia; spotkania z innymi ludźmi - dziećmi, przyjaciółmi. - Zawahał się, po czym dalej drażył tę straszną niewiadomą, która miała na zawsze pozostać nie rozwiązana. - Czy w głębi serca wolałaby, żebym z nią o tym rozmawiał, to znaczy, o swojej niewierności? Sama najlepiej wiesz, że nie biegałem \* od jednego łóżka do drugiego. Nie ma zbyt wielu kobiet, z którymi miałbym ochotę spędzać czas.

Na jego twarzy malował się wyraz zakłopotania pomieszanego z udręką. Wcześniej go nigdy nie widziała.

- Wiesz, co mi powiedziała, kiedy po raz pierwszy podarowałem jej biżuterię jako zadośćuczynienie? Był to pierścionek z akwamarynem. Sam wybierałem kamień. Był niezwykle wielkości, a ona, otworzywszy pudełecz-

ko, stwierdziła: „Moja matka zawsze mówiła, że łatwo rozpoznać stuprocentowo wiernego męża, bo kiedy daje swej żonie starannie wybraną biżuterię, kamień jest tak dyskretny, że ledwie go widać. Gdy nasi przyjaciele zobaczą wielkość klejnotu, zaczną się plotki". Mówiąc to, śmiała się.

- Jaki specjalnie wybrany klejnot podarowałaś jej ostatnio? - spytała Zoe.

Roześmiał się dziwnie.

- Broszkę z szafirów i kamienia księżycowego. Nie nosi z nią żadnej innej biżuterii.

Nie zauważył nawet, że użył czasu teraźniejszego.

Zoe przeszedł dreszcz, jakby zawiął przeciąg. Wyraźnie pamiętała tę broszkę. Zauważyła ją podczas przyjęcia w ambasadzie brytyjskiej, gdy żona Petera siedziała naprzeciw niej. Pociągnęła spory łyk wina.

- Dałem jej ją wkrótce po tym, jak ty i ja... Przerwał i opróżnił swój kieliszek.

Rozmawiali też o innych sprawach. Życie w Londynie. Jak wygląda praca z Milesem. Whartonowie. Opuszczając Salę Adamsa, pomyślała: lepiej pojechać osobnymi windami, nawet jeśli nie jest to tak konieczne jak przedtem. Głośno zaś odezwała się:

- Pójdę przodem. Pokój trzysta dziesięć.

- Do zobaczenia za chwilę.

Kwadrans później, zapukawszy do drzwi jej pokoju, zastał ją w prostym, jedwabnym kimonie. Czuł, że nie chce, żeby ją rozbierał. Nie rozmawiali o tym, lecz wytworzyło się między nimi milczące porozumienie, że dziś w nocy nie będą się kochać. Zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się, patrząc na nią. Najbardziej mu się podobała, kiedy miała włosy luźno rozpuszczone, tak jak teraz.

Objął ją ramionami nie jak kochankę, lecz jak pocieszycielkę — przyłożyła usta do jego szyi, jej ręka spoczywała na jego policzku i jakiś czas trwali w uścisku.

W pokoju panowała taka cisza, że słyszała bicie jego serca.

Oderwali się od siebie, by Peter mógł się rozebrać. Nadal mieli szczerzy zamiar spać niewinnie.

Wyślizgnęła się z kimona i pociągnęła go, żeby położył się obok niej. Objęła go ramieniem i całowała drobnymi pocałunkami, jakby był dzieckiem. Kiedy zaczął odwzajemniać jej pocałunki, stawały się one coraz dłuższe. Przesunął dłoń z jej twarzy na piersi.

Potem zasnął nagle, leżąc jeszcze na niej, podczas gdy ona oplatała go ramionami. Pozostała przez jakiś czas w tej pozycji, nieruchomo, zanim wyślizgnęła się spod niego. Przewrócił się we śnie i otoczył ją ramieniem. A kiedy w nocy obrócił się na drugi bok, ona też się obróciła, obejmując teraz z kolei jego.

Obudził się tuż po szóstej, kiedy blade, spokojne światło wczesnego poranka wypełniło pokój.

Patrzyła, jak się ubiera, by wrócić do swojego domu, i uniosła ramiona, kiedy raz jeszcze pochylił się nad nią. Potem wyszedł.

## ROZDZIAŁ 29

Wiadomość już na niego czekała, gdy wrócił do redakcji z długiego lunchu. „Pilne”. Pochodziła od jednego z reporterów, których wyznaczył do przeczesywania Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie. Reporter natknął się na to w „Boston Globe” sprzed piętnastu lat. Dwa akapity.

„Pan Miles Brewster, właściciel «Massachusetts Gazette» i «New Brunswick Echo» został poważnie ranny w wypadku samochodowym w Meksyku. Przewieziony samolotem z Monterrey, przebywa obecnie w General Hospital w Massachusetts, gdzie zapewne pozostanie przez dłuższy czas. Wypadek wydarzył się pod koniec jego dwutygodniowych wakacji.

Pan Brewster, lat 27, jest absolwentem Uniwersytetu Harvarda. Cztery lata temu rozpoczął karierę wydawcy. Jego ojciec, pan Harvey Brewster II, jest starszym wspólnikiem w firmie prawniczej Whitney, Brewster & Dunn”.

Simon wydał okrzyk radości. Nic w życiu nie dawało mu takiej rozkoszy, jak wytropienie historii, którą ktoś inny starał się trzymać w ukryciu.

Połączył się ze swą sekretarką.

- Dowiedz się wszystkiego na temat lotów do Meksyku. Główną kwaterę zakładam w Monterrey. Nie wiem, ile czasu będę musiał tam siedzieć. Żeby należycie wypocząć w przerwach między moimi szalonymi wysiłkami na rzecz naszego przewodniczącego, będę potrzebował

najlepszego hotelu, jaki potrafisz wygrzebać, najlepiej coś podobnego do tego w Gwatemali. Służący rozrzucał tam każdego ranka tysiąc świeżych gardenii na powierzchni basenu. Wdychanie ich zapachu podczas codziennego pływania czyniło cuda, jeśli chodzi o odzyskiwanie sił. Dzisiaj muszę mieć informacje.

W bibliotece Białego Domu rzeczniczka prasowa ociągała się zdenerwowana, manipulując przy rządowym magnetofonie kasetowym leżącym na stoliku w pobliżu kominka.

Zoe położyła swój obok. Starając się wyglądać na opanowaną, przechadzała się wokół pokoju, usiłując szybko dostrzec jak najwięcej i porobić notatki.

Biblioteka była pokojem urządzonym mniej formalnie niż piętro rządowe powyżej - wesołe zasłony, malowana boazeria i koralowe poduszki ożywiały państwowe umeblowanie. Na biblioteczce stał zegar w kształcie latarni morskiej. Wskazówki pokazywały godzinę 2.25.

Podeszła bliżej, żeby zobaczyć, czyj portret zawiera medalion zegara i ucieszyła się stwierdziwszy, że jest to Lafayette - jeden z bohaterów jej dziadka.

Nad rzeźbionym w drewnie obramowaniem kominka wisiał portret Jerzego Waszyngtona pędzla Gilberta Stuarta. Na przeciwległej ścianie znajdowały się portrety amerykańskich Indian.

Zoe uśmiechnęła się, patrząc na prototypy młodzieńców, których widziała na londyńskich ulicach, chlubiących się fryzurami Mohikanów, kolczykami wetkniętymi w uszy, zupełnie jak u wodza na ścianie - tyle że klejnoty wodza są bardziej kobiece, pomyślała, perły obramowują cały brzeg ucha i zwieszają się jak łzy.

W całym pokoju odpychające były tylko dwa krzesła z oparciami pod ręce ustawione po obu stronach kominka w odległości półtora metra od siebie. Zdała sobie sprawę, że wrażenie to bierze się z ich ustawienia - wyglądały jak przeciwnicy.



Obróciła się, słysząc jakiś szelest. Człowiek z ochrony zajmował właśnie miejsce w narożniku. Nona Lambert i jej doradca zatrzymali się w drzwiach, starając się ją ocenić. Nona stała przez dłuższą chwilę zupełnie nieruchomo, przekazując swym ciałem informację: Ja jestem Pierwszą Damą i nie zapominaj o tym.

Potem ruszyła naprzód, z wyciągniętą ręką, komunikując tym samym wiadomość wprost przeciwną: ona, Nona Lambert, traktuje Zoe Hare jak równą sobie. Z szerokim uśmiechem, do którego nie pasował raczej ostrożny wyraz oczu, Pierwsza Dama powiedziała:

- Poznałyśmy się u Leili Sherman.

- Tak - odrzekła Zoe. - Przyglądałam się właśnie tym portretom amerykańskich Indian. Kim oni są?

- Ma pani na myśli rdzennych Amerykanów - poprawiła ją błyskawicznie Nona. Było to jak trzepnięcie linijką po palcach. - Zostali oni zaproszeni do Białego Domu w 1821 roku na spotkanie z „Wielkim Ojcem”.

Ostatnie dwa słowa wypowiedziała oziębło, krzywiąc nos. Miała interesującą twarz - przystojną, raczej silną niż ładną.

- Prezydent Monroe obawiał się, że wojownicze plemiona z Wielkich Równin będą hamować wędrówkę osadników na zachód. Zaproszono więc ich wodzów do zwiedzenia najbardziej imponujących fortów, a Biały Dom odegrał rolę *piece de resistance*.

Brwi Nony ściągnęły się w wyrazie dezaprobaty. Zoe zanotowała w myśli: bezpośrednia, ostra, nietaktowna.

- Pomysł rządu polegał na zastraszeniu ich - ciągnęła Nona i wskazała na władcze Indianina o nagiej piersi, ozdobionego płomiennymi piórami i wspaniałymi perłami. - Czy on wydaje się pani zastraszony?

Ponieważ pytanie to było w oczywisty sposób retoryczne, Zoe nie odpowiedziała. Zaczęła za to robić notatki na przygotowanym uprzednio, złożonym na pół papierze.

Rzeczniczka prasowa skrzywiła się i rzuciła tęskne spojrzenie w kierunku magnetofonu stojącego po drugiej stronie pokoju.

Nona jednak nie skomentowała tego w żaden sposób. Była pewną siebie profesjonalistką, która wolała raczej, by jej słowa zostały dokładnie zanotowane niż na pół zapamiętane. Ponadto wiedziała, że Zoe ma godne szacunku osiągnięcia.

- A ta wspaniała kobieta - mówiła dalej głosem przepelnionym uczuciem i wskazała na portret pięknej, spokojnej Orlicy, Która Wzbudza Zachwyt - podczas tej wizyty zaraziła się odra. Umarła wkrótce po powrocie do domu na Wielkich Równinach.

- Zaraziła się odra w Białym Domu? - spytała Zoe, próbując sobie przypomnieć, czy prezydent Monroe miał w tym czasie małe dzieci.

- Nie dosłownie - odparła niecierpliwie Nona. - To symbolizuje haniebną zgubę, jaką nasi przodkowie sprowadzili na rdzennych Amerykanów. Może usiadzimy?

Obite brokatem krzesła z prostymi oparciami zmusiły je obie do siedzenia w bardziej wyprostowanej pozycji niż normalnie. Rzeczniczka prasowa rozplynęła się gdzieś wśród mebli po drugiej stronie pokoju. Spełniła już swój obowiązek, gdyż teraz rozmowa odbywała się w zasięgu magnetofonu.

Pojawił się lokaj ze srebrną tacą, na której stały trzy szklaneczki z wodą, w tym dwie z lodem. Nona była perfekcjonistką.

- Nie wiedzieliśmy, czy te miesiące spędzone w Anglii nie zniechęciły pani do lodu - wyjaśniła.

Zoe, biorąc szklaneczkę z lodem, uśmiechnęła się uprzejmie. Było jej zupełnie obojętne, czy weźmie taką, czy taką, ale poczuła się lekko dotknięta aluzją, że mogłaby porzucić swe normalne amerykańskie nawyki.

- Wszyscy wiedzą, że jest pani najważniejszym doradcą prezydenta - zaczęła. - W jaki sposób wyrabia sobie pani zdanie o ludziach?

Twarz Pierwszej Damy przybrała surowy wyraz.

- Przede wszystkim na gruncie moralności. I nie oznacza to wyłącznie moralności indywidualnej, lecz moralność w kontekście społecznym reprezentowaną przez daną jednostkę.

- Na przykład?

- Na przykład ostatnia zmiana dokonana w rządzie. Nowa pani minister szkolnictwa nie tylko, że jest sama osobą najwyższego kalibru, reprezentuje również dwie grupy społeczeństwa, tłamszone od czasu, gdy reguły życia społecznego określali anglosascy mężczyźni. Jest ona kobietą. I jest Afro-Amerykanką.

- Nie kryje się także ze swą lesbijską orientacją seksualną - dodała Zoe.

- Pani Hare.

Nona zacisnęła usta z dezaprobatą.

- Chciałabym, żeby wzięła pani pod uwagę, że jesteśmy jedynym mocarstwem na świecie, któremu nieustannie grozi unicestwienie z powodu głodu, chorób i muzułmańskiego fundamentalizmu.

Osobiste preferencje seksualne mogą w związku z tym pozostawać jedynie na marginesie naszych zainteresowań.

Notując, Zoe uśmiechnęła się lekko w uznaniu dla ducha walki Nony.

Podnosząc wzrok znad notatek, spytała:

- Czy pani zdaniem teraz, kiedy obóz socjalistyczny nie istnieje, to muzułmańscy fundamentaliści przejęli rolę antagonisty?

- Pani Hare. Chciałabym być dobrze zrozumiana. Nie mamy zupełnie nic przeciw naszym arabskim braciom. Jesteśmy natomiast przeciwni oportunistycznemu łączeniu polityki z religią, niezależnie od tego, jaka to jest religia. Z pewnością przypomina sobie pani, że jeden z ostatnich poprzedników mojego męża prowadził swą kampanię polityczną głównie pod sztandarem religijnej gorliwości.

Czubek jednego z pantofli Nony bezgłośnie uderzał w podłogę.

- Nie muszę chyba pani przypominać, że jest to w jawnej sprzeczności z naszą konstytucją. Ośmielę się też stwierdzić, że jest to również przeciwne Bogu.

- Czy pani osobiście wierzy, że istnieje Bóg?

- Myślę, że przed chwilą na to odpowiedziałam. Nona zaczekała, aż Zoe uzupełni notatki.

- Ludzie, którzy znają panią jeszcze z college u, twierdzą, że już wtedy była pani pewna, iż Frank Lambert zostanie pewnego dnia prezydentem.

Parafrazując to, co powiedział jej Miles, ujrzała oczyma wyobraźni przelotny obraz jego twarzy bez wyrazu.

- Mówi się również, że ta determinacja przeszkadzała pani w spontanicznym reagowaniu na różne sytuacje,

że była pani bardziej obiektywna w stosunkach z innymi ludźmi niż pani mąż.

Zoe miała ochotę powiedzieć „chłodniejsza”, musiała jednak stąpać ostrożnie.

- Jest w tym nieco prawdy - przyznała Nona. - Członkowie zespołu są tylko wtedy efektywni, kiedy nawzajem się uzupełniają.

- Mówi pani o zespole dwóch osób? - upewniła się Zoe.

- Tak Mój mąż jest człowiekiem bardzo otwartym, bardzo chętnie nawiązuje kontakty z najróżniejszymi ludźmi.

Przez twarz Pierwszej Damy przemknął jakiś dziwny wyraz i niemal natychmiast zniknął. Zoe zdała sobie sprawę, że była to bezbronność.

- Bywają okoliczności - ciągnęła Nona - w których ocena moralna nie jest łatwa. Czarne może okazać się białe i vice versa, dlatego trzeba zawsze bardzo intensywnie się przyglądać, zanim człowiek przystąpi do działania.

Moralność była powtarzającym się motywem całego tego wywiadu.

Kiedy Zoe spytała, jak podobała jej się podróż do

Wielkiej Brytanii, usłyszała:

- Było tam wiele rzeczy, które szczerze podziwiałam, lecz przeszkadzały mi nieco przejawy moralnej frywolności, które można było tu i ówdzie zaobserwować.

- Na przykład? - spytała Zoe.

- Chociażby fakt, że królowa pozwala palić papierosy w pałacu Buckingham. Skądinąd wiadomo, że jej syn jest zaangażowany w sprawy ochrony środowiska. Uwidacznia się w ten sposób rozbieżność poglądów wśród królewskiej rodziny.

Do tej pory zgrabne, dobrze utrzymane dłonie Nony spoczywały splecione na kolanach. Teraz jednak zacisnęła jedną z nich w pięść, dodając:

- Przywódcy muszą prowadzić naród swoim własnym przykładem.

Złożyła ręce z powrotem.

- Załóżmy, że wynikłaby sytuacja, w której musiałaby pani wybierać między swoimi ideałami a kompromisem, w ostatecznym rozrachunku korzystniejszym dla całego narodu?

W nieruchomości Pierwszej Damy nie wyczuwało się spokoju, tylko napięcie. Starannie przemyślała odpowiedź, zanim się odezwała.

- Sprawiłoby mi to głęboki osobisty ból, choć wiem, że kompromis jest normalnym ludzkim zachowaniem. Gdybym jednak uznała, że dla dobra całego kraju kompromis jest konieczny, to musiałabym zapanować nad swoim głębokim żalem. Mam nadzieję, że nigdy nie zostanę postawiona w takiej sytuacji.

Obróciła lekko rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Po drugiej stronie pokoju rzeczniczka prasowa odchrząknęła.

Człowiek z ochrony zmienił pozycję na swym krześle w narożniku pokoju.

Zoe spojrzała na zegar tykający na biblioteczce. Zostały jeszcze tylko dwie minuty z uzgodnionej godziny.

Odkładając długopis i zbierając papiery, żeby pokazać, że skończyła już wywiad przeznaczony do opubliko-

wania, poruszyła jeszcze jeden temat, chcąc zaspokoić swą własną ciekawość.

- Podobno pani i pan prezydent byliście w młodości bliskimi przyjaciółmi mojego wydawcy. Czy nadal często się widujecie?

Nona uśmiechnęła się, lecz jej oczy pozostały ostrożne.

- Mamy wielki podziw dla Milesa Brewstera - odparła spokojnie - lecz nasze drogi się rozeszły, jak to często bywa.

- A jednak wasze cele polityczne nierozłącznie się splatają - zauważyła Zoo. - Jego gazety, pomimo swego krytycyzmu, bardzo silnie popierają pani męża.

- Rzeczywiście - stwierdziła sztywno Nona. Po chwili wahania dodała: - Pan Brewster jest wybitnym człowiekiem o wielkich wpływach. Ponieważ obowiązki mojego męża nieustannie się zwiększają, nie zostaje już czasu na podtrzymywanie wszystkich osobistych przyjaźni z czasów młodości. Jest to smutne.

Była to jedyna chwila, kiedy jej głos brzmiał, jakby się broniła, zauważyła w myśli Zoe.

Pierwsza Dama splotła dłonie tak mocno, jakby miała je za chwilę wywichnąć. Podniosła się.

- Miło mi było ponownie się z panią spotkać - powiedziała z pogodnym uśmiechem.

Otworzyły się drzwi biblioteki - doradca czuwał.

Pierwsza Dama wyszła, a o dwa kroki za nią podążał człowiek z ochrony. Rzeczniczka zabrała swój magnetofon, a Zoe wsunęła swój do torby. Zdążyła zauważyć, że wskazówki zegara spoczywają na 3.31.

Wyszedszy na zewnątrz, zaczerpnęła głęboko powietrza. Było w Nonie Lambert coś, do czego nie udało jej się dotrzeć.

## **ROZDZIAŁ 30**

Ledwie nastał świt, Peter wysunął się spod prześcieradeł. Obserwowała, jak się ubiera, a kiedy przysiadł na krawędzi łóżka, by wsunąć buty, wyciągnęła do niego rękę. Pochylił się nad nią i jeszcze raz objęły go jej ramiona.

Mimo to poczuła radosne podniecenie, kiedy koła samolotu zaczęły się szybko toczyć w tym niepewnym momencie przed startem. Nagle samolot był już w powietrzu. Słyszając narastający ryk silników, uświadomiła sobie, że myśli już o chwili, w której wejdzie do pokoju redakcyjnego i zobaczy Milesa po drugiej stronie szklanej ściany.

Zameldowała się swojemu kierownikowi przez telefon, po czym spędziła cały dzień, pracując nad artykułem. Nie zaprzętała sobie głowy różnicą czasu.

Łączenie materiałów źródłowych z jej osobistymi wrażeniami i cytatami Nony Lambert okazało się bardziej delikatnym zadaniem niż w większości innych artykułów. Z pewnością odgrywały tu rolę mieszane uczucia Zoe w stosunku do Pierwszej Damy.

Gnająca Nonę ambicja i przeświadczenie o własnej moralnej słuszności przyprawiały Zoe o dreszcze. Niejednokrotnie spod pewności siebie Pierwszej Damy wзираła zwykła arogancja. A samozadowolenie Nony z własnego purytanizmu doprowadzało Zoe do szału.

Ajednak prezydent nie zbliżyłby się nawet do Białego Domu, gdyby jego żona nie miała wzroku utkwionego w tym jednym celu. Poza tym z Noną Lambert człowiek wie, na czym stoi, pomyślała. Czy rzeczywiście?

Udało jej się przecież dostrzec również szczeliny w tej zbroi. Był ten przelotny wyraz bezbronności, zanim przyłbica ponownie opadła oraz ten niespodziewanie obronny ton, gdy wyjaśniała, dlaczego Lambertowie i Miles nie są już bliskimi przyjaciółmi.

Miles rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Hej, o co chodzi? Co cię gryzie? - spytał.

- Nic, naprawdę - odparła.

Pili właśnie ostatnią szklaneczkę po powrocie z kolacji w ambasadzie francuskiej. Przez większość dni w tygodniu jadali wieczorem poza domem na różnych spotkaniach towarzyskich będących częścią sieci kontaktów z czołowymi politykami, wydawcami, tuzami z telewizji, pisarzami, międzynarodowymi bankierami. Te okazje nie przypominały niczym miłych obiadków w gronie przyjaciół, gdzie wszyscy się znają niemal przez pół życia i zbierają się, by odpocząć w swoim towarzystwie. Nie były to również imprezy w hollywoodzkim stylu, na których goście nie mają o czym mówić jeszcze przed końcem posiłku i gromadzą się w prywatnym pokoju kinowym, żeby obejrzeć film.

Na londyńskich przyjęciach, na które chadzali Brewsterowie, goście pozostawali poważni i czujni przez cały wieczór - nigdy nie nazwanym głośno punktem programu była wymiana wewnętrznych informacji. A jeśli nawet dyrektor teatru osaczywszy Marigold w narożniku - miał nadzieję dotrzeć przez nią do Milesa, to czerpał też prawdziwą przyjemność z jej towarzystwa.

- Nie wierzę ci - odparł Miles życzliwym głosem. Nie dokuczał jej, naprawdę był zaniepokojony. - Przecież doskonale się znamy, dziecinko. Coś cię dręczy.



W milczeniu bawiła się pierścionkami na palcach.

- Śpisz bardzo, niespokojnie - ciągnął - a kiedy sądzisz, że nikt cię nie widzi, masz nieszczęśliwy wyraz twarzy. Martwię się, kiedy pomyślę, że jesteś nieszczęśliwa.

Wstała z fotela i podeszła do niego. Wyjęła mu z ręki szklankę i wślizgnęła się na kolana.

Lubił jej perfumy - czysty zapach o lekkiej nucie piżma. Pasowały do niej.

Przesunęła powoli dłoń po jego koszuli, nie odpinając jej jeszcze i czując ciepło jego ciała przez materiał.

- Dzięki tobie jestem szczęśliwsza, niż na to zasługuję - odparła.

- Daj spokój - powiedział, biorąc jej dłoń i przyciskając jej wnętrze do ust. - Zasługujesz na całe szczęście tego świata.

Niemal natychmiast po tym, jak przestała go obejmować, leżący obok Miles zapadł w głęboki sen.

Ona także się zdrzemnęła, lecz już po paru minutach była całkowicie rozbudzona.

Dlaczego ryzykowała utratę tego wszystkiego? Kiedy ponownie wróciła do niezwyklej przybudówki na dachu wieżowca, rozmowa była równie napięta jak poprzednio. Wiedziała, że następnym razem coś musi się zdarzyć. „Nie jestem cierpliwym człowiekiem, pani Brewster”. Mieli się spotkać już jutro.

Jak mogła żywić takie uczucia w stosunku do Milesa, a jednocześnie pragnąć spotykać się z Geraldem? Zadawała sobie to pytanie już setki razy. Czuła się, jakby ta introspekcja trwała wieczność. Tak, już będąc nastolatką odkryła, że zepsucie niezwykle ją pociąga. Nigdy jednak nie pozwoliła, by ta fascynacja wymknęła jej się z rąk, by zagroziła jej ambicji lub bezpieczeństwu. Od kiedy poznała Milesa, drzemała bezpiecznie ukryta. Jednak to, co czuła teraz do Geralda, dawno przerosło tamto uczucie.

Była to obsesja.

- Elegancka, angielska dama - odezwał się Gerald, odkładając słuchawkę.

Stała w łukowato sklepionym wejściu do pokoju.

On nie ruszył się z fotela przy szklanej ścianie, lustrując ją od moleskinowych klap zapiętej na wszystkie guziki marynarki do szczupłych kostek w eleganckich pantofelkach, czuła, że zaczyna ogarniać ją pożądanie. Gerald nacisnął przycisk obok telefonów i dopiero wtedy się podniósł.

Ona pozostała na swoim miejscu.

Przeszedł obok niej do przedpokoju. Słyszała jak szcęknął zamek blokujący drzwi windy. Znowu ją minął. Przy drzwiach do jadalni zatrzymał się.

Czuła, że zaraz eksploduje.

- Zapraszam na lunch, pani Brewster. Nie chciałbym, żeby pani pomyślała, iż brakuje mi dobrych manier. — Uśmiechnął się.

Rozmowa przy posiłku była nie tyle niezręczna, ile napięta. Stanowiła istną udramę.

Udało jej się jakoś zjeść odrobinę wędzonego pstrąga, lecz już po chwili siedziała z rękoma złożonymi na kolanach, obserwując jak w skupieniu, z apetytem pochłania swoje jedzenie. Nie budziła w niej wstrętu ta łapczywa żarłoczność. Ona ją fascynowała.

Kiedy skończył, przeniósł swą uwagę na nią.

- Powiedziałem kiedyś, że nie dotknę pani palcem, pani Brewster, dopóki nie będzie pani na to gotowa. W pokoju zrobiło się nieznośnie gorąco. Wyślizgnęła się z marynarki. Usta miała wyschnięte, ciało wilgotne. Jego oczy miały ten sam wyraz co podczas tych chwil sam na sam w trakcie obiadu na Downing Street.

- Sądzę, że teraz jest pani gotowa, pani Brewster. Obracając się do niego plecami, Marigold uniosła się powoli z krzesła. Zwróciwszy się w końcu twarzą do niego, stwierdziła, że Gerald nadal siedzi, obserwując ją.

Teraz on wstał. Wyciągnął dłoń do kołnierzyka jej bluzki. Jednym szarpnięciem rozerwał jedwab i oby-

dwiema rękami ściągnął go z ramion, zostawiając wiszące strzępy wokół spódnicy.

Jej stanik miał zapięcie z przodu.

- Ty to zrób - powiedział.

Obserwował jej szczupłe ręce z pomalowanymi na koralowo paznokciami, gdy odpinała zameczek, nie odrywając od niego wzroku, jak zahipnotyzowana.

- Piękne ręce - stwierdził. - Akurat pasują. Odsunął na boki miseczki stanika i przez chwilę nic nie mówił. Potem skinął powoli głową. Marigold słyszała swój własny, krótki oddech.

- Miles Brewster jest szczęśliwym człowiekiem - odezwał się w końcu.

Podprowadził ją do bogato zdobionego lustra zajmującego niemal całą przestrzeń między podłogą a sufitem za drugim końcem stołu. Stanął za nią, spoglądając ponad jej nagim ramieniem, podczas gdy chmura jej włosów dotykała mu policzka.

- Nie wyglądałoby najlepiej, gdyby elegancka pani Brewster opuszczała to miejsce ze spódnicą w strzępach - stwierdził. — Lepiej będzie, jak sama ją zdejmiesz.

Obydwoje obserwowali w lustrze, jak starannie wypielegnowana kobieta z nieskazitelnym makijażem wysuwa się ze swej spódnicy.

Granat jego oczu stał się tak ciemny, że tęczówka i źrenica były w lustrze nie do odróżnienia. Jego obraz przywiódł jej na myśl satyra.

- Ja zrobię resztę - odezwał się.

## **ROZDZIAŁ 31**

Monterrey, miasto znajdujące się w północno-zachodnim krańcu Meksyku, niedaleko od granicy tworzonej przez Rio Grande, jest bramą wjazdową do Meksyku dla wszystkich przybywających drogą powietrzną. Powstające tu nowe przedsiębiorstwa nadal korzystają ze zwolnień podatkowych przyznanych miastu w 1888 roku i dzięki temu jest to obecnie drugie co do wielkości miasto przemysłowe Meksyku.

Urzednicy nadal są tak wrażliwi na łapówki jak sto lat temu. Bezczłowy Jack Daniel's był przydatny do wielu celów, lecz celnicy oczekiwali czegoś więcej, żeby przymknąć oko na nielegalne towary, czy choćby przepuścić zupełnie legalne, których przepływ biurokracja uwielbiała opóźniać.

Walizki Simona nie zawierały tym razem niczego strasznego, ale wręczył rutynową łapówkę, a urzędnik z pokrytą pryszczami twarzą schował ją niedbale jak coś mu należnego.

Zarezerwowany dla niego hotel był najlepszym, jakim miasto mogło się pochlubić. Zbudowany za czasów kolonializmu hiszpańskiego, został zmodernizowany i można było nawet korzystać z faksu w recepcji. Ze swojego pokoju Simon widział wierzchołki gór w kolorze zszarzałego błękitu ciągnące się na zachodnim horyzoncie na tle lazurowego nieba. Drzemiący w nim poeta nie mógł się doczekać, kiedy ujrzy zachód słońca.

Tymczasem zszedł na dół, by szybką rundką w hotelowym basenie rozproszyć zmęczenie podróżą. Wracając nadał faks do swojej sekretarki w Londynie: „Nie ma świeżych gardenii unoszących się na powierzchni basenu. Zawiadom jak najszybciej meksykańskiego ambasadora”.

Potem zaczął się młyn.

- Żeby uwierzyć w istnienie biblioteki prasowej, trzeba ją najpierw zobaczyć - mówił Simon do dwóch angielskich dziewczyn, które poderwał w barze. - Można by pomyśleć, że strzegą klejnotów koronnych, a nie świadczą usługi.

Zaszedłszy tam wcześniej, powiedział do bibliotekarza:

- Piętnaście lat temu Miles Brewster przejechał kogoś samochodem niedaleko Monterrey. Musiała potem być jakaś sprawa w sądzie. Co pan ma na ten temat?

Czterdzieści minut później facet wrócił z zaplecza promieniejąc.

- Nie ma nic na temat *señora* Milesa Brewstera -oznajmił z dumą, szczęśliwy, że może go rozczarować.

- Jezu! — relacjonował później Simon swym nowym znajomym.

Po zastanowieniu wręczył facetowi trochę forsy.

- Wiem, że kosztuje cię to sporo czasu, *amigo*, ale czy mógłbyś sprawdzić jeszcze raz? Może będzie w dziale śmiertelnych wypadków.

Odniosł wrażenie, że tym razem gnojek zniknął na wieki.

- Ale kiedy wrócił, miał na tyle przyzwoitości, by przybrać żalną minę, oznajmiając mi: „Nic na temat Milesa Brewstera”. I ani słowa na temat oddania mi forsy.

Obie dziewczyny zachichotały, a Simon postawił im po następnym drinku - z kasy lorda Scrope'a, chociaż o tym nie wspomniał.

Przeglądając rejestry sądowe, musiał zmierzyć się

z utrudnieniem, lenistwem i niekompetencją jak z najgorszego snu. Natyka! sio na tępo patrzące oczy i wzruszenia ramion ludzi bez skazy. W rejestrach niektórych lat istniały luki długości tygodni czy miesięcy, zupełnie jakby system sądowniczy Monterrey nie wydawał w tym czasie żadnych wyroków.

- Jeśli zechcecie popełnić zbrodnię - rzekł Simon do dziewcząt - zróbcie to w Monterrey. Nikt się nigdy nie dowie.

Rejestry policyjne były jeszcze bardziej niejasne. Pliki banknotów Simona zmieniały właściciela, nie dając nic w zamian.

- Wygląda na to, że moją jedyną funkcją na tym świecie jest dopłacanie do ich gównianej pensji - relacjonował Simon nowym przyjaciółom w barze hotelowym, gdy angielskie dziewczyny przeniosły się już do miasta Meksyk.

W miejscowym szpitalu kartoteki sprzed piętnastu lat praktycznie przestały istnieć po próbie przejścia na system komputerowy, która spowodowała totalny chaos. Dyrektor administracyjny poinformował go stanowczo, że w żadnych rejestrach nie ma śladu Milesa Brewstera.

Znudzony konsul amerykański, zabijający tu czas przed skierowaniem go na lepsze stanowisko, z radością powitał perspektywę ubarwienia swych wieczorów kolacjami ze światowcem w osobie redaktora działu zagranicznego „Javelin”.

- Przygotowujemy artykuł biograficzny poświęcony Milesowi Brewsterowi, a ten wypadek stanowi sporą lukę w naszej wiedzy na temat historii jego życia - wyjaśniał Simon, jakby obiektywizm był jego głównym zmartwieniem. - Skąd bierze się ta ścisła tajemnica otaczająca ten incydent?

Powiedzmy, że prowadził samochód, mając w żołądku kilka drinków. Jest to sytuacja przytrafiająca się niejednemu młodemu człowiekowi w okresie, gdy używa życia. Pana poprzednik urzędujący tu piętnaście lat temu musiał coś wiedzieć o tym wypadku.

Proszę sprawdzić, czy nie będzie pan mógł udzielić mi jakiś informacji, *amigo* - poprosił konsula i zamówił drugą butelkę wspaniałego burgunda, wypatrzonego w karcie win.

Jednak akta konsulatu nie zawierały nic na temat Milesa Brewstera.

- Prawdopodobnie nie było to dostatecznie istotne wydarzenie, nawet jeśli ktoś stracił życie - wyjaśnił konsul, szczerze zmartwiony, że musi rozczarować swojego gospodarza. - Życie w Meksyku nie ma tej samej wartości co w Bostonie.

Simon zaklął pod nosem.

Miles skupiał całą uwagę na pisanym właśnie odredakcyjnym artykule na temat niedawnego użycia w Arabii broni chemicznej przeciw tamtejszym dysydentom. Coś skłoniło go jednak do podniesienia wzroku.

Do pokoju redakcyjnego weszła w tej chwili Zoe. Obserwował ją, gdy gawędziła z jednym z dziennikarzy, zanim zaniósła swój artykuł do biura redaktora. Włosy miała zebrane w koński ogon. Nie udało mu się jeszcze odkryć, co rządzi tym, że raz splata je w ciasny warkocz, innym razem zaś pozwala im powiewać swobodnie. A może zależało to po prostu od kaprysu? Na pewno w łóżku nosi je rozpuszczone. Skończył swój artykuł i niemal natychmiast ruszył w jej kierunku.

- Jak poszło?

Spojrzała na niego z szerokim uśmiechem.

- Musisz spytać o to mojego kierownika.

Ona już wiedziała, co ten powie Milesowi. („Wspaniałe”, oznajmił jej wcześniej. „Pozwól zaprosić się do Savoya na lunch, żeby to uczcić”.)

- Od razu go zapytam - podchwycił Miles. Po chwili dodał: - Miło znów cię widzieć.

Kątem oka dostrzegła go po chwili wychodzącego z biura redaktora z jakimiś kartkami w ręku. Była przekonana, że to jej artykuł. Charakterystycznym dla niego

krokiem przeszedł między biurkami w kierunku swego gabinetu, zatrzymując się parę razy, by porozmawiać z jednym czy drugim dziennikarzem.

Po jakimś czasie na jej biurku odezwał się telefon.

- Tu Miles. Możesz przyjść na chwilę? Prześlizgnęła się między biurkami. W sali były drzwi prowadzące bezpośrednio do gabinetu szefa, lecz zamiast do nich, Zoe skierowała się do pokoju jego osobistej sekretarki. Ta była jedną z niewielu osób zachowujących się naturalnie w stosunku do pozostałych pracowników, gdyż trzymała się z dala od biurowych machinacji.

- Nona była bardzo okropna? - spytała teraz, zanim nacisnęła guzik.

Zoe wzniosła tylko oczy do sufitu.

- Jest tu Zoe Hare.

Miles siedział za swoim biurkiem.

- Wspaniały materiał - stwierdził. Wskazał jej gestem stojące w pobliżu krzesło. - Spostrzegawczy, inteligentny, dowcipny. Udało ci się wydobyć z niej kilka diabelnie dobrych cytatów.

Twarz sama rozjaśniła jej się w uśmiechu.

- Jest tylko jeden problem - rzucił, pochylając się do przodu.

Jęknęła w duchu.

- Ten kawałek na końcu. Byłby świetny w powieści, ale to jest reportaż. Piszesz tam: „Każdy z nas coś w sobie skrywa”. Nie ma sensu mówić potem, że zastanawiasz się, co w głębi ducha skrywa Nona. To samo można by powiedzieć o każdym pod słońcem. Cały materiał ma mocniejszy wydźwięk bez tych dwóch ostatnich zdań.

- Daj, spojrzę na to jeszcze raz - odparła Zoe. Podał artykuł przez biurko.

Jej widok, czytającej uważnie całą ostatnią stronę, przywiódł mu na myśl studentkę college'u zatopioną całkowicie w arkuszu egzaminacyjnym.

Podniosła wzrok.



- Rozumiem, o co ci chodzi, ale nadal jestem przekonana, że lepiej zostawić to tak jak jest. W końcu to nie jest po prostu reportaż - wplecione są też moje reakcje na jej wypowiedzi. Większa część tego artykułu pokazuje ją jako osobę tak silną i opanowaną, że chciałam zasiać ziarnko niepokoju w umyśle czytelnika.

Twarz Milesa stwardniała.

- To nic nie dodaje - oświadczył. - Usuń to i postaraj się znaleźć inne, mocniejsze zakończenie.

Podniosła się.

- Przynieś mi to, kiedy skończysz - dodał.

- Dobrze - odparła z twarzą bez wyrazu.

Naprawdę usilnie starała się znaleźć lepsze zakończenie. Miles mógł mieć w końcu rację.

Godzinę później ponownie znalazła się w jego gabinecie. Wręczywszy mu kartki, zajęła to samo miejsce co przedtem.

Zanim zdążył zacząć czytać, oznajmiła:

- Próbowałam dołączyć różne inne zakończenia, ale jestem zdania, że to pierwsze było najlepsze.

Napisałam więc ponownie jak było.

Ich oczy spotkały się, przy czym wyraz jego twarzy był nieodgadniony, a jej wyzywający.

- Może rozsądniej będzie, jak spojrzę na to później - oświadczył.

Trudno powiedzieć, żeby jego głos zawierał groźbę, lecz znaczenie słów wydało jej się zupełnie wyraźne. Miał zamiar użyć czerwonego pióra i wykreślić dwa ostatnie zdania. Nawet jeśli miał rację - a była już teraz przekonana, że się myli - czuła, że zupełnie niepotrzebnie się jej czepia, i to wkrótce po tym, jak tak gorąco ją chwalił.

Podnosząc się, żeby odejść, powiedziała opanowanym głosem:

- Biorąc pod uwagę, w jak dziwny sposób ty i Nona

Lambert mówicie o sobie, to może naczelny nie jest najlepszym sędzią w przypadku tego artykułu.

- To znaczy?

- To znaczy, że kiedy po raz pierwszy poprosiłam cię o jakieś informacje o Nonie, powiedziałeś, że niewiele możesz dodać do tego, co już wiem. A teraz okazuje się, że znasz ją naprawdę bardzo dobrze. Kiedy już raz zaczęła wygarniać, co jej leży na sercu, gniew wziął w niej górę nad rozsądkiem. Mówiła nadal cichym głosem, ale obydwójce słyszeli dźwięczącą w nim twardą nutę.

- Ona natomiast zaczęła zachowywać się co najmniej dziwnie, kiedy wspomniałam o waszej bliskiej przyjaźni w przeszłości. Na litość boską, przecież mnóstwo ludzi oddała się od swoich wcześniejszych przyjaciół i nie robi z tego tajemnicy tak strasznej, że można ją wyznać jedynie pod groźbą śmierci.

Zacząła parodiować Nonę: „Wie pani, obowiązki mojego męża nieustannie rosną. Niestety nie pozostaje mu czasu na podtrzymywanie wszystkich przyjaźni z młodości”.

Miles wpatrywał się w kopię leżącą na jego biurku.

- Nie martw się, nie dodałam tego - powiedziała. - Nie przyszłoby mi na myśl robić aluzji do naczelnego w jego własnym piśmie. Zresztą, kiedy to powiedziała, nasza rozmowa nie była już rejestrowana.

Nastąpiła chwila ciszy, zanim Miles zapytał:

- Czy kiedy rozmawialiście po zakończeniu wywiadu, to ona poruszyła temat naszej przyjaźni? \*  
Zoe poczuła jak płoną jej policzki. Dlaczego, u diabła, jej twarz nie mogła pozostać równie nieprzenikniona jak jego?

- Ja go poruszyłam - odparła wyzywająco.

Tym razem cisza była złowieszcza. Jego spokój był bardziej przerażający, niż gdyby się wściekał. Poczuli się dotknięci, że w taki sposób daje jej do zrozumienia, iż zrobiła coś strasznego.

- Na Boga! - wybuchnęła z gniewem. - Patrząc na to, jak się zachowujesz, można by pomyśleć, że miałeś z Noną Lambert jakiś szalony romans!

Napiętym głosem Miles powiedział dobitnie:

- Przykro mi, jeśli wcześniej nie dość jasno się wyraziłem. Spróbuję jeszcze raz. Dlaczego nie zajmiesz się swoimi cholernymi sprawami?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Potem obróciła się na pięcie i wyszła.

## ROZDZIAŁ 32

Ramka na pierwszej stronie zwracała uwagę czytelników na wywiad Zoe Hare z Pierwszą Damą. Poświęcono mu specjalną stronę - dołączono pierwszorzędne fotografie i ani słowo nie zostało usunięte.

Rozpierające Zoe uczucie dumy było jednoznaczne. Lecz uczucie ulgi miało bardziej złożony charakter. Była szczęśliwa, że artykuł pozostał nietknięty, ale uświadomiła sobie, iż Miles nie nadużył w stosunku do niej swej pozycji. To był dla niej istotny fakt. Nie powinna była mówić tych idiotyzmów o jego romansie z Noną Lambert. Mimo że zdawała sobie z tego sprawę, jego ostatnie słowa i tak ją bolały. Może ich żałował i pragnął to wyrazić, zostawiając artykuł w takim kształcie, jak ona chciała.

Nie zszedł jeszcze na dół z piętra zarządu, kiedy zajrzała do jego sekretarki i powiedziała:

- Musiałabym zamienić słowo z naczelnym. Czy mogłabyś mu to powtórzyć?

Zdażyła właśnie wrócić do biurka, gdy zadzwonił telefon.

- Świetna robota - odezwał się głos Jancie. - Prawdziwy triumf. Wszystkich innych dziennikarzy szlag trafi z zazdrości. Trzeba to uczcić. Masz czas dziś wieczorem? James musi gdzieś tam być, wiesz z kim, więc będziemy same. Najbardziej odpowiadałoby mi w domu.

- Załatwione.

Telefon odezwał się ponownie. Złapała słuchawkę.

- Panno Hare.

Sprężyła się. Była pewna, że słyszała już przedtem tę płaską wymowę.

- Tak? - odpowiedziała pytająco.

- Tu Gerald Scrope. Chciałbym pogratulować pani dzisiejszego artykułu.

- Cieszę się, że się panu podobał. - Przebiegła bezmyślnie wzrokiem po pokoju, próbując zgadnąć, dlaczego do niej dzwoni. - Był to trudny kawałek, od początku do końca.

- Taaa. Kiedy mogłaby pani zjeść ze mną lunch?

Poczuła się kompletnie zaskoczona jego bezpośredniością - zupełnie, jakby ona i lord Scrope co drugi dzień umawiali się na lunch. Tymczasem nie widzieli się od czasu spotkania na drinku w Waszyngtonie. - Czy dzisiaj ma pani czas?

Nie zdążyła nawet pomyśleć o ewentualnej niewłaściwości spożywania posiłku z rywalem swego wydawcy.

- No cóż, tak, mam.

- Spotkamy się w Ivy. O pierwszej. Do widzenia, panno Hare.

- Do widzenia - odparła, ale nie mógł jej już usłyszeć, gdyż w tym samym momencie dobiegł ją szcęk odkładanej słuchawki.

Telefon zadzwonił raz jeszcze.

- Naczelnny jest w swoim gabinecie, jeśli chcesz się z nim teraz spotkać, Zoe - odezwała się sekretarka. Miles nie wstał ze swego miejsca za biurkiem, Zoe nie usiadła.

- Chciałam ci tylko podziękować za to, jak się zachowałeś w sprawie artykułu o Nonie Lambert - powiedziała.

- Udało ci się mnie przekonać, Zoe - brzmiała odpowiedź.

Po raz pierwszy użył jej imienia od czasu, gdy rozpoczęły się ich napięte rozmowy na temat Lambertów. Przyglądając się teraz uważnie jego twarzy, zauważyła,

że maluje się na niej odprężenie, zupełnie jakby się cieszył, że ona wygrała tę rundę.

- Właściwie tylko po to przyszedłam - dodała, uśmiechając się niepewnie.

- Dziękuję Zoe - odparł z dziwnym pochyleniem głowy, jak ktoś, kto nagle się zawstydził.

- Lord Scrope przed chwilą przybył - poinformował ją kelner i poprowadził do stolika.

Dostrzegła jego zaczesane do tyłu włosy - czytał menu rozłożone na stoliku. Zauważyła też, że jakiś człowiek trącił łokciem swego towarzysza, kiedy zdał sobie sprawę, dokąd Zoe jest prowadzona.

- Panno Hare.

Gerald obrócił nadgarstek, żeby spojrzeć na zegarek.

- O wiele lepiej niż poprzednim razem. Roześmiała się niepewnie.

Ledwie zdążył złożyć zamówienie - „Tylko szybko”, zwrócił się do kelnera - od razu przeszedł do spraw zawodowych.

- Jak się pani udało zdobyć ten wywiad?

- Prawdopodobnie pomocny był fakt, że poznałam Nonę Lambert jeszcze kiedy pracowałam w „Expressie”.

- Taaa.

Powoli pociągnął łyk ze szklaneczki whisky. Gerald pił na ogół niewiele. Zoe czekała, aż przyniosą jej zamówione wino.

- Czy tęskni pani czasami za życiem w Ameryce?

- Nie w taki sposób, jak się spodziewałam odparła. - Być może bardziej niż niektórzy ludzie żyję terazniejszością.

- Ma pani na myśli, że nie spogląda pani w przeszłość, panno Hare? A czy patrzy pani w przyszłość? Zoe uśmiechnęła się. Oto znów mamy do czynienia z przepytywaniem a la lord Scrope. Czytał w jej myślach.

- Mam własny sposób dowiadywania się tego, co mnie interesuje, panno Hare.

Niespodziewanie przeniósł wzrok na kotlety jagnięce, które właśnie pojawiły się na stoliku, a kiedy kelner podsunął mu półmisek z jarzynami, szerokim gestem pokazał, że chce wszystko. Zoe była w połowie pierwszego kotleta, kiedy jego sztucce zagrzecotały na pustym talerzu.

Podjął temat w tym miejscu, w którym go porzucił.

- Chciałbym wiedzieć, czy ma pani jakieś zobowiązania, które nie pozwalają pani przeprowadzić się, gdziekolwiek pani zapragnie.

- Co pan ma na myśli? - spytała.

- Gdyby przedstawiono pani propozycję pracy w Stanach, pracy, dla której inni dziennikarze sprzedaliby własne matki, czy jest pani na tyle wolna, by móc ją podjąć? A może zakochała się pani do szaleństwa w jakimś Angliku?

Zoe zrezygnowała ze zjedzenia reszty posiłku. Żołądek zacisnął się jej w twardey supeł. Nie odpowiedziała.

- Nie lubi pani, żeby obcy wścibiali nos w pani sprawy. Przykro mi, że uważa mnie pani za kogoś obcego.

Tym razem doczekał się odpowiedzi.

- Nie ma tu żadnej melodramatycznej tajemnicy do wywęszenia, lordzie Scrope - odparła ostro. - Nie zakochałam się szaleńczo w żadnym Angliku. Być może powinnam była - dodała.

- Miłość - stwierdził - potężne złudzenie. Udaje nam się ją złapać, a ona zmienia się w coś przeciwnego: śmierć. Budda mawiał, że przyczyną wszelkich ludzkich cierpień są nadmierne oczekiwania.

Zoe spojrzała na niego z zaskoczeniem. Jego oczy miały dziwny wyraz.

- Budda? - spytała. Rozbawiony roześmiał się cicho.

- Tak, panno Hare. Nie zakładaj niczego z góry. To,

że porzuciłem szkołę, nie znaczy, że nie umiem czytać. Niech się pani postara nie patrzeć na świat przez pryzmat stereotypów, panno Hare.

Zoe wpatrzyła się w niego. W jego twarzy zaszła przemiana - rysy złagodniały, a oczy tak pociemniały, że nie mogła dostrzec ich wyrazu.

- Śmierć nie jest wielkim zdrajcą. Śmierć jest rzeczywistością - czystą i prostą. My nie potrafimy zrozumieć czystości i prostoty, prawda, panno Hare? Na tym polega nasz problem. Czuje się pani winna w stosunku do żony senatora Stainsleya, ponieważ ona jest martwa, ale niesłusznie. Czy raczej nie powinna pani mieć tego poczucia winy, kiedy żyła? Ale to już inna sprawa.

Zoe zbladła.

- Pani rodzice zmarli bardzo młodo, panno Hare. Żyła pani w świecie fantazji tak barwnym, w jakim normalnie nie miałyby pani okazji przebywać. Słuchając swoich płyt, wyobrażała sobie pani przygody bardziej heroiczne niż te, o których mogłaby pani pomyśleć, dorastając w innych warunkach.

- Jak pan się o tym dowiedział? Nikt o tym nie wie!

- Niech się pani nie obawia, panno Hare. Wszyscy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Rozmawiam z panią tak otwarcie, gdyż jest pani dostatecznie skromna, żeby tego wysłuchać.

- Co pan ma na myśli? Nie rozumiem pana! Uśmiechnął się lekko, lecz nie było w tym cienia sarkazmu.

- Mam na myśli to, że ludzie w większości są głusi i ślepi, gdyż brakuje im skromności. Zbyt wiele czasu zajmuje im rozmyślanie, że są lepsi lub gorsi od innych, że są oprawcami lub ofiarami. Jezus Chrystus był najdoskonalszym przykładem skromności. Czy pani rozumie, o czym mówię, panno Hare?

Zoe nie odpowiedziała. Poczwała nagle głęboki smutek.

Siedzieli przez kilka minut bez słowa.

Potem ona zadała pytanie, niemal pokornym tonem:



- Czy pan kiedykolwiek kogoś naprawdę kochał?
- Ja? Bardzo dawno temu. Ten raz był dostatecznie ciężki.

Nie odezwała się.

- Pani miała dwa lata. Gdyby pani miała czternaście, byłoby już za późno na ucieczkę w świat fantazji.
- Czy tyle właśnie miał pan lat, kiedy... coś się stało?
- Osobą, którą kochałem, była moja matka.
- Jak ona umarła?
- Matka? Pewien stary człowiek mocno ją zranił. Znowu cisza.
- Co się z nim stało?

Gerald nie spieszył się z odpowiedzią.

- Został skreślony z tej historii.
- Ma pan na myśli, że odszedł?
- Można to tak ująć.

Wsunął rękę do kieszeni, by zamknąć w niej swój składany nóż, z którym nigdy się nie rozstawał. Po jakimś czasie wyjął rękę i pociągnął spory łyk wina.

- Jest mnóstwo innych przyjemności na świecie poza miłością taką, jak pani ją pojmuje. Jedzenie. Seks. Twarda gra - i wygrana. To nie znaczy, że zmieniamy świat w miejsce jeszcze gorsze, niż jest obecnie. On już jest jaskinią drapieżców. To oznacza tylko to, że nie dajemy się zranić uczuciu, które zawsze gmatwa wszystko jeszcze bardziej.

Miękkość zniknęła z jego rysów - usta znów miały twarde zarysy, jak nakreślony ostrym ołówkiem.

Zoe nadal czuła się wstrząśnięta. Zapalił cygaro.

- Jak pani wie, klejnotem wśród moich amerykańskich czasopism jest „The Monocle”. Traktuję go nieco odmiennie niż pozostałe interesy.

Zachowywał się tak, jakby wcale nie przerywali dyskusji na tematy zawodowe. Zoe miała wrażenie, że wpada w obłąd.

- Zasadniczo nie wtrącam się do jego polityki - ciągnął - ale...

Przerwał.

- Nie oznacza to bynajmniej, jak mierni obecny naczelny, że śpię na tych cholernych pieniądzach i mogę je rozrzucić na prawo i lewo ilekroć on wszystko spieprzy. Tylko w zeszłym roku straciliśmy sześćdziesiąt pięć tysięcy prenumeratorów. Wydanie z tego tygodnia miało o osiem całostronicowych ogłoszeń mniej niż tydzień temu. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby dalej się tak działo. - Pochylił się do przodu. - Ma pani prawdziwe wyczucie, jeśli chodzi o sprawy amerykańskie, panno Hare. Proszę nie zrozumieć mnie źle. Czytałem pani kawałki na temat Anglii i też są dobre. Ale to o Nonie Lambert, to zupełnie inna klasa.

- No, ona jest klasą sama w sobie - mruknęła Zoe, zastanawiając się, jakie jeszcze uwagi mógłby mieć lord Scrope na temat jej życia.

- Pani również, panno Hare. Strzepnął popiół z cygara. Kelner postawił na stole dwie kawy. Zoe próbowała rozluźnić mięśnie karku.

- Ma pani wyczucie, co interesuje czytelników, panno Hare.

Zdała sobie sprawę, że niemal tych samych słów użył Miles, kiedy namawiał ją na przejście do „Dispatch”.

- Mam zamiar spytać panią jeszcze raz o to samo: jak dalece naprzód planuje pani swoje życie? #

- Niezbyt - odparła, dodając nieostrożnie: - chociaż, jeśli decyduję się przesiąść z jednego pociągu do drugiego, to zazwyczaj robię to cholernie szybko.

- Powiem pani coś. Nadszedł czas, żeby spakowała pani cały swój talent do walizki i wskoczyła do nowego pociągu. Proponuję pani stanowisko redaktora naczelnego „The Monocle”, panno Hare.

Czuła się zbyt oszołomiona, żeby coś powiedzieć. Najpierw kompletna zmiana osobowości. Teraz to - najbar-

dziej prestiżowy amerykański tygodnik dla sępów kultury i tych, którzy chcą wiedzieć, co te sępy myślą; magazyn będący absolutną koniecznością na stoliku do kawy w biurze każdej znaczącej osoby. Gerald czekał.

- Nigdy nie byłam redaktorem - odparła w końcu. - Mam na myśli to, że nigdy nie kierowałam żadnym działem gazety. Oferowano mi takie stanowisko, to znaczy kierownika działu, ale wolałam pozostać dziennikarzem piszącym.

Paplała co popadnie, próbując zebrać myśli.

- Króliki są bojaźliwe, panno Hare<sup>1</sup>. Natomiast zawsze sądziłem, że zające są odważne.

Zaczerwieniła się.

- Tak wygląda moja propozycja - stwierdził. - Za dziesięć dni, licząc od dzisiaj, leci pani na pokładzie Concorde'a do Nowego Jorku. - Przerwał. - Czy zazwyczaj, kiedy przebywa pani Atlantyck, wybiera pani Concorde'a?

- Nigdy w życiu nie leciałam Concorde'em.

- Od tej pory będzie pani to robić. Zacisnęła szczęki.

- Złe mnie pani zrozumiała, panno Hare. Nie oferuję pani prostackiej łapówki. Użyłem Concorde'a tylko jako symbolu poziomu, na jakim się pani znajdzie, będąc redaktorem naczelnym „The Monocle”.

- Nie powiedziałam jeszcze, że nim zostanę, lordzie Scrope - powiedziała głosem, który zabrzmiał niemal jak płacz. - Będę musiała się nad tym zastanowić. Zresztą i tak jestem związana kontraktem z „Dispatch”. Nie mogę tak po prostu go sobie zerwać.

Gerald machnął niedbale ręką, jakby próbując odgonić muchę.

- Żaden poważny wydawca nie będzie domagał się od pani wywiązania z umowy, jeśli się dowie, że zapropono-

---

<sup>1</sup>W języku angielskim wyraz „hare” oznacza zająca (przyp. tłum.).

wano pani tak ogromny awans. - Nie tracąc czasu, naciskał dalej. - Podczas naszego spotkania na drinku w Hotelu Willarda wspominała pani o swych dziadkach. Powiedziano mi, że ich farma znajduje się nad jeziorem Champlain.

- Kto panu o tym powiedział?

- Pan Fleet. Poleci pani do Nowego Jorku za dziesięć dni. Będzie pani miała trzy dni na zapoznanie się z pracownikami „The Monocle”. Może pani nawet wprowadzić już jakieś początkowe zmiany, których każdy nowy naczelny dokonuje, żeby pokazać, kto tu rządzi. Decyzja należy do pani, panno Hare. Potem będzie pani miała dwa tygodnie, żeby pojechać nad jezioro Champlain albo na Księżyc, jeśli pani woli.

Na usta wypłynął mu jeden z rzadkich u niego uśmiechów wywołanych prawdziwym rozbawieniem.

- Po upływie tych dwóch tygodni przejmie pani „The Monocle”.

Dał jej czas, żeby w pełni dotarły do niej te świetlane perspektywy.

Jej twarz nadal miała nieszczęśliwy wyraz.

- Oczywiście - ciągnął - będzie pani musiała sobie znaleźć coś do mieszkania w Nowym Jorku.

Początkowo, jak się spodziewam, redaktor naczelny „The Monocle” powinien zatrzymać się w Waldorfie. Będzie pani musiała raczej szybko znaleźć sobie mieszkanie. Potem możemy

przedyskutować, jaką sumę tygodnik będzie dopłacał do pani czynszu i wydatków, gdyż czeka panią wydawanie sporej liczby przyjęć służących interesom czasopisma. - Wszelki ślad uśmiechu zniknął.

Miał teraz napięty wyraz twarzy. - Chyba wystarczy już tych praktycznych szczegółów, panno Hare - podsumował, nie spuszczać

z niej wzroku. - Pragnę, żeby została pani naczelnym „The Monocle”, ponieważ wie pani, jak pozyskać czytelnika. A możemy być diabelnie pewni, że nie odzyskamy ogłoszeniodawców, jeśli najpierw nie zdobędziemy czytelników. Czy podejmnie pani to wyzwanie?

Kark ją naprawdę rozboleł.

- Chciałabym o coś zapytać - odrzekła. - Używa pan „Javelin” do osiągnięcia swoich własnych celów.

- A co robi Miles Brewster? - przerwał jej gwałtownie. - Co on, pani zdaniem, robi? Nie powinna pani mylić formy z treścią, panno Hare.

To wytrąciło Zoe z równowagi. Poruszyła się niespokojnie na krześle, Gerald natomiast ciągnął dalej:

- Pani sądzi, że on kieruje się ideałami, ja natomiast korzyścią, jaką mogę osiągnąć. Skoro nasze działania są podobne, jakież to ma znaczenie, czym się kierujemy? Można być pewnym jak cholera, że nie obchodzi to czytelnika. Czytelnik ponosi konsekwencje naszych działań i tylko to go interesuje.

Siedziała cicho, zgnębiona.

- Proszę pytać dalej.

- Mówił pan, że traktuje „The Monocle” inaczej niż pozostałe dziedziny swych interesów. Muszę przyznać, że czytając go już po tym, jak pan go kupił, nie stwierdziłam, żeby wykorzystywał go pan podobnie jak inne swoje gazety. Mimo to może pan wymagać od naczelnego, żeby zatrudniał dziennikarzy, którzy mają podobny do pańskiego pogląd na różne sprawy.

- Różne konie do różnych zadań - odparł. - Czy lubi pani wyścigi, panno Hare? - Nie czekał wcale na jej odpowiedź. - „The Monocle” jest moją smukłą klaczką

O w Derby; szybkim, eleganckim koniem wyścigowym, który ukazuje światu nieznaną stronę Geralda Scrope'a - uśmiechnął się - stronę cywilizowaną, jak by niektórzy powiedzieli. Nigdy nie zmuszałem redaktora naczelnego „The Monocle”, by stosował się do wytyczonej przeze mnie linii pisma. Moje nieporozumienia z gościem, który obecnie nim kieruje, nie dotyczą kwestii polityki pisma. Zoe wyglądała żałośnie.

- Cóż, bardzo mi pochlebia pańska oferta - powiedziała. - Oczywiście nie jest to coś, co mogłabym ot tak

sobie odrzucić... ale są pewne trudności. - Przerwała niezręcznie. - Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć.

- To oczywiste. - Dał znak, żeby przyniesiono mu rachunek. - Podobno nie układa pani planów życiowych wybiegających zbyt daleko naprzód - powiedział, ponownie się uśmiechając. - A czy może pani sięgnąć myślą tak daleko jak jutrzejszy lunch?

Napięcie zniknęło. Zoe także się uśmiechnęła, ale odpowiedziała wymijająco.

- Czy mógłby pan do mnie zadzwonić rano? - spytała.

- Oczywiście. Może będzie pani bardziej głodna niż dzisiaj, panno Hare. - Na zewnątrz zwrócił się do odźwiernego: - Znajdź taksówkę dla panny Hare. Natychmiast.

Sam wszedł do czekającego rollsa. Obserwowała, jak jego samochód odjeżdża, i przez tylną szybę dojrzała tył jego głowy.

### ROZDZIAŁ 33

- To nie będzie radosna celebra - odezwała się Zoe. -Może nawet zacznę płakać.

- Co się stało?

- Nie wiem. Tak się po prostu czuję.

Jancie ponownie napelniła ich szklaneczki. Bliźniaki znalazły się już w łóżku, a one siedziały przy kuchennym stole, rozmawiając.

- Jadłam lunch z Geraldem Scrope'em. Dlaczego tak się układa, że kiedy zaczynam czuć się pewnie w nowej pracy, zdarza się coś, co mnie wpędza w rozterkę.

- Nie musisz już nic mówić. zaproponował ci pracę. Niewątpliwie najwspanialszą pracę na świecie. - Jancie przechyliła krzesło na tylnych nogach w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Prawdę mówiąc wiele osób byłoby tego zdania -spokojnie potwierdziła Zoe. - Chce, żebyś została redaktorem naczelnym „The Monocle”.

- Co?!

Przednie nogi krzeselka Jancie ze stukotem opadły na podłogę.

- To właśnie powiedział - stwierdziła ponuro Zoe.

- A co ty mu odpowiedziałaś?

- Nawet nie pamiętam. Chyba doznałam wstrząsu. To były dwa wstrząsy, jeden po drugim.

- Co było tym drugim? Czyżby zaproponował ci również małżeństwo?

Zoe zaczęła się śmiać tak szaleńczo, że złapał ją kaszel. Dopiero, kiedy się uspokoiła, była w stanie wykrztusić odpowiedź:

- W trakcie opowiadania mi o „The Monocle” - „praca, panno Hare, za którą inni dziennikarze sprzedaliby swoje matki” - bez najmniejszego ostrzeżenia zaczął mówić, ale naprawdę w niesamowity, tajemniczy sposób o Buddzie, Chrystusie i mojej przeszłości. Zupełnie jak jakiś święty mąż.

Opróżniła swoją szklaneczkę.

Jancie spojrzała na nią z uniesionymi brwiami.

- Może Rasputin?

- Na miłość boską, Jancie, nic nie rozumiesz! To było jak postrzeganie ponadzmysłowe, czy coś w tym rodzaju. Zupełnie jakby miał w oczach promienie Roentgena, którymi prześwietlał niezliczone zakamarki mojej duszy. To było przerażające jak diabli. Wspomniał o śmierci żony Petera. Ale to, co powiedział o sobie, było jeszcze bardziej niepokojące. Wiesz, że córka Petera ma teraz czternaście lat. Gerald - chyba mogę go teraz tak nazywać - powiedział mi, że on miał czternaście lat, kiedy zmarła jego matka.

- Wspomniałaś o Peterze?

- Oczywiście, że nie. Obie wypily nieco wina.

- Wydaje mi się, że matka Geralda zmarła po pobiciu jej przez ojca. Nie powiedział tego wyraźnie. Nie chce ponownie przeżywać takiego bólu. Od tamtej pory nikogo nie pokochał.

- Co się stało z jego ojcem?

- Powiedział, że ktoś go wykreślił z tej historii. Nie powiedział kto. Nie wiem, może Gerald go zabił.

Jancie popchnęła w jej kierunku butelkę wina. Przez kilka minut ciszę zakłócał tylko szcęk kieliszków przestawianych na wypolerowanym stole i tykanie okrągłego zegara na ścianie.



- Czy uważasz, że Miles i Gerald są facetami tego samego pokroju? - spytała nieoczekiwanie Zoe.
- No to już wszystko rozumiem - stwierdziła Jancie.
- Wiem - powiedziała Zoe z nieszczęśliwą miną. - Ale kiedy on podsunie ci tę myśl, zaczynasz się zastanawiać, czy faktycznie jest między nimi aż tak wielka różnica, jak ci się wydawało. Miles jest honorowy, Gerald jest w stu procentach bezlitosny. Lecz skoro obaj używają swych gazet dla propagandy, to czym niby tak bardzo się różnią? - Pogmerła w wiszącej za nią na oparciu krzesła marynarce i wyciągnęła chusteczkę. - To wszystko jest bez sensu - dodała, wydmuchując nos. Jancie podniosła się, by otworzyć kolejną butelkę wina.
- Częstuj się - powiedziała, siadając ponownie. - Jakby to ujęła moja mama: „Jesteś cała spięta, kochanie”. No dobra, a teraz rozważmy to wszystko po kolei. Ja osobiście nienawidzę Geralda Scrope'a ze względu na sposób, w jaki obchodzi się z Jamesem. Nie mogę odżalować, że nie siedział na tyłku i nie czekał, czy Miles zdobędzie „Dispatch”; chociaż przypuszczam, że nawet wtedy lord Scrope mógłby przedłożyć mu propozycję nie do odparcia.
- Czy między Jamesem i Milesem jest teraz wszystko w porządku?
- Tak, chociaż już nie jest tak jak kiedyś. W stosunku do mnie Miles się nie zmienił. Nie ma powodu przypuszczać - ciągnęła - że Gerald Scrope będzie próbował ciebie zastraszyć. Wszyscy wiedzą, że nie wtrąca się do „The Monocle”. Najgorsze, co się może zdarzyć, to to, że zdecyduje się zastąpić cię innym naczelnym akurat, kiedy będzie ci się wydawało, że wszystko idzie świetnie. Jak bardzo zależy ci na kierowaniu „The Monocle”? Scrope ma oczywiście rację, mówiąc, że wielu dziennikarzy rzuciłoby się z pazurami na tę szansę.
- -Ja prawdopodobnie też - powiedziała niepewnie Zoe - gdybym nie miała umowy z „Dispatch”. Nawet

gdyby Miles zgodził się od niej odstąpić i tak czułabym się zobowiązana do pozostania.

- Może powinnaś porozmawiać o tym z Milesem?

- To nie jest w porządku - ciągnęła Zoe. - Jego największy wróg. Wyglądałoby to na brak lojalności. To będzie brak lojalności.

- Daj spokój, Zoe. Miles nie zaproponował ci tej pracy z dobroci serca. Uważał po prostu, że jesteś najlepsza. Mówisz o swoim zobowiązaniu, jakby on był twoim kochankiem czy czymś w tym rodzaju.

- Jancie spojrzała ostro na Zoe. - Chyba nie jest, co?

- Nie bądź śmieszna. - Zoe poczuła na twarzy falę gorąca. - Romanse z mężczyznami, którzy poślubili miliony, nie weszły mi jeszcze w krew. - Pociągnęła łyk wina. - Jak sądzisz, czy Miles i Nona Lambert mogli mieć swego czasu jakąś przygodę? - spytała.

- Skąd ci to, u licha, przyszło do głowy?

- Obydwoje tak dziwnie się zachowują, kiedy usłyszą nazwisko drugiego.

Jancie czekała z pytającym wyrazem twarzy.

- Wczoraj myślałam, że Miles ma zamiar obciąć zakończenie tego kawałka o Nonie. Wściekłam się i powiedziałam, że zachowuje się jak ktoś, kto miał romans i nie chce, żeby wyszedł na jaw.

- O Boże! I co on zrobił?

- Kazał mi się zmyć, oczywiście powiedział to w ten swój okropny sposób, o którym słyszałam, ale nie miałam przedtem okazji doświadczyć. Dziś rano wszystko wróciło do normy, gdy stwierdziłam, że; zostawił artykuł nietknięty. Kiedy mu za to podziękowałam, powiedział, że postawiłam na swoim.

Zegar kuchenny wydawał nieco dziwny dźwięk: tik-tok, tik-tok...

- Rozmawiałaś z Peterem o ofercie Scrope'a? - spytała Jancie.

- Nie.

- Dlaczego nie zadzwonisz do niego, chociażby po to, by zrozumieć, czego chcesz?
- Ale ja wiem, czego chcę. Chcę zostać w „Dispatch”.
- Tylko z poczucia lojalności?
- Nie. Tu właśnie pragnę być.

Następnego dnia ledwie zdążyła usiąść za biurkiem, zadzwonił telefon.

- Tu Gerald Scrope.
- Żałuję, ale nie mogę przyjąć pańskiego uprzejmego zaproszenia na dzisiejszy lunch - Zoe przyjacielskim tonem sparodiowała formalną odpowiedź, żeby utrzymać rozmowę w lekkim tonie.
- To znaczy, że nie ma pani zamiaru udzielić mi takiej odpowiedzi, jakiej oczekuję.

Każde z tych słów jeszcze bardziej ją dobijało.

- Gdyby zapytał mnie pan bliżej końca mojego kontraktu, odpowiedź mogłaby być inna - odparła, pragnąc nieco poprawić atmosferę. - Ale wiem, że w tej sytuacji nie ma sensu o tym myśleć.
- Nie interesują mnie pani procesy myślowe, panno Hare. Życzę powodzenia.

Kliknięcie.

Zoe powoli odkładała słuchawkę, a ulga mieszała się z żalem. Aż do wczorajszego dnia nie wyobrażała sobie, że istnieje jeszcze jakaś inna strona jego natury. Teraz było jej przykro, że ją zraniła.

Wracając do swego pokoju po codziennej porcji pływania - była to jedyna rzecz utrzymująca go przy zdrowych zmysłach w tym mieście absurdów - Simon spał się wewnętrznie, słysząc dzwonek telefonu. Przewidywał, kto to może być, gdyż dawno już przestał oczekiwać, że ktokolwiek w Monterrey oddzwoni do niego.

- Trudno mi w to uwierzyć, panie Fleet - oznajmił bez żadnych wstępów głos z południowolondyńskim akcentem - że w trakcie ponad tygodniowego pobytu w naj-

droższym hotelu w Monterrey figę pan odkrył. Może powinienem rozważyć mianowanie nowego kierownika działu zagranicznego w „Javelin”.

- Znajdę to, czego pan chce, panie przewodniczący, jeżeli ktoś w ogóle jest w stanie się czegoś dogrzebać. Musi mi pan zaufać.

- Dlaczego? Ja nie ufam nikomu. Prawdę mówiąc, Simon był bliski rozpacz. Następnego ranka znów usłyszał telefon, otwierając drzwi po powrocie z porannego pływania. Spojrzał na zegarek. O tej właśnie porze przewodniczący dzwonił poprzedniego dnia. Zanim podniósł słuchawkę, rzucił się plecami na łóżko. Lepiej być w pozycji leżącej, kiedy otrzymuje się cios.

- *Señor* Fleet?

- *Si.*

- Jestem Luis. Z sądu. Simon wstrzymał oddech.

- *Señor* Fleet?

- Tak, tak, Luis, oczywiście wiem, kim jesteś.

- Znalazłem coś, co jak sądzę, zainteresuje pana, *señor* Fleet.

- Będę u ciebie za dwadzieścia minut, Luis. Chwytając w przelocie marynarkę, portfel, paszport i notes, Simon wypadł z pokoju. Nie przejmując się zamkniętą windą, zbiegł na dół po schodach. Luis z niewzruszoną twarzą poprowadził go przez labirynt budynku sądu do pokoiku niewiele przewyższającego wielkością szafę ścienną. Usiedli na składanych krzesłach po przeciwnych stronach drewnianego stołu. Simon stwierdził, że nogi jego krzeselka wymagają dokładniejszego umocowania.

- Stracił pan już prawie nadzieję, *señor* Fleet, co?

- Tak.

- Powiem panu, *señor* Fleet, dlaczego nie udało nam się znaleźć akt sądowych na temat *señora* Milesa Brewstera.

Simon wyprężył się.

- Pan był zdania, *señor* Fleet, że akta były niewłaściwie odłożone. Może przez nieuwagę, może celowo. Kto to może wiedzieć? - Uniósł ręce wnętrzem dłoni do góry. - Czasami jest jeszcze inne wyjaśnienie faktu, że nie można znaleźć akt sądowych. Mam panu powiedzieć, jakie?

Simon siedział zupełnie bez ruchu.

- Nie było sprawy sądowej. Czoło Simona zmarszczyło się.

Myślę, że pan nie rozumie tego kraju, *señor* Fleet -spokojnie ciągnął Luis. - Jesteśmy bardziej cierpliwi, niż się panu może wydawać. Nie spieszymy się z wnoszeniem oskarżenia, ponieważ rodzi to wiele komplikacji, wiele trudności, *señor* Fleet. O wiele korzystniej dla wszystkich jest zawrzeć ugodę, zamiast zaskarżać kogoś do sądu.

- Ma pan na myśli łapówki - stwierdził Simon.

- Zbyttno pan upraszcza te sprawy, *señor*. Wszystko na tym świecie kosztuje. Dla Meksykanów. Dla Amerykanów. Dla każdego. - Luis rozłożył wypięłgnowane dłonie. - Zdaje się, że przeprowadzał pan wywiad w bankach.

- Bez obawy, Luis, proponowałem cholerną fortunę za informację. Dyrektor wyglądał, jakbym zaoferował mu zmiję.

Ponurą twarz Luisa rozjaśnił cień uśmiechu.

- Ja przeprowadziłem własne śledztwo, *señor* Fleet. Luis pozwolił sobie na znaczącą pauzę.

- Od piętnastu lat bank otrzymuje comiesięczny przelew z firmy prawniczej w Bostonie.

Luis wyjął małe notes z kieszonki na piersi i przewracał poliniowane strony, dopóki nie znalazł, czego szukał.

- Whitney, Brewster i Dunn.

Simon poczuł chłodną jasność umysłu myśliwego, który wie, że zwierzyna jest blisko.

- Kto po tej stronie odbiera pieniądze? - spytał opanowanym głosem.
  - Pedro López. Ojciec Teresy Lopez. Mieszkają koło Saltillo.
- Simon zerwał się na nogi.
- Gdzie, u diabła, jest Saltillo?
  - Niezbyt daleko stąd, *señor* Fleet. Może dwie godziny jazdy szosą. Widział pan ten łańcuch gór na zachód od Monterrey? Saltillo jest po drugiej stronie. Jeśli pan chce, mogę załatwić kierowcę.
- Zakłopotany uśmiezek przemknął po ponurej twarzy i zniknął, jakby Luis poczuł się spłoszony faktem, że sprawił komuś tyle przyjemności.
- Jest jeszcze coś, *señor*. Dowiedziałem się, że *señorita* Lopez doskonale mówi po angielsku.
- Simon sięgnął do marynarki i wyjął kopertę. Odliczył z niej spory stos banknotów.
- Zawsze chętnie zrobię dla pana, co tylko będę mógł - obiecał Luis, pozostawiając przez parę chwil banknoty tam, gdzie leżały, by pokazać, że nie jest zwykłym zachłannym człowiekiem. Potem je zabrał.

## ROZDZIAŁ 34

Prawdziwa wspinaczka zaczęła się, kiedy dotarli do drugiego krańca kanionu Huasteca. Przed nimi, jak okiem sięgnąć, rozciągały się pasma stromych wzgórz. Simon nie znosił gór. Zgrzyt przekładni w skrzyni biegów zaczynał mu działać na nerwy.

- Słuchaj no, *amigo*, cały czas będziemy jechać na dwójce? - spytał i natychmiast tego pożałował, gdyż kierowca obrócił się do niego, szczerząc w uśmiechu poplamione zęby, między którymi błyszczał jeden złoty. Samochód tymczasem toczył się spokojnie ku zewnętrznej krawędzi drogi, za którą zaczynało się urwisko. Simon złapał za kierownicę.

- Spokojnie, spokojnie - zaśmiał się kierowca. - Znam drogę do Saltillo jak własną żonę.

Dwadzieścia minut później skręcili w wąską, zapyloną dróżkę, tak twardą, jakby była wyłożona kamieniem. Ranczo Lopeza znajdowało się na płaskowyżu o stromych ścianach, wyciętym z otaczającego terenu przez rwące strumienie powodzi. Wszędzie widać było krzewy *mesquite*, które na krawędzi urwiska tworzyły szeroką zaporę dla ochrony pasącego się bydła. Przed ich oczyma pojawił się niewielki pas startowy.

Oczyszczenie tego pasa stanowiło niezwykle żmudne zadanie. Peter Lopez wraz z jednym ze swych robotników ciągnął ciężki kawał łańcucha pomiędzy dwoma traktorami, wyrywając w ten sposób krzewy *mesquite*.

Pozwalało to oczyścić nie więcej niż piętnaście akrow pasa dziennie.

- Czy wielu ranczerów ma pasy startowe? - spytał Simon.

Kierowca wzruszył ramionami.

- Może dużo osób go odwiedza.

U wylotu tej przecinki widać było dwa długie budynki z adoby z blaszanymi dachami. Za nimi znajdował się dom mieszkalny.

Simon zerknął na krzewy pnące się po obu stronach drzwi frontowych i ucieszył się, że nie jest to ich pora kwitnienia. Nie podzielał zachwyty wielu innych osób dla bougenwilli, gdyż nasuwały mu na myśl tryskające krople krwi. Zastukał do ciężkich, drewnianych drzwi. Po chwili zastukał raz jeszcze.

- Może sjesta, *señor* - zawołał z samochodu kierowca. Była druga trzydzieści po południu.

- Halo! - krzyknął Simon.

Po chwili drzwi się uchyliły, pchnięte przez kobietę o kamiennym wyrazie twarzy, która nie zdjęła ręki z klamki.

- *Buenas tardes* - odezwał się Simon. - *Esta señorita Teresa Lopez aqui? Es importante.*

Wręczył kobiecie swoją wizytówkę. Pod swoim nazwiskiem miał wypisane: Kierownik Działu Zagranicznego „Javelin”.

Kobieta zniknęła, zostawiając nie domknięte drzwi.

Kiedy wróciła, nadal z twarzą bez wyrazu, otworzyła je szeroko i poszła przodem. Oczy Simona przyzwyczajają się właśnie do błękitnego półmroku panującego wewnątrz, kiedy zostały oślepione jasnym światłem z dziedzińca, wokół którego dom był zbudowany.

Na podwórzu ocienionym przed bezpośrednim blaskiem słońca górującym nad nim szczytem, wyraźnie było widać każdy przedmiot. Na ogrodowej huśtawce leżała jakaś kobieta o czarnych włosach uczesanych w koronę, oparta o spiętrzone poduszki. Ubrana była na bia-



ło, a jej nogi przykrywał koc w kolorze ochry. Mała, brązowa małpka siedziała na oparciu huśtawki. Obydwie obserwowały zbliżającego się Simona oczami przepęnlionymi czujnością i ciekawością.

- *Señorita* Lopez - odezwał się Simon, zatrzymując o parę metrów od niej i pochylając głowę w lekkim ukłonie.

Nie był to bynajmniej jeden z autoironicznych skłonów Simona. Coś w nieruchomości tej kobiety oraz jej twarz, na której mijający czas nie pozostawił żadnych śladów, sprawiły, że poczuł się skrepowany w jej obecności.

- Przyjechałem, żeby porozmawiać o Milesie Brewsterze - wyjaśnił.

Miał okazję zaobserwować grację jej ruchów, kiedy wskazała mu krzeselko z trzciny stojące obok huśtawki.

- Zna pan Milesa? - spytała Teresa Lopez.

- Byłem redaktorem działu zagranicznego w „Washington Express”, kiedy Miles kupił tę gazetę - odparł Simon. - Jestem pełen najwyższego podziwu dla pana Brewstera. Jestem jednak Anglikiem i zeszłego lata stwierdziłem, że czas wracać do ojczyzny. Wtedy zostałem kierownikiem działu zagranicznego londyńskiego „Javelin”. Gdybym tylko wiedział, że Miles Brewster ma zamiar kupić „Dispatch” i przenieść się do Londynu, to pisałbym teraz dla niego.

- O tej porze roku jest dość chłodno na dziedzińcu - stwierdziła Teresa. - Może napiłby się pan gorącej czekolady?

Powiedziała coś po hiszpańsku do kręcącej się w pobliżu kobiety i ta zniknęła.

- Przygotowuję dla mojej gazety artykuł poświęcony Milesowi Brewsterowi - ciągnął Simon. - Rzecz jasna jest on człowiekiem o wielkich wpływach i mnóstwo już o nim napisano. Jednak relacje na temat tego wypadku samochodowego są często sprzeczne. „Javelin” chlubi się swoją ścisłością. Miałem nadzieję, że mi pani pomoże,

gdyż chciałbym oddać panu Brewsterowi sprawiedliwość w swoim artykule.

Była to metoda postępowania udoskonalona przez lata praktyki. Udziel dostatecznej ilości informacji, by zrobić wrażenie szczerego. Daj do zrozumienia, że więcej już na dany temat napisano, niż to w rzeczywistości miało miejsce. (Nigdy nie było sprzecznych relacji z tego wypadku, tylko jakieś mgliste aluzje.) Kłam tam, gdzie to konieczne dla twoich celów.

Spoglądając na jej nieruchome nogi spoczywające pod kocem, odezwał się:

- Bardzo mi przykro z powodu... Musiała pani przeżyć niejedną chwilę rozgoryczenia.

- Żalu tak. To oczywiste. Ale nie rozgoryczenia. Nikt nie zrobił tego celowo.

W tym momencie pojawiła się kobieta z tacą i postawiła ją na niskim stoliku przy huśtawce.

Teresa wskazała mu talerz z *bizochos* stojący obok filiżanek wypełnionych po brzegi czekoladą.

- Proszę - zachęciła go. Znów miał okazję obserwować wdzięk jej ruchów. Musiała być oszałamiająca, kiedy jeszcze mogła chodzić.

- Jak długo przebywała pani w szpitalu? - spytał, zanim pociągnął ostrożnie łyk czekolady, starając się nie poparzyć sobie języka.

- Nie pamiętam dokładnie - odparła. - Kiedy stało się jasne, że rehabilitacja nie jest w stanie mi pomóc, wróciłam do domu ojca.

- Tutaj?

- Znajdował się tutaj.

- Powiedziała pani „znajdował się”, tak jakby to był inny dom.

- Bo tak jest. Ranczo ojca jest niewielkie, ale przynosi większe zyski niż dawniej - wyjaśniła. - Ojciec ma teraz więcej pastwisk. Nasz dom powiększył się i stał się znacznie bardziej wygodny.

- Zarówno pani, jak i pan Brewster leżeliście w szpitalu w Saltillo? - zaryzykował pytanie.  
- Zostaliśmy przeniesieni stamtąd do głównego szpitala w Monterrey. Potem oczywiście było rozsądniej przenieść Milesa do szpitala bliżej jego domu.

- W Bostonie - uzupełnił Simon. - Wspomniała pani

o swojej rehabilitacji. Czy miała ona miejsce w Monterrey, czy też pojechała pani do Stanów Zjednoczonych na leczenie? Boston jest znany z poziomu swego szpitalnictwa.

Tak.

Od łamała kawałek *bizochó* i przyglądała się, jak małpka bierze go delikatnie między kciuk i środkowy palec.

Przepraszam, nie rozumiem - odezwał się Simon. - „Tak” to znaczy, że pojechała pani na leczenie do Stanów?

- Na jakiś czas - odparła. Wypiła łyk czekolady.

Miał ogromną ochotę wyciągnąć notes i zabrać się do rzeczy bardziej systematycznie, ale nie śmiał z obawy, że kompletnie zamilknie. Wyobrażał sobie przedtem, że kiedy uda mu się ją przekonać, iż stoi po jej stronie, Teresa zaleje go potokiem słów charakterystycznym dla osób, które czują się skrzywdzone. Tymczasem stanął w obliczu postawy pełnej godności i rezerwy, która sprawiała, że nie wiedział, jak ma dalej postępować.

- Czy miała pani jakiegokolwiek wiadomości od pana Brewstera? - spytał w końcu.

- O tak.

- To znaczy, że on do pani pisuje?

- Byliśmy przyjaciółmi w czasie, kiedy zdarzył się ten wypadek - odparła Teresa. - Chyba nie ma w tym nic niezwykłego, panie Fleet, że przyjaciele utrzymują ze sobą kontakt.

Wyciągnęła rękę i odepchnęła się lekko od glinianej polepy. Huśtawka ponownie zaczęła się kołysać, w przód i w tył, a Teresa dodała:

- Nie sądziłam, że będzie pan pisał historię mego życia, panie Fleet. - Powiedziała to miłym tonem, ale poczuł, że wyrasta między nimi mur.

Małpka przeniosła się teraz koło jej stóp. Najeżona, ruda sierść spływająca z jej łuków brwiowych wywoływała uśmiech na ustach Simona, ale wolałby, żeby przestała się w niego wpatrywać miodowymi oczyma. Głos cykady zabrzmiał w panującej ciszy tak donośnie, że aż podskoczył.

Wypił kolejny łyk czekolady. Nie ma pośpiechu. Jest jedynym myśliwym goniącym za tym lisem. Następnym razem przyjdzie z mikrofonem ukrytym pod marynarką.

- Widzę, że czyta pani tę nową biografię Cortesa -zauważył, patrząc na książkę, która leżała na jej kolanach rozłożona okładką do góry.

- Tak. Godne uwagi, czego dokonał. Okrutne i godne uwagi; tak niewielu było ludzi, którzy potrafili zasiać panikę wśród rasy wojowników i podbić ich.

- Tak, ale trzeba wziąć pod uwagę, że Aztekowie nigdy przedtem nie widzieli koni ani strzelb - zaoponował Simon zadowolony, że znalazł się na neutralnym gruncie i może udowodnić, że nie jest tylko zaślepionym psem gończym. Ponadto zaintrygował go jej spokojny obiektywizm podczas rozmowy na temat, który rozogniał innych Meksykanów.

- To prawda - zgodziła się Teresa. Uśmiechnęła się.

- Może pan sobie wyobrazić panikę, jaką wywołał ^ widok tych zakutych w zbroje ludzi na koniach. Na dodatek uważano, że koń i jeździec stanowią jedną, nieznaną istotę. Gdzie się pan zatrzymał? - spytała bez żadnego przejścia.

- W Monterrey - odparł.

- Na długo?

- Zapewne na kilka dni - odparł. Ja też mogę się w to . bawić, powiedział sobie w duchu. Skończył czekoladę

i podniósł się. - To dla mnie zaszczyt, że mogłem panią

poznać - powiedział. - Naprawdę wielki zaszczyt. Mam nadzieję, że nasze drogi niedługo znów się skrzyżują. Kiedy ruszył do wyjścia, ponownie pojawiła się tamta kobieta i poszła przodem. Dochodzili właśnie do frontowych drzwi, gdy te otworzyły się gwałtownie. Na tle światła widoczna była krępa sylwetka mężczyzny ze ściągniętym na czoło sombrerem.

Simon zrobił krok do tyłu.

Kobieta powiedziała coś po hiszpańsku. Mężczyzna odpowiedział szorstkim, gniewnie brzmiącym głosem. Simon zrozumiał z tego tylko słowo „gringo” wypowiedane jak przekleństwo. Mężczyzna, wchodząc, zdjął kapelusz, więc mógł się teraz przyjrzeć jego twarzy. Gniewna mina tego człowieka nie była spowodowana tylko złym humorem - w zarysie ust i podbródka odbijała się długo pielęgnowana uraza.

- *Señor* Lopez?

- *Si.*

- Nazywam się Simon Fleet. Jestem Anglikiem. - Wypowiadając te słowa powoli i starannie, sięgnął do kieszeni po wizytówkę. - Jestem redaktorem działu zagranicznego słynnej londyńskiej gazety „Javelin”. Z lekkim ukłonem wręczył kartonik.

- *No hablo Ingles* - uciał krótko Pedro Lopez.

Stał przodem do Simona, blokując otwarte drzwi. Teraz odsunął się na bok, nie pozostawiając wątpliwości, że Simon ma się natychmiast wynieść.

Simon uśmiechnął się i spróbował od nowa swoim wyuczonym z rozmówek hiszpańskich językiem.

- *Soy editor extranjero de Londres* „Javelin”. - Nieśmiały uśmiech. - *Excuse mi pobre Español, señor. Señorita Teresa habla Ingles. Ella ayuda...*

Wyrzucając do przodu jedną rękę z zaciśniętą pięścią, zupełnie jakby wyprowadzał cios w kierunku oponenta, Pedro Lopez wskazał mu otwarte drzwi.

Simon skierował się do nich bez pośpiechu, jakby nieświadom zagrożenia, i zanim przeszedł przez próg

w słoneczny blask, obrócił się jeszcze, by nieznacznie skłonić się Lopezowi. Następnym razem, kiedy się spotkają, przywlecze ze sobą cholernego tłumacza. Nie znaczy to, że Simon choć przez moment uwierzył w nieznajomość angielskiego Lopeza, ale skoro takie miały być reguły gry, to proszę bardzo.

- *Señor López, adiós. Adiós, señor.* - Znowu uklon.

Ledwie zdążył stanąć na spieczonej ziemi za progiem, usłyszał, jak zatrzasną się za nim drzwi.

Kierowca siedzący nadal w samochodzie uśmiechnął się.

Usłyszawszy warkot silników, Pedro López ponownie wyszedł na zewnątrz i wpatrzył się w białe od żaru niebo. Obserwował, jak cessa omija szerokim łukiem góry, zbliżając się do płaskowyżu, na którym znajdowało się jego rancho. Szybkim krokiem przebył pastwisko i dotarł do pasa startowego akurat w momencie, gdy koła samolotu dotknęły ziemi.

Ze względów bezpieczeństwa on i Speers Jackson nigdy do siebie nie pisali ani nie dzwonili. Gdyby nie interesy, ich ścieżki nigdy by się nie skrzyżowały. W istniejącej sytuacji byli swego rodzaju przyjaciółmi. Kiedy Speers wynurzył się z kokpitu, Pedro podszedł, by go powitać.

## ROZDZIAŁ 35

„Dispatch” leżał rozłożony na biurku Geralda. Każdy, kto coś znaczył, rozpoznałby zjadliwy, kłujący styl artykułu wiodącego. Atak Milesa był trójtorowy:

„Mamy ministra obrony, świętoszkowato wygłaszającego deklaracje lojalności w stosunku do premiera, ukradkiem zaś intrygującego, by go obalić.

Mamy zainteresowanych wyłącznie sobą posłów z tylnych ławek, owijających w brytyjską flagę osobiste interesy.

Mamy głęboki cynizm lorda Scrope'a, który trąbi o patriotyzmie, jednocześnie złośliwie prześladowając na łamach «Javelin» każdego, kto nie służy interesom Scrope Opportunities Inc”.

To wymaga odpowiedzi. Gerald nie mógł teraz pozwolić na to, by go oczerniano - grał o zbyt wysoką stawkę. Czytając jeszcze raz artykuł Milesa, kiwał powoli głową.

On i Marigold siedzieli w fotelach przy przeszklonej ścianie. Normalnie, kiedy Marigold była u niego, Gerald odłączał telefon, lecz tym razem na stoliku odezwał się brzęczyk. Gerald spojrzął na zegarek i podniósł słuchawkę.

- Taaa. Połącz go. Przynieś mi cygaro - zwrócił się do Marigold. - Są na biurku za tamtymi drzwiami. Otworzyła drzwi, za którymi uderzył ją zapach tytoniu o wiele silniejszy niż w innych pomieszczeniach. Nig-

dy nie była w tym pokoju. Musi być przeznaczony dla pokojówki, pomyślała, wchodząc do zapchanego, wąskiego pomieszczenia. Biurko i krzesło wyglądały jak meble w biurze kierownika na zapleczu sklepu. Zniszczony fotel pokryty czymś w rodzaju drukowanego filcu był w niektórych miejscach przetarty niemal na wylot, ściany poplamione nikotyną. Jej ojciec palił nałogowo, więc ten złoty brąz był jej dobrze znany.

Podeszła do okna. Poniżej, jak okiem sięgnąć, rozciągał się południowy Londyn - rzędy szeregowych domów, a z boku po prawej stronie Wandsworth Common.

Pod przeciwległą ścianą stała tandetna, drewniana biblioteczka z półkami rozmieszczonymi w jednakowych odstępach. Niektóre książki wyblakły już do odcienia nieokreślonej szarości i prezentowały popękane grzbiety. Inne miały obwoluty. Część leżała spiętrzona jedne na drugich, gdyż półki były zbyt niskie, by można je było postawić.

Chwilę trwało, zanim zdała sobie sprawę, co właściwie ma przed oczyma - Gerald musiał przez lata przechowywać te doczesne szczątki umeblowania. Czy kupił je w tym samym czasie co swój pierwszy garaż? Biblioteczka mogła pochodzić nawet z wcześniejszych czasów. Zapach cygar i kolor ścian świadczyły o tym, że nadal przychodził do tego pokoju, żeby sobie poczytać. Poczowała przypływ zupełnie nowego uczucia - współczucia, a nawet podziwu. Odkryła się oto przed nią sekretna strona natury Geralda, starannie przez niego pielęgnowana.

- Pospiesz się, dobrze? - dobiegł okrzyk z sąsiedniego pokoju.

Wyjęła pudełko cygar z biurka, po czym cicho zamknęła za sobą drzwi. Gerald nadal rozmawiał przez telefon. Kiedy podeszła do miejsca, gdzie siedział, dostrzegł na jej twarzy wyraz oszołomienia i uśmiechnął się do siebie.



- Przyjrzyj się temu pustemu budynkowi na Berkeley Square - zaproponował jej kilka dni później, zapalając cygaro i przechylając do tyłu na krześle. - Możesz tam wyrzucić tyle ścian, ile zechcesz, i urządzić tę chatę na nowo od góry do dołu.

Obecnie za każdym razem, kiedy Marigold przechodziła pod łukowym sklepieniem, doznawała przypływu radości na myśl, że nie musi już trzymać na wodzy swego nieopanowanego pociągu zmysłowego. Ale czuła równocześnie dużo więcej. Rytualny posiłek przy ciężkim stole, kiedy on siedział u szczytu po stronie przeciwnej do lustra, a ona na prawo od niego, przestał stanowić dla niej źródło bolesnego napięcia. Często siedzieli, rozmawiając, jeszcze przez jakiś czas po tym, gdy on odsunął talerz, dopóki słowa nie zaczynały jej się plątać pod jego zmienionym spojrzeniem.

- Galerię możesz umieścić, na którym piętrze zechcesz, na parterze, pierwszym piętrze, gdziekolwiek.  
- Machnął ręką. - Kolekcja będzie całkowicie stworzona przez ciebie. Przy niej Saatchi będzie wyglądał jak zbieracz kamyków.

Oczywiście do tego nigdy nie dojdzie. Uśmiechnęła się w duchu, wyobrażając sobie, jak informuje Milesa: „A, przy okazji, Gerald Scrope chce wesprzeć moją budowę galerii sztuki”. Jednak bawiło ją wyobrażanie sobie tego wszystkiego.

- Co mam zrobić z pozostałymi pokojami? - spytała. - To spory budynek.

- Mieszkaj w nich.

Cień przemknął przez jej twarz.

- Geraldzie, ja nie zamierzam opuścić Milesa.

- Dlaczego nie?

- Kocham go. Dał mi wszystko, czego zawsze pragnęłam.

- Nie wszystko. - Przerwał. - Ja mam to, czego pragniesz.

Poruszyła się niespokojnie na krześle.

Gerald spojrział na nią w zamyśleniu.

- Mam władzę, którą on posiada i jeszcze nieco w nadmiarze. Mogę ci kupić to wszystko co on i więcej. Nie jestem dżentelmenem jak on, ale mam tytuł para i ludzie muszą mnie szanować, ponieważ się mnie boją. To wszystko stawia nas na mniej więcej równym poziomie.

- A poza tym?

- A poza tym - Gerald uśmiechnął się - jestem rozbójnikiem.

Jak tylko Luis wprowadził go do swego mikroskopijnego pokoiku, Simon od razu zauważył żółtawe dokumenty leżące na stole. Znów usiedli naprzeciw siebie na składanych krzesłach.

- **Si, señor** Fleet. To jest tutaj. Ja robię przygotowania, kosztowne przygotowania. Raport policyjny musi wrócić na **comisaria** w Saltillo jutro. Pan rozumie, że to jest oficjalny raport policyjny.

Simon wpatrywał się w wyblakłe dokumenty leżące w wyraźnym osamotnieniu. Sięgając po nie, stwierdził, że jego ręka drży z napięcia.

- Nie bardzo dowierzam swojemu hiszpańskiemu, Luis. Przetłumacz mi to. **Por favor** - dodał.

Luis uśmiechnął się nieśmiało, sięgając do kieszeni marynarki po okulary i zakładając metalowe rączki za uszy. Wyprostował się nieco bardziej w swoim krześle i zaczął powoli czytać.

- Jedenastego sierpnia, w miejscu gdzie droga do Saltillo przecina pasmo górskie, samochód prowadzony przez **señora** Milesa Brewstera, lat dwadzieścia siedem, z Bostonu w Massachusetts, USA, potracił i zabił Pereditę Orozco, lat siedem, córkę Roberta Orozco, w miejscu gdzie stała przy drodze. - Luis podniósł wzrok. - Musi pan wybaczyć sztywny styl, jakim **policía** pisze raporty, **señor** - powiedział przeproszającym tonem.

- Tak, tak - machnął ręką Simon.

- Samochód spadł następnie ze skarpy i uderzył w za-

rośla *mesquite*. *Señor* Brewster i pasażerka, *señorita* Teresa Lopez, lat dwadzieścia dwa, córka Pedro Lopcza, odnieśli ciężkie obrażenia. Dwoje amerykańskich pasażerów doznało jedynie *poco* - poprawił się - zostało tylko lekko rannych i...

- Co?

Luis pedantycznie cofnął się nieco, żeby zacząć od nowa:

*Señor* Brewster i pasażerka, *señorita* Teresa Lopez, lat dwadzieścia dwa, córka Pedro Lopeza, odnieśli ciężkie obrażenia. Dwoje amerykańskich pasażerów zostało tylko lekko rannych i wspięli się z powrotem na szosę, gdzie zatrzymali ciężarówkę. *Señor* Brewster i *señorita* Lopez zostali ułożeni na platformie ciężarówki i całą czwórkę odwieziono do szpitala w Saltillo wraz z ciałem dziecka Peredity Orozco.

- Przeczytaj jeszcze raz ostatnie dwa zdania - powiedział Simon.

Luis wykonał to polecenie. Potem czekał cierpliwie. Simon w zamyśleniu kiwał głową.

- Mam czytać dalej, *señor*?

- Tak.

- *Señor* Brewster przyjął na siebie pełną odpowiedzialność za ten wypadek. Badanie wykazało obecność alkoholu w jego krwi.

Simon przechylił się do tyłu w swym koślawym krześle. Po chwili znów pochylił się naprzód.

- Luisie, czy to normalne w raportach meksykańskiej policji, żeby nie wymieniać z nazwiska wszystkich pasażerów biorących udział w śmiertelnym wypadku?

- Nic nie jest normalne w raportach meksykańskiej policji, *señor* - odparł Luis ponuro.

- Przeczytaj to wszystko jeszcze raz, ale powoli - polecił Simon, wyjmując notes. Kiedy skończył zapisywać, powiedział: - Będę potrzebował fotokopii tego dokumentu.

Twarz Luisa stała się doskonałym wyobrażeniem smutku.

- To może być niewykonalne, *señor* Fleet.

- Na litość boską - zirytował się Simon - nawet w Meksyku musi istnieć możliwość wykonania fotokopii dwóch kawałków papieru.

Luis wzruszył ramionami, rozkładając ze smutkiem ręce.

Simon sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Oczywiście zamierzałem pokryć wszelkie koszty, na które będziesz narażony.

Umieścił plik banknotów na dokumencie.

- Czy jest to możliwe, że był jeszcze wcześniejszy raport policyjny? Na przykład, co stało się z samochodem? Poszedł po prostu z dymem? Czy znasz kogoś na posterunku policji w Saltillo, kto mógłby jeszcze trochę pokopać?

- Wiele rzeczy poszło z dymem, *señor* Fleet. Muszę porozmawiać jeszcze raz z porucznikiem Marąquezem, kiedy wróci na posterunek w Saltillo. Zdaje się, że akurat zachorował i przez osiem dni będzie na zwolnieniu lekarskim.

Simon w żaden sposób nie skomentował zadziwiającego faktu, że Luis potrafi z taką dokładnością przepowiedzieć czas trwania choroby porucznika.

- Czy przed upływem tego czasu mógłbym się jakoś skontaktować z porucznikiem Marąquezem? - spytał tylko.

- Nie, *señor*. I przekona się pan, że będzie lepiej, jeśli najpierw ja z nim porozmawiam.

- Na litość boską, Luis, zawiadom mnie, jeśli wróci wcześniej.

Luis robił wrażenie kompletnie zagubionego. Sięgnąwszy po swoją kopertę, Simon odliczył z niej pozostałe banknoty.

## ROZDZIAŁ 36

- Gdzie twoja wyobraźnia? - spytał Gerald. - Pomyśl, jaką interesującą parę byśmy stworzyli. Całe miasto by o nas gadało.

Marigold uśmiechnęła się i wzięła do ust następny kęs kurczaka.

- Ty i Miles Brewster tworzycie elegancką parę, którą ludzie uważają za normalną. Wprawdzie on jest Amerykaninem, a ty Angielką, ale to nie jest specjalnie szokujące. Przy mnie miałabyś władzę i pieniądze, a jeszcze dodatkowo wszyscy tręcaliby się łokciami, ilekroć weszlibyśmy razem do pokoju. Pociągnął cygaro.

- Lord Scrope odebrał ją Milesowi Brewsterowi, wiesz, kochanie - powiedział, przedrzeźniając klekocący akcent angielskiego ziemiaństwa.

- Ciekawa jestem, ile bym cię obchodziła, gdybym nie była żoną Milesa Brewstera.

- Takie gdybanie jest idiotyczne. Nie ma nic wspólnego z niczym. Czy Diana obchodziłaby cię cokolwiek, gdyby nie była księżną Walii? Ale ona jest księżną Walii. A czy te wszystkie kobiety podniecałyby się, myśląc o Franku Lambercie, gdyby nie był on prezydentem? Ale on j e s t prezydentem. Mogłabyś równie dobrze spytać, czy czułbym to samo w stosunku do ciebie, gdybyś była łysa. - Przeniósł wzrok na jej wspaniałe włosy. - To jest transakcja wiązana. Fakt, że jesteś panią Brewster, jest

częścią umowy. To samo dotyczy bycia byłą panią Brewster.

Marigold położyła mu rękę na ramieniu.

Spróbuj **to** zrozumieć, Geraldzie - poprosiła. - Nie mogę podjąć decyzji, jakiej pragniesz. Musi zostać tak, jak **jest**. Będę przychodzić do ciebie w tajemnicy tak często, jak zechcesz. Ale nigdy nie powiem Milesowi.

Odrzucił jej rękę.

- Spójrz na to inaczej - nie ustępowała. - Gdyby to było jawne i szacowne - w jej oczach pojawiło się rozbawienie, gdy użyła tego słowa w odniesieniu do ich związku, ale zupełnie serio ciągnęła dalej - nie przeżywalibyśmy tego, co teraz. To, że przychodzę do ciebie w sekrecie, jest najczystsza formą podniecenia, jakiej w życiu doświadczyłam

- Najczystsza! - Zdusił cygaro w popielniczce i skinął głową.

Marigold podniosła się z krzesła. Przez chwilę wyglądała jak rzeźba *Ekstaza świętej Teresy* Berniniego.

Porucznik Marquez siedział za swym biurkiem jak aztecki bożek w koszuli khaki. Powoli przymknął i otworzył oczy. Potem wskazał Simonowi metalowe krzeselko stojące naprzeciw niego w nędznym biurze.

Był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną o starannie przyciętych paznokciach. Jego twarz nie wyglądała raczej na wymizerowaną, czego można by się spodziewać u człowieka, którego nieobecność spowodowana była chorobą.

- Zdaję sobie sprawę, że zabierze to pański cenny czas, poruczniku, lecz to ważne, niezwykle ważne, żebym znalazł...

- Wiem, o co panu chodzi, *señor* Fleet. Luis mi powiedział.

- Jeśli istotnie był wcześniejszy raport dotyczący wypadku Milesa Brewstera, co pana zdaniem mogło się

z nim stać? - spytał Simon. - Czy mógł zostać pogrzebany w jakimś stosie makulatury gdzieś indziej w Saltillo? Przez twarz policjanta przemknął krótki uśmiezek.

- Naprawdę trudno powiedzieć, *señor*. - Porucznik Marquez przybrał wyraz twarzy człowieka, który już niejedno w życiu widział. - Jediną pewną rzeczą na tym świecie jest jego niepewność.

Simon poruszył się zirytowany na swym krześle. Pieprzony filozof.

- Proszę posłuchać, poruczniku - zdecydował się stworzyć atmosferę rozmowy dwóch mężczyzn światowych, którzy doskonale się rozumieją. - Wiem od Luisa, że wrócił pan właśnie do pracy po chorobie. Mam nadzieję, że całkowicie pan wyzdrowiał.

Bożek skłonił lekko głowę, by pokazać, że docenia troskę Simona.

- Może będzie lepiej, poruczniku, jeśli wrócę tu jutro, dzięki czemu będzie pan miał więcej czasu?

Simon sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął kopertę, którą uprzednio wypełnił gotówką.

- Zdaję sobie sprawę, że szukanie dokumentów datowanych piętnaście lat temu będzie związane z kosztami. - Położył kopertę na biurku.

Porucznik Marquez nie wykazał żadnego zainteresowania.

- Jeśli uda się panu znaleźć to, czego pragnę - ciągnął Simon - to mój pracodawca będzie równie wdzięczny jak ja. Poczulby się obrażony, gdyby nie zechciał pan przyjąć od niego czegoś dla siebie.

Gryzący zapach amoniaku, który uderzał człowieka zaraz po przekroczeniu progu, był dziś silniejszy niż zazwyczaj. Cóż miał on zamaskować? Normalne zapachy z toalety? Czy też odór zrodzony z lęku i bólu? Trzech Meksykanów siedziało na ławce w sporej odległości od siebie, wpatrując się w posadzkę pod swoimi stopami. Tynkowana ściana za ich plecami była poplamio-

na i poodpryskiwana, pokryta aż do dołu częściowo startym graffiti.

- **Buenos dias.** Porucznik Marquez mnie oczekuje -odezwał się Simon do jednego z dwóch policjantów przyglądających mu się beznamietnie zza wysokiego kontuaru.

Poprzedniego dnia zaczął po hiszpańsku wyjaśniać cel swego przybycia, lecz policjant szybko mu przerwał, oświadczając chłodno:

- Mówię po angielsku.

Dziesięć minut później poprowadzono go wąskim korytarzem.

- Proszę usiąść, **señor** Fleet.

Raz jeszcze zajął miejsce na niewygodnym krześle stojącym naprzeciw biurka.

- Nie było to łatwe, **señor**. Wcale nie było łatwe. -Porucznik Marquez przybrał niezgłębiony wyraz twarzy.

Simon mimowolnie położył rękę na piersi. Wyglądał, jakby sprawdzał bicie swego serca albo miał za chwilę zaśpiewać pieśń. W rzeczywistości chciał poczuć uspokajający dotyk grubo wypchanej koperty na piersi.

Nieprzeniknione oczy policjanta śledziły jego ruchy. Marquez, jak aktor w melodramacie, nie wykazywał najmniejszego pośpiechu.

- Przypuszczam, że odkrył pan, jak trudną rzeczą jest cierpliwość.

- Tak.

Oślepiający uśmiech przepołowił mahoniową twarz. Porucznik Marquez wyciągnął szufladę biurka.

- **Esta aqui** - oznajmił triumfalnie, rzucając na biurko niewielki plik poliniowanych kartek o postrzępionej górnej krawędzi, spiętych zardzewiałym spinaczem. Wyglądały tak, jakby bardzo dawno zostały wydarte z jakiegoś notatnika. - To zostało spisane w szpitalu w Saltillo, gdzie ranni zostali zabrani wraz z ciałem Peredity Orozco. Myślę, że trafnie wybrano jej imię. - Jego twarz ponownie przybrała nieprzenikniony wyraz. - Jak przy-



puszczam, Meksykanie odczuwają większą potrzebę nadawania imion wyrażających smutek niż wy, na północy.

Simon skłonił głowę z szacunku dla większego smutku Meksykanów. Potem powiedział:

- Nie mogę polegać na swoim hiszpańskim, poruczniku. Czy mógłby mi pan przetłumaczyć ten raport?

Porucznik Marquez czytał powoli i bez żadnej modulacji, w tym samym duchu, w jakim raport został napisany piętnaście lat temu. Opis wypadku zgodny był z oficjalnym raportem, będącym już w posiadaniu Simona. Przechodząc do następnej strony, policjant podniósł wzrok.

- To, co czytam, to nie jest dokładne tłumaczenie, *señor* Fleet. Policjant, który pisał ten raport, niezbyt dobrze władał językiem.

Simon wykazał należny podziw dla wspaniałej znajomości angielskiego i hiszpańskiego prezentowanej przez porucznika.

Marquez czytał dalej:

- Dwoje amerykańskich pasażerów samochodu, którzy odnieśli lekkie obrażenia, *señor* F. R. Lambert i *señora* N. T. Lambert powiedzieli, że załatwią...

- Jezu Chryste. Co pan powiedział?

- Dwoje amerykańskich pasażerów...

- Ich nazwiska! - wrzasnął Simon.

Wyrwał mu kartkę i zaczął przesuwając palcem wzdłuż plątaniny wyrazów. Jak rażony gromem wpatrzył się w te dwa nazwiska, serce mu waliło.

- O mój Boże!

Po chwili oddał kartkę porucznikowi, tak ostrożnie, jakby mogła się stłuc.

- Proszę dahi, poruczniku.

- ...powiedzieli, że załatwią wszystko co konieczne dla usunięcia samochodu. Samochód, **Chevrolet**, rejestracja stanu Maine numer CLN 821, zarejestrowany był na nazwisko N. T. Lambert.

Sprawdził kolejność stron, zanim złożył je w schludny stosik i ponownie spiął zardzewiałym spinaczem.

- Uważam, że mieli szczęście, *señor*, że dali radę wspiąć się na skarpe i zatrzymać ciężarówkę. Szpital w Saltillo jest, dobrze; wyposażony. Może nie tak dobrze jak ten w Monterrey, ale dostatecznie. Pozwolił sobie na znaczącą pauzę, więc Simon domyślił się, że należy oczekiwać jakiejś sarkastycznej uwagi.

- Oczywiście nawet najlepsze wyposażenie, *señor*, nie mogło przywrócić do życia meksykańskiego dziecka.

Po okazaniu należnego żalu, Simon poprosił go:

- *Por favor*, poruczniku, proszę to przeczytać jeszcze raz. Powoli. - Wyjął notes i pióro.

Kiedy policjant zakończył swoje tłumaczenie, Simon sięgnął do marynarki i umieścił na biurku zamkniętą kopertę.

- Potrzebna mi fotokopia tego raportu, poruczniku. Bożek, nie zginając karku, złożył mu poważny ukłon.

- Proszę wrócić do tego pokoju jutro o tej samej porze, *señor* Fleet.

List napisał na hotelowej papeterii. Musiał starannie dobrać słowa, tak, żeby nie można go było oskarżyć o oszustwo, gdyby pokazała list komuś z innej gazety.

***Droga señorita López***

***W dniu poprzedzającym mój planowany wyjazd z Pani kraju wyniknęły pewne okoliczności, o których koniecznie muszę Panią powiadomić. Jeśli nie uda mi się z Panią zobaczyć, istnieje niebezpieczeństwo, że może dojść do poważnego nieporozumienia.***

***Z poważaniem Simon Fleet***

Przeszedł przez podwórze, cały czas obserwowany przez szofera siedzącego za kierownicą. Zapukał, a kiedy drzwi się otworzyły, wręczył swój list.

Za drugim razem drzwi otworzyły się na całą **szoro** kość.

Gdy się do niej zbliżał, patrzyła na niego z niezobowią zująco uprzejmym wyrazem twarzy, a list leżał na jej kolanach. Z ukłonem usiadł na krześle w pobliżu huśtawki. Tym razem nie zaproponowała gorącej czekolady.

- Cieszę się, że mogła mnie pani przyjąć, *señorita* - zaczął.

Odwzajemniając jego ukłon, skłoniła głowę, nie spuszczać z niego oczu.

Kiedy ostatnio rozmawialiśmy - powiedział - wspomniała pani, że to normalne wśród przyjaciół, że utrzymują ze sobą kontakt. Czy jeśli chodzi o pozostałych dwoje pasażerów z tego samochodu, oni także są z panią w kontakcie?

Teresa bez pośpiechu opuściła rzęsy, zakrywając nimi oczy. Wyciągnęła rękę i wprawiała huśtawkę w ruch. Małpka zmieniła pozycję.

Kiedy ponownie podniosła wzrok, spytała:

- O jakim to poważnym nieporozumieniu pisał pan w liście, *señor* Fleet?

Poczuł się nieswojo pod jej uważnym spojrzeniem.

- Wiem, kim byli ci pasażerowie.

- Och, doprawdy?

Sprytna, pomyślał. Nie ryzykuje. On mógłby przecież blefować.

- Wiem, że to był prezydent Lambert, wtedy kongres-men, oraz jego żona - oznajmił.

Po prawie niezauważalnej pauzie Teresa spytała:

- O co więc chodzi, *señor* Fleet? Simon zmieszał się.

- Dlaczego nie wspomniała mi pani o nich przedtem?

- Bo pan nie pytał - odparła. Nadal utrzymywała niezmacony wyraz twarzy, lecz w jej oczach malowało się wyzwanie.

Simon opuszczał dom lekkim krokiem, jakby to, że

zrobiła mu przykrość, wytrącając go z równowagi, zdjęło z jego ramion jakiś ciężar. Zjeżdżanie z pogórza było równie ryzykowne jak wspinaczka, lecz tym razem niewiele zwracał uwagi na zgrzytanie skrzyni biegów. Przez większość czasu był zaabsorbowany pisaniem w swym notesie;. Kiedy dotarli do kanionu Huasteca, odłożył pióro i pogrążył się w myślach.

## ROZDZIAŁ 37

Mat igold siedziała przy swojej toalecie, zapinając wymyślne przednie guziki przy wydekoltowanej sukience. Zawsze; starała się wyglądać kusząco podczas ich wspólnych kolacji w domu. Usłyszała otwierające się drzwi i kiedy ujrzała go w lustrze, z ręką na gałce, coś w sztywności postawy Milesa sprawiło, że serce zaczęło jej walić ze strachu. On wie. Niemożliwe. A jednak skądś wie. Odwróciła się od lustra.

Jego twarz była poszarzała i ściągnięta.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

Posłusznie poszła za nim do gabinetu. Nalał im obojgu drinka. Czuł płynący od niej zapach perfum, które tak lubił. Kiedy usadowiła się już w jednym z foteli stojących przy kominku, wręczył jej złożony arkusz kremowego papieru welinowego i usiadł naprzeciw niej. Miała nadzieję, że nie widzi, jak jej się trzęsą ręce podczas rozkładania kartki.

Papier nosił wytłoczoną pieczęć Izby Lordów i podpisany był przez Geralda. Po raz pierwszy miała okazję widzieć jego odręczne pismo - kształtne, trochę stłoczone litery.

***Szanowny panie Brewster!***

***Pragną poinformować Pana, że zamierzam poślubić Pańską żonę. Nie chcę ogłaszać tego publicznie, dopóki przebywa ona pod Pańskim dachem.***

***Niecierpliwie oczekuję informacji, od Pana lub Pańskiej małżonki, jak szybko zamierza ona opuścić Pański dom.***

***Z poważaniem Gerald Scrope***

Z twarzą bladą jak ściana krzyknęła z wściekłością:

- Cóż za zdumiewający list! - Rzuciła go na podłogę. Jak mógł jej zrobić coś takiego?

- Od jak dawna to trwa? - spytał Miles zmęczonym głosem.

Czy to ma jakieś znaczenie, zapytał sam siebie w duchu. Jeżeli okaże się, że żona oszukiwała go przez miesiąc, to czy smak popiołu w ustach będzie mniej wyraźny, niż gdyby oszukiwała go przez rok, pięć lat, dziesięć? Czy zadał to pytanie tylko dlatego, że tak podobno ludzie robią w takiej sytuacji? Po prostu, żeby dać sobie czas na złagodzenie ciosu?

- Och, Milesie. Jest to ostatnia rzecz, której bym chciała.

Uświadomiła sobie, że czuje chłód w pokoju, zupełnie jakby temperatura nagle spadła. Zaczynała dygotać, ale zdobyła się na ogromny wysiłek, żeby jej ciało pozostało nieruchome.

- Gdzie się z nim spotykasz? Długa cisza.

- W jego mieszkaniu.

Zdawała sobie sprawę, że grzęźnie coraz bardziej. Jego wypytywanie wprawiało ją w coraz gorszy nastrój jak urażoną uczennicę, a jednocześnie boleśnie zdawała sobie sprawę, że to on potrzebuje pociechy i wsparcia.

Kamienne milczenie wypełniło pokój.

Po pewnym czasie Miles znów się odezwał.

- Jak to możliwe, że twoje... - szukał przez moment neutralnego słowa na określenie ich zbliżeń - zachowanie w stosunku do mnie nie uległo zmianie?

- Mogłabym odpowiedzieć, że jesteś wspaniałym ko-

chankiem - odparła - co jest prawdą. Lecz główny powód to to, że cię kocham.

Powiedziała to z bezpośredniością młodej dziewczyny. Miles pociągnął łyk swojego drinka z twarzą kompletnie pozbawioną wyrazu.

A co z lordem Scrope'em? Czy jemu składasz te same deklaracje? Przeżywasz z nim w innej wersji to, czego doświadczałaś ze mną?

Siedziała sztywna z napięcia, szukając odpowiedzi, kl ora mogłaby ją wybawić.

Zrozum, to jest coś zupełnie innego - powiedziała. - To moja ciemna strona. Nie ma to nic wspólnego z uczuciami, które mam dla ciebie.

- Muszę być bardzo niewrażliwy - odparł ironicznie - skoro nie zdawałem sobie sprawy z istnienia tej drugiej strony.

- Przez długi czas była głęboko ukryta. Od kiedy poznałam ciebie.

Obydwoje siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. Dostrzegła, że jego twarz zaczyna nabierać jakiegoś wyrazu. Czyżby zaczynał mieć wątpliwości, czy słusznie ją tak ostro osądził? Musiała drażnić dalej tę szczelinę w murze, którym się otoczył.

- Niemniej jednak zawsze we mnie była - ciągnęła. - Oddałabym wszystko, żeby pozostała w ukryciu. Nawet jej nie lubię. - Przekonując go, zapomniała niemal, jak bardzo przymus chodzenia do Geralda przewyższał to, o czym mówiła.

Obserwując tłumaczącą się żonę, Miles wypił następny łyk whisky. Była bez smaku.

- Czy mógłbyś postarać się mnie zrozumieć? - spytała. - Nie wiem, dlaczego jest we mnie ta mroczna strona.

I nie ma ona żadnego wpływu na to, co czuję do ciebie. Nawet najmniejszego. Przysięgam.

- Czy mam rozumieć, że chcesz mieć mnie i lorda Scrope'a jednocześnie?

- To jest upraszczanie sprawy.

- Prosty czy nie, czy tak wyglądał twój plan? Zeskoczyła z fotela i stanęła przed nim.  
- Miles, zerwę z nim. Daj mi tylko trochę czasu. Spojrzał w bok. Twarz miał ciągle jeszcze ściągniętą, ale jej wyraz nieco złagodniał. Marigold odwiedziła kiedyś w szpitalu przyjaciela, który właśnie został poważnie ranny. Jego twarz miała taki sam wyraz.

Lecz twarz Milesa zdążyła już stać się nieruchomą maską.

- Prosisz o zbyt wiele - odparł.

Wydała okrzyk przypominający jęk i usiadła mu gwałtownie na kolana, obejmując go ciasno ramionami. Czuł jak jej łzy przesiąkają mu przez koszulę. Walka, którą musiał ze sobą toczyć, była niemal nie do wytrzymania. Jednak jego twarz pozostała nieporuszona.

Po jakimś czasie Marigold oderwała się od niego. Widok tej zwykle nieskazitelnej twarzy zalanej teraz łzami ścisnął go za serce. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę, którą jej wręczył. Nie wypuszczając jej z ręki, Marigold podniosła się i powolnym krokiem opuściła pokój, zostawiając drzwi otwarte.

Wydawało jej się, że wskazówki zegarka przy łóżku stanęły. Po upływie wieczności przesunęły się zaledwie o dziesięć minut. Potem jeszcze o dziesięć. Kiedy minęło pół godziny, musiała stawić czoło rzeczywistości. On nie miał zamiaru przyjść do niej. Gerald tego dopilnował. Była teraz jego własnością.



**CZĘŚĆ  
IV**

## ROZDZIAŁ 38

Czas spędzany przez nich wspólnie przypominał teraz groteskową parodię filmu, w którym para bohaterów zdecydowała się właśnie na rozstanie. Spali w osobnych sypialniach, co sformalizowało fakt, że już ze sobą nie żyją. Żadne z nich nie miało pojęcia, jak dalej postępować.

Miles nie kontaktował się z Geraldem Scrope'em. Zostało uzgodnione, że Marigold powie mu, iż jej oficjalna separacja z Milesem nastąpi w najkrótszym terminie pozwalającym załatwić całą tę sprawę z odrobiną godności. Miles nie wspominał o tym nikomu. Wiedział, że musi wkrótce powiadomić swojego prawnika, ale na razie nie mógł jeszcze stawić temu czoła.

Wieczory, kiedy wychodzili razem na kolacje do innych ludzi, były mniej bolesne niż takie jak dzisiejszy, kiedy jedli we dwojkę w tym ogromnym mieszkaniu. Próby rozmowy o tym, co robili w ciągu dnia, szybko się wyczerpywały i jedynym dźwiękiem był szcęk sztuców o porcelanę. W wahadłowych drzwiach prowadzących do części kuchennej musiał chyba zatrzeć się zawias - zazwyczaj otwierały się bezgłośnie, gdy dziewczyna popychała je, nosząc potrawy, dziś natomiast za każdym razem przerywały ciszę rodzajem westchnienia.

Marigold nie mogła już znieść tej sztucznej atmosfery, brakowało jej normalnej wymiany zdań. Kiedy po kolacji opuszczali jadalnię, wyciągnęła dłoń i dotknęła go. Sta-

nęli, patrząc na siebie. W jego twarzy było tyle smutku, że w Marigold zaczęła tlić się nadzieja, iż uda się jej jego również zatrzymać. Obdarzył ją wymuszonym uśmiechem. Potem odwrócił się i poszedł do swojego gabinetu.

Dwie godziny wcześniej kierowca Milesa przyjechał, by zabrać go do biura, lecz nadal czekał na zewnątrz. W mieszkaniu Miles i Marigold siedzieli z dwoma prawnikami pogrążeni w rozmowie, która dla Milesa była jedną z najboleśniejszych w ciągu ostatnich piętnastu lat. Na razie nie zamierzali ogłaszać oficjalnego komunikatu, trzeba było jednak dokonać pewnych ustaleń dotyczących dalszego postępowania i finansów.

Wkrótce po odjeździe prawnika Miles również wyszedł. Dzień był ponury - przytłoczony nisko wiszącym, szarym niebem, akurat pasował do jego nastroju. Szofer powitał go i nie odezwał się więcej ani słowem, tylko usiadł za kierownicą. On też dostrzegł napięcie i wyczerpanie malujące się na twarzy Milesa.

Kiedy zszedł tego popołudnia do pokoju redakcyjnego, Zoe przeraził jego wygląd. Co, u diabła, się stało? Wyglądał tak, jakby mu ktoś umarł. Minął jej biurko, kompletnie nie zwracając na nią uwagi. Leżała otulona kołdrą i czytała, kiedy odezwał się dzwonek. Spojrzała na zegarek - prawie dziesiąta. Każde z mieszkań miało osobny dzwonek przy drzwiach frontowych, ale nie było domofonu. Może ktoś nadusił zły przycisk.

Tym razem dzwonek był dłuższy. Cholera jasna. Odrzuciła przykrycie i poszła wyrzeć przez wychodzące na ulicę okno na korytarzu. Balkon nad schodkami frontowymi skutecznie uniemożliwiał dojrzenie czegokolwiek poza męskimi butami i nogami w spodniach.

Otworzyła okno i wychyliła się. Chłód zaszczypał ją w policzki i natychmiast przeniknął na wylot cienką koszulę nocną.

- Halo?! - wrzasnęła.

Buty zeszyły po schodkach i z chodnika spojrzął na nią Miles.

- Przeszkadzam ci? - spytał.

Jej ciało drżało od mroźnego powietrza, ale zalała ją fala gorąca.

- Co ty tu robisz?! - zawołała, śmiejąc się.

- Miałabyś ochotę zaproponować mi drinka? Akurat tędy przechodziłem.

- Zaplanowałam na dziś spokojną noc - odparła, nadal się śmiejąc.

- Będę pił bardzo spokojnie - obiecał.

- Za sekundę będę na dole.

Zamykając z trzaskiem okno, pobiegła do sypialni i złapała z szafy w miarę ciepły szlafrok. Spojrzała w lustro. Boże! Miejmy nadzieję, że on lubi bardzo naturalny wygląd. Klapiąc bosymi stopami po schodach, zbiegła pół piętra do drzwi swojego mieszkania, po czym nie zamykając ich za sobą, przebyła resztę drogi.

- Dobry wieczór - odezwał się.

Coś w jego głosie wydało jej się troszkę dziwne. Zrozumiała, co to było, gdy odwrócił się po zamknięciu drzwi i owionął ją mocny zapach whisky.

- Mam nadzieję, że lubisz wspinaczkę - powiedziała i poszła przodem.

Po przekroczeniu progu swojego mieszkania zaczęła na niego, aby zamknąć również te drzwi.

Potem ruszyła dalej po schodach świadoma, że on idzie o kilka schodków niżej, z głową na wysokości jej bioder.

Zoe od czasu do czasu proponowała komuś wypicie u niej drinka przed wyjściem na obiad, ale unikała zapraszania mężczyzn na kawę czy ostatnią szklaneczkę po powrocie z randki. Jej mieszkanie było tak intymne, że czuła się nieco zagrożona, przebywając w nim samotnie z mężczyzną, który był nią zainteresowany, a zawsze wiedziała, kiedy tak było.

Jej salonik był wygodny, nie zagracony, przytulny.

- Czy tak tu wyglądało, kiedy to wynajęłaś? - spytał Miles.

- Mniej więcej. Poprzesuwałam trochę meble i dodałam to i owo.

Wykrzywiła się zabawnie na myśl o własnej skromności - spędziła niezliczone wieczory i weekendy, starając się nadać mieszkaniu osobisty charakter.

- Podoba mi się - stwierdził Miles.

Ruszył w kierunku kanapy, gdzie usadowił się wygodnie.

Pedantycznym „ping-pong” wiktoriański zegar karetowy oznajmił godzinę dziesiątą.

- Przyjechał ze mną z Vermontu - wyjaśniła niepewnie.

- On też mi się podoba.

- Masz ochotę na drinka? - spytała, nie siadając. To był w końcu jej dom, u licha. Dlaczego to ona ma się czuć zakłopotana?

- Można tu dostać coś takiego jak whisky z wodą sodową? - spytał, rozglądając się po pokoju i rozluźniając krawat.

- Nie mam bourbona. Ale jest trochę szkockiej.

- Doskonale.

Roześmiała się na głos. Czuła się niezwykle szczęśliwa, obojętnie, co go tu przyniosło.

- Zaraz wracam. - Wyszła szybko, zanim zdecydował się podnieść i podążyć za nią.

Wróciła z kuchni z butelką i dwoma szklankami, przytrzymując ramieniem syfon z wodą.

- Powiedz, kiedy dosyć - zarządziła, zaczynając nalewać whisky.

Gul, gul, gul.

Przerwała i spojrzała na niego pytająco, trzymając przechyloną butelkę.

- Przepraszam, patrzyłem na ciebie - usprawiedliwił się. - Starczy. I mnóstwo wody, proszę. Nigdy nie widziałem cię w rozpuszczonych włosach.

Kiedy naląła również sobie, zajęła fotel po drugiej stronie stolika do kawy.

- Jak sądzisz, dlaczego to się nazywa stolikiem do kawy? - spytał. Wypił mały łyk ze swej szklanki i odstawił ją. Wyciągnął nogi. - Zapomniałem ci podziękować.

Potem pogрузzył się w milczeniu.

Wpatrywała się w niego zaintrygowana i sączyła swojego drinka. Nie wyglądał już na zdruzgotanego, jak wcześniej w redakcji. W ogóle na nic nie wyglądał. Co oni tu, u licha, robią, siedząc we dwójkę? Usiłowała wyglądać swobodnie, gdy tymczasem miała wrażenie, że cała skóra napina jej się z przepelniającego ją podniecenia.

- Przeszkadza ci, że tu jestem? - spytał.

- Nie - odparła ostrożnie. - Zastanawiam się tylko, dlaczego najpierw nie zadzwoniłeś.

- Może nie planowałem, że tu przyjdę.

Odchylił głowę do tyłu, opierając ją o poduszki kanapy, dzięki czemu oczy miał teraz częściowo przesłonięte powiekami i nie mogła odczytać ich wyrazu, kiedy ją obserwował.

- Świadomie - dodał.

- Czy twój kierowca czeka na zewnątrz?

- Nie, dałem mu wolny wieczór. Zmieniła ułożenie nóg.

- Jakie to dziwne uczucie - powiedział - pracować tak blisko z kimś, kogo pragniesz, i mieć ciągle nawroty pożądania. Doświadczyłaś kiedyś czegoś takiego?

Czuła napięcie w każdym zakamarku ciała. Miles czekał.

- Wiem, co masz na myśli - odparła w końcu.

- Odpowiedź połowiczna.

Znowu cisza. Tylko ona popijała swoją whisky z wodą. On nie ruszył ponownie swojego, o wiele ciemniejszego drinka.

- Gdybym był wolny, jak to mówią - oświadczył - to zapewne dawno temu rzuciłbym się do twych stóp.

Autoironia tego wiktoriańskiego zdania dziwnie ją poruszyła. W panującej ciszy słyszała pracowite tykanie zegara.

- Wszystko się zmienia w nowy i nieoczekiwany sposób - ciągnął Miles - i nigdy nie jest już takie samo. Zupełnie jak w kalejdoskopie. Możesz w nim obejrzeć nieskończenie wiele skomplikowanych wzorów, ale nigdy nie uda ci się uzyskać z powrotem starego.

Czuła się, jakby on mówił jakimś szyfrem, a ona nie miała pojęcia, co te wszystkie symbole znaczą.

- Czy pozwolisz mi się dotknąć? - spytał. - Nie zamierzam cię rzucać na podłogę. Pragnę cię tylko dotknąć.

Wciągnęła powietrze, głęboko i powoli. Miles podniósł się i obszedł stolik. Stojąc nad nią, wyciągnął rękę i położył opuszki palców na jej ustach. Po chwili powiedział:

- Uwielbiam twoją twarz całkiem bez makijażu, tak jak teraz.

Przesunął powoli ręką po jej twarzy, jak ktoś, kto chce wyczuć kontury i fakturę każdej części cennego przedmiotu.

Podniósł ją na nogi.

Stali na środku pokoju, każde z opuszczonymi rękoma. Zaczął całować jej twarz, włosy, usta lekkimi pocałunkami, które nie wymagały odwzajemnienia. Dopiero kiedy jej ciało oparło się o niego, otoczył ją ramionami i wtedy jego pocałunki się zmieniły. Po chwili Zoe zrobiła to, za czym tęskniła przez wszystkie te miesiące - podniosła ręce i objęła go, zaciskając je coraz bardziej, w miarę jak ich pocałunki stawały się głębsze.

Nagle oderwała się gwałtownie od niego i obróciła plecami, oddychając szybko i płytko jak zdychający pies, którego kiedyś pielęgnowała. Śmierć z pożądania, pomyślała, niemal w ostatnim momencie, za którym nie było już odwrotu.

- To nie do zniesienia, że nie mogę zrobić tego, czego pragnę - powiedziała zduszonym głosem, uciekając

w przeciwny koniec pokoju. Kiedy ponownie uniosła ku niemu twarz okoloną zwisającymi w nieładzie włosami, starała się, żeby jej głos zabrzmiał lekko. - Sądzę, że lepiej będzie, jeśli ustawię między nami jakiś mebel.

Na jej usta znów powrócił miękki uśmiech.

W odpowiedzi lekko się uśmiechnął, nie ruszając z miejsca.

- Nie wszystko jest tak, jak się wydaje - odparł. -Będziemy musieli wkrótce poważnie porozmawiać. Sam wyjdę. Dziękuję za drinka. - Dalej wpatrywali się w siebie. - Ciekawe, czy zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś piękna? - powiedział na koniec. Obrócił się i wyszedł.

Słyszała niepewne kroki na schodach. Szczęknięcie zamka. Nasłuchiwała w napięciu. Może zmienił zdanie i jest ciągle po tej stronie drzwi. Aż do bólu pragnęła usłyszeć jego kroki wspinające się z powrotem.

Gdzieś z dołu dobiegł ją trzask drzwi frontowych.

Jak we śnie podeszła do okna na korytarzu. Schody pod balkonem były puste. Musiał już przejść na chodnik. Pobiegnęła z powrotem do saloniku, wyłączyła światła, tak że tylko blask ulicznej lampy przebijał przez zasłony. Odsunęła trochę jedną z nich i poczuła ciepło koło serca, gdy dostrzegła poruszającą się charakterystycznym krokiem postać dochodzącą do King's Road. Po chwili dotarł do narożnika i zniknął.



## ROZDZIAŁ 39

Nie mogła zasnąć. Nawet nie próbowała. Chciała przywoływać w pamięci każdą sekundę od momentu, gdy dzwonek zadzwonił po raz pierwszy.

Odrzuciwszy kołdrę, wróciła do saloniku i odsunęła zasłony. W miejscu, gdzie ostatnio go widziała, chodnik był pusty. Nocna mgła zamieniła każdą z lamp w rozmyty księżyc w pełni. Błyski reflektorów samochodowych przesuwwały się jak duchy po krótkim odcinku King's Road, który mogła od siebie dojrzeć. Wróciwszy do sypialni, tam również odsłoniła okna. Za nimi ujrzała tylko mgłę.

Leżała przez jakiś czas, obserwując ją.

Nie starała się zwalczyć wszechogarniającego ją pożądania. On czuł to samo w stosunku do niej, przynajmniej fizycznie. Co jeszcze czuł? Wreszcie poznała największy cud miłości. Rozpoznanie tego uczucia przyniosło jej falę głębokiej ulgi.

Mgła stała zupełnie nieruchomo, nawet przy szparze uchylonego okna.

On jest żonaty. Nie może powtórnie tego zrobić. Do niczego by to nie doprowadziło. Musi położyć temu kres. Teraz. Musi od razu wybić to sobie z głowy. Może on żałował, zanim jeszcze od niej wyszedł. W każdym razie był zalany, kiedy przyszedł. Czy zasnął jak kamień, ledwie tylko dotarł do domu i swojego łóżka? Czy jego żona nie spała? Te złotorude włosy na poduszce. Jak

będzie się czuł, gdy obudzi się rano i przypomni sobie, co zaszło w saloniku na World's End? W zasadzie to nic nie zaszło. A jednak tak.

Zacząła znów od nowa, od dzwonka na początku, i przebiegała myślami każdy szczegół, tęskniąc za nim bezgranicznie.

W swojej garderobie na St James's Place Miles leżał samotnie, nie śpiąc.

Ledwie przekroczył próg pokoju redakcyjnego, natychmiast spojrzął, czy Zoe siedzi przy swym biurku. Ani śladu. Siedząc już u siebie, raz po raz zerkał w tym kierunku.

Kiedy się pojawiła, dał jej czas, by mogła sobie wszystko przygotować, a potem opuścił swoje biuro.

- Cześć raz jeszcze - powiedział, przyciągając sobie krzesło.

Podniosła wzrok.

Nie potrafił rozszyfrować jej uśmiechu.

- Mam nadzieję, że nie narobiłem ci zbyt wiele zamieszania w środku nocy - zaczął.

Nie potrafiła zebrać myśli przepelniona radością, że go widzi, i obawą, co może się za chwilę zdarzyć.

Wreszcie powiedziała, nadal z uśmiechem:

- Sprawilo mi to przyjemność, nawet jeśli nam obojgu wymknęło się to nieco spod kontroli.

Chwila niezręcznej ciszy.

Miles odchylił się do tyłu na krzesle, wpatrując się bacznie w jej twarz.

Nawet Zoe zaczęła już czuć, że jej uśmiech jest sztuczny. Bo był sztuczny - marzyła tylko o tym, by wskoczyć mu na kolana.

- Masz dziś włosy zebrane w koński ogon - stwierdził.

Dotknęła niepewnie włosów ręką, po czym opuściła ją,

nie mając pojęcia, co zrobić na środku redakcji, skoro jedyne czego pragnie, to zarzucić mu rękę na szyję.

Uśmiechnął się do niej, zanim nagle wstał i wrócił do swojego biura.

Tego wieczoru w Izbie Gmin trzech kolejnych parlamentarzystów z partii rządzącej odwiedziło gabinet ministra obrony. Tutaj Alan dał im do zrozumienia, podobnie jak wszystkim innym grupkom, które spotykały się z nim w Izbie, że znajdzie się dla nich miejsce w każdym rządzie, formowanym przez niego, jak tylko uda się zmusić Martina Mathera do rezygnacji. Dzisiaj zostało postanowione, że ci różni niezadowoleni posłowie połączą się w jedną, zwartą grupę. Będzie się ona nazywała „Wielka Brytania Przede Wszystkim”.

Ich zadeklarowanym celem miało być przekonanie rządu do zniesienia embarga na broń dla Arabii, niezależnie od tego, co sobie myślą Amerykanie. Celem niezadeklarowanym natomiast było wprowadzenie Jego Ekscelencji Alana Rawlstona pod Numer Dziesiąty przy Downing Street.

- Świetnie, świetnie, ambasadorze. Tylko wyszkolony umysł mógł zaprezentować tę kwestię tak skutecznie.

Ileć wrzawa wokół podstawowej sprawy embarga nieco opadała, „Javelin” natychmiast na nowo podgrzewał atmosferę, a jego usłużny naczelny tu i ówdzie zniekształcał lekko sytuację, by sprostać wymaganiom właściciela. Ponieważ James odmawiał intelektualnego podporządkowania się, trzeba mu było w większości przypadków powściągać wodze.

Zastosowany od czasu do czasu obiektywizm miesza szyki nieprzyjacielowi, brzmiał jeden z aksjomatów Geralda.

Pochwała dotyczyła zrównoważonej argumentacji zastosowanej przez Jamesa w artykule wiodącym, który skończył pisać przed godziną. Najpierw aspekt moralny

przemawiający za utrzymaniem embarga. Potem cena, jaką za to płaci brytyjski przemysł - utrata zysków i miejsc pracy. Mógł to wszystko napisać ze spokojnym sumieniem. Zwolennicy argumentów obu stron z każdym tygodniem zajmowali coraz więcej czasu antenowego i druku.

- Ale nie starczyło mi jaj, żeby przydusić którąś ze stron - wyjaśniał ponuro Jancie tego wieczoru. - No i oczywiście ja chcę, żeby embargo zostało utrzymane.

- Posłuchaj - powiedziała. - W momencie, w którym zdecydujesz się napisać w tej cholernej gazecie dokładnie to, co myślisz i pokażą ci drzwi, sama osobiście zagram lordowi Scrope'owi na nosie.

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Przy Jamesie nigdy nie owładnie nią dzika namiętność. Ale kochała go głęboko i wcale nie musiała się o to starać tak jak w tych pierwszych, niepewnych dniach odbudowy ich małżeństwa. Czasami mijały całe tygodnie, kiedy nie musiała siedzieć na rękach, by powstrzymać się od wykręcenia numeru Simona.

James podniósł wzrok znad barka. Simon uśmiechnął się wesoło i pomachał mu ręką, lecz nie przerwał swojej wędrówki w kierunku gabinetu przewodniczącego. W drugiej ręce trzymał teczkę.

- Raczył pan wrócić, panie Fleet - zauważył Gerald. - Ufam, że przywiózł pan informacje, które usprawiedliwią pańskie wydatki.

- Czy mogę usiąść?

Gerald machnął ręką w kierunku niskiego fotela po drugiej stronie biurka. Simon nie znosił tego siedzenia dla petentów.

- Mam to, czego pan pragnął, panie przewodniczący. Wyprostował się i położył teczkę na biurku.

Gerald otworzył ją bez pośpiechu. Tyle się naczekał na tę chwilę.

Przebiegł wzrokiem fotokopie, których nie było zbyt

wiele, po czym przystąpił do dokładnego ich czytania. Wyciągi bankowe z okresu piętnastu lat wykazujące czeki wystawiane na bank w Bostonie. Oficjalny raport policyjny skopiowany przez Luisa. Wcześniejszy raport, którego dostarczył mu porucznik Marquez.

- Proszę mi opowiedzieć resztę, panie Fleet. Simon powtórzył mu wszystko, co zaszło w Monterrey i Saltillo. Opisał każdy szczegół swej wizyty na rancho Lopeza.

- Ona nie będzie z nami współpracować, panie przewodniczący. A jej ojciec naostrzy na mnie maczetę, jeśli będzie musiał zadowolić się własnymi zarobkami. Ale mamy już dosyć.

Gerald oparł się wygodnie w swoim fotelu.

- Dobrze się pan spisał, panie Fleet.

Siedzieli w milczeniu. Na twarzy Geralda malowało się zamyślenie, na Simona oczekiwanie.

- Proszę to napisać, panie Fleet. Potem przynieść do mnie. Puszczę to, kiedy nadejdzie właściwy moment. Już niedługo.

Przez twarz Geralda przeleciał cień uśmiechu, lecz był on zupełnie pozbawiony ciepła.

- Proszę mi powiedzieć, czy miał pan ostatnio przyjemność przebywać w towarzystwie pani Wharton?

- Jancie? - Simon poczuł się zbity z tropu.

- To bardzo atrakcyjna kobieta, panie Fleet. Słyszałem, że radzi sobie w dziale public relations BBC jak przysłowiowa kaczka w wodzie. Przyszło mi na myśl, że byłoby to zarówno pożyteczne, jak i miłe, gdybyśmy razem przyjęli panią Wharton lunchem. W moim mieszkaniu. W tym tygodniu. Proszę zaproponować jej dwa terminy. Niewątpliwie któryś będzie jej odpowiadał. Miłego dnia, panie Fleet.

## ROZDZIAŁ 40

Wracając z lunchu, usłyszała dzwoniący w swoim biurze telefon.

- *Buenos dias, bella seńora* - odezwał się wesoło Simon takim głosem, jakby codziennie ze sobą gawędzili.

Poczuła pulsowanie krwi w uszach. Musi się opanować i rozegrać to chłodno.

- Słyszałam, że byłeś w Meksyku - powiedziała pogodnie.

Simon zaczął nucić:

- *W pięknym, gorącym Meksyku pokochałem dziewczę cud...* - Roześmiał się dobrodusznie. -

Właściwie wyglądało to zupełnie inaczej. Nie znoszę Meksyku. I nie zakochuję się w nikim, od kiedy Jancie Wharton podbiła moje serce. Jak się czujesz?

- Mimo twoich wysiłków dobrze - odparła, śmiejąc się i stwierdzając po raz tysięczny, że kiedy Simon uwziął się, by kogoś przebłagać, niemożliwe jest nie wybaczyć mu tego.

- Teraz, kiedy twój mąż i ja mamy wspólnego szefa, nie będzie nic niestosownego w zaproszeniu cię na lunch do mieszkania przewodniczącego.

- Jeśli jeszcze ktoś powie o nim „przewodniczący”, to zacznę wrzeszczeć.

- Nazywaj go, jak ci się podoba, on jest twoim wielbicielem. Zdaje mi się, że chce sobie poflirtować z BBC. Będzie nas tylko troje. On nie znosi planowania tygod-

nie naprzód. Jeśli padnę przed tobą na twarz na końcu linii, to zechcesz skreślić kogoś, z kim się już umówiłaś na jutro albo pojutrze? Poczekaj, tylko położę się na podłodze. Już. Auu. Jaki jest twój wyrok?

Znów wybuchając śmiechem, Jancie powiedziała:

- Przykro mi, że nabawiłeś się reumatyzmu. Możesz się już podnieść. Uda mi się przyjść w czwartek. Dopilnuj, żebym się skupiła na interesach BBC. Nie chciałabym się zapomnieć i nazwać lorda Scrope'a rzezimieszkiem.

- Jesteś niezmiennie moją ulubioną kobietą. Czy wiesz, gdzie znajduje się jego mieszkanie?

- W tej olśniewającej wieży po drugiej stronie rzeki, naprzeciw Parlamentu?

- W tej samej. O pierwszej. Czekam na to z utęsknieniem większym, niż możesz sobie wyobrazić, *mi amor*.

Tego wieczoru James wrócił do domu o w miarę cywilizowanej godzinie. Siedzieli teraz z Jancie w jego gabinecie, opowiadając sobie wzajemnie, co się zdarzyło.

- Widziałem się w Waszyngtonie z Peterem Stainsle-yem - powiedział James.

- I jak się trzyma?

- Nie najlepiej. Powiedziałem mu, jak cię przygnębiła śmierć jego żony, że ciągle rozmyślasz, co to musi być za straszne uczucie, gdy osoba, którą kochałeś i z którą żyłeś przez siedemnaście lat, nagle tak po prostu znika.

Jancie uśmiechnęła się czule. Potrafiła wyobrazić sobie tę scenę jak żywą - Jamesowi łatwiej było wyrazić swoje uczucia, opowiadając, jak ona łączy się w smutku z Peterem.

Kiedy zaczynali się zbierać do łóżka, powiedziała:

- Nigdy nie zgadniesz, gdzie jem w czwartek lunch. W mieszkaniu twojego wielkiego przewodniczącego. Chce rozmawiać na temat BBC. Czy wiesz może, o co mu chodzi?.

James zdusił nagły przyływ irytacji. W końcu to on,

a nie jego żona, pracował dla Geralda Scrope'a. Dlaczego Jancie nie miałyby zjeść lunchu w domu jego pracodawcy?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Postaram się czegoś dowiedzieć, zanim się z nim spotkasz. Wiesz, kto jeszcze ma tam być?

Jancie tylko nieznacznie się zawahała, zanim odparła:

- Simon Fleet.

James zacisnął usta i bez słowa ruszył do łazienki.

Z okna taksówki Jancie patrzyła na flagę powiewającą nad pałacem Buckingham. Kiedy James był ambasadorem, wzywano ich tam podczas wszelkich okazji mających związek z prezydentem i znaczącymi politykami amerykańskimi. Od chwili odwołania byli w pałacu zaledwie raz. Czasami wspominała blask tamtych czasów, lecz myśli te szybko wypierało wspomnienie nudnego protokołu oficjalnego życia. Spojrzała z niecierpliwością na sznur samochodów czekających, by przedostać się przez Parliament Square do znajdującego się za nim mostu.

- Jestem umówiona na lunch z lordem Scrope'em.

- Kogo mam zapowiedzieć?

- Panią Wharton.

Przyjrzała się dokładnie swemu odbiciu w lustrzanej ścianie windy. I nie myślała bynajmniej o tym, jakie wrażenie zrobi na lordzie Scrope. Czy wyda się Simonowi zmieniona? Miała na sobie kostium, w którym wyglądała najlepiej, ze spódnicą ściśniętą szerokim pasem pod rozpiętą marynarką.

Wysokie obcasy podkreślały szczupłość nóg, a loczki podskakiwały na ramionach. Pomimo zdenerwowania jej twarz promieniała oczekiwaniem.

Drzwi windy rozsunęły się i ujrzała czekającego w holu Simona. Na jej widok rozłożył ramiona, a kiedy obdarzyła go radosnym uśmiechem, pocałował ją w oba policzki. W jednym z luster dostrzegła zamykające się za nią drzwi.

- Wyglądasz jeszcze bardziej zachwycająco - stwier-



dził, robiąc krok do tyłu. Potem wziął ją władczo pod ramię. - Wejdź i powiedz, jak ci się to podoba. Przeszli do efektownego salonu, gdzie stopy Jancie zapadły się w puszysty dywan. Simon podprowadził ją do okien wychodzących na Tamizę.

- Może uznasz, że wystrój jest tu nieco, powiedzmy *outré*, ale widok na pewno cię zachwyci - powiedział Simon. Spojrzała na niego rozbawiona.

- To miejsce jest niesamowite. Często słyszałam o afrodyzjaku władzy, a tu powietrze jest od niego aż gęste.

- Ranisz mi serce - odparł Simon. - Dlaczego nie powiedziałaś raczej, że to moja obecność ma taki efekt?

Spojrzała na niego kpiąco.

- A właściwie, to gdzie on jest? - spytała.

- Coś mu wypadło w ostatniej chwili. Prosił, żeby przekazać ci jego najszczerze przeprosiny.

Nalegał, żebyśmy jednak zjedli ten lunch sami, jego gospodyni już wszystko przygotowała. Napij się czegoś?

Przyglądając się, jak idzie przez pokój do ozdobnego kredensu, gdzie butelki i kieliszki stały jak oddział żołnierzy, poczuła gwałtowną radość, której nie doświadczała od czasu, gdy skończyły się ich spotkania w waszyngtońskim mieszkaniu Simona. Uczucie to było tak elektryzujące, że napawała się nim przez dłuższą chwilę, nim je stłumiła.

Wręczając kieliszek Puligny Montrachet, spojrzał jej w oczy.

- Nadal działasz na mnie tak samo, Jancie - powiedział poważnie.

Usiedli na osobnych kanapach. Rozmowa toczyła się tak wartko, jakby widzieli się wczoraj.

Uwielbiali plotki, mieli mnóstwo wspólnych tematów. Jego łobuzerski humor pobudzał jej dowcip.

Najmniejszej wzmianki o Jamesie.

- Zawsze lubiłam przebywać w czyimś domu pod nieobecność gospodarza - stwierdziła Jancie, rozglądając

się z zaciekawieniem. - To takie wrażenie, jakby przekroczyć jakieś drzwi i znaleźć się nagle na scenie.

- Wiem. Stajesz się aktorem w sztuce, która nie ma z tobą nic wspólnego.

Zanim zaprowadził ją do jadalni, zdążyła wypić zaledwie pół kieliszka wina, a jednak czuła się, jakby była pijana.

Simon wskazał półmiski ustawione na kredensie.

- Tu jest samoobsługa. Gospodyni wszystko przygotowuje, po czym wychodzi. Przewodniczący tak właśnie lubi.

Tym razem uderzyło ją nie słowo „przewodniczący”, lecz ukryte znaczenie tego, co Simon powiedział -w mieszkaniu nie było z nimi nawet gospodyni.

Jancie nie odezwała się. Jeśli tego nie skomentuje, to oędzie tak, jakby te słowa nie padły, a więc nie będą miały konsekwencji. Nie myślała nawet konkretnie o Jamesie, czuła tylko instynktowny nakaz, żeby uchronić się przed zrobieniem czegoś, czego będzie gorzko żałować.

Simon odkorkował wino, ona natomiast nałożyła sobie łososia. Na jednym końcu ogromnego stołu nakryte były trzy miejsca. Krzesło z poręczami stojące u szczytu miało w sobie coś odstręczającego, zajęła więc miejsce obok. Simon usiadł naprzeciw niej i nalał im obojgu wina.

- Za kobietę, którą kocham bardziej niż jakąkolwiek inną - powiedział, wznosząc kieliszek.

- Za mężczyznę, który ma osobliwy sposób okazywania tego - odparowała wesoło, podnosząc swój kieliszek.

W czasie posiłku rozmawiali z ożywieniem. Narastało w nich uczucie, że nie przebywają w realnym świecie -że przeszli na drugą stronę lustra. Jej twarz promieniała.

Przy drugim kieliszku wina była pijana radością. W pewnym momencie Simon sięgnął przez stół i delikatnie położył palec wskazujący na jej bluzce w miejscu, gdzie odznaczała się brodawka piersi. Jancie umilkła

i siedząc sztywno, skierowała wzrok na tę uwielbianą niegdyś dłoń. Simon cofnął ją i gwałtownie potrząsnął głową, jakby próbując przegnać z niej nieczyste myśli. Kiedy podchodzili do kredensu po kawę, otarł się o nią ramieniem. Musiała wziąć powolny, głęboki oddech, gdy wypełnił ją słodki przyływ pożądania. Rozkoszowała się nim przez chwilę, nim sprężyła się, by go opanować. Nie spieszyli się z odejściem od kredensu. Simon przyglądał się jej twarzy z intensywnością wojownika, który powrócił z daleka do swej ukochanej. Poczwała, że dłonie, w których trzymała filiżankę i spodeczek drżą. Nie mógł dostrzec jej dygotania, ale je wyczuł. Ogarnęło go takie samo naglące pożądanie, jak wtedy, gdy po raz pierwszy ją uwiódł. Tylko święty, powiedział sobie w duchu, oparłby się takiej okazji.

- Przez wzgląd na stare czasy? - spytał. Ostrożnie wsunął jej palec między wargi, by poczuła jego smak. Zabrał z jej rąk filiżankę ze spodeczkiem i odstawił na kredens. Kiedy ponownie unosił palec, dojrzała koniuszek jego języka. Rozchyliła usta i kiedy dotknął jej języka, jęknęła.

- Uwielbiam cię - powiedział.

Żadne z nich nie odezwało się słowem, kiedy zabierał ją z powrotem do salonu. Tam ujrzała uchylone zapraszająco drzwi. Za nimi widać było tył ogromnego łóżka nakrytego spływającą do podłogi kapą koloru czerwonego wina.

## ROZDZIAŁ 41

- Mam dziwne przeczucie, jeśli chodzi o zakład w Austin, panie Jackson - odezwał się Gerald Scrope. Siedzieli w jego biurze. Dokumenty i fotokopie leżały na niskim stoliku rozdzielającym ich fotele.

Speers przyleciał tego ranka do Londynu.

- Siedzę w tym pokoju, zarządzając imperium - ciągnął Gerald, a Speers rozglądał się, jakby chcąc wyrazić uznanie dla eleganckiego umeblowania - dzięki temu, że nie lekceważę sytuacji, ilekroć mam dziwne przeczucie.

Jackson uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Jaki ma pan wybór, lordzie Scrope? Może pan oczywiście dać sobie spokój z handlem i wpuścić na swoje miejsce innego producenta elektroniki, który będzie miał mniej skrupułów.

Gerald zacisnął pięść.

- Ponieważ ma pan to dziwne uczucie - i wiem, -co pan ma na myśli, lordzie Scrope - chętnie powiedziałbym to, co pan chce usłyszeć. Ale nie ma najmniejszych szans, by prezydent Stanów Zjednoczonych zniósł to embargo, skoro dyktator gra mu na nosie i uderza kolejnym pociskiem chemicznym w dysydentów.

Twarz Geralda spochmurniała.

- Nie jest moją sprawą - ciągnął Speers - przypominać o innej przyczynie, dzięki której znajduje się pan na szczycie imperium.

- To znaczy?

- To znaczy pańskim upodobaniu do podejmowania ryzyka. To jest znamię prawdziwego twórcy imperium.

Mógłby dodać jeszcze inny powód - zachłanność - lecz Speers miał w sobie zbyt wiele teksańskiej uprzejmości, żeby być tak nietaktownym.

Po jego wyjściu Gerald wpadł do gabinetu ministra obrony w Izbie Gmin.

- Musimy cię jak najszybciej umieścić pod Numerem Dziesiątym, Alanie - oznajmił.

- Panno Hare.

Od razu rozpoznała głos na drugim końcu linii.

- Chciałbym z panią o czymś porozmawiać. Kiedy możemy zjeść razem lunch?

- Nie jestem pewna - odparła ostrożnie.

- Co się stało z pani jasnym umysłem, panno Hare? Zoe zachnęła się. Potem na jej wargach pojawił się cień uśmiechu. Trzeba przyznać, że lord Scrope ma zdolność przekonywania.

Wychodząc z redakcji, rozejrzała się, czy na Milesa czeka jego samochód. To z nim przede wszystkim chciała porozmawiać. Przez kilka minionych dni codziennie zatrzymywał się przy jej biurku, lecz nigdy nie uczynił żadnej aluzji do tego, co obecnie najbardziej absorbowало jej myśli. Robił wrażenie napiętego. A ona była zbyt dumna, żeby powiedzieć: „Muszę z tobą porozmawiać”.

Przed tym wieczorem, kiedy przyszedł do jej mieszkania na World's End, zdarzyło im się trzykrotnie jeść wspólny lunch. Do dziś pamiętała dokładnie każdy szczegół tamtych spotkań. Miała wrażenie, że za każdym razem lepiej się rozumieli. A może go po prostu zapytać, czy mogliby znowu zjeść razem lunch?

Spojrzała w dół, gdzie Tamiza płynęła niewzruszenie. W kółko powtarzała w myślach, co powie.

Spyta, czy nie byłoby lepiej, gdyby wróciła do „Washington Express”.

Lepiej - ale dla kogo? Dla niego, bo stała się kłopotli-

wa? Jest zbyt miłym facetem, żeby to tak po prostu powiedzieć. Z jej zachowania tamtej nocy na pewno się domyślił, co ona czuje do niego. Dla niej - nie móc widywać go każdego dnia i marzyć, by zatrzymał się przy jej biurku, nawet jeśli by nic nie mówił?

Od tamtej nocy ani razu nie skrytykował jej pracy, chociaż dwa artykuły nie były bynajmniej wspaniałe. Wyglądało to tak, jakby chciał pokazać, że liczy się z jej uczuciami. Czy podobnie ona troszczyła się o uczucia Petera, w związku z czym nie chciała mu powiedzieć, że zakochała się w kimś innym i to w sposób, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła?

Taksówka zatrzymała się przed wejściem do Ivy. Przynajmniej raz udało jej się przybyć wcześniej. Jednak, kiedy spojrzała na zegarek, okazało się, że minęła już pierwsza.

Gerald siedział przy tym samym stoliku co poprzednio. Na jej widok skinął powoli głową, jakby mówiąc: spóźniła się pani, ale wybaczam.

Ledwie kelner oddalił się po przyjęciu zamówienia, zaczął bez żadnych wstępów:

- Chciałbym porozmawiać o propozycji, którą pani złożyłem. Czy z kimś ją pani omawiała?

Po chwili wahania Zoe odparła:

- Z Jancie Wharton.

- Spodziewałem się tego - skomentował. - Świat to jedna wielka pajęczyna.

- Z panem w samym środku? Pomiął milczeniem tę uwagę.

- Czy pani Wharton udzieliła pani jakiejś rady?

- W zasadzie nie. Mówiłam już panu, że mam umowę z „Dispatch”.

- Myśli pani, że ma umowę z Milesem Brewsterem - odparował. Zarumieniła się. - A może nie? Może powinna pani to z nim przedyskutować - ciągnął.

Zoe poczuła gęsią skórę.

- Z całą pewnością, jeśli nie ma ku temu powodów

osobistych, nie zatrzyma pani jako publicystki, skoro zaproponowano pani stanowisko redaktora naczelnego „The Monocle”. Kto by zrobił coś takiego? Spuściła wzrok.

- Czy jest pani w nim zakochana? - spytał Gerald.

- Nie - odparła krótko, patrząc mu w oczy.

- Powinna mu pani dać szansę, żeby sam mógł podjąć decyzję - zakończył Gerald.

Po powrocie do redakcji, natychmiast zadzwoniła do biura Petera. Dwie minuty później połączył się z nią.

- Mogę z tobą porozmawiać - spytała - czy nie jest to najlepsza chwila?

- Strzelaj.

Natychmiast wylała z siebie potok informacji na temat oferty Geralda, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego wcześniej nie omówiła jej z Peterem.

- On powiedział, że powinnam przynajmniej dać Milesowi szansę, żeby się o tym dowiedział. Może to by mu akurat pasowało - dokończyła niepewnie. Co prawda dla Petera te ostatnie słowa nie mogły mieć wielkiego sensu, skoro nie powiedziała mu, co zdarzyło się między nią a Milesem.

Nie chciała mu jednak o tym mówić. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Więc jak uważasz, czy powinnam przedyskutować to z Milesem, czy dać sobie po prostu spokój z „The Monocle”?

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Zabierzmy się do tego po kolei - odezwał się w końcu Peter. - Przede wszystkim, gratulacje. To wspaniała oferta.

- Wiem o tym - odparła przytłumionym głosem.

- Po drugie, myślę, że lord Scrope ma rację. Obydwoje znamy przykłady dziennikarzy, którzy odnieśli wielki sukces w roli naczelników.

Cisza. I kolejne:

- Wiem.

Peter ciągnął dalej.

- Musisz się zastanowić, na ile przeszkadza ci fakt, że będziesz pracować dla wysoce nieprzewidywalnego człowieka. Trzeba się spodziewać, że w dowolnym momencie może zwrócić się przeciw tobie z jakichś zupełnie osobistych powodów. Na pewno przy Milesie masz bezpieczniejszą posadę.

Zachnęła się.

- Ja jeszcze nawet nie wiem, czy mam ochotę pracować dla kogoś pokroju Geralda Scrope'a. Z każdym spotkaniem mniej go rozumiem.

- Daj spokój, Zoe. Czy musisz rozumieć każdego, dla kogo pracujesz? Najważniejsze, że „The Monocle” ma opinię czasopisma, do którego właściciel się nie wtrąca. Nawiasem mówiąc, trudno to powiedzieć o „Dispatch”. Miles przez cały czas wykorzystuje go do realizacji swoich celów.

- Ale jego celem nie są osobiste korzyści - odparowała gorąco. - Zresztą, on jest redaktorem naczelnym. Ma prawo wyrażać swoją opinię.

- Można by pomyśleć, że jesteś zakochana w Milesie - stwierdził Peter. - Chyba nie jesteś, co?

- Nie bądź śmieszny.

- Posłuchaj. Miles i Gerald Scrope mają całkowicie różne systemy wartości. Ale co to ma wspólnego z twoją decyzją czy chcesz kierować „The Monocle”, czy nie? Bardziej istotne jest to, że Gerald Scrope ma mentalność pirata i odebranie cię rywalowi sprawi mu ogromną przyjemność. To jednak zbyt bystry drań, żeby zawracać sobie głowę rabunkiem dla samego rabunku. Z pewnością jest przekonany, że potrafisz wlać nieco życia w „The Monocle”.

Zoe przygryzła wargę.

- Im dłużej się nad tym zastanawiam - ciągnął Peter - tym bardziej jestem przekonany, że to doskonały pomysł. Będziesz kierować czasopismem, które zawiera



przede wszystkim pierwszej klasy publicystykę, a więc to, do czego masz prawdziwy talent. Nie będziesz musiała zajmować się żyjącymi zaledwie jeden dzień sensacjami i artykułami odredakcyjnymi na temat całego cholernego świata. Nikt nie oczekuje od redaktora naczelnego „The Monocle” natychmiastowej opinii o wszystkim, co się dzieje pod słońcem.

Zoe oparła łokcie na biurku i zasłoniła wolną ręką twarz przed ewentualnymi obserwatorami znajdującymi się w pokoju. Była bliska łez.

- Dlaczego, u diabła, nie miałabyś przedyskutować tego z Milesem? - spytał Peter. - Nie jest przecież chińską figurką z porcelany, która pęknie, jeśli ktoś głośniej zamknie drzwi. Zresztą, ty nie trzaskasz drzwiami, tylko omawiasz z nim sprawę.

- No cóż, myślę, że powiedziałeś już wszystko na ten temat - odparła bezbarwnie. - Chyba że masz jeszcze coś do dodania.

- Przypuszczam, że powinienem się przyznać, iż też jestem stroną zainteresowaną - odparł. - Gdybyś przeprowadziła się z powrotem na wybrzeże, uradowałoby to moje serce, jak zwykle mówić moja babcia. Ja też mam sprawę, którą chciałbym z tobą omówić.

Kiedy weszła do gabinetu, Miles podniósł wzrok znad materiału, który czytał. Napięcie widoczne na jego twarzy złagodniało.

- Usiądź, Zoe. - Wskazał na kanapę, po czym wyszedł z za biurka i zajął fotel stojący w pobliżu.

- Potrzebna mi twoja rada, Milesie - zaczęła. Obserwując twarz Zoe - jej otwartość i malującą się na niej niepewność po raz pierwszy dostrzegł tak wyraźnie - Miles poczuł w głębi serca spokój, którego nie spodziewał się już doświadczyć. Czy zamierzała poruszyć temat tamtej nocy i wszystkiego, co oznaczała? Nie chciał sam o tym mówić, zanim Marigold się nie wyprowadzi. Lecz Zoe nie miała przecież pojęcia o jego sprawach

domowych. Jeśli zdecydowałyby się na rozmowę o sobie i o nim, czy chociaż na jakąś aluzję - Boże, co to by była za ulga.

Zastanawiając się nad jego gorącym, zachęcającym spojrzeniem poczuła, że krew szybciej krąży jej w żyłach. Może niesłuszne były obawy, że on chętnie by się jej pozbył.

- Gerald Scrope przedstawił mi propozycję pracy - odezwała się tytułem próby.

Przez sekundę miała wrażenie, że drgnął, ale być może wyobraziła to sobie.

Milesowi uczucie malujące się w jej oczach nasunęło na myśl dziewczynę mówiącą o swoim ukochanym. Czyżby ona też zakochała się w Geraldzie Scropie?

Zoe dostrzegła, że wyraz jego twarzy zmienił się. Teraz miała nastąpić chwila próby.

- Chce, żebym została redaktorem naczelnym „The Monocle” - oznajmiła.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Oczywiście dostrzegam korzyści płynące z tej propozycji - ciągnęła pośpiesznie.

Jej oczy miały niemal błagalny wyraz.

Chryste! - pomyślał. Najpierw żona błagała go, żeby zrozumiał, dlaczego przechodzi do obozu wroga.

Teraz Zoe robi to samo.

- Lecz... - zawahała się - bardzo mi odpowiada praca w „Dispatch”.

Przerwała, zmrożona brakiem jakiegokolwiek oddźwięku na jego twarzy. Rozpaczliwie pragnęła, żeby zaczął ją przekonywać do pozostania.

Nerwowym tonem mówiła dalej:

- Proponując mi przeniesienie do Londynu, okazałeś zaufanie i wiarę we mnie. Naprawdę świetnie mi się tu pracuje. Niektórzy pewnie by pomyśleli, że to szaleństwo odrzucać stanowisko naczelnego w „The Monocle”. Ale chciałabym wiedzieć, co ty o tym myślisz.

No i już. Jak wypadnie próba? Siedziała sztywna z napięcia.

Miles miał przez cały czas wzrok utkwiony w jej oczach. Teraz zamrugał, jakby próbując przegonić mgłę sprzed oczu. Nagle zerwał się na nogi z dziwnym wyrazem twarzy.

- Rób, co chcesz - odparł.

Wrócił na swoje krzesło za biurkiem i wziął do ręki artykuł, który tam leżał. Powrócił do czytania, zupełnie jakby Zoe nie było w pokoju.

Przyglądała mu się ogłuszona. Po chwili się podniosła. Miała wrażenie, że jej nogi to dwie drewniane kłody poruszające się samodzielnie w kierunku wyjścia.

Kiedy otwierała drzwi, Miles odezwał się:

- Oczywiście możesz rozwiązać swój kontrakt z „Dispatch”, kiedy tylko zechcesz.

Obróciła się, żeby na niego spojrzeć, ale wzrok miał zatopiony w dokumentach.

Drzwi zamknęła cichutko, jak w domu gdzie właśnie ktoś umarł.

- Zoe, czy wszystko w porządku? - spytał jeden z dziennikarzy.

Mechanicznie skinęła głową, nie widząc nic wokół siebie.

Zaczęła opróżniać szafkę z aktami. Zanim dotarła do drugiej szuflady, przygniatające ją rozczarowanie zmieniło się w gniew. Cała się trzęsła.

Pozostali dziennikarze wymieniali zdumione spojrzenia, niektórzy naprawdę zaniepokojeni. Kilkoro podeszło do jej biurka.

- Co się dzieje?

- Odchodzę - odparła zimnym, zduszonym głosem. Była wściekła.

- Ale dlaczego?

Zoe wzruszyła ramionami i powróciła do opróżniania biurka.

Dwóch kolegów pomogło jej zanieść rzeczy do windy i razem z nią zjechali do holu.

- Dziękuję wam za pomoc - powiedziała z oczami pełnymi łez, wsiadając do taksówki. - Będę za wami tęsknić.

Kiedy taksówka odjeżdżała spod budynku redakcji, mechanicznie spojrzała na zegarek. Jego czarne wskazówki wyglądały jak nic nie mówiące ślady zostawione przez insekty.

Miles widział, jak opuszcza pokój redakcyjny ze wszystkimi rzeczami. W chwilę później wyszedł z biura i udał się na górę do swego gabinetu w pokojach zarządu, gdzie ściana nie była przeszklona.

Poleciał sekretarce, żeby mu nie przeszkadzano, a kiedy zamknął za sobą drzwi, usłyszała, że przekreślił również zamek.

Podszedł do kredensu, nalał sobie whisky i wypił od razu połowę. Przeszedł przez pokój do okna i spojrzął na ulicę poniżej. Jakaś taksówka odjeżdżała właśnie sprzed frontowego wejścia.

Usiadł za biurkiem, lecz niemal natychmiast zerwał się i zaczął nerwowo przemierzać pokój. Znowu podszedł do kredensu i dopełnił szklaneczkę. Potem znów usiadł i otworzył pierwszą z teczek z materiałami, którym miał się przyjrzeć. Przełknął kolejny łyk whisky. Oparł łokcie na biurku i zabrał się do pracy, podpierając głowę rękami.

## ROZDZIAŁ 42

Zoe miała kolorowy sen. Śniła, że Miles stoi po drugiej stronie pokoju, blady, wymizerowany i niezwykle wysoki, jak postać, która powstała z martwych. Potem ruszył w jej kierunku i dostrzegła, że jego twarz wypełnia się kolorami. Wtedy już wiedziała, że powraca do życia i do niej. W tym momencie obudziła się, przeżywając jeszcze resztki snu i próbując do niego powrócić. Wymykał się jednak, więc leżała otępiała w ciele, które nie należało do niej - pozostała tylko skorupa otaczająca pustą przestrzeń.

Rozmyty blask przesączał się przez zasłony. Obróciła głowę, żeby spojrzeć na zegar. Czekający ją dzień miał być nie kończącym się pasmem rozmów telefonicznych. Nie mogła z siebie wykrzesać ani odrobiny energii. Przywołała na myśl wspomnienie pierwszych dni po przybyciu do Londynu.

Przypominała sobie spotęgowaną świadomość istnienia w obcym kraju, swoją radość, gdy przeprowadzała się do tego mieszkania, gdzie teraz leżała za zaciągniętymi zasłonami. Nie mogła jednak ożywić uczuć, które ją wtedy przepełniały. Wszelkie nadzieje przepadły. Obróciła się na bok, twarzą do ściany.

Nagły terkot telefonu sprawił, że podskoczyła. Błyskawicznie sięgnęła po słuchawkę... i powstrzymała się. Jeśli to coś ważnego, zadzwonią ponownie. W każdym razie Jancie miała rację, mówiąc: „Kiedy telefon dzwoni i okazuje się, że to ktoś inny, to nienawidzę tej osoby

tylko za to, że nie jest Simonem". Zoe słuchała więc dzwonek, zupełnie jakby telefon dzwonił w sąsiednim mieszkaniu. W końcu umilkł.

Pół minuty później zaczął od nowa. Tym razem Zoe podniosła słuchawkę.

- Na litość boską, co się dzieje? - usłyszała głos Jancie.

- Nic takiego - odparła bezbarwnie.

- James właśnie zadzwonił do mnie z redakcji „Javelin”. Pierwszą rzeczą, którą usłyszał po przyjeździe do pracy, było to, że opuszczasz „Dispatch” i zostajesz redaktorem naczelnym „The Monocle”. Ma to być ogłoszone dziś po południu. Aha, gratulacje! Czy to nie jest raczej nagła decyzja?

- Zapewne.

- Co, u diabła, powiedział Miles?

- Żeby robiła, co chcę. - Sama słyszała ostrą nutę gniewu wkradającą się do jej głosu.

Cisza.

- Potem wrócił do czytania tego, co mu przerwałam.

- Och, Zoe.

Znów zapadła cisza, przzerwana dopiero mruknięciem Zoe:

- Hmm, no cóż...

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jak tylko wszystko zorganizuję. Gerald, jak go teraz nazywam w myślach - wypowiedziała jego imię bardzo precyzyjnie, jakby umieszczała je w cudzysłowie - Gerald oczekuje, że zjawię się w „The Monocle” w ciągu dziesięciu dni. - Poczula, że wzbiera w niej gniew przeciw niemu. - Dziesięć dni od wczoraj, mówiąc dokładniej. Po chwili Jancie powiedziała:

- Cóż, niewątpliwie pozwoliłaś mi oderwać myśli od moich własnych problemów. Możesz do mnie wpaść, to znaczy jak najszybciej? Też mam kłopoty.

- Co się stało?

- Dwa dni temu spotkałam się z Simonem. Jeśli słu-

chając mnie przez ten cholerny telefon, masz wrażenie, że jestem ożywiona i rozsądna, to nie wierz w to. Wchodząc do mnie, włóż na siebie płaszcz przeciwdeszczowy.

Zoe zmusiła się do wstania z łóżka i odsunięcia zasłon. Na bezosobowym niebie słabo świeciło słońce. Łupkowe dachy szeregowców pozostały nieporuszone - one już to wszystko widziały. Odwróciła się od okna.

Jak robot odbyła całą serię rozmów telefonicznych -z biurem podróży, właścicielem mieszkania, bankiem. Nawet rozmowa z dziadkami wyglądała podobnie. Pod koniec tego pracowitego poranka znów poczuła przepelniającą ją zimną furię. Cholera z nim! Jak obrzydliwie z nią rozmawiał - zupełnie jakby była jakąś niegrzeczną uczennicą.

Przeżywanie tej wściekłości zakłócił telefon z londyńskiego „Evening Standard”:

- Lord Scrope ogłosił właśnie, że ma pani zostać redaktorem naczelnym „The Monocle”. Chcemy puścić tę wiadomość w wieczornym wydaniu.

Dwadzieścia minut później w jej mieszkaniu pojawił się dziennikarz z fotoreporterem.

- Jakie jest zdanie Milesa Brewstera na temat tego, że została pani przejęta i awansowana przez jego rywala? - spytał reporter.

- Musicie jego spytać - odparła Zoe.

(Pan Brewster odmówił komentarza na ten temat, głosił artykuł, kiedy godzinę później gazeta pojawiła się na stojakach z prasą.)

Reszta dnia upłynęła na telefonach z czasopism po obu stronach Atlantyku, przerywanych gratulacjami od przyjaciół. Kiedy przekazywała wszystkim - prócz Jancie - radosne wiadomości, wypowiedzanym słowom towarzyszył pasujący do nich uśmiech. Natomiast w jej oczach, malował się wyraz oszołomienia, jak u osoby, którą właśnie obrabowano.

- Mogę otworzyć następną butelkę? - spytała Zoe. Nie czekała jednak na odpowiedź. Znała tę kuchnię niemal tak dobrze jak Whartonowie. Wyjęła z szafki pudełko chusteczek higienicznych.

Wychodziła z World's End ponownie przepełniona wściekłością. Zanim jednak dotarła do Kensington Park Road powrócił również zamęt w myślach. Potem Jancie otworzyła drzwi i Zoe ujrzała jej twarz.

- Sama wybieraj. - Zoe postawiła butelkę i chusteczki na rozdzielającym je stoliku.

Jancie wydmuchała nos.

- Stanowimy wspaniałą parę, ty i ja.

- Dzwonił od tamtej pory?

- Simon? Coś ty? Gdyby zadzwonił, może by musiał wyrazić jakieś ubolewanie z powodu tego, co zaszło. A jemu nigdy w życiu nie zdarzyło się choćby napomknąć, że może jego zachowanie było nie w porządku. Sądzę, że coś takiego nawet mu nie przyszło na myśl. Zresztą to i tak nie zmieni faktu, jak podle ja się zachowałam - dodała.

A przecież wcale nie wyciągała z niego tych wszystkich deklaracji, kiedy leżeli na łóżku lorda Scrope'a. „Przecierpiałem te wszystkie miesiące, nie widując cię, gdyż nie mogłem zaufać swojej sile woli”, mówił. „Sądziłem, że będzie lepiej dla ciebie, jeśli nie będziemy się spotykali”, mówił.

„Przekreślmy to wszystko grubą kreską. Zaczniemy od nowa” mówił. A kiedy te słowa wychodziły z jego ust, Simon naprawdę w nie wierzył.

- Oddałabym wszystko, żeby to się nie stało - powiedziała Jancie. - A mimo to, gdyby mnie poprosił, znowu bym do niego poszła. To jest jak nałóg. Myślę, że nigdy się od niego nie uwolnię, dopóki jedno z nas nie będzie martwe.

W ciszy, która zapadła, głośnym echem odezwało się bicie zegara.

- Ten zegar robi diabelny hałas - zauważyła Zoe. Po chwili zapytała: - Masz zamiar powiedzieć Jamesowi o tym, co zaszło?



- Nie mam pojęcia, co zrobić. Czuję się taka winna.

- Może ci ulży, jeśli się wypowiedzasz, ale jestem pewna jak cholera, że dla niego będzie to dotkliwy cios -stwierdziła Zoe. - Jeżeli mu nie powiesz, to pozostanie w stanie radosnej niewiedzy. Być może lepiej, żebyś ty miała poczucie winy niż żeby on poczuł się jeszcze bardziej żalony.

W przeciwieństwie do Anglików znużonych nieustannie powracającym deszczem, Zoe uwielbiała zarówno jego odgłos, jak i widok. Mieszkając na farmie, często klękała na rozchwianej kanapie w wykuszowym oknie pokoju muzycznego i obserwowała, jak ciemnoszare płachty wody spieniają ciemnoszarą powierzchnię jeziora.

W tej chwili, ostatniego poranka w mieszkaniu na World's End, leżała apatycznie na łóżku, a deszcz głośno bębnił w szyby i cichł nieco dalej nad ulicą, na którą spadał równomiernymi strugami, dopóki ostry poryw wiatru nie cisnął nim ponownie w okno. Podniosła się, by odsunąć zasłony, po czym znów wróciła do łóżka i obserwowała krople odbijające się od szyb, podczas gdy błyszczące strumienie pędziły w dół. Marzyła, by ta ulewa nigdy się nie skończyła. Dobiegały ją kłapnięcia opon samochodów o mokrą jezdnię. Musi się podnieść.

Była właśnie w połowie filiżanki kawy, kiedy znów opanował ją zimny gniew. Nic z tego nie musiało się zdarzyć. Nie opuszczałyby tego miejsca, gdzie czuła się tak szczęśliwa, gdyby Miles nie zachował się jak świnia. Boże, to sukinyś bez serca.

Jej taksówka skierowała się najpierw do agencji nieruchomości, gdzie oddała klucze, a potem pojechała Great Western Road, mijając szare budynki stojące smętnie w szarej mżawce. Kiedy miasto przeszło w wieś, ona także była szara. Miles powiedział jej kiedyś, przypomniawszy sobie, że kolory przefiltrowują się przez stan umysłu patrzącego.

Myśl o takim zbytku jak lot na pokładzie Concorde'a

jakoś poprawiła jej nastrój. Kiedy samolot startował, owładnęło ją wspomnienie ogromnej radości podczas innego startu - jak po wywiadzie z Noną wracała tam, gdzie był Miles.

Marzyła, żeby poczuć choć iskrę gniewu, który ulżyłby straszemu ciężarowi odczuwanego smutku i żalu.

Była to jedna z najgorszych kłótni z przewodniczącym, które James pamiętał. Zaczęło się od żądania Geralda, by napisał artykuł wstępny wychwalający Alana Rawlstone'a i wzywający premiera do ustąpienia.

Podobnie jak większość dziennikarzy, James potrafił strawić nie pochwalaną przez siebie politykę właściciela, dopóki nie musiał jej osobiście popierać. Był stanowczo przeciwny prowadzonej przez Geralda kampanii na rzecz zniesienia embarga dla Arabii. Żywił też głębokie podejrzenia co do nieskazitelności charakteru Rawlstone'a. Ponadto, chociaż ubolewał nad brakiem charyzmy u Martina Mathera, to jednak szanował jego szczerość oraz kompetencje i uważał go za najlepszego premiera dla Wielkiej Brytanii w obecnych czasach.

- Każdy inny człowiek z radością powitałby możliwość wbicia noża w kogoś, kto kopnął go w jaja - stwierdził Gerald.

Siedział za biurkiem, a James stał przed nim.

- Martin Mather nie odwołał mnie z Waszyngtonu dla swojej przyjemności - odparł z uporem James.

- Niech ktoś inny napisze ten wstępniak.

- Nie ma nikogo pańskiej klasy, ambasadorze. To powód, dla którego pana zatrudniam.

James zaczerwienił się.

- Nie potrzebuję pańskiego zatrudnienia, panie przewodniczący.

Gerald kołysał się powoli na krześle.

- Uważa się pan za zbyt szlachetnego, żeby pisać to, czego chce Gerald Scrope. Tylko siebie może pan zwieść, ambasadorze. Świat nie składa się z boisk sportowych

pieprzonego Eton. Honor. Lojalność. To wszystko mity, ambasadorze.

- Nie dla mnie, panie przewodniczący. I wielu myśli podobnie. Proszę nie oceniać wszystkich według siebie.

Gerald przestał się kołysać. Aż do tej chwili nie był jeszcze zdecydowany, co zrobi. Teraz sięgnął do szuflady.

- Będę sędził według standardów pani Wharton -oświadczył, wyjmując cztery fotografie i wręczając je Jamesowi.

Były to zdjęcia zrobione z filmu wideo. Zanim jeszcze zdołał rozróżnić twarze, rozpoznał loczki Simona i nogi Jancie.

- Przypomnienie realnego świata - dodał Gerald. -Proszę je zatrzymać. Miłego dnia, ambasadorze. Tego wieczoru James pokazał fotografie Jancie.

- Nie chciałam, żeby to się stało - powiedziała mu. -To nie ma nic wspólnego z nami. To nie ma nic wspólnego z niczym. Nie potrafię tego wyjaśnić, choć chciałabym. Sądziłam, że uwolniłam się już od niego na zawsze. Wolałabym nie żyć.

Wstała z krzesła stojącego naprzeciw męża i wyszła z pokoju. Nie chciała widzieć jego reakcji.

W mieszkaniu na St James's Place Marigold leżała bezsennie w sypialni, której już nie dzieliła z mężem.

On siedział w gabinecie, trzymając w jednej ręce szklaneczkę z whisky. Książki na ścianach koloru indygo tworzyły barwne rzędy. Wpatrując się w nie ze swojego krzesła, Miles widział tylko pasy szarości, jak na starej fotografii odbarwionej przez czas.

## ROZDZIAŁ 43

- Boże, ależ jestem zdenerwowana. W życiu byś się nie domyślił, że to ja mam być szefem - powiedziała Zoe.

Rozmawiała właśnie przez telefon z Peterem. Przyleciała na lotnisko Kennedy'ego poprzedniego dnia po południu, a w godzinę później zameldowała się w hotelu Waldorf-Astoria.

W pokoju czekała odstręczająco wspaniała kompozycja kwiatowa - „Od pracowników «The Monocle»”. Przywiodła jej ona na myśl to, co Miles opowiadał o jednym z królewskich dworzan. Podobno jego obecność była dla królowej stanowczym przypomnieniem, że wymagane jest przestrzeganie ceremoniału i protokołu. W oczach królowej ten bukiet z pewnością znalazłby większe uznanie.

- Jak się tam już znajdziesz, to od razu poczujesz się lepiej - pocieszył ją Peter. - Wbij sobie tylko w głowę, że każdy z „The Monocle” jest przerażony tym, co ty im możesz zrobić.

Samochód miał ją zabrać o dziewiątej. Kręciła się w kółko po pokoju, niespokojna czy wygląda tak, jak powinien wyglądać redaktor naczelny.

- Idiotyczny warkocz - mruknęła, szarpiąc dziko włosy. - Jej Samochód - powiedziała kwaśno, wyobrażając sobie każde słowo napisane wielką literą. Co za bzdura. Kompletna, jak wszystko teraz. Kiedy wyszła z windy w stylu art deco, natychmiast

w jej kierunku ruszył kierownik w swym pogrzebowym stroju.

Samochód stoi tuż przed wejściem, panno Hare -mamrotał, eskortując ją do drzwi frontowych. Powiedziano jej, że będzie to buick, a tymczasem przed ozdobionym baldachimem wejściem czekał cadillac. Portier uniósł czapkę i otworzył tylne drzwiczki. Zaczęła już wsiadać, kiedy spostrzegła, że siedzenie po drugiej stronie jest zajęte. Znieruchomiała, z jedną stopą nadal na zewnątrz i spojrzała na portiera.

- Dobry wieczór, panno Hare.

Obróciła się gwałtownie i zajrzała do samochodu.

- Tylko niech sobie pani nie wyobraża, panno Hare, że codziennie będę pani towarzyszył do biura. Tak się złożyło, że akurat pasuje to do moich planów. - Gerald najwyraźniej doskonale się bawił.

Przyleciał wieczornym lotem.

Samochód skręcił w Pięćdziesiątą Drugą Ulicę i Herald ruchem głowy wskazał budynek, który się przed nimi wynurzył.

- Kiedy przeprowadzę panią przez te drzwi, pani życie już nigdy nie będzie takie samo - zapowiedział. Przeszła przed nim przez obrotowe drzwi. Z drugiej strony marmurowego holu ruszyli ku niej mężczyzna i kobieta - najwyraźniej komitet powitalny. Zastępca redaktora naczelnego przedstawił się, prezentując w uśmiechu dwa rzędy nienaganych zębów. Nie zdążył jednak jeszcze przedstawić swej koleżanki, kiedy uśmiech zniknął. Obejrzała się - lord Scrope wynurzył się z obrotowych drzwi.

Geralda można by wziąć za uosobienie uroku, obserwując, jak witał się z zastępcą i kobietą, która okazała się numerem trzecim w redakcyjnej hierarchii, jakby byli jego starymi przyjaciółmi. Podczas jazdy windą tylko Gerald nie był spięty.

- Proszę prowadzić - zwrócił się uprzejmie do zastępcy - chyba że nie lubi pan mieć kogoś za plecami.

Tamten otworzył i przytrzymał drzwi, przez które wszyscy weszli do środka.

- Dzień dobry - powitał Gerald osobistą asystentkę Zoe, która natychmiast się podniosła. - Jestem pewien, że się zgodzicie.

Zoe uścisnęła jej rękę.

- Proszę.

Gerald wykonał zapraszający gest wyciągniętym ramieniem i przepuścił ją przodem, a za nią cała grupa weszła do dużego, kosztownie umeblowanego gabinetu. Jego ściany zdobiły oprawione karykatury poprzednich redaktorów naczelnych oraz sławnych współpracowników pisma. Zoe przeszła przez pokój do ściany składającej się z samych okien i spojrzała w dół na ruch uliczny. Rytualne trąbienie klaksonów dochodziło tu jakby z innego świata.

- Będzie pani tak uprzejma poprosić resztę wyższego personelu, żeby stawili się w biurze redaktora naczelnego - zwrócił się Gerald do asystentki. - Natychmiast.

W ciągu paru minut zebrało się pół tuzina kobiet i mężczyzn, którzy stali teraz plecami do ściany. Zoe była obrócona tyłem do okna, natomiast Gerald stanął przy biurku.

- Przyjechałem tu z Londynu, żeby przedstawić państwu nowego redaktora naczelnego waszej gazety - zaczął. Jego żartobliwy nastrój już się ulotnił, lecz nadal zachowywał się uprzejmie. - Mam wielki szacunek dla „The Monocle” - ciągnął - i nadal będę trzymał się z dala od polityki redakcyjnej.

Państwo będziecie odpowiedzialni wyłącznie przed panną Hare. - Jego oczy przebiegły po napiętych twarzach stojących przed nim ludzi, zupełnie jakby fotografował każdego, by zmagazynować w zakamarkach swej pamięci. - Jestem w pełni przekonany, że wasz nowy naczelny potrafi docenić talent... - przerwał - jeśli istnieje on w formie zrozumiałej dla czytelników.

Zoe poczuła, że pali ją twarz. Jeden czy drugi z dzien-

nikarzy poruszył się niespokojnie. Podłoga pod dywanem skrzypnęła.

- Natomiast będę usilnie nakłaniał waszą szefową tu i teraz - mówił dalej - żeby dała kopniaka w dupę tym, którzy wykorzystują swoje zdolności wyłącznie do tego, by robić wrażenie na sobie nawzajem. - Skłonił się nieznacznie. - Zostawiam was w dobrych rękach.

Odsunął krzesło przy biurku i skinął na Zoe, żeby zajęła miejsce. Jej twarz była ściągnięta z zakłopotania. Potem, już bez jednego słowa, przeszedł obok stojących dziennikarzy i zniknął.

Pierwsze dni pracy mijały błyskawicznie jeden za drugim przy nieustannym napływie adrenaliny do krwi. To, co przepowiedział Peter, już wkrótce stało się widoczne. Fakt, że w „The Monocle” dopiero uczyła się tajników swej nowej pracy, w niczym nie umniejszał jej autorytetu w oczach innych.

Rosnąca pewność siebie była dla niej codziennym źródłem zdumienia.

Nie znaczy to, że dotychczas była specjalnie bojaźliwa czy nieśmiała. Ale nie należała też do tej elitarnej grupki dziennikarzy, którzy nie podlegali nikomu, ponieważ jeśli naczelnemu albo właścicielowi nie podobała się ich praca, to po prostu przenosili się do innej gazety. Podczas siedmiu lat pracy dziennikarskiej, Zoe zawsze zdawała sobie sprawę, że każdy oddawany artykuł musi jeszcze zyskać akceptację kierownika działu. A teraz ona siedziała w redaktorskim fotelu. Lecz gdzie się podziało uczucie zadowolenia? Wolałaby raczej pracować dla Milesa.

Drugiego dnia pracy dowiedziała się, że wyznaczono jednego z pracowników, żeby przeczesywał Manhattan w poszukiwaniu odpowiedniego dla niej mieszkania. Zmiany, które wraz z sobą przyniósł Jej Samochód, były równie cudowne - mało, że dawał jej wygodę i oszczędność czasu, to jeszcze nie musiała się martwić, gdy padał deszcz. Ale gdzie się podziała przyjemność z nurkowania

pod daszki przy różnych wejściach, a potem pędzenia co sił do „Dispatch”, gdy deszcz lał na Londyn jak z cebra?

Każdego popołudnia asystentka wchodziła z grubym terminarzem spotkań. Był on wypełniony całe miesiące naprzód zobowiązaniami, które początkowo przewidziane były dla jej poprzednika.

- Nie omówiliśmy jeszcze szczegółów twojej dwutygodniowej przerwy, zanim na dobre obejmiesz gazetę - powiedziała asystentka.

- Będę na farmie. Nad jeziorem Champlain - odparła Zoe.

- Jak chcesz się dostać do Waszyngtonu? Jest nowe połączenie; wsiądziesz w Burlington, a wylądujesz na lotnisku Dullesa.

- A po co miałabym jechać do Waszyngtonu w trakcie wakacji w Vermont? - zdziwiła się Zoe.

- Bo wtedy jest obiad w Białym Domu. Dwunastego.

- Jaki obiad w Białym Domu? Asystentce odebrało na chwilę mowę.

- Nikt ci o tym nie powiedział? Naczelnny „The Monocle” chodzi na różne imprezy w Białym Domu. Ta akurat będzie przyjemna. Przyjdzie tam mnóstwo ludzi z naszej branży. Zaproszenie jest na nazwisko poprzedniego redaktora. Lada dzień nadejdzie poprawione.

- Chcesz powiedzieć, że mojemu poprzednikowi cofną zaproszenie? - Zoe poczuła się zszokowana.

- To okrutny świat - odparła asystentka. - Czy mam ci zarezerwować pokój w Hotelu Willarda?

Wczesnym wieczorem tego dnia Peter złapał wahadłowiec z waszyngtońskiego National Airport.

Uzgodnili przedtem, że da jej parę dni na zorientowanie się w sytuacji.

- Chodź na górę i podziwiał mój widok - powiedziała, kiedy zadzwonił do niej z hallu.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Wycieczka z przewodnikiem - zapowiedziała. - Spójrz na to! Spójrz na tamto! - Podskoczyła lekko,



parodiując podniecenie. Pod nimi rozciągała się Park Avenue: lampy uliczne mrugały po obu stronach szerokiej, zielonej wstęgi rozdzielającej dwa bliźniacze pasy jezdni. Sznur samochodów posuwał się spokojnie w majestatycznym tempie.

- Odwołajmy rezerwację w Le Cirque - ciągnęła radosnym głosem. - Obsługa hotelowa w Waldorfie jest nie z tego świata. — Potem wybuchnęła płaczem.

Objął ją mocno ramionami.

Na pół przebudziwszy się w nocy, poczuła ciepło napierającego na nią ciała. Uświadomiła sobie wtedy, że to poczucie bezpieczeństwa i wygody, odległe jest o całe lata świetlne od grzesznej namiętności towarzyszącej pierwotnie jej spotkaniom z Peterem.

Obydwoje obudzili się wcześniej. Podczas gdy Peter się ubierał, ona zadzwoniła po śniadanie dla jednej osoby. Zanim je przyniesiono, Peter zdążył już wyjść, by złapać wahadłowiec z powrotem do Waszyngtonu.

Guzdrała się ze swoją kawą. Zanim zacznie biec kolejny szaleńczy dzień, chciała spokojnie pomyśleć o minionej nocy.

To, co zaszło z Milesem, sprawiło, że Peter nie podniecał jej już w taki sam sposób jak przedtem. Lecz zmiana ta nie była nieprzyjemna. Wcale nie. Mogła na niego liczyć. Był mężczyzną niezwykle atrakcyjnym. Kochał ją. I potrzebował jej jak nigdy przedtem. W jakiś dziwny sposób kochała go teraz nawet bardziej - a kto wie, czy nie potrzebowała go też bardziej, niż gotowa była przyznać.

- Pomyślę nad tym, kiedy wrócę - powiedziała Zoe do swojego zastępcy.

Już w ciągu tych trzech dni zdążyła się zorientować, że będzie musiała dokonać jednej czy dwóch zmian wśród pracowników. Zdawała sobie sprawę, że niektórzy nowi szefowie robią całkowitą czystkę. Wiedzą po prostu, że zastany personel będzie łąził i mamrotał, że poprzedni

redaktor robił wszystko lepiej. Jednak zdaniem Zoe czym innym jest stanowczość, a czym innym wyrzucanie ludzi, których zaledwie się poznało.

Starła się jednak zachować czujność. Ostatniego dnia przed wyjazdem zadzwoniła do „Washington Express”, żeby wysondować dwóch ludzi, z którymi przedtem pracowała. Doszły ją już słuchy, że morale w „Expressie” znacznie podupadło, od kiedy Miles przeniósł swą kwaterę do Londynu. Miles. Ilekroć o nim pomyślała, czuła się niemal przytłoczona wszechogarniającą tęsknotą.

Wiedziała, że musi jak najszybciej znaleźć się nad jeziorem Champlain i uspokoić. Tam gruntownie przeanalizuje swoje uczucia, zanim będzie mogła z przekonaniem rzucić się w wir pracy.

Urok małego samolotu polega na tym, że człowiek naprawdę czuje, że leci. Zoe przycisnęła czoło do szyby, tak żeby obserwować, jak koło nabiera prędkości, jakby miało swoją własną wolę. Kręci się coraz szybciej i szybciej, aż w końcu widać tylko samą krawędź. Potem start i reszta koła stopniowo pojawia się z powrotem i wreszcie zwisa nieruchomo, dopóki podwozie nie zostanie wciągnięte, co zawsze powodowało u niej chwilę żalu. Miles.

W polu widzenia pojawiły się szczyty Green Mountains, najwyższe z nich pokryte śniegiem, a w dolinach czerwone stodoły i srebrne silosy. Przepływające pod brzuchem samolotu wioski wielkości zabawek, ze swoimi białymi, drewnianymi kościółkami i wieżyczkami przypomniały jej ogródki pod choinką z czasów dzieciństwa. I już było jezioro, którego kolor blakł tam, gdzie wiło się w dal, a góry Adirondack po jego przeciwległej stronie wyglądały jak garby.

W Burlington wysiadło tylko dwoje pasażerów. Przechodząc przez płytę lotniska, spojrzała w okna widokowe i dostrzegła dziadka.

Godzinę później skręcali w otwór w płocie z palików. Po lewej stronie wysypanego kamkami podjazdu znaj-

dowała się połączyć szorstkiej trawy z wielką topolą amerykańską, a za nią ogromne jezioro rozciągało się aż do sylwetek gór rysujących się na tle nieba. Wszystko to trwało w kompletnym bezruchu, jedynie samotna mewa zataczała koła nad czerwoną boją.

Zatrzymali się przy granitowym głazie służącym niegdyś do dosiadanania koni. Po tej stronie drogi trawa była krótka i sterczała najeżona w zimnym powietrzu. Nie używane stodoły i szopy nie zmieniły się od jej ostatniej tu bytności. Dom wydawał się nieco mniejszy, lecz poza tym był dokładnie taki sam - niebieskie deski w odcieniu kaczego jaja, okiennice koloru rządowej zieleni, wykończona na biało weranda i wesola kopuła. W tej chwili otworzyły się frontowe drzwi i babcia zeszła po scho- \* dach. Przed czwartą zrobiło się ciemno. Kiedy nadeszła pora obiadu, Zoe siedziała twarzą do okna, przyglądając się różnym odcieniom czerni na zewnątrz: topola, jezioro, łańcuch górski, niebo. Jedynym kolorowym akcentem były kropeczki świateł u podnóża gór oraz żółta plama blasku padającego z barki płynącej na północ przez atramentową wodę i jej chwiejne odbicie. Włosy Zoe rozpuszczone spadały swobodnie na ramiona. Można by ją wziąć za uczennicę, pomyślała pani Harc, a nie stateczną dziennikarkę, za jaką chciała uchodzić.

Kawę zabrali ze sobą do starego pokoju muzycznego, gdzie telewizor stał pod portretem jej prapradziadka, którego dłoń spoczywała na srebrnym uchwycie laski, a dumne spojrzenie spod srogich brwi było utkwione w patrzącego. Dziadkowie Zoe lubili oglądać wieczorne wiadomości. Ponieważ akurat puszczano sygnał muzyczny, Zoe rozglądała się po pokoju, niewiele uwagi poświęcając telewizorowi. Zabytkowa Victrola nadal stała na swoim miejscu, a oprawione rodzinne fotografie w dalszym ciągu tłoczyły się na pokrytej zniszczoną skórą powierzchni stołu.

„Dobry wieczór. Biały Dom odmówił komentarza na

temat historii przedstawionej w londyńskiej gazecie; «Javelin», a wiążącej prezydenta i panią Lambert z tragicznym wypadkiem samochodowym, który miał miejsce w Meksyku piętnaście lat temu. Historia ta ukazała się w pierwszym wydaniu jutrzejszego porannego «Javelin», które zostało już rozprowadzone po całej Wielkiej Brytanii".

Na ekranie ukazała się pierwsza strona „Javelin" i fotografia jego właściciela, lorda Scrope'a. „«Javelin» twierdzi, że w chwili wypadku magnat prasowy, pan Miles Brewster, prowadził samochód z nadmierną szybkością przez pasmo górskie pomiędzy Monterrey a Saltillo. Pojazd uderzył siedmioletnią meksykańską dziewczynkę stojącą obok szosy. W katastrofie, która potem nastąpiła, towarzyszka Milesa Brewstera, dwudziestodwuletnia Teresa Lopez, została sparaliżowana do końca życia. Pan Brewster poniósł obrażenia, które zakończyły się trwałym uszkodzeniem jednej nogi". Obraz Milesa wysiadającego z samochodu, z jedną nogą jeszcze w jego wnętrzu. Fotografia z uroczystości zakończenia szkoły klasztornej w Saltillo; kamera przybliży dziewczynę w środku pierwszego rzędu.

„« Javelin» twierdzi, jakoby prezydent Lambert, wtedy członek Izby Reprezentantów, oraz jego żona byli pasażerami samochodu w chwili, gdy zdarzył się tragiczny wypadek. Nie zostali ranni i mogli wezwać pomoc. Wszyscy czworo przypuszczalnie byli pod wpływem alkoholu".

Aktualna fotografia prezydenta i Pierwszej Damy.

„Według «Javelin» oficjalny raport policji w Saltillo nie zawierał żadnej wzmianki o tym, że kongresmen Lambert i pani Lambert również byli w samochodzie. Jednak kierownik działu zagranicznego «Javelin» odkrył wcześniejszy raport policyjny, sporządzony w szpitalu. Nazwiska pasażerów, którzy nie odnieśli obrażeń zapisano jako F. R. Lambert i N. T. Lambert. «Javelin»

podaje, że samochód był zarejestrowany na nazwisko N. T. Lambert".

Zdjęcie roześmianej Nony opierającej się o przestarzały model chevroleta.

„«Javelin» oskarża Milesa Brewstera o machinacje mające na celu zatajenie udziału prezydenta i jego żony w wypadku, grożącym zrujnowaniem kariery politycznej Lamberta. Biały Dom odmawia na razie komentarza".

Kiedy prezenter przeszedł do wiadomości z Arabii, pan Hare stwierdził:

- No, to teraz rozpęta się piekło. Zoe siedziała jak skamieniała.

## ROZDZIAŁ 44

Jak opętana przeszukiwała pozostałe kanały. Zdjęcia Franka Lamberta i Milesa z czasów college'u, obydwaj na nartach, leniuchują. Prezydent na pikniku, obejmujący ramieniem Nonę - zrobione co najmniej piętnaście lat temu. Miles z Marigold, ubrani wieczorowo, w chwili przybycia do Białego Domu zeszłego lata.

Następnego ranka, zerwawszy się wcześniej na nogi, wróciła do pokoju muzycznego. Wstrzymując oddech, siedziała na krześle przysuniętym tak blisko, że niemal dotykała nosem telewizora. O wpół do dziewiątej zadzwoniła do swego zastępcy, pełniącego obowiązki naczelnego, dopóki ona nie obejmie na dobre tego stanowiska.

- Chcę dostać wszystko, co jest na temat Lambertów i Milesa Brewstera. „Javelin”. Zagraniczne wydania innych angielskich gazet. Wszystkie najważniejsze gazety amerykańskie. Dosłownie wszystko. Będziesz musiał przesyłać je tu codziennie przez kuriera. Jak tylko przejrzę dzisiejszą partię, zadzwonię do ciebie. Będę też potrzebować faks. Niech moja sekretarka go załatwi; nie później niż na jutro.

Zmusiła się w końcu do wyjścia z domu i poszła wyboistą ścieżką prowadzącą ku kamiennym płytom opadającym ukośnie do krawędzi wody. Tego ranka przypyływ był silny, ale nie miał aż takiej siły jak na Tamizie, gdzie mógł człowieka wciągnąć pod wodę. Niespokojnie,

jak narkoman potrzebujący już następnej działki, ruszyła z powrotem do domu. Poszła prosto do pokoju muzycznego i włączyła telewizor.

Usłyszała chrobot opon na wysypanym kamykami podjeździe, więc podbiegła do okna. Kurier wyciągnął właśnie z tyłu furgonetki wielką paczkę i po odłożeniu jej na kamienie wsunął głowę z powrotem do wnętrza, sięgając po następną. Zoe ruszyła do niego, zbiegając po stopniach werandy. Wersja przedstawiona w „Javelin” była niemal najgorsza z możliwych. Simon przeplótł odkryte przez siebie fakty własną ich interpretacją. Jednocześnie rzetelność rewelacyjnych wyników śledztwa nadała duże znaczenie również jego spekulacjom.

Dlaczego nazwiska Franka i Nony Lambert nie pojawiły się w oficjalnym raporcie policyjnym? Co stało się po wypadku z samochodem Nony?

Dlaczego Miles zawsze odmawiał odpowiedzi na prasowe pytania dotyczące tego epizodu? Czy ukrywał tylko udział Lambertów w tej niesmacznej tragedii? A może jego celem było również zatajenie czegoś we własnym zachowaniu, co jeszcze nie wyszło na jaw?

Dlaczego przeciw panu Brewsterowi nigdy nie wpłynęło do meksykańskiego sądu oskarżenie o spowodowanie śmierci i kalectwa w wyniku nierozważnej jazdy po pijanemu? Simon nie powiedział dosłownie, że policja wzięła łapówkę, ale wniosek nasuwał się sam.

Czy Teresa Lopez została przekupiona, tak żeby nigdy nie wyjawiała, co naprawdę zaszło po wypadku?

Zoe poczuła, że nad górną wargą wystąpiły jej kropelki potu.

Simon wytropił również ojca zmarłego dziecka, dzięki czemu mógł teraz relacjonować:

„W parę tygodni po śmierci Peredity Orozco jej rodzice otrzymali pewną kwotę pieniędzy wypłaconą przez osobę działającą w imieniu Milesa Brewstera. «To miała być

rekompensata» - powiedział mi Robert Orozco. «Ten gringo myśli, że Meksykanie nie mają żadnych uczuć. Żadne pieniądze nie zwrócą mi mojego dziecka» - dodał pan Orozco".

„Bostońska firma prawnicza, w której ojciec Milesa jest starszym wspólnikiem, co miesiąc wpłaca pewną sumę do banku w Monterrey, mimo że Pedro Lopezowi łatwiej byłoby korzystać z banku w Saltillo. Jednak w tym niewielkim mieście transakcja ta bardziej rzucałaby się w oczy" - skomentował Simon.

„Wkrótce po wypadku" - brzmiał dalszy ciąg artykułu - „pan Brewster rozpoczął swój długi pobyt na najlepszym oddziale rehabilitacji w Massachusetts. Dopiero wtedy ze szpitala w Monterrey przewieziono Teresę Lopez. Kiedy dwa miesiące później pan Brewster opuszczał oddział, był w stanie chodzić, lekko tylko kulejąc. Teresa Lopez nie miała tyle szczęścia. Jej pobyt na tym oddziale został skrócony i odesłano ją z powrotem do Meksyku. Nogi pozostały sparaliżowane. Wybitny neurolog pracujący obecnie na tym oddziale odmówił komentarza, kiedy zapytałem, czy panna Lopez mogłaby odzyskać władzę w nogach, gdyby jej leczenie nie zostało skrócone".

Zoe zerwała się z krzesła i pomaszerowała do okna, lecz nie zdążyła nawet przez nie wyrzeć, gdy obróciła się i powróciła do swojej udreki. Artykuł miał swój dalszy ciąg na wewnętrznej stronie. Simon pisał tak obrazowo, że z łatwością mogła sobie wyobrazić jego trzecią wizytę na ranczu. Mimo że tym razem przywiózł ze sobą meksykańskiego tłumacza, to i tak nie udało mu się wyciągnąć żadnych informacji z ponurego Pedro Lopez. Teresa, tak jak poprzednio, z wdziękiem obesła jego pytania. Simon w ten sposób opisywał ich niechęć do współpracy:

„Pedra Lopez przepełnia milczący gniew Meksykanina, który widzi swą córkę w roli ofiary bogatego Amerykanina. Teresę Lopez, nadal piękną w wieku trzydziestu siedmiu lat, cechuje stoicyzm meksykańskich kobiet po-



godzonych z tym, że wykorzystują je bogaci Amerykanie spędzający w ich kraju wakacje. Okaleczona do końca życia, nie chce mimo to wypowiedzieć słowa «porzucona», lecz ciśnie się ono na usta innym". I tym kończyła się ta historia.

Zoe wpatrywała się pustym wzrokiem w rozłożoną gazetę. Poczwała, że zalewają rozpacz.

Po jakimś czasie westchnęła głęboko. Jakkolwiek by ktoś spojrział na tę historię, jedno było jasne - Miles był łajdakiem biorącym udział w znowie. A to, że zataił pewne fakty, jeszcze pogarszało sprawę, gdyż był nie tylko właścicielem imperium prasowego, ale na dodatek mianował się redaktorem naczelnym swojej gazety z Fleet Street.

Ale nie był prezydentem Stanów Zjednoczonych. Amerykanami najbardziej wstrząsnęło ukrycie udziału Lambertów w wypadku spowodowanym pod wpływem alkoholu, zakończonym śmiercią i kalectwem dwóch niewinnych ofiar. Jeszcze przed południem zespoły dziennikarzy i kamerzystów wszystkich głównych gazet i stacji telewizyjnych opanowały wszelkie dostępne miejsca hotelowe w Monterrey i Saltillo.

Kiedy pierwsi z nich dotarli do poszukiwanego zjazdu z autostrady, stwierdzili, że wąską, brudną drogę blokuje zaporą z *mesquite*. Obok niej stali ochroniarze, których plakietki identyfikacyjne miały tylko numer. Mogli być Meksykanami albo Metysami. Wszyscy mówili po hiszpańsku i po angielsku: *Nadie puede entrar*. „Nikommu nie wolno tu wchodzić".

Mężczyźni z ochrony pojawili się parę godzin wcześniej, niedługo po tym jak cessa ominęła góry i opadła szybko na nierówny pas startowy przy ranczu Lopeza. Speers Jackson tylko chwilę porozmawiał z Pedrem, po czym zaprowadzono go do Teresy, którą przeprosił, że jej przeszkadza. O tej porze roku na dziedzińcu było już zbyt zimno i huśtawkę przeniesiono do wnętrza domu.

Ledwie samolot ponownie wystartował, Pedro zawołał dwóch parobków i razem zaczęli ciąć *mesquite*, która następnie zaciągnęli na pas. Potem wsiedli do dżipa i popędzili drogą do miejsca, gdzie łączy się ona z autostradą. Tam też narąbali *mesquite*, by zrobić zaporę na drodze.

W południe szosą przyjechał oddział ochroniarzy. Kilku z nich zajęło pozycje przy barierze, którą odciągnięto na chwilę, by przepuścić dwa samochody z resztą ludzi. Zatrzymały się, gdy dojechały do polany. Tam z kolei kilku mężczyzn otoczyło wachlarzem długą stodołę z suszonej na słońcu cegły oraz szopy. Dwóch zajęło posterunek przed samym domem.

W Londynie po St James's Place przechadzał się w jedną i drugą stronę policjant.

- Nie wolno się tu zatrzymywać - zarządził, gdy z kolejnej furgonetki próbowano wyładować sprzęt telewizyjny.

Nic jednak nie było w stanie przeszkodzić dziennikarzom przybywającym na piechotę. W rezultacie tłum oblegających mury numeru 26 jeszcze bardziej upodobił jego modernistyczną sylwetkę do fortecy. Kilku fotografów, chcąc zabić dłużący się czas, przechodziło na drugą stronę wyłożonego kostką placu, by przyjrzeć się frontonowi Spencer House górującemu nad tą gawiedzią z imponującym spokojem.

Wreszcie wykonane z brązu i szkła drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Miles. Na jego twarzy malowało się napięcie.

- Kiedy odpowie pan na wysunięte przeciw panu oskarżenia, panie Brewster?

- W tej chwili nie mam nic do powiedzenia - odparł Miles beznamiętnie, siadając na przednim siedzeniu obok swojego szofera.

Pod wejściem do „Dispatch” czekała następna grupa.

Nikommu natomiast nie udało się rzucić okiem na żonę oskarżonego, gdyż Marigold nie opuściła mieszkania, stając się więźniem okoliczności. Zarówno Miles, jak i Gerald mieli swoje powody, aby nie ujawniać publicznie prywatnego dramatu.

Miles nawet w najlepszych czasach nie mógł znieść myśli o wywlekaniu prywatnych brudów na widok publiczny. Teraz okres był niewątpliwie jak najgorszy.

Gerald z kolei zdawał sobie sprawę, iż codzienne ataki „Javelin” na charakter Milesa będą miały większą wagę, jeśli opinia publiczna nie będzie na razie wiedziała, że ma on istotny powód osobisty, by oczerniać imię swojego rywala.

Nie zamieniwszy ani słowa, obaj mężczyźni ukrywali « fakt, że Marigold należy obecnie do Geralda. Marigold, uwięziona w otwartych przestrzeniach, które z taką pieczołowitością umeblowała, trzymała się teraz z dala od przeszklonej ściany wychodzącej na Green Park. Wściekłość ogarniała ją na myśl, że ta hałastrza czająca się z teleobiektywami wśród platanów mogłaby zmusić ją do trzymania przez cały dzień zamkniętych żaluzji w jej własnym domu. W odruchu buntu zostawiła zasłony z japońskiego lnu niemal całkowicie uniesione. Nie cierpiała siatkowych firan, niemniej jednak przesłoniła szyby delikatnym woalem. Czasem stawała bez ruchu przy oknie i wyglądała przez oczka siatki.

Stojąc przy wykuszowym oknie, Zoe obserwowała podskakującą czerwoną boję z mewą siedzącą na jej czubku i zapewne cieszącą się tą przejażdżką. Wiał północny wiatr, więc fale znacznie urosły. Musiał być jakiś istotny powód, dla którego Miles tak się zachował, tłumaczyła sobie, nie dostrzegając już boi ani niczego innego za oknem. Jeśli był takim hipokrytą, jak to obecnie ujawniono, to jakim cudem mogła żywić w stosunku do niego takie uczucia? Dlaczego nie powiedział czegoś, co wyjaś-

niłoby całą sprawę? Z pewnością złoży jeszcze dzisiaj jakieś oświadczenie.

Tęskniła za tym, żeby móc go bronić. Chociaż „The Monocle” nie był magazynem informacyjnym, mogła przecież napisać cokolwiek jej się spodoba na początkowej stronie z komentarzem odredakcyjnym. Mogła przypomnieć ludziom, jakim Miles jest naprawdę człowiekiem, niezależnie od tego, co zdarzyło się wiele lat temu. Mogła też wybrać okładkę, która przedstawi w życzliwym świetle jego kłopotliwe położenie.

A jednak... Zadaniem dziennikarza jest ujawniać prawdę. A Miles tego nie zrobił.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon. Gdyby tak on zadzwonił. Była pewna, że potrafiłby wszystko wyjaśnić.

Tymczasem był to Peter.

- Jak leci? - spytał tonem, który przekazywał bez słów, że zdaje sobie sprawę, iż nie jest jej lekko.

- Nie potrafię zrozumieć, co się dzieje. - Jej głos zabrzmiał dziko.

- Nie ty jedna - odparł. - Ale przynajmniej nie musisz wyrażać żadnej opinii. Nawet jeszcze nie przejęłaś porządnie wodzy. Zresztą, kiedy już dojdzie do komentarzy na temat Milesa i tak powinnaś stać z boku. W żadnym wypadku nie wyrażaj opinii o nim.

- Ale ja chcę to zrobić - powiedziała stanowczo. - W tym wszystkim musi tkwić jakieś nieporozumienie. Nie wierzę, że Miles jest takim oszustem.

- Mam nadzieję, że nie chcesz przez to powiedzieć, iż zamierzasz wykorzystać „The Monocle” do wyrażenia tego poglądu - przeraził się Peter. - Ujawnienie faktu, że Lambertowie byli pasażerami w tym samochodzie na pewno zniszczyłoby karierę Franka. Natomiast decyzja Milesa, by to ukryć, niszczy jego w tym samym stopniu. Jeśli postanowisz wybielić Milesa w „The Monocle” to wpadniesz w tę samą pułapkę co on. Skoro chcesz go bronić z przyczyn osobistych, zrób to prywatnie, a nie jako redaktor naczelny.

Po odłożeniu słuchawki ponownie przejrzała gazety, ) po czym nieszczęśliwa usiadła na kanapie, wpatrując się w oprawioną fotografię dwuletniej dziewczynki idącej za rękę z roześmianą kobietą z jednej strony i zuchwałym, młodym człowiekiem w samej koszuli i płóciennych spodniach z drugiej. Po pewnym czasie przeszła do sąsiedniego pokoju i ponownie zadzwoniła do swojego zastępcy. Czy to naprawdę zaledwie dwa dni minęły od chwili, gdy uzgodnili, żeby nie informowali jej o tym, co się dzieje w gazecie, dopóki nie przejmie cugli w swoje ręce?

Nigdy nie narzekaj i nigdy się nie tłumacz. Zawsze zapominała, który z brytyjskich premierów to powiedział.

- Oczywiście nasza okładka musi odzwierciedlać sprawę Lambert-Brewster - bez żadnych wstępów oświadczyła zastępcy różnym głosem. - Wybierz trzy satyry rysunkowe, które najbardziej ci się podobają i prześlij mi jutro. Zadzwonię, którą wybrałam.

Od razu przeszła do kolejnej sprawy.

- Jeśli chodzi o komentarz od redakcji, mamy parę dni, zanim to pójdzie do druku. Napisz tak, jak to czujesz, potem prześlij faksem swoją propozycję. Oddzwonię, jeśli wprowadzę jakieś zmiany.

Tego wieczora wiadomości zaczynały się od słów: „Nadal nie ma żadnego oświadczenia ze strony Białego Domu ani ze strony magnata prasowego, Milesa Brewstera”.

Podczas gdy telewizor mrugał wesoło w pokoju muzycznym, cała trójka Hare'ów siedziała w milczeniu.

## ROZDZIAŁ 45

Każdy szary człowiek i każdy mądrała miał swoją teorię.

„To szaleństwo ze strony Lambertów ukrywać fakt, że byli pasażerami tego samochodu. Jak to świadczy, u diabła, o ich rozsądku?”

„A jak to świadczy o ich moralności? Gdyby nie przebywali już w Białym Domu, to z pewnością teraz by się tam nie dostali”.

„Jak to świadczy o moralności magnata prasowego, który zataja fakty w imię rozwoju kariery politycznej Franka Lamberta. Jak można po czymś takim mieć szacunek dla «Dispatch»?”

Od czasu, gdy prezydenckie plany senatora Edwarda Kennedy'ego zostały pogrzebane w katastrofie na moście Chappaquiddick, wszyscy politycy panicznie obawiali się incydentu, który można by było porównywać, jakkolwiek niesprawiedliwie, do zachowania Kenned'ego tamtej nocy<sup>2</sup>.

„Nie chodzi o to, żeby obciążać Lambertów odpowiedzialnością za to, co się stało. Natomiast sprawa zatajenia ich obecności daje do myślenia, czy człowiek chce widzieć kogoś takiego jako swojego prezydenta”.

---

<sup>2</sup>Samochód prowadzony przez Edwarda Kennedy'ego spadł z mostu Chappaquiddick do wody, a towarzysząca mu kobieta utonąła. Senatora oskarżano o nieudzielenie jej pomocy (przyp. tłum.).

„Zapomnieliście, w jak delikatnej sytuacji znaleźli się politycy po sprawie Chappaquiddick. Zapomnieliście też, jaki klimat panował tu przez ostatnich dwadzieścia lat: biały amerykański mężczyzna był napastnikiem, rdzenny mieszkaniec ofiarą. Gdyby wykryto, że Lambertowie byli gdzieś w pobliżu tego wypadku, to na pewno wykorzystano by to przeciw nim”.

„Javelin” od samego początku nadał ton publicznemu wizerunkowi Milesa. W dniu, gdy przedstawiono całą historię, artykuł wiodący brzmiał jak parodia tego, w którym Miles zaledwie kilka tygodni wstecz docinał lordowi Scrope'owi.

„Bogaty amerykański magnat prasowy przybywa do naszych brzegów, głosząc sentymentalne hasła, które Amerykanie uwielbiają szerzyć - sprawiedliwość dla zwykłych ludzi, szarlotka na każdym stole, wolność prasy.

Teraz okazuje się, że Miles Brewster potajemnie szerzy swój własny gatunek sprawiedliwości. Szarlotki są nafaszerowane banknotami dolarowymi dla tych, których chce uciszyć. Czasopisma są przejmowane, by miał możliwość blokowania informacji.

Przez piętnaście lat ten amerykański bonzo ukrywał fakt, że Frank i Nona Lambert byli pasażerami samochodu, który pozbawił życia dziecko stojące koło drogi i zdruzgotał na zawsze oczekiwania dwudziestodwuletniej kobiety.

Prezydent Lambert musi obecnie wystąpić i wyjaśnić, dlaczego on i jego żona zgodzili się na zatuszowanie sprawy, które tak katastrofalnie dla nich, spaliło na panewce. Koniec końców ich przyjaciół, Miles Brewster, wciąga ich w bagno razem z sobą”.

W ten sposób w ciągu jednej nocy Miles stał się kanalią.

Część doradców prezydenta była zdania, że nie powinien on nic mówić. Jeśli oświadczy, że nazwiska jego

i Nony zostały pominięte w oficjalnym raporcie policyjnym przez przypadek, będzie to robiło wrażenie, jakby się bronił. Nie można też dopuścić, żeby był postrzegany jako człowiek, który wyparł się przyjaciela w potrzebie. Lepiej w dalszym ciągu zachowywać pełne godności milczenie, dopóki burza nie ucichnie.

Niestety trzeciego dnia nadzieja na uspokojenie sytuacji legła w gruzach. Coś trzeba było powiedzieć. Biały Dom wydał następujące oświadczenie:

„Prezydent nie uważa za właściwe wygłaszanie komentarzy na temat wypadku, który miał miejsce w Meksyku piętnaście lat temu i za który pan Miles Brewster zawsze brał pełną odpowiedzialność. Jest to sprawa wyłącznie pana Brewstera”.

Dwie godziny później zostało również wydane oświadczenie w Londynie:

„Pan Miles Brewster pragnie potwierdzić, że jest odpowiedzialny za wypadek samochodowy w Meksyku piętnaście lat temu oraz za wszystkie związane z nim okoliczności. Kongresmen Lambert i pani Lambert nigdy nie twierdzili, że nie byli pasażerami tego samochodu. Nie było potrzeby, aby oficjalny raport policyjny wymieniał ich nazwiska, ponieważ nie wiązały się one w żaden sposób z tragicznymi wydarzeniami, które miały miejsce. Pan Brewster pragnie jednocześnie stwierdzić, że głęboko boleje nad śmiercią Peredity Orozco i trwałym kalectwem Teresy Lopez”.

Zoe, ilekroć była w domu, nasłuchiwała przez cały czas chrzęstu kamyków na podjeździe i dźwięku silnika pracującego na podwyższonych obrotach. Kurier przywożący codzienną porcję gazet - jej linę ratunkową - miał zwyczaj zwiększać obroty silnika, zanim go wyłączył.

Przez jeden dzień panował spokój, po czym wrzawa rozpoczęła się na nowo. Prezydent i Miles Brewster kła-



mali przez przemilczenie, kiedy zdarzył się wypadek. Teraz robią to samo.

Nawet w pierwszym raporcie sporządzonym jeszcze w szpitalu Frank Lambert nie został zidentyfikowany jako amerykański kongresmen. Dlaczego on i Nona chcieli, żeby umieszczono w nim tylko ich inicjały zamiast pełnych imion?

Obrońcy prezydenta wskazywali na to, że raporty meksykańskiej policji są dość niedbałe.

— O, z pewnością - mówili ci, którzy go atakowali, ujmując słowo „niedbały” w cudzysłów. W ten sposób stało się ono synonimem „łatwy do przekupienia”.

To rozpałiło jeszcze bardziej innych Amerykanów.

— Czy sugerujecie — dopytywali się — że Meksykanie mają niższy poziom moralności tylko dlatego, że jeden z nich przyjął łapówkę? A co z naszym przekonaniem, że możemy wszystkich kupić?

— Znaleźli się w położeniu bez wyjścia — skomentował pan Hare, wyłączając telewizor. - Wygląda na to, że Lambertowie wyszli cało ze straszliwego wypadku. Jeśli będą próbowali się teraz tłumaczyć ze swojego postępowania, to jeszcze pogorszą sytuację. Skoro w tamtym czasie nie zdawali sobie sprawy, jakie ryzyko stanowi ukrywanie prawdy, to świadczy o ich zdolności oceny sytuacji. A w przypadku prezydenta ta umiejętność jest rzeczą podstawową.

— Przecież nie zatajono niczego naprawdę istotnego - odparła Zoe. - Z tego, co wiemy, policjant mógł po prostu uznać, że łatwiej mu będzie użyć ich inicjałów w tym pierwszym raporcie. Czy twierdzisz, że powinni sumiennie domagać się, żeby wszystkie dane były kompletne? Na litość boską, przecież to był tylko biurokratyczny policjant, a nie spowiednik. Zresztą, to i tak nie miało na nic wpływu.

— To właśnie mówią zawsze ludzie, którzy uchylają się przed odpowiedzialnością - odparował pan Hare.

- O to jedno z pewnością nie można oskarżyć Miksa - stwierdziła gorąco Zoe.

Nastąpiła długa chwila milczenia, zanim dziadek jej odpowiedział:

- Bardzo źle, że nie wydał on żadnego oświadczenia aż do chwili, gdy nie miał już wyboru.

- Ale Miles taki właśnie jest! - wykrzyknęła Zoe. - Jest człowiekiem skrytym. Nie znosi omawiać publicznie swego prywatnego życia.

Już wypowiadając te słowa, zdała sobie sprawę, że w tym wypadku jego skrytość była skażona oskarżeniami, które za nią stały.

- Fatalnie się dla niego złożyło - powiedziała na koniec babcia - że jest redaktorem naczelnym takiej wpływowej gazety. Gdyby nie był, cała sprawa byłaby inaczej odbierana.

Zoe zerwała się na nogi i sztywno wymaszerowała z pokoju, a potem z domu.

Trawa miała niesamowity niebieski poblask w zimnym świetle księżyca. Nagie gałęzie topoli wznosiły się ku niebu. Zoe stanęła w miejscu, gdzie zaczynał się spadek do jeziora, wpatrując się w stalową powierzchnię wody przeciętą smugą księżycowej bieli. W myślach słyszała zdania z „Javelin”, jakby głośno czytała słowa wydrukowane czarnymi literami na krawędzi swojego umysłu: „A teraz dowiadujemy się, że nasz kaznodzieja jest tak samo zepsuty moralnie jak najpodlejszy kanciarz. Został dziś zdemaskowany jako człowiek, który sfabrykował oszustwo dla najpotężniejszej pary na świecie”.

Kiedy weszła później do sypialni stwierdziła, że ktoś już włączył lampę przy jej łóżku. Ujrzała **Wide Sargasso Sea** Jean Rhys, o nieco podniszczonej na brzegach okładce. Zoe otworzyła książkę tuż przy końcu, w miejscu założonym kartką błękitnego papieru listowego pani Hare.

„Zoe, kochanie” - pismo jej babci było zawsze niewy-

raźne. „Kiedy wyszłaś, uświadomiłam sobie, że myślę o tych linijkach. Zawsze mnie prześladowały”.  
W połowie stronicy książki dostrzegła mały znaczek zrobiony ołówkiem.  
„...i powiedziałam: To nie jest tak, jak się wydaje. -Wiem. Nigdy tak nie jest - odparł”. Zoe przycisnęła kartkę do piersi.

## ROZDZIAŁ 46

Obleżenie rancza Lopeza utknęło w martwym punkcie. Zdjęcia z powietrza zaznajomiły cały świat z czerwonym dachem bielonego, zamkniętego ze wszystkich stron domu. Kamerzyści tłoczyli się przy zaporze, a jeden z nich zdobył godne uwagi ujęcie bezdusznych jak u robotów twarzy ludzi z ochrony, gdy obserwowali oni tłum dziennikarzy.

„Kto opłaca tych strażników, żeby trzymali Teresę i Pedra Lopezów w ukryciu?” - dopytywały się media. „Prezydent odmawia odpowiedzi na nasze pytania. Miles Brewster starannie dobiera słowa. Opinia publiczna ma prawo wiedzieć, czyjego autorstwa było to zatajenie prawdy”.

Oddziały reporterów przeczesywały Monterrey i Saltillo. Ni stąd, ni zowąd pojawili się różni ludzie ze swymi historyjkami.

Pewien Meksykanin twierdził, że był w owym czasie na posterunku policji w Saltillo i podsłuchał toczącą się w sąsiednim pokoju rozmowę. „Głos mężczyzny brzmiał dokładnie jak głos prezydenta Lamberta. Słyszałem jak mówił: «Dam ci tysiąc dolarów, jeśli nie zapiszesz nazwisk pasażerów»”. Historia ta obiegła cały świat, zanim ktoś odkrył, że mężczyzna ten w chwili wypadku miał cztery lata. Jakaś kobieta utrzymywała, że leżała w szpitalu w Monterrey w pokoju sąsiadującym z pokojem Teresy.

„Słyszałam, jak krzyczała: «Nie zostawiaj mnie, Miles. O, Miles, nie zostawiaj mnie». I tak w kółko. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy”.

Pracownik stacji benzynowej w Saltillo stwierdził, że pamięta, jak nalewał paliwo do ciężarówki, a kierowca mówił mu, że właśnie odwiózł kilku ludzi i martwe dziecko do szpitala. Nie, nie zna nazwiska kierowcy ciężarówki, ale to był ford, niebieski. „Pamiętam, co powiedział, jakby to było wczoraj. Opowiadał, że wioził wszystkich na otwartej platformie; dwoje poważnie rannych leżało bez ruchu, mnóstwo krwi. Słyszał, jak ta piękna Meksykanka, na którą mówili Teresa, płakała z bólu, a Amerykanin, którego nazywali Frankiem, co chwilę mówił jej, żeby się zamknęła”.

W kilka godzin po tym, jak „Frank co chwilę mówił jej, żeby się zamknęła” stało się główną wiadomością w każdym serwisie informacyjnym, strażnicy odciągali zaporę z *mesquite*, by przepuścić samochód. Za jego kierownicą siedział Speers Jackson.

W salonie o pobielonych ścianach dwaj mężczyźni usiedli obok Teresy. Pedro wyciągnął przed siebie nogi jak kłody drewna, pięści wcisnął między uda. Speers odchylił się do tyłu, obuta noga spoczywała na kolanie drugiej i po raz drugi omawiał całą sprawę.

- ***No quiero hablar con reporteros*** - raz jeszcze powtórzył Pedro, zdecydowany nie mówić po angielsku, nawet do Speersa.

- ***Es necesario, totalmente necesario*** - nalegał Jackson i od tej pory cała rozmowa potoczyła się po hiszpańsku. - Musimy zmienić taktykę - ciągnął spokojnie. - Obydwoje musicie porozmawiać z reporterami. Nie ze wszystkimi; z małą grupą. Może dwóch z telewizji i dwóch z gazet plus ich fotoreporterzy.

- Mogą zadawać jeszcze inne pytania - odparł ponuro Pedro. - Nie lubisz tego. Ja też nie. Speers obrócił twarz w kierunku Teresy leżącej z nie-

pokojem w oczach, po czym tym samym niespiesznym ruchem, z twarzą bez wyrazu, wrócił spojrzeniem do Pedra. Twarz Meksykanina pokryła się ciemnym rumieńcem.

- Powiesz im to, co wiesz o wypadku, Pedro, wyłącznie to i nic więcej. Oni już wiedzą o pieniądzach, które Miles Brewster przekazuje co miesiąc do banku w Monterrey. Nie ma potrzeby nic więcej do tego dodawać. Teresa nie będzie musiała mówić wiele więcej, niż powiedziała Fleetowi. - Obrócił się do niej. - Byłem pod wrażeniem - powiedział. - Dobrze to rozegrałaś.

Teresa pochyliła się ku wyłożonej płytkami podłodze i odepchnęła się od niej, wprawiając huśtawkę w ruch.

Po chwili milczenia Pedro spytał opryskliwym tonem:

- Ile dostanę?

- Zajmę się tym - odparł Speers. - Wiesz, że możesz mi ufać.

- Ja nie chcę zapłaty - odezwała się ostro Teresa. Małpka delikatnie zmieniła pozycję na jej kolanach. Jackson spojrział na nią.

- Zanim to wszystko się skończy, zaoferują ci krocie za wyłączność na twoją historię.

- Powiem to, co chcę powiedzieć - odparła. - A tylko wtedy będę mogła być pewna, co naprawdę chcę powiedzieć, jeśli mi za to nie zapłacą.

Po wyjściu Speersa Pedro stanął nad jej siedzeniem, trzymając łokcie ciasno przy ciele, a zaciśnięte pięści przed sobą. Zwierzęcy zapach jego kombinezonu mieszał się z migdałową wonią mimozy rosnącej w donicy przy oknie.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że pasażerowie byli kimś ważnym, że on był kongresmenem. Nawet wtedy, kiedy to się stało, kiedy leżałaś w szpitalu, nigdy mi nie powiedziałaś. - W jego głosie zawód mieszał się z żalem nad sobą.

- Jest mnóstwo amerykańskich kongresmenów - od-

parła. Po krótkiej chwili dodała: - To nie miało znaczenia, kim on był. - Kiedy wypowiadała te słowa wyraz jej oczu był nieprzenikniony.

- Za chwilę mi jeszcze powiesz, że to również nie było ważne, kiedy został prezydentem. - Jego głos nabrzmiał wściekłością. - A może dla mnie ta wiadomość byłaby istotna. Może to właśnie ja pierwszy powiedziałbym światu, że Miles Brewster - prawie wypluł to słowo -zataił fakt, iż prezydent Stanów Zjednoczonych był tam, kiedy to wszystko się stało. Dla mnie miałoby to wielkie znaczenie. Teraz już jest za późno.

Odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem.

- Jesteś obecnie jedyną osobą - jego głos był już bliski krzyku - która może na tym zrobić wielkie pieniądze. A ty odmawiasz. Jesteś głupia.

- Zarabiam dla ciebie pieniądze od piętnastu lat -odrzekła zimno. - Możesz jeździć do banku w Monterrey co miesiąc do końca mojego życia. Obydwojgu nam dobrze zapłacono.

Rozhuściła ponownie swoje siedzenie. Pedro obserwował przez chwilę jak się kołysze do przodu i do tyłu, po czym ciężkim krokiem opuścił pokój.

Media wybrały swoich przedstawicieli, którzy wraz ze sprzętem stłoczyli się w jednej furgonetce.

Zapora z *mesquite* została odciągnięta na bok, by ich przepuścić. Strażnicy przy frontowych drzwiach patrzyli beznamiętnie, jak cała grupa wchodzi do domu.

W salonie, którego okna wychodziły na górskie szczyty, mężczyźni i kobiety zajmowali swoje miejsca z przejęciem i zdyscyplinowaniem jak grupka statystów w balecie. Dźwiękowiec rzucał gniewne spojrzenia w kierunku błękitnego nieba, skąd dochodził coraz głośniejszy warkot helikoptera.

- Na litość boską - powiedział nagląco do krótkofalówki. - Zróbcie coś z tym kretyńcem filmującym z powie-

trza. Ten cholerny śmigłowiec wydaje dźwięk jak mikser mojej matki na pełnych obrotach. Pedro w swoich najlepszych butach siedział na krześle obok córki i rzucał wokół gniewne spojrzenia. Wygi a szął tekst mechanicznie - w końcu nieraz już to mówił i chociaż telewizzowie na całym świecie słuchali jego słów w tłumaczeniu, to każdy mógł poznać po wyrazie twarzy, że mówi z głębi serca, i to mściwego serca.

Miles Brewster przybył z północy - gringo szukający rozrywki. Gringo traktowali Meksyk jak swój prywatny plac zabaw. Nie, Pedro nie spotkał go przed wypadkiem. Po raz pierwszy zobaczył Milesa leżącego na szpitalnym łóżku.

Nie, Pedro nie poznał Lambertów. Aż do zeszłego tygodnia nie miał pojęcia, że pasażerowie byli kimś specjalnym.

Tak, od tamtej pory Miles Brewster wypłacał im pieniądze. Dlaczego nie miałby płacić za to, co zrobił? Może nadal ma poczucie winy. Zresztą, co znaczą pieniądze dla gringo? Nic. A wszystkie pieniądze świata nie są w stanie sprawić, żeby jego córka znów chodziła.

To wszystko, co wiem, oświadczył zaczepnie i zgodnie z prawdą.

Dźwiękowiec musiał teraz dostosować poziom dźwięku do cichego głosu Teresy. Jedna kamera obejmowała całą huśtawkę. Widzowie mieli potem pokazywać sobie nawzajem małą małpkę, która wbiegła w kadr i usadowiła się na nogach kobiety. Druga nastawiona była na zbliżenie. Twarz Teresy nosiła na sobie niewiele oznak czasu, których można by się spodziewać u trzydziesto-siedmioletniej kobiety. Czarne włosy splecione na czubku głowy jak kruczoczarna korona, delikatne rysy twarzy, przejrzyste oczy - wszystko to czyniło z niej marzenie kamerzysty.

Odpowiadała ze spokojną godnością i rzeczowo, bez śladu urazy. Nawet najbardziej cyniczni z dziennikarzy pojęli, że taka kobieta nie mogłaby ich zwodzić. Podob-



nie jak na telewizjach, którzy ujrzeli ją na swych ekranach kilka godzin później, ogromne wrażenie wywarła na nich jej bezpośredniość.

W owym czasie była nauczycielką - uczyła angielskiego. Nadal uczy angielskiego chętnych, którzy do niej przychodzą. Kanczo Lopeza było wtedy mniejsze, podobnie zresztą jak dom. Kiedy była dzieckiem jej matka zmarła. Zamieszkała z nimi siostra matki i ona ją wychowywała.

Milesa i Lambertów poznała na wieczorku kółka rolniczego. Przyszli z synem właściciela rancza Las Bailas. To wielkie ranczo, należy do jednego z hiszpańskich *hacendados*. Po drugiej stronie wzgórz. Na tych wieczorkach zawsze świetnie się bawiono. Bilet mógł kupić każdy, chyba że był znany jako rozrabiaka. Ludzie trochę sobie popijali, rozmawiali i tańczyli w takt głośnej muzyki granej przez meksykański zespół.

- Tańczyłam z Milesem. I z Frankiem Lambertem -mówiła. - Od początku obu ich polubiłam. Nonę też. Była bardzo przyjacielska.

Tak, oczywiście Miles powiedział jej, że Frank jest w Izbie Reprezentantów.

- Wszyscy razem odwieźli mnie do domu po zakończeniu zabawy. Miles i ja umówiliśmy się na przejażdżkę konną następnego dnia.

Nie, Lambertowie nie przyjechali z nim następnego dnia. Mieli własny samochód i chcieli jechać do México City. Miles został jeszcze na ranczu Las Bailas i codziennie jeździli razem konno.

- Nie - odparła na kolejne pytanie - mój ojciec nigdy go nie poznał, bo go wtedy nie było w domu. Wyjechał do Torrien. W Torrien jest wielki targ bydłocy.

Tak, oczywiście, jej ciotka poznała Milesa. Bardzo go lubiła. Niestety, jej ciotka już nie żyje.

Tak, spędziła z nim wiele wieczorów. Jadali w głównym hotelu w Saltillo. Raz w Monterrey. W różnych miejscach.

- Nie ma nic szczególnie niezwykłego w tym, że dwu dziesiętgodzioletnia kobieta spotyka się z wolnym mężczyzną - zauważyła lekko ironicznym tonem.

- Nawet jeśli jego pochodzenie tak się różniło od pani? - spytał reporter z Nowego Jorku.

- Zawsze sądziłam, iż Amerykanie wierzą, że rodzimy się równi - odpowiedziała Teresa z uśmiechem, który przyprawił kamerzystę o dreszcz radości.

Czy zakochała się w Milesie od pierwszego wejrzenia?

- Zakochała? - powtórzyła pytająco. - Ma pan na myśli, tak jak w bajce?

Przez chwilę jakby rozważała to w myślach. Potem podjęła:

- Szybko go pokochałam, był bardzo przystojnym mężczyzną. Taki zresztą pozostał. Zawsze traktował innych ludzi z szacunkiem. Lecz od początku zdawałam sobie sprawę, że on wróci do swojego życia. Nigdy nawet nie sugerował czegoś innego.

- Czy kiedy uświadomiła sobie pani, że ma zamiar wracać, miała pani do niego żal, że panią uwiódł?

- Uwiódł mnie? Kto panu podsunął taki pomysł?

- Chce pani powiedzieć, że nie miała z nim romansu? Wiemy, że na ostatnie dni wakacji przeprowadził się do hotelu w Saltillo.

Rzęsy powoli przesłoniły jej oczy. Kiedy znów je uniosła, powiedziała spokojnie:

- Nie mam nic do powiedzenia na temat romansu z Milesem Brewsterem ani nikim innym. Jeżeli chcecie spekulować na temat jakiegoś romansu, to wasza sprawa. To wolny kraj.

Teraz przystąpili do sedna sprawy - wypadku.

- A, wypadek - pochyliła się i leciutko odepchnęła łiuśtawkę.

Jeden z kamerzystów zaklął pod nosem. Małpka skoczyła zwinnie na oparcie siedzenia, gdzie w pełni mogła się cieszyć falującym ruchem.

To zdarzyło się na dzień przed zamierzonym wyjaz-

dem Milesa na północ. Lambertowie wrócili do Las Bal-las przed swoją podróżą do okręgu wyborczego Franka. Nie może sobie przypomnieć, dlaczego wszyscy jechali akurat samochodem Lambertów, a nie Milesa. Tak, oczywiście, teraz już wie, że samochód był zarejestrowany na Nonę. - Jak ktokolwiek, oprócz pustelników, mógłby tego nie wiedzieć. - Jej ton nie pozostawiał wątpliwości, że było to najbardziej absurdałne pytanie, jakie zdarzyło jej się słyszeć. - Ale wtedy nie było w tym nic interesującego.

W porze lunchu zrobili sobie piknik wysoko w górach. Nie wie, ile poszło butelek wina. Wszyscy pili. Miles usiadł potem za kierownicą, gdyż znał tę drogę lepiej niż Lambertowie. Ona siedziała z przodu obok niego.

- Jechał zbyt szybko, jak na zakręty na tej drodze -powiedziała głosem jeszcze spokojniejszym niż przedtem. - Przejechaliśmy właśnie ostry zakręt, za którym szosa jeszcze bardziej zakręcała.

Samochód jechał krawędzią drogi. Nagle przed nimi pojawiła się mała dziewczynka.

Potem pisk hamulców. Wstrząs. Samochód obracający się wokół własnej osi. Nurkowanie w dół zbocza. Pędzące na nich krzewy *mesquite*.

Przestała mówić. Jedyne dźwięki wydawała teraz cykada, która ukryła się gdzieś w pokoju. Teresa schyliła się i odepchnęła lekko.

## ROZDZIAŁ 47

Straszliwe wstrząsy, hałas, brzęk tłuczonego szkła, przez chwilę ogromny nacisk. Wszystko działo się tak szybko, że nie pamiętała wcale uczucia bólu. W ciszy, jaka po tym nastąpiła, zdała sobie sprawę, że leży na ziemi, a samochód bokiem spoczywa na jej nogach. Pomacała się po twarzy, a kiedy spojrzała potem na rękę, dostrzegła na niej krew. Przesunęła dłonią po ciele, sięgnęła do nóg. Wtedy właśnie uświadomiła sobie, że nie może nimi poruszać.

- To, co twierdził pracownik stacji, jakoby kierowca ciężarówki mówił, że krzyczałam z bólu, a Frank Lambert kazał mi się zamknąć, to kompletny absurd. Nie miałam wcale czucia tam, gdzie ten ból mógł wystąpić.

Potem ujrzała nad sobą Lambertów. Pojawiła się też twarz Milesa, pokryta krwią. Czołgał się, bo nie mógł chodzić. Nie mogli dostać się do lewarka, więc Lambertowie próbowali razem podnieść samochód z jej nóg.

- Wiecie, jak ciężki jest samochód - powiedziała. - Ale uparcie próbowali. Jak tylko udało im się podnieść go choć odrobinę, Miles wsuwał coraz dalej gałąź meskita.

Słyszała ich stękania, brzmiące jak jęki. Wreszcie podnieśli auto na tyle wysoko, że Milesowi udało się ją spod niego wyciągnąć. Był cały mokry i się kleił. Wszystko to było jak sen, chociaż przez cały czas zdawała sobie sprawę, że to nie jest sen.

- Miles powiedział mi, że Lambertowie poszli po po-

moc. Po jakimś czasie znów się pojawili. A wraz z nimi jakiś Meksykanin. Wyjęli z samochodu tylne siedzenie i położyli mnie na nim. W ten sposób wnieśli mnie na zbocze.

Całą czwórką, wraz z martwym dzieckiem, jechali na otwartej platformie ciężarówki. Miles leżał na plecach w pobliżu niej.

Potem niewiele już pamięta. Białe światła nad głową w szpitalu. Niewiele więcej.

- Czy Lambertowie przyszli odwiedzić panią w szpitalu?

- Nie byłabym nawet świadoma ich obecności. Było ze mną bardzo niedobrze, byłam w szoku.

Powiedzieli mi, że mam uszkodzony rdzeń kręgowy. Nie pamiętam nawet, jak mnie przewożono ze szpitala w Saltillo do Monterrey. Tylko ojciec i Miles mogli mnie odwiedzać. Milesa przywożono na łóżku z innego pokoju. Nie zostawał długo, też był bardzo chory.

- Ile drzwi samochodu otworzyło się podczas wypadku? - spytał jeden z reporterów.

- Obawiam się, że zauważyłam tylko swoje - odparła.

- Jak rozumiem, rozbity samochód został usunięty ze zbocza. Kto to załatwił i co się stało z wrakiem?

- Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań - odrzekła. - W owym czasie kwestia samochodu niezbyt mnie interesowała.

Potem Milesa przewieziono samolotem do Bostonu. Nieco później, kiedy lekarze pozwolili ją przenieść, ona także znalazła się w tym szpitalu. Oddział rehabilitacji był tam lepszy niż jakikolwiek w Meksyku. Miles znajdował się na tym samym oddziale.

- Kto za to płacił?

Pytanie nie zostało postawione agresywnym tonem, niemniej jednak taki był jego wydźwięk.

- Miles - odpowiedziała.

Kiedy stało się jasne, że jej nogom nic nie przywróci zdolności ruchu ani czucia, powróciła do domu w Meksyku.

- Czy nie czuła pani rozgoryczenia, gdy Milos Brewster nie ożenił się z panią po tym, jak została pani sparaliżowana?

- Czemu miałabym czuć rozgoryczenie z tego powodu, że coś, czego nigdy przedtem nie planowaliśmy, nie zdarzyło się po wypadku. Mój dom jest w Meksyku. Miles ma swoje życie gdzie indziej.

- Kiedy ostatnio go pani widziała?

- Nie tak dawno.

- A dokładnie?

- Kilka miesięcy temu. Chyba to normalne wśród przyjaciół, że się od czasu do czasu spotykają.

- Jak szybko po wypadku dowiedziała się pani, że pan Brewster będzie do końca pani życia wypłacał pani i pani ojcu pieniądze?

- Nie potrafię sobie tego przypomnieć.

- Obecnie wiele osób sądzi, że jest to zapłata za milczenie, *señorita* López, żeby mieć pewność, że nie ujawni pani szczegółów, które Miles Brewster chce zachować w tajemnicy. Uważa się też, że ktoś przekupił policję, żeby nie umieściła nazwisk amerykańskich pasażerów w oficjalnym raporcie.

- Sam pan wie, ile fantastycznych historyjek tworzono wokół tego wypadku, po czym odrzucano je jako niedorzeczne - odparowała i schyliła się, by znów wprawić w ruch huśtawkę w łagodne kołysanie.

- Powiedziała pani o tym wypadku, że było to coś jak sen. Czy jest możliwe, że uszło pani pamięci, iż Miles Brewster miał jakiś powód - inny niż rekompensata za pani obrażenia - żeby nadal przysyłać miesięczne wpłaty do banku w Monterrey?

W godności, z jaką zachowywała się Teresa, było coś onieśmielającego, tak że wielu telewidzów uznało to pytanie za impertynenckie i niepotrzebne.

- Pańskie pytanie jest bezsensowne - odparła. - Równie dobrze mógłby pan spytać, czy jest możliwe, że tylko wyobrażam sobie, że nie mogę chodzić.

Siedzący przed telewizorem Jackson pocierał w zadumie usta kciukiem. Było to wspaniałe przedstawienie. Jednak zdawał sobie sprawę, że wskrzeszone upiory przeszłości nie znikną, niezależnie od tego, na ile Teresie Lopez uda się oczarować i wstrząsnąć opinią publiczną. Miliarder z Teksasu ogłosił, że będzie płacił za najlepsze dostępne w Ameryce leczenie dla Teresy Lopez, dopóki znów nie będzie mogła chodzić.

Codziennie wręczano strażnikom przy zaporze zaadresowane do niej koperty. Większość zawierała prośby o wywiad z prawem wyłączności, zazwyczaj wraz z propozycją hojnego honorarium. Niektóre były od agentów pragnących występować w jej imieniu za zwyczajową prowizję.

W tym tygodniu znalazła się na okładce „Newsweeka”. Zerkała z niej również brązowa małpka ze sterczącą zasłoną rudych włosów spływających z łuków brwiowych.

Sytuacja w Arabii stała się nie do zniesienia. Dyktator otwarcie prowokował amerykańskich i brytyjskich żołnierzy, których obecność na granicy miała go zastraszyć. Prezydent Lambert codziennie udawał się na konferencję prasową przygotowany na nieuchronne pytanie czy wyrazi zgodę na ataki powietrzne. Każdego dnia, ledwie kończył wygłaszać oświadczenie, pierwsze pytanie brzmiało:

- Panie prezydencie, czy może pan nam wyjaśnić, dlaczego nigdy, aż do teraz, nie ujawniono, że pan i pani Lambert byliście pasażerami samochodu, który zabił meksykańskie dziecko i sparaliżował do końca życia meksykańską kobietę?

Zoe siedziała w pokoju muzycznym, wspierając łokcie po obu stronach „Newsweeka” i nie mogła oderwać wzroku od jego okładki. Ukazana na niej twarz zdumiewają-

co przypominała autoportret Fridy Kahlo, który widziała w biurze Milesa nad redakcją „Washington Express”.

Nagły dźwięk telefonu sprawił, że podskoczyła. Pobieгла do sąsiedniego pokoju, żeby go odebrać.

- Jak się czujesz, Zoe?

- Och, Jancie. - Rozpacz w jej głosie mówiła sama za siebie.

- No tak. Tutaj prasa też jest wredna - stwierdziła Jancie.

- Czy wywiad z Teresą Lopez poprawił choć trochę sytuację Milesa po twojej stronie oceanu?

Cisza, która po tym nastąpiła trwała tak długo, iż Zoe sądziła, że połączenie zostało przerwane.

- Jancie?

- No cóż, część ludzi uspokoił, to prawda. I z pewnością Lambertowie dobrze wypadli w jej relacji.

Myślę, że chyba zdjęła ich z haczyka. Lecz w ciągu dwudziestu czterech godzin tutejsze media znów zaczęły rozpaczać pełnym głosem, z „Javelinem” na czele. James straszliwie pokłócił się na ten temat z lordem Scrope'em. Jak to Teresa sama powiedziała, czy Miles miałby się z nią żenić tylko dlatego, że to on spowodował jej kalectwo?

Zoe przygryzła wargę.

- Czy „Javelin” przyjął teraz taką linię? - spytała w końcu.

- To jedna z kilku. Nie udało mi się dokładnie dowiedzieć, co zaszło w gabinecie lorda Scrope'a - ciągnęła Jancie - ale James złożył rezygnację, a potem lord Scrope nakłonił go jakoś do pozostania. James jest bardzo, bardzo przygnębiony. Choć zapewne nie tak jak Miles.

- Rozmawiałaś z Milesem?

- Widziałam go razem z Marigold na przyjęciu wczoraj wieczorem. Nie czuli się ze sobą swobodnie.

A potem w ogóle zrobiła się napięta atmosfera, bo nasz czarujący minister obrony wystrzelił: „Jak tam sprawy w Meksyku, Miles?” Na szczęście nikt inny nie robił żadnych aluzji.



Jancie zaśmiała się sucho.

- Nikt obecnie nie rozmawia o niczym innym, a jednak dziesięciu osobom przy naszym stole udało się przez cały posiłek o tym nie wspomnieć.

Zoe przesłoniła oczy wolną ręką.

- Zadzwoiłam do niego - dodała Jancie - kiedy ukazał się ten pierwszy artykuł. Był opanowany, przyjacielski i podziękował mi za troskę. Nie chciał o tym rozmawiać. A co z tobą?

- Masz na myśli, czy do niego zadzwoniłam?

- Tak.

- Chciałam. Doszłam jednak do wniosku, że wolałby mnie nie słyszeć. Najpierw przeszłam do pracy u Geralda Scrope'a, a potem dzwonię jakby nigdy nic z kondolencjami.

Po pożegnaniu z Jancie Zoe wróciła do drugiego pokoju i ponownie wpatrzyła się w okładkę. Victrola znalazła się obecnie na podłodze, a jej miejsce zajął faks, który zaczął właśnie mruzczeć. Wychodzący z niego papier nosił nagłówek „The Monocle”. Dalej następowała strona z komentarzem odredakcyjnym, który jej zastępca proponował do następnego wydania.

Skupił się w nim na temacie moralności dziennikarskiej. Uprzywilejowana niezależność „The Monocle” od nacisków lorda Scrope'a pozwalała mu pisać z wygodnej pozycji. Jego ton w odniesieniu do Milesa był raczej uszczypliwy.

Trudno było się spodziewać czegoś innego - Zoe zmusiła się do obiektywizmu. Wszyscy inni też doszli do tej samej niestrawnej konkluzji co jej zastępca: Miles Brewster współuczestniczył w ukrywaniu tożsamości pasażerów. Nie było to właściwe nawet, gdy był zwykłym obywatelem, a jego postępek stał się jeszcze bardziej nieetyczny, gdy mianował się redaktorem naczelnym swojej gazety. Zadaniem tego ostatniego jest ujawnianie prawdy.

Westchnęła głęboko. Czy wątpliwości na temat prawości Milesa będą ją dręczyć do końca życia? - Jeśli nawet - powiedziała głośno do portretu swego przodka patrzącego na nią spod srogich brwi - to z całą pewnością nie będę przechodzić na drugą stronę ulicy, kiedy zobaczę go przed sobą.

Jeżeli nie wypowie teraz publicznie swego zdania, to będzie tak, jakby jednak przeszła na drugą stronę ulicy. W każdym razie, dla niej będzie to równoznaczne. Zostało jej jeszcze trochę przyzwoitości i chciała, żeby Miles o tym wiedział.

Rzuciła kartki z artykułem zastępcy na kanapę i na-bazgrała dla niego krótką wiadomość:

„Przefaksuję swój komentarz za dwie godziny. Będzie tej samej długości”. Włożyła ją do maszyny i wysłała.

Z dużym blokiem poliniowanego papieru pod pachą wspięła się po starych schodach. Żółta, cedrowa poręcz i stopnie napępniały zapachem całą klatkę schodową i zawsze przywodziły jej na myśl mirrę i kadzidło. Wielka szafa w sypialni należącej niegdyś do jej rodziców również miała taki sam, nasuwający wspomnienia zapach. Ojca maszyna do pisania, Olivetti, znajdowała się na półce z tyłu. Ustawiła ją na stoliku.

Swój komentarz zatytułowała „Skryty człowiek”.

Opowiedziała całą historię od początku, z jak największą prostotą. W całym tekście prawie nie było przysłówków. Nikt nie mówił „powątpiewająco”, nie odpowiadał „zdecydowanie” i nie spuszczał wzroku „niepewnie”. Powstrzymała się od użycia wszystkich przysłówków kwalifikujących, które pozwalają dziennikarzowi nadać interpretację faktom. Rola Lambertów, wokół której skupiało się oburzenie opinii publicznej, nie była punktem centralnym jej relacji. Był nim Miles.

Wróciła do tych części historii, których potrzebowała, by przedstawić sprawę ze swojego punktu widzenia.

„Założmy, że Miles Brewster, sam przecież ciężko ranny, nie okazałby takiej determinacji przy podnoszeniu

samochodu z nóg Teresy. Samym Lambertom nie udało się tego dokonać, a liczyła się tu każda minuta, gdyż dopóki nogi znajdowały się pod tym ogromnym ciężarem, krew nie mogła w nich krążyć.

Załóżmy, że Miles Brewster nie załatwiłby jej przeniesienia na najlepszy oddział rehabilitacji w Stanach Zjednoczonych. Przecież taki oddział był również w Meksyku.

Załóżmy, że zawarliby ugodę finansową, po czym zapomniał o całej tragedii. Z relacji Teresy jasno wynika, że nigdy nie planowali małżeństwa i że zostali przyjaciółmi.

Jak wspomniane czyny świadczą o tym człowieku?"

Przez dłuższą chwilę siedziała z policzkiem opartym na dłoniach, wpatrzona w maszynę i myślała.

„Jak inne jego czyny świadczą o właścicielu gazety, który mianował się naczelnym?"

Obowiązkiem redaktora naczelnego jest mówić prawdę w swojej gazecie. Wchodzimy tu jednak na bardziej grząski grunt, niż chcielibyśmy przyznać. Normalnie nikt się po nim nie spodziewa, że będzie rozpowszechniał szczegóły ze swego prywatnego życia. Normalnie nikt by go nie pochwalił za ujawnienie czegoś, co powiedziano mu w zaufaniu. Normalnie przyjaźń też odgrywa swoją rolę - jest usprawiedliwieniem według kryteriów przyzwoitego ludzkiego postępowania, lecz nie ma znaczenia w wąskim, dziennikarskim pojęciu.

Każdy redaktor naczelny, który twierdzi, że nigdy nie uległ naciskom przyjaciół, jest albo kłamcą, albo istotą nieludzką".

Znów oparła się łokciami na stole, wpatrując niewi-dzącym wzrokiem w klawisze i próbowała w myślach dopasować do siebie fragmenty układanki.

„Gdyby zatajone fakty dotyczyły przestępstwa albo mogły ujawnić istotne słabości amerykańskiego prezydenta - czy zmieniłoby to wagę tego przemilczenia? Musimy tu odpowiedzieć: tak.

Ten tragiczny wypadek w Meksyku nie był czynem przestępczym w normalnym rozumieniu tego terminu.

Nie ma najmniejszych dowodów, że wręczono komuś łapówki, by ukryć tożsamość Lambertów. A ich obecność w charakterze pasażerów nie miała żadnego wpływu na sam wypadek. Jedynie taki, że bez ich pomocy Teresa Lopez mogłaby dziś nie żyć. Miles Brewster zawsze przyjmował odpowiedzialność za to, co zdarzyło się na drodze do Saltillo. Nie rozgłaszał publicznie tego epizodu ani w owym czasie, ani później. Dopóki skrytość nie stanie się przestępstwem, takie jest prawo skrytego człowieka".

## **CZESC V**

## ROZDZIAŁ 48

Tym razem wszyscy ze szczególnym podnieceniem szykowali się na obiad w Białym Domu. Czy prezydent albo Pierwsza Dama napomkną coś o wiszącej nad nimi groźbie?

Był to jeden z kilku dużych obiadów, które Lambertowie zaplanowali, by zademonstrować swoje zainteresowanie wszystkimi kręgami społecznymi. Będzie na nim kilku dyrektorów organizacji pomocy społecznej, paru szefów policji, przywódcy związkowi, pedagodzy. Znajdą się tu również sędziowie, paru generałów, wydawców i jedna czy dwie ulubione gwiazdy hollywoodzkie. Nona postarała się, żeby każda mniejszość żyjąca w tym kraju była reprezentowana.

No i media. One były kluczowym elementem w każdej akcji strategicznej Białego Domu i jeśli prezydent Lambert zdecydowałby się uderzyć na Arabię z powietrza, to powinien zabiegać o przychylność mediów. Zostali zaproszeni przewodniczący telewizji, najpopularniejsi prezenterzy, właściciele gazet i najbardziej wpływowi redaktorzy naczelni, a jednocześnie z nimi wybrani wydawcy z małych miasteczek z terenu całego kraju.

Zaproszenia wysłano z dużym wyprzedzeniem. Kiedy wybuchła afera z wypadkiem w Meksyku i doradcy Białego Domu zdali sobie sprawę, że wrzawa wokół niej nie ucichnie w najbliższym czasie, zaczęli szaleć nad listą gości. Czy nie ma jakiegoś sposobu, by cofnąć zaprosze-

nia najbardziej napastliwym i żądnym krwi dziennikarzom? Co z tym pieprzonym Scrope'em?

Dlaczego, u diabła, ten sukinsyn, który to wszystko rozpętał, miałby siedzieć w jadalni Białego Domu, uśmiechając się złośliwie? A może by tak wszystko odwołać?

Prezydent był nieugięty. Nie ma sposobu, żeby się z tego wymigać i nie zrobić jednocześnie wrażenia osoby, która ma coś do ukrycia. Nona go poparła i to załatwiło sprawę.

Na zaproszeniu widniała godzina siódma trzydzieści. Zoe przygryzając wargi, zabrała się właśnie do włosów. W lustrze widziała odbicie ogromnej kompozycji kwiatowej stojącej za nią na stoliku.

Dołączony bilecik wypisany był na miedzianej plakietce modnej kwiaciarni: „Od Geralda Scrope'a”.

Odezwał się telefon. Dzwonił recepcjonista.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panno Hare, ale chciałbym się upewnić, że zamówiła już pani samochód, który zawiezie panią do Białego Domu.

- Pójdę pieszo. To tylko półtorej przecznicy - odparła Zoe.

- Wiem, proszę pani, lecz będzie pani w wieczorowej sukni. - Resztę myśli zostawił niedopowiedzianą.

- Dziękuję, ale raczej się przespaceruję.

Kiedy wychodziła z hotelu, portier dotknął wyczekująco kapelusza.

- Chcę pójść pieszo, dziękuję.

- Lord Scrope czeka na panią - odparł portier i otworzył drzwi stojącego przy krawężniku cadillaca.

Czy miała to być uprzejmość, czy groźba? „The Monocle” ukazał się właśnie tego dnia, a trudno przypuszczać, żeby Gerald był zachwycony jej komentarzem.

- Dobry wieczór, panno Hare.

Mimo doskonałego kroju smokingu z Savile Row, nadal miało się wrażenie, że energia Geralda lada moment rozsadzi materiał.

- Ja to wezmę - stwierdził, wyszarpując jej z ręki zaproszenie i podając swojemu kierowcy.

- Nawet nie wiedziałam, że jest pan w Ameryce - odezwała się Zoe.

Spoglądał przez okno po swej stronie na ciąg limuzyn poruszających się przed nimi jak ślimaki.

Wszyscy, poza gośćmi honorowymi, musieli korzystać ze wschodniego wejścia ze względu na bariery antyterrorystyczne z frontu.

Zoe opuściła po swojej stronie szybę. Przez moment zajaśniała lampa błyskowa, a po chwili jakaś twarz zajrzała do środka. Usłyszała okrzyk i dostrzegła kolejny błysk po stronie Geralda. Nawet Amerykanie, których kompletnie nie obchodziło, który magnat prasowy był właścicielem której sieci mediów, kojarzyli sobie jednak, że to lord Scrope jest tym Anglikiem, którego gazeta grzebie w przeszłości ich prezydenta.

Ledwie znaleźli się na terenach Białego Domu, zatłoczonych teraz przez samochody, Zoe zaproponowała:

- Może wysiadziemy i pójdziemy pieszo? To tylko parę kroków.

- Oddaj mi zaproszenia - polecił Gerald kierowcy.

Przedostawszy się przez wartownię do holu wejściowego, natknęli się tam na niewielkie stanowisko prasowe odgrodzone sznurem - fotografów, ludzi z telewizji, reporterów. Ponieważ zostali oni tu wpuszczeni bardzo niechętnie, zachowywali się uprzejmie.

Umundurowany adiutant poprowadził ich schodami na piętro recepcyjne. Kiedy szli wzdłuż czerwonego dywanu po przypominającej marmurową szachownicę posadzce, Gerald nadal nie odzywał się ani słowem. Połową umysłu próbowała przeniknąć jego nastrój, lecz resztę uwagi poświęciła na rozglądanie się wokół siebie. Zerknęła w każde otwarte drzwi, rozpoznała Gabinet Ovalny ze zdjęć, lecz nie była pewna co do niebieskiego, a potem zielonego pokoju, które znajdowały się za nim.

Słyszała szum zmieszanych głosów. Wzmocnił się on, gdy przestąpili próg biało-złotego Pokoju Wschodniego,



gdzie niegdyś dzieci Teddiego Roosevelta jeździły na wrotkach po dębowych parkietach i gdzie wystawiano na katafalku ciała siedmiu prezydentów, trzech z nich zamordowanych.

- Zoe!

To była Leila Sherman. W tej chwili jej cocktail party w Georgetown wydawało się odległe o setki lat.

- Znasz lorda Scrope'a? - spytała Zoe i przedstawiła ich sobie.

Twarz Leili zachmurzyła się na chwilę. Potem postanowiła zachowywać się tak, jakby rewelacje „Javelin” i ich skutki nie miały najmniejszego znaczenia.

- Musi pan być bardzo zadowolony, lordzie Scrope, z debiutu swojej redaktor naczelnej w „The Monocle”. To był wspaniały artykuł, Zoe, w przeciwieństwie do innych tekstów napisanych podczas tej hysterii. Mnóstwo ludzi mówi o twoim komentarzu.

Gerald beznamiętnie przyglądał się innym gościom, sącącym najlepsze kalifornijskie wina i zerkającym ponad ramionami tych, z którymi rozmawiali.

Leila, mimo że odczuwała głęboką urazę do człowieka, którego londyńska gazeta zapoczątkowała cały kryzys, nie spodziewała się jednak, że będzie ją po prostu ignorował. Jako jedna z najślawniejszych gospodyń przyjęć w Waszyngtonie była przyzwyczajona, by poświęcano jej uwagę.

Kiedy Gerald zakończył swój przegląd gości, natychmiast dostrzegł jej irytację.

- To pani podpisała rachunek za kampanię prezydencką Franka Lamberta - stwierdził.

Nastąpiła ledwie dostrzegalna pauza, po czym Leila odpowiedziała:

- Byłam dumna, że mogłam mieć choć maleńki udział w tym, do czego doszedł.

- Czy dziś wieczorem jest pani nadal z tego dumna, pani Sherman?

- Było mi miło znów cię spotkać, Zoe - powiedziała Leila. - Mam nadzieję, że nie dojdiesz do wniosku, iż

praca dla lorda Scrope'a jest nie do zniesienia. Jest on najbardziej grubiańską osobą, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się poznać.

Nie zaszczycałszy Geralda żadnym więcej spojrzeniem, odeszła.

- Lordzie Scrope! - Był to redaktor naczelny „Newsweeka”.

- Zna pan Zoe Hare - stwierdził Gerald.

- Podobał mi się pani artykuł - odezwał się tamten. - Musiała pani całkiem dobrze poznać Milesa Brewstera podczas pracy w „Dispatch”.

- Ciekawe, czy pokaże się tu dzisiaj - zastanowił się głośno Gerald.

Zoe zarumieniła się.

Nagle w całej sali się uciszyło i wszyscy zaczęli wpatrywać się w drzwi. Zoe przesunęła się bokiem, gdyż stojący przed nią zasłaniali jej widok.

Prezydent wyglądał swobodnie. Pierwsza Dama też się uśmiechała, ale twarz miała spiętą.

Pracownicy Białego Domu zaczęli przyprowadzać do Lambertów różne osoby.

Naczelny „New York Timesa” skupił na sobie zainteresowanie Geralda, z czego Zoe natychmiast skorzystała i ulotniła się. Rozmawiała właśnie z pewnym sędzią i jego żoną, kiedy jeden z doradców odciągnął ją na bok.

- Pierwsza Dama z przyjemnością się z panią przywita, panno Hare.

Zoe nie mogła opanować zdenerwowania.

- Moje gratulacje z okazji zostania redaktorem naczelnym „The Monocle” - powiedziała Nona pogodnym tonem.

Zoe pamiętała ten ostrożny wyraz w jej oczach.

- Nie byłam pewna, jak rozumieć pani komentarz na ten tydzień, ale przynajmniej był on oryginalny.

W tej chwili zmaterializowała się przy nich zwałista postać Geralda.

- Gerald Scrope - przedstawił się.

Twarz Nony skamieniała. Bez słowa obróciła się do następnego czekającego gościa.

Zoe wiedziała ze swojego zaproszenia, że nie usiądzie ' przy tym samym stole co Gerald i przesuwał się wzdłuż kolumnady, składała za to dzięki niebiosom. Wszyscy podążali do sali bankietowej: piętnaście okrągłych stołów - każdy na dziesięć osób, błyszczący biały adamaszek, sypiące skry kryształ. Nad kominkiem prezydent Lincoln medytował dobrotliwie, siedząc na czerwonym krześle. Ale to przyszłość prezydenta przebywającego między nimi zaprzętała tego wieczoru wszystkie umysły.

Pod koniec deseru nie rozległa się oficjalna prośba i ciszę. Prezydent Lambert po prostu odsunął krzesło i wstał, a fala ciszy samoistnie rozprzestrzeniła się na inne stoliki. Prezydent wyglądał, jakby nie trapiła go najmniejsza troska.

- Moi przyjaciele - zaczął, po czym przerwał i przebiegł wzrokiem po sali - i moi nieprzyjaciele.

Od stolików dały się słyszeć nerwowe śmieszki.

- Przemowa byłaby niewłaściwa przy tej nieformalnej okazji, więc powiem tylko parę słów. Wieczór ten miał stać się dla nas okazją do poznania osób, których przedtem nie znaliśmy. Za każdym razem przekonuję się, że mogę się czegoś nauczyć, ilekroć kogoś spotykam, zamiast tylko o nim czytać. - Przerwał.

Goście spoglądali jeden na drugiego.

Przez kilka minut kpina przeplatała się w jego ustach z twardą polityką. Komplementom pod adresem obecnego na sali administratora szpitala towarzyszyło przypomnienie osiągnięć rządu w dziedzinie reformy zdrowotnej. Po przyjacielskim żarcie na temat jednego z generałów nastąpiły śmiertelnie poważne uwagi na temat kryzysu z Arabią.

Goście, których wymienił z nazwiska, albo pysznili się, gdy siedzący w pobliżu oglądali się na nich, albo też udawali skromność wobec takiego zaszczytu.

- Nona i ja - ciągnął prezydent - jesteśmy szczególnie zadowoleni, że brytyjskiemu magnatowi prasowemu, lordowi Scrope'owi - być może zwróciliście ostatnio uwagę na jego londyńska gazetę „Javelin” - udało się być tu dzisiaj z nami.

Wykazując się mistrzowskim samoopanowaniem, żaden z biesiadników przy stole Geralda nie spojrzał na niego.

- Jednocześnie bardzo nam przykro, że nie ma dziś z nami Milesa Brewstera. Przesłaliśmy mu nasze najlepsze życzenia w tej trudnej dla niego sytuacji.

Trudnej dla niego, pomyślała z oburzeniem Zoe.

- A teraz bawcie się dobrze przez resztę wieczoru. Prezydent usiadł.

Po krótkiej chwili ciszy rozległa się burza oklasków -niektóre entuzjastyczne (Leila Sherman), inne ostrożne (naczelnicy „Newsweeka”). Gerald siedzący na samym przodzie trzymał zaciśnięte pięści po obu stronach deserowego talerzyka, który zdążył wylizać do czysta, zanim zaczęło się przemówienie. Zoe siedziała bez ruchu.

Dokładnie o jedenastej było już po wszystkim. Goście wylewający się z budynku w poszukiwaniu swoich samochodów dopiero teraz zaczęli wymieniać prawdziwe opinie na temat słów prezydenta. Zoe ruszyła do hotelu na własnych nogach. Zdążyła właśnie przeciąć East Executive Avenue, kiedy dogonił ją Gerald.

- Powinniśmy jeszcze wypić coś przed snem, panno Hare.

- Nie mam dziś na to ochoty, lordzie Scrope. Czuję się trochę chora.

Resztę drogi przebyli w milczeniu.

Po wejściu do hotelu odezwała się pośpiesznie:

- Pożegnaj się już. Muszę jeszcze wziąć klucze. Kiedy wchodziła potem do windy, Gerald pojawił się obok niej. Byli sami w środku i stali tak obok siebie, a jedynym dźwiękiem był szum mechanizmu.

Zoe miała wysiadać pierwsza. Kiedy drzwi zaczęły się rozsuwać,

Gerald wyciągnął rękę i wbił kciuk w przycisk otwierający.

Musimy porozmawiać, panno Hare. Wyraz jej twarzy wystarczył mu za odpowiedź.

- Ale nie dziś wieczorem, panno Hare. Dziś jest pani w swojej króliczej formie. Spotkamy się jutro na lunchu.

O pierwszej, w Sali Willarda. Miłych snów, panno Hare. Puścił przycisk i odsunął ramię.

Przekręcając klucz, usłyszała dzwonek telefonu.

- Cześć, Zoe.

To był James Wharton, mówiący nieco bełkotliwym głosem. Alkohol? Zmęczenie? Napięcie? Kto wie, czy jej głos nie brzmiał podobnie z powodu dwóch z tych czynników. (Alkohol serwowano z umiarem, co akurat odpowiadało Zoe, gdyż nie chciała dużo pić.)

- Wiedziałem, że nie będziesz jeszcze spała - usprawiedliwił się. - Przewodniczący mówił, że będziesz na obiedzie w Białym Domu. Czy wspomniał, że jestem razem z nim w Waszyngtonie?

Obydwoje roześmieli się ze znużeniem.

- Co prawda - dodał James - nikt tak naprawdę nie jest razem z nim. Simon Fleet też tu jest. Ja spędzam dwadzieścia cztery godziny, przepychając kolejny kontrakt obronny z szuchami wojskowymi. Bóg wie, co robi Fleet, może pławi się w chwale. Muszę się z tobą spotkać, Zoe.

- Och, James, nie bardzo wiem, jak to zrobić. Jutro lecę z powrotem do Vermontu, a przed wyjazdem muszę jeszcze zjeść lunch z lordem Scrope'em.

- To pilne.

- Czy z Jancie wszystko w porządku?

- I tak, i nie.

- Nie jest chyba chora? - Teraz już naprawdę się przestraszyła.

- Nie w tym sensie, co myślisz. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

- W takim razie zostanę jeszcze przez jutrzejszą noc

i polecę na północ w sobotę.

## ROZDZIAŁ 49

Przez chwilę nie mogła sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Sięgnęła po zegarek - ósma - po czym leżała, gapiąc się na kwiecisty wzór zasłon, których barwa wydawała się sprana w wodnistym półmroku. Półświecie, poprawiła się. Myśl pozytywnie, na litość boską.

Obróciła głowę i spojrzała na prawdziwe kwiaty. Od Geralda Scrope'a.

Sięgnęła po telefon i zamówiła śniadanie.

- Na tacy, proszę.

Ułożyła się znów w pozycji nieboszczyka i starała przegnać wszystkie myśli, lecz obrazy stale wdzierały się do jej umysłu. Prezydent z przyjacielskim uśmiechem na ustach przesyłający Milesowi najlepsze życzenia w jego kłopotach. Miles z tym ciepłym, powitalnym spojrzeniem, a potem chłodne zamknięcie się w sobie, gdy powiedziała mu o propozycji Geralda. Zdjęcie z okładki „Newsweeka” teraz zlewające się w jedno z autoportretem Kahlo. Noc w Waldorfie z Peterem - dwoje ludzi tulących się do siebie, by znaleźć pociechę. Kciuk Geralda blokujący przycisk do otwierania drzwi.

Z radością powitała stukanie kelnera do drzwi.

Tuż po dziesiątej stanowczym krokiem przemierzała mozaikową posadzkę holu, udając osobę, która wie, dokąd zmierza. Cóż, wiedziała przynajmniej, dokąd za chwilę pójdzie. W połowie drugiej filiżanki kawy podjęła

decyzję, jak wykorzysta czas przed spotkaniem z Geraldem.

Na pewno setki taksówek szukają pasażerów wokół narożnika Czternastej Ulicy, ale wydało jej się niegodziwością pozbawiać portiera jego dwóch dolarów. Mogła się założyć, że Gerald dałby mu pięć albo i dziesięć. Z drugiej strony, mógł mu równie dobrze nie dać nic.

Portier przyjął jej dwa dolary, jakby wręczyła mu parę dopasowanych pereł. Ludzie w Waszyngtonie mają wspaniałe maniery, niezależnie od swojej pozycji; w Maryland i w Wirginii też, w zasadzie na całym Południu. O wiele lepsze niż w Londynie, pomyślała. Wsiadła do taksówki.

Budynek „Expressu” wydał się jej mniejszy, a frontowe drzwi mniej imponujące. Natomiast nic się nie zmieniło w magicznej przestrzeni łamiącej szeregi biurowców po drugiej stronie ulicy. Stara magnolia nadal oceniała frontowe schodki. Na niebieskich deskach nie było najmniejszego śladu złuszczenia się farby, okiennice wyglądały jak świeżo odnowione. Wchodząc do halu redakcyjnego, Zoe poczuła ogarniające ją ciepło, jakby wracała do domu.

Nikogo nie uprzedziła, że przyjdzie i w redakcji było jeszcze niewiele osób. Kiedy ją dostrzegli, pierwsi rzucili się ją witać dwaj koledzy, z którymi rozmawiała o przeniesieniu do „The Monocle”. Pogawędziła z sekretarkami i ulubionymi dziennikarzami. Wszyscy widzieli już zdjęcie w konkurencyjnej waszyngtońskiej gazecie: Gerald z kamienną twarzą wyglądający z okna samochodu i zaskoczona Zoe.

Naczelny, który był za jej czasów, już nie pracował; parę tygodni wcześniej został redaktorem naczelnym nowojorskiego dziennika będącego okrętem flagowym Geralda w Ameryce.

- Wiele się tu zmieniło od twoich czasów - oznajmił kierownik działu publicystycznego, gdy pili kawę w jego biurze. - W większości na gorsze. Dopóki Miles nie prze-

prowadził się do Londynu, nie zdawałem sobie sprawy, jak istotna była jego obecność przy codziennym prowadzeniu tego bałaganu. Byliśmy przez niego tak tyranizowani, że niewielu zdawało sobie sprawę, jak bardzo wpływał on na morale zespołu. Nowy naczelny postawił swoich ludzi nad częścią naszych najlepszych pracowników. Nie wiadomo, czy Miles w ogóle jest świadomy, jak się tu pogorszyła atmosfera.

- Sądziłam, że on dość regularnie przylatuje do Waszyngtonu - odezwała się Zoe.

- Tak, ale to nie to samo co wtedy, gdy był na górze i mógł w każdej chwili zejść. Wszyscy wiedzieliśmy, że naczelny spotyka się z nim przynajmniej raz dziennie. Słyszałaś może, jak Miles znosi to obrzucanie błotem? Musi mu być ciężko. Mówię ci, Zoe, to musiało być diabelnie przykre, zdawać relację ze swego oszustwa we własnej gazecie. Powinien wiedzieć, iż takie sekrety zawsze wychodzą na jaw.

- Co za bzdura - odparła Zoe. - Z natury rzeczy, nigdy nie dowiadujesz się o sekretach, które nie wyszły na jaw.

Uśmiechnął się.

- Ta sama Zoe. Zawsze logiczna. A przy okazji, podobał mi się twój komentarz w „Monoclu”. Lord Scrope musiał być zachwycony.

- Przyznaję, przemknęło mi przez myśl, że może się pani zbyt pośpieszyć. Z początku byłem niezadowolony. Bardzo niezadowolony, panno Hare.

Zoe właśnie zdążyła usiąść przy stoliku Geralda w kącie Sali Willarda.

- Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że to posunięcie było korzystne dla „The Monocle”. Ludzie mówią o pani, zanim jeszcze zdążyła pani zasiąść na redaktorskim stołku.

- Czy uważa pan, że mój komentarz był uczciwy,



lordzie Scrope? - spytała, naprawdę zainteresowana, co jej odpowie.

- Ludzie, którzy dla mnie pracują, nazywają mnie przewodniczącym, panno Hare.

Zoe przełknęła ślinę.

- Co pani zamawia?

Wybrała marylandzkie ciasteczka krabowe i to nie tylko dlatego, że w Anglii nikt nie ma pojęcia, jak zrobić porządne ciasteczka krabowe. Istotniejsze było to, że napięcie stwarzane przez towarzystwo Geralda uniemożliwiało jej poradzenie sobie z tak prostą, zdawałoby się, sprawą, jak pokrojenie jagnięcego kotleta, czy - co gorsza - przeżucie go.

Natychmiast po złożeniu zamówienia, Gerald zacytował jej własne słowa:

- „Każdy redaktor naczelny, który twierdzi, że nigdy nie uległ naciskom przyjaciół, jest albo kłamcą albo istotą nieludzką”.

Zoe sprężyła się.

- Czy to samo dotyczy właścicieli, panno Hare? - spytał. - Czy postrzega mnie pani jako kłamcę, czy jako istotę nieludzką?

- Nie miałam pojęcia, że twierdzi pan, iż przyjaźń nigdy nie miała na pana wpływu. Czy tak faktycznie jest? Panie przewodniczący.

Machnął ręką w milczeniu. Zoe drążyła dalej:

- Podczas tego drugiego lunchu w Ivy, dlaczego opowiedział mi pan te wszystkie rzeczy o sobie?

Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy, gdy na nią spojrzał.

- Może dlatego, że cię lubię, Zoe.

Nigdy przedtem tak się do niej nie zwrócił. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Gerald przyjrzał się Crab Imperial, które właśnie przed nim postawiono. Wziął widelec i zajął się swoim lunchem.

Zoe zabrała się do ciasteczek krabowych.

Gerald odezwał się dopiero, kiedy odsunął swój talerz.

- Nadal chcesz wierzyć, że Miles Brewster mnie przewyższa, przewyższa moralnie. Ciągłe jesteś entuzjastką tych frazesów o wyższych celach i większym dobru. Mała Panna Czyściocha.

Tym razem Zoe zmobilizowała wszystkie siły, żeby jej twarz niczego nie zdradziła.

- Jestem przekonany, że on kieruje się wyższymi motywami niż ja. Zauważ jednak, że robi, co chce, prawda? A przynajmniej robił, dopóki go nie zdemaskowałem.

To też ją zabolalo. Jego oczy miały obecnie wyraz zrozumienia - nie próbował jej zastraszyć, tylko nawrócić.

- Nie powinnaś tak się zapalać do tych wielkich idei. W ostatecznym rozrachunku nikomu nie wychodzą one na dobre. Trzeba widzieć świat takim, jaki jest. Lepiej dla ciebie i lepiej dla świata. - Przerwał. - Jak na dziewczynę, która zaszła w tym świecie tak wysoko, nadal jesteś pod wieloma względami dzieckiem, Zoe. Mogę cię wiele nauczyć. - Jego twarz złagodniała. - Nawet jeśli serduszka i kwiatki nie są w moim stylu.

Uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Nic nie wiem o serduszkach, lecz w moim pokoju jest bukiet kwiatów wielkości stodoły - powiedziała. - „Od Geralda Scrope'a”.

- Kiedy wracasz na swoją Syberię?

- Jutro rano. W ten sposób zostaje mi dokładnie pięć dni z mojej słynnej przerwy na odzyskanie sił, zanim obejmę „The Monocle”.

- Zróbmy z tego cztery. Zesztywniała na swoim krześle.

- Mam co nieco do zrobienia w Waszyngtonie - podjął Gerald. - A jutro jadę na Wschodnie Wybrzeże.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić pana w oderwaniu od wielkiego miasta - odparła Zoe.

- Pojedź ze mną, a zobaczysz Geralda Scrope'a, jakiego nigdy nie spodziewałabyś się ujrzeć.

Nie zostawił jej czasu na przygotowanie obrony.

- W Waszyngtonie zjawił się mój przyjaciel z Teksasu. Ma on domek myśliwski gdzieś na końcu świata w Tilghman Creek. Mamy parę spraw do omówienia. Na pewno ci się spodoba. - Uśmiechnął się. - Nie musisz znów zmieniać się w królika, Zoe Hare. Jest tam dosyć dodatkowych sypialni.

Wszystko bardzo przyzwoicie.

- Uwielbiam Wschodnie Wybrzeże - odparła podniecona. - Jednak obiecałam dziadkom, że jutro wracam. Nie mogę tak po prostu zadzwonić i ponownie tego przełożyć.

- Owszem, możesz, Zoe.

## ROZDZIAŁ 50

Restauracja znajdowała się na spokojnej uliczce po drugiej stronie Potomacu. James siedział już przy przyzwoitych rozmiarów stoliku w rogu sali, tak zatopiony w myślach, że nie zauważył jej, dopóki się nie nachyliła, by go pocałować.

Zamówił whisky dla niej i jeszcze jedną dużą dla siebie. Pił bardzo szybko. Odezwał się w połowie drugiej szklaneczki.

- Muszę to powiedzieć komuś, komu ufam i kto kocha Jancie.

Pilnie uważała na każde słowo, ponieważ miał kłopoty z zebraniem myśli i wypowiadał je nagłymi zrywami.

- Moje stosunki z przewodniczącym ustaliły się na mniej więcej równym poziomie. Wypracowaliśmy układ, który tylko od czasu do czasu był nie do zniesienia. Potem, to musiało być wkrótce po twoim wyjeździe, odmówiłem napisania artykułu wstępnego o tym, że Alan Rawlston jest zbawcą Wielkiej Brytanii i powinien przejąć ster. Nawiasem mówiąc, jest to pogląd, który z każdym dniem coraz bardziej się rozpowszechnia. Co najmniej jedna trzecia posłów z obozu rządowego spiskuje obecnie przeciw premierowi. Przewodniczący sięgnął do swojego biurka. - Twarz Jamesa była teraz szara. - W sypialni w jego mieszkaniu musiała być ukryta kamera. W tej wielkiej szklanej wieży naprzeciw Parlamentu. Sterczącej jak fiut. Jak fiut Fleeta. Z Jancie.

Przesunął ręką po twarzy. Zoe położyła mu dłoń na ramieniu. Nie rozumiem, James.

- To były zdjęcia z filmu Freda i Jancie. Zupełnie jak kawały mięsa. Dlatego to takie obrzydliwe.

Zoe głęboko wciągnęła powietrze.

- Tego samego wieczoru pokazałem je Jancie. Ona nigdy nie uwolni się od niego.

Nadal trzymała rękę na jego ramieniu.

- Kiedy przewodniczący mi je wręczył, byłem zbyt-zszokowany, by cokolwiek powiedzieć. Zupełnie jak kawały mięsa - powtórzył James, patrząc nieprzytomnym wzrokiem. - Rano wszedłem do niego, zanim opróżniłem swoje biurko. Powiedziałem, że jeśli chce mnie zaskarżyć za zerwanie kontraktu, to niech sobie skarży. - Przerwał.

- I co wtedy?

- Powoli zamknął i otworzył te swoje oczy. Potem powiedział - James zaczął naśladować wymowę Geralda - „Jest mi to nie na rękę, ambasadorze, żeby pan w chwili obecnej składał rezygnację”.

Zoe cofnęła rękę i pociągnęła długi łyk whisky.

- Raz jeszcze sięgnął do swojego monstrualnego biurka. Tym razem wyciągnął segregator z dokumentami. Całe strony biurowego maszynopisu, z pojedynczym odstępem.

James podniósł stojącą u jego stóp teczkę. Wyciągnął segregator i otworzył na pierwszej stronie. Zoe zobaczyła, że jest to fotokopia. James przejechał kciukiem po krawędziach stron.

- Pierwszych kilka kartek przewracał powoli. Bardzo powoli. Gdziekolwiek kończył się paragraf i było wolne miejsce, wszędzie widniał mój podpis. - Ponownie zaczął przedrzeźniać płaskie samogłoski. - „Pan zaaprobował eksport tych części maszyn, ambasadorze. Szanowany człowiek honoru, sam James Wharton, nie widzi nic złego w łamaniu embarga na dostawy broni dla Arabii”.

Zoe poczuła, że zaschło jej w gardle.

- Fabryki Scrope Electronics są rozrzucone po całej Ameryce - wyjaśniał dalej James. - W zeszłym miesiącu Scrope wysłał mnie do jednej z nich, znajdującej się w Austin w Teksasie. Scrope Southwestern. Byłem tam gościem jednego z najmiłszych facetów, jakich możesz sobie wyobrazić, Speersa Jacksona. Peter go zna. Nadal nie wiem, jakie dokładnie związki łączą go ze Scrope'em, w każdym razie miał tam *carte blanche*. Na miejscu okazało się, że przewodniczący udzielił mi pełnomocnictwa do podpisu deklaracji celnych na pilną wysyłkę towarów ciężarówkami do Meksyku. Niezliczone strony technicznego żargonu dotyczące części do urządzeń mechanicznych. - Roześmiał się ostrym, krótkim śmiechem. - Były wśród nich części elektroniczne, których zadaniem było, jak to ujął przewodniczący, zagwarantowanie celności używanej przez Arabię broni chemicznej. Zastanawiając się nad tym teraz, jestem pewien, że wysyłał je już od jakiegoś czasu. Bóg wie, dlaczego chciał również mnie obciążyć.

Zoe ponownie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Obawiam się, że to jeszcze nie koniec - stwierdził James. - Wiesz chyba, że dyktator tylko dlatego nie użył jeszcze tej uwielbianej przez siebie superbroni, że nie miał bardzo istotnego podzespołu elektronicznego. Cóż, wkrótce będzie miał. To było w tym transporcie, który podpisałem. - Szybkim ruchem przewrócił kolejne strony, po czym otworzył na ostatniej, tak żeby mogła ją przeczytać. Wskazał jej palcem nazwisko: Pedro Lopez. Tym razem jego śmiech zabrzmiał dziko. - Trudno to porównywać ze składnikiem superbroni - wyjaśnił jej. — Po prostu mały żarcik na koniec.

- Czy to ten sam Pedro Lopez, ojciec Teresy? - spytała Zoe.

- Bóg wie. W tej całej koszmarniej pajęczynie powiązań to całkiem prawdopodobne.

James chwilami wypowiadał urywanym głosem swoje

własne słowa, a chwilami przerzucał się na parodiowanie Geralda.

- „Kokaina zrzuca na taksyńskie ran-cza to małe piwo, ambasadorze”. Wygląda na to, że o wiele, wiele więcej przechodzi przez granicę w ciężarówkach, ukryte w tym, co sprytny przemysłnik uzna za bezpieczne w razie, gdyby celnicy zajrzeli do środka. Na granicy kontroluje się zaledwie jeden na dziesięć pojazdów. Sprawdzanie większej ich liczby sparaliżowałoby handel między naszymi krajami. - Spojrzał prosto w twarz Zoe i zdobył się na wymuszony uśmiech. - „Powinienem panu pogratulować, ambasadorze, żywego zainteresowania handlem międzynarodowym. Jednak niektóre sprawy trzeba zachować w sekrecie. Jeżeli do wiadomości publicznej dostanie się jakaś wzmianka o tym, czym pan tym razem handlował, to będę musiał zaprzeczyć, jakoby wiedział pod czym pan złożył swój podpis, ambasadorze”.

James zamknął skoroszyt i pchnął go w stronę Zoe.

- Przechowaj to Zoe.

- Po co mi to? - spytała, wzdrygnąwszy się, jakby ktoś położył przed nią grzechotnika.

- Proszę, Zoe, weź to. Zamknij gdzieś. Muszę wiedzieć, że jest bezpiecznie ukryty w razie, gdyby był potrzebny.

Po dłuższej chwili powiedziała cicho:

- Dobrze.

Znów zapadła cisza. Przerwała ją Zoe.

- Czy nie mówiłeś wczoraj wieczorem, że jesteś tu z Geraldem Scrope'em?

- Nie martw się. Od następnego tygodnia nie będę już jego *chef de cabinet*. Co za farsa. Odszedłbym już w zeszłym tygodniu, ale musiałem sobie wszystko przemyśleć.

Pochyliła się i dotknęła szybko jego policzka.

- Speers Jackson - rzekł James marzycielsko, jakby próbując przywołać obraz kogoś znajdującego się na pe-

ryferiach jego pamięci. - Zostać wrobionym przez takiego przyjemnego człowieka!

Żadne z nich nawet nie tknęło stygnącego jedzenia. Zoe przeprosiła i poszła do toalety. Zdążyła dotrzeć tylko do umywalki, zanim wstrząsnęły nią gwałtowne torsje.

Trzymając segregator pod pachą, zamknęła drzwi od sypialni i przekręciła zatrzask. Jeszcze zanim się obróciła, wyczuła, że w pokoju coś się zmieniło.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego, jedynie na erotycznych obrazach Georgii O'Keeffe. Musiał ich być co najmniej tuzin. Nie miały ostro zakończonych płatków, jak lilie, które w pewien sposób przypominały, lecz z zagłębieniem na środku, jak tulipany. Łodygi miały raczej krótkie i były zebrane w jeden pęk, co robiło wrażenie, jakby promieniście wybuchały ze środka. Każdy z kwiatów był niemal całkowicie rozwinięty, ukazując wilgotne, różowe wnętrza z szerokim słupkiem, twardym i napiętym oraz szkarłatne, sterczące pręciki.

Otworzyła kopertę. Zamiast pretensjonalnej miedzianej tabliczki kwiaciarni, znalazła kartę napisaną schludnym, nieco ściśniętym pismem: „Tym razem od Geralda”.



## ROZDZIAŁ 51

List napisała w samolocie. Kiedy dotrze na farmę, przepisze go na maszynie. Ostatecznie wyszedł bardzo krótki:

*Drogi Geraldzie!*

*Czułam się zaszczycona, kiedy poprosiłeś mnie o kierowanie „The Monocle”. Przykro mi, że porzucam stanowisko redaktora naczelnego, zanim je na dobre objęłam. Jednak po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że jakkolwiek ogromnie cenię „The Monocle”, to nie chcę pracować dla Scrope Opportunities Ltd.*

*Z poważaniem Zoe Hare*

To było coś więcej niż kaprys. Myśl ta po raz pierwszy nawiedziła Jamesa, gdy Concorde zbliżał się do lotniska Dullesa.

Już wcześniej zaplanował, że zostanie w Waszyngtonie dzień dłużej po wypełnieniu swoich zadań w tym mieście. Większość znajomych zniknęła ze stolicy na czas weekendu, ale kilku na pewno się znajdzie.

Potem uświadomił sobie, że tak naprawdę, to pragnie znaleźć się na łodzi w Zatoce Chesapeake - sam. Co prawda, czterdziestostopowy jacht wyścigowy był trochę za duży, żeby go obsługiwać samotnie. Ponadto radość żeglowania wynikała w dużej mierze z poczucia wspólnoty z drugim człowiekiem stanowiącym załogę na dzi-

kich, otwartych wodach. Istotą tej przygody było wyzwanie rzucane wiatrowi i morzu, świadomość, że życie jednego jest w rękach drugiego. Przecież wiele razy sam brał łódź na spokojne rzeki Wschodniego Wybrzeża, a raz na zatokę, gdy była prawie gładka. Dopóki będzie używał tylko grota, to nie powinno być takie trudne. Dziwne: kiedy tylko ta myśl przyszła mu do głowy, miał wrażenie, że już od dawna tam drzemała.

Ledwie zameldował się w Hotelu Willarda, zadzwonił do Annapolis i polecił, żeby przygotowali mu łódź na sobotni ranek.

Zawsze lubił Annapolis. Osiemnastowieczne domy zbudowane z różowej cegły wyładowanej z angielskich szkunerów, które potem napełniały swe ładownie tytoniem czekającym w belach przed urzędem celnym. Spokojna elegancja kolonialnego State House, gdzie został ratyfikowany traktat paryski z Anglią. Surowe budynki Akademii Marynarki panujące nad rzeką - bloki białego kamienia odbijające poranne słońce, szeregi oślepiających czapek kadetów.

Spa Creek, gdzie przechowywał łódź, znajdowała się tuż przy rzece. Wszyscy cieszyli się, że go widzą. Pyrkowanie silnika działało bardzo uspokajająco, gdy wysuwał się z bocznej zatoczki, pozdrawiając uniesieniem dłoni innych, płynących również ku wyjściu na zatokę: żeglarzy stojących dumnie za sterem, podczas gdy ich załogi się krzątały, paru rybaków na płaskich łodziach do połowu ostryg lub krabów ze stosami sieci na dziobie. James lubił dotyk porannej bryzy na twarzy.

Kiedy pas wody zaczął się rozszerzać, zablokował ster na czas wciągania żagla. Ponownie stanął za kołem; biały żagiel załopotał, a łódź prześlizgiwała się po falach, przechylając to na jedną to na drugą stronę, kiedy zmieniał hals, żeby złapać bryzę.

Znalazłszy się na zatoce, skierował się ku mostowi, pędząc szybko wraz z falą przyływu, która miała dotrzeć do Baltimore godzinę później. Z przyjemnością spoj-

rzał w górę, tak jak to zawsze robił, na bliźniacze przesła nad sobą - kilometry stali łączące korpus Marylandu z jego wschodnią kończyną, tym płaskim terenem, gdzie czas się prawie nie posuwał naprzód, a stare rodziny nadal mieszkały w swoich dworkach nad wąskimi rzeczkami i na przeciwległym krańcu półwyspu, w który uderzał Atlantyk.

Kiedy skierował się ku Love Point z bomem grota kołyszącym się nad jego głową jak gigantyczna maczuga, nie czuł już w sobie tego straszliwego napięcia. Zostawił za sobą ponizenia i te szydzące z niego obrazy.

Poluzował żagiel, żeby skrócić w boczną zatoczkę i musiał się uśmiechnąć na widok porozrzucanych na brzegu domków, przypominających domki dla lalek. Mimo tak późnej pory roku na schodkach dwóch czy trzech z nich siedzieli jeszcze mężczyźni o twarzach koloru węgla drzewnego. Dalej widać było przybrzeżną knajpkę. Kilka kul z barwionego szkła przywiązanych kawałkami sieci podskakiwało na falach, wskazując miejsce, gdzie trzymane są mięczaki. On i Jancie nieraz przebywali u przyjaciół, którzy mieli tu w pobliżu dom. James zabezpieczył bom i przycumował przy pomoście. Podawali tu świeżo złowione kraby i przyzwoity angielski lager.

Nie mógł jednak długo wysiedzieć, wkrótce poczuł, że coś go gna z powrotem na łódkę. Po jakimś czasie zatoka przed nim coraz bardziej się rozszerzała, inne jachty przekształciły się w jasne trójkącki daleko na horyzoncie. Przy Love Point fale wzrosły i krzyknął głośno z zachwytu.

Zawrócił łódź. Zarezerwował sobie pokój w Crabshell Inn w Kent Narrows i chciał dotrzeć tam na czas, by zdążyć się wykapać, wypić bourbona i zjeść wcześniejszą kolację. Planował potem wrócić na łódź i nacieszyć się wieczorną żegluga. Uwielbiał prześlizgiwać się po powierzchni niezgłębionych wód, kiedy jedyne światło dawały gwiazdy i księżyc. Jeśli w Crabshell Inn trafi na

kogoś sympatycznego, może zaproponuje mu wspólne wypłynięcie.

Do duszonych ostryg wypił sporo lagera, przy czym przez cały czas przepełniało go uczucie radości. Zdawał sobie sprawę, że bierze się ono z żeglowania, z panowania nad łodzią. Sam miał wreszcie kontrolę nad swym losem, zamiast być na łasce człowieka, który źle mu życzył.

Jadalnia była niemal pusta, więc zauważył, że kelner prowadzi nowych przybyszów do stolika.

Podniósłszy wzrok, dostrzegł oszalamiająco piękną dziewczynę, uosobienie seksu. Tuż za nią kroczył Simon Fleet.

Zaledwie dziesięć minut później, kiedy Simon nadal jeszcze dyskutował z pięknym zjawiskiem nad menu, nie tracąc okazji, by pochwalić się swą znajomością tutejszych specjalów, został wezwany do telefonu. Zdażył już zauważyć Jamesa i przechodząc, zatrzymał się przy jego stoliku.

- O co się założysz, że to przewodniczący? - spytał, przybierając wyraz udawanej rozpaczki. - Pierwszą rzeczą, którą mi powiedziano, gdy przyszedłem do „Javelin”, było to, że on przypomina Argusa. „Gdziekolwiek jesteś, jedno z jego oczu cię widzi”.

Simon nie mógł powstrzymać uśmiechu. Powiedział mu to redaktor naczelny. W poniedziałek zostanie ogłoszony komunikat, że Simon zajmuje jego miejsce.

Speers Jackson zaprosił na ten wieczór kilka osób spędzających weekend na Wybrzeżu, aby spotkały się w jego domku myśliwskim na kolacji z lordem Scrope'em. Były one starannie wybrane pod kątem interesów: senator z Marylandu, członek Senackiej Komisji do Spraw Sił Zbrojnych z małżonką oraz Jock Liddon, przewodzący najsilniejszej grupie nacisku w Waszyngtonie z przyjaciółką. Na miejsce dotarli z trudem, gdyż domek Speersa był schowany na odludziu nad Tilghman Creek, w rajach myśliwych polujących na kaczki.

Trawnik rozciągał się aż do drewnianego pomostu nad wodą. Widać było z niego rozmyty w wilgotnym powietrzu obraz drugiego brzegu, kaczki dokazujące w szuwarach oraz przesmyk, w którym znikła rzeka. Gerald zachowywał się niespokojnie. Nigdy nie miał zamiłowania do życia poza dużym miastem, a Wschodnie Wybrzeże było dla niego po prostu dżunglą, nawet jeśli topole były odarte z kory, a komary trzymały się z daleka.

Dotknięty faktem, że Zoe nie przyjechała, odczuwał znajomą chęć, żeby zmusić kogoś do tańczenia jak mu. zagra. Wiedział - zawsze wiedział - gdzie znajdzie zarówno swego *chef de cabinet* jak i kandydata na naczelnego. Wezwałby tylko Simona, co powinno zaniepokoić Jamesa.

- W poniedziałek ogłoszę, że Simon Fleet jest nowym redaktorem naczelnym „Javelin” - oznajmił z namaszczeniem, gdy wszyscy usadowili się ze swoimi drinkami.

Nikomu nie trzeba było wyjaśniać, kim jest Simon Fleet.

- Myślę, że nasz gospodarz nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli zadzwonię i zaproszę pana Fleeta, żeby wziął udział w naszej kolacji. Wiem, że zatrzymał się z przyjaciółką w Kent Narrows, niemądrze wyobrażając sobie, że nie ma tej nocy żadnych obowiązków.

Speers uśmiechnął się miło.

- Ale przecież dotarcie tutaj zabierze mu wieki - odezwała się żona senatora. - Będzie musiał okrążyć wszystkie zatoczki. Niektóre drogi są bardzo wąskie.

- Pan Fleet sam musi rozwiązać ten problem - odparł Gerald, ruszając w stronę gabinetu.

- Powiedz mu, żeby wynajął łódź - krzyknął za nim Jackson.

Wracając od telefonu, Simon zatrzymał się przy stoliku Jamesa. Tym razem wyraz rozpacz na jego wykrzywionej twarzy nie był udawany.

- Jezu! Muszę jakoś się dostać tam, gdzie on jest. Na

końcu świata, nad jakimś strumieniem zwanym Tilghman. „Natychmiast”. Przecież to całe cholerne mile stąd i to jakimiś nędznymi drogami. Recepcjonista mówi, że szybciej jest wodą. Próbuje zdobyć dla mnie łódź. Na dodatek nie mogę zabrać ze sobą przyjaciółki. A tak dobrze się zapowiadało. - Utkwił nieszczęśliwy wzrok w dziewczynie spokojnie sączącej swój koktajl.

- Ja cię zabiorę - zaproponował James. - Moja łódź jest szybsza od wszystkiego, co on może ci załatwić. Ubierz się ciepło. Mam dla ciebie kamizelkę ratunkową.

Sierp księżyca majaczył niewyraźnie jak duch, a niebo było już zupełnie ciemne ponad topolami stojącymi jak szkielety nad brzegiem. James postawił grot.

- Podnieś kliwer sztormowy, kiedy wyjdziemy na zatokę — polecił Simonowi. — Będziemy fruwać. Simon nieraz już żeglował na jachtach podczas lat spędzonych w Waszyngtonie, lecz zawsze się upewniał, że będą to towarzyskie wypady. W trakcie tych rejsów nie brał się za nic, jeżeli nie zmusiły go do tego okoliczności. Wiedział oczywiście, jak postawić czy opuścić ten cholerny żagiel, ale wcale go to nie rajcowało.

Kliwer załopotał i uderzył go w policzek, zanim wiatr napiął go z trzaskiem. Zaczął gramolić się z powrotem i usadowił w końcu za masztem, trzymając stopy w tenisówkach po obu końcach knagi.

Pamiętał o tym, by usiąść z głową poniżej miejsca, gdzie bom dochodził do masztu. Spojrzał na zegarek. Obiecał jej, że wróci na długo przed północą. Nie przyjęła tego zbyt dobrze.

Kiedy minęli Windmill Island, uderzył w nich z pełną siłą wiatr północno-zachodni, a fale urosły nagle do gigantycznych rozmiarów. Księżyc zniknął. Simon na próżno wypatrywał gwiazd na niebie.

W chwilach, gdy dziób łodzi uderzał w fale, woda przelewała się przez pokład. Na ustach czuł smak soli. Spojrzał na spodnie klejące się do nóg. Przeklinał w duchu, że nie założył jeszcze trzeciego swetra na koszulę. Cholera, przecież zamarznie. Obrócił się, by zawołać do Jamesa, i stwierdził, że wy-

gląda on o wiele potężniej, niż pamiętał. Ciemna postać na tle czarnego jak węgiel nieba. Kamizelka ratunkowa nadawała mu wygląd jakiegoś kosmicznego wojownika. Simon przyłożył dłonie do ust i zawołał:

- Czy nie wypłynęliśmy za daleko? - Wskazał na niewielką wstążkę światełek po ich lewej stronie. James zakręcił sterem, by złapać więcej wiatru. Żagle wydawały dźwięk podobny do pociągu pędzącego przez tunel.

Simon zatrzęsł się z zimna. Gdyby mógł się dostać pod pokład - nie znosił przebywać w tych ciasnych kabinach; to zupełnie jakby się było w trumnie - mógłby wziąć marynarkę, którą tam odłożył, żeby nie zamokła. Musiałby zdjąć na chwilę te dętki i wciągnąć na siebie marynarkę, co nie będzie łatwe z tymi wszystkimi pieprzonymi swetrami. Jednak niechybnie umrze, jeśli nie zdobędzie jeszcze jednej warstwy chroniącej go przed coraz bardziej przenikliwym wiatrem.

Na dłoniach i kolanach zaczął się czołgać po pokładzie koło masztu, kiedy potężny poryw wiatru przesunął żagiel tak daleko, że widział błyszczące góry wody falujące tuż pod miejscem, gdzie leżał, trzymając się kurczowo relingu.

- Na Boga, człowieku! - wrzasnął.

James obrócił kołem sterowym. Pokład uniósł się tak gwałtownie, aby po chwili przechylić się w drugą stronę, że Simon został rzucony na nogi. Zaczął gramolić się do kokpitu, lecz zanim zdążył tam dotrzeć i zeskoczyć na dół, bom ruszył na drugą burtę i grzmotnął go w tył głowy. Jak kij golfowy uderzający w piłeczkę i posyłający ją czysto w powietrze, cios ten przerzucił go przez reling prosto w falujące wody. Zapewne nawet nie wiedział, co go uderzyło.

James mocniej zacisnął dłonie na kole. Zmienił kurs, przy którym miał Tilghman na sterburcie i skierował się prosto w Zatokę Chesapeake. Był kompletnie przemoczony, lecz nie robiło mu to różnicy. Woda przelewająca

się z jednej strony pokładu na drugą była zimna jak śmierć, ale przyjemnie chłodziła mu twarz i nie był w stanie określić, która pochodziła z morza, a która z nieba, gdyż sztorm szalał obecnie z pełną siłą. Było to wyzwanie, któremu stawiał czoło i na pewno wygra.

W momencie gdy dojrzał światła Bloody Point, siła wiatru musiała wynosić co najmniej osiem. Linę grota trzymał mocno naciągniętą. On decydował o swoim losie. Zakręcił kołem sterowym tak, że wiatr uderzał teraz w łódź z prawej strony i w krótkiej chwili drżenia, zanim bom zdążył ruszyć w kierunku drugiej burty, potworny szkwał uderzył pełną siłą w żagiel. Naprężone płótno leżało niemal równoległe do wody, kiedy puścił ster. Wydał długi okrzyk triumfu i wyzwolenia.



## **ROZDZIAŁ 52**

Zoe odwiesiła rzeczy, które miała na sobie, idąc do Białego Domu. List przepisze rano. Po obiedzie przeszli z kawą do pokoju muzycznego. Wiadomości telewizyjne miały obecnie dla Zoe magnetyczną moc przyciągania. Właśnie spiker zaczynał podawać pierwszą z nich.

„Patrol angielskich żołnierzy z sił pokojowych stacjonujących na granicy Arabii wpadł w zasadzkę muzułmanów arabskich i został zmuszony do oddania broni. Trzydziestu silnie uzbrojonych mężczyzn mierzyło z karabinu maszynowego w głowę dowódcy i zmusiło pozostałych sześciu członków patrolu do leżenia twarzą do ziemi, podczas gdy muzułmanie ich rozbrajali. Aby ich ostatecznie upokorzyć, kazano im wykonywać pompki na drodze. Strzelcy twierdzili, że są niezależnymi bojownikami, lecz dowódca patrolu nie ma wątpliwości, że stanowią oddział armii dyktatora. Byli uzbrojeni w bardzo nowoczesny typ broni, z jakim dowódca jeszcze się nie spotkał. W innym incydencie trzech arabskich żołnierzy zostało śmiertelnie postrzelonych, a pięciu innych pojmanych po tym, jak oddali strzały z ręcznej broni chemicznej do grupy cywili będących pod ochroną sił ONZ. Wstępne badanie broni odebranej arabskim żołnierzom wykazało, że są to nowe modele. Dalsza analiza powinna wyka-

zać, czy podstawowe części zostały wytworzone w Stanach Zjednoczonych, czy w Wielkiej Brytanii". Zoe słuchała z napięciem widocznym na twarzy, kiedy w dalszej części wiadomości przedstawiano reakcje kongresmanów na związany z „zatajeniem” kryzys zaufania do Białego Domu.

To prowadziło bezpośrednio do trzeciej informacji:

„Po gwałtownym sztormie, który nawiedził wczoraj w nocy Wschodnie Wybrzeże, w jednej z bocznych zatoczek Zatoki Chesapeake znaleziono unoszące się na wodzie ciało jednej z kluczowych postaci ostatniej afery wokół Białego Domu. Simon Fleet, trzydziestopięcioletni kierownik działu zagranicznego gazety „Javelin” nadal miał na sobie pomarańczową kamizelkę ratunkową. Otrzymał on potężny cios w głowę. W efekcie prowadzonego przez siebie śledztwa, pan Fleet pierwszy ujawnił, że prezydent i jego małżonka znajdowali się w samochodzie wraz z magnatem prasowym Milesem Brewsterem podczas tragicznego wypadku na drodze do Saltillo”.

Szybki montaż fotografii.

„Pan Fleet żeglował wraz z byłym ambasadorem brytyjskim w Waszyngtonie, Jamesem Whartonem. Istnieje jeszcze nadzieja, że pan Wharton nadal żyje”.

Dziadkowie obrócili się w milczeniu do Zoe. Prezenter był już w połowie kolejnej wiadomości o rasistowskiej napaści w Los Angeles. Zoe podniosła się i wyłączyła telewizor. Usiadła ponownie i podniosła kawę.

- On nie żyje - oświadczyła.

Łzy zaczęły jej płynąć po twarzy, a kawa rozlała się na spodeczek. Odstawiła ją na stolik i wyszła z pokoju.

Przez dłuższy czas obserwowali jej sylwetkę, gdy stała w miejscu, gdzie zaczynał się spadek ku kamiennemu nabrzeżu.

Dwa dni później pewien człowiek łowiący ostrygi zauważył pomarańczową kamizelkę ratunkową. Tkwiła ona pod drewnianym pomostem letniego domku. Peter zidentyfikował ciało. Powiedział później Zoe, że nigdy

dotąd nie widział ciała, które leżało w wodzie przez dwie doby. Tego samego wieczoru Zoe poleciała do Londynu.

Dotarła na Kensington Park Road w czasie, gdy mleczarz robił swój objazd. Drzwi otworzył jej Danny. Sypialnia mamy jest nadal zamknięta, poinformował ją. Z pewnością ucieszy się, że Zoe mogła przyjechać, powiedział. On i Neli szykują się właśnie do szkoły. Ich nauczycielka poradziła im, żeby próbowali zachowywać się, jakby wszystko było normalnie!. Tak będzie najlepiej dla ich matki i dla nich. Mówiąc to wszystko, Danny stał nawet bardziej wyprostowany niż większość siedmiolatków - oficjalny i pełen godności. Ody schylił się po walizkę Zoe, zaczął płakać.

## ROZDZIAŁ 53

Co zaszło na łodzi? Ze wszystkich nasuwających się pytań tego jednego Jancie nie mogła odłożyć na później. Ona i Zoe leżały na łóżku, ubrane, lecz bez butów i wsparte o poduszki, sęczyły whisky, kierując niewidzący wzrok za okno, na kominy domów po drugiej stronie Kensington Park Road. Jej sypialnia, powiedział ktoś wcześniej do Zoe. Straszne. Przecież to była ich sypialnia. Wzięła butelkę whisky z barku w gabinecie Jamesa. Jeśli człowiek jest wyczerpany albo cierpi, łatwiej mu się rozmawia na leżąco. Można po prostu leżeć, wyglądając przez okno i kojąc ból.

- Każdy, kto zna sztormy nawiedzające Chesapeake, twierdzi, że to musiał być wypadek - oświadczyła Zoe. -Przeznaczenie przemierzające świat w tych swoich ogromnych butach. Oni są przekonani, że Simon został uderzony w głowę bomem. Znajac Jamesa, są pewni, że stał nadal za sterem, kiedy łódź została zalana. Czy potrafisz sobie wyobrazić, żeby James puścił to koło?

Spojrzała na profil Jancie i powróciła wzrokiem do okna.

- Jancie, z punktu widzenia Jamesa to wspinała śmierć. Czy możesz sobie wyobrazić, że wybrałby inny sposób?

Dziwne, pomyślała Zoe. Ludzie stale opowiadają takie bajeczki, kiedy nie chcą powiększać czyjegós bólu. Tylko

Peterowi powiedziała o wszystkim, co wie. Odparł, że musi jeszcze sprawdzić polisę Jamesa, lecz ubezpieczenie na życie przeważnie nie jest wypłacane, jeśli uda się udowodnić samobójstwo. Nie to jednak było największym zmartwieniem Zoe. Jeśli Jancie dojdzie do wniosku, że zrobił to celowo, to Bóg raczy wiedzieć, jak będzie się czuła przez resztę życia. I bez tego sytuacja była dostatecznie ciężka.

- Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałam? - spytała ją Jancie. - O tym, że nie uwolnię się od Simona, dopóki jedno z nas nie będzie martwe... Czasami mówi się różne rzeczy, ponieważ to akurat człowiek ma ochotę powiedzieć w tym momencie. To jednak nie oznacza, iż są one prawdziwe. Nie wiem, czy naprawdę tak wtedy myślałam, czy nie.

Nie patrząc na nią, Zoe położyła na chwilę rękę na jej dłoni.

- Ale ktoś słyszy, jak mówisz - ciągnęła Jancie - i sprawia, że staje się to prawdą w sposób, jakiego nie przewidziałas w najgorszych koszmarach.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Neli. Po powrocie dzieci ze szkoły Zoe zleciła im otwieranie drzwi.

- To ten człowiek, który zabiera rano tatusia do pracy - powiadomiła je Neli. Żadna z nich nie dostrzegła, że użyła czasu teraźniejszego. Wszyscy to robili.

Zoe spuściła nogi na podłogę.

- Wracam za moment - rzuciła Jancie i poszła za Neli.

Kierowca czekał na nią na stopniu.

- Mam list dla pani Wharton, psze pani. Od przewodniczącego. Mam polecenie, by zaczekać na odpowiedź.

Wręczył Zoe kopertę.

- Jeśli pani Wharton miałoby sprawić kłopot przeczytanie listu w tej chwili, to mogę poczekać tak długo, jak pani chce - powiedział kierowca. - Albo mogę wrócić

później. Cokolwiek pani uważa. - Był nieszczęśliwy i zmieszany.

- Proszę zaczekać - odparła Zoe. - Zaniosę go od razu. Był pisany ręcznie drobnym pismem Geralda.

***Droga Pani Wharton!***

***Być może uzna pani za pomocne móc dysponować samochodem i kierowcą do czasu pogrzebu.***

***Polecilem kierowcy pani zmarłego męża, żeby przez resztę tygodnia był wraz z samochodem przez cały czas pod ręką.***

***Szczerze oddany Gerald Scrope***

Wpatrywały się osłupiałe w list trzymany przez Jancie. Ona pierwsza zebrała myśli.

- Powiedz mu, żeby poszedł do diabła! - Rzuciła list i ponownie odwróciła się do okna z kamienną twarzą. -I oddaj mu list. Nie chcę widzieć w tym domu niczego, co należy do Geralda Scrope'a.

Zoe włożyła list z powrotem do koperty i zaniósła kierowcy nadal czekającemu na frontowym schodku. Wręczyła mu go bez słowa wyjaśnienia.

- Nie będziemy pana potrzebować - powiedziała po prostu

Uniósł czapkę i ruszył już ścieżką, kiedy nagle się odwrócił.

- Byłbym wdzięczny, psze pani, gdyby powiedziała pani pani Wharton, że mi przykro. Wspaniały człowiek.

Z Kolorado przybyli matka Jancie oraz jej siostra i szwagier, którym Zoe załatwiła pokoje w pobliskim, małym hoteliku. Peter przyleciał z Waszyngtonu i zatrzymał się przy Hyde Park, dziesięć minut drogi od domu Whartonów.

- Pragnąłem tu być - powiedział do Jancie. Łączyła ich więź osieroconych.

- Oczywiście nie idę na pogrzeb - oznajmiła Marigold. - To byli zawsze bardziej twoi przyjaciele niż moi.

Milesa to nie zmartwiło. Ilekroć przechodzili przez farsę pokazywania się razem na gruncie publicznym, resztki łączących ich jeszcze więzów ulegały dalszemu osłabieniu.

- Myślę, że obydwójce będziemy zadowoleni, kiedy dzisiejszy dzień się skończy - stwierdziła.

Stali w jego gabinecie. Przez otwarte drzwi widzieli część jej walizek stojących w hallu, które miały zostać zabrane dzisiejszego popołudnia. Spojrzał na jej piękne włosy oświetlone chłodnym, porannym słońcem wpadającym przez okno.

- Mam nadzieję, że sprawy dobrze ci się ułożą - powiedział.

- Dziękuję ci, Milesie. - Zawahała się. - Naprawdę chciałabym, żeby wszystko, co zaszło w Meksyku, udało się wyjaśnić. Nie sprawiają mi przyjemności ataki na twoją uczciwość.

- Dziękuję. Sądziłem, że mogłyby stanowić dla ciebie rodzaj usprawiedliwienia, że zostawiasz mnie dla Geral-da Scrope'a.

- Nie.

Pocałowała go w policzek.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze ci się ułoży -powtórzył.

Pogrzeb odbył się w kościele St Bride na tyłach Fleet Street, nadal znanym jako kościół dziennikarzy, chociaż słynne szeregi budynków prasowych służyły teraz innym celom. Z całego Londynu tuż przed południem ściągnęło pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dziennikarzy. Z Waszyngtonu przybyło zaledwie parę osób. Peter wślizgnął się do ławki w połowie nawy. Miles usiadł samotnie z tyłu. Lord Scrope nie przybył.

Nad oparcie pierwszej ławki wystawały tylko czubki blond główek Neli i Danny'ego, siedzących po obu stro-

nach Jancie. Rodzina z Kolorado oraz Zoe siedzieli bezpośrednio za nimi. Kiedy wszyscy stali, śpiewając hymn żeglarzy i dotarli do słów: „A teraz wznosimy do ciebie modły, Boże, za tych, co w czas niebezpieczny wypłynęli w morze”, Jancie zaczęła trząść się konwulsyjnie. Zoe wyciągnęła rękę i trzymała ją na jej ramieniu, dopóki przyjaciółka się nie opanowała.

Przed kościołem Zoe dostrzegła stojącego samotnie Milesa. Podeszła, żeby z nim porozmawiać.

Obydwoje czuli się skrepowani.

- BBC dało Jancie płatny urlop do czasu, aż się pozbiera, cokolwiek to znaczy - powiedziała do niego.

- Zabieram całą trójkę na parę tygodni nad jezioro Champlain.

- Przekaż jej ode mnie pozdrowienia - odparł Miles. Dalej stali zakłopotani pod niezwykle wysoką wieżą Wrena -

jej iglica zawsze wyglądała dla Zoe jak rozciągnięty teleskop.

- Nie przypuszczam, żebyś miał okazję przeczytać mój komentarz w „The Monocle”? - spytała.

- Widziałem go. Dziękuję.

- Wysłałam list z rezygnacją tuż przed odlotem do Londynu.

Była pewna, że dostrzegła, jak nagle przełknął ślinę, ale była to jedyna widoczna oznaka jego uczuć.

Potem każde poszło w swoją stronę.

Później tej nocy, kiedy Zoe opuściła sypialnię Jancie i zeszła na dół, Peter siedział tam nadal w fotelu, czytając poezje Johna Donne'a, które znalazł na półce. Włożył zakładkę w miejscu, gdzie znajdował się wiersz pod tytułem „Śmierci, nie bądź dumna”. Sądził, że może on pocieszyć nieco Jancie. Zdawał sobie sprawę, że w tym stanie trudno jej będzie skupić uwagę na czymś dłuższym niż wiersz.

On i Zoe wyszli potem na Kensington Park Road, żeby odetchnąć razem świeżym powietrzem przed powrotem



do hotelu. Szli ramię w ramię pustym chodnikiem i tylko od czasu do czasu spokój zakłócał jakiś samochód przemykający obok nich jak kurier spieszący, aby doręczyć następną przesyłkę. Po jakimś czasie Peter otoczył ramieniem jej plecy.

- Kiedy to wszystko się skończy - odezwał się - myślę, że powinniśmy poważnie pomyśleć o pobraniu się. Potrzebujemy się nawzajem.

Oparła mu głowę na ramieniu i tak razem spacerowali.

## ROZDZIAŁ 54

Dzień po pogrzebie wszyscy siedzieli już w taksówce, kiedy Jancie powiedziała:

- Chcę tylko sprawdzić, czy zamknęłam drzwi. Wysiadła i raz jeszcze przeszła ścieżką. Kiedy wróciła, nikt nie odezwał się ani słowem. Taksówka ruszyła w stronę Heathrow.

Ludzie mogą w to wierzyć albo i nie. Ale nie mogą kwestionować sensu jego słów. Miles podniósł się z krzesła i udał do pokoju, gdzie miała się odbyć konferencja prasowa. Był on wypełniony dziennikarzami i ekipami telewizyjnymi.

Postanowił złożyć oświadczenie w głównym biurze spółki, na górnym piętrze budynku „Dispatch”.

Nikt nie musiał mu uświadamiać, jak ironicznie wyglądałaby sytuacja, gdyby zasiadł za swym biurkiem naczelnego, by mówić o wydarzeniu, które zawsze starał się ukryć.

- Pragnę stwierdzić, że głęboko ubolewam nad następstwami wypadku samochodowego, który wydarzył się w Meksyku piętnaście lat temu i za który byłem całkowicie odpowiedzialny. W samochodzie znajdowały się ze mną trzy osoby: Teresa Lopez, Nona Lambert i Frank Lambert. Samochód należał do pani Lambert. Ona i jej mąż używali go podczas wakacji. Nie było żadnego szczególnego powodu, dla którego zdecydowaliśmy się jechać raczej jej niż moim samochodem na piknik w góry.

Troje Hare'ów i troje Whartonów wpatrywało się w ekran, Danny i Neli siedzieli na podłodze, popijając gorącą czekoladę.

- Zaczęło się to jako wesoła wycieczka i wszyscy czworo wypiliśmy więcej, niż zamierzaliśmy. Ja znałem drogę znacznie lepiej niż Lambertowie, a Teresa Lopez знаła ją bardzo dobrze, więc w powrotnej drodze usiadłem za kierownicą, a Teresa Lopez obok mnie na przednim siedzeniu.

Lambertowie jechali z tyłu.

Jancie odezwała się cicho, przestraszonym głosem:

- Na razie pokrywa się to z relacją Teresy. Miles ciągnął dalej:

- Wydarzenia związane z wypadkiem są wyryte w moim umyśle jak ostre fotografie. Prowadziłem zbyt szybko. Na zakręcie samochód wpadł w poślizg i zewnętrzne koła znalazły się poza krawędzią drogi. Starłem się sprowadzić je z powrotem na szosę, kiedy ujrzałem przed sobą to dziecko. Gwałtownie obróciłem kierownicę w lewo tak mocno, że byłem pewien, iż ją wyminę. Niestety, poczułem przerażające uderzenie i wiedziałem, jaka była jego przyczyna. - Zrobił pauzę tak krótką, że niektórzy nawet nie zdali sobie z tego sprawy. Wyraz jego twarzy i sposób wypowiedzenia słów są tak beznamienne, jakby był koronerem, pomyślała Zoe. - W wyniku naciśnięcia hamulców i nagłego zwrotu kierownicą, samochód sunął prosto na słup wysokiego napięcia. Pokręciłem kierownicą w drugą stronę i zanim zdążyłem ją wyprostować, przelecieliśmy przez krawędź zbocza. Po uderzeniu w gaszcz *mesquite* otworzyły się drzwi i samochód przewrócił się na bok. Panna Lopez i ja zostaliśmy wyrzuceni na zewnątrz, a jej nogi uwięzione pod pojazdem. - Znowu pauza? Zoe nie była pewna. - Karoseria była zgnieciona, a lewarek został wewnątrz. Frank i Nona Lambert próbowali podnosić samochód, a ja podsuwałem pod niego koniec gałęzi *mesquite*. Za każdym razem, kiedy unieśli go trochę wyżej, ja dalej wpychałem gałąź, aż w końcu można było wyciągnąć pannę Lopez. -

Twarz mu zwilgotniała od ciepła bijącego z telewizyjnych reflektorów. Zoe poczuła, że coś ją chwyta za serce. - Frank i Nona Lambert wspięli się na skarpe, żeby sprowadzić pomoc. Wrócili z kierowcą ciężarówki, który pomógł im wyjąć siedzenie z samochodu i wciągnęli na nim pannę Lopez, jak na sankach, na górę. Nie mogłem chodzić, więc zacząłem się wspinać na rękach i kolanach. Frank Lambert i kierowca ciężarówki zeszli raz jeszcze na dół, po czym Frank z jego pomocą wziął mnie na plecy i wniósł na samą górę. Kierowca zawiózł nas wraz z ciałem tej małej dziewczynki do szpitala w Saltillo.

Tym razem pauza, którą zrobił była zamierzona, jak przerwa między rozdziałami.

- Podoba mi się ta część o prezydencie - odezwał się Danny.

- Panna Lopez i ja zostaliśmy zabrani na ostry dyżur. Oświadczenie dla policji, która przyjechała do szpitala, złożył Frank Lambert. Nie było w tym nic specjalnie niezwykłego, że meksykański policjant zapisał imiona Amerykanów za pomocą inicjałów. Następnego dnia panna Lopez i ja zostaliśmy przewiezieni do szpitala w Monterrey. Państwo Lambert załatwili formalności związane z przewiezieniem wraku samochodu na złomowisko koło Monterrey. Polecieli z powrotem do Stanów dzień czy dwa później.

Kolejna przerwa między rozdziałami. Jest bardzo przystojny, skomentowało wielu telewidzów po obu stronach oceanu, i bardzo opanowany. Lecz nie da się odgadnąć, o czym myśli.

Zoe wstrzymała oddech.

Miles mówił dalej:

- Jeśli chodzi o dalsze wydarzenia, to Frank i Nona Lambert nie mieli z nimi nawet pośredniego związku.

To miało być to kluczowe zdanie, relacjonowane potem wielokrotnie, żeby nadać mocy i utrwalić w ludzkich

umysłach argument, iż Lambertowie mieli jedynie pośredni związek z tą godną ubolewania historią. - Po tygodniu zostałem przewieziony samolotem do Massachusetts General Hospital, gdzie przebywałem przez dziesięć dni. Potem przeniesiono mnie na oddział rehabilitacji. Trzy dni później Teresę Lopez przewieziono drogą lotniczą na ten sam oddział. Wcześniej lekarze zabronili ją ruszać. Przez umysł przeleciały **mu** obrazy niechcianych wspomnień. Jego okrzyki gniewu, gdy pocił się przez potwornie wolno mijające godziny, leżąc z ciężarkami na wyciągu. Jej łkania, kiedy wypłakiwała przygnębienie w jego ramionach. Próby zmuszenia jej siłą woli do **ruszenia** choćby palcem u nogi. Milczące dni depresji. Trzask i brzęk, kiedy rzuciła swoją tacę na podłogę. Ciężarek **na** trawie, który wyrzuciła przez zamknięte; eikno.

Zoe dostrzegła, że piaskowe włosy okalające twarz są mokre.

- Dwa miesiące później lekarze orzekli, że żadna metoda nie pomoże zregenerować uszkodzeń, których doznał jej rdzeń kręgowy, zmiążdżony blisko podstawy. Wkrótce potem przewieziono ją samolotem z powrotem do Monterrey, skąd została zabrana do domu. - Rozejrzał się po pokoju, zatrzymując dłużej wzrok na jednej czy dwóch znajomych twarzach dziennikarzy zajmujących się polityką. - Porozumienia finansowe były całkowicie mojego autorstwa i nie mają kompletnie nic wspólnego z Frankiem i Noną Lambertami. W następnym tygodniu po wypadku, pan Matthew Dunn, starszy wspólnik w bostońskiej firmie prawniczej Whitney, Brewster i Dunn, której mój ojciec jest również wspólnikiem, przyleciał do Monterrey, by działać w moim imieniu. Rodzicom Peredity Orozco wypłacono pewną kwotę pieniężną tytułem rekompensaty za jej śmierć - ponownie oczy Milesa przesunęły się po napiętych twarzach - przy pełnej świadomości, że nic nie jest w stanie zrekompensować im straty córki. Teresie Lopez, na ręce jej ojca,

wypłacana jest co miesiąc suma przeznaczona na uczynienie bardziej znośnym życia zrujnowanego okrutnie i nieodwracalnie przez moje czyny. Czy macie państwo jakieś pytania?

Zoe zsunęła się na krawędź krzesła.

- Panie Brewster, pierwszy raport policyjny, ten sporządzony w szpitalu, odnotowuje obecność F. R. Lamberta i N. T. Lambert. Kto załatwił to, żeby ich nazwiska w ogóle nie pojawiły się w oficjalnym raporcie policyjnym napisanym później?

- Nikt nie załatwił tego w taki sposób, jak sugeruje pańskie pytanie - odparł Miles. - Raporty policyjne w Meksyku różnią się, podobnie jak i w Stanach Zjednoczonych. Nie było potrzeby zapisywać Lambertów jako świadków wypadku, gdyż nie wpłynęło przeciw mnie oskarżenie o przestępstwo. Państwo Orozco ani pan Lopez nie mieli powodu, żeby doprowadzać do procesu sądowego, gdyż odszkodowania, które im wypłaciłem, były znacznie wyższe od tych, które mógłby przyznać im sąd w Meksyku.

- Proszę pana, niektórzy ludzie uważają, że władze meksykańskie zostały przekupione, żeby nie wnosić sprawy do sądu.

- Niektórzy ludzie uwierzą we wszystko - odparował Miles. - Państwo Lambertowie nie mieli żadnego powodu, by wręczać policji łapówki, a również ani ja, ani mój prawnik czy ktokolwiek inny w imieniu Lambertów lub moim tego nie zrobił.

Dłonie Zoe spoczywały kurczowo zaciśnięte na kolanach.

- Panie Brewster, wiele osób jest przekonanych, że to, co my nazywamy łapówką, w pewnych kręgach policji meksykańskiej znane jest jako „porozumienie”. Istnieje więc pogląd, że jakiś policjant, działając niezależnie od swoich władz, mógł zasugerować takie „porozumienie” panu lub pańskiemu prawnikowi, przedstawiając to jako normalną praktykę.

- Powinien pan przedstawić swoje pytanie jakiemuś naukowcowi piszącemu doktorat na temat prawa meksykańskiego - odparł Miles, wywołując na niektórych twarzach wyraz ironicznego rozbawienia.

— Ja mogę panu jedynie powiedzieć, jak to wyglądało w moim wypadku, i już to zrobiłem.

- Proszę pana, ile drzwi samochodu otworzyło się w wyniku zderzenia z *inesgnilc*?

- Miałem wrażenie, że cały samochód eksplodował. Dopiero po wszystkim dowiedziałem się, że prawdopodobnie wszystkie cztery.

- Kto panu powiedział?

- Sam widziałem, że po tej stronie samochodu, która znalazła się na górze dwoje drzwi zwisało luźno, Co się zaś tyczy drugiej strony, to nie było wątpliwości, że panna Lopez musiała zostać wyrzucona przez swoje, zanim zważył się na nią samochód. Natomiast pani Lambert miała wrażenie, że drzwi z tyłu otworzyły się, zanim jeszcze samochód się zatrzymał.

- Czy nie uderzyło pana w owym czasie, że państwo Lambertowie mieli ogromne szczęście, nie zostając wyrzuceni z tylnego siedzenia, podobnie jak pan i panna Lopez z przedniego?

- Nie pamiętam, żebym w owym czasie poświęcał zbyt wiele myśli szczęściu państwa Lambertów - odparł Miles.

Zoe zdobyła się na lekki, krzywy uśmiezek.

- Panie Brewster, kto zapłacił za odtransportowanie samochodu na złomowisko?

- Państwo Lambertowie.

- Proszę pana, dlaczego zadawali sobie oni tyle trudu, by wciągnąć wrak na strome zbocze i dostarczyć na złomowisko? Skoro uległ kasacji, większość właścicieli zostawiłaby go po prostu tam, gdzie leżał, na zboczu góry.

- Nie bierze pan pod uwagę zmysłu praktycznego Franka Lamberta - odpowiedział sucho Miles. —

Właści-

ciel złomowiska mógłby dostarczyć dowodu, gdyby firma ubezpieczająca samochód go zażądała. Ponadto nie docenia pan troski Nony Lambert o środowisko naturalne. Nawet by jej nie przyszło na myśl zostawiać ten wrak, by rdzewiał i szpecił piękne zbocze góry.

Zoe klasnęła bezgłośnie w dłonie jak mim.

To też były kluczowe zdania, choć innego rodzaju. Nie tylko zabrzmiały szczerze, lecz ponadto wywołały uśmiech na twarzach widzów. W ten sposób sytuacja zaczęła się zmieniać na korzyść Franka i Nony Lambertów.

- Pomógł im wyjść z tego obronną ręką - zauważył pan Hare, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Zoe, czy wiedziałaś, że kiedy Miles zabił Pereditę, była ona w tym samym wieku, co teraz ja i Danny? - spytała Neli.

To sprawiło, że Zoe drgnęła.



## ROZDZIAŁ 55

Dwa dni później na pierwszej stronie „Javelin” ukazała się krótka notatka:

„Pani Milesowa Brewster opuściła dom swojego męża, prezesa i dyrektora Brewster Media Corporation, redaktora naczelnego „London Dispatch”. Natychmiast po orzeczeniu rozvodu pani Brewster poślubi lorda Scrope'a, przewodniczącego Rady Nadzorczej i dyrektora Scrope Opportunities Ltd.”.

Marigold chciała, żeby jej imię też znalazło się w ogłoszeniu. Ponadto uważała, że nie od rzeczy będzie wspomnieć jej pierwsze małżeństwo z księciem. Gerald jednak nie zgodził się ani na jedno, ani na drugie. Jedyne, czego pragnął, to jasny komunikat, że odebrał żonę swojemu rywalowi. Zastępcy redaktora naczelnego „Javelin” zostali poinstruowani, że nie wolno im zmienić ani słowa.

- Czy ktoś ma ochotę wyskoczyć do Waszyngtonu na dwadzieścia cztery godziny? - spytała Zoe. - Lecę tam jutro na jedną noc.

- Co będziesz robić? - spytała Jancie.

- Mam pewne nie zakończone sprawy.

- Zoe ma chłopaka - zanuciła Neli. - To dlatego nosi rozpuszczone włosy.

- Noszę rozpuszczone włosy, moja panno - odparła Zoe - bo jestem nad jeziorem Champlain w stanie Ver-

mont i nie muszę udawać, że jestem dorosła. Chociaż właśnie się staję - dodała, zwracając się do babci. Neli i Danny zachichotali porozumiewawczo.

- Co więcej, panienko - ciągnęła Zoe - dziewczyna może mieć jeszcze inne powody, by chcieć pojechać do Waszyngtonu niż schadzka z chłopakiem. Słyszałaś może o waszyngtońskim zoo? Nikt więcej nie chciał jechać do Waszyngtonu. Jancie wolała chodzić codziennie nad jezioro. Kiedy było ono w miarę spokojne, lubiła wypływać samotnie łódką i słyszeć jedynie klepięcia wiosel o wodę.

Peterowi udało się wytropić Speersa Jacksona, który jak się okazało, był już znowu w Waszyngtonie. Speers oświadczył, że chętnie spotka się z Zoe Hare w dowolnym terminie podczas weekendu w swoim domku na Wybrzeżu. Samochód z kierowcą załatwiono jej w hotelu, w którym zatrzymała się na noc - znacznie skromniejszym niż wtedy, gdy wydatki pokrywał pracodawca.

Wjazdowi na podwórko przed domkiem myśliwskim towarzyszył chrzęst kamyków pod kołami roznoszący się daleko w zimnym powietrzu. Mężczyzna, który otworzył drzwi, wyglądał dokładnie tak, jak go opisywał James. Sympatyczny Teksasczyk.

Siedzieli w salonie, popijając kawę. Speers wybrał dla siebie fotel bujany o wysokim oparciu. Jest mu bardzo przykro, powiedział, z powodu żeglarskiego wypadku Jamesa. To był w porządku facet, ten James.

Twarz Zoe stężała z gniewu.

- Na dzień przed śmiercią powiedział mi, że to pan go zrobił - oznajmiła.

W kąciakach błękitnych oczu Jacksona pojawiły się kurze łapki.

- Ostre określenie - zauważył z dobrodusznym uśmiechem. - Ja lubię myśleć o sobie jako o człowieku wszechstronnym. Przygotowanym na każdą ewentualność. -

W jego oczach nie widać było najmniejszego zakłopotania. - Wiele rzeczy w życiu wymaga niemiłych przygotowań, Zoe Hare - ciągnął. - Pomyśl o tym, co odbywa się w większości kuchni, zanim zostanie przygotowany doskonały posiłek.

Wyraz twarzy Zoe zaczął się zmieniać. Przypominała ona teraz Speersowi dziecko pilnie obserwujące różne gatunki zwierząt i całkowicie tym pochłonięte.

- Można by argumentować, że agent ma najbardziej bystry umysł ze wszystkich - mówił dalej. -

Oceniający sprawy z tak wielu punktów widzenia. Nie nękany sprzecznymi uczuciami. Pomaganie lordowi Scropeowi w wysyłce jego towarów z Southwestern służyło innym moim interesom.

- Przez jak długi czas - zawahała się nad następnym słowem - pomagał mu pan?

- To już będzie kilka lat. Sam brytyjski minister obrony, Alan Rawlston, poinstruował Scrope'a, jak należy wypełniać formularze, żeby obejść anglo-amerykańskie embargo na broń dla Arabii. Któż lepiej od Rawlstone'a może znać te formularze? Jak nam pani przypominała w przeprowadzonym z nim wywiadzie, był on przecież ministrem handlu, zanim przeszedł do Ministerstwa Obrony. W owym czasie Scrope Electronics eksportowały składniki broni chemicznej z Wielkiej Brytanii. O tym też wiedziałem, rzecz jasna.

- Alan Rawlston nauczył lorda Scrope'a, jak podejść brytyjski Urząd Celny?

Speers uśmiechnął się uprzejmie.

- Proszę spojrzeć na to z punktu widzenia Rawlstone'a, panno Hare. W ministerstwie handlu jego zadaniem było poprawianie stosunków handlowych Wielkiej Brytanii. Na swoim obecnym stanowisku wie, że dyktator jest naszym najlepszym murem obronnym przed naprawdę przerażającym tłumem muzułmanów. No dobrze, Ameryka i Anglia są w przededniu otwartej wojny z Arabią. Mamy embargo na wysyłanie broni do tego kraju. To

udowadnia, że mamy serce na właściwym miejscu. Nikogo z nas nie cieszyłoby uzbrajanie faceta, który chce wypruć nasze flaki. - Leniwie kiwnął dłonią. - Alan Rawlston oddziela sprawy serca od spraw rozumu. Dostarczanie tych komponentów do Arabii akurat doskonale mu pasowało. Nam również. Scrope jest cholernie dobrym wytwórcą elektroniki, panno Hare. Jeszcze kawy?

Zoe potrząsnęła przecząco głową, więc nalał następną filiżankę tylko dla siebie.

- „Żadna z części, które mają być eksportowane, nie została wyprodukowana do celów militarnych”. Ta informacja była prawdziwa od początku do końca. Niestety, trzeba było z tym skończyć. Zaczęło się robić zbyt gorąco wokół brytyjskiego Urzędu Celnego. I tu właśnie wkracza do akcji niżej podpisany. - Dosłodził jeszcze kawę i zamieszał ją. - Lord Scrope był niezwykle rad z mojej pomocy. Ta ogromna beka baraniny, Alan Rawlston -tylko proszę nie myśleć, że to brak szacunku z mojej strony, mam o nim bardzo wysokie mniemanie - był aż nadto zachwycony, że można to wszystko zorganizować w Southwestern. Ostateczne przeznaczenie było takie samo, tylko że teraz towar wędrował przez handlarzy bronią w Monterrey.

- Czy Gerald Scrope zdawał sobie sprawę, co stanowi główny przedmiot pana interesów? - spytała Zoe.

- Nikt tego głośno nie mówił. On wiedział. Nie zauważyła pani, że ma swego rodzaju zdolność jasnowidzenia? Byłby bardzo przydatny w naszym interesie, gdyby kiedykolwiek zdecydował się zająć tym na całego.

Twarz Zoe była bardzo blada.

- Dlaczego trzeba było wplątać w to Jamesa? - spytała.

- Lord Scrope miał dziwne przeczucie, że operacja Southwestern wybuchnie z hukiem. Nazwisko Jamesa Whartona na tych dokumentach zmieniłoby sytuację, gdyby gównem zaczęło fruwać. Przesyłka, którą zatwier-

dził, zawierała zasadniczy element do superbroni, w której dyktator pokłada tak wielkie nadzieje.

Fotel Speersa trzeszczał, gdy się kołysał - nie za każdym razem, jedynie od czasu do czasu.

- Dlaczego mi pan to wszystko mówi? - spytała.

- Proszę się nie obrazić, panno Hare, ale nie może pani udowodnić, że brałem jakikolwiek udział w tych sprawach. Na wszelki wypadek, mam nadzieję, że nie uzna pani tego za chamstwo, zajrzałem do pani torby, gdy pani podziwiała widok Tilghman Creek. Ponadto, wie pani, jak trzeba być ostrożnym w dzisiejszych czasach, rozległby się taki śmieszny pisk spod mojej marynarki, jeśli by pani, siedząca tak blisko, miała coś pod swoją. Lecz tak naprawdę nie przypuszczam, żeby była pani typem kobiety, która cichaczem nagrywa rozmowę.

Zoe odwzajemniła mu się bladym uśmiechem.

- Wie pani, to dziwne przeczucie lorda Scrope'a sprawdziło się - dodał w zadumie Speers.

Kołysał się przez chwilę łagodnie, rozmyślając o całej sprawie, po czym mówił dalej:

- Mój kontrakt z lordem Scrope'em dobiegł końca. Zrywam go.

- Co pan ma na myśli? - spytała Zoe.

- Przestał już być zgodny z moimi głównymi interesami. Przez jakiś czas dobrze było wzmocnić Arabię, by odpierała ten fundamentalistyczny motłoch - przynajmniej tak długo, jak nie trąbiliśmy na prawo i lewo, **co** robimy. Ale ten składnik superbroni był według mnie sprawą zbyt ryzykowną. Dyktator staje się obecnie wielkim zagrożeniem dla mojego kraju. - Rzucił jej spojrzenie, które przywodziło na myśl uczciwego obywatela zamierzającego zło zamienić w dobro. - Muszę też pomóc lordowi Scrope'owi zrozumieć, że nie uda mu się wsadzić Alana Rawlstona pod Numer Dziesiąty na Downing Street. Gdyby Rawlston się tam znalazł, byłby to koniec tego, co jeszcze pozostało ze stosunków anglo-amerykańskich.

Wydał z siebie ni to śmiech, ni to prychnięcie.

- Proszę nie zapominać - dodał - że ja byłem tak samo użyteczny dla lorda Scrope'a jak on dla mnie. Zrobił na tym sporo forsy plus dreszczyk emocji. Można by powiedzieć, że w pewnym sensie byliśmy przyjaciółmi. Lecz ja jestem patriotą amerykańskim, który nie lubi, żeby obcokrajowiec, nawet jeśli jest przyjacielem, atakował w sposób naprawdę zjadliwy amerykańskiego prezydenta. Wycofuję swoją przyjaźń.

Po dłuższej chwili Zoe zapytała:

- Czy prezydent wiedział, że Scrope Southwestern łamiał embargo na broń? Albo o elementach do arabskiej broni chemicznej czy systemu nuklearnego?

- Zrobię nam coś do picia, zanim wyruszy pani z powrotem do Waszyngtonu - zaproponował Jackson. - Bourbon? Dżin?

Siedziała bez ruchu, dopóki nie wrócił z dwoma szklaneczkami. Kiedy znów usadowił się wygodnie w swoim fotelu, odpowiedział na jej pytanie.

- Musi się pani jeszcze sporo nauczyć o życiu, panno Hare. Nie zdaje sobie pani sprawy, jak strasznie zajęty człowiekiem jest prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie możemy zawracać mu głowy wszystkim, cokolwiek się zdarzy. - Patrząc jej prosto w oczy sączył swoją whisky. - Gdyby obracała się pani w różnych kręgach, wiedziałaby pani, że tajnych operacji jest od metra.

- Sądziłam, że metr wiąże się z pomiarem odległości - odparła Zoe z nutą rozpaczony w głosie.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- W tym wypadku oznacza to lojalność i zaprzeczanie wszystkiemu: ochrona w obu kierunkach. To dlatego właśnie powiedziałem wcześniej, że nie będzie pani w stanie udowodnić, że odgrywałem w tym wszystkim jakąkolwiek rolę.

Wyglądała tak życzliwie, pomyślała. Jej własna twarz była ponura. Po chwili odetchnęła głęboko, co zabrzmiało jak westchnienie.

- James powiedział mi - podjęła - że dokumenty, które podpisał zawierały upoważnienie Pedra Lopeza do zajęcia się powrotem ciężarówek po dostarczeniu przez nie części elektronicznych do Monterrey. Gerald, wykładając karty na stół, powiedział Jamesowi, że Lopez użył ich do przewiezienia kokainy przez granicę do Teksasu.

- Cóż, być może, lecz nie powinna się pani tak denerwować tymi sprawami, dziecinko - odparł Speers.

- Gdyby to nie były ciężarówki Scrope Southwestern, to znalazłyby się inne. Gdyby Pedro Lopez nie był kurierem, to byłby nim ktoś inny.

- Czyjego córka wiedziała? Teresa? - spytała Zoe.

- Nie miała jak się dowiedzieć o bokach tatusia. Pedro nie robił na tym kokosów. W tym fachu tak naprawdę koszą forszę ci na górze. Poza nimi prawie nikomu z siedzących w narkotykach nie udaje się zatrzymać przy sobie szmalu. A już na pewno nie kurierom przerzucającym towar. Lopez nie był w gruncie rzeczy nikim więcej niż kurierem. - Łagodnie zakołysał się na fotelu. - Pedro większość z tego, co zarobił, tracił w Monterrey. Lubi hazard. To dlatego Teresa musiała potwierdzać odbiór czeków z Bostonu, które Pedro każdego miesiąca odbierał w gotówce z banku w Monterrey.

Zoe nie ruszyła swojego drinka.

- Pedro był skuteczny w organizowaniu dostaw Southwestern do pośredników i, oczywiście, sprowadzaniu ciężarówek z powrotem, dlatego że nie potrzebował pieniędzy tak rozpaczliwie jak większość Meksykanów. A nie potrzebował pieniędzy z powodu płatności, które Miles Brewster przysyłał co miesiąc jego córce. Świat jest mały. - Kurze łapki znów się zmarszczyły. - Mogłem już dawno powiedzieć lordowi Scropcowi, że facet zajmujący się tymi ciężarówkami dla Southwestern jest ojcem kobiety, którą opiekuje się Miles Brewster. Nikt mnie o to nie pytał. Ludzie tak przyzwyczajają się do wykorzystywania mnie do jednego celu, że nawet im nie przyjdzie na myśl zapytać o coś innego.

Po dłuższej chwili ciszy, przerywanej tylko skrzypnięciami fotela, Zoe zapytała:

- Czy Gerald Scrope brał swoją dolę z handlu narkotykami?

- Któż to wie? Zabawny facet ten lord Scrope. Lubi zgarniać wszystko, co się da. Ale równie dobrze mógł nie brać. To nieprzewidywalny człowiek. - Kiedy już wychodziła, Speers spytał: - A przy okazji, czy jest pani nadal w kontakcie z Milesem Brewsterem?

- Dlaczego pan pyta?

- Mogę pomóc w kampanii, którą prowadzi jego gazeta, żeby przeszkodzić Alanowi Rawlstonowi w utraceniu premiera. Martin Mather jest dobrym przyjacielem Ameryki.

Wręczył Zoe kasetę.

- Jest pani ciekawską młodą damą, więc spodziewam się, że zechce pani ją przesłuchać przed wręczeniem Milesowi Brewsterowi. Tak więc już wkrótce się pani dowie, że jest tu nagrany Alan Rawlston, kiedy był jeszcze ministrem handlu, wyjaśniający lordowi Scrope'owi, jak obejść brytyjski Urząd Celny i nielegalnie eksportować części uzbrojenia z Anglii. Lord Scrope nagrał tę rozmowę i dał mi kopię. Ja zrobiłem z niej jeszcze jedną kopię. Bierzesz?



## ROZDZIAŁ 56

W drodze powrotnej zrobiła dwie dalsze kopie w miejscu, które знаła jeszcze z czasów pracy w „Expressie”. W sypialni hotelowej wyciągnęła z torby magnetofon kasetowy. Kiedy przesłuchiwała taśmę, zadzwoniła po kuriera.

Zaczęła przesłuchiwać ją po raz drugi, kiedy nagle przerwała. Miała przecież numer do domku Speersa. W słuchawce odezwał się jego głos.

- Chodzi mi o tę rzecz, którą mi pan dał - zaczęła. - Czy ma pan coś podobnego o tych ciężarówkach wracających do Austin, chodzi o to, co w nich było?

Dobiegł ją rozbawiony chichot z drugiego końca linii.

- Czy dziadek nie uczył pani, że trzeba mieć zawsze coś w zanadrzu? - spytał Speers. - To, co pani dałem, na razie załatwi sprawę. Resztę będę trzymał w rezerwie. Nic nigdy nie wiadomo z tymi południowymi londyńczykami. Są niespożyci.

Kiedy kurier odjechał z kasetą, zadzwoniła do „Dispatch” i złapała Milesa. Rozmowa była krótka, bez ozdobników. Poinformowała go, że na kopercie jest napis, iż to tylko do jego wiadomości. Odkładając słuchawkę, czuła, że serce jej bije jak szalone.

Jego głos wcale nie brzmiał bezosobowo, lecz nie potrafiła określić, jak właściwie brzmiał. Położyła się na łóżku, wpatrując w sufit. Była poniekąd zadowolona, że Peter wyjechał do stanu, z którego był senatorem, tak jak to zazwyczaj czynił w weekendy. Czuła się przemę-

czona i wyczerpana. Zamówiła wczesne budzenie, zasunęła zasłony. Kiedy rano obudził ją telefon, nie pamiętała wcale, żeby się kładła do łóżka.

Trzy dni później „Dispatch” opublikował artykuł o tym, jak minister obrony Alan Rawlston, będąc już ministrem Korony współdziałał w złamaniu brytyjskiego embarga na dostawę broni do Arabii. Zapis z taśmy magnetofonowej miał elektryzujący efekt. Pojawiły się nawet pytania, czy przypadkiem jego wiceminister z departamentu handlu nie zebrał cięgów za Alana, gdy w owym czasie sytuacja stała się śliska.

Nie było wątpliwości, że taśma została nagrana w gabinecie Alana w Izbie Gmin. Rozmowa między nim a Geraldem była kilkakrotnie przerywana wejściem tego czy innego posła, którego Alan przedstawiał. Po zamknięciu drzwi wznawiali oni konwersację.

Miles nie napisał artykułu wstępnego. Rozmowa z taśmą mówiła sama za siebie.

Tego popołudnia minister obrony złożył rezygnację.

Członek Rady Ministrów instruował lorda Scrope'a jak obejść embargo na broń. W tym przypadku prokuratura uznała, że nie ma dostatecznych dowodów przeciw lordowi Scrope'owi, żeby doprowadzić do procesu. Wyjaśnienie przyjęto z rezerwą.

Wszystkie gazety poza jego własną ostro krytykowały wiarygodność lorda Scrope'a. Podobnie zresztą jak opinia publiczna. „«Javelin» poucza nas, żeby na pierwszym miejscu stawiać swój kraj, a teraz dowiadujemy się, że lord Scrope pomaga temu potworowi budować arsenał chemiczny i nuklearny”.

Część głównych reklamodawców zerwała swoje kontrakty z „Javelin”. Pozostali czekali, żeby przekonać się, jak cała sprawa wpłynie na sprzedaż gazety. Tysiące „zdegustowanych” czytelników odwołało swoje prenumeraty. Okazało się jednak, że sprzedaż wcale nie spadła — ludzie chcieli wiedzieć, co jeszcze powie „Javelin”.

Nikt jednak nie brał obecnie poważnie kampanii lorda Scrope'a, mającej na celu usunięcie Martina Mathera. Wszyscy nagle zdali sobie sprawę, że Mather jest silnym i zdecydowanym premierem, którego nic nie wytrąci z raz obranego kursu. Kraj potrzebuje obecnie - mówiono - spokoju i wizji Mathera, które wiodą Wielką Brytanię przez trudności finansowe, pozwalając jednocześnie Brytyjczykom wysoko trzymać głowy na arenie międzynarodowej.

Niezadowoleni posłowie z tylnych ławek nadal wzywali do zniesienia embarga. „Jesteśmy narodem kupieckim, na litość boską”. Jednak w sytuacji, kiedy dwóch ich przywódców zostało zdyskredytowanych, a ich cel splamiony, zdawali sobie sprawę, że przegrali decydującą bitwę.

„Rawlston” stało się synonimem hańby.

- Pieprzyć ich wszystkich - powiedział Gerald do Marigold.

Nadal byli tacy, którzy czuli, że coś jest nie tak w publicznym oświadczeniu Milesa Brewstera. Musieli jednak pogodzić się z faktem, że nie ma ani cienia dowodu, iż obecność Lambertów jako pasażerów została celowo ukryta. A zachowanie Franka na tym górskim zboczu zyskało sobie szacunek wszystkich. Nony zresztą też, ale to Frank wyniósł Milesa Brewstera na własnych plecach na górę.

Oczywiście, uszczerbek polityczny pozostał, szczególnie, w Stanach Zjednoczonych, gdzie miało to największe znaczenie.

„To haniebne, że Frank i Nona Lambert mogli pozwolić wieść się osobie będącej pod wpływem alkoholu”. „A tym bardziej z takim łatwym do przewidzenia skutkiem dla niewinnej meksykańskiej ofiary” - dodawali inni.

Tak więc cień na reputacji Lambertów pozostał. Szkoda ta miała ograniczony zasięg, co nie byłoby możliwe w wypadku, gdyby sprawa wyszła na jaw w momencie, gdy Frank dopiero walczył o swoje stanowisko.

Większość Amerykanów odczuła ulgę, że Biały Dom przetrwał sztorm.

Plama na prawości Milesa jako redaktora naczelnego nigdy nie miała całkowicie zniknąć. Lecz na ogół uczucia biorą górę nad rozumowym osądem. Jego wystąpienie w telewizji zrobiło na ludziach duże wrażenie: nie przyjął pozycji defensywnej, nie skamlał, a nawet wykazał się na końcu poczuciem humoru („ten głos naprawdę cię bierze”), kiedy odpierał zarzuty swoich oskarżycieli.

Zoe odczuwała niewysłowioną ulgę. A jednak mimo wszystko uderzyły ją pewne sprzeczności, których nie potrafiła sobie wyjaśnić. Było jasne, że Miles do końca życia ukrywałby obecność Lambertów w samochodzie, gdyby Simon Fleet nie postawił go w sytuacji przymusowej.

- Być może przede wszystkim nie powinnam była stawiać go na tak wysoki piedestał - powiedziała do Jancie.

Piły właśnie kawę, siedząc w wykuszowym oknie. Popołudniowe słońce miało wyblakłą barwę.

Ziemia pokryta była szronem, poza miejscami, gdzie podeptały ją małe buciki.

- Nie jesteś pierwszą osobą, która to robi - skomentowała Jancie. - Najpierw stawia posąg na piedestał, a potem wini go za to, że spadł.

Zoe zastanawiała się, czy Jancie ma jeszcze kogoś na myśli. Nie zadała jednak tego pytania, gdyż sprowadziłoby to rozmowę na temat Simona. Nigdy o nim obecnie nie wspominały. Podobnie jak o Geraldzie Scropie.

Osobą, której najmniej podobało się telewizyjne wystąpienie Milesa, był sam Miles. Jak mógł być takim głupcem, wyrzucał sobie szyderczo, żeby chcieć zostać naczelnym „Dispatch”. Czy nie zdawał sobie sprawy, że to nie w porządku, że moralne zobowiązania są tu inne niż w przypadku właściciela? Ale co się stało, to się nie odstanie. Będzie musiał z tym jakoś żyć.

## ROZDZIAŁ 57

- Bardzo tu pięknie, kiedy człowiek już wreszcie dotrze - stwierdził Peter.

Zadzwoił dwa dni wcześniej, wieczorem w Boże Narodzenie, by życzyć tego, co można życzyć, gdy śmierć wygląda z każdego pokoju.

- Mogłabyś mnie przenocować pod koniec tego tygodnia? - spytał.

Wszyscy ucieszyli się z jego przyjazdu. Jancie poznała go w czasach, gdy była ambasadorową w Waszyngtonie. Potrafił też znaleźć właściwy sposób rozmawiania z Neli i Dannym, kiedy przyjechał do Londynu na pogrzeb. Dziadkowie Zoe wiedzieli, że jest on kimś specjalnym w jej życiu i ze sporą ciekawością oczekiwali poznania go. W domu była jeszcze wolna, malutka, kiedyś należąca do służącej sypialnia. Ją właśnie dostał Peter.

Silny mróz ścisnął ziemię, lecz śnieg nie spadł. Podczas odpływu skały, do których przedtem dotarła woda, iskrzyły się lodem, wspaniale chrzęszczącym pod nogami. Okutani jak Eskimosi wypływali łodzią wiosłową z panem Hare. Pani Hare powiedziała, że dziękuje, zostanie w domu, ma parę rzeczy do zrobienia.

- Zapewne uważasz, że to jeszcze za wcześnie, by myśleć o przyszłości - odezwał się Peter do Jancie, idącej między nim, a Zoe. W wysokich butach kroczyli przez pastwisko, na którym niegdyś pasła się Paprotka.

- W przyszłym tygodniu zabieram dzieci z powrotem

do Londynu. Na początek wrócę do BBC. Po jakimś czasie będę musiała się zastanowić, czy chcę tam zostać, czy wrócić tu i postarać się o jakąś pracę. Zdajecie sobie sprawę, ile czasu minęło odkąd pracowałam w amerykańskiej telewizji? Zapewne mam w tej chwili więcej przyjaciół w Londynie niż tutaj. Jeszcze nie wiem, co zrobię.

- W takim razie jesteście dwie, jeśli chodzi o niepodejmowanie jeszcze decyzji na przyszłość - powiedziała stanowczo Zoe.

- Będziesz na pewno miała oferty pracy z gazet po obu stronach oceanu, Zoe - zapewnił ją Peter.

- Cóż, może. Miejmy nadzieję. Ale przyda mi się trochę wytchnienia od wszystkiego, co ma związek ze środkami przekazu, przynajmniej przez parę tygodni.

Tego wieczoru kiedy wszyscy wyszli z jadalni, Zoe powiedziała do Petera:

- Co powiesz na spacer w świetle księżycy?

Zdecydowała ostatecznie, że łatwiej jej będzie powiedzieć coś nieprzyjemnego, jeśli będą spacerować na zewnątrz, zamiast siedzieć twarzą w twarz w pokoju. Wybrali zakurzoną drogę biegnącą obok jeziora w miejscu, gdzie zakręcało ono, omijając farmę i zwiężało się, by ponownie rozlać się szerzej.

- Nie jestem pewna, na czym stanęliśmy podczas naszej ostatniej przechadzki - zaczęła. - Po pogrzebie - dodała niepotrzebnie. Od razu zdał sobie sprawę, co go czeka.

- Mieliśmy poważnie pomyśleć nad pobraniem się - odparł, biorąc jej dłoń i ściągając z niej rękawiczkę, zanim włożył ją do kieszeni swojej kurtki.

Ich kroki chrzęściły na zamrażniętej ziemi.

- Byliśmy dla siebie spokojną przystanią, kiedy miały nami fale - odezwała się niepewnie Zoe. - Ale to nie to samo co małżeństwo. Uważam, że ślub mógłby zrujnować jedną z najpiękniejszych przyjaźni, jaka kiedykolwiek łączyła mnie z mężczyzną.

Spojrzała na niego kątem oka. Zachował nieodgadnio-ny wyraz twarzy, jakby rozmawiali o teorii Einsteina. Wieczór był niemal tak jasny jak dzień i kroczyli, mając z jednej strony pola białe w blasku księżyca, a z drugiej błyszczącą, atramentową wodę przeciętą smugą księżycowego blasku.

- A ponadto, kto może przewidzieć, jak przyjmą mnie twoje dzieci i jak bym sobie radziła jako matka - dokończyła niezręcznie.

Przez chwilę słychać było tylko odgłos ich kroków na drodze i fale chlupiące o brzeg.

- Istnieje też możliwość - ciągnęła miękko - że twoje uczucia do mnie są w tej chwili pogmatwane przez to, że całe twoje życie wywróciło się do góry nogami. Nawet gdybym nie miała przeczucia, że małżeństwo jest nie dla nas, to i tak byłbyś szalony, mój kochany, podejmując taką ważną decyzję w tej chwili.

- To już ja sam muszę osądzić, nie ty - odparł.

Nie próbował jej przekonywać. Zbyt dobrze się nawzajem znali.

Kiedy zawrócili, włożyła z powrotem rękawiczkę. Zbliźali się już do domu, którego kopuła świeciła jak duch w księżycowym blasku, gdy spytała:

- Czy masz zamiar utrzymywać kontakt z Jancie? Ona też potrzebuje przystani.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Trzymając się za rękę, szli skrajem zamarzniętych grządek warzywnika. Rano Jancie oznajmiła:

- Może to ja zawiozę Petera do Burlington, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu?

Dwa dni przed przewidywanym wyjazdem Whartonów obudzili się wszyscy w nieruchomej ciszy. W nocy spadł śnieg.

- Jest zbyt piękny, żeby go zepsuć śladami stóp -stwierdziła Jancie.

- Czy będziemy się przez cały czas zapadać? - zapytał Danny.

Już wkrótce ślady butów tworzyły zagłębioną ścieżkę aż do topoli i okręzały ją, a pojedyncze tropy wiodły do krawędzi urwiska i z powrotem.

Po lunchu Zoe ponownie wciągnęła wysokie buty i wyszła sama, znacząc nowy ślad aż do miejsca, gdzie niewidoczna pod śniegiem ścieżka opadała między brzoškami na brzeg jeziora. Była to uciążliwa droga, ale zimno nie było już tak przenikliwe. Zrobiło jej się za gorąco w wełnianej czapce, więc wsunęła ją pod kurtkę.

Dotarła do płaskich skał, które wznosiły się tu od wieków i zatrzymała się, uderzona bezruchem pofalowanej bieli, którą zakłócała tylko w jednym miejscu ciemna woda chlupocąca o brzeg.

Ostrożnie zanurzyła w śniegu przed sobą jeden but, potem drugi. Kiedy dotarła do najwyższej muldy stanęła bez ruchu, wpatrując się w czerwoną boję, na której usiadła mewa. Ptak nie poruszał się. Ona się nie poruszała. Czas nie istniał.

Jakiś impuls kazał jej się obrócić. To nie mógł być dźwięk - wokół panowała kompletna cisza. Ujrzała Milesa, stojącego w śniegu sięgającym niemal do krawędzi wysokich butów.

Zbliżając się do niej, zawołał:

- Czy nie mogłabyś mieć większych stóp? Postawił przed sobą nogę, powiększając zostawione przez nią wgłębienie.

Kiedy do niej dotarł, stanęli w pewnej odległości od siebie, z promieniejącymi twarzami, roześmiani, chociaż z ich ust nie dobyło się żadne słowo. Wyglądało to tak, jakby ucztowali oczami.

Po jakimś czasie Miles przerwał ciszę:

- Dotychczas tylko raz widziałem twoje włosy rozpuszczone.

- Jak się czujesz? - spytała. Ledwie mogła mówić.

- W porządku.

Obróciła twarz w stronę jeziora.



- Czy kiedykolwiek będziesz mógł mi wybaczyć? - spytała.
- Wybaczyłem ci przed kościołem St Bride. Spojrzała ponownie na niego.
- To, co zrobiłam, nie było w porządku. Ale nie było aż tak złe, jak ty uważałeś.
- Nie ułatwiłem ci tego - przyznał. Przebiegała badawczo wzrokiem po jego twarzy. Powtórzył jej słowa, lecz odmienną intonacją.
- To, co j a zrobiłem, nie było w porządku. Nigdy nie da się tego naprawić.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Na twarzy malował się czuły wyraz, kiedy zwracała ją z powrotem do jeziora.

- Czy mewy śpią na bojach? - spytała.
- Czy wiedziałaś, że Marigold i ja jesteśmy w separacji, i to na dobre?
- Nie, nie wiedziałam.
- Ona wychodzi za mąż za Geralda Scrope'a.
- Och.

Dotknął końców jej włosów spoczywających na kurtce, po czym zaczął podnosić poszczególne pasma i przesuwając je między palcami.

Ponownie spojrzała mu w twarz.

- Czy wiesz, że wieża kościoła St Bride jest najwyższą wieżą Wrena? - spytała.

Objął ją ramionami.

Po jakimś czasie mewa wstrząsnęła się i odleciała.

## ROZDZIAŁ 58

- Myślę o przyszłości - oznajmił. - Co z tobą, z twoją pracą?

Siedzieli na kanapie w pokoju muzycznym, Miles z wyciągniętymi nogami. -Faks zniknął i Victrola ponownie zajęła swoje miejsce.

- Jeszcze o tym nie myślę - odparła Zoe. - Siedząc w domu, nie potrzebuję tak bardzo gotówki, jak poniewierając się gdzie indziej.

- Sama się przekonasz, kiedy przyjedziesz do Waszyngtonu. - odparł. - Morale pracowników „Expressu” jest tragiczne, kiepscy dziennikarze wyniesieni ponad dobrych. Obecny naczelny nie nadaje się po prostu do tej pracy. Chcę, żebyś ty to robiła.

- Robiła co?

- Została redaktorem naczelnym „Expressu”. Trzeba przyznać, że pod tym względem Scrope szybciej zdał sobie sprawę, na co cię stać.

Była zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. Neli weszła, tupiąc i zostawiając za sobą grudki śniegu. Topiący się śnieg spływał też strużkami po jej czerwonym policzku.

- Ja i Danny uzgodniliśmy, że nie będziemy się rzucać w twarz. A on to zrobił.

Miles wybuchnął śmiechem i zerwał się na nogi.

- Chodź - powiedział, biorąc ją za rękę - będziemy musieli naprawić sytuację.

Kiedy wrócił, przedyskutowali z Zoe jego propozycję.

Kilkakrotnie jej wzrok przesunął się z jego twarzy na oprawioną w ramkę fotografię na stoliku. Siedziała z wyciągniętymi przed sobą nogami i głową spoczywającą na oparciu kanapy. Potem wyprostowała się ponownie.

- Masz zamiar utrzymać siedzibę główną w Londynie? - spytała.

- Na razie - odparł. - Co nie znaczy, że nie będę całkiem często wpadał, żeby sprawdzić, jak sobie radzi nowy naczelny „Expressu”.

- To także muszę wziąć pod rozwagę - odparła Zoe, w której oczach migotały iskierki.

- Tak?-spytał.

- Mogę się nad tym zastanowić? - spytała Zoe.

Spojrzał na zegarek, chichocząc, kiedy ponownie odtwarzali scenę, która miała miejsce w jego biurze niemal siedem miesięcy temu.

- Właśnie minęła czwarta.

- Dobrze. Dam ci znać przed kolacją.

Odetchnął głęboko, kiedy mu powiedziała.

- Możesz zacząć w ciągu dwóch tygodni?

- Czemu nie? - odparła.

- Jest jeszcze coś. Zesztywniała z napięcia.

- Chciałem poznać twoją decyzję, zanim ci to powiem - oznajmił. - Nie będzie mnie tu, kiedy przejmiesz „Express”, lecz za parę miesięcy będę prznosił swą siedzibę z powrotem do Waszyngtonu

- do biur zarządu, nad pokojem redakcyjnym. Co nowy naczelny o tym myśli?

Zoe czuła się, jakby jakaś obręcz ścisnęła jej skronie. Jeśli nic z tym nie zrobi, to cała eksploduje i rozleci się w sto różnych kierunków. Podskoczyła i wybiegła przez frontowe drzwi. Śnieg był tu odgarnięty, tworząc ścieżkę przez werandę. Stała w tenisówkach, obejmując się ra-

mionami i wpatrywała się w powierzchnię jeziora, nie zdając sobie sprawy z przenikliwego zimna. Miles przyłączył się do niej.

- Czy ta perspektywa uradowała cię, czy zasmuciła?

- Przypuszczam, że to szczęście - odparła. - Nigdy przedtem nie czułam czegoś podobnego. Nie potrafię nawet tego opisać.

- Próbuję zrozumieć, od jak dawna cię kocham - powiedział. - Może od tamtego wieczora, gdy przyszedłem na World's End. Przedtem zapewne też cię kochałem, ale nigdy nie chciałem tego przed sobą przyznać. — Wsunął swoje ręce pod jej założone ramiona. - Boże, to zupełnie jak za szkolnych czasów, kiedy odwiedzało się rodzinę swojej dziewczyny - stwierdził, patrząc przez szybkę w drzwiach werandy na panią Hare sortującą jakieś papiery na biurku.

Noc spędził w tym samym pokoju, w którym przedtem spał Peter.

Rankiem przystąpili do omawiania szczegółów. Zoe zamieszka na początek w jednym z pensjonatów w Waszyngtonie. Osoba wynajmująca jej mieszkanie z widokiem na Potomac miała jeszcze kontrakt na trzy miesiące.

- Peter znajdzie mi jakieś lokum. On jest bardzo dobry w załatwianiu takich rzeczy.

Pojechali we dwójkę do Burlington, z Milesem za kierownicą. W połowie drogi Zoe odezwała się:

- Czy masz coś przeciwko temu, żebym odwiedziła Teresę? Chciałabym ją poznać.

Milczał tak długo, że aż się obróciła i przyjrzała jego profilowi.

- Jeśli tego właśnie chcesz - odparł w końcu. Spojrzał na nią z krzywym uśmiechem i zastrzegł: - To nie znaczy „Rób, co chcesz”.

Zdjął jedną rękę z kierownicy i położył na jej dłoni. Kiedy skręcali już na płytę lotniska, Miles powiedział jeszcze:

- Przy okazji, nie zaczęliśmy jeszcze omawiać wielu spraw. Może potrzeba będzie całego życia, żeby to wszystko przewalkować. W każdym razie, niech ci nie przyjdzie do głowy wychodzić za mąż za kogoś innego bez wcześniejszego powiadomienia mnie o tym. Jak tylko pewne rzeczy się wyjaśnią, będziemy musieli porozmawiać.

Po powrocie do domu Zoe poszła prosto do pokoju muzycznego. Nikogo nie było w pobliżu. Z półki pod Victrolą wyjęła album ze zniszczonym grzbietem. Ostrożnie umieściła duet miłosny z *Tristana i Izoldy* na płycie gramofonu. Stara płyta trzeszczała - zawsze trzeszczała, od kiedy Zoe sięgała pamięcią - ale ta muzyka wzruszyła ją nawet bardziej niż za dziewczęcych czasów, jeśli to w ogóle możliwe. Może zresztą różnica polegała na tym, że tym razem w jej wyobrażeniach królowały dwie konkretne osoby. Tak się dała porwać uczuciom, gdy chromatyczne motywy napływały na siebie i ustępowały przed sobą wzajemnie, że w uniesieniu aż wyciągnęła ręce nad głowę.

Następnego dnia przemierzała tę samą trasę, mając obok siebie Jancie, a z tyłu Neli i Danny'ego wraz z walizkami, które nie zmieściły się do bagażnika.

Zoe uśmiechnęła się do podnieconych twarzy w tylnym lusterku.

- Tym razem nie życzę sobie żadnych uszczypliwych uwag od żadnego z was, moi drodzy.

W czwartek pan Hare zawiózł ją do Burlington.

Peterowi udało się dla niej wynająć na krótki okres mieszkanie na P Street niedaleko Szesnastej Ulicy. Prawdę mówiąc, było ono mikroskopijne, ale miało swój urok. Ponadto były w nim dwie duże szafy. W zasadzie było tam wszystko, czego będzie potrzebowała, gdy zajmie się nową pracą. Miało to nastąpić w następny poniedziałek.

Wczesnie położyła się do łóżka i nawiedzało ją mnóstwo snów. Na pół przebudzona próbowała je łapać, zanim bezpowrotnie znikną. W jednym z nich Przeznaczenie siedziało na krześle ubrane na niebiesko. Zoe dostrzegła wielkie buty, ale głowa Przeznaczenia była zbyt wysoko, tak że nie mogła się jej przyjrzeć.

W piątek rano poleciała do Monterrey.

## ROZDZIAŁ 59

Zoe podeszła do okien. Rozciągający się z nich widok na łańcuch górski - niebieskie zbocza wyprężające się ku bezchmurnemu niebu - sprawił, że wciągnęła oddech. Cudowny był też migdałowy zapach mimozy rosnącej w doniczce. Po dłuższej chwili wróciła na swoje krzesło stojące w pobliżu huśtawki.

Od razu się polubiły. Twarz Teresy mniej przypominała autoportret Kahlo, niż Zoe się spodziewała. Ale i tak istniało duże podobieństwo. Przez większość czasu rozmawiały o Milesie.

- To była romantyczna letnia przygoda - opowiadała Teresa. - Po wypadku przerodziła się w przyjaźń na całe życie.

Miles od tamtej pory odwiedził ją piętnaście, może dwadzieścia razy. Czasem rozmawiali przez telefon.

Kiedy zaczął zapadać zmierzch, a okna przybrały barwę ciemnoniebieską, Zoe podniosła się, żeby wyjść. Wtedy Teresa powiedziała:

- Miles ufa ci bardziej niż komukolwiek na świecie... teraz.

Pauza przed słowem „teraz” była tak krótka, że Zoe nie miała pewności, czy w ogóle była. Potem zrozumiała - przez te wszystkie lata to do Teresy miał kompletne zaufanie.

Przez chwilę żadna nic nie mówiła. Potem znów zabrzmiał głos Teresy:

- To nie jest tak, jak się wydaje.

- Nigdy nie jest - odparła Zoe.

- Kiedy samochód uderzył w *mesquite* - ciągnęła Teresa - otworzyły się tylne drzwi. W ten sposób Miles i ja zostaliśmy wyrzuceni. Lambertowie byli z przodu. Frank prowadził.

Zoe powoli usiadła z powrotem. W ciszy rozległ się śpiew cykady.

Cichym głosem Teresa opowiadała dalej.

Decyzja o kłamstwie została podjęta na platformie ciężarówki, w drodze do szpitala w Saltillo. Teresa, chociaż zdawała sobie sprawę ze wstrząsów ciężarówki, nie czuła żadnego bólu. Przez cały czas zachowała przytomność.

Nona zaczęła ten temat. Prowadzenie samochodu po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu. Zabicie dziecka. To zrukuje wszelkie szanse Franka na dotarcie do Białego Domu. Miles zdążył już przedtem powiedzieć Teresie, że zdaniem całej ich trójki, Frank zostanie pewnego dnia dobrym reformatorskim prezydentem. Nikomu z nich nie trzeba było przypominać, jak sprawa Chappaquid-dick wpłynęła na przyszłość Edwarda Kennedy'ego. Całe bogactwo i solidarność jego rodziny nie były tu w stanie nic zdziałać.

Gdyby to Miles prowadził, to rzucałoby na niego złe światło, lecz będąca jeszcze w powijakach kariera wydawcy prasowego nie ucierpiałaby na tym.

- Musisz pamiętać, że wszyscy byliśmy w szoku. Lambertów możesz sobie wyobrazić. Miles był prawie w agonii, krwawił przez cały czas. Ja byłam bierna; wydawało się bez znaczenia, kto właściwie prowadził. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że ja też miałam swój udział w decyzji, by fałszywie przedstawić fakty.

Wkrótce po dowiezieniu ich do szpitala pojawił się policjant. Całej czwórce zrobiono badanie krwi.

Jak dowiedziała się później, Frank Lambert opisał całe zdarze-



nie niemal słowo w słowo tak, jak przedstawiono to w pierwszym policyjnym raporcie.

- Do czasu, kiedy przeniesiono nas do szpitala w Monterrey - ciągnęła Teresa - Miles zdał sobie sprawę, jakim szaleństwem było to kłamstwo dla politycznej kariery. Lepiej było od początku powiedzieć prawdę i stawić czoło temu, co nastąpi. A kto wie? Amerykańska opinia publiczna mogłaby to nawet wybaczyć, jako tragiczny epizod w życiu młodego człowieka. W końcu nie było to to samo co Chappaquiddick. Jednak kiedy kłamstwo zostało już raz powiedziane, nie można było tego odkręcić bez pogorszenia całej sytuacji. Trzeba by w każdym razie ujawnić, że ewentualny przyszły prezydent amerykański wpadł w panikę w kryzysowej sytuacji.

Po powrocie do waszyngtońskiego hotelu Zoe znalazła informację, że ma zadzwonić do Milesa Brewstera w Londynie.

- Będziesz musiała powiedzieć w tym swoim hotelu - zaczął bez żadnych wstępów - że nie zostaniesz przez pełne trzy miesiące.

- Dlaczego nie?

- Za parę tygodni będziesz chciała przeprowadzić się gdzie indziej.

- Rozumiem - odparła Zoe, przechylając się do tyłu na obrotowym krześle. - Masz coś konkretnego na myśli?

- Kobieta, która jest właścicielką tego niebieskiego, drewnianego domu naprzeciw redakcji „Expressu” przeprowadza się na Wschodnie Wybrzeże, by być bliżej swej córki. Kupiłem od niej ten dom.

- Co? - Krzesło z trzaskiem powróciło do normalnej pozycji.

- Możesz czasem udostępniać parter zarządowi, jeśli chcesz, ale pierwsze piętro będzie przytulnym mieszkankiem dla naczelnego. Trzeba będzie wyburzyć tylko parę ścian.

Na waszyngtońskim końcu linii zapadła kompletna cisza.

Zachichotał.

- Tak myślałem, że będziesz zadowolona - stwierdził. - Aha, jeszcze jedno. Redaktor naczelna będzie musiała płacić firmie czynsz i pokrywać swoje wydatki. Kiedy przeprowadzimy się do tego domu, przemyślimy wszystko od nowa.

- Rozumiem - powtórzyła ponownie Zoe i zakręciła się raz w jedną, raz w drugą stronę na swoim krześle, by dać wyraz przepelniającej ją radości.

## **EPILOG**

Ulice były niemal całkowicie wyludnione. Z okna samochodu Gerald rozpoznał w blasku ulicznej lampy charakterystyczny krok. Miles szedł pustym chodnikiem w tym samym kierunku.

- Zatrzymaj się jakieś sto metrów przed tym facetem. O, tutaj.

Wyskoczył z samochodu i stanął dokładnie pod lampą, gdzie nadchodzący Miles mógł go wyraźnie dojrzeć.

Miles stanął półtora metra przed nim. Zmierzyli się wzajemnie wzrokiem.

- Jak leci, kolego?

- Dobry wieczór, Scrope.

- Powiedziałem ci na początku, Brewster, nie ma w tym nic osobistego.

Miles zaśmiał się ironicznie.

- Wszyscy mamy swoją rolę do odegrania, Brewster. Gerald zaczynał już krzyczeć, chociaż nadal stał kompletnie nieruchomo.

- Być może następnym razem będzie odwrotnie, Brewster.

- Proszę bardzo, Scrope. Podaj tylko czas i miejsce.

Gerald uniósł powoli rękę w ironicznym salucie, po czym machnął nią i pośpiesznie wsiadł do samochodu.

Miles poszedł dalej ulicą i, wsunąwszy ręce do kieszeni, skręcił za róg.